



MAEVE BINCHY

KURS
WIECZOROWY

Princypali i Ska

Maeve Binchy
KURS WIECZOROWY

Seria „Biblioteczka Pod Różą” poleca:

V. C. Andrews.

Ruby,

Perła we mgle,

Cały ten blichtr,

Melody.

Maeve Binchy.

W kręgu przyjaciół,

Liliowy autobus,

Echa.

Victoria Holt.

Droga do raj,

Jedwabna zemsta,

Gniazdo węży,

Legenda o siódmej dziewicy,

Dwór na wrzosowisku,

Pocałunek Judasza,

Dom Menfreyów,

Ruchome piaski,

Demoniczny kochanek,

Czarny opal.

Susanna Kearsley.

Mariana.

Judith McNaught.

Coś wspaniałego

Deirdre Purcell.

Kraina dzieciństwa

Wyspa kamieni

Wszystko przez tancerza.

Karen Robards.

Pewne lato,

Spacer o północy.

La Vyrle Spencer.

Serce w listopadzie,

Słodczy i gorycz.

Barbara Taylor Bradford.

Inna miłość,

Potajemny romans.

Robert James Waller.

Co się wydarzyło w Madison County,

Zaloty w Cedrowym Zakątku.

Barbara Wood.

Kraina snów,

Płomień duszy.

Maeve Binchy

KURS WIECZOROWY

przełożyła Monika Strupinska

Prószyński i S-ka Warszawa 1998

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału: Evening Class

Copyright © 1996 by Maeve Binchy

Ilustracja na okładce:

© P.W.A. International Ltd.

Opracowanie merytoryczne Ewa Rojewska-Olejarczuk Redaktor techniczny: Elżbieta Babińska

Korekta: Jadwiga Przeczek

Skład i łamanie: Aneta Osipiak

Opracowanie graficzne serii:

Zombie Sputnik Corporation

ISBN 83-7180-918-2

Biblioteczka pod Różą

Wydawca:

PRÓSZYŃSKI I S-KA SA, 02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk:

Opolskie Zakłady Graficzne SA

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Opis z okładki.

Wieczorowy kurs włoskiego zorganizowany

w jednej z dublińskich szkół miał w sobie

coś szczególnego. Czy dlatego, że prowadziła go tajemnicza Signora, którą podejrzewano,

że jest przebraną zakonnicą? Czy dlatego,

że skupił ludzi o pogmatwanych losach, ludzi z różnych środowisk i o różnym poziomie

intelektualnym?

Urzędnik bankowy, dama z najwyższego

towarzystwa, gangster, samotna matka ze swą

nieślubną córką - wszyscy ci ludzie na kursie nauczyli się o wiele więcej niż oczekiwali,

a kiedy na zakończenie kursu wyruszają

na wycieczkę do Włoch, każdy z nich jest

całkowicie odmieniony.

"Drogiemu, wspaniałomyślnemu gordonowi

grazie per tutto wraz z całą moją miłością.

Rozdział Pierwszy.

Aidan.

Dawniej, jeszcze w latach siedemdziesiątych, uwielbiali rozwiązywać różne testy psychologiczne.

Aidan wyszukiwał je w sobotniej gazecie. „Czy jesteś troskliwym mężem?” albo „Co wiesz o show biznesie?”. W testach „Czy pasujecie do siebie?” i „Jak traktujesz swoich przyjaciół” osiągnęli bardzo dobre wyniki.

Ale to było dawno temu.

Teraz, gdy Neli i Aidan Dunne'owie natknęli się na psychozabawę, nie kwapili się z odpowiedzią i obliczaniem punktów. Zbyt bolesne mogły się okazać pytania: „Jak często się kochacie?: a) więcej niż cztery razy w tygodniu, b) średnio dwa razy w tygodniu, c) w każdą sobotę, d) rzadziej”.

Które z nich chciałoby się przyznać, że o wiele, wiele rzadziej, a później, czytając wynik, odkryć gorzką prawdę?

Przerzucali stronę, jeśli któreś z nich zobaczyło pytanie typu: „Czy jesteś zgodny”. Nigdy nie dochodziło między nimi do kłótni czy sprzeczek.

Aidan był wierny żonie i zakładał, że ona też go nie zdradza. Czy to oznaczało, że jest próżny? Neli była atrakcyjną kobietą. Z pewnością jak dawniej oglądają się za nią mężczyźni. Aidan uważał, że większość facetów, których zaskakuje zdrada żon, to po prostu wpatrzeni w siebie egocentrycy. Ale nie on. Niemożliwe, żeby Neli z kimś się spotykała, sypiała z innym mężczyzną. Znał ją tak dobrze. Wiedziałyby o tym. Poza tym gdzie miałyby kogoś poznać? A nawet gdyby poznała, dokąd by poszły? Nedorzeczny pomysł.

A może inni mężczyźni myślą podobnie? Równie dobrze mogła to być jedna ze spraw, o których się nie rozmawia, gdy człowiek się starzeje. Bóle krzyża, rwanie w nodze po dłuższym spacerze, niemożność wglębiania się w tekst piosenek. Może po prostu powoli oddalamy się od osoby, która wcześniej wydawała się nam najważniejsza na świecie?

Całkiem możliwe, że każdy czterdziestoośmiolatek wkraczający w następny rok życia ma podobne odczucia. Wszędzie można znaleźć mężczyzn, którzy pragną, by ich żony były do wszystkiego nastawione bardziej żywiołowo i entuzjastycznie. Nie chodzi tylko o seks.

Nie pamięta, kiedy Neli ostatnio spytała go o pracę, o marzenia i nadzieje związane z jego szkołą. Kiedyś znała z nazwiska wszystkich nauczycieli i wielu uczniów, rozmawiali o zbyt licznych klasach, odpowiedzialnych stanowiskach, o wycieczkach i występach szkolnych.

Teraz słabo orientowała się w bieżących sprawach. Gdy mianowano nowego ministra edukacji, wzruszyła ramionami. „Chyba nie może być gorsza niż jej poprzedniczka?” skomentowała krótko. Neli nic nie wiedziała o tak zwanej „klasie przejściowej”, nazywała ją cholernym luksusem. To nie do pomyślenia, żeby dawać dzieciom czas na przemyślenia, dyskusje... odnajdywanie siebie... zamiast kazać im się po prostu wziąć do nauki.

I Aidan jej nie winił.

Kiedy próbował coś wyjaśnić, stawał się bardzo nudny. Słyszał swój głos odbijający się echem we własnych uszach, dudnił monotonie i wtedy jego córki wywracały oczy i wzdychały, zastanawiając się, dlaczego mając dwadzieścia jeden i dziewiętnaście lat muszą tego wysłuchiwać.

Starał się ich nie zanudzać. Zdawał sobie sprawę ze swoich nauczycielskich nawyków. Przyzwyczał się, że w klasie mówi do uważnych słuchaczy i każdy problem próbuje przedstawić z różnych stron, aż wszystko dokładnie zrozumieją. Zadawał sobie dużo trudu, aby przedostać się do ich świata.

Ale Neli nigdy nie miała nic do powiedzenia na terenie restauracji, gdzie pracowała jako kasjerka. „Och, Aidan, na litość boską, to jest praca!

Siedzę tam i biorę od klientów karty kredytowe, czeki lub gotówkę, daję im resztę i rachunek.

A potem pod koniec dnia wracam do domu, pod koniec każdego tygodnia odbieram pensję. I tak dzieje się z dziewięćdziesięcioma procentami świata. Nie przeżywamy dramatów, z niczym się nie zmagamy. Żyjemy normalnie, to wszystko”.

Chociaż nie zamierzała go zranić czy poniżyć, odebrał to jak policzek.

Przecież jego praca polegała właśnie na ciągłych konfliktach i konfrontacjach w pokoju nauczycielskim. I już dawno, niestety, bardzo dawno, minęły te dni, kiedy Neli z niecierpliwością

oczekiwała doniesień ze szkoły; gdy była jego podporą, pobudzała do działania, zapewniała, że jego wrogowie są jej wrogami. Aidan boleśnie odczuwał brak przyjaciela, tego zespolenia i partnerstwa z dawnych lat.

Może gdy zostanie dyrektorem, czas się cofnie?

A może się tylko łudzi? A jeśli to stanowisko nie ma wielkiego znaczenia dla jego żony i córek? Życie domowe toczyło się obok niego. Od jakiegoś czasu miał wrażenie, jakby umarł, a one doskonale sobie bez niego radziły.

Neli chodziła do pracy. Raz w tygodniu odwiedzała matkę. Aidan oczywiście nie musiał z nią jechać, była to tylko pogawędka rodzinna.

Matka Neli lubiła widywać ją regularnie, by zobaczyć, jak się czuje.

- I jak się czujesz? - pytał wtedy Aidan z troską w głosie.

- Nie prowadzisz teraz zajęć z jakiejś tam filozofii w piątej klasie -

odpowiadała. - Czuję się jak inni. Czy to ci nie wystarczy?

Ale Aidanowi nie wystarczało. Wyjaśnił jej, że to nie jest jakaś tam filozofia, tylko wstęp do filozofii, i nie klasa piąta, tylko przejściowa.

Nigdy nie zapomni spojrzenia, jakim obdarzyła go wtedy Neli. Chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. W jej oczach malowało się coś w rodzaju współczucia. Patrzyła na niego jak na biedaka na ulicy, który, ubrany w przewiązany sznurkiem płaszcz, pociąga z butelki resztki zmętniałego imbirowego wina.

Podobnie bywało z córkami.

Grania pracowała w banku, ale właściwie nie rozmawiała o tym z ojcem.

Gdy czasami widywał ją w gronie przyjaciół,

10

wykazywała zdecydowanie więcej entuzjazmu. To samo Brigid. „Biuro turystyczne ma się dobrze, tato, przestań się tym ciągle interesować.

Oczywiście, że jestem zadowolona. Mam darmowe wakacje dwa razy w roku i dużo czasu na lunch”.

Grania nie chciała się wypowiadać na temat całego systemu bankowego, nie zastanawiała się, czy uczciwe jest zachęcanie ludzi do brania pożyczek, które potem z takim trudem spłacają. Nie ona wymyśliła te zasady. Na jej biurku leży specjalny koszyk i każdego dnia załatwia to, co w nim znajdzie. I tyle. Śmiertelnie proste. Brigid nie obchodziło, że biuro często sprzedaje turystom jedynie sen. nieosiągalne marzenie. „Tato, jeśli oni nie chcą jechać na urlop, to nikt ich nie zmusza, nie każe

przychodzić do nas i płacić".

Aidan żałował, że nie poświęcał im więcej uwagi. Kiedy to się wszystko stało? Kiedy tak się od siebie oddalili? Pamiętał, jak kiedyś dziewczynki siedziały przy stole, czyste i pachnące po wieczornej kąpieli, ubrane w różowe szlafroki, on opowiadał im jakieś historie, a Neli przyglądała się im szczęśliwa z drugiego końca pokoju. Ale to było dawno temu. Choć od tamtego czasu zdarzały się przyjemne chwile. Na przykład kiedy przygotowywały się do egzaminów Aidan robił im testy powtórzeniowe, zastanawiając się, jaką mają przyjąć strategię uczenia się, aby wypaść jak najlepiej. Wtedy były mu wdzięczne. Pamięta uroczystość z okazji ukończenia przez Granie szkoły i później, gdy została przyjęta do banku. Z

tej okazji wydano lunch w dużym hotelu, a kelner zrobił wszystkim zdjęcia. Podobnie z Brigid, lunch i zdjęcia. Wyglądali na rodzinę ze wszech miar szczęśliwą. Czy to tylko pozory?

W jakimś stopniu na pewno, gdyż nie minęło wiele lat a on już nie mógł

usiąść wraz z córkami i żoną - osobami, które kochał najbardziej na świecie - by podzielić się swoimi obawami, że nie zostanie wybrany na dyrektora.

Włożył w szkołę tyle wysiłku, przepracował tyle dodatkowych godzin, angażował się we wszystkie z nią związane sprawy, a jednak czuł gdzieś w środku, że zostanie odsunięty.

11

Posadę tę mógł dostać inny nauczyciel, prawie jego rówieśnik. Był to Tony O'Brien, który nigdy nie zostawał po godzinach, by wspomóc szkolną drużynę rozgrywającą mecz na własnym boisku, którego nie obchodziły zmiany w programie nauczania czy zbieranie funduszy na projekt nowego budynku. Tony O'Brien, który bez żenady kopał papierosy na korytarzach szkolnych - miejscach objętych zakazem palenia - który jadł lunch w pubach nie kryjąc, że składa się on z pół litra piwa i kanapki z serem.

Kawaler, człowiek pod każdym względem antyrodzinny, wielokrotnie widywany z uwieszoną u ramienia, ze dwa razy młodszą dziewczyną; i mimo to był wielce prawdopodobnym kandydatem na stanowisko dyrektora.

W ciągu ostatnich lat wiele rzeczy dziwiło Aidana, ale nic tak naprawdę nim nie wstrząsnęło. Jakkolwiek by na to spojrzeć, Tony O'Brien nie powinien kierować szkołą. Aidan przeczesał ręką włosy, które ostatnio bardzo mu się przeredziły. Tony O'Brien oczywiście mógł się pochwalić imponującą czupryną grubych, ciemnych włosów opadających na oczy i na plecy. Chyba świat nie zwariował do tego stopnia, żeby przy wyborze dyrektora brać takie rzeczy pod uwagę?

Dużo włosów - dobrze, mało włosów - źle... Aidan uśmiechnął się do siebie. Może gdyby potrafił się śmiać z tych najgorszych objawów paranoi, przestałby się nad sobą użalać. Ale brakowało mu kogoś, z kim mógłby się pośmiać.

W jednej z niedzielnych gazet natknął się na test „Czy jesteś spięty?”.

Aidan szczerze odpowiedział na pytania. Uzyskał ponad siedemdziesiąt pięć punktów i wiedział, że to źle, ale nie spodziewał się tak ostrej, przygnębiającej oceny. Powyżej siedemdziesięciu punktów jesteś w zasadzie jak zaciśnięta z wściekłości pięść. Rozluźnij się, przyjacielu, zanim wybuchniesz.

Taki test to tylko żart służący do zapełniania pustych stron w gazecie. Tak mówili Aidan i Neli, gdy wypadali w nich poniżej swoich oczekiwań. Ale tym razem odpowiadał na pytania sam. Oczywiście, że gazety muszą coś wymyślać, żeby numer mógł się ukazać.

Uzyskany wynik jednak go zaniepokoił. Aidan zdawał sobie sprawę ze swojej wybuchowości. Ale zaciśnięta z wściekłości pięść? Nic dziwnego, że rozważają inną kandydaturę na dyrektora.

Odpowiedzi z testu zapisywał na luźnej kartce, żeby przypadkiem ktoś z rodziny nie przeczytał o jego zmartwieniach, niepokojach i bezsenności.

Najtrudniej znosił niedziele. Dawniej, gdy stanowili prawdziwą, szczęśliwą rodzinę, wyjeżdżali w lecie na pikniki, a w zimne dni chodzili na zdrowe, długie spacer. Aidan był dumny, że nie przypominają większości rodzin z Dublina, które nie miały pojęcia o istnieniu innych miejsc poza tym, w którym mieszkały.

Którejś niedzieli zabrał swoje panie pociągiem na południe, na wspinaczkę na Bray Head, a przy okazji zwiedzili sąsiednie hrabstwo Wiekiów. Innym razem pojechali na północ do nadmorskich wiosek Rush, Lusk i Skerries, usadowionych wzdłuż jednej drogi wiodącej prosto do granicy.

Organizował też wycieczki do Belfastu, żeby nie wyrosli na ignorantów, nie znających historii drugiej części Irlandii.

To był jeden z najszcześniejszych okresów, połączenie roli nauczyciela i ojca, osoby wyjaśniającej i zabawiającej. Tatuś znał odpowiedź na wszystko: skąd odchodzi autobus do zamku Carrickfergus Castle czy do muzeum Ulster Fol*. i gdzie można zjeść frytki, zanim wrócą pociągiem do domu.

Aidan pamięta, jak jakaś pani w pociągu powiedziała Granni i Brigid, że muszą być szczęśliwe mając tatusia, który wszystkiego je uczy. Poważnie kiwały głowami, a Neli szepnęła mu, że najwyraźniej się spodobał

współpasażerke ale ona będzie go dobrze pilnować. Aidan czuł się wtedy dwa razy wyższy i najważniejszy na świecie.

Teraz w swoim domu miał wrażenie, że jest ledwo zauważany.

W niedzielę nigdy nie zapraszali gości na obiad z pieczenią wołową, baraniną czy kurczakiem, wielkim talerzem ziemniaków i warzyw, jak czyniono to w innych domach. Ich częste wycieczki i podróże sprawiały, że niedziela stawała się zwykłym dniem. Aidan żałował, że nie mają ustalonego planu dnia, stałego zajęcia. Chodził na mszę. Neli czasami 13

mu towarzyszyła, ale potem zwykle spotykała którąś ze swoich sióstr lub przyjaciółek z pracy. Poza tym sklepy były teraz otwarte również w niedzielę, więc okazji do spotkań nie brakowało.

Dziewczynki nigdy nie chodziły do kościoła. Przekonywanie nie miało sensu. Zrezygnował, gdy skończyły siedemnaście lat. Nie wstawały wcześniej niż na lunch, jadły kanapki i oglądały wideo z nagranyymi w ciągu tygodnia programami, kręciły się po domu w szlafrokach, myły włosy, prały swoje rzeczy, rozmawiały przez telefon, zapraszały przyjaciół

na kawę.

Zachowywały się tak, jak gdyby mieszkały jedynie ze swoją matką, nieco ekscentryczną, miłą gospodynią, którą trzeba czasami zabawić. Grania i Brigid w niewielkim stopniu dokładały się do budżetu domowego, a dawały do zrozumienia, że zdiera się z nich ostatnią skórę. Nie kupowały poza tym niczego, najmniejszego pudełka z ciasteczkami, lodami czy płynu do płukania tkanin, nic nie wpływało z ich portmonetek, ale od razu narzekały, gdy zabrakło któregoś z produktów.

Aidan zastanawiał się, jak spędza niedziele Tony O'Brien. Wiedział, że nie uczęszcza na msze. Jasno to sam stwierdził, gdy uczniowie go zapytali:

„Proszę pana, a czy pan chodzi na mszę w niedzielę?”. „Czasami chodzę, gdy odczuwam potrzebę porozmawiania z Bogiem”, odpowiedział wtedy.

Chłopcy i dziewczęta chętnie o tym rozpowiadali, traktując tę wypowiedź

jako broń przeciwko tym, którzy zmuszali ich do chodzenia do kościoła pod groźbą mąk piekielnych.

Bardzo sprytnie ze strony Tony'ego, bardzo sprytnie, pomyślał Aidan. Nie zaprzeczał istnieniu Boga, zrobił z niego swojego przyjaciela, a przyjaciele przecież wpadają tylko na pogawędkę, gdy mają ochotę. Dało to Tony'emu O'Brienowi przewagę nad Aidanem, który nie jest przyjacielem Najwyższego, a tylko okresowym sługą. Był to najbardziej denerwujący i niesprawiedliwy aspekt całej sprawy.

W niedzielę Tony wstawał pewnie późno. Mieszkał w małym domu, jednym z wielu identycznych stojących w rzędzie 14

wzdłuż ulicy. Tylko jeden duży pokój i kuchnia na dole, jedna sypialnia i łazienka na górze. Drzwi otwierały się wprost na ulicę. Często widywano go rano w towarzystwie młodych kobiet.

Dawniej oznaczałoby to zakończenie jego kariery, nie mówiąc już o możliwości awansu - w latach sześćdziesiątych związki pozamałżeńskie kończyły się wyrzuceniem z pracy. Aidan uważał, że to nie jest w porządku. Nawet wraz z innymi nauczycielami ostro się temu przeciwstawiali. Jednakże niemożność nawiązania trwałego związku z drugą osobą, zmienianie kobiet jak rękawiczki i staranie się o posadę dyrektora, który miał być wzorem dla młodzieży... to także nie było w porządku.

Co robił teraz Tony O'Brien, o drugiej trzydzieści w południe, w deszczową niedzielę? Może jest na lunchu w domu innego nauczyciela?

Aidan nie miał okazji go zaprosić, ponieważ w zasadzie nie jadali lunchu, poza tym Neli rozsądnie zauważyła, że nie może im narzucać towarzystwa kogoś, kogo od pięciu lat tępi. Zapewne nadal zabawia się z kobietą, z którą spędził noc. Tony O'Brien oświadczył kiedyś, że jest niezmiernie wdzięczny Chińczykom, którzy trzy domy dalej prowadzili restaurację, gdzie zaopatrywał się w wyśmienite dania - kurczak na kwaśno, tosty sezamowe, krewetki na ostro, a do tego butelka australijskiego chardonnay i niedzielna gazeta. Trudno sobie wyobrazić mężczyznę w jego wieku, mogącego być dziadkiem, który w niedzielę zabawia się z kobietą i kupuje chińskie potrawy.

Ale właściwie dlaczego nie?

Aidan był człowiekiem sprawiedliwym. Przyznawał ludziom prawo do własnych wyborów. Tony O'Brien tych kobiet nie przyciągał do siebie siłą za włosy. Nie istniało żadne prawo nakazujące mu zawarcie związku małżeńskiego i wychowanie dwóch niezależnych córek, jak uczynił to Aidan. I w pewnym sensie dobrze o nim świadczyło, że nie starał się ukrywać swojego stylu życia.

Po prostu świat zmienił się tak bardzo. Ktoś zburzył zasady dotyczące tego, co wolno, a czego nie, i zapomniał

poinformować o tym Aidana.

15

A jak Tony spędza resztę dnia?

Chyba nie wraca znów do łóżka? Może chodzi na spacerzy albo, gdy dziewczyna pójdzie do domu, słucha muzyki; przecież często wspominał o swoim zbiorze kompaktów. Gdy wygrał trzysta pięćdziesiąt funtów w lotto, zatrudnił stolarza, dorabiającego sobie w szkole, i zapłacił mu z góry za zbudowanie półek na pięćset płyt. Wszyscy byli pod wrażeniem. Aidan poczuł ukłucie zazdrości. Skąd brał pieniądze na kupno tylu kompaktów?

Aidan wiedział na pewno, że Tony co tydzień kupował trzy płyty. Kiedy znajdował czas na ich słuchanie? Oczywiście bywał także w pubach, gdzie spotykał się z przyjaciółmi, chadzał do kina na jakieś zagraniczne filmy czy też do klubu jazzowego.

Może właśnie ta ruchliwość zjednywała mu sympatię i zainteresowanie, dawała mu przewagę nad innymi. A już z pewnością nad Aidanem, którego niedziele nikogo by nie zainteresowały.

Gdy Aidan około pierwszej wrócił po mszy do domu i zapytał, czy ktoś miałby ochotę na jajka na bekonie, odpowiedział mu chór pełnych obrzydzenia głosów: „Boże, tato, nie!” lub „Tato, proszę, nawet o tym nie wspominaj! Mógłbyś zamknąć drzwi w kuchni, jak będziesz je smażył?”.

Gdyby Neli była wtedy w domu, pewnie uniosłaby wzrok znad czytanej książki i powiedziała: „Dla mnie?”. W jej głosie nigdy nie czuło się wrogości, tylko zdziwienie, jak gdyby składał jej jakąś nieprawdopodobną ofertę. Neli w zupełności wystarczała kanapka z sałatką o trzeciej.

Aidan z tęsknotą wspominał obiady u mamy, kiedy opowiadano sobie historie z całego tygodnia i tylko rzeczywiście ważny powód mógł

usprawiedliwić czyjąś nieobecność przy stole. Oczywiście to on wszystko zaprzepaścił. To Aidan zrobił z nich osoby niezależne, wolne duchy, odkrywające dla siebie rozległe przestrzenie Dublinu, a nawet okolicznych hrabstw. Skąd miał wiedzieć, że doprowadzi to do chaosu i pustki w jego własnym życiu, do snucia się po mieszkaniu od kuchni, gdzie wszyscy podgrzewali swoje posiłki w mikrofalówce, do pokoju gościnnego, gdzie w telewizji leciał jakiś program, którego wcale nie chciał oglądać, i do sypialni, w której od tak dawna nie kochał się ze 16

swoją żoną, że wchodził do niej tylko wtedy, gdy szedł spać.

Była jeszcze jadalnia z ciemnymi meblami, rzadko jednak jej używali.

Jeśli nawet podejmowali czasami gości, okazywała się za mała i za ciasna.

Neli co prawda obojętnym tonem proponowała kilka razy, żeby Aidan przerobił ją na swój pokój do pracy. Ale nie zgodził się. Czuł, że gdy powstanie z tego gabinet, jak w szkole, straci w pewnym stopniu swą tożsamość; jako głowa rodziny, jej żywiciel i mężczyzna, który kiedyś wierzył, że dom jest najważniejszym miejscem na świecie.

Obawiał się też, że spędzając w tym pokoju zbyt wiele czasu, z przyzwyczajenia zacznie w nim spać. Na dole znajdowała się łazienka i naturalne byłoby zostawienie trzem kobietom całego piętra do wyłącznego użytku.

Nie może na to pozwolić. Musi walczyć o swoje miejsce w rodzinie, tak jak walczy o zachowanie się w pamięci zarządu - mężczyzn i kobiet, którzy wybiorą kolejnego dyrektora Mountainview College.

Jego matka nie mogła zrozumieć, dlaczego szkoła nie nosi imienia jakiegoś świętego. Tak przecież nazywały się wszystkie szkoły. Trudno było jej wytłumaczyć, że czasy się zmieniły, ale zapewniał, że w zarządzie są ksiądz i zakonnica. Nie mieli wielkiego wpływu na podejmowane decyzje ale byli tam po to, by wyjaśnić rolę, jaką na przestrzeni wielu lat, pełniła w irlandzkiej edukacji religia.

Matka Aidana prychnęła. Świat rzeczywiście się zmienił, skoro księża i zakonnice są zadowoleni z uzyskania miejsca w zarządzie zamiast stać na jego czele, jak Bóg przykazał. Aidan przekonywał jeszcze, że przecież spadła liczba powołań, ale na próżno. Nawet szkoły średnie rzekomo prowadzone przez klasztory w latach dziewięćdziesiątych miały niewielki odsetek nauczających duchownych.

Kiedyś Neli usłyszała, jak się sprzeczną, i potem powiedziała mu, że niepotrzebnie traci nerwy. „Nie zaprzeczaj, że to Kościół wciąż je prowadzi, Aidan. Nie utrudniaj życia. Przecież w pewnym stopniu to prawda. Ludzie obawiają się zbytniego wpływu Kościoła na swoje życie.

Bardzo irytowało go jej podejście. Akurat ona nie miała 17

powodu się bać. Przestała chodzić do kościoła, zrezygnowała ze spowiedzi, nie przejmowała się naukami papieża dotyczącymi antykoncepcji. Dlaczego udawała, że tak to na niej ciąży? Ale nie sprzeczała się. Był spokojny i wyrozumiały, jak w większości wypadków.

Dla matki nie miał czasu; nie okazywał jej wrogości, ale zainteresowania również nie. Matka zastanawiała się czasami, kiedy zostanie zaproszona na obiad, i Aidan musiał się wtedy tłumaczyć, że mają poważne trudności, ale gdy tylko się urządują...

Mówił tak przez ostatnie dwadzieścia lat i wymówka szyta już była bardzo grubymi nićmi. Matka oczywiście bywała na wszystkich rodzinnych uroczystościach. Ale to nie to samo. Poza tym przez długi czas nie było czego świętować. Chyba że weźmie się pod uwagę przyszłą nominację na

dyrektora.

* * *

- Jak minął panu weekend? - spytał go w pokoju nauczycielskim Tony O'Brien.

Aidan spojrzał na niego zdziwiony. Od dawna nikt się tym nie interesował.

- Spokojnie - odparł.

- Ma pan szczęście. Ja ubiegłą noc spędziłem na przyjęciu i strasznie teraz cierpię. No, jeszcze tylko trzy i pół godziny do ożywczego, zdrowego pół

litra piwa podczas lunchu - jęknął Tony.

- Niezwykły z pana człowiek! Myślę o pańskiej wytrzymałości. - Aidan miał nadzieję, że gorycz i dezaprobata w jego głosie nie są zbyt wyraźne.

- Wcale nie. Jestem już na to za stary, ale w przeciwieństwie do reszty nauczycieli, nie mam żony i rodziny, która przyniosłaby mi ukojenie. -

Uśmiech Tony'ego był ciepły. Ktoś, kto by go nie znał, nie znał jego stylu życia, mógłby sądzić, że mówi szczerze, pomyślał Aidan.

Szli razem korytarzami Mountainview College, miejsca, które jego matka chciała nazwać szkołą Świętego Kevina, a właściwie Świętego Antoniego. Święty Antoni pomagał

odnajdywać zagubione rzeczy i matka z wiekiem coraz częściej 18

musiała się do niego zwracać. Kilka razy dziennie odszukiwał jej okulary.

Ludzie mogli w dowód wdzięczności przynajmniej nazwać szkołę jego imieniem. A ponieważ syn miał zostać dyrektorem... Żył nadzieją.

Obok nich przebiegały dzieci, niektóre krzyczały chorem: „Dzień dobry!”, inne odwracały z niechęcią wzrok. Aidan Dunne znał je wszystkie, ich rodziców także. Pamiętał imiona większości ich starszych sióstr i braci.

Tony O'Brien znał najwyżej kilku. To takie niesprawiedliwe.

- Zeszłej nocy poznałem kogoś, kto pana zna - powiedział nagle Tony O'Brien.

- Na przyjęciu? Wątpię. - Aidan uśmiechnął się.

- Ależ tak. Gdy jej powiedziałem, że tu uczę, spytała czy pana znam.

- Kto to był? - zainteresował się Aidan wbrew sobie.

- Nie udało mi się dowiedzieć, jak jej na imię. Fajna dziewczyna.

- Była uczennica?

- Nie, wtedy by mnie znała.

- Rzeczywiście zagadka - rzekł Aidan patrząc, jak Tony O'Brien wchodzi do piątej klasy.

Cisza, która natychmiast zapadła, była zupełnie niezrozumiała. Skąd ten głęboki szacunek, strach przed rozmawianiem na lekcjach, złym zachowaniem? Tony O'Brien nie znał nawet ich imion, na litość boską!

Pobieżnie przeglądał ich prace, nie poświęcał więcej niż godzinę ze swojego czasu na sprawdzenie wyników egzaminu. Właściwie nic się nimi nie przejmował. A mimo to szukali u niego aprobaty. Aidan nie mógł

zrozumieć tych szesnastoletnich dziewcząt i chłopców.

Podobno kobiety lubią stanowczych mężczyzn. Przez moment poczuł

wewnętrzną ulgę, że Neli nie spotkała na swej drodze Tony'ego O'Briena.

Jednocześnie uświadomił sobie, że to nie ma już znaczenia, gdyż Neli opuściła szkołę dawno temu.

Aidan Dunne wszedł do czwartej klasy i stał w drzwiach przez trzy minuty, zanim grupa się uspokoiła.

Może właśnie przez korytarz przechodził stary dyrektor? pan Walsh. Albo to tylko jego wyobraźnia. Człowiek

19

ma podobne odczucie, gdy jego grupa źle się zachowuje. To było coś, co przeżywał każdy nauczyciel, którego znał. Ale Aidan nie musiał się martwić. Dyrektor podziwiał go tak dalece, że nie przejmował się bardziej niesfornym niż zwykle zachowaniem klasy. Aidan był najbardziej odpowiedzialnym nauczycielem w Mountainview. Wszyscy o tym wiedzieli.

* * *

Tego popołudnia pan Walsh wezwał go do swego biura. Leciwy dyrektor nie mógł już się doczekać emerytury. Dzisiaj po raz pierwszy rozmowa odbyła się na serio.

- Pan i ja myślimy podobnie o wielu sprawach, Aidanie.

- Mam taką nadzieję, panie Walsh.

- Tak, patrzymy na świat z tego samego punktu widzenia. Ale to nie wystarczy.

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli. - Aidan mówił prawdę. Czy to dyskusja filozoficzna? Ostrzeżenie? Czy nagana? - Chodzi o system.

Sposób, w jaki załatwia się sprawy. Dyrektor nie ma głosu. Siedzi tylko jak jakiś cholerny eunuch. Tak to wygląda.

- Głosu? - Aidan chyba rozumiał, do czego to prowadzi, ale postanowił udawać, że nie wie.

Nie był to dobry pomysł, gdyż dyrektor się zdenerwował.

- Niech pan da spokój! Wie pan, o czym mówię. O pracy, o pracy!

- No tak. - Aidan poczuł się teraz głupio.

- Jestem członkiem zarządu, ale nie mam prawa głosu. W przeciwnym razie objąłby pan tę posadę już we wrześniu. Dałbym panu kilka rad, jak postępować z tymi łobuzami z czwartej klasy. Jednak myślę, że jest pan człowiekiem z zasadami i wie pan, co jest dobre dla szkoły.

- Dziękuję, panie Walsh. Miło mi to słyszeć.

- Kochany, zanim pan podziękuje, proszę mnie posłuchać... nie ma za co dziękować. Nic nie mogę dla pana zrobić, to właśnie próbuję panu powiedzieć, Aidanie. - Starszy pan spojrział na niego z rozpaczą, jak na wolno myślące dziecko z pierwszej klasy.

Aidan ze smutkiem zauważył, że to spojrzenie bardzo przypomina sposób, w jaki patrzy na niego czasami Neli. Uczył dzieci, odkąd skończył

dwadzieścia dwa lata, w sumie ponad dwadzieścia sześć lat, a mimo to nie umiał rozmawiać z człowiekiem, który bardzo starał się mu pomóc.

Potrafił go jedynie rozdrażnić.

Dyrektor wpatrywał się w niego z napięciem. Aidan znał pana Walsha i spodziewał się, że potrafi on czytać w jego myślach i zrozumieć uczucia, które nim teraz zawładnęły.

- No, niech pan się nie poddaje. Proszę się tak nie przejmować. Może się mylę, może wszystko poprzekręcałem. Jestem jak stary koń, który po zakończeniu pracy odchodzi na pastwisko, chciałem się chyba po prostu zabezpieczyć, gdyby coś poszło nie po pana myśli.

Aidan spostrzegł, że dyrektor już głęboko żałuje tej rozmowy.

- Ależ ja bardzo to doceniam, to znaczy jest pan dla mnie niezwykle dobry, mówiąc mi o wszystkim... to znaczy... -urwał.

- To jeszcze nie koniec świata... Przypuśćmy, że nie dostanie pan tej posady.

- Nie, nie, absolutnie nie koniec.

- Ma pan rodzinę, inne życie. Wiele do zrobienia poza szkołą. Nie jest pan tak uwiązany do tego miejsca jak ja przez tyle lat. - Pan Walsh był

wdowcem od wielu lat, jedyny syn rzadko go odwiedzał.

- Ma pan całkowitą rację - przyznał powtórnie Aidan.

- Ale? - starszy pan spojrzał na niego przyjaźnie. Aidan mówił powoli.

- Oczywiście, to nie koniec świata, ale pomyślałem sobie... miałem nadzieję, że to będzie początek czegoś nowego, czegoś, co rozjaśni moje życie. Nie obawiam się dodatkowych godzin, podobnie jak dawniej. I tak spędzam tu dużo czasu. W pewnym sensie tak jak pan jestem związany z Mountainview.

- Wiem - powiedział cicho pan Walsh.

- Nigdy nie traktowałem pracy jak ciężkiego obowiązku. Lubię swoje klasy, szczególnie ostatnią, gdy można ich trochę rozruszać, lepiej poznać i pobudzić do myślenia. Lubię

nawet wieczorne zebrania z rodzicami, których inni nie znoszą. Znam wszystkich uczniów i... chyba podoba mi się ta praca... z wyjątkiem tego elementu rywalizacji towarzyszącemu walce o awans. - Aidan urwał nagle.

Bał się, że głos mu się zaraz załamie. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że on w tej rywalizacji najwyraźniej przegrał.

Walsh milczał.

Była czwarta trzydzieści, z zewnątrz dochodziły odgłosy szkolnego życia.

Przenikliwy dźwięk dzwonek u rowerów, trzask zamykanych drzwi, okrzyki dzieciaków biegnących na przystanki autobusowe. Niedługo przyjdą sprzątaczk i zaczną hałasować wiadrami i szczotkami, rozlegnie się szum elektrycznej froterki. Wszystko wydawało się takie przyjazne, bezpieczne. Do tej chwili Aidan uważał, że istnieje duża szansa, by to wszystko zdobyć.

- Pewnie chodzi o Tony'ego O'Briena - odezwał się zrezygnowanym głosem.

- Wygląda na to, że jest tym, kogo potrzebują. Aż do następnego tygodnia to jeszcze nic pewnego, ale chyba tak myślą.

- Zastanawiam się, dlaczego? - Aidanowi zakręciło się w głowie z zazdrości i konsternacji.

- Nie mam bladego pojęcia, Aidanie. On nie jest nawet praktykującym katolikiem. Ma moralność ogiera. Nie ma serca do tego miejsca, nie przejmuje się tak jak my, ale oni twierdzą, że na obecne czasy nadaje się doskonale. Drastyczne metody radzenia sobie z drastycznymi problemami.

- Jak pobicie do nieprzytomności osiemnastolatka - zauważył Aidan.

- Podobno chłopak sprzedawał narkotyki. Więcej się już nie pojawił na terenie szkoły.

- Nie można w ten sposób kierować szkołą.

- Pan nie może, ja też nie, ale nasze dni są już policzone.

- Z całym szacunkiem, pan ma sześćdziesiąt pięć lat, ja czterdzieści osiem.

Nie sądzę, żeby moje dni były policzone.

- I nie muszą być, Aidanie. O tym właśnie mówię. Ma pan cudowną żonę i córki. Tam pan znajdzie oparcie. Nie może pan traktować Mountainview jak kochanki.

- To bardzo miło z pana strony, doceniam to, co pan dla mnie robi, i nie są to tylko puste słowa. Naprawdę jestem wdzięczny za ostrzeżenie. Nie ośmieszę się - rzekł Aidan i opuścił pokój z dumnie podniesioną głową.

* * *

W domu Neli ubrana w czarną sukienkę i żółty szal szykowała się jak zwykle do pracy w restauracji.

- Przecież nie pracujesz w poniedziałki na nocną zmianę - zawołał

zaskoczony.

- Brakowało im pracownika, więc pomyślałam, że pójdę. W telewizji nie ma nic ciekawego - wyjaśniła i wtedy spostrzegła wyraz jego twarzy. - W

lodówce masz kawałek steku. I trochę ziemniaków z soboty... będą wspaniałe, usmaż je tylko z cebulą, dobrze?

- Oczywiście - odparł. I tak by jej nie powiedział. Może lepiej, że wychodzi. - Czy dziewczynki są w domu? - spytał.

- Grania okupuje łazienkę. Najwyraźniej szykuje się na ważną randkę.

- Z kimś, kogo znamy? - Nie wiedział, dlaczego zadał to pytanie.

Zauważył irytację w oczach Neli.

- Jakim cudem mamy go znać?

- Pamiętasz, jak były małe? Zналиśmy ich wszystkich przyjaciół.

- Tak, i pamiętam także, jak nie mogliśmy spać z powodu ich wrzasków i ryków. Wychodzę.

- Dobrze, trzymaj się - rzucił bezbarwnym głosem.

- Wszystko w porządku, Aidanie?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Co to za odpowiedź? Nie ma sensu pytać cię o cokolwiek, jeśli reagujesz w ten sposób.

- Mówię poważnie. Czy to cię obchodzi?

- Nie, jeśli zamierzasz się nad sobą użalać. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, Aidanie, życie dokucza nie tylko tobie. Dlaczego uważasz, że ty jeden masz problemy?

- Jakie ty masz problemy? Nigdy mi nie mówisz.

- Na litość boską, nie zamierzam ci o nich mówić na trzy minuty przed odjazdem autobusu.

Wyszła.

23

—

Zrobił sobie kawę rozpuszczalną i usiadł przy kuchennym stole. Weszła Brigid. Miała ciemne włosy i tyle samo piegów co on, ale na szczęście rysy drobniejsze. Jej starsza jasnowłosa siostra była podobna do Neli.

- Tato, tak nie można! Ona siedzi w łazience już ponad godzinę! Przyszła do domu o wpół do szóstej, weszła do łazienki o szóstej, a teraz jest prawie siódma. Powiedz jej, żeby mnie wpuściła!

- Nie - rzekł cicho Aidan.

- Jak to, nie? - Brigid była zaskoczona.

Co zwykle mówił? Starał się załagodzić sytuację, przypominając, że prysznic jest też w łazience na dole. Ale dzisiaj nie miał siły ich godzić.

Niech się kłóca, nie zamierza im przerywać.

- Jesteście już dorośle, załatwcie tę sprawę między sobą - oznajmił i przeszedł z kawą do jadalni. Zamknął za sobą drzwi.

Siedział przez chwilę rozglądając się wokół. Ten pokój był świadectwem całego zła, którego doświadczała jego rodzina. Nie siadali wokół

ciemnego stołu do wspólnych posiłków. Przyjaciele i dalsza rodzina nie przysuwali krzesel, by usiąść wygodnie i pogрузić się w ciekawej rozmowie.

Kiedy Grania i Brigid przyprowadzały przyjaciółki, szły z nimi do siebie na górę lub chichotały z Neli w kuchni. Aidan zostawał w pokoju gościnnym i bezmyślnie wpatrywał się w telewizor. Nawet własny kąt, w którym czułby się spokojnie, niewiele by zmienił.

W sklepie z używanymi meblami zauważył kiedyś wspaniałe biurko z otwieranym blatem, które wprost prosiło się o to, by przy nim siąść i pisać.

Miałby w pokoju świeże kwiaty, których piękno zawsze cieszyło jego oczy, i z radością zmieniałby im codziennie wodę, choć Neli nie znosiła tego zajęcia.

W ciągu dnia do pokoju wpadało przyjemne światło, czego nigdy nie zauważyli. Może wstawiłby tu sofę czy fotel i zawiesił ciężkie, udrapowane zasłony. Mógłby siadać i czytać, zapraszać przyjaciół

czy kogokolwiek. Dla rodziny już nie istniał. Musi wreszcie to zrozumieć i przestać się łudzić, że coś się zmieni.

Ściana zapełniłaby się książkami albo kasetami, jeśli zdobędzie odtwarzacz do płyt kompaktowych. A może go wcale nie kupi, przecież nie musi już konkurować z Tonym O'Brienem. Na ścianach zawiesi obrazy, zdjęcia fresków z Florencji albo te wdzięczne popiersia Leonarda da Vinci. Będzie słuchał arii operowych i czytał artykuły o słynnych operach. Ma inne życie, jak twierdził pan Walsh. Czas najwyższy, żeby je rozpocząć. Tamto życie minęło. Małżeństwo z Mountainview właśnie się zakończyło. Siedział grzejąc dłonie o filiżankę kawy. Pokój był zimny, coś będzie musiał z tym zrobić. Trzeba także dokupić lampy, ostre górne oświetlenie nie rzucało żadnych cieni, nie dawało nastroju.

Usłyszał pukanie. W drzwiach stanęła jego jasnowłosa córka Grania, gotowa do wyjścia na randkę.

- Dobrze się czujesz, tato? - spytała. - Brigid powiedziała, że dziwnie się zachowujesz. Nie jesteś chory?

- Nie, nic mi nie jest - odparł, ale jego głos dochodził jakby z oddali. Jeśli jemu tak się wydawało, to tym bardziej Grani. Zmusił się do uśmiechu. -

Jakieś miłe spotkanie?

Uspokoiła się widząc, że ojciec mówi jak dawniej.

- Nie wiem, spotkałam cudownego faceta, kiedyś ci o nim opowiem. -

Twarz miała pogodną i ujmującą. Dawno jej takiej nie widział.

- Powiedz mi teraz - poprosił. Poruszyła się nerwowo.

- Jeszcze nie mogę, muszę zobaczyć, jak się sprawy rozwiną. Jeśli będzie coś do opowiadania, ty pierwszy się dowiesz.

Poczuł nieznośny smutek. Ta dziewczyna, której dłonie trzymał w swoich tak wiele razy, która śmiała się z jego dowcipów i uważała go za najmądrzejszego człowieka na świecie, teraz nie mogła się doczekać, by odejść.

- Dobrze, idź już - powiedział.

- Nie siedź tak, tato. Zimno tu i nieprzyjemnie. Chciał powiedzieć, że wszędzie jest mu zimno i nieprzyjemnie, ale się powstrzymał.

- Baw się dobrze - rzekł.

Wrócił do pokoju gościnnego i usiadł przed telewizorem.

- Co chcesz oglądać? - spytał.

- A co ty byś chciał, tato?

Ten cios był dla niego boleśniejszy niż przypuszczał, najwyraźniej obie dostrzegły na jego twarzy głębokie rozczarowanie i poczucie krzywdy.

Spojrzał na swoją młodszą córkę, na jej piegowatą twarz, duże brązowe oczy, tak mu drogie, tak kochane i znajome od samego początku, gdy była jeszcze w wózku. Zwykle odnosiła się do niego ze zniecierpliwieniem, dziś spoglądała jak na pacjenta na szpitalnym łóżku, z wyrazem współczucia, jakim obdarza się zupełnie obcą osobę, przechodzącą ciężkie chwile.

Siedzieli tak razem aż do jedenastej w nocy wpatrzeni w programy, których żadne z nich nie chciało oglądać - jedynie z chęci sprawienia przyjemności drugiej osobie.

Neli wróciła o pierwszej, gdy Aidan leżał już w łóżku. Światła były pogaszone, ale jeszcze nie spał. Słyszał podjeżdżającą taksówkę.

Wynajmowali ją wtedy, gdy Neli pracowała na nocną zmianę.

Cicho weszła do pokoju. Poczuł zapach pasty do zębów i talku, więc umyła się pewnie w łazience na dole, żeby nie hałasować przy umywalce w sypialni. Obok łóżka miała lampkę nocną, ze światłem tak skierowanym, by nie raziło go w oczy, gdy czytała. Tyle razy leżał

nieruchomo wsłuchując się w szelest przekładanych kartek. Żadna rozmowa nie była dla niej równie interesująca jak książki, które czytała ona, jej przyjaciółki i siostry, więc i teraz postanowił się nie odzywać.

Milczał nawet dzisiaj, gdy ścisnęło mu się serce i pragnął wziąć ją w ramiona, by się wypłakać przytulony do jej delikatnej, pachnącej skóry, by się wyzalić na Tony'ego O'Briena, który miał objąć stanowisko dyrektora, gdyż był bardziej postępowy, cokolwiek miało to oznaczać. Chciał

powiedzieć, jak mu jest przykro, że musiała iść do pracy i siedzieć w nocy przy kasie obserwując bogatych ludzi, którzy jedzą, upijają się i płacą rachunki. To wszystko, czego matka dwóch dorosłych córek mogła się spodziewać

po poniedziałkowej nocy u boku swojego męża. Ale leżał cicho i słyszał, jak na dalekiej wieży ratusza zegar wybija godziny.

O drugiej Neli z lekkim westchnieniem odłożyła książkę i ułożyła się do snu, tak daleko na swojej połowie łóżka, jakby spała w drugim pokoju.

Gdy zegar wybił czwartą, Aidan uświadomił sobie, że Grania będzie miała tylko trzy godziny snu przed pójściem do pracy.

Nic jednak nie mógł zrobić. Było zupełnie jasne, że dziewczynki żyją własnym życiem, nie zadawali im żadnych pytań, nie wtrącali się. Nie podobało mu się, że poszły do Towarzystwa Planowania Rodziny, ale pogodził się z tym. Przynajmniej miał pewność, że dziewczynki umieją się zabezpieczyć. Wracały do domu, kiedy chciały, a jeśli nie wracały, dzwoniły rano o ósmej informując, że przenocowały u przyjaciółki. Było to uprzejme kłamstewko, pod którym kryło się Bóg wie co. Neli uważała, że często rzeczywiście tak się dzieje, i właściwie wołała, żeby nocowały poza domem niż miały ryzykować podwiezienie przez kogoś pijanego czy czekać o świcie na rzadko kursujące o tej porze taksówki.

Mimo to Aidan poczuł ulgę, słysząc cichy trzask zamykanych drzwi i odgłos kroków na schodach. W jej wieku jakoś przetrwa dzień tylko po trzech godzinach snu. I tak będzie lepsza o trzy godziny od niego.

Przez głowę przebiegały mu niestworzone pomysły. Zrezygnuje z pracy w szkole na znak protestu. Bez trudu dostanie posadę w prywatnym college'u, na przykład w Sixth Year College. Aidan jako nauczyciel łaciny na pewno będzie potrzebny, na wielu kierunkach wymagano znajomości tego języka. Odwoła się do zarządu szkoły, przedstawi listę swoich dokonań, godzin, które poświęcił, by wsławić imię szkoły. Przypomni o swoich znajomościach na wyższych uczelniach, skąd przysyłano wykładowców informujących o kierunkach studiów, i kwalifikacjach przyszłych studentów.

Nie mówiąc tego wprost, pokaże, że Tony O'Brien to element destrukcyjny, że użycie przemocy wobec byłego ucznia na terenie szkoły stanowi najgorszy sygnał dla tych,

27

którzy pójda w jego ślady. Albo wyśle anonimowy list do członków zarządu, do miłego księdza o otwartym spojrzeniu i raczej poważnej zakonnicy, którzy mogą nie mieć pojęcia o chwiejnych zasadach moralnych Tony'ego O'Briena. A może zorganizuje grupę rodziców, która przeciwstawi się decyzji? Możliwości miał mnóstwo.

A gdyby jednak zgodził się z panem Walshem, że ma w życiu inny cel poza szkołą, gdyby przemeblował jadalnię i stworzył z niej sobie ostoję chroniącą przed wszystkimi rozczarowaniami, jakie napotkał w swoim życiu? Czuł się, jakby w nocy ktoś położył mu na głowę ołowiany ciężar, ale ponieważ nie zmrużył nawet oka, wiedział, że nic takiego się nie stało.

Golił się uważnie. Przecież nie pojawi się w szkole z twarzą oklejoną plastrami. Rozejrzał się po łazience, jakby widział ją po raz pierwszy.

Wszędzie na wolnych miejscach na ścianie wisiały zdjęcia Wenecji, duże, błyszczące reprodukcje Turnera, które kupił w Tate Gallery. Gdy dziewczynki były małe, nazywały łazienkę Wenecją. Teraz pewnie w ogóle nie zauważały zdjęć, które stały się czymś w rodzaju niewidocznej tapety.

Dotknął ich ręką. Zastanawiał się, czy pojedzie jeszcze kiedyś do Włoch.

Jako młody człowiek odwiedził to miejsce dwa razy, a potem razem z Neli spędzili tam miesiąc miodowy i Aidan oprowadzał ją po swojej Wenecji, swoim Rzymie, swojej Florencji, swojej Sienie. Przeżyli cudowne chwile, ale już nigdy tam nie wrócili. Gdy dzieci były małe, nie mieli czasu albo pieniędzy, a później... cóż... Z kim teraz miałby pojechać? Gdyby wyjechał

sam, to jakby się do czegoś przyznał. Jednak w przyszłości może trzeba będzie tak zrobić, a jego dusza z pewnością nie jest na tyle martwa, żeby nie móc chłonąć piękna Włoch.

Gdzieś po drodze umówili się, że nie będą rozmawiać przy śniadaniu.

Zwyczaj jako taki okazał się wcale niezły. Ekspres do kawy stał gotowy o ósmej, radio było włączone na wiadomości. Na kolorowej włoskiej paterze na stole leżały grejpfruty. Każdy brał sobie jednego i sam wyciskał sok.

Obok koszyk z pieczywem i elektryczny toster na tacy ozdobionej zdjęciem Fontanny di Trevi.
Prezent od Neli na 28

jego czterdzieste urodziny. O ósmej dwadzieścia Aidan i dziewczynki wychodzili z domu. Kubki i talerze zostawiali w zlewie, aby ułatwić sprzątanie.

Żona nie miała z nim złego życia, pomyślał Aidan. Dotrzymał danych obietnic. Dom nie był elegancki, ale ogrzewany, było w nim wiele różnych przydatnych urządzeń. Aidan płacił trzy razy do roku za mycie okien, co dwa lata za pranie dywanów i co trzy lata za malowanie domu z zewnątrz.

Przestań myśleć w ten małostkowy, urzędniczy sposób, upomniał sam siebie i siłą przywołując na twarz uśmiech, zaczął się przygotowywać do wyjścia.

- Miło spędziłaś wczorajszy wieczór, Grania? - spytał.

- Tak, w porządku. - W jej głosie nie było tej nutki wahania, obawy przed zwierzeniami o zeszłej nocy. Ani zastanawiania się, czy komuś można zaufać, czy nie.

- To dobrze. - Skinął głową. Spojrzał na Neli. - Dużo było ludzi w restauracji?

- Jak zwykle w poniedziałkową noc, nic specjalnego - odpowiedziała.

Mówiła życzliwie, ale jak do nieznajomego spotkanego w autobusie.

Aidan chwycił swoją teczkę i wyszedł do pracy. Do swojej kochanki, Mountainview College. Co za dziwny pomysł. Tego ranka z pewnością nie była ponętna.

Przez chwilę stał przed bramą prowadzącą na szkolne boisko, scenę haniebną i brutalną walki między Tony O'Brienem i tamtym chłopcem, któremu połamał żebra i któremu trzeba było zszywać rany nad okiem i wargą. Śmieci fruwały w podmuchach porannego wiatru. Przechowalnia rowerów wymagała odnowienia, rowery stały bezładnie. Przy szkole znajdował się przystanek autobusowy, niczym nie osłonięty od wiatru.

Jeśli przedsiębiorstwo autobusowe Eireann nie zadba o zbudowanie wiaty dla dzieci czekających na autobus do domu, będzie musiał się tym zająć Ochotniczy Komitet Edukacyjny, a jeśli i ten odmówi, zbieranie funduszy spadnie na komitet rodzicielski. Takimi właśnie sprawami zamierzał zająć się Aidan Dunne, gdyby został dyrektorem. Oto rzeczy, które już nigdy nie będą zrobione.

29

Chłodno skinął witającym go uczniom, zamiast jak zwykle zwrócić się do nich po imieniu, i poszedł do pokoju nauczycielskiego. Został tam jedynie Tony'ego O'Briena, który mieszał w szklance z wodą rozpuszczalną tabletkę od bólu głowy.

- Jestem już za stary na takie całonocne zabawy - zwierzył się Aidanowi.

Aidan bardzo chciał go zapytać, dlaczego w takim razie z tym nie skończy, ale byłoby to bezproduktywne. Nie mógł teraz popełnić żadnego błędu, aż do czasu, gdy ustalą plan działania. Powinien się zachowywać w zwykły miły sposób.

- No cóż, sama praca, bez możliwości zabawienia się... Ale Tony O'Brien nie był w nastroju do wysłuchiwania

banalów.

- Czterdzieści pięć lat na karku to coś w rodzaju punktu zwrotnego, połowa dziewięćdziesiątki, o czymś to świadczy. Niektórzy z nas tego nie widzą. - Opróżnił szklankę i otarł usta.

- A było warto? Chodzi mi o wczorajszą noc.

- A któż to wie, Aidanie. Poznałem miłą dziewczynę, ale co z tego, jeśli teraz muszę się zmierzyć z czwartą klasą. - Potrząsnął głową jak pies, który otrząsa się po wyjściu z wody.

I ten facet miałby kierować Mountainview College przez następne dwadzieścia lat, podczas gdy biedny pan Dunne mógłby się temu tylko przyglądać. Tony O'Brien klepnął go mocno po ramieniu.

- Cóż, ave atque vale, jak mówicie wy, łacinnicy. Muszę iść, zostało mi jeszcze cztery godziny i trzy minuty, zanim stanę z ożywczą butelką piwa w rękę.

Aidan nie spodziewał się, że Tony O'Brien zna ten łaciński zwrot pożegnalny. Sam starał się nie używać łacińskich słów w pokoju nauczycielskim, wiedząc, że większość kolegów nie zna tego

języka, a nie chciał się z tym obnosić. Cóż, nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika.

Minał kolejny dzień, podobny do innych, choć Tony O'Brien miał kaca, a Aidan Dunne złamane serce. Aidan wciąż nie ustalił żadnego konkretnego planu działania. Nie

mógł znaleźć odpowiedniej chwili, żeby powiedzieć w domu o rozwianych nadziejach na posadę dyrektora. W duchu sądził, że łatwiej będzie mu milczeć do czasu oficjalnego ogłoszenia nominacji, gdy dla każdego stanie się ona niespodzianką.

Nie zapomniał jednak o przygotowaniu swojego gabinetu. Sprzedał stół

jadalny, krzesła i kupił małe biurko. Gdy żona szła do pracy w restauracji Quentin, a córki na randki, siadał i zastanawiał się, jak go urządzić.

Stopniowo realizował swoje marzenie: kupił używane ramy do obrazów, niski stolik pod okno i tanią, dużą sofę, która dobrze komponowała się z całością. Z czasem sprawi sobie narzutę, w słonecznym żółtozłotym kolorze i kwadratowy dywan, melanz innych żywych barw, na przykład pomarańczowej

i fioletowej.

Dokonywane zmiany nie wzbudziły większego zainteresowania rodziny, więc nie poruszał tego tematu. Miał wrażenie, że żona i córki traktowały je jako kolejne nieszkodliwe hobby, tak jak wcześniej układanie programu dla ostatniego roku czy długą walkę o zdobycie kilku metrów gruntu na założenie w Mountainview naturalnego ogródka z fauną i florą.

* * *

- Co nowego w wyścigu do dyrektorskiego fotela? - spytała niespodziewanie Neli pewnego wieczoru, kiedy całą czwórką siedzieli przy stole.

Poczuł skurcz w sercu.

- Martwa cisza - skłamał. - Ale w przyszłym tygodniu ma się odbyć głosowanie.

Wydawał się zupełnie spokojny.

- Należy ci się. Stary Walsh cię popiera - zauważyła Neli.

- Tak się składa, że on nie ma prawa głosu, więc to jest bez znaczenia. -

Aidan zaśmiał się nerwowo.

- Ale otrzymasz tę posadę, tato? - upewniała się Brigid.

- Nigdy nic nie wiadomo. Teraz wymaga się czego innego od dyrektorów.

Ja jestem zbyt powolny i zachowawczy. Może im to nie odpowiadać. -

chciał pokazać, że niewiele od niego zależy, ale i tak wynik go nie obchodzi.

- W takim razie kogo innego mogą wybrać? - zainteresowała się Grania.

- Nie jestem przecież jasnowidzem. Kogoś z zewnątrz albo kogoś, kogo znamy, ale o kim nie pomyśleliśmy... - Mówił pogodnie, ze spokojem.

Stanowisko obejmie po prostu najlepszy, mężczyzna albo kobieta.

- Ale chyba nie myślisz, że cię pominą? - spytała Neli.

Było w jej głosie coś, co go zdenerwowało, jakby nie dopuszczała myśli, że może mu się nie udać. To słowo „pominą”, takie lekceważące, bolesne.

Ale nie wiedziała, nie domyślała się, że to się już stało.

Aidan zmusił się do uśmiechu, aby wyglądać pewniej.

- Pominąć? Mnie? Nigdy! - wykrzyknął.

- To rozumiem, tato - pochwaliła Grania i udała się na górę do łazienki, w której nie dostrzegła już pięknych widoków z Wenecji na ścianie, tylko swoją twarz i wypisany na niej niepokój, czy dobrze będzie wyglądała dzisiejszego wieczoru, jakkolwiek go sobie zaplanowała.

* * *

To była ich szósta randka. Grania wiedziała na pewno, że nie jest żonaty.

Zadała mu wystarczająco dużo pytań, żeby go rozszyfrować. Każdej nocy zapraszał ją do siebie na kawę. Każdej nocy mu odmawiała. Ale dzisiaj zrobi inaczej. Podobał się jej. Był taki mądry, o wiele bardziej interesujący niż jej rówieśnicy. Nie prowadził hulawczego trybu życia, typowego dla panów w średnim wieku, którzy udają, że są o dwadzieścia lat młodszy.

Był tylko jeden problem. Tony pracował w szkole taty. Gdy spotkali się po raz pierwszy, spytała, czy zna Aidana Dunna, ale nie wyjawiała, że to jej ojciec. Czułaby się skrępowana, dając mu w ten sposób odczuć, że należy do innego pokolenia. A ponieważ wokół mieszkało wielu Dunne'ów, Tony nie powiązał ich ze sobą. Nie było sensu wspominać o tym tacie, nie w tej chwili, poczeka, aż coś się z tego rozwinie. Jeśli zaczną spotykać się na serio, wszystko się wyjaśni, ułoży i fakt, że Tony pracuje w tej samej 32

szkole co tata, będzie bez znaczenia. Grania zrobiła głupią minę do swego odbicia w lustrze, gdy wpadło jej do głowy, że może Tony byłby dla niej miłszy, gdyby się dowiedział, że jest córką dyrektora.

Tony siedział w barze zaciągając się papierosem. To jedna z rzeczy, z którymi będzie musiał skończyć, gdy zostanie dyrektorem. Koniec z paleniem na terenie szkoły. I może mniej piwa w czasie lunchu. Nikt mu tego wprost nie powiedział, ale sygnały były. Głośne. To niewygórowana cena za dobrą posadę. I nie zamierzali się wtrącać do życia prywatnego.

Może to wciąż jest święta katolicka Irlandia, ale jednak w latach dziewięćdziesiątych.

I niezwykłym zbiegiem okoliczności poznał dziewczynę, która naprawdę go zaintrygowała. Istniała szansa, że pozostanie w jego umyśle dłużej niż przez kilka tygodni. Bystra, energiczna dziewczyna imieniem Grania, urzędniczka bankowa. Niezwykle inteligentna, ale łagodna i wielkoduszna.

O ujmującej powierzchowności. Rzadko zdarza się takie połączenie. Miała dwadzieścia jeden lat, co oczywiście było pewnym problemem. To mniej niż połowa jego wieku, ale nie zawsze tak będzie. Kiedy on skończy sześćdziesiąt, ona będzie miała trzydzieści pięć, a to już połowa siedemdziesięciu. Cały czas będzie go doganiała.

Nie dała się zaprosić do domu, ale była z nim szczerą. Nie obawiała się seksu, tylko po prostu nie czuła się jeszcze gotowa, to wszystko. I jeśli zamierzali kontynuować znajomość, będą musieli traktować się z szacunkiem i nie zmuszać wzajemnie do niczego. Zgodził się, że układ jest uczciwy. Rzeczywiście. Zwykle takie stwierdzenie przyjąłby jak wyzwanie, ale nie w wypadku Grani. Chętnie poczeka. Zapewniała go, że nie prowadzi żadnej gry.

Zobaczył, jak wchodzi do baru, i poczuł się lekki i szczęśliwy jak nigdy dotąd. On także nie zamierzał się z nią bawić.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział. - Cieszę się, że zrobiłaś to dla mnie.

Doceniam to.

- Zaslługujesz na to - odrzekła po prostu.

33

Pili, rozmawiali i śmiali się, uważnie słuchając jedno drugiego, jak ludzie, którzy dobrze się znają.

- Dziś wieczorem możemy wybierać, jak spędzić czas -oznajmił Tony O'Brien. - W jednym z hoteli odbywa się wieczór Nowego Orleanu, no wiesz, kreolskie potrawy i jazz, możemy także pójść na film, o którym mówiliśmy wczoraj... albo mogę ugotować coś dla ciebie w domu. Pokażę ci, jaki ze mnie świetny kucharz.

Grania zaśmiała się.

- Mam ci uwierzyć, że umiesz robić chińskie „won ton” i kaczkę po pekińsku? Pamiętam, jak wspominałaś coś o chińskiej restauracji obok twojego domu.

- Jeśli przyjdiesz, ugotuję sam, specjalnie dla ciebie. Aby ci pokazać, ile dla mnie znaczysz. I będzie to potrawa, jakiej nigdy nie znajdziesz w karcie dań. - Tony O'Brien od dawna nie rozmawiał z nikim tak szczerze.

- Przyjdę do ciebie z radością - powiedziała krótko.

Aidan nie spał dobrze i regularnie się budził. Zanim wstał świt, leżał już całkiem rozbudzony, zupełnie przytomny. Jedyne, co mu zostało, to słowo zgrzybiałego dyrektora, który zagubił się w niezrozumiałym dla siebie świecie. Głosowanie jeszcze się nie odbyło, nie trzeba się martwić, robić sobie wyrzutów, podejmować niepewnych działań czy porzucać kariery...

cóż, może dzień nie zapowiada się tak źle.

Porozmawia z panem Walshem i spyta go krótko i bez ogródek, czy uwagi przekazane mu kilka dni temu miały jakieś znaczenie, czy też były jedynie spekulacjami. Przecież jako niegłosujący członek zarządu równie dobrze mógł nic nie wiedzieć o jego postanowieniach. Powie krótko. Czasem mówił zbyt rozwlekle, to była jego wada. Ale tym razem wyrazi się nad wyraz jasno. Jak zrobiłby Horacy? Miał odpowiedź na każdą okoliczność.

Brevis esse aboro ob-scurus fio. Im bardziej staramy się być rzeczowi, tym bardziej stajemy się niezrozumiali. W kuchni Brigid i Neli wymieniły między sobą spojrzenia i wzruszyły ramionami, gdy usłyszały jego pogwizdywanie. Nie szło mu najlepiej, ale nikt nie pamiętał, kiedy robił to ostatnim razem.

Tuż po ósmej zadzwonił telefon.

- Zgaduj zgadula - mruknęła Brigid, sięgając po kolejną grzanekę.

- Na Grani można polegać, zresztą na was obu - zauważyła Neli i poszła odebrać telefon.

Aidan zastanawiał się, czy rzeczywiście można polegać na córce, która zostaje na noc z mężczyzną określonym przez jej siostrę jako epokowy kandydat. O którym jeszcze w zeszłym tygodniu mówiła z wahaniem, pełna nieufności. Jednak Aidan milczał. Patrzył na Neli.

- Oczywiście, dobrze. Masz ubranie do pracy, czy przyjdiesz się przebrać? Wzięłaś sweter? Świetnie. Dobra, całuję, do zobaczenia wieczorem.

- I co się stało? - spytał Aidan.

- Aidan, nie zaczynaj od początku. Zgodziliśmy się, że lepiej, by Grania nocowała u Fiony w mieście, niż miałyby szukać niepewnych okazji.

Skinął głową. Żadne z nich nawet przez chwilę nie myślało, że Grania nocowała u Fiony.

* * *

- Były problemy? - spytał Tony.

- Mówiłam ci, że traktują mnie poważnie.

- Tak jak ja, tylko w inny sposób. - Wyciągnął do niej rękę. Siedziała na brzegu łóżka.

- Nie, Tony, musimy iść do pracy. Ja do banku, ty do Mountainview.

Spodobało mu się, że zapamiętała nazwę miejsca, gdzie pracował.

- Ja nie muszę się przejmować, atmosfera jest dość luźna, pozwalają robić nauczycielom to, na co mają ochotę.

Zaśmiała się.

- Nieprawda, nie ma w tym cienia prawdy. Wstawaj i bierz prysznic.

Wstawię kawę. Gdzie masz jakiś ekspres do parzenia kawy?

- Przykro mi, mam tylko rozpuszczalną.

- Niestety, to zupełnie nie w moim stylu, panie O'Brien - zażartowała, kręcąc głową z dezaprobatą. - Wiele trzeba zmienić, jeśli mam się tu pojawiać.

- Miałem nadzieję, że pojawisz się dziś wieczór - powiedział cicho.

Ich oczy spotkały się. To nie był podstęp.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że poczęstujesz mnie dobrą kawą - odrzekła.

- Załatwione.

Grania jadła tosty, Tony palił papierosy.

- Powinieneś ograniczyć palenie. W nocy słyszałam, jak sapiesz.

- To z namiętności - powiedział.

- Nie, od papierosów - odparła stanowczo.

Może... może ta młoda, inteligentna, żywa dziewczyna sprawi, że on rzuci palenie? Wystarczyło, że był tyle od niej starszy, nie chciał jeszcze na dodatek sapać.

- Mógłbym być innym człowiekiem, wiesz? - powiedział poważnie. - W

życiu zawodowym czeka mnie wiele zmian, ale najważniejsze, że dzięki tobie może uda mi się zmienić coś w życiu prywatnym, choćby pozbyć się nałogów.

- Pomogę ci, wierz mi - zapewniła Grania i wyciągnęła do niego rękę. - I ty możesz mi pomóc. Utrzymując mój umysł w stanie ciągłego napięcia.

Odkąd skończyłam szkołę, nie przeczytałam żadnej książki. Chcę znowu czytać.

- Uważam, że powinniśmy oboje wziąć dzień urlopu, aby się umocnić w naszych postanowieniach - oznajmił pół żartem, pół serio.

- No, no, w przyszłym semestrze nie przyjdzie ci to do głowy - zaśmiała się.

- Dlaczego w przyszłym semestrze? - Skąd wiedziała o jego awansie?

Sprawę znał tylko zarząd. Wszystko miało być trzymane w ścisłej tajemnicy aż do oficjalnego głosowania.

Grania nie zamierzała mu jeszcze mówić, że jej ojciec uczy w tej samej szkole, ale po tym, co się zdarzyło, dalsze ukrywanie prawdy nie miało sensu. Kiedyś i tak wszystko wyjdzie na jaw, a poza tym była dumna z taty i jego przyszłej posady.

- Cóż, będziesz musiał starać się przypodobać memu ojcu, gdyż niedługo zostanie dyrektorem Mountainview.

- Kim zostanie?!

36

- Dyrektorem. To na razie tajemnica, do czasu głosowania w przyszłym tygodniu, ale wszyscy się tego spodziewają.

- Jak się nazywa twój ojciec?

- Tak jak ja, Dunne, nauczyciel łaciny, Aidan Dunne. Pamiętasz, podczas pierwszego spotkania zapytałam cię, czy go znasz?

- Nie mówiłaś, że to twój ojciec.

- Straszny był wtedy tłok i nie chciałam wyjść na smarkulę. A później to nie miało znaczenia.

- O mój Boże! - Tony O'Brien nie wyglądał na zadowolonego.

Grania zagryzła wargi żałując, że w ogóle o tym wspomniała.

- Proszę, nie mów mu, że o tym wiesz, dobrze?

- Powiedział ci, że zostanie dyrektorem? - Tony nie mógł dojść do siebie. -

Kiedy? Kiedy ci o tym powiedział? Dawno?

- Cały czas o tym mówi, ale rozmawialiśmy na ten temat wczoraj wieczorem.

- Wczoraj wieczorem? Nie, musiałaś się pomylić, coś źle zrozumiałaś!

- Ależ skąd. To było tuż przed moim przyjściem tutaj.

- Czy on wiedział, że zamierzasz spotkać się ze mną? - Twarz Tony'ego przybrała niemal dziki wyraz.

- Nie. Tony, o co ci chodzi?

Chwycił jej rękę w swoje i zaczął mówić wolno i wyraźnie:

- To najważniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałem w całym moim życiu. Całym życiu, Grania. Nie wolno ci nigdy, nigdy powtórzyć swemu ojcu tego, co mi przed chwilą powiedziałaś! Nigdy!

Zaśmiała się nerwowo, próbując uwolnić rękę.

- Daj spokój, zachowujesz się jak w melodramacie.

- Bo częściowo tak jest, wierz mi.

- Mam nigdy nie mówić ojcu, że cię poznałam, że mi się podobasz?! To ma być związek? - Oczy jej płonęły.

- Ależ nie, oczywiście, że mu powiemy. Tylko później, trochę później; najpierw muszę z nim porozmawiać.

- Ze mną nie możesz?

37

- Nie mogę. Jeśli na tym świecie istnieje jeszcze godność, to musisz mi zaufać i uwierzyć, że pragnę tylko twojego dobra, jak najlepiej rozumianego dobra.

- Jak mam ci wierzyć, jeśli nie chcesz mi wyjawić, co to za tajemnica?

- Chodzi o wiarę i zaufanie.

- Chodzi o ukrywanie czegoś przede mną, a ja tego nie znoszę.

- Co masz do stracenia, Grania? Posłuchaj, dwa tygodnie temu nawet się nie znaliśmy, teraz wydaje się nam, że się kochamy. Daj mi parę dni, żebym coś wyjaśnił. - Wstał i zaczął wkładać marynarkę. Jak na kogoś, kto twierdził, że w Mountainview panuje luźna atmosfera i nieważne, kiedy się pojawi, strasznie się spieszył.

* * *

Aidan Dunne siedział w pokoju nauczycielskim. Był wyraźnie zdenerwowany, nawet rozgorączkowany. Oczy błyszczały mu nienaturalnie. Czyżby cierpiał na jakieś halucynacje? A może podejrzewał, że córka została uwiedziona przez mężczyznę w jego wieku i do tego dziesięciokrotnie bardziej nieodpowiedzialnego?

- Aidanie, mam do pana niezwykle pilną sprawę - rzekł przyciszonym głosem Tony O'Brien.

- Może po szkole, Tony...

- Nie, teraz. Chodźmy do biblioteki.

- Za pięć minut będzie dzwonek.

- Do diabła z dzwonkiem. - Tony złapał go za rękę i nieomal siłą wyciągnął z pokoju.

W bibliotece siedziały dwie uczennice z szóstej klasy. Spojrzały na nich zdziwione.

- Proszę wyjść! - rozkazał Tony głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Jedna próbowała zaprotestować.

- Ale my się tu uczymy, szukałyśmy...

- Nie będę powtarzał! Tym razem do nich dotarło.

- Nie pochwalam pańskiego zachowania. Powinniśmy zachęcać dzieci, przyprowadzać je do biblioteki, na litość boską, 38

a nie wyrzucać za drzwi, jak byśmy byli bramkarzami w klubach nocnych, do których pan chadza. Jaki pan im daje przykład?

- Nie jesteśmy tu po to, by dawać im przykład, ale by je uczyć. Wkładać im do głów informacje. To wszystko.

Aidan spojrzał na niego przerażony. Po chwili odezwał

się:

- Byłbym wdzięczny, gdyby o tej porze, zresztą o każdej porze, oszczędził

mi pan wykładów na temat pańskiej skacowanej filozofii. Proszę mi pozwolić wrócić do klasy.

- Aidanie. - Głos Tony'ego się zmienił. - Niech mnie pan posłucha.

Niedługo zostanę dyrektorem. Ogłoszą to w przyszłym tygodniu, ale myślę, że lepiej, gdy usłyszysz to pan ode

mnie już teraz.

- Co... co? Dlaczego pan to robi? - Aidan poczuł się, jakby dostał cios w brzuch. To stało się za wcześnie, nie był jeszcze przygotowany. Nie ma żadnego dowodu. Nic jeszcze oficjalnie nie zostało ogłoszone.

- Aby wybić panu z głowy cały ten nonsens, żeby nie żył pan wiarą, że to pan dostanie tę posadę... i ranił siebie i innych. Dlatego to robię.

Aidan spojrzał mu prosto w oczy.

- Przypuśćmy, że ma pan ten fotel. I co? Pierwszą reakcją jest zaciągnięcie mnie tutaj i natrząsanie się ze mnie?... Pan, który nie poświęciłby nawet złamanego grosza dla dobra Mountainview, ma dostać to stanowisko? Nie ma pan godności? Nie może pan poczekać, aż zarząd oficjalnie przedstawi panu propozycję, zanim zacznie się pan tym chwalić? Taki pan cholernie pewny, tak chętny...?

- Aidan, nie wierzę, żeby naprawdę myślał pan o tej posadzie poważnie.

Czy ten stary Walsh nic panu nie powiedział? Wszyscy myśleli, że coś o tym wspominał, właściwie potwierdził, że pana poinformował.

- Tak, oświadczył, że prawdopodobnie pan zostanie dyrektorem, i muszę dodać, że będzie mu z tego powodu bardzo przykro.

Jakieś dziecko wsadziło głowę przez drzwi i zaskoczone zaczęło się wpatrywać w dwóch poczerwieniałych z wściekłości nauczycieli, stojących naprzeciw siebie.

39

Tony O'Brien wrzasnął tak, że dziecko aż podskoczyło.

- Wynoś się stąd i nie przeszkadzaj! Wracaj do klasy! Poblady uczeń spojrzał na Aidana szukając potwierdzenia.

- Idź, Declan. Powiedz, żeby klasa otworzyła Wergiliusza, zaraz przychodzę.

Drzwi się zamknęły.

- Zna pan ich wszystkich po imieniu - zauważył Tony.

- A pan chyba nikogo - odrzekł zimno Aidan.

- Dyrektor wcale nie ma być miłym, przyjacielskim facetem.

- Najwyraźniej nie - zgodził się Aidan. Uspokoili się nieco, złość i podniecenie opadły.

- Będę pana potrzebował, Aidanie, by to miejsce nie zeszło całkiem na psy.

Ale Aidan stał sztywno, rozczarowany i upokorzony.

- Prosi pan o zbyt wiele. Umiem godzić się z porażkami, ale tego nie mogę zrobić. Nie mógłbym tu zostać, nie teraz.

- Więc czym pan się zajmie, na Boga?

- Nie jestem jeszcze skończony, są miejsca, gdzie przyjmą mnie z otwartymi rękami, chociaż nie tutaj.

- Ależ wszyscy na pana liczą, głupcze! Jest pan podporą Mountainview, dobrze pan o tym wie!

- Ale nie wystarczająco mocną, żeby zostać dyrektorem.

- Czy muszę panu wszystko wyłożyć szczegółowo? Wymogi stawiane dyrektorowi są teraz inne. Nie potrzeba nam świątłego kaznodziei, ale kogoś przebojowego, kto potrafi się wyklócać w urzędach, w ministerstwie edukacji, wezwać straż miejską w przypadku wandalizmu czy narkotyków, kto poradzi sobie z rodzicami, gdy ci nadmiernie się skarżą.

- Nie mógłbym pracować u pana, Tony. Nie szanuję pana jako nauczyciela.

- Nie musi pan mnie szanować jako nauczyciela.

- Owszem, muszę. Nie mógłbym patrzeć, jak zmienia pan pewne rzeczy, zapominając o innych.

- To znaczy jakie, niech mi pan poda chociaż jeden przykład! Teraz, w tej chwili. O czym pan myślał, przekraczając szkolną bramę... co zrobiłby pan jako dyrektor, proszę wymienić jedną rzecz!

- Pomalowałbym budynek, jest brudny i odrapany...

- Dobra, trafiony. Ja zrobiłbym to samo.

- Zwyczajne gadanie.

- Nie, Aidanie, nie żadne gadanie, ale dużo więcej. Ja wiem, jak się do tego zabrać. Pan nie miałby pojęcia, od czego zacząć. Zamierzam poprosić pewnego chłopaka, który pracuje w wieczornej gazecie, żeby przyszedł tu z fotografem i napisał artykuł „Mountainview - wspaniała szkoła”, pokazujący odchodzącą farbę, zardzewiałe parkany, tabliczki z brakującymi literami.

- Ależ to poniżające!

- Skąd! Następnego dnia po ukazaniu się artykułu otrzymam zgodę zarządu na wielki remont. Przedstawimy szczegółowy plan robót, oświadczymy, że prace zostały podjęte, że mamy sponsorów...

przedstawimy wykaz, kto czym się zajmie, wie pan, ogrodami, warsztatami i tak dalej. Lista jest długa na kilometr.

Aidan spuścił wzrok. To prawda, sam nie umiałby stworzyć czegoś takiego, planu, który by zadziałał. W przyszłym roku o tej porze Mountainview ulegnie przeobrażeniom, których on nigdy by nie dokonał.

Poczuł się odarty ze

wszystkiego.

- Nie mógłbym zostać, Tony. Czułbym się przekreślony i zbyt upokorzony.

- Przecież nikt w szkole się nie spodziewał, że to pan zostanie dyrektorem.

- Ale ja się spodziewałem - powiedział Aidan zwyczajnie.

- W takim razie upokorzenie, o którym pan mówi, jest tylko wytworem pańskiej wyobraźni.

-I oczywiście moja rodzina... oni myślą, że awans mam już w kieszeni...

czekają, kiedy będą mogli to uczcić.

Tony O'Brien poczuł ucisk w gardle. Wiedział, że to prawda. Cudowna córka Aidana była bardzo dumna z przyszej posady ojca. Ale nie czas na sentymenty, pora wziąć

się do działania.

- Więc niech pan sprawi, by mieli co świętować.

- Na przykład co?

- Założmy, że nie było żadnego wyścigu o stanowisko dyrektora.

41

Założmy, że będzie pan miał jakąś pozycję w szkole, stworzy pan coś nowego... Co chciałby pan robić?

- Niech pan posłucha. Wiem, że chce pan jak najlepiej, i jestem wdzięczny, ale nie zamierzam się bawić w udawanie.

- Jestem dyrektorem, czy pan tego nie rozumie? Zrobię, co będę chciał, tu nie ma żadnego udawania. Chcę mieć pana po swojej stronie, i to tryskającego entuzjazmem, a nie odgrywającego rolę skrzywdzonej panienki. Proszę mi powiedzieć, jakie miał pan plany po otrzymaniu posady.

- Cóż, i tak pan tego nie zaakceptuje, gdyż sprawa nie wiąże się bezpośrednio ze szkołą, ale myślałem o zorganizowaniu kursu wieczorowego.

- Kursu?

- Mówiłem, że nie będzie pan chciał.

- Nic takiego nie powiedziałem. Co to za kurs?

Dwaj nauczyciele wciąż rozmawiali w bibliotece. Ich uczniowie czekali dziwnie spokojnie. Zwykle w klasach zostawionych samym sobie poziom hałasu przekracza wszelkie dopuszczalne normy. Jednakże, gdy dwie dziewczyny wyrzucone z biblioteki przez pana O'Briena pognały do klasy z wiadomością o tym, co się stało, i opowiedziały, jaką miał minę, wszyscy uznali zgodnie, że nauczyciel geografii wkroczył na wojenną ścieżkę i dopóki nie wróci, lepiej siedzieć cicho. Widzieli go już w stanie furii i woleli nie wchodzić mu w drogę. Declan, który miał przekazać klasie, żeby otworzyła Wergiliusza, powiedział cicho: „Twarze mieli purpurowe i pan Dunne mówił tak, jakby ktoś wbił mu nóż w plecy”.

Patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami. Declan nie należał do chłopców o wybuchającej wyobraźni. Posłusznie wyjęli tekst Wergiliusza. Nie zaczęli go czytać ani tłumaczyć, bo nie dostali takiego polecenia, ale każde dziecko miało otwartą książkę na epopei „Eneida, część czwarta”.

Przestraszeni wpatrywali się w drzwi czekając, że zaraz pojawi się w nich pan Dunne, a z ran na plecach będą mu spływać strugi krwi.

Po południu ogłoszono komunikat. Składał się z dwóch części.

42

We wrześniu rozpocznie się pilotażowy program edukacyjnego kursu dla dorosłych pod kierunkiem Aidana Dunne'a. Obecny dyrektor John Walsh odchodzi na emeryturę, a stanowisko po nim obejmuje Anthony O'Brien.

* * *

W pokoju nauczycielskim gratulacje składano zarówno Tony'emu, jak i Aidanowi. Otwarto dwie butelki wina musującego i kubkami wypito zdrowie wszystkich.

Kurs wieczorowy. Kwestię tę podnoszono już wcześniej, ale nigdy nie udało się go zrealizować. Nienajlepsza lokalizacja, zbyt duża konkurencja ze strony innych ośrodków kształcenia dorosłych, problemy z ogrzewaniem szkoły, potrzeba zatrudnienia po godzinach stróża i w ogóle problem z samofinansowaniem się kursu. Jak to możliwe, że tym razem propozycja nie została odrzucona?

- Najwyraźniej Aidan ich przekonał - podsunął Tony O'Brien nalewając wino do szkolnych kubków.

Trzeba było wracać do domu.

- Nie wiem, co powiedzieć rodzinie - rzekł Aidan do nowego dyrektora.

- Umówiliśmy się. Dostał pan to, czego pragnął, więc proszę iść prosto do żony i córek i o tym opowiedzieć. Bo właśnie tego pan potrzebował. A nie ciągłego użerania się z ludźmi od rana do nocy, a na tym przecież polega praca dyrektora. Niech się pan postara przedstawić to w ten sposób.

- Czy mogę pana o coś zapytać? Jakiego znaczenia ma dla pana sposób przedstawienia tego mojej rodzinie?

- Po prostu. Jest mi pan potrzebny, już to mówiłem. Ale jako człowiek szczęśliwy i zwycięski. A jeśli przyjmie pan rolę rozczulającego się nad sobą cierpiętника, znowu zacznie pan w to wierzyć.

- Może ma pan rację.

- Rodzina będzie się cieszyć pana szczęściem.

Aidan wyszedł za szkolną bramę, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na odłazającą farbę i zardzewiałe zamki. To prawda, że nie wiedziałby, jak się do tego zabrać. Potem przyjrzał się przybudówce, gdzie, jak razem ustalili, miały się odbywać zajęcia kursu wieczorowego. Budynek z osobnym wejściem,

43

szatnią i dwiema dużymi klasami. Idealne miejsce.

Tony to dziwny facet, bez wątplenia. Aidan zaprosił go nawet do siebie, żeby poznał jego rodzinę, ale odmówił. Jeszcze nie teraz. Poczeka do września, aż rozpocznie się nowy semestr.

- Kto wie, co się wydarzy we wrześniu? - rzucił zagadkowo.

Tak, wszystko pasuje do siebie jak dwa lewe buty, ale może to najlepsze, co mogło się zdarzyć w Mountainview.

* * *

Tony odetchnął głęboko. Od dzisiaj będzie palił tylko w gabinecie dyrektora, nigdy na zewnątrz.

Patrzył, jak Aidan otwiera bramę i czule ją głaszcze. To dobry nauczyciel i dobry człowiek. Warto było obiecać mu ten kurs wieczorowy, choć wiedział, co go czeka. Najgorsza brudna robota, walka o zgodę z komisją i zarządem oraz nieustanne przekonywanie, że kurs będzie się sam finansował, kiedy nie było na to najmniejszej szansy.

Tony O'Brien westchnął ciężko. Czy Aidan poradzi sobie w domu? Jeśli nie, jego przyszły związek z Granią Dunne, pierwszą dziewczyną, do której żywił głębokie uczucie, będzie miał kruche podstawy.

- Stało się coś niezwykłego - oświadczył Aidan przy kolacji.

Opowiedział o utworzeniu kursu wieczorowego, o programie pilotażowym, przybudówce, funduszach i powstaniu centrum kultury Włoch i języka włoskiego.

Jego entuzjazm udzielił się pozostałym. Czy porozwiesza w sali zdjęcia, plakaty, mapy? Kogo będzie zapraszał na wykłady? Będą potrawy kuchni włoskiej? A arie operowe? - pytały jedna przez drugą.

- Jak połączysz tę dodatkową pracę z obowiązkami dyrektora? - spytała Neli.

- Och, nie! Będę się zajmował tylko kursem! - zawołał i popatrzył na nie uważnie. Nie dostrzegł zawodu na ich

twarzach. Jego decyzję uznali za najzupełniej rozsądną. Najdziwniejsze, że i on sam zaczął tak myśleć. Może ten zwariowany Tony O'Brien jest inteligentniejszy, niż sądzą inni. Rozmawiali jak prawdziwa rodzina. Jak liczna powinna być klasa? Czy mają uczyć praktycznej znajomości języka, przydatnego turystom podczas zwiedzania Włoch? A może coś ambitniejszego? Aidan odsunął talerze, by móc robić notatki.

Później, jak mu się zdawało, znacznie później, odezwała się Brigid:

- Kto zostanie dyrektorem, jeśli nie ty?

- Nauczyciel geografii, Tony O'Brien, miły gość. Bardzo przyda się w Mountainview.

- Wiedziałam, że nie wybiorą kobiety - mruknęła Neli.

- Chyba były dwie kandydatki, ale możesz mi wierzyć, że posadę otrzymała osoba najbardziej odpowiednia.

Aidan dolał im wina, które kupił dla uczczenia dobrych wieści. Wkrótce przeniesie się do swego gabinetu. Dziś wieczorem dokładnie go wymierzy.

Jeden z nauczycieli, który w wolnym czasie zajmował się stolarką, zrobi półki na książki i małe suszarki na włoskie talerze.

Nikt nie zauważył, że Grania wstała i cicho wyszła z pokoju.

* * *

Siedział w salonie i czekał. Musiała przyjść, żeby mu powiedzieć, jak bardzo go nienawidzi. Jeśli nie coś więcej. Usłyszał dzwonek i Grania stanęła w drzwiach. Oczy miała czerwone od płaczu.

- Kupiłem ekspres do kawy - powiedział. - I dobrą kolumbijską mieszankę.

Może być?

Weszła do środka. Młoda, a jednak niepewna i zagubiona.

- Jesteś draniem, skończonym draniem!

- Nie, nie jestem - powiedział cichym, spokojnym głosem. - Jestem człowiekiem honoru. Musisz mi wierzyć.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? Cały czas się ze mnie śmiałeś, śmiałeś się z mojego ojca, nawet z pomysłu na maszynkę do kawy. Możesz się śmiać do woli. Przyszłam ci powiedzieć, że należysz do ludzi, którzy upadli najniżej,

i mam nadzieję, że jesteś najgorszym, jakiego spotkałam. Mam nadzieję, że czeka mnie jeszcze długie życie i że spotkam wiele osób, ale nigdy nie przeżyję czegoś tak strasznego... żeby zaufać komuś, kto nie dba o uczucia innych. Jeśli Bóg istnieje, będę go błagać, żeby nic takiego nigdy mnie już nie spotkało.

Jej ból był tak wielki, że nawet nie śmiała wyciągnąć do niej ręki.

- Tego ranka nie wiedziałem, że jesteś córką Aidana Dunne'a. Tego ranka nie zdawałem sobie sprawy, że Aidan Dunne myślał o otrzymaniu posady dyrektora... - zaczął.

- Mogłeś mi powiedzieć, mogłeś mi powiedzieć! - krzyczała.

Nagle poczuł się zmęczony. Miał ciężki dzień.

- Nie, nie mogłem ci powiedzieć. Nie mogłem powiedzieć: „Twój ojciec się myli, w rzeczywistości to twój ukochany dostanie tę pracę”. Jeśli istnieje lojalność, musiałem być lojalny w stosunku do niego, moim obowiązkiem było upewnić się, że się nie ośmieszy, nie pograży w rozpacz i otrzyma to, na co zasługuje, władzę i autorytet.

- Aha, rozumiem - skrzywiła się pogardliwie. - Dajesz mu te wieczorowe kursy za grzeczne zachowanie.

Głos Tony'ego O'Briena stał się zimny.

- Oczywiście, jeśli tak do tego podchodzisz, nie uda mi się zmienić twojej opinii. Jeśli nie dostrzegasz w tej decyzji przełamania, wyzwania, początku czegoś, co może zmienić życie innych ludzi, a zwłaszcza twojego ojca, bardzo mi przykro. Przykro i smutno. Myślałem, że okażesz więcej zrozumienia.

- Nie jestem w pana klasie, panie O'Brien. Nie nabiorę się na to pańskie potrząsanie głową bardziej z przykrością niż złością. Ośmieszylesz mnie i mojego ojca.

- A w jaki sposób?

- Nie wie, że spałeś z jego córką, że poznałeś jego oczekiwania i sprzątnąłeś mu sprzed nosa posadę dyrektora. W taki sposób.

- A powiedziałaś mu o tym wszystkim, żeby mu pomóc?

- Wiesz, że nie. Ale tamta noc nie ma znaczenia. To był epizod i takim pozostanie.

- Mam nadzieję, że zmienisz zdanie. Bardzo, bardzo mi na tobie zależy, jesteś niezwykle wartościową dziewczyną.

- Jasne.

- Nie „jasne”. Mówię prawdę. I może to dziwne, ale nie wyglądam czy wiek mnie w tobie pociąga. Miałem wiele młodych, atrakcyjnych dziewcząt i gdybym chciał znaleźć sobie towarzystwo, zrobiłbym to bez trudu. Ale ty jesteś inna. Jeśli teraz odejdziesz, stracę kogoś niezwykle dla mnie ważnego. Możesz wierzyć lub nie, ale tak właśnie czuję.

Stała przez chwilę patrząc na niego w milczeniu.

- Twój ojciec poprosił mnie, abym przyszedł i poznał jego rodzinę -

odezwał się znów Tony - ale powiedziałem, że lepiej poczekać z tym do września. Nie wiadomo, co się zdarzy do tego czasu. - Grania wzruszyła ramionami. - Nie myślałem o sobie, ale o tobie. Może nadal będzie cię przepełniała gorycz i gniew i nie zastanę cię, gdy zadzwonię. Albo pokochamy się mocno i szczerze, wiedząc, że to, co się dzisiaj wydarzyło, było tylko fatalnym zbiegiem okoliczności.

Milczała.

- A więc do września - rzekł.

- Tak. - Odwróciła się.

- Będę czekał na wiadomość od ciebie. Jestem tu cały czas. Pragnąłbym znowu cię zobaczyć. Nie musimy być kochankami, jeśli nie chcesz.

Gdybyś była tylko epizodem, pożegnałbym cię z radością. Gdybym nie czuł tego, co czuję, pomyślałbym, że sprawa się zbytnio skomplikowała i lepiej ją zakończyć. Ale będę tutaj na ciebie czekał, wierząc, że wrócisz.

Jej twarz wciąż pozostawała napięta i urażona.

- Tylko powinnam wcześniej zadzwonić, gdybyś przypadkiem, jak to powiedziałaś, miał towarzystwo - ucięła.

- Nie będę miał towarzystwa. Wyciągnęła rękę.

- Nie sądzę, żebym wróciła.

- Umówmy się, że nigdy nie mówimy nigdy. - Uśmiechnął się przyjaźnie.

Stał w drzwiach patrząc, jak Grania idzie ulicą z rękami głęboko w kieszeniach kurtki i pochyloną głową. Chciał do 47

niej podbiec i mocno przytulić, ale na to było jeszcze za wcześnie.

Zrobił, co musiał zrobić. Nie byłoby dla nich żadnej przyszłości, gdyby za plecami Aidana

opowiadał o nim jego córce. Zastanawiał się, jakie szanse na jej powrót dałby hazardzista. Pół na pół, zdecydował.

Znacznie większe niż w przypadku kursu wieczorowego. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby że to się może udać.

48

Rozdział Drugi.

Signora.

Przez lata, długie lata Nora O'Donoghue mieszkała na Sycylii, ale nigdy nie otrzymała z domu żadnego listu.

Idąc uliczką w upalne, słoneczne dni, patrzyła wciąż z nadzieją na U

postino. Ale nigdy nie było dla niej żadnej wiadomości z Irlandii, chociaż sama, regularnie pierwszego dnia każdego miesiąca, wysyłała do rodziny list. Kupiła kalkę (jak zwykle, miała trudności w wytłumaczeniu w sklepie papierniczym, czego potrzebuje). Nie pamiętała, o czym pisała poprzednio, a nie chciała sobie zaprzeczać. Skoro całe opisywane przez nią życie było kłamstwem, mogła równie dobrze dalej kłamać. Nigdy nie odpowiadali, ale czytali jej listy. Przekazywali je sobie ciężko wzdychając, unosząc brwi i potrząsając głowami. Biedna, głupia i uparta Nora, która nie mogła zrozumieć, że się ośmieszyła, nie umiała się w porę wycofać i wrócić do domu.

- Nic do niej nie docierało - mówiła matka.

- Tej dziewczynie nie można było pomóc, nie okazywała żadnej skruchy -

dodawał ojciec. Dla człowieka tak niezwykle religijnego nie uświęcona małżeństwem miłość Nory do Maria była daleko gorszym grzechem niż ucieczka córki za nim do zapadłej wioski Annunziata, choć Mario wcale nie zamierzał się z nią ożenić.

Gdyby wcześniej wiedziała, że się nie odezwą, udawałaby, że ona i Mario są małżeństwem. Jej stary ojciec spałby przynajmniej spokojniej, nie obawiając się spotkania z Bogiem i tłumaczenia się przed nim ze śmiertelnego grzechu cudzołóstwa popełnionego przez jego córkę.

49

Nie mogła jednak tego zrobić, gdyż Mario nalegał, aby rozmawiać z nimi zupełnie otwarcie.

- Bardzo pragnę poślubić państwa córkę - powiedział wtedy, patrząc swoimi dużymi, czarnymi oczami raz na matkę, raz na ojca. - Ale jest to niestety niemożliwe. Moja rodzina życzy sobie, bym poślubił Gabriellę, i jej rodzina także. Jesteśmy Sycylijczykami, nie możemy się przeciwstawiać woli naszych rodziców. Myślę, że podobnie dzieje się u was w Irlandii.

Szukał zrozumienia i tolerancji, nieomal przyzwalającego pogłaskania po głowie.

Mieszkał z ich córką w Londynie prawie dwa lata. Przyszli, żeby się z nim rozmówić. We własnym mniemaniu był szczery i uczciwy. Czego jeszcze od niego oczekiwali?

Na pewno chcieli, by zniknął z życia Nory. I modlili się, żeby po jej powrocie do Irlandii nikt się nie dowiedział o nieszczęsnym epizodzie w jej życiu. W przeciwnym razie jej szanse na małżeństwo, i tak już niewielkie, zmniejszą się jeszcze bardziej.

Starła się ich usprawiedliwić. Był rok 1969 i mieszkali wtedy w zapadłej miejscinie. Same wyjazdy do Dublina były dla nich wystarczająco ciężkim doświadczeniem. A co dopiero podróż do Londynu, gdzie zobaczyli swoją córkę żyjącą w grzechu z jakimś mężczyzną i dowiedzieli się, że podąża za nim na Sycylię? Doznali strasznego szoku i zerwali z nią wszelkie kontakty.

Rodzicom mogłaby wybaczyć. Po części już to zrobiła, ale nigdy nie zapomni tego dwóm siostrze i dwóm braciom. Byli młodzi, powinni zrozumieć, co znaczy miłość! Chociaż patrząc na ich współmałżonków można by mieć wątpliwości. W końcu razem się wychowali, razem walczyli o wyrwanie się z małego, zapomnianego miasteczka, w którym mieszkali. Wspólnie dzielili niepokoje związane z operacją wycięcia macicy u matki czy z upadkiem ojca na łodzi, po którym stał się bardzo niedołączny. Naradzali się co do planów na przyszłość, co zrobią, gdy rodzice zostaną sami. Żadne z nich w pojedynkę nie dałoby sobie rady.

Zgodzili się, że w razie śmierci jednego z rodziców mała farma zostanie sprzedana, a uzyskane pieniądze przeznaczy się 50

na utrzymanie mieszkania w Dublinie dla drugiego z rodziców, gdzieś blisko nich.

Nora zdała sobie sprawę, że jej ucieczka na Sycylię nie pasowała do tamtych planów. Zredukowało to pomoc o więcej niż dwadzieścia procent.

Poza tym Nora nie była mężatką, więc przyjęli, że weźmie na siebie wszystkie obowiązki związane z opieką nad rodzicami. Szanse pomocy spadły do zera. Może dlatego nigdy nie dostała od nich wiadomości. Miała nadzieję, że napiszą jej, jak się czują tata i mama, lub ewentualnie zawiadomią o ich śmierci.

Czasami przestawała w to wierzyć. Wydawała się od nich tak oddalona, jakby sama umarła. Liczyła na swoją przyjaciółkę, Brendę, która pracowała z nią w hotelu. Brenda od czasu do czasu odwiedzała państwa O'Donoghue. Ona także kręciła ze zdumieniem głową, widząc głupotę ich córki Nory. Brenda spędziła kilka dni i nocy, ostrzegając Norę i nawet jej grożąc, próbując ją nakłonić do porzucenia wielce nierozsądnego planu wyjazdu do wioski Annunziata, gdzie z pewnością spotka się z wściekłością rodziny Maria i jego przyszej żony.

Brendę przyjmowano chętnie, gdyż nikt nie domyślał się prawdy. Dzięki niej Nora dowiadywała się o siostrzenicach, bratankach, rozbudowie domu na farmie, sprzedaży trzech akrów i o zakupie małej przyczepy kempingowej. Koleżanka opisywała jej, że rodzice oglądają często telewizję, że dostali od dzieci w prezencie na gwiazdkę kuchenkę mikrofalową. Od dzieci, do których się przyznawali.

Brenda próbowała ich przekonać do napisania listu. Tłumaczyła, że Nora z pewnością będzie

zachwycona, musi się tam czuć bardzo samotna. Ale śmiali się tylko i mówili: „O nie, na pewno nie czuje się samotna, świetnie się bawi w Annunziata, prowadzi bujne życie towarzyskie wśród plotkujących o niej ludzi i rujnuje reputację wszystkich Irlandek”.

Brenda wyszła za męża za człowieka, z którego dawniej obie się śmiały, przezywając go „Pierzynka”, ale teraz z jakiegoś powodu nie śmiała się do niego tak zwracać. Nie mieli dzieci i pracowali razem w restauracji.

Patrick, jak go teraz nazywała, był szefem kuchni, a Brenda kierowniczką.

51

Właściciel lokalu wyjechał na stałe za granicę i zostawił im prowadzenie interesu. W ten sposób mieli jakby restaurację na własność, a nie musieli się martwić o sprawy finansowe. Była chyba zadowolona, ale może ona także nie mówiła prawdy.

Nora oczywiście nie opisała, jak naprawdę wyglądało jej życie -

mieszkanie całymi latami w miejscowości mniejszej niż jej rodzinne miasteczko i kochanie człowieka mieszkającego po drugiej stronie małego piazza. Człowieka, który spotykał się z nią w wielkiej tajemnicy i z biegiem czasu wkładał coraz mniej wysiłku w wyszukiwanie do tego okazji.

Nora zachwycała się w listach pięknym Annunziata, jej białymi domami, których małe balkony z rzeźbionymi żelaznymi poręczami zastawione były kwiatami w doniczkach. Z bramy na końcu wioski można było podziwiać widok na dolinę. Coraz więcej turystów przyjeżdżało zachwycać się piękną ceramiką w kościele.

Mario i Gabriella prowadzili miejscowy hotel, w którym oferowali przyjezdnym noclegi ze śniadaniem. Wiodło im się świetnie. Dzięki temu wszyscy w Annunziata zarabiali na turystach, jak na przykład cudowna Signora Leone, która sprzedawała pocztówki i zdjęcia kościoła, czy przyjaciele Nory, Paolo i Gianna, którzy zajmowali się wyrobem glinianych naczyń i dzbanków z napisem „Annunziata”. I ludzie sprzedający pomarańcze i kwiaty z koszyków. Nawet sama Nora, gdyż poza szyciem obramowanych koronką chusteczek i bieżników na stoły, pilotowała angielskojęzyczne wycieczki. Pokazywała kościół i opowiadała o jego historii, oprowadzała po okolicznych terenach, gdzie kiedyś rozgrywały się bitwy i gdzie prawdopodobnie istniało osadnictwo rzymskie, a w każdym razie na pewno miały tu miejsce niezwykle wydarzenia historyczne.

Nie odczuwała potrzeby pisania Brendzie o piątce dzieci Maria i Gabrielli, ich dużych, ciemnych oczach, które wpatrywały się w nią podejrzliwie z drugiej strony piazza. Były zbyt małe, żeby zrozumieć, kim ona jest, dlaczego ludzie jej nienawidzą i unikają, ale zbyt dociekliwe, żeby uznać ją jedynie za jedną z sąsiadek i znajomych.

Brenda i Patrick nie mieli potomstwa i nie interesowałyby ich opowieści o uroczych, poważnych sycylijskich dzieciach, które siadywały na schodach hotelu naprzeciwko, patrząc, jak Signora szyje i przygląda się przechodniom.

Tak właśnie nazywali ją w Annunziata, po prostu Signora. Powiedziała, że jest wdową. Signora brzmiało podobnie jak jej własne imię Nora, więc przyjęła, że zawsze się tak nazywała.

Nawet gdyby był ktoś, kto ją szczerze kochał i otaczał troską, nie potrafiłaby mu wytłumaczyć, jak czuje się w tej wiosce, w miejscu, którym by pogardzała mieszkając w Irlandii. Brak kina, sali tańca, supermarketu, kursujący nieregularnie lokalny autobus i nieskończenie długie jazdy tym wehikułem.

Mimo to kochała każdy kamień tej wioski, gdyż tu mieszkał Mario, pracował i śpiewał w swoim hotelu, wychowywał synów i córki, a także uśmiechał się do niej, gdy szła siedząc w oknie. A ona kłaniała mu się wytwornie, nie zauważając, że czas powoli płynie. O namiętnych londyńskich latach sprzed 1969 roku już dawno wszyscy zapomnieli, z wyjątkiem Maria i Signory.

Mario musiał wspominać je z miłością, tęsknotą i żalem, gdyż w przeciwnym razie po co zakradałby się nocami? Przemykał przez plac, gdy żona już spała. Signora nie spodziewała się go, gdy księżyc stał w pełni.

Zbyt wiele niepożądanych oczu mogłoby zobaczyć postać przebiegającą przez plac i zorientować się, że to Mario wędruje od swojej żony do obcej, bardzo dziwnej kobiety o dużych dzikich oczach i długich rudych włosach.

Czasami Signora zadawała sobie pytanie, czy przypadkiem nie oszalała, jak twierdziła jej rodzina i jak z pewnością sądzili mieszkańcy Annunziata.

* * *

Inna kobieta pozwoliłaby mu odejść, przebolewałaby utratę miłości i rozpoczęła życie od nowa. Kiedy tu przyjechała, miała tylko dwadzieścia cztery lata, wiele następnych długich lat spędziła szyjąc, uśmiechając się i rozmawiając po włosku ze swoim kochankiem - oczywiście nigdy w miejscu

publicznym. W Londynie, kiedy ją błagał, żeby nauczyła się jego pięknego języka, opanowała zaledwie kilka słów. Tłumaczyła mu, że to on raczej powinien nauczyć się jej języka, żeby mogli otworzyć w Irlandii dwunastopokojowy hotel i dorobić się fortuny. Mario wtedy śmiał się i nazywał ją swoją czerwono włosą principessą, najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

Z fali wspomnień, które tłoczyły się wciąż w jej głowie, Signora starała się wymazać te nieprzyjemne.

Gdy tamtego dnia wysiadła z autobusu, natychmiast rozpoznała z opisu mały hotel jego ojca.

Próbowała zapomnieć o błyskawicach gniewu w oczach Maria. Jego twarz skurczyła się gniewem w sposób, który ją przeraził. Wskazał ręką zaparkowany na zewnątrz samochód i zmusił ją, by wsiadła. Jechał jak szalencie, biorąc zakręty z zawrotną szybkością. W

końcu zjechał z drogi do samotnego gaju oliwnego, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Spragniona jego miłości, chciała go objąć.

Ale on odepchnął ją od siebie i wskazał na rozpościerającą się poniżej dolinę.

- Widzisz te winnice? Należą do ojca Gabrielli. A tamte - do mojego! Od początku było ustalone, że się pobierzemy. Nie masz prawa przyjeżdżać tutaj i rujnować mi życia!

- Jak najbardziej mam prawo. Przecież cię kocham! - To wydawało się takie proste.

Spojrzał na nią skonsternowany.

- Nie możesz mnie oskarżać o nieuczciwość! Wszystko wyjaśniłem tobie i twoim rodzicom. Nigdy nie ukrywałem, że jestem związany z Gabriellą i jej obiecany.

- W łóżku ze mną nigdy nie mówiłeś o Gabrielli - rzekła z goryczą.

- Nikt, będąc w łóżku z jedną kobietą, nie mówi o innej, Noro. Bądź

rozsądna, wracaj do domu, wracaj do Irlandii!

- Nie mogę wrócić do domu - powiedziała zwyczajnie. - Muszę być tam, gdzie ty. Nie ma innej drogi. Zostanę tu na zawsze.

I tak się stało.

Mijały lata i Signora dzięki swej determinacji stała się częścią życia w Annunziata. Nie do końca ją zaakceptowano,

gdyż nikt tak naprawdę nie wiedział, dlaczego znalazła się w ich wiosce, a jej wyjaśnienia, że kocha Włochy, nie były przekonujące. Wynajęła dwupokojowe mieszkanie w domu przy placu. Płaciła niski czynsz, gdyż opiekowała się dwójką staruszków, właścicieli domu. Każdego ranka przygotowywała im *caffè latte* i robiła dla nich zakupy.

Nie sprawiała kłopotu. Nie sprowadzała mężczyzn, nie chodziła pić do barów. W każdy piątek rano uczyła angielskiego w niewielkiej szkole.

Szła różne piękne drobiazgi i co kilka miesięcy zabierała je do większego miasta na sprzedaż.

* * *

Uczyła się włoskiego z rozmówek turystycznych. Kaleczyła ten piękny język, ale dzięki ciągłemu powtarzaniu, zadawaniu sobie pytań i odpowiadaniu na nie, w końcu wyczuła jego melodię.

Z okna swojego pokoju obserwowała ślub Maria i Gabrielli, nie przerywając szycia. Ani jedna łza nie spadła na kawałek płótna, który wyszywała. Wystarczyło jej, że na nią spojrzął, gdy na dzwonnicy rozbrzmiały dzwony. Szedł pośród braci swoich i Gabrielli zgodnie z tradycją, która nakazywała połączenie rodzin dla zachowania ziemi. Nie wywarło to żadnego wpływu na jego miłość do niej czy jej do niego. Było bez znaczenia.

I z okna też patrzyła, jak niesiono ich dzieci do kościoła do chrztu. Dla sycylijskiej rodziny najważniejszy był syn.

Nie bolało jej to. Ta rola jej odpowiadała. Gdyby zaczęła zachowywać się inaczej, wszyscy od razu by się domyślili, że jest jego *principessa irlandese*.

Zdawała sobie sprawę, że wielu mężczyzn w Annunziata wie o jej związku z Mariem. Ale nie potępiali tego. Przeciwnie - Mario urósł w ich oczach jako mężczyzna. Wierzyła, że kobiety niczego nie podejrzewają. Nie dziwiło jej, że nie jest zapraszana na zakupy w czasie targu, do zbioru winogron czy dzikich kwiatów na festiwal. Były zadowolone z szytych przez nią pięknych ozdób do dekoracji figury Najświętszej Pani.

Uśmiechały się do niej, gdy przez kolejne lata zmagала się z językiem, by wreszcie go opanować. Przestały pytać, kiedy wraca do swego kraju.

Jakby poddawały ją testowi i uznały, że zdała. Nikomu nie przeszkadzała, mogła zostać.

* * *

Po dwunastu latach otrzymała pierwszą wiadomość od swoich sióstr. Były to nic nie znaczące informacje od Rity i Helen. Bez związku z tym, co im pisała. Żadnej wzmianki, że otrzymały życzenia

urodzinowe czy świąteczne, że czytały listy, które otrzymali rodzice. Pisały o swoich małżeństwach i dzieciach, o ciężkich czasach, harówce, drożyznie i ciągłym napięciu, w jakim teraz żyją.

Z początku Signora była zachwycona listami. Od dawna pragnęła, żeby znalazło się coś, co połączy jej dwa światy. Listy od Brendy dotyczyły przeszłości, ale nie wiązały ją bezpośrednio z życiem rodzinnym. Odpisała natychmiast, pytając o rodzinę i zdrowie rodziców, czy pogodzili się już z sytuacją. Ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, zaczęła pytać o inne rzeczy, o ich poglądy na temat strajku głodowego IRA, wyboru Ronalda Reagana na prezydenta Stanów Zjednoczonych i zaręczyn księcia Karola z Lady Di.

Te także pozostały bez odpowiedzi i bez względu na to, ile pisała o Annunziata, nigdy nie wspomniały o wiosce.

W swoim liście Brenda nie wyraziła zdziwienia, że siostry wreszcie się odezwały.

Niedługo odezwą się Twoi bracia - pisała. - Chodzi o waszego ojca, który jest bardzo słaby. Prawdopodobnie będzie musiał iść do szpitala i wtedy pojawi się problem z matką. Droga Noro, nie będę owijała w bawełnę, gdyż wiadomości są przykre i smutne. Wiesz dobrze, co myślę o wyjeździe do tego zapomnianego przez Boga miejsca, gdzieś w górach, gdzie musiałaś patrzeć, jak mężczyzna, który wyznał ci miłość, obnosi się ze swoją rodziną na twoich oczach... ale mimo to uważam, że nie powinnaś wracać do domu, by opiekować się matką, która nigdy nie wysłała ci żadnych życzeń ani nie odpowiedziała na żaden list.

Signora czytała to z przykrością. Brenda z pewnością się myli. Coś źle zrozumiała. Rita i Helen napisały, bo chciały 56

utrzymać kontakt. Potem przyszedł list z wiadomością, że tata idzie do szpitala i wszyscy zastanawiają się, kiedy Nora wróci, żeby przejąć część obowiązków.

-Przyszła wiosna. Annunziata nigdy nie wyglądała piękniej. Ale Signora była smutna i blada. Nawet ludzie niechętnie do niej nastawieni zaczęli się martwić. Państwo Leone, dla których wykonywała pocztówki i rysunki, zaprosili ją do siebie. Czy chciałaby zupę stracciatella - rosół z roztrzepanymi jajkami i sokiem z cytryny? Przyjęła zaproszenie, ale twarz miała mizerną, a głos bezbarwny. Niepokoili się o nią.

Wiadomość o złym stanie Signory dotarła na drugą stronę placu, do ciemnego, przystojnego Maria i jego niezłomnej, obowiązkowej żony Gabrielli. Może ktoś powinien posłać po dottore.

Bracia Gabrielli zmarszczyli brwi. Jeśli kobieta w Annunziata cierpiała na tajemnicze dolegliwości, mogło to oznaczać tylko jedno. Była w ciąży.

Ta sama myśl przemknęła przez głowę Maria. Ale popatrzył na nich i powiedział spokojnie:

- Niemożliwe, ma prawie czterdzieści lat.

Czekali jednak, aż doktor ją zbada, i przy małej szklaneczce sambucco, do której miał słabość, zdradzi im, co się z nią dzieje.

- Jej choroba tkwi w głowie - wyznał w zaufaniu doktor. - Dziwna kobieta, fizycznie zupełnie zdrowa, ale przepelnia ją wielki smutek.

- Dlaczego więc nie wraca do kraju, z którego przyjechała? - spytał

najstarszy brat Gabrielli. Po śmierci ojca to on był głową rodziny. Doszły do niego plotki o szwagrze i Signorze. Ale wiedział, że to niemożliwe.

Mario nie mógł być tak głupi, żeby trzymać kochankę tuż pod swoim domem.

Ludzie w wiosce zauważyli, jak Signora się przygarbiła, i nawet państwo Leone nie umieli tego wytłumaczyć. Biedna Signora. Siedziała w oknie, błędząc gdzieś myślami.

Pewnej nocy, gdy rodzina spała, Mario zakradł się po cichu do jej pokoju i wśliznął do łóżka.

57

- Co się stało? Wszyscy mówią, że jesteś chora, że tracisz zmysły - szepnął

obejmując ją ramionami i naciągając narzutę, którą wyhaftowała nazwami włoskich miast: Neapol, Mediolan, Wenecja, Genua, Florencja. Każda w innym kolorze, z drobnymi kwiatkami wokół. To dzieło miłości, wyjaśniła Mariowi. W trakcie wyszywania często myślała, jakie to szczęście móc znaleźć się na tej ziemi i mieszkać blisko mężczyzny, którego kocha. Nie wszyscy mają tyle szczęścia.

Tej nocy jednak nie wyglądała na najszczęśliwszą kobietę na świecie.

Leżała nieruchomo ciężko wzdychając, zamiast jak zwykle z radością przytulić się do Maria. Milczała.

- Signora. - Mario zwracał się do niej jak wszyscy. Nie mógł zdradzić, że zna jej prawdziwe imię. - Droga Signora. Tyle razy cię błagałem, żebyś stąd odjechała, że nie ma dla ciebie życia w Annunziata. Ale nalegałaś, że zostaniesz, i to twoja decyzja. Mieszkańcy cię polubili. Podobno był u ciebie doktor. Nie chcę, żebyś była smutna, powiedz, co ci jest.

- Wiesz, co mi jest - rzekła głucho.

- Nie, nie wiem.

- Pytałeś doktora. Widziałam, jak po wizycie u mnie poszedł do hotelu.

Jestem chora na umyśle, to wszystko.

- Ale dlaczego teraz? Mieszkasz tu od tak dawna, długo nie mogłaś się nauczyć mówić po włosku, nie znałaś nikogo. Wtedy był powód, żeby oszaleć, a nie teraz, gdy minęło dziesięć lat, gdy stałaś się częścią tej wioski!

- Ponad jedenaście Mario, prawie dwanaście.

- Nieważne.

- Jestem smutna, gdyż myślałam, że moja rodzina stęskniła się za mną. A rozumiałam, że chcieli tylko zrobić ze mnie pielęgniarkę dla mojej chorej matki. - Nawet się do niego nie odwróciła. Leżała zimna, nieczuła na jego pieszczoty.

- Nie pragniesz mnie? Nie cieszysz się, że przyszedłem? - zdziwił się.

- Nie, Mario, nie dzisiaj.

Wstał z łóżka i obszedł je dokoła. Zapalił świeczkę w glinianym świeczniku, by jej się przyjrzeć. Leżała przykryta 58

niezwykłą narzutą z wyhaftowanymi nazwami miast, twarz miała prawie białą, długie rude włosy rozrzucone na poduszce. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Powinnaś też umieścić miasta sycylijskie, Katanię, Palermo, Cefalu, Agrigento.

Westchnęła.

Wyszedł pełen niepokoju. Jednak wzgórze wokół Annunziata i pokrywające je dywany świeżych kwiatów miały leczniczą moc. Signora spacerowała po nich, aż jej twarz znów nabrała kolorów.

Państwo Leone przygotowywali dla niej czasami koszyk z serem i oliwkami, a Gabriella, żona Maria, kobieta o kamiennej twarzy, dawała jej butelkę marsali mówiąc, że niektórzy piją ją jak tonik. Państwo Leone zaprosili ją w niedzielę na obiad i przygotowali makaron „Norma” z bakłażanami i pomidorami.

- Czy wiesz, skąd wzięła się nazwa tej potrawy, Signora?

- Nie, signora Leone. Niestety nie.

- Ponieważ w smaku jest tak doskonała jak opera „Norma” Belliniego.

- Który oczywiście był Sycylijczykiem - dodała z dumą Signora.

Pogłaskali ją po ręce. Tyle wiedziała o ich kraju i wiosce. Któż by jej nie podziwiał?

Paolo i Gianna, którzy prowadzili mały sklep garncarski, zrobili dla niej specjalny dzbanek. Umieścili na nim napis Signora d'Irlanda. Nakryli go gazą z przyszytymi wokół brzegu kuleczkami. Dzięki temu miała zawsze świeżą wodę. Podczas letnich gorących nocy nie wpadały do środka muchy ani kurz. Zamiast płacić czynsz, Signora wykonywała dla staruszków różne drobne prace, w czym ofiarnie pomagali jej sąsiedzi.

Otoczona tą przyjaźnią, a nawet miłością, Signora wróciła do sił.

Wiedziała, że jest tutaj kochana, chociaż skąpiła jej uczuć jej własna rodzina w Dublinie, skąd coraz częściej przychodziły listy z zapytaniem o jej plany.

Odpisywała im w niemal marzycielskim tonie, opowiadała o życiu w wiosce, o tym, jak bardzo jest tu potrzebna, jak starsi ludzie na piętrze na nią liczą - małżeństwo, które kłóciło się tak często i z taką pasją, że musiała ich odwiedzać

59

w każdą niedzielę podczas obiadu, aby się upewnić, że się nie pozabijali.

Pisała o hotelu Maria, o uzależnieniu od turystyki, o tym, jak wszyscy musieli połączyć swe siły, aby przyciągnąć turystów. O tym, jak znalazła urocze miejsce, coś w rodzaju występu skalnego, skąd rozpościera się widok na doliny i góry. Podsunęła pomysł, żeby młodszy brat Maria otworzył tam małą kafejkę. Nazwano by ją „Vista Del Monte” - widok na góry. Po włosku brzmiało to o wiele piękniej.

Wyraziła smutek z powodu pobytu ojca w szpitalu. Mądrze zrobili sprzedając farmę i przenosząc się do Dublina. I z powodu matki, samotnie zmagającej się z życiem w mieszkaniu w Dublinie. Często wspominali w listach, że jest tam dodatkowy pokój, ale ignorowała tę informację, pytając tylko o zdrowie rodziców i zastanawiając się ogólnikowo nad sprawnością funkcjonowania poczty, gdyż regularnie pisywała do rodziców od 1969

roku. Teraz są już lata osiemdziesiąte, a ona nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Z pewnością listy musiały zaginąć w drodze.

Brenda napisała do niej zachwycona:

Mądra dziewczyna. Postawiłaś ich w kłopotliwej sytuacji. W ciągu miesiąca powinnaś otrzymać wiadomość od matki. Ale nie poddawaj się.

Nie przyjeżdżaj. Nie napisałaby, gdyby jej do tego nie zmuszono.

Nadszedł list i serce Signory ścisnęło się, gdy rozpoznała charakter pisma matki. Znajomy nawet po tylu latach. Wiedziała, że każde słowo dyktowały jej Rita i Helen.

Matka prześliznęła się po dwunastu latach milczenia, upartej odmowie odpowiedzi na błagania córki zza morza. Winiła za to ojca i jego

„niezwykle doktrynalne podejście do moralności”. Signora uśmiechnęła się blado. Nawet gdyby matka wysilała swój umysł przez sto lat, nigdy nie wymyśliłaby takiego sformułowania.

W ostatnim akapicie matka napisała: Proszę, Noro, wróć do domu.

Przyjeźdź i zamieszkać z nami. Nie będziemy wtrącać się do twojego życia.

Potrzebujemy ciebie, inaczej byśmy nie prosiły.

I inaczej byście nie napisali, dodała w myślach Nora. Nie czuła goryczy.

Już przez to przeszła. W momencie gdy

Brenda napisała, że Nora nie obchodzi ich jako człowiek, ale jedynie jako pomoc dla starszych i niedołączonych rodziców, spadł z niej jakby ciężar.

Pogodziła się z losem.

Tutaj, w atmosferze spokoju, mogła sobie pozwolić na współczucie. W

porównaniu z tym, czego ona doświadczyła w życiu, jej rodzina nie doświadczyła niczego. Odpisała łagodnie, wyjaśniając, że nie może wrócić. Gdyby czytali jej listy, zrozumieliby, jak bardzo jest tu potrzebna. I gdyby oczywiście zawiadomili ją wcześniej, że pragną jej powrotu, nie angażowałyby się tak bardzo w życie tutaj, w tym pięknym, wyciszonym miejscu. Ale skąd miała wiedzieć, że się z nią skontaktują? Nie odzywali się tak długo, chyba ją rozumieją?

* * *

Mijały lata, w rudych włosach Signory pojawiły się siwe pasma. Ale w przeciwieństwie do otaczających ją czarnowłosych kobiet, wcale jej to nie postarzało. Włosy jakby wypływały od słońca. Gabriella za kontuarem w hotelu wyglądała teraz dostojnie, zaokrągliła się, spoważniała, jej oczy stały się jaśniejsze niż wtedy, gdy patrzyła na drugą stronę placu wzrokiem pełnym zazdrości. Jej wysocy synowie sprawiali coraz więcej kłopotu. Nie przypominali już ciemnookich aniołków, którzy posłusznie wypełniali wszystkie polecenia.

Mario prawdopodobnie także się zestarzał, ale Signora tego nie zauważała.

Trochę rzadziej, ale nadal jak dawniej przychodził do jej pokoju i często leżał tylko, obejmując ją ramionami.

Na narzucie nie było już prawie miejsca na nowe napisy. Signora wyszyła nazwy miejscowości, które się jej spodobały.

- Nie powinnaś umieszczać wśród tych wielkich miast Giardini-Naxos. To taka nic nie znacząca miejscina - skarżył się Mario.

- Nie, nie zgadzam się. Gdy byłam w Taorminie, pojechałam tam autobusem, cudowne miejsce... ma swoją atmosferę, swój charakter, wielu turystów. Zasługuje na to.

Czasami Mario wzdychał ciężko, jakby go coś dręczyło. Zwierzał się jej ze swoich kłopotów. Jego drugi syn zupełnie oszalał.

Mając zaledwie dwadzieścia lat zamierza pojechać do Nowego Jorku.

Może wpaść w nieodpowiednie towarzystwo. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- To tutaj wpadł w nieodpowiednie towarzystwo - zauważyła Signora. -

Może w Nowym Jorku stanie się bardziej nieśmiały, mniej pewny siebie.

Niech jedzie z twoim błogosławieństwem, bo i tak pojedzie.

- Jesteś niezwykle mądra, Signora. - Położył głowę na jej ramieniu.

Nie zamknęła oczu, tylko wpatrywała się w ciemny sufit, wspominając czasy, gdy przyjechała tu za nim, a on nazwał ją najgłupszą kobietą na świecie. Mówił, że tutaj nie ma dla niej przyszłości. I okazało się, że lata zamieniły to wszystko w mądrość. Dziwny jest ten świat.

Później córka Maria i Gabrielli zaszła w ciążę. Chłopiec zupełnie nie pasował do ich wyobrażeń o idealnym mężu dla córki - pochodził ze wsi i zmywał naczynia w kuchni hotelu przy piazza. Mario przyszedł się do niej wypłakać, poskarżyć na córkę, jeszcze dziecko. Hańba i wstyd.

Mamy rok 1994, powiedziała mu wtedy. Nawet w Irlandii nikt nie określiłby tego jako hańbę i wstyd. Taka jest kolej rzeczy. Trzeba się z tym pogodzić. Może chłopiec przejdzie do pracy w Vista del Monte, rozwinie interes, potem założy własny.

Tego dnia obchodziła pięćdziesiąte urodziny, ale nie wspomniała o tym ani Mariowi, ani nikomu innemu. Na powłoczce poduszki wyhaftowała napis BUON COMPLEANNO, „najlepsze życzenia urodzinowe”. Przesunęła po nim palcami, gdy Mario poszedł, gdy wyschły jego łzy z powodu zbezczeszczonej córki. „Ciekawe, czy rzeczywiście oszalałam po tych wszystkich latach”.

Obserwowała z okna, jak młoda Maria wychodziła za mąż za chłopca, który pracował w kuchni, tak jak obserwowała Maria i Gabriellę idących do kościoła. I znów pośród gór rozległo się echo dzwonów na wieży.

Pięćdziesiąt lat. Nie czuła się ani o dzień starsza niż wtedy, gdy tu przyjechała. Niczego nie żałowała. Czy wielu jest ludzi na świecie, którzy mogliby powiedzieć to samo?

62

I oczywiście nie myliła się w swoich przewidywaniach. Maria wyszła za chłopca, który nie był wart ani jej, ani jej rodziny, ale krzywda została naprawiona. Chłopiec pracował dzień i noc w Vista del Monte. I nawet jeśli ludzie będą plotkować - to najwyżej kilka dni.

Ich drugi syn, ten zwariowany, pojechał do Nowego Jorku i okazało się, że złoty z niego chłopiec. Pracował u kuzyna w trattorii i oszczędzał

pieniądze, aby pewnego dnia kupić własną trattorię u siebie na Sycylii.

* * *

Signora spała zawsze przy uchylonym oknie, więc była jedną z pierwszych, która usłyszała nadjeżdżające samochody i zobaczyła, jak bracia Gabrielli, tędzy mężczyźni, teraz w średnim wieku,

w pośpiechu z nich wysiadają. Najpierw pobiegli obudzić doktora. Signora stała w cieniu okiennic i patrzyła. Ktoś miał wypadek, nie było wątpliwości.

Wyrzała, żeby zobaczyć, co się stało. Boże, żeby tylko nie któreś z ich dzieci. I tak mieli wystarczająco dużo rodzinnych kłopotów.

Wtedy ujrzała na schodach wyprostowaną postać Gabrielli, w koszuli nocnej, z szalem zarzuconym na ramiona. Zakryła twarz rękami, po chwili powietrze rozdarł jej

krzyk.

- MARIO, MARIO...

Dźwięk popłynął między góry i doliny Annunziata.

Wdarł się także do sypialni Signory i zmroził jej serce. Patrzyła, jak wynoszą jego ciało z samochodu.

Nie pamięta, ile czasu stała jak kamień. Ale gdy plac oświetlony blaskiem księżyca zaczął się wypełniać członkami rodziny, przyjaciół i sąsiadów, znalazła się między nimi, a łzy, nie powstrzymywane, płynęły jej swobodnie po policzkach. Widziała jego zakrwawioną i posiniaczoną twarz. Wracał samochodem do domu z pobliskiej wioski. Nie pokonał

zakrętu. Samochód przeokoziłkował kilka razy.

Czuła, że musi dotknąć jego twarzy. Nie będzie mogła dalej żyć, jeśli tego nie zrobi, a może uda się jej go pocałować, tak jak zrobiły to jego siostry, dzieci i żona. Przysunęła

63

się bliżej, nie zważając, czy ktoś na nią patrzy, nie myśląc o tych wszystkich latach milczenia i ukrywania się.

Gdy była blisko, czyjeś ręce chwyciły ją nagle i zdecydowanie odciągnęły.

Signora Leone, jej przyjaciele Paolo i Gianna oraz, co wydawało się jej później dziwne, dwaj bracia Gabrielli. Zabrali ją z miejsca, gdzie oczy Annunziata mogły zobaczyć jej przejmujący smutek i gdzie do wspomnień wioski zostałyby dopisane jeszcze jedno, o tym, jak Signora irlandese załamała się i publicznie przyznała do zakazanej miłości.

Tamtej nocy znalazła się w domach, w których nigdy nie bywała, częstowano ją mocną brandy i czasami pocieszano. Zza ścian dobiegały ją jęki zawodzących i modlitwy, czasami podrywała się, by tam pójść, ale delikatne ręce zawsze ją zawracały.

W dniu pogrzebu, gdy niesiono jego trumnę z hotelu przez plac do kościoła pełnego fresków i ceramiki, siedziała w oknie ze spuszczoną głową, blada i spokojna. Dzwon rozbrzmiewał samotnym, pełnym rozpacz dźwiękiem. Nikt na nią nie spojrział. Nikt nie widział łez padających na haft na jej

kolanach.

Wszyscy sądzili, że teraz pewnie odjedzie, że nadszedł czas, by wróciła do domu.

Powoli i ona zaczęła o tym myśleć. Signora Leone powiedziała: „Zanim wyjedziesz, musisz pójść raz ze mną na nabożeństwo pasyjne w moim rodzinnym mieście Trapani... będziesz mogła opowiedzieć o tym u siebie w Irlandii”.

Paolo i Gianna podarowali jej ogromny talerz, który zrobili specjalnie z okazji jej odjazdu. „Gdy w Irlandii będziesz kładła na nim owoce, wspomnisz lata spędzone w Annunziata”.

Ale Signora nie miała domu, do którego mogła wrócić, nie chciała wyjeżdżać. Skończyła pięćdziesiąt lat, a żyła tu od ponad dwudziestu.

Tutaj powinna umrzeć. Któregoś dnia dzwon obwieści jej pogrzeb, pieniądze na ten cel leżały już przygotowane w małej, rzeźbionej, drewnianej kasetce.

Zdawała się nie wyczuwać aluzji, które stawały się coraz bardziej przejrzyste, i nie słyszeć rad, które lada moment miały zostać wypowiedziane.

Aż przyszła do niej Gabriella.

Ubrana w czerń przeszła przez plac. Jej twarz wyglądała staro, pokryta zmarszczkami żalu i smutku. Nigdy wcześniej nie była w pokoju Signory.

Zapukała do drzwi, jakby była oczekiwana. Signora poderwała się, żeby przywitać gościa, zaproponowała sok, wodę i ciasteczka z pudełka. Potem usiadła i czekała.

Gabriella obesła dwa pokoiki. Dotknęła narzuty z pieczołowicie wyhaftowanymi nazwami miejscowości.

- Wspaniałe - zachwycała się.
- Jest pani bardzo uprzejma, signora Gabriella. Nastąpiła długa cisza.
- Wraca pani niedługo do swojego kraju? - spytała w końcu Gabriella.
- Nie mam do kogo - odrzekła zwyczajnie Signora.
- Tutaj też nie ma pani nikogo. Już nie - powiedziała równie prosto Gabriella.

Signora skinęła, jakby potakująco.

- Ale w Irlandii nikt na mnie nie czeka. Przyjechałam tu jako młoda dziewczyna, teraz jestem kobietą w średnim wieku i zaczynam wkraczać w wiek późny. Myślałam, że zostanę tu na zawsze. - Ich oczy się spotkały.
- Nie ma tu pani żadnych przyjaciół, to nie jest prawdziwe życie, Signora.
- Bardziej prawdziwe niż w Irlandii.
- Ale tam może pani zacząć życie od nowa. Dawni przyjaciele, rodzina, ucieszą się, że pani wróciła.
- Czy pani chce, żebym stąd wyjechała, signora Gabriella? - spytała wprost.
- Mario zawsze mówił, że jeśli umrze, odjedzie pani do swojego kraju i zostawi mnie w moim, abym mogła w spokoju opłakiwać jego śmierć.

Signora spojrzała na nią zdumiona. Mario złożył obietnicę bez porozumienia z nią.

- Czy powiedział, że się na to zgodziłam?
- Mówił tylko, że tak się stanie, i dodał, że jeśli ja umrę wcześniej, nie ożeni się z panią, gdyż wywołałoby to skandal. Moje imię byłoby znieważone. Ludzie mogliby pomyśleć, że zawsze chciał

ożenić się z panią.

65

- Pocieszyło to panią?

- Nie, nie cieszyła mnie myśl o martwym Mariu, Signora. Ale myślę, że dało mi to poczucie godności, którego potrzebowałam. Nie musiałam się już obawiać. Nie zostanie pani w tym miejscu, wbrew tradycji, aby opłakiwać razem z nami człowieka, który odszedł.

Z placu dochodziły głosy dostawców mięsa do hotelu, warkot samochodu z gliną przed sklepem garncarskim, śmiech i nawoływania dzieci wracających ze szkoły. Gdzieś czekały psy, śpiewały ptaki. Mario opowiadał jej kiedyś o godności i tradycji, o tym, ile znaczą dla niego i jego rodziny.

Przemawiał do niej zza grobu. Przesyłał jej wiadomość, prosił, żeby wyjechała.

Wypowiadała słowa bardzo powoli:

- Myślę, że pod koniec miesiąca, signora Gabriella. Wtedy wrócę do Irlandii.

Napotkała spojrzenie pełne wdzięczności i ulgi. Gabriella ujęła jej rękę.

- Jestem pewna, że będzie tam pani szczęśliwsza i spokojniejsza -

powiedziała.

- Tak, tak... - rzekła wolno; słowa zawisły w ciepłym popołudniowym powietrzu.

- Si, si... veramente.

Z trudem uzbierała pieniądze na prom. Ale przyjaciele znali jej sytuację.

Signora Leone przyszła i wcisnęła jej w rękę zwitek banknotów.

- Proszę, Signora, proszę. Dzięki tobie miałam takie dobre życie, proszę weź je.

Podobnie Paolo i Gianna. Ich sklep nie ruszyłby z miejsca, gdyby nie Signora.

- Niech to będzie drobne wynagrodzenie.

I starsze małżeństwo, właściciele pokoju, w którym mieszkała przez większość dorosłego życia. Także uznali, że należy się jej mała zapłata za pomoc i opiekę.

Tego dnia, gdy przyjechał autobus, który miał zabrać ją wraz z rzeczami do miasta na lotnisko, na schody hotelu wyszła Gabriella. Nie odezwała się, podobnie jak Signora,

66

ale obie skinęły głowami. Na ich twarzach malowała się powaga i szacunek. Ci, którzy oglądali tę scenę, wiedzieli, co chciały przez to wyrazić. Rozumieli, że jedna kobieta z całego serca dziękowała drugiej, życząc jej wszystkiego dobrego na czekającą ją niepewną przyszłość. Coś, czego nie można było wyrazić słowami.

* * *

W mieście było gwarno i tłoczno, lotnisko tonęło w hałasie i pośpiechu, nie takim radosnym jak w Annunziata, ale pośpiechu, w którym ludzie pędzą nie zważając na siebie. Tak wygląda pewnie Dublin, ale Signora postanowiła o tym

nie myśleć.

Nie miała planów, będzie robiła to, co w danej chwili uzna za stosowne.

Nie ma sensu zamęczać się planowaniem czegoś, co planowane być nie może. Nikogo nie zawiadomiła o powrocie. Ani rodziny, ani Brendy.

Znajdzie jakiś pokój i zajmie się sobą, jak robiła to dotąd, a potem pomyśli, co dalej.

W samolocie zagadnęła jakiegoś chłopca. Miał dziesięć lat, był w wieku najmłodszego syna Maria i Gabrielli, Enrica. Odruchowo zaczęła rozmowę po włosku, ale chłopiec odwrócił głowę zakłopotany.

Wyrzała przez okno. Nigdy się nie dowie, co się stanie z Enrikiem czy jego bratem w Nowym Jorku, ani z ich siostrą i jej mężem, pomocnikiem kuchennym w Vista del Monte. Nie dowie się, kto zamieszka w jej pokoju.

Ktokolwiek to będzie, nigdy nie odgadnie, ile lat tam spędziła i dlaczego.

Podobnie jak wypływa się w morze nie wiedząc, co się stanie tam, skąd się odchodzi, ani tam, dokąd się zmierza.

W Londynie od razu przesiadła się do drugiego samolotu. Nie zamierzała zostawać tu ani chwili. Jakże mogłaby wracać tam, gdzie mieszkała z Mariem, w tamtym zupełnie innym życiu. Nie chciała odnawiać dawnych znajomości, oglądać prawie już zapomnianych miejsc. Nie, pojedzie od razu do Dublina. Cokolwiek przyniesie jej przyszłość.

Miasto ogromnie się zmieniło. Wydawało się większe. Teraz było tu lotnisko międzynarodowe. Gdy stąd odjeżdżała, 67

musiała jechać do Shannon. Nie spodziewała się tylu zmian. Choćby droga na lotnisko. Dawniej autobus kluczył wśród osiedli mieszkaniowych, teraz jechał autostradą ozdobioną z obu stron sadzonkami kwiatów. Wielkie nieba, Irlandia idzie z duchem czasu!

Amerykanka w autobusie zapytała ją, gdzie się zatrzyma.

- Jeszcze nie wiem - odparła Signora. - Coś znajdę.

- Pani jest Irlandką czy tylko turystką?

- Pochodzę stąd. Ale minęło wiele lat.

- Podobnie jak ja. Szukam przodków - powiedziała Amerykanka z wyraźnym zadowoleniem. Miała tydzień na znalezienie swych korzeni i uważała, że tyle wystarczy.

- No tak, oczywiście. - Signora zdała sobie sprawę, jak trudno przychodzi jej mówienie po angielsku. Już chciała powiedzieć certo. Wtrącanie włoskich słów brzmi bardzo sztucznie. Ktoś może pomyśleć, że się popisuje. Musi uważać.

Wysiadła z autobusu i ruszyła nabrzeżem wzdłuż rzeki Liffey do O'Connell Bridge. Wszędzie otaczali ją młodzi ludzie, wysocy, pewni siebie, uśmiechnięci, w grupach. Pamięta, że gdzieś czytała o niezwykle licznej populacji młodych ludzi w obecnych czasach - chyba połowa narodu miała poniżej dwudziestu czterech lat.

Wrażenie było niesamowite. I ubierali się tak kolorowo. Zanim przeniosła się do Angli do pracy, Dublin był miastem szarym i ponurym. Teraz budynki zostały w większości odmalowane, po zatłoczonych ulicach sunęły eleganckie, drogie samochody. Otwarte sklepy przyciągały wzrok pięknie udekorowanymi wystawami. Z lat młodości pamiętała głównie rowery i stare samochody. Zatrzymała na chwilę wzrok na okładkach czasopism z dziewczynami wypinającymi wielkie nagie biusty. Za jej czasów to było nie do pomyślenia, a może żyła w jakimś nierealnym świecie?

Bezwiednie szła prosto przed siebie, minęła most, aż dotarła do Temple Bar. Poczowała się jak w Paryżu, dokąd dawno temu pojechała z Mariem na długi weekend. Brukowana ulica, kafejki na wolnym powietrzu, miejsce pełne głośno rozmawiających i żywo gestykulujących młodych ludzi.

Nikt jej nie powiedział, że Dublin tak wygląda. Zresztą czy Brenda, która poślubiła „Pierzynkę” i pracowała w spokojniejszym rejonie, kiedykolwiek tu była?

Jej siostry, ich przegrani mężowie, jej dwaj bracia i ich obojętne żony... nie należeli do ludzi, którym Temple Bar by się podobała. Gdyby kiedyś znaleźli się w takim miejscu, na pewno skwitowałyby to jedynie niecierpliwym potrząśnięciem głowy.

Signora uważała, że tu jest cudownie. Całkiem inny świat, którym nie mogła się nacieszyć. Wreszcie siadła przy stoliku, aby napić się kawy.

Dziewczyna około osiemnastki, z długimi, rudymi włosami, jak ona wiele lat temu, podała kawę. Myślała, że Signora jest cudzoziemką.

- Z jakiego kraju pani przyjechała? - spytała, powoli wymawiając słowa.

- Z Sycylii we Włoszech - odparła Signora.

- Piękny kraj, ale powiem pani, że pojedę tam tylko wtedy, gdy porządnie opanuję język.

- Dlaczego?

- Wolę wiedzieć, co do mnie mówią mężczyźni, bo inaczej różne rzeczy mogą z tego wyniknąć.

- Ja nie mówiłam po włosku, gdy się tam znalazłam, i na pewno nie wiedziałam, co z tego wyniknie - zauważyła Signora - ale wszystko jakoś się ułożyło... nawet więcej, ułożyło się wspaniale.

- Jak długo tam pani mieszkała?

- Bardzo długo. Dwadzieścia sześć lat. - W jej głosie brzmiało zdziwienie.

Dziewczyna, której jeszcze nie było na świecie, gdy Signora wyruszyła w tę podróż, spojrzała na nią zdumiona.

- To niesamowite! Musiała pani kochać to miejsce.

- O tak, bardzo.

- Kiedy pani wróciła?

- Dzisiaj.

Westchnęła ciężko zastanawiając się, czy dziewczyna patrzy na nią dziwnie, czy tylko jej się wydaje. Czy zachowuje się śmiesznie? Musi się pilnować. Nie może pozwolić, żeby

do jej mowy wkradały się obce zwroty. Koniec ze wzdychaniem i chaotycznymi wypowiedziami. Kelnerka odwróciła się, chciała już odejść.

- Przepraszam. Ta część Dublina bardzo mi się podoba. Jak pani myśli, czy mogłabym tu gdzieś wynająć pokój?

Dziewczyna na pewno weźmie ją za dziwadło. Może teraz nie mówi się o pokojach, tylko o kwaterach? Miejscach noclegowych?

- Coś zupełnie zwyczajnego - dodała.

Dowiedziała się z przykrością, że jest to najmodniejsza okolica w mieście.

Wszyscy chcą tu mieszkać. Ludzie mają tu apartamenty zbudowane na dachach domów, gwiazdy muzyki kupują hotele, biznesmeni budują wille, pojawia się coraz więcej restauracji. To bardzo atrakcyjne miejsce.

- Ach tak. - Signora zrozumiała, że dużo się musi nauczyć o mieście, do którego wróciła. - Czy mogłaby mi pani wskazać rejon, który nie stał się jeszcze największą atrakcją?

Dziewczyna potrząsnęła głową o długich ciemnoczerwonych włosach.

Trudno powiedzieć. Najwyraźniej starała się najpierw wy badać, czy Signora ma w ogóle jakieś pieniądze, czy też musi na siebie pracować, i jak długo zamierza tu zostać.

Signora przysła jej z pomocą.

- Pieniądzy wystarczy mi, żeby się utrzymać przez tydzień, ale później będę musiała znaleźć sobie tanie lokum, gdzie mogłabym podjąć pracę...

na przykład opiekowanie się dziećmi.

Dziewczyna patrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Ludzie szukają raczej młodych opiekunek.

- A może pokój nad restauracją? Tam mogłabym też znaleźć zajęcie.

- Nie traciłabym czasu, szczerze... wszyscy szukamy takiej pracy. Trudno ją dostać.

Miła dziewczyna. Na jej twarzy malowało się naturalne współczucie i Signora będzie się musiała do tego w przyszłości przyzwyczaić. Nie może z siebie robić zniedołężniałej staruszki. Postanowiła wziąć się w garść, ukryć swoją niepewność, zagubienie, zrobić cokolwiek, żeby nie wyglądać na nieporadną istotę.

- Czy „Suzi” na fartuchu to twoje imię?

- Tak. Moja matka była niestety fanką Suzi Quatro. -Dostrzegła puste spojrzenie. - Ta piosenkarka, zna pani? Kiedyś bardzo popularna, ale może nie we Włoszech.

- Tak, na pewno, tylko ja po prostu nie słuchałam radia. Słuchaj, Suzi, nie mogę zabierać ci całego dnia opowiadając o swoich kłopotach, ale gdybyś mogła poświęcić mi minutkę, byłabym wdzięczna. Może znasz jakieś tanie miejsce na początek?

Suzi wymieniała kilka nazw, które za czasów Signory były terenami podmiejskimi, a właściwie wioskami. Najwyraźniej zamieniono je w rozrastające się osiedla klasy robotniczej. Wiele osób stamtąd chętnie wynajęłoby komuś pokój w zamian za pilnowanie dzieci. Najlepiej płacić gotówką i nie wspominać, że samemu nie ma się za dużo pieniędzy.

Ludzie nie lubią, gdy jest się zbyt wylewnym.

- Jesteś bardzo miła, Suzi. Skąd o tym wszystkim wiesz, w twoim wieku?

- Tam się wychowałam, znam te okolice.

Signora zdawała sobie sprawę, że nie powinna nadużywać cierpliwości sympatycznej dziewczyny. Wyciągnęła portmonetkę, by zapłacić za kawę.

- Bardzo dziękuję za pomoc, jestem ci naprawdę wdzięczna. Jeśli znajdę jakieś miejsce, przyjdę do ciebie z małym prezentem.

Suzi zawahała się zagryzając wargi, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Jak się pani nazywa? - spytała.

- Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale mam na imię Signora. Nie staram się być oficjalna, ale właśnie tak się do mnie zwracano i lubię to.

- Czy rzeczywiście nie ma pani zbyt dużych wymagań co do miejsca?

- Oczywiście. - Mówiła szczerze. Nie rozumiała, dlaczego niektórych ludzi tak trudno jest zadowolić.

- Niech pani posłucha. Nie jestem w najlepszych układach z moją rodziną, więc z nimi nie mieszkam. Kilka tygodni temu słyszałam, jak rozmawiali na temat ewentualnego

wynajęcia mojego pokoju. Jest pusty i nie wezmą za niego więcej niż kilka funtów tygodniowo. Trzeba zapłacić gotówką i w razie kontroli musi pani powiedzieć, że jest przyjaciółką domu. Chodzi

o podatek.

- Naprawdę myślisz, że mogę? - Oczy Signory zabłyśły.

- Tylko żeby mnie pani dobrze zrozumiała. - Suzi chciała mieć pewność. -

Mówimy o zwykłym domu na osiedlu pełnym takich samych budynków, jednych w lepszym, innych w gorszym stanie... nic wytwornego. Cały czas mają włączony telewizor, ciągle na siebie krzyczą, no i jest tam mój brat Jerry. Ma czternaście lat i jest okropny.

- Szukam tylko miejsca, gdzie mogłabym mieszkać. Jestem pewna, że będzie cudownie.

Suzi zapisała jej adres i powiedziała, jakim autobusem ma dojechać.

- Może najpierw zapytać pani o mieszkanie sąsiadów z tej ulicy, którzy, jak wiem na pewno, nie szukają lokatorów, i dopiero wtedy pójść do moich rodziców. Proszę od razu powiedzieć o pieniądzach i że chce pani pokój na krótko. Spodoba się im pani... wygląda pani poważnie i godnie.

Wynajmą pani, tylko proszę nie mówić, że ja panią przysłałam.

Signora przyjrzała się jej uważnie.

- Nie polubili pani chłopaka?

- Chłopaków - poprawiła Suzi. - Ojciec uważa mnie za dziwkę, ale proszę nie zaprzeczać, bo się domyśla, że się znamy. - Twarz Suzi ściągnęła się.

Signora zaczęła się zastanawiać, czy wyraz jej własnej twarzy był

podobny, gdy wyjeżdżała na Sycylię w tamtych dawnych czasach.

* * *

Wsiadła do autobusu i patrzyła ze zdziwieniem, jak bardzo miasto, w którym kiedyś mieszkała, rozrosło się i rozwinęło. W wieczornym świetle na ulicy między zaparkowanymi samochodami bawiły się dzieci, dalej zobaczyła szereg małych ogródków i tam także bawiły się dzieci, jeździły w kółko na rowerach, opierały się o bramy i biegały z jednego ogródka do drugiego.

Signora pytała o pokój w domach, które wskazała jej Suzi. Mieszkańcy odpowiedzieli, że nie mają wolnych pokoi.

- Czy znają państwo kogoś? - pytała.

- Niech pani spróbuje u Sullivanów - proponowali. Miała więc teraz pretekst. Zapukała. Czy to będzie jej

nowy dom? Czy właśnie pod tym dachem będzie leżała, starając się złagodzić ból po utracie życia w Annunziata? Nie tylko mężczyzny, którego kochała, ale całego życia, przyszłości, jej pochówku i dzwonów nad jej grobem. Utracie wszystkiego. Nie powinna myśleć o tamtym miejscu, póki nie znajdzie jakiegoś pokoju.

Drzwi otworzył Jerry, usta miał pełne jedzenia. Rudowłosy, z piegami, z kanapką w ręku.

- Co? - burknął.

- Czy mogłabym rozmawiać z twoją matką lub ojcem?

- A o co chodzi?

Najwyraźniej zwykle otwierał ludziom, którzy nie byli mile widziani w tym domu.

- Chciałam się dowiedzieć o możliwość wynajęcia pokoju - zaczęła Signora. Ktoś w środku ściszył telewizor, aby słyszeć, co się dzieje na schodach.

- Pokoju tutaj? - Jerry spojrzał z takim niedowierzaniem, że Signora pomyślała, że może rzeczywiście to niedorzeczny pomysł. Ale przecież całe jej życie było na tym oparte. Dlaczego rezygnować teraz?

- Czy mogłabym o tym porozmawiać?

Do drzwi podszedł ojciec. Wielki mężczyzna ze sterczącymi kępkami włosów po obu stronach głowy niczym uchwyty, za które można by go podnieść. Miał mniej więcej tyle lat co Signora, ale był czerwony na twarzy, wyraźnie udręczony wiekiem. Zaczął wycierać ręce o nogawki spodni, jakby chciał się przywitać.

- Czym mogę służyć? - zapytał podejrzliwie.

Signora wyjaśniła, że szuka pokoju w okolicy i że państwo Quinns spod numeru 22 przysłali ją tutaj. Sugerowała w pewien sposób, że zna państwa Quinnsów. Miała punkt

zaczepienia.

- Peggy, możesz tu przyjść na chwilę? - zawołał. Pojawiła 73

się kobieta. Ciemne cienie pod oczami, proste, założone za uszy włosy; paliła i kaszłała jednocześnie.

- O co chodzi? - spytała nieuprzejmie.

Nie wyglądała zachęcająco, ale Signora powtórzyła swoją historię.

- Dlaczego szuka pani miejsca w tej okolicy?

- Bardzo długo nie było mnie w Irlandii, nie znam teraz miasta, a muszę gdzieś mieszkać. Nie miałam pojęcia, że wszystko tak zdrożało i... i przyszedłam tutaj, gdyż stąd widać góry.

Z jakiegoś powodu sprawiło im to przyjemność. Może dlatego, że nie krył

się w tym żaden podstęp.

- Nigdy jeszcze nikomu nie wynajmowaliśmy - zawahała się kobieta.

- Nie sprawię kłopotu.

- Będzie pani chciała z nami jeść? - Mężczyzna wskazał na stół, na którym stał talerz z grubymi, nieapetycznymi kanapkami, masłem nie wyjętym z folii i mlekiem w butelce.

- Nie, nie dziękuję. Myślę, że kupię czajnik elektryczny; głównie jem sałatki, i chyba mogłabym kupić maszynkę. Do podgrzewania zupy, dobrze?

- Nawet nie widziała pani pokoju - zdziwiła się kobieta.

- Mogłaby mi go pani pokazać? - Jej głos był delikatny, ale pewny siebie.

Poszli schodami w górę, Jerry obserwował ich z dołu.

Był to mały pokój z umywalką. Pusta szafa na ubrania i etażerka na książki, gołe ściany. Nic, co by wskazywało, że mieszkała tu piękna, energiczna Suzi o rudych długich włosach i ognistych oczach.

Powoli robiło się ciemno. Pokój znajdował się na tyłach domu. Wychodził

na nieużytki, na których wkrótce miały stanąć nowe domy, ale teraz teren świecił pustką.

- Cudowny widok - rzekła Signora. - We Włoszech, gdzie mieszkałam, nazwaliby to Vista del Monte, co znaczy widok na góry.

- To nazwa szkoły, do której chodzi nasz chłopiec, Mountainview -

zauważył mężczyzna.

Signora uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli państwo mnie przyjmą... myślę, że znalazłam piękne miejsce.

Zauważyła, jak wymienili między sobą spojrzenia, zastanawiając się pewnie, czy nie ma pomieszane w głowie i czy rozważnie postąpili wpuszczając ją do domu.

Pokazali jej łazienkę. Zaraz ją uprzątną, dadzą wieszak na ręcznik.

* * *

Usiedli na dole i zaczęli rozmawiać. Jej łagodność zdawała się poprawiać ich maniery. Gospodarz uprzątnął stół, gospodyni zgasiła papierosa i wyłączyła telewizor. Chłopiec usiadł w oddalonym kącie pokoju, obserwując ich z zainteresowaniem.

Wyjaśnili, że po drugiej stronie ulicy mieszka małżeństwo, które żyje z informowania urzędu podatkowego o finansowych poczynaniach innych, więc jeśli wynajmą Signorze pokój, będzie musiała się podawać za ich krewną, tak by państwo Ciekawscy nie mogli donieść, że w domu mieszka osoba przynosząca dochody.

- Może kuzynka? - Signora najwyraźniej przejęła się rolą. Opowiedziała im, jak długo mieszkała we Włoszech,

a widząc na ścianach zdjęcia papieża i Najświętszego Serca Jezusa dodała, że jej mąż Włoch zmarł niedawno, więc wróciła do Irlandii, żeby rozpocząć życie od nowa.

- Nie ma pani tutaj rodziny?

- Tylko kilku krewnych. Kiedyś się do nich wybiorę -powiedziała Signora, która miała tutaj matkę, ojca, dwie siostry i dwóch braci.

Oni z kolei mówili jej, w jakich ciężkich czasach teraz żyją- Jimmy pracuje na zlecenia, jako kierowca taksówek, półciężarówek, cokolwiek się trafi, a Peggy w supermarkecie przy kasie.

Znów zaczęli rozmawiać o pokoju na górze.

- Należał do kogoś z rodziny? - spytała uprzejmie Signora.

Wyjaśnili, że do córki, ale wolą mieszkać bliżej miasta. Potem przeszli do spraw pieniężnych i Signora pokazała im swój portfel. Miała pieniądze na opłacenie pięciu tygodni. Czy chcieliby zapłatę na miesiąc z góry?

Państwo Sullivan spojrzeli na siebie zakłopotani. Nieufnie odnosili się do takich nierzeczywistych ludzi, którzy bez wahania pokazywali im swój cały portfel.

- Czy to wszystko, co pani ma?

- Tak, ale jak tylko znajdę pracę, będę miała więcej - powiedziała swobodnie Signora. Ciągłe się wahali. - Może wyjdę na chwilę, a państwo się naradzą - dodała i wyszła do ogródka za domem, skąd mogła popatrzeć na góry w oddali, nazywane przez niektórych wzgórzami. Nie były poszarpane, spiczaste i ciemne, jak jej góry na Sycylii.

Tam, w Annunziata, ludzie zajmowali się teraz swoimi sprawami. Czy ktoś pomyśli o Signorze i zastanowi się, gdzie dzisiaj złoży głowę?

* * *

Państwo Sullivan podeszli do drzwi, podjęli decyzję.

- Ponieważ nie ma pani za wiele pieniędzy i w ogóle, pewnie chciałaby pani zostać od razu, prawda? - spytał Jimmy Sullivan.

- Byłoby wspaniale - ucieszyła się Signora.

- Wynajmiemy pani na tydzień i jeśli wszyscy będziemy zadowoleni, porozmawiamy, co dalej - oznajmiła Peggy.

Oczy Signory zabłysły.

- Grazie, grazie - wyrwało się jej. - Bardzo długo tam mieszkałam... - zaczęła się tłumaczyć.

Nie poczuli się urażeni. Traktowali ją jak niegroźną ekscentryczkę.

- Pomoże mi pani przygotować łóżko? - poprosiła gospodynię.

Jerry patrzył na nich bez słowa.

- Nie sprawię kłopotu, Jerry - powiedziała Signora.

- Skąd pani wie, że nazywam się Jerry? - spytał. Signora miała nadzieję, że rodzice wcześniej zwrócili się

do niego po imieniu. Popęłniła błąd, ale nauczyła się już zacierać za sobą ślady.

- Bo tak ci na imię - rzekła po prostu. Wydawał się zadowolony z odpowiedzi. Peggy wyjęła prześcieradła i koce.

- Miałam narzutę, ale Suzi zabrała ją ze sobą - wyjaśniła.

- Tęskni pani za nią?

- Odwiedza nas raz w tygodniu, ale zwykle wtedy, gdy nie ma ojca. Odkąd skończyła dziesięć lat, nie potrafi z nim rozmawiać. To przykre, ale tak już jest. Lepiej, żeby mieszkała sama niż mieliby się tu kłócić cały czas.

Signora rozłożyła narzutę z wyhaftowanymi nazwami włoskich miast.

Była owinięta w papier, w środku znajdował się dzbanek. Przywiozła ze sobą niewiele rzeczy. Była zadowolona, że Peggy może zobaczyć, jak niewinne życie prowadziła.

Gospodyni popatrzyła na nią zdumiona.

- Gdzie, na Boga, pani to dostała? Jest piękne!

- Sama to robiłam przez lata, wyszywając kolejne miejscowości. Tutaj jest Rzym, a tu Annunziata, wioska, w której mieszkałam.

Oczy Peggy zaszkliły się łzami.

- Pani i on leżeliście pod tym razem... to smutne, że umarł.

- O tak, bardzo.

- Długo był chory?

- Nie, zginął w wypadku samochodowym.

- Ma pani jego zdjęcie, aby tu może postawić? - Peggy wskazała szafkę.

- Nie, nie mam żadnych zdjęć. Mario jest tylko w moim sercu i myślach.

Cisza zawisła w powietrzu.

Peggy Sullivan postanowiła zmienić temat.

- Jeśli potrafi pani tak pięknie wyszywać, nie będzie pani musiała szukać pracy. Zaręczam, że każdy panią zatrudni.

- Nigdy nie myślałam o zarabianiu szyciem - powiedziała Signora w zamyśleniu.

- Co pani zamierza robić?

- Może uczyć albo oprowadzać wycieczki. Sprzedawałam wyszywane drobiazgi turystom na Sycylii. Ale nie sądzę, żeby ktoś chciał je tutaj kupować.

- Może pani wyszywać coś charakterystycznego dla Irlandii, jak liście koniczyzny czy harfy - zaproponowała Peggy.

Ale żadnej z nich nie spodobał się ten pomysł. Skończyły porządkować pokój. Signora powiesiła swoje nieliczne ubrania. Była z siebie wyraźnie zadowolona.

- Dziękuję za ofiarowanie mi tak szybko nowego domu. Właśnie mówiłam synowi państwa, że nie będę sprawiała kłopotu.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi, z nim są same problemy. Straszliwy z niego leń. Złamał nam serce i nie wątpię, że skończy w rynsztoku.

Przynajmniej Suzi jest zdolna.

- To taki wiek. Jestem pewna, że mu przejdzie. - Signora w ten sam sposób pocieszała i uspokajała Maria. Tego właśnie oczekują rodzice.

- W każdym razie długo to trwa. Czy chce pani przed pójściem spać zejść do nas czegoś się napić?

- Nie, dziękuję. Jak obiecałam, nie będę się narzucać. Jestem zmęczona, pójdę od razu do łóżka.

- Ale nie ma pani nawet czajnika, żeby sobie zrobić herbaty.

- Bardzo dziękuję, naprawdę nie trzeba.

Peggy zeszła na dół. Jimmy oglądał program sportowy.

- Ścis� ten telewizor, Jimmy. Kobieta jest zmęczona, jechała cały dzień.

- Dobry Boże, czyżby wróciły czasy, gdy dzieciaki były małe? Nic, tylko uciszanie?

- Nie, ale tak samo rwiesz się do tych pieniędzy jak ja.

- Jest trochę dziwna. Dowiedziałaś się czegoś o niej?

- Twierdzi, że była mężatką i że mąż zginął w wypadku samochodowym.

- I oczywiście jej nie wierzysz?

- Nie ma jego żadnego zdjęcia. Nie wygląda na mężatkę. I na łóżku rozłożyła sobie narzutę, która wygląda raczej jak ornat księdza. Gdyby była mężatką, w życiu nie znalazłaby czasu, żeby zrobić coś takiego.

- Czytasz za dużo książek i oglądasz za dużo telewizji.

- Według mnie nie jest całkiem normalna.

- Ale raczej nie wygląda na morderczynię.

- Za to może być zakonnica, ma taki łagodny sposób bycia. Tak właśnie myślę. Była, a nawet jest. Dzisiaj nigdy nic nie wiadomo.

- Któż to wie - zamyślił się Jimmy. - W takim razie uważaj, co przy niej mówisz o Suzi. Wyfrunie stąd natychmiast, gdy tylko usłyszy, jak się prowadzi ta mała bezwstydnica.

* * *

Signora stała przy oknie, spoglądając ponad pustkowiem na góry.

Czy to miejsce stanie się jej domem?

Czy nie załamie się, gdy zobaczy matkę i ojca, tak bardzo teraz słabych i niesamodzielnych? Czy wybaczy im zniewagi i chłód? Ich milczenie, gdy się dowiedzieli, że nie zamierza posłusznie się zgodzić na prowadzenie im domu i wypełnianie obowiązków niezamężnej córki?

Czy też zostanie w tym odrapanym, małym domu z hałaśliwymi domownikami, posępnym chłopcem, nielojalną córką? Tak, Signora będzie miła dla państwa Sullivanów, rodziny, której nigdy przedtem nie spotkała.

Spróbuje pogodzić Suzi z ojcem. A także znaleźć sposób na zainteresowanie posępnego chłopca jakąś pracą. W wolnym czasie obrębi zasłony, odnowi poduszki w pokoju gościnnym, przyszyje wstążki na brzegach ręczników w łazience. Ale robi to stopniowo. Lata spędzone w Annunziata nauczyły ją cierpliwości.

Jutro nie pojedzie obejrzeć domu matki ani odwiedzić ojca.

Zobaczy się jednak z Brendą i „Pierzynką” i będzie pamiętała, że ma się do niego zwracać Patrick. Ucieszą się, że znalazła już mieszkanie i że szuka pracy. Może zaproponują jej coś u siebie w restauracji. Mogłaby zmywać i przygotowywać warzywa w kuchni, jak ten chłopiec, który poślubił córkę Maria.

Signora umyła się i włożyła białą koszulę nocną ozdobioną małymi różyczkami, które wyhaftowała na kołnierzyku. Pamięta, jak Mario uwielbiał je gładzić, zanim zaczął gładzić ją.

Mario, śpiący na cmentarzu nieopodal dolin i gór. Tak dobrze ją znał, wiedział, że teraz go usłucha i wyjedzie, chociaż nie zrobiła tego, gdy żył.

Jednak mimo wszystko był chyba szczęśliwy, że przyjechała za nim do wioski

i mieszkała obok przez dwadzieścia sześć lat. Byłby jej wdzięczny, że pozwoliła wdowie po nim zachować godność i szacunek.

Tak często uszczęśliwiała go pod tą narzutą, ubrana właśnie w tę koszulę nocną. Dawala mu radość

wysłuchując jego zmartwień, gładząc jego głowę, uspokajając i radząc. Słuchała odgłosów podwórka, szczekania obcych psów i krzyków dzieci.

Szybko zaśnie i jutro rozpocznie nowe życie.

* * *

W południe Brenda rutynowo obchodziła restaurację Quentin. W

pobliskim kościele dzwony biły na Anioł Pański, ale Dublin rzadko teraz je słyszał i nie zatrzymywał się na odmówienie modlitwy, jak to czynił, gdy Brenda była małą dziewczynką. Nienagannie umalowana, ubrana w jasną kolorową sukienkę z wykrochmalonym białym kołnierzykiem.

Uważnie sprawdzała każdy stolik. Kelnerzy wiedzieli, że lepiej od razu wszystko dobrze przygotować, ponieważ Brenda nie darowała najmniejszego nawet niedopatrzenia. Pan Quentin, który mieszkał za granicą, twierdził, że jego imię w Dublinie zyskało renomę tylko dzięki Brendzie i Patrickowi. Brenda chciała, by tak zostało.

Większość pracowników była tu zatrudniona już jakiś czas, dobrze znali swoje zwyczaje i byli zgrani. Mieli sporo stałych klientów, którzy lubili, gdy zwracano się do nich po imieniu. Brenda podkreślała, jak ważne jest, aby pamiętać o drobnych szczegółach z ich życia. Czy podobała się im podróż? Czy piszą nową książkę? Wspaniale, że ukazało się ich zdjęcie w

„Irish Times”, miło słyszeć, że ich koń wygrał w Curragh.

Chociaż Patrick uważał, że klienci przychodzą jedynie, aby coś zjeść, Brenda wiedziała, że przychodzą także, gdyż czują się mile widziani i są traktowani z szacunkiem. Wiele lat spędziła uśmiechając się do całkiem zwykłych ludzi, którzy później, gdy stali się osobistościami, pamiętali jednak o ciepłym przyjęciu, którego zaznali u Quentina. Był to główny powód chodzenia na lunch, jeśli nawet czasy zmuszały do zaciśnięcia pasa.

80

Brenda poprawiała kwiaty na stole przy oknie, gdy usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi. To nie mógł być gość na lunch. Dublińczycy jadają późno i nie pojawiają się u Quentina przed dwunastą trzydzieści.

Kobieta weszła z wahaniem. Miała pięćdziesiątkę, może trochę więcej, włosy pokryte siwizną, ale przetkane czerwonymi pasmami, związane luźno do tyłu kolorową chustką. Ubrana w długą brązową spódnicę, sięgającą prawie kostek i niemodny żakiet, jaki nosiło się w latach siedemdziesiątych. Nie była ani niechlujna, ani elegancka, po prostu zupełnie inna. Właśnie miała zbliżyć się do Neli Dunne, która siedziała przy kasie, gdy Brenda ją poznała.

- Nora O'Donoghue! - krzyknęła zaskoczona. Nie widziała jej od wieków.

Młodzi kelnerzy i Neli Dunne przy kasie patrzyli zdumieni, jak Brenda, zawsze opanowana Brenda Brennan, rzuciła się w stronę dziwnie wyglądającej kobiety i objęła ją serdecznie.

- Mój Boże, a więc wreszcie stamtąd wyjechałaś! Wróciłaś do domu!
- Tak, wróciłam - powiedziała Signora. Nagle twarz Brendy zachmurzyła się.
- Chyba nie... nie zmarł twój ojciec, ani nic takiego?
- Nie, nic o tym nie wiem.
- Czyli nie mieszkaś z nimi?
- Ach nie, skąd.
- Świetnie, wiedziałam, że się nie poddasz. A jak się czuje twój miły?

I wtedy twarz Signory zmieniła się. Uszło z niej całe życie.

- On nie żyje, Brendo. Umarł. Zginął w wypadku samochodowym.

Spoczywa na cmentarzu w Annunziata.

Wyczerpało ją już samo mówienie o tym. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. Restauracja wypełni się za czterdzieści minut. Brenda musi wszystkiego dopilnować, reprezentować Quentina, a nie rozpaczać z przyjaciółką nad utraconą miłością. Szybko podjęła decyzję. Miała jeden gabinet zarezerwowany dla zakochanych lub ludzi pragnących zjeść lunch na osobności. Tam posadzi Norę. Zaprowadziła przyjaciółkę na miejsce i poprosiła o przyniesienie

81

dużej brandy i szklanki wody z lodem. Na pewno coś pomoże.

Z wprawą zmieniła listę rezerwacji i poprosiła Neli Dunne, aby zrobiła kopię nowej wersji.

Neli od razu zainteresowała się wydarzeniem.

- Czy możemy w czymś pomóc... w tej sytuacji, pani Brennan? - spytała niedyskretnie.

- Tak, dziękuję ci Neli. Zrób kopię listy i upewnij się, że kelnerzy i kuchnia ją otrzymają. Dziękuję - powiedziała Brenda szybko i chłodno.

Neli Dunne czasami ją denerwowała, chociaż trudno by jej było wytłumaczyć, dlaczego.

Brenda Brennan, znana przez klientów, jak i pracowników z raczej zimnego usposobienia, weszła do gabinetu i wspólnie z przyjaciółką zaczęła wylewać łzy nad śmiercią Maria i przymusowym powrotem Nory.

To był koszmar, ale i historia miłosna. Brenda rozmarzyła się. Jak to jest kochać tak namiętnie, tak dziko, nie oglądając się na konsekwencje, nie myśląc o przyszłości.

Goście nie zauważą w gabinecie Signory, tak jak nie zauważyli członka rady ministrów i jego przyjaciółki, którzy często tu przychodzili, czy też

„łowcy głów”, starającego się skusić obiecującego kandydata z innej firmy. Będzie tu bezpieczna.

Brenda otarła łzy, poprawiła makijaż, wygładziła kołnierzyk i wróciła do pracy. Signora od czasu do czasu wyglądała z gabinetu, patrząc zdumiona, jak Brenda prowadzi bogatych ludzi do stolików, pyta o rodzinę i pracę...

A jakie ceny na karcie dań? Za takie sumy można by utrzymać w Annunziata rodzinę przez cały tydzień. Skąd ci ludzie biorą pieniądze?

- Szef dzisiaj poleca szczególnie świeżego skarpia i różne gatunki grzybów. Zostawię teraz państwa i Charles przyjmie zamówienia, jak tylko państwo się zdecydują.

Kiedy Brenda się tego nauczyła? Nazywać „Pierzynkę” szefem, mówić o nim z takim szacunkiem, trzymać się tak prosto? Być taką pewną siebie?

Gdy Signora zabiegała o szacunek dla siebie, szukała miejsca, w którym mogłaby zamieszkać, inni parli do przodu. Tego właśnie będzie się musiała nauczyć w nowym świecie. Jeśli chce przeżyć.

Signora wytarła nos i wyprostowała się. Nie siedziała już zgarbiona nad stołem, z przerażeniem wpatrując się w kartę. Zamówiła sałatkę pomidorową i wołowinę. Tak dawno nie jadła mięsa. Nie pozwalały jej na to finanse i pewnie nigdy nie pozwolą. Zamknęła oczy prawie mdlejąc na widok cen, ale Brenda nalegała. Zamawiaj, co chcesz, to lunch powitalny.

Na stole pojawiła się butelka chianti. Signora powstrzymała się, żeby nie spojrzeć na cennik. To był prezent, musi go przyjąć.

Dopiero gdy zaczęła jeść, poczuła, jak jest głodna. Prawie nie jadła w samolocie, podekscytowana, albo raczej zdenerwowana. Później u Sullivanów także nic nie jadła. Sałatka pomidorowa posypana świeżą bazylią smakowała wysmienicie. Kiedy nauczyli się tak przygotowywać potrawy w Irlandii? Wołowinę podano lekko przysmażoną, warzywa były kruche i soczyste. Zawsze jej się wydawało, że powinny być miękkie i rozgotowane, póki nie nauczyła się ich przyrządzać.

Po posiłku poczuła się znacznie lepiej.

- Już dobrze, nie będę więcej płakać - powiedziała, gdy największy tłum przeszedł i Brenda siadła naprzeciw

niej.

- Nie wracaj do matki, Noro. Nie chciałabym stawać między tobą a rodziną, ale naprawdę ona nigdy nie była dla ciebie matką, wtedy, gdy jej potrzebowałeś. Dlaczego masz być jej córką, gdy ona teraz cię potrzebuje?

- Nie, nie czuję się w obowiązku jej pomagać. Wcale.

- Dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą Brenda.

- Ale muszę podjąć pracę, zarobić na siebie. Nie przydałby ci się ktoś do obierania ziemniaków, sprzątanania czy czegoś w tym rodzaju?

Brenda delikatnie wyjaśniła, że Signora by sobie nie poradziła. Mieli młodych pracowników, praktykantów. Sami kiedyś byli praktykantami dawno temu. Zanim... cóż, zanim wszystko uległo zmianie.

- Poza tym, Noro, nie w twoim wieku, jesteś zbyt wykształcona. Możesz wykonywać różne inne prace, na przykład w biurze, możesz uczyć włoskiego.

- Tak, jestem za stara. W tym problem. Nigdy nie korzystałam

z maszyny do pisania, nie mówiąc o komputerze. Nie mam żadnych kwalifikacji, aby uczyć.

- Lepiej się zarejestruj, żebyś dostała pieniądze - zaproponowała jak zawsze praktyczna Brenda.

- Zarejestruj?

- Po zasiłek dla bezrobotnych.

- Nie mogę tego zrobić. Nie mam uprawnień.

- Owszem masz. Jesteś Irlandką, tak?

- Ale tak długo tu nie mieszkałam, nic nie zrobiłam dla tego kraju. -

Signora była nieugięta.

Brenda wyglądała na zmartwioną.

- Nie możesz zachowywać się jak Matka Teresa. Takie jest życie, musisz o siebie zadbać i brać, co ci się należy.

- Nie martw się o mnie, Brendo, trudno mnie złamać. Popatrz, przez co przesłam przez ostatnie ćwierć wieku. Większość ludzi by się poddała. W

ciągu kilku godzin po przyjeździe do Dublina znalazłam mieszkanie. Pracę też znajdę.

Brenda zaprowadziła Signorę do kuchni, aby przywitała się z „Pierzynką”.

Z trudem mówiła do niego po imieniu. Powitał ją uprzejmie i oficjalnie złożył wyrazy współczucia z powodu śmierci męża. Czy rzeczywiście myślał, że Mario był jej mężem, czy też powiedział tak, gdyż czuł się zakłopotany, czując na sobie pełne szacunku i podziwu spojrzenia swoich pracowników.

Signora podziękowała mu za wyborny posiłek i obiecała, że następnym razem będzie płacić sama.

- Wkrótce zamierzamy zorganizować sezon kuchni włoskiej. Może przetłumaczyłaby pani dla nas kartę dań? - zasugerował Patrick.

- Z przyjemnością. - Oczy Signory zaślniły. Odwdzięczy się za darmowy posiłek, który kosztował pewnie więcej, niż mogłaby zarobić przez dwa tygodnie.

- Oczywiście zrobimy to oficjalnie, za opłatą - nalegał Patrick. Jak Brennanowie stali się tacy grzeczni i taktowni? Potrafili ofiarować jej pieniądze tak, by nie wyglądało to na jałmużnę.

Signora nabrała pewności siebie.

- Porozmawiamy, kiedy przyjdzie na to czas. Nie będę was zatrzymywała.

Skontaktuję się z wami w przyszłym tygodniu

i powiem, co załatwiłam. - Wyszła szybko bez zbędnych pożegnań.

Nauczyła się tego podczas długich lat w swojej wiosce. Ludzie lubią, gdy nie przedłuża się wizyty w nieskończoność, gdy wiedzą, że rozmowa ma koniec. Kupiła herbatę, ciasteczka i jako luksus kostkę mydła. Po drodze wstępowała do restauracji pytając o możliwość pracy w kuchni, ale wszędzie uprzejmie jej odmawiano. Spróbowała także w supermarkecie przy zapełnianiu półek i w kiosku jako pomocnica przy rozpakowywaniu gazet. Miała wrażenie, że patrzą na nią ze zdziwieniem. Czasami pytali ją, dlaczego nie zgłosi się do biura pośrednictwa pracy i gdy patrzyła na nich bezmyślnie, utwierdzali się w przekonaniu, że nie jest całkiem normalna.

Ale nie poddawała się. Szukała pracy do piątej. Potem wsiadła w autobus i pojechała tam, gdzie mieszkała jej matka. Domki stały na oddzielnych posesjach, ogródki z klombami, niskie krzewy i runo kształtowały krajobraz, jak to się fachowo określało. Do większości domów prowadziły podjazdy i schody. Projekty wykonano na potrzeby ludzi starszych. Stare drzewa i krzaki wokół, czerwona cegła, wszystko to dawało poczucie stabilności i bezpieczeństwa, rzecz najważniejsza dla tych, którzy sprzedawali swoje domy rodzinne, aby tutaj dożyć końca swoich dni.

Signora usiadła za dużym drzewem. Trzymała na kolanach papierową torbę z zakupami i obserwowała drzwi pod numerem 23, jak się jej wydawało, niezwykle długo. Przyzwyczała się do czekania bez ruchu, nigdy nie zauważała upływu czasu. Nie nosiła zegarka, więc mijające godziny nie miały dla niej znaczenia. Będzie tak patrzyła, aż zobaczy matkę, jeśli nie dzisiaj, to innego dnia. Nie podejmie żadnej decyzji, dopóki nie ujrzy twarzy matki. Może w jej sercu zrodzi się współczucie czy miłość z dawnych lat, a może przebaczenie. Albo dostrzeże w niej tylko obcą osobę lub kogoś, kto kiedyś odtrącił miłość i przyjaźń.

Signora ufała swoim odczuciom. Wiedziała, że wybierze najlepsze rozwiązanie.

Tego wieczoru nikt nie wszedł ani nie wyszedł z domu pod numerem 23.

O dziesiątej Signora zrezygnowała i wróciła autobusem do Sullivanów.

Cicho weszła do środka i poszła

na górę, mówiąc dobranoc w stronę pokoju, w którym świecił telewizor.

Jerry siedział z rodzicami. Nic dziwnego, że chłopiec nie wykazywał

zainteresowania szkołą, jeśli o tej porze oglądał jeszcze westerny.

Znaleźli dla niej elektryczną kuchenkę i stary czajnik. Zrobiła sobie herbatę i wyrzała przez okno na góry. Przez te trzydzieści sześć godzin rzadko wspominała życie w Annunziata i spacerzy do Vista del Monte.

Ciekawe, czy Gabriella pożałuje, że odesłała ją do domu. Czy Paolo i Gianna będą za nią tęsknić? Czy signora Leone zastanawia się, jak powodzi się jej przyjaciółce Irlandce daleko za morzem? Potem umyła się nowym mydłem o miłym sandałowym zapachu i zasnęła. Nie słyszała strzałów rewolwerowych i wybuchów bomb dochodzących z telewizora.

Spała długo i głęboko.

Gdy wstała, dom był pusty. Peggy wyszła do supermarketu, Jimmy do pracy, a Jerry do szkoły. Wyruszyła do miasta. Tym razem wybierze się do domu matki z rana. Pracy poszuka później. Znów zajęła miejsce pod drzewem i nie musiała długo czekać. Pod numer 23 podjechał mały samochód, z którego wysiadła gruba, przysadzista kobieta z trwałą ondulacją na rudych włosach. Signora zamarła, rozpoznając w niej swoją siostrę Ritę. Wyglądała na kobietę w podeszłym wieku, chociaż miała dopiero czterdzieści sześć lat. Była dziewczyną, gdy Signora wyjechała.

Nie dostała oczywiście fotografii ani serdecznych listów od rodziny. Musi o tym pamiętać. Pisali tylko wtedy, gdy jej potrzebowali, kiedy komfort życia stał się ważniejszy od wysiłku skontaktowania się z szaloną kobietą, która zhańbiła się, uciekając na Sycylię za żonatym mężczyzną.

Rita miała twarz surową i napiętą.

Przypominała matkę Gabrielli, drobną kobietę, której oczy ciskały wokół

wściekłe spojrzenia, wszędzie szukającą czyjejs winy, ale nie umiejącą jej zdefiniować. Czy to rzeczywiście jej mała siostrzyczka, ta kobieta ze zgarbionymi plecami, stopami wciśniętymi w za małe buty, stawiająca kilkanaście drobnych kroczków, kiedy wystarczyłoby kilka? Signora patrzyła przerażona zza drzewa. Drzwi samochodu były otwarte, pewnie poszła po matkę. Signora zebrała

86

się w sobie, przygotowując się na szok. Jeśli Rita wygląda staro, to co dopiero matka?

Starła się przywołać obraz starszych ludzi w Annunziata. Mali, zgarbieni nad laską, siedzący na placu i obserwujący przechodniów, zawsze uśmiechnięci. Często dotykali jej spódnicy i podziwiali jej hafty mówiąc:

„Bella,

bellissima”.

Jej matka wyglądała inaczej. Była dobrze się trzymającą siedemdziesięciosiedmiolatką. Miała brązową sukienkę i rozpinany sweter, włosy jak dawniej upięte z tyłu w niemodny kok, który tak krytykował

Mario: „Matka wyglądałaby o wiele ładniej, gdyby rozpuściła włosy”.

Trudno sobie wyobrazić, że matka była wtedy tylko trochę starsza niż ona teraz. Taka surowa, nieprzejednana, zdecydowana postępować według zasad religii, chociaż w duchu nie była o nich

przekonana. Gdyby matka stanęła w jej obronie, wszystko ułożyłoby się inaczej. Signora przez te lata miałaby w kimś oparcie i może by wróciła, aby zaopiekować się rodzicami nawet tam na wsi, na małej farmie, którą opuścili z bólem serca.

Ale teraz? Stały od niej zaledwie o metry... gdyby zawołała, usłyszałyby.

Widziała, jak Rita spięła się jeszcze bardziej z irytacji i urazy, gdy ich matka ją ofuknęła:

- Dobrze już, dobrze. Przecież wsiadam, nie musisz mnie poganiać. Sama kiedyś będziesz stara, to zobaczysz.

Nie cieszyły się ze spotkania, nie wyczuwało się żadnej wdzięczności za podwiezienie do szpitala, żadnego współczucia i solidarności dla pozostającego w domu opieki starszego mężczyzny.

To pewnie dzień Rity, następny Helen, bratowe też brały udział w tym bezdusznym podwożeniu i opiece. Nic dziwnego, że nalegały na powrót szalonej kobiety z Włoch. Samochód odjechał, na przednich siedzeniach siedziały sztywno dwie kobiety, nie padły żadne słowa, nawet zdawkowe.

Jak to możliwe, że Signora nauczyła się kochać tak mocno, skoro pochodziła z rodziny zupełnie pozbawionej uczuć? Po tym, co zobaczyła, mogła podjąć właściwą decyzję. Z dumnie podniesioną głową opuściła estetycznie zagospodarowane

87

ogrody. Wszystko stało się jasne. Nie będzie niczego żałowała ani obciążała się winą.

* * *

Poszukiwania pracy tego popołudnia także spełzły na niczym, ale nie straciła otuchy. Kiedy ponownie znalazła się w pobliżu rzeki Liffey, odszukała kawiarnię, gdzie pracowała Suzi. Dziewczyna ucieszyła się na jej widok.

- A więc poszła tam pani! Mama powiedziała mi, że mają lokatora. Spadł im jak z nieba.

- Pokój jest bardzo przyjemny, chciałam ci podziękować.

- Wcale nie jest przyjemny, ale pomoże pani przetrwać pierwsze tygodnie.

- Z okien widzę góry.

- Tak i około dwudziestu ton zwałów ziemi czekających na budowę kolejnych pudełek.

- Właśnie tego potrzebowałam, jeszcze raz dziękuję.

- Pewnie myślą, że jest pani zakonnica, tak?

- Niestety, daleko mi do zakonniczy.

- Mama mówiła, że zmarł pani mąż.

- W pewnym sensie to prawda.

- Chciała pani powiedzieć, że w pewnym sensie zmarł, tak?

Signora była bardzo spokojna, doskonale rozumiała, dlaczego ludzie biorą ją za zakonnicę.

- Nie, myślałam, że w pewnym sensie był moim mężem, ale nie widzę powodu, żebym musiała tłumaczyć się twojej matce i ojcu.

- Oczywiście, że nie. Lepiej nic nie mówić - zgodziła się Suzi i nalała jej kawy do filiżanki. - Na koszt firmy - dodała szeptem.

Signora uśmiechnęła się do siebie. Jeśli dalej tak pójdzie, będzie jadła za darmo w całym Dublinie.

- Dostałam darmowy lunch u Quentina, dobrze mi się powodzi -

powiedziała.

- Bardzo chciałabym tam pracować - zapaliła się Suzi. - Ubierałabym się w czarne spodnie jak kelnerzy. Byłabym jedyną kobietą poza panią Brennan.

- Znasz panią Brennan?

- To legenda. Chciałabym u niej pracować trzy lata i nauczyć się, czego trzeba, by później otworzyć własną restaurację.

Signora westchnęła z zazdrością. Jak cudownie móc tak mówić, a nie wysłuchiwać, jak kolejno odmawiają ci posady pomywaczki.

- Powiedz mi, dlaczego nie mogę dostać pracy, najzwyczajszej, przy sprzątaniu, czegokolwiek. Coś jest ze mną nie tak? Jestem za stara?

Suzi zagryzła wargi.

- Myślę, że zbyt porządnie pani wygląda. Moi rodzice też patrzyli na panią podejrzliwie. Wygląda pani zbyt inteligencko, a ludzie czują się wtedy niepewnie. Uważają taką osobę za dziwadło. Ludzie boją się dziwaków.

- Więc co powinnam zrobić?

- Niech stara się pani o lepszą pracę, jako recepcjonistka albo... Mama powiedziała, że ma pani haftowaną narzutę, tak piękną, że nie można od niej oderwać oczu. Może powinna pani zanieść ją do sklepu do pokazania, do odpowiedniego sklepu.

- Nie miałabym odwagi.

- Jeśli w tym wieku żyła pani we Włoszech z mężczyzną, który nie był

pani mężem, ma pani wystarczająco dużo odwagi - skwitowała Suzi.

Zrobiły listę najlepszych projektantów i salonów mody. Signora patrzyła na Suzi gryzącą ołówek, zastanawiającą się, jakie zna jeszcze sklepy, i poczuła, jak ogarnia ją fala marzeń. Może kiedyś zawiezie tę cudowną dziewczynę z powrotem do Annunziata, mówiąc, że to jej bratanica -miała takie same rude włosy. Pokaże tamtym ludziom, że w Irlandii ma dom i pokaże Irlandczykom, że we Włoszech jest kimś. Ale to był tylko sen, a Suzi mówiła jej o włosach.

- Mam przyjaciółkę, która pracuje w naprawdę eleganckim zakładzie fryzjerskim. Potrzebują chętnych na strzyżenie pokazowe. Może się pani zgłosi? Tylko za dwa funty zrobią piękną fryzurę. Normalnie zapłaciłaby pani dwadzieścia, trzydzieści razy więcej.

Czy to możliwe, żeby ludzie chcieli zapłacić sześćdziesiąt funtów za obcięcie włosów? Świat oszalał. Mario uwielbiał jej długie włosy. Ale Mario nie żyje. Tak jak wierzył, że po jego śmierci wróci do Irlandii, tak samo by oczekiwał, że obetnie włosy, gdyby to okazało się konieczne.

- Gdzie to jest? - spytała Signora i zapisała adres.

* * *

- Jimmy, ona obcięła włosy - szepnęła Peggy Sullivan. Jimmy słuchał

wywiadu z prezesem klubu piłkarskiego.

- Tak, świetnie - mruknął.

- Naprawdę ona nie jest tym, za kogo się podaje. Widziałam, jak wchodziła. Nie poznałbyś jej, wygląda dwadzieścia lat młodziej.

- Dobrze, dobrze. - Jimmy nastawił głośniej radio, ale Peggy zaraz je ściszyła.

- Miej trochę szacunku. Bierzemy od tej kobiety pieniądze, nie chcemy chyba, żeby ogłuchła.

- Dobra już, ale ucisz się trochę.

Peggy siedziała zasepiona. Signora, jak siebie nazywała, była bardzo dziwna. Nikt o tak prostej naturze nie przetrwałby w tym świecie. Nikt, mając tak mało pieniędzy, nie poszedłby do fryzjera, który musiał

kosztować fortunę. Peggy nie znosiła zagadek, a Signora zachowywała się bardzo tajemniczo.

* * *

- Proszę wybaczyć, że zabiorę dzisiaj narzutę. Nie chcę, żeby pani myślała, że boję się jej tu zostawić - tłumaczyła się Signora, gdy jedli śniadanie następnego ranka. - Wprowadzam swoją obecnością tyle zamieszania. Muszę pokazać, że potrafię coś zrobić. Obcięłam włosy w zakładzie, gdzie potrzebowali ochotników na pokazy. Czy państwo uważają, że wyglądam trochę normalniej?

- Bardzo ładnie, Signora - pochwalił Jimmy Sullivan.

- Wygląda pani bardzo elegancko - przyznała Peggy.

- Czy są farbowane? - zainteresował się Jerry.

- Nie, to naturalny kolor. Rzeczywiście dość niezwykły. Jak to określiła fryzjerka, mają barwę sierści dzikiego

zwierzęcia - wyjaśniła Signora, nie urażona pytaniem Jerry'ego ani opinią fryzjerki.

* * *

Z przyjemnością słuchała, jak chwala jej pracę, jak podziwiają skomplikowany wzór haftu i wymyślne połączenie nazw miejscowości z kwiatami. Ale nie zaproponowano jej pracy. Wprowadzą oczywiście jej nazwisko do kartoteki. Gdy podała im adres, zdziwili się, myśląc, że mieszka w eleganckiej dzielnicy. Podobnie jak poprzednio wszędzie jej odmawiano, ale traktowano z większym szacunkiem i mniejszym zaskoczeniem. Projektanci mody, butiki i członkowie zespołów teatralnych oglądali jej prace z prawdziwym zainteresowaniem. Suzi miała rację mówiąc, że powinna mierzyć wyżej.

Czy odważy się być przewodniczką lub nauczycielką, kim przecież była przez pół swojego dorosłego życia w sycylijskiej wiosce?

* * *

Wieczory zaczęła spędzać na rozmowach z Jerrym. Przychodził i pukał do drzwi.

- Czy pani jest zajęta, Signora?

- Nie, proszę, wejść. Miło jest z kimś porozmawiać.

- Zawsze może pani zejść na dół. Nie będą mieli nic przeciw.

- Nie, nie. Nie po to wynajęłam pokój od twoich rodziców, żeby im siedzieć na głowie.

- Czym się pani zajmuje, Signora?

- Szyję ubranka dla dzieci, do butiku. Powiedzieli, że wezmą cztery.

Muszę to zrobić bardzo starannie, gdyż na materiał wydałam dużo pieniędzy i nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ich nie przyjęli.

- Czy pani jest biedna?

- Niezupełnie, ale nie mam dużo pieniędzy. - Odpowiedź była prosta i jasna. Całkowicie zadowolona Jerry'ego.

- Może przyniesiesz swoją pracę domową na górę, Jerry - zaproponowała.

- Dotrzymasz mi towarzystwa, a ja ci pomogę, jeśli będziesz chciał.

* * *

Siadali tak razem przez cały maj, prowadząc luźne rozmowy. Jerry poradził jej, żeby uszyła pięć ubranek, udając, że umówiła się na pięć.

Sklep kupił wszystkie i zamówił następne.

Signora zainteresowała się nauką Jerry'ego.

- Przeczytaj ten wiersz jeszcze raz, zobaczymy, o co w nim chodzi.

- To tylko jakiś przedpotopowy poemat, Signora.

- Ale musi zawierać w sobie jakąś treść. Pomyślmy. Recytowali razem:

„Zasadzę dziewięć rzędów fasoli”.

- Ciekawe, dlaczego dziewięć - zastanawiała się Signora.

- To jakiś stary poeta. Nie sądzę, żeby wiedział, o czym pisze.

- „I zamieszkał samotnie wśród brzęczenia pszczoł”. Wyobraź sobie, Jerry. On chciał słyszeć tylko brzęczenie pszczoł, nie lubił odgłosów miasta.

- Był oczywiście stary. -Kto?

- No, Yeats, ten, który napisał ten wiersz.

* * *

Krok po kroku zaczęła w nim rozbudzać różne zainteresowania. Udawała, że pamięć jej nie służy jak dawniej. Szła i prosiła, by wciąż jej opowiadał, czego nowego się nauczył. Więc Jerry czytał wiersze, pisał

wypracowania, rozwiązywał zadania z matematyki. Jedyłą rzeczą, do której nie mógł się przekonać, była geografia. Z powodu nauczyciela, pana O'Briena. Wydawał się świetnym facetem. Uczył o korytach rzek, warstwach gleby i erozji i innych rzeczach, ale zawsze jakby oczekując, że się już o tym wie. Pozostali nauczyciele nie mieli takiego podejścia, tym się różnił.

- W przyszłym roku ma zostać dyrektorem - poinformował Jerry.

- Czy w Mountainview cieszą się z tego powodu?

- Chyba tak, stary Walsh był do chrzanu.

Spojrzała na niego niepewnie, jakby nie rozumiała tego zwrotu.

- To znaczy, chciałem powiedzieć, że pan Walsh, ten stary, który jest obecnym dyrektorem, jest beznadziejny.

- Ach, rozumiem.

Jak doniosła Suzi, słownictwo Jerry'ego uległo zadziwiającej poprawie. A co więcej, jeden z nauczycieli powiedział, że zaczął odnosić sukcesy w nauce.

- Powinni pani płacić - orzekła Suzi. - Jak prywatnej guwernantce. To przykre, że nie może pani znaleźć pracy jako nauczycielka.

- Matka pani zaprasza mnie w czwartki na herbatę, żebyśmy mogły się poznać - oznajmiła Signora. - Przyjdzie też nauczyciel Jerry'ego. Ona liczy chyba na moją pomoc.

- Ten Tony O'Brien to podobno stary podrywacz. Słyszałam o nim to i owo. Musi pani na siebie uważać. Z nową fryzurą i w ogóle, trudno będzie pani się od niego opędzić.

- Nie związę się już uczuciowo z żadnym mężczyzną - powiedziała spokojnie Signora.

- Och, też tak mówiłam po drugim chłopaku, ale później zainteresowanie wróciło.

Spotkanie przy herbacie rozpoczęło się dość niezręcznie.

Peggy Sullivan nie wiedziała, jak się zachować, więc Signora przejęła rolę pani domu i zaczęła rozmowę. Powoli, prawie jak we śnie opowiadała o wrażeniach po powrocie do Irlandii, o licznych zmianach na lepsze.

- Szkoły dzisiaj są takie kolorowe i radosne. Jerry opowiada mi o nowych programach, jakie wprowadza pan w klasie geograficznej. Za moich czasów nic takiego nie było.

Po tym lody zostały przełamane. Peggy Sullivan obawiała się, że wizyta nauczyciela będzie polegała na przedstawieniu listy skarg na syna. Nie spodziewała się, że jej córka i Signora tak sobie przypadną do gustu. I że Jerry powie panu O'Brienowi o swoim pomysle sprawdzenia pochodzenia nazw ulic w okolicach jego domu. Jimmy przyszedł w połowie spotkania.

Jakie to szczęście, że Jerry ma ojca, który tak dobrze zna miasto i można się od niego dowiedzieć więcej niż z niejednej mapy.

Rozmawiali jak w normalnej rodzinie. Znacznie uprzejmiej niż w wielu innych, które zdążył odwiedzić. Zawsze

myślał, że Jerry Sullivan należy do tych chłopców, dla których nie ma już nadziei. Ale ta dziwna,

niespokojna kobieta, która najwyraźniej przejęła prowadzenie domu, miała dobry wpływ na chłopca.

- Musiała pani bardzo kochać Włochy, skoro została tam pani tak długo.

- O tak, bardzo.

- Nigdy nie byłem w tym kraju, ale mój kolega ze szkoły, Aidan Dunne, jeśli mu tylko pozwolić, może opowiadać o nim całymi godzinami.

- Pan Dunne uczy łaciny - mruknął Jerry ponuro.

- Łaciny? Mógłbyś chodzić na łacinę, Jerry. - Oczy Signory zabłysły.

- To tylko dla zdolnych, którzy idą potem na studia, aby zostać prawnikami, lekarzami czy innymi.

- Ależ skąd - zaprotestowali jednocześnie Signora i Tony O'Brien.

- Proszę, niech pani mówi... - zachęcił Signorę Tony.

- Żałuję, że nie uczyłam się łaciny, gdyż to korzenie innych języków, francuskiego, włoskiego czy hiszpańskiego. Jeśli znasz łacinę, rozumiesz skąd pochodzi wszystko inne! - zawołała z entuzjazmem.

- Chryste, pani naprawdę powinna poznać Aidana Dunne. Od lat o niczym innym nie mówi. Lubię, gdy dzieci uczą się łaciny, gdyż jest bardzo logiczna. Jak rozwiązywanie krzyżówek, uczy je myślenia, poza tym nie stwarza problemów z wymową.

Gdy nauczyciel wyszedł, dalej rozmawiali z ożywieniem. Signora wiedziała, że Suzi znacznie teraz nieco częściej przychodzić do domu i nie będzie musiała unikać swego ojca. Błędy zostały naprawione.

* * *

Signora spotkała się z Brendą na spacerze w Saint Stephen Green. Brenda przyniosła czerstwy chleb dla kaczek. Zaczęły je karmić, rozleniwione słońcem.

- Widuję się z twoją matką co miesiąc. Czy mam powiedzieć, że wróciłaś?

- A jak ty sądzisz?

94

- Odradzałabym ci, ale tylko z obawy, że mogłabyś do niej wrócić i z nią zamieszkać.

- Wcale mnie nie znasz. Jestem twardsza niż skała. Czy podoba ci się moja matka jako człowiek?
Szczerze.

- Nie, nie bardzo. Zaczęłam ich odwiedzać na twoją prośbę i potem tak zostało. Wydawała się taka

nieszczęśliwa, skarżyła się na Ritę i Helen, i te straszne synowe, jak je nazywa.

- Odwiedzę ją. Nie musisz mnie chronić.

- Nie idź. Nie zdołasz się przeciwstawić.

- Wierz mi, poradzę sobie.

Odwiedziła matkę tego popołudnia. Po prostu zadzwoniła do drzwi pod numerem 23.

Matka spojrzała na nią zakłopotana. -Tak?

- To ja, Nora, mamó. Przyszłam cię odwiedzić. Żadnego uśmiechu, wyciągniętych rąk, gestu powitania.

Tylko wrogość w małych brązowych oczach matki. Stały przez chwilę jak zmrożone. Matka nie cofnęła się, by wpuścić ją do środka, a Nora nie zamierzała się wpraszać. Odezwała się znowu.

- Przyszłam zapytać, jak się czujesz i czy tata chciałby się ze mną zobaczyć. Życzę wam wszystkim tylko dobra.

Matka zacisnęła usta.

- Czy kiedykolwiek zrobiłaś coś, co było dobre dla kogoś innego niż ty sama?

Signora stała nieruchomo w drzwiach. W takich wypadkach z nawyku przyjmowała postawę wyprostowaną i spokojną. Wreszcie matka cofnęła się w głąb mieszkania.

- Wejdz, skoro już jesteś - burknęła.

Signora rozpoznała kilka rzeczy z ich domu. Szafkę, gdzie trzymano chińską porcelanę i trochę srebra, jak dawniej najwyraźniej nie używaną i zanedbaną. Puste ściany, puste półki na książki. Głównym meblem był

telewizor. Na stole jadalnym na metalowej tacy stała butelka napoju pomarańczowego. Żadnych kwiatów, żadnych oznak radości życia. Matka nie poprosiła, by usiadła, ale Signora zajęła 95

miejsce przy stole. Raczej rzadko odbywały się przy nim jakieś spotkania, ale Signora była ostatnią osobą, która mogła ją za to krytykować. Sama przez dwadzieścia sześć lat mieszkała w pokoju, do którego nikt nie został

zaproszony na obiad. Może to rodzinne.

- Pewnie chcesz zapalić i zadymić cały pokój.

- Nie, matko. Nigdy nie paliłam.

- Skąd mam wiedzieć, co robiłaś, a czego nie?

- Rzeczywiście, skąd? - Głos miała spokojny.

- Przyjechałaś tu na wakacje, czy co?

Tonem, który doprowadzał matkę do szału, Signora wyjaśniła, że przyjechała tu na stałe, że znalazła pokój i zajęcie, drobne prace krawieckie. Ma nadzieję na lepszą pracę. Zignorowała pogardliwe prychnięcie matki, gdy powiedziała, w jakiej dzielnicy znalazła mieszkanie. Przerwała i czekała grzecznie na reakcję.

- Czy wyrzucił cię w końcu, ten Mario, czy jak tam się zwał?

- Wiesz, że nazywał się Mario, matko. Poznałaś go. Nie, nie wyrzucił

mnie. Gdyby żył, wciąż bym tam była. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym na górskiej drodze. Nie wątpię, że jest ci z tego powodu przykro. Zdecydowałam, że wrócę do Irlandii.

Umilkła wyczekująco.

- Przypuszczam, że kazali ci wyjechać, gdy nie mógł cię już chronić, tak się stało?

- Nie, mylisz się. Chcieli dla mnie jak najlepiej, wszyscy.

Matka prychnęła. Zaległa cisza.

- A więc zamierzasz mieszkać z tymi ludźmi, w tej niebezpiecznej okolicy, pełnej bezrobotnych i kryminalistów, zamiast z własną rodziną? Tego mamy oczekiwać? - Nie mogła tego pojąć.

- To bardzo miło, że proponujesz mi dom, matko, ale jesteśmy sobie obce już od dawna. Ja mam swoje życie i jestem pewna, że ty swoje. Nie obchodzę cię, więc tylko bym cię zanudzała moimi opowiadaniem. Dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia. Ale może mogłabym cię odwiedzać od czasu do czasu, i ojca, jeśli się zgodzi?

- Możesz sobie darować te gadki. Nie obchodzisz nas, to fakt.
- Staralam się utrzymywać kontakt ze wszystkimi. Pisałam list za listem.

Nie wiem nic o moich sześciu bratanicach i pięciu siostrzenicach i mam nadzieję ich poznać.

- Nikt nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Chyba musisz być szalona myśląc, że możesz tu wrócić, jakby się nic nie wydarzyło. Mogłaś być kimś. Spójrz na twoją przyjaciółkę Brendę, miła, zadbana osoba, mężatka z dobrą pracą. To kobieta, którą każda matka chciałaby mieć za córkę.

- Masz oczywiście Helenę i Ritę - zauważyła Signora. Matka zachnęła się.

Widocznie córki nie były najlepsze.

- Cóż, matko, skoro już wróciłam, zabiorę cię czasami na obiad czy na herbatę do miasta. Zadzwońię też do domu opieki i spytam, czy ojciec chciałby się ze mną zobaczyć.

Nastała cisza. Matka zaniemówiła. Signora nie podała dokładnego adresu, nie musiała się obawiać, że siostry ją znajdą. Nie czuła się z tego powodu winna. Ta kobieta nie kochała jej, nie dbała o jej potrzeby i dobro, nie odezwała się ani razu podczas tych długich lat starań o nic porozumienia i przyjaźń.

Wstała, by wyjść.

- Proszę, jaka wyniosła i silna. Ale jesteś kobietą w średnim wieku, nie myśl sobie, że jakkolwiek mężczyzna w Dublinie będzie cię chciał po tym, co zrobiłaś. Wiem, że istnieją rozwody i w ogóle, to łamię serce twemu ojcu, ale mimo to nie znajdziesz wielu mężczyzn w Irlandii, którzy chcieliby wziąć pięćdziesięcioletnią kobietę jak ty -resztki po innym mężczyźnie.

- Rzeczywiście, matko, to prawda, więc dobrze się składa, że nic nie planuję w tym kierunku. Skontaktuję się z tobą za kilka tygodni i przyjdę cię odwiedzić.

- Tygodni?

- Tak, i może przyniosę jakieś ciasto i napijemy się herbaty. Zobaczymy.

Przekaż serdeczne pozdrowienia Helenie i Ricie i powiedz, że do nich napiszę.

Wyszła, zanim matka zdała sobie z tego sprawę. Wiedziała, że natychmiast zadzwoni do córek. Nic tak dramatycznego nie spotkało jej od lat.

Nie czuła smutku. Miała to już za sobą. Ani winy. Czuła się odpowiedzialna jedynie za siebie, pragnęła zachować trzeźwy umysł, siłę i zdolność do pracy. Nie może stać się zależna od rodziny Sullivanów, bez względu na to, jak lubi ich córkę i jak stara się pomóc ich synowi. Nie może być ciężarem dla Brendy i Patricka, którzy bez wątpienia weszli na drogę sukcesu. Nie powinna też polegać na butikach, które nie mogły jej zagwarantować stałego dochodu z haftowanych ubranek.

Musi znaleźć jakąś pracę w szkole. Nie szkodzi, że nie ma kwalifikacji, przynajmniej wie, jak uczyć włoskiego początkujących. Czyż nie nauczyła samej siebie? Może ten nauczyciel w szkole Jerry'ego, o którym wspomniał Tony O'Brien, ten zakochany we Włoszech... może zna jakieś grupy, organizacje zajmujące się nauczaniem włoskiego. Nieważne, jeśli nie płacą dobrze. Z radością zacznie znów mówić tym pięknym językiem, poczuje jego smak.

Jak on się nazywa? Pan Dunne? Tak. Aidan Dunne. Nic nie straci, jeśli go zapyta, a jeśli on kocha Włochy, na pewno się porozumieją.

Złapała autobus do szkoły. Jakże inaczej wyglądało wszystko niż w Vista del Monte, gdzie letnie kwiaty kaskadą spływały po wzgórzach. Tutaj było tylko betonowe boisko, niechlujne przechowalnie na rowery, śmieci wokół

i budynek, który domagał się odmalowania. Dlaczego nie puścili pnączy na ścianach?

Signora rozumiała, że szkoła czy college państwowy nie dostaje żadnych funduszy, dotacji czy darowizn na remonty. Ale czy w takim razie można się dziwić, że uczniowie tacy jak Jerry nie czują dumy ze swojej szkoły?

- Jest w pokoju nauczycielskim - poinformowała ją grupka uczniów, gdy spytała o pana Dunne'a, nauczyciela łaciny.

Zapukała, drzwi otworzył mężczyzna. Miał cienkie ciemno blond włosy i zatroskane oczy. Ubrany był jedynie w koszulę, ale na krześle za nim wisiała marynarka. Była pora lunchu i reszta nauczycieli wyszła. Pan Dunne najwyraźniej strzegł fortu. Myślała, że będzie starszy. Może wiązała

to z nauczaniem łaciny. Wyglądał na mężczyznę w jej wieku lub nieco młodszego. Chociaż w obecnych czasach rzeczywiście mógł uchodzić za starego, dużo bliżej wieku emerytalnego niż młodzieńczego.

- Przyszłam, żeby porozmawiać z panem o języku włoskim, panie Dunne -

wyjaśniła.

- Zawsze czułem, że kiedyś ktoś zapuka do moich drzwi i tak właśnie powie - uśmiechnął się Dunne.

Odwzajemniła uśmiech i stało się jasne, że zostaną przyjaciółmi. Siedzieli w wielkim, nieporządnym pokoju nauczycielskim z widokiem na góry i rozmawiali, jakby się znali od lat. Aidan Dunne opowiedział o projekcie kursu wieczorowego, który był jego marzeniem, i o tym, że tego ranka otrzymał straszną wiadomość. Władze nie przyznały dotacji. W takim razie nie będzie ich stać na wykwalifikowanego nauczyciela. Dyrektor elekt obiecał małą sumę z własnych funduszy, ale wystarczy ona jedynie na przygotowanie sal i rozpoczęcie zajęć. Zważył w przyszłość kursu, ale teraz po rozmowie z Signorą zabłysła dla niego iskierka nadziei.

Signora z kolei opowiedziała mu, jak długo mieszkała na wzgórzach sycylijskich i że mogłaby uczyć nie tylko języka, ale i kultury. Przygotuje lekcje na temat włoskich artystów, rzeźbiarzy i fresków, to już trzy tematy, potem włoska muzyka, opera i muzyka religijna. Potem można będzie omówić rodzaje win i kuchnię włoską, owoce i warzywa, frutti di mare, prowadzić konwersacje, nauczyć użytecznych zwrotów. Istniało mnóstwo możliwości urozmaicenia gramatyki i nauki samego języka.

Oczy jej błyszczały, wyglądała dużo młodziej niż wysoka kobieta o niepewnym spojrzeniu, która stanęła niedawno w drzwiach. Hałas na korytarzu wzmógł się. Pora lunchu dobiegała końca. Zaraz pojawią się nauczyciele i czar pryśnie.

Zdawała się to rozumieć bez słów.

- Jestem tu zbyt długo, ma pan pewnie dużo pracy. Czy sądzi pan, że możemy o tym jeszcze porozmawiać?

- Kończymy o czwartej... Mówię zupełnie jak uczeń. Uśmiechnęła się do niego.

- To właśnie jest piękne w pracy w szkole. Człowiek zawsze czuje się młody i myśli jak dziecko.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Gdy uczyłam angielskiego w Annunziata, patrzyłam na twarze uczniów i myślałam sobie, że wielu rzeczy jeszcze nie wiedzą, ale gdy skończę, będą już wiedzieli. To cudowne uczucie.

W jego oczach zauważyła nieskrywany podziw. Z trudem zmusił się do włożenia marynarki, by wrócić do zajęć. Dawno już nikt nie podziwiał

Signory. W Annunziata szanowano ją, ale w inny sposób. Oczywiście był

Mario. Kochał ją całym sercem, nie miała co do tego wątpliwości. Ale nigdy jej nie podziwiał. Przychodził do niej po ciemku. Trzymał ją w ramionach i zwierzał się ze swoich kłopotów, ale nigdy w jego oczach nie dostrzegła podziwu.

Sprawiło jej to przyjemność. I spodobał się jej ten mężczyzna, który pragnął podzielić się swoją miłością do nie znanej ziemi z innymi ludźmi.

Bał się, że nie zbiorą wystarczającej sumy pieniędzy, by kurs wieczorowy ruszył.

- Czy mam zaczekać na pana przed szkołą? - spytała. - Wtedy spokojnie porozmawiamy.

- Nie chciałbym pani zajmować czasu.

- Nie mam żadnych zajęć - powiedziała szczerze.

- Chciałaby pani poczekać w bibliotece?

- Z przyjemnością.

Poprowadził ją korytarzem wśród tłumu dzieci. W tak dużej szkole zawsze pojawiali się obcy, więc nowa twarz nie przyciągnęła niczyjej uwagi; wyjątkiem był Jerry Sullivan.

- Jezu, Signora! - zawołał zdumiony.

- Witaj Jerry - przywitała się swobodnie, jakby pracowała tu od dawna.

Siedziała w bibliotece, przeglądając książki na temat Włoch, głównie używane, kupione pewnie za własne pieniądze Aidana Dunne'a. Taki miły człowiek, pełen entuzjazmu, może jej pomoże. A ona jemu. Po raz pierwszy, odkąd wróciła do Irlandii, poczuła się odprężona i spokojna.

Przeciągnęła się i ziewnęła, rozleniwiona letnimi promieniami słońca.

Chociaż miała uczyć włoskiego - nie wątpiła, że tak się stanie - nie myślała o Włoszech. Myślała o Dublinie, skąd 100

wezmą ludzi na kurs. Ona i pan Dunne. Ona i Aidan. Musi się opamiętać.

Przestać bujać w obłokach. Ludzie uważali, że to jej wada. Zawsze wypełniały ją szalone, nierzeczywiste pomysły.

Minęły dwie godziny i w drzwiach biblioteki stanął Aidan Dunne.

Uśmiechał się szeroko.

- Nie mam samochodu - rzekł. - Przypuszczam, że pani także.

- Ledwo wystarcza mi na autobus - odparła Signora.

101

Rozdział Trzeci.

Bill.

Życie byłoby dużo prostsze, pomyślał Bill Burkę, gdyby mógł się zakochać w Grani Dunne.

Miała około dwudziestu trzech lat, tyle co on. Pochodziła z normalnej rodziny, ojciec uczył w Mountainview, matka pracowała w kasie w restauracji Quentin. Była ładna i miło się z nią rozmawiało.

Często razem narzekali na banki i chciwych, egoistycznych ludzi, którym zawsze świetnie się powodzi. Grania pytała o jego siostrę i pożyczała dla niej książki. I może Grania by go pokochała, gdyby sprawy ułożyły się inaczej.

Dobrze się rozmawia o miłości z przyjacielem, który cię rozumie. Bill rozumiał, gdy Grania opowiadała mu o starszym mężczyźnie, którego nie mogła wyrzucić ze swoich myśli, chociaż bardzo się starała. Ma tyle lat, co jej ojciec, pali i chrapie, i prawdopodobnie umrze za kilka lat prowadząc dalej taki tryb życia, ale jeszcze nigdy nie spotkała nikogo, kto by ją tak pociągał.

Nie może z nim żyć, gdyż ją okłamał, nie mówiąc, że zostanie dyrektorem szkoły, chociaż o tym wiedział. Poza tym ojciec Grani dostałby ataku i padł trupem, gdyby się dowiedział, że spotykała się z Tonym O'Brienem i z nim spała. Tylko raz.

Próbowała umawiać się z innymi, ale nic z tego nie wychodziło. Wciąż o nim myślała, wspominała jego cudowne zmarszczki w kącikach oczu, gdy się uśmiechał. To niesprawiedliwe. Cóż takiego siedzi w człowieku, że zaczyna kochać nieprzytomnie kogoś tak nieodpowiedniego?

102

Bill zgodził się całkowicie. On także stał się ofiarą bezsensownego związku. Kochał Lizę Duffy, najmniej odpowiednią osobę na świecie. Liza była piękną i nieznośną klientką banku, która nie wywiązywała się ze swoich zobowiązań, choć otrzymywała większy kredyt niż ktokolwiek inny.

Liza także kochała Billa. Albo mówiła, że kocha, czy też myślała, że kocha. Twierdziła, że nigdy w całym jej życiu nie spotkała kogoś tak poważnego, uczonego niczym sowa, honorowego i tak zwariowanego. I w porównaniu z jej innymi przyjaciółmi rzeczywiście miał te wszystkie cechy. Byli to ludzie, którzy śmiali się z niczego, nie wykazywali chęci do pracy, pragnęli jedynie podróżować i bawić się. Miłość do Lizy była idiotyczna.

Ale Bill i Grania, siedząc kiedyś przy kawie doszli do wniosku, że gdyby życie polegało na Kochaniu odpowiednich osób, byłoby zbyt proste i nudne.

Liza nigdy nie pytała o starszą siostrę Billy'ego, Olivię. Poznała ją oczywiście, gdy przyszła z wizytą. Olivia była lekko opóźniona, to wszystko. Nie była na nic chora, na żadną ze znanych chorób. Miała dwadzieścia pięć lat i zachowywała się jak ośmioletnia dziewczynka.

Bardzo miła i żywa dziewczynka.

Nie stwarzała problemów, jeśli umiało się z nią postępować. Jak małe dziecko uwielbiała opowiadać historie z książek, entuzjasmowała się programami oglądanymi w telewizji. Była zbyt hałaśliwa i nieopanowana, a przy tym nieporadna, więc często zdarzało się jej przewracać różne rzeczy. Ale nigdy nie miała złych humorów, nie robiła scen, interesowała się wszystkim i wszystkim i nie było nic ważniejszego na świecie od jej rodziny. „Moja mama piecze najlepsze ciastka na świecie”, mówiła ludziom, a matka, której nigdy nie udało się zrobić nic poza udekorowaniem kupionego biszkoptu, uśmiechała się dumnie. „A mój tata prowadzi duży supermarket”, dodawała i ojciec, który pracował przy ladzie w sklepie mięsny, uśmiechał się pobłaźliwie.

„Mój brat Bill jest dyrektorem banku” wywołało lekko drwiący uśmiech na twarzy Billa, gdy mówił o tym Grani.

103

- W następnym wcieleniu - mruknął.

- Nie mów tak, bo to oznacza, że się poddałeś, że nie wierzysz w siebie -

zaprotestowała Grania.

Liza podzielała pogląd Olivii. „Powinieneś awansować -powtarzała Billowi. - Mogę wyjść tylko za człowieka sukcesu. Kiedy będziemy mieli dwadzieścia pięć lat, musisz już być kimś”.

Mówiąc to śmiała się perliście, pokazując małe białe zęby i odrzucając w tył jasne loki. Bill wiedział, że nie żartuje. Nigdy nie wyszłaby za nieudacznika. Bała się, że wtedy pociągnęłaby go za sobą na samo dno.

Ale poważnie rozważała poślubienie Billa za dwa lata, gdy osiągnie stosowny wiek.

Lizie odmówiono pożyczki, gdyż nie spłaciła poprzedniej, i unieważniono jej kartę Visa. Bill czytał wysyłane do niej listy: „Jeśli nie zdeponuje pani pieniędzy do piątej następnego dnia, bank będzie zmuszony...” Ale bank jakoś znajdował wyjście. Liza przychodziła czasami zapłakana, czasami wyniosła po otrzymaniu nowej pracy. Nigdy się nie poddawała i nigdy nie okazywała skruchy.

- Na litość boską, Bill, banki nie mają serca ani duszy. Oni tylko chcą zarobić pieniądze i nie ryzykować ich utraty. Bank to twój wróg.

- To nie mój wróg - prostował Bill - tylko pracodawca.

- Lizo, nie - mówił z rozpaczą w głosie, gdy zamawiała kolejną butelkę wina. Wiedział, że sama nie ma pieniędzy i on będzie musiał za nią zapłacić, a to stawało się coraz trudniejsze. Chciał wspierać finansowo swój dom rodzinny, jego pensja była dużo większa niż ojca, a rodzice poświęcili wiele wysiłku i pieniędzy, żeby umożliwić mu start w życie.

Ale z Lizą nie dało się zaoszczędzić. Bill myślał o kupnie nowej kurtki, ale za co? Wolał, żeby Liza nie planowała wakacji, nie miał na to dosłownie ani grosza. Skąd brać pieniądze, aby stać się bogatym w wieku dwudziestu pięciu lat i ożenić się z Lizą?

Bill miał nadzieję, że lato okaże się ciepłe. Może Liza zrezygnuje z wyjazdu. Ale jeśli prognozy pogody nie będą najlepsze i przyjaciele zaczną opowiadać o wyspach greckich i niemal darmowych, w ich mniemaniu, wakacjach

104

w Turcji, Liza zrobi się nie do zniesienia. Bill nie mógł zaciągnąć pożyczki w banku, w którym pracował. To naczelna zasada. Oczywiście mógł w jakimś innym. Mógł, ale nie powinien. Zastanawiał się, czy jest złym człowiekiem. Uważał, że nie, ale czy naprawdę można się samemu ocenić?

- Wydaje mi się, że jesteśmy tacy, jakimi widzą nas inni - powiedział do Grani przy kawie.

- Nie sędzę, to by oznaczało, że cały czas gramy jakieś role.

- Czy wyglądam jak sowa? - spytał nagle.

- Oczywiście, że nie - westchnęła Grania. Już raz to przechodziła.

- I nie chodzi tylko o te okulary - skarżył się Bill. - Mam także okrągłą twarz i proste włosy.

- Sowy w ogóle nie mają włosów, tylko pióra - poprawiła Grania.

Poczuł się jeszcze bardziej skonsternowany.

- Więc dlaczego mówią, że jestem do niej podobny?

Tego wieczoru w banku odbył się wykład na temat możliwości awansu pracowników. Grania i Bill siedli razem. Słuchali o kursach i planach.

Zachęcano pracowników do podnoszenia kwalifikacji, Przekonywano, że świat stoi otworem dla zdolnych młodych mężczyzn i kobiet, którzy władają obcymi językami i mają różne umiejętności. Zarobki za granicą byłyby oczywiście większe, gdyż zawierałyby także diety. Propozycje zostaną przedstawione za rok, więc zainteresowani pracownicy powinni zacząć już teraz się przygotowywać. Konkurencja będzie ostra.

- Zamierzasz się gdzieś zapisać? - spytał Bill. Grania wyglądała na zmartwioną.

- Właściwie chciałabym. Wreszcie bym się stąd wyrwała, przestała widywać Tony'ego O'Briena. Ale z drugiej strony nie chcę o nim myśleć na drugim końcu świata. Czy to ma sens? Mogę się zamartwiać także tutaj, gdy wiem, co znów knuje.

- Chce, żebyś wróciła? - Bill słyszał tę historię wiele razy.

- Tak, co tydzień wysyła mi kartkę do banku. Popatrz, tutaj jest ostatnia.

Grania wyjęła zdjęcie plantacji kawy. Na odwrocie widniał napis: „Wciąż czekam, Tony”.

105

- Niewiele pisze - zauważył Bill.

- Nie, ale tworzą one pewną całość - wyjaśniła Grania. - Poprzednio napisał: „Ciągle się parzy”, inna: „Wciąż pełen nadziei”. Mówi, że decyzja należy do mnie.

- To jakiś szyfr? - zdziwił się Bill.

- Kiedyś powiedziałam, że nie przyjdę do niego, jeśli nie kupi porządnego ekspresu do kawy.

- I kupił?

- Oczywiście, że kupił, ale nie o to chodzi.

- Kobiety są bardzo skomplikowane - westchnął Bill.

- Przeciwnie. Są zupełnie normalne i bezpośrednie. Niekoniecznie ta twoja mała naciągaczka, z którą się związałeś, ale większość z nas tak.

Grania uważała, że Liza jest beznadziejna. Bill uważał, że Grania powinna wrócić do tego starszego mężczyzny i skorzystać z jego zaproszenia na kawę, do łóżka, czy czegoś innego, gdyż było jasne jak diabli, że bez niego nie czerpie żadnej radości z życia.

Wykład dał Billowi do myślenia. Może otrzyma pracę za granicą. Może zostanie wybrany do jednej z grup eksperymentalnych wysyłanych do stolic europejskich w ramach ekspansji. Wszystko się zmieni. Po raz pierwszy w życiu zacznie zarabiać prawdziwe pieniądze. Osiągnie wolność. Nie będzie musiał spędzać wieczorów w domu bawiąc się z Olivią i opowiadać rodzicom o rzadkich momentach w pracy, które określiliby jako pomyślne.

Liza przyjedzie i zamieszka z nim w Paryżu, Rzymie czy Madrycie, w małym mieszkanku. Wreszcie będą naprawdę spali razem, a nie jak teraz, gdy wpada do niej w nocy na krótko, by zaraz wracać do swojego domu...

zwyczaj, który Liza uważała za niezwykle śmieszny i całkiem jej odpowiadający. Nie wstawała przed południem i cieszyła się, że nikt nie budzi jej czymś tak prozaicznym, jak wstawanie do czegoś tak niezwykłego, jak praca w banku.

Zaczął przeglądać broszury dotyczące intensywnych kursów językowych.

Zbyt drogie. Laboratoryjne w ogóle nie wchodziły w grę. Nie miał na nie ani czasu, ani energii. Dzień spędzony w banku zupełnie go wyczerpywał.

Wieczorem był zmęczony i nie mógł się skoncentrować. A skoro 106

najważniejszym celem było zdobycie wystarczającej ilości pieniędzy dla siebie i Lizy, nie mógł ryzykować jej utraty pozwalając, by większość czasu spędzała ze swoimi przyjaciółmi.

Nie po raz pierwszy żałował, że nie pokochał kogoś innego. Ale to było jak odra. Jak się zachorowało, trudna rada. Trzeba czekać, aż się wyleczysz, albo samo kiedyś przejdzie. Jak zwykle zwrócił się po poradę do Grani i po raz pierwszy zaproponowała mu coś konkretnego, zamiast snucia niejasnych gróźb, że miłość do Lizy wciągnie go jak po spiralnej zjeżdźalni w nieznane głębiny.

- Mój tata zorganizował w swojej szkole wieczorowy kurs włoskiego -

poinformowała go. - Zaczyna się we wrześniu i szukają kandydatów.

- Warto się zapisać?

- Nie wiem. Poproszono mnie, żebym się zajęła ściąganiem ludzi. - Grania zawsze była szczerą. To jedna z wielu rzeczy, które mu się w niej podobały. Nigdy nie udawała. -Przynajmniej jest tani. Włożyli w to wszystkie pieniądze, jakie mieli, i jeśli nie zdobędą co najmniej trzydziestu uczniów, cały pomysł weźmie w łeb. Nie zniósłabym tego ze względu na tatę.

- Więc zapiszesz się sama?

- Nie, tata powiedział, że czułby się upokorzony. Wyglądałby żałośnie, gdyby zapisała się cała rodzina.

- Chyba tak. Ale czy ten kurs przyda mi się jakoś w pracy w banku?

Myślisz, że będą tam uczyli specjalistycznego słownictwa i zwrotów?

- Wątpię, ale nauczą cię, jak się mówi dzień dobry, do widzenia i jak po włosku brzmi „ojciec”. I jeśli pojedziesz kiedyś do Włoch, będziesz potrzebował tych słów.

- No tak - wahał się Bill.

- Jezu, Bill! Jakich to specjalistycznych zwrotów używasz tu na co dzień poza kredytem i debetem? Jestem pewna, że tego cię nauczy.

-Kto?

- Zatrudnili jakąś panią. Rodowita Włoszka. Nazywają ją Signora. Ojciec mówi, że jest świetna.

- Kiedy zaczynają się zajęcia?

107

- Piątego września, jeśli zbiorą całą grupę.

- Trzeba płacić za cały rok z góry?

- Tylko za semestr. Dam ci ulotkę. Jeśli zamierzałeś gdzieś się zapisać, zrób to teraz, Bill. Dzięki temu może mój ojciec nie zwariuje.

- I zobaczę Tony'ego, który pisze te długie namiętne listy?

- Boże, nie wspominaj o nim! Powiedziała ci to w największej tajemnicy! - przeraziła się Grania.

Poklepał ją po ręce.

- Tylko żartuję, oczywiście wiem, że to sekret. Ale gdy go spotkam, przyjrzę mu się uważnie i powiem ci, co o tym myślę.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. - Grania nagle jakby odmłodziła, stała się jakaś bezbronna.

- Pewnie tak mnie zauroczy, że sam zacznę ci wysyłać kartki pocztowe z informacjami o nim - uśmiechnął się ciepło Bill. Grania potrzebowała tego najbardziej na świecie, a świat nic nie wiedział o Tonym O'Brienie.

* * *

Tego wieczoru Bill oznajmił rodzicom, że zamierza się zapisać na kurs włoskiego.

Olivia bardzo się zapaliła do pomysłu.

- Bill jedzie do Włoch! Bill będzie dyrektorem banku we Włoszech! -

mówiła sąsiadom.

Znali ją już.

- To wspaniale - odpowiadali pobłażliwie. - Będiesz za nim tęskniła?

- Gdy pojedzie do Włoch, potem zabierze nas tam wszystkich ~

zapewniała z przekonaniem.

Bill słyszał to ze swojego pokoju i zrobiło mu się ciężko na sercu. Matka uważała, że nauka włoskiego to doskonały pomysł. Piękny język. Lubiła słuchać, jak mówił nim papież, i uwielbiała piosenkę „O sole mio”. Ojciec cieszył się, widząc, że chłopiec nie ustaje w dążeniach, że ten dodatkowy wysiłek włożony w końcowe egzaminy szkolne nie poszedł na marne.

Matka spytała mimochodem, czy Liza też się zapisze na kurs.

Bill nie wyobrażał sobie, żeby miała na tyle samodyscypliny i inicjatywy, by poświęcić dwie godziny na jakąkolwiek naukę. Z pewnością wolałaby ten czas spędzić z przyjaciółmi, przeznaczyć na zabawy i popijanie drogich kolorowych koktajli.

- Jeszcze się nie zdecydowała - odparł stanowczo. Wiedział, że nie aprobuje jego związku z Lizzie. Spotkanie z rodzicami nie wypadło najlepiej. Zbyt krótka spódniczka, zbyt wycięta bluzka, zbyt głośny, bezmyślny śmiech i niewielkie pojęcie o życiu.

Ale już postanowił. Liza była dziewczyną, którą kochał i którą poślubi za dwa lata, gdy skończy dwadzieścia pięć. Nie pozwalał w domu nikomu powiedzieć na nią złego słowa, za co go szanowali. Czasami Bill zastanawiał się nad dniem swego ślubu. Rodzice będą tacy podekscytowani. Matka godzinami będzie opowiadała o kapeluszu, który ma kupić, i pewnie kupi kilka, zanim wybierze właściwy. Dużo się będzie mówiło o stroju dla Olivii, czymś dyskretnym, ale jednocześnie eleganckim. Ojciec ustali godzinę ślubu, tak żeby nie kolidowała z pracą w supermarkecie. Pracował tam od wczesnej młodości, patrząc na przemiany w handlu, nigdy siebie nie doceniając, zawsze w strachu, że zmiana kierownika może oznaczać jego zwolnienie. Czasami Bill chciał nim potrząsnąć, by mu uświadomić, że jest więcej wart niż cały zarząd razem wzięty, że wszyscy muszą to zrozumieć. Ale jego ojciec, po pięćdziesiątce, bez kwalifikacji i zdolności, które mieli młodzi, nigdy by mu nie uwierzył.

Już do końca swych dni pozostanie w niepewności, myśląc o sklepie jedynie z wdzięcznością.

W jego wyobrazeniach o ślubie rodzina Lizy jawiła mu się mgliście. Liza opowiadała o swojej matce, która mieszkała samotnie w West Cork, i o ojcu w Galway. Miała też siostrę w Stanach i brata, który pracował w ośrodku narciarskim i nie pokazał się w domu od wieków. Bill nie mógł sobie ich wszystkich wyobrazić zebranych w kościele. Powiedział Lizie o kursie.

- Może też byś się zapisała? - spytał z nadzieją.

- A po co? - Śmiech Lizy był tak zaraźliwy, że sam zaczął się śmiać, chociaż nie wiedział, dlaczego.

- Gdybyśmy pojechali do Włoch, porozumiewałabyś się po włosku.

- A oni nie mówią po angielsku?

- Niektórzy tak, ale czyż to nie wspaniałe zwracać się do nich w ich własnym języku?

- I mielibyśmy się uczyć w tej obskurnej starej szkole Mountainview?

- To podobno wcale niezła szkoła - obruszył się, w przyływie lojalności wobec Grani i jej ojca.

- Może i tak, ale widziałeś, gdzie ona się znajduje? Musisz się zaopatrzyć w kamizelkę kuloodporną, żeby przejść żywy przez to osiedle.

- Rzeczywiście, to nieciekawa okolica - zgodził się Bill. - Ale mieszkają tam po prostu biedni ludzie, to wszystko.

- Biedni! - wykrzyknęła Lizzie. - Wszyscy jesteśmy biedni, na litość boską, ale nie żyjemy tak, jak oni!

Bill zaczął się zastanawiać, jak robił to często, nad zaletami Lizy. Jak mogła się porównywać z rodzinami żyjącymi z zasiłków i ubezpieczeń społecznych? Z rodzinami, w których nikt nie zarabiał? Ale była taka niewinna. Nie kocha się ludzi, aby ich zmieniać. Zrozumiał to już dawno.

- I tak zamierzam się zapisać - westchnął. - Tuż przy szkole jest przystanek autobusowy, lekcje odbywają się we wtorki i czwartki.

Liza odwróciła ulotkę na drugą stronę.

- Chciałabym chodzić z tobą Bill, ale nie mam pieniędzy na ten kurs. - Jej oczy były olbrzymie. Czyż nie byłoby cudownie usiąść przy niej i razem powtarzać nieznane słowa, uczyć się nowego języka?

- Zapłacę za ciebie - usłyszał siebie Bill Burkę. Teraz na pewno będzie musiał zwrócić się do banku o pożyczkę.

* * *

Urzednicy byli mili i wyrozumiali. Sami muszą brać pożyczki w innych bankach.

- Może pan wziąć więcej - zaproponował uczynny urzędnik, tak jak zrobiłby Bill.

- Wiem, ale potem trzeba spłacać... Mam tyle rachunków każdego miesiąca.

110

- Coś o tym wiem - przyznał chłopiec. - A ceny ubrań są skandaliczne.

Wszystko, co sobie wymarzysz, kosztuje krocie.

Bill pomyślał o kurtce i o swoich rodzicach, i Olivii. Chciałby sprawić im przyjemność i zabrać ich w lecie na jakąś wycieczkę. Wziął pożyczkę na sumę dokładnie dwa razy większą od zamierzonej.

* * *

Grania powiedziała Billowi, że jej ojciec ucieszył się z kolejnych dwóch osób, które namówiła na kurs. Mieli już dwadzieścia dwie. Wyglądało to obiecująco, a został jeszcze tydzień. Zdecydowali, że nawet jeśli nie zbiorą całej trzydziestki, przeprowadzą przynajmniej pierwszy semestr, żeby się nie skompromitować i nie zawieść tych, którzy już się zapisali.

- Niech zaczną, potem, gdy rozniesie się wieść o kursie, będzie łatwiej - pocieszał Bill.

- Podobno po trzeciej lekcji zwykle dużo osób rezygnuje - martwiła się Grania. - Ale nie można się poddawać. Dziś wieczorem spróbuję przekonać moją przyjaciółkę

Fionę.

- Tę, która pracuje w szpitalu? - Bill miał wrażenie, że Grania bawi się w swatkę. Od razu zaczynała pisać z zachwytu na jej temat, gdy dowiadywała się, że coś nie wychodzi

mu z Lizą.

- Tak, znasz Fionę, najlepsza przyjaciółka moja i Brigid. Zawsze możemy powiedzieć, że nocujemy u niej, chociaż nie nocujemy, jeśli mnie rozumiesz.

- Ja rozumiem, a twoi rodzice?

- Nie zastanawiają się nad tym. Starają się o tym nie myśleć.

- Czy często Fiona musi cię osłaniać?

- Mnie już nie, odkąd... od czasu tej nocy z Tonym wieki temu. Wyobraź

sobie, że dokładnie następnego dnia odkryłam, jaki z niego drań. Ukradł

stanowisko memu ojcu. Mówiłam ci?

Owszem, wiele razy, ale Bill był uprzejmy.

- Poznaliście się w nieodpowiednim czasie, tak?

111

- Nie mógł być gorszy - prychnęła Grania. - Gdybym wiedziała wcześniej, nie umawiałabym się z nim, a gdyby później, tak byłabym zaangażowana, że nie byłoby wyjścia.

Złościła ją niesprawiedliwość tego świata.

- Przypuśćmy, że do niego wrócisz. Czy to załamię twojego ojca? - spytał

Bill.

Grania spojrzała na niego przenikliwie. Szóstym zmysłem chyba wyczuł, że poprzedniej nocy rozważała taką ewentualność. Walczyła ze sobą, nie chcąc dopuścić myśli o spotkaniu z Tonym O'Brienem. Decyzję zostawił

całkowicie w jej rękach, wysyłając jedynie regularnie na kartkach pocztowych kilka zachęcających słów. Niegrzecznie było nie odpowiedzieć. Z drugiej strony bała się zranić ojca. Tak bardzo liczył na

posadę dyrektora. Jej utratę odczuwał chyba o wiele boleśniej, niż to okazywał.

- Wiesz, myślałam o tym - powiedziała wolno Grania. - Postanowiłam trochę poczekać, aż życie mojego ojca się ustabilizuje. Wtedy łatwiej będzie mu się z tym pogodzić.

- Czy rozmawia w ogóle z twoją matką? Grania potrząsnęła głową.

- Prawie się do siebie nie odzywają. Matkę interesuje tylko praca i spotkania z siostrami. Tata zajmuje się głównie swoimi sprawami. Jest bardzo samotny, nie zniósłabym myśli, że zwałę mu nowy problem na głowę. Chyba że ten kurs wypali i zasypią go pochwałami... wtedy może mu powiem. Jeśli oczywiście coś z tego będzie.

Bill patrzył na nią z podziwem. Podobnie jak on była bardziej stanowcza niż jej rodzice i podobnie jak on nie chciała ich martwić.

- Tyle mamy ze sobą wspólnego - powiedział nagle. - Czyż to nie smutne, że nie przypadliśmy sobie do gustu?

- Wiem, Bill - westchnęła ciężko Grania. - Świetnie wyglądasz w tej nowej kurtce. Masz śliczne błyszczące, ciemne włosy, jesteś młody i nie umrzesz, gdy dojdę do czterdziestki. To straszne, że nie łączy nas żadne głębsze uczucie. Przynajmniej z mojej strony.

- Z mojej niestety też nie - potwierdził Bill. - To woła o pomstę do nieba!

112

* * * Zaprosił swoją rodzinę na lunch nad morze. Wsiedli do pociągu o nazwie Strzała.

- Pędzimy „jak strzała” nad morze - cieszyła się Olivia. Ludzie w pociągu uśmiechali się. Wszyscy się do niej uśmiechali, była taka żywa.

Poszli obejrzeć port i łodzie rybackie. Pełno było jeszcze turystów zwiedzających i robiących pamiątkowe zdjęcia. Spacerowali główną wietrzną ulicą małego miasteczka i oglądali sklepy. Matka Billa stwierdziła, że to cudownie móc mieszkać w takim miejscu

- Kiedy byliśmy młodzi, każdego było stać na dom tutaj - oświadczył

ojciec. - Ale miejsce wydawało się nam za bardzo oddalone od miasta, a tylko tam można było dostać pracę, więc się nie zdecydowaliśmy.

- Może Bill zamieszka kiedyś w takim miejscu, gdy awansuje -

powiedziała nieśmiało matka.

Bill próbował sobie wyobrazić Lizę i siebie w jednym z nowych mieszkań.

Co będzie robiła cały dzień, gdy on będzie dojeżdżał do Dublina? Czy znajdzie przyjaciół jak

zawsze? Czy będą mieli dzieci? Powiedziała kiedyś

- jeden chłopiec, jedna dziewczynka i kropka. Ale to było dawno temu.

Gdy ostatnio wracał do tamtej rozmowy starała się zmienić temat.

„Przypuśćmy, że teraz zajdziesz w ciążę -rozważał pewnej nocy Bill. -

Musielibyśmy odłożyć nieco nasze plany". „O nie, kochanie -

odpowiedziała. - Musielibyśmy zrezygnować ze wszystkich naszych planów".

Po raz pierwszy dostrzegł w jej uśmiechu jakąś surowość. Ale natychmiast odrzucił od siebie tę myśl. Bill wiedział, że Liza nie jest niewrażliwa. Jak każda kobieta odczuwa strach i obawę wynikającą z kobiecej fizjologii. To niesprawiedliwe, że tak ułożone zostało życie. Kobiety nigdy nie mogą przeżywać swobodnie miłości, wiedząc, że może się to skończyć czymś tak niepożądanym jak ciąża.

Olivia nie należała do piechurów, a matka chciała zobaczyć kościół, więc tylko Bill z ojcem wybrali się na spacer w kierunku Vico Road, eleganckiej ulicy łukowato biegnącej wzdłuż zatoki, którą porównywano do Zatoki Neapolitańskiej. Wiele ulic tutaj nosiło włoskie nazwy, jak Vico, 113

Sorrento, domy nazwano La Scala, Mediolan i Ancona. Ludzie, którzy podróżowali w tamte strony, wspominali podobne morskie widoki. I tak, jak we Włoszech, wybrzeże pokrywały wzgórza.

Bill i ojciec podziwiali ogrody i domy bez zazdrości. Liza z pewnością by się oburzyła, że niektórzy ludzie mają takie domy i samochody. Ale Bill, który pracował jako urzędnik bankowy i jego ojciec, który kroił bekon w plastikowych rękawiczkach, wkładał do przezroczystych torebek i ważył

co do grama, mogli patrzeć na te domy obojętnie.

Słońce świeciło, patrzyli daleko przed siebie w migocące morze. Dojrzelili kilka jachtów. Siedzieli na murku, ojciec palił fajkę.

- Czy wszystko ułożyło się tak, jak sobie zaplanowałeś w młodości? -

spytał Bill.

- Nie wszystko, oczywiście, ale większość - odparł ojciec, wypuszczając kłęb dymu.

- Co na przykład?

- Zdobyłem dobrą pracę i ją utrzymałem. To coś, na co nigdy bym nie postawił pieniędzy, gdybym był hazardzistą. I oczywiście poznałem twoją matkę, która mnie przyjęła. Wspaniała żona, która stworzyła nam wspaniały dom. No i Olivia, i ty, jesteście dla nas wielką nagrodą.

Bill poczuł dziwny skurcz. Jego ojciec żył w nierzeczywistym świecie. Te wszystkie rzeczy były dla

niego błogosławieństwem? Tym się napawał?

Niedorozwinięta córka? Żona, której z trudem udawało się usmażyć jajko?

To nazywał wspaniałym domem? Pracę, której nikt z jego kwalifikacjami by nie podjął?

- Tato, dlaczego nazywasz mnie swoją nagrodą?

- Daj spokój, domagasz się pochwał - uśmiechnął się ojciec, jakby Bill się z nim droczył.

- Nie, naprawdę, czym sobie zasłużyłem na twoje pochwały?

- Czyż można sobie wymarzyć lepszego syna? Tylko spójrz, zabierasz nas wszystkich na wycieczkę za swoje ciężko zarobione pieniądze, dokładasz się do domu, jesteś taki dobry dla siostry.

- Wszyscy kochają Olivię.

- Tak, ale ty szczególnie. Matka i ja nie musimy się obawiać o jej przyszłość. Wiemy, że gdy przyjdzie czas spocząć na cmentarzu w Glasvein, zajmiesz się nią.

Bill usłyszał swój głos, którego nie rozpoznał.

- Przecież wiesz, że Olivia zawsze znajdzie dobrą opiekę. Nie trzeba się o to martwić.

- Tak, pełno jest domów i instytucji, ale wiemy, że nigdy nie pošlesz Olivii do takiego miejsca.

Gdy tak siedzieli w słońcu okrywającym swym blaskiem morze, owiała ich bryza i wniknęła głęboko w serce Billa Burke'a. Dotarło do niego coś, czego nie pojął przez dwadzieścia trzy lata swojego życia. Zrozumiał, że Olivia to jego problem, a nie tylko rodziców. Jego nieporadna starsza siostra zostanie z nim przez całe życie. Gdy za dwa lata ożeni się z Lizą, gdy wyjedzie z nią za granicę, gdy narodzi się ich dwójka dzieci, Olivia będzie częścią jego rodziny.

Jego ojciec i matka mogą żyć przez następne dwadzieścia lat. Ale i tak Olivia będzie miała wtedy dopiero czterdzieści pięć i umysł dziecka.

Poczuł, jak ogarnia go zimno.

- Chodź tato, mama zmówiła już trzy różańce w kościele i pewnie czekają na nas w pubie.

I rzeczywiście, wielka twarz Olivii rozblęła, gdy zobaczyła wchodzącego brata.

- To Bill, dyrektor banku - powiedziała.

I wszyscy w pubie się uśmiechnęli. Tak, jak uśmiecha się ktoś, kto wie, że nie musi spędzić z nią całego życia.

* * *

Bill pojechał do Mountainview zapisać się na lekcje włoskiego.

Zrozumiał, jakie miał szczęście, że ojciec zaoszczędził trochę pieniędzy i posłał go do mniejszej i lepszej szkoły. Jego szkoła miała porządne boiska, rodzice płacili dobrowolne składki na różne dodatkowe zajęcia, rzecz nieznaną w Mountainview.

Spojrzał na odłazącą farbę i brzydką przechowalnię na rowery. Niewielu chłopców uczęszczających do tej szkoły ma szansę dostać się do banku, jak on. A może jest snobem? Może sytuacja się zmieniła? Może jest bardziej winny niż inni, gdyż stara się utrzymać tamten system? Może

porozmawia o tym z Granią. Ostatecznie w tej szkole uczył jej ojciec.

Na pewno nie mógł rozmawiać na ten temat z Lizą.

Liza zaczęła się pasjonować lekcjami.

- Wszystkim mówię, że niedługo będziemy mówić po włosku - śmiała się uszczęśliwiona. Przez chwilę przypominała Olivię. Ta sama bezgraniczna wiara, że wystarczy o czymś powiedzieć, by to się stało i cel został

osiągnięty. Ale jak można było porównywać piękną, beztroską, dziką Lizę do biednej Olivii, dziwnej, głupkowatej siostry, która zostanie już z nim na zawsze?

Bill trochę liczył na to, że Liza zmieni zdanie co do kursu. Zaoszczędziłby przynajmniej parę funtów. Powoli wpadał w panikę na myśl o sumie, którą musi spłacić, i o tym, czy zdoła cokolwiek przynieść do domu pod koniec miesiąca. Nowa marynarka sprawiała mu dużą przyjemność, ale nie aż taką. To była idiotyczna ekstrawagancja, której długo będzie żałował.

- Piękna marynarka, czy to czysta wełna? - spytała kobieta przy zapisach.

Była stara, miała ponad pięćdziesiąt lat. Ale ładnie się uśmiechała.

Dotknęła brzegu rękawa.

- Tak, prawdziwa - potwierdził Bill. - Cienka wełna, ale podobno najważniejsze jest szycie. Tak mi powiedziano.

- Oczywiście. To włoski materiał, prawda? - Wydawała się Irlandką, ale mówiła z lekkim akcentem, jakby mieszkała za granicą. Słuchała go z uwagą. Czy to nauczycielka? Miała być rodowitą Włoszką. Czyżby na samym początku spotkało go rozczarowanie?

- Czy pani jest nauczycielką? - spytał. Jeszcze nie rozstał się ze swoimi pieniędzmi. Może nie powinien płacić za siebie i Lizę. A może to dowód jego sknerstwa? Czy to nie byłoby typowe? Lekką ręką wyrzucić w błoto swoje pieniądze?

- Tak. Nazywam się Signora. Przez dwadzieścia sześć lat mieszkałam we Włoszech, na Sycylii. Wciąż jeszcze śnię i myślę po włosku. Mam nadzieję, że uda mi się podzielić moimi wrażeniami z panem i innymi słuchaczami.

Teraz wycofać się będzie jeszcze trudniej. Bill żałował, że jest takim sympatycznym facetem. Niektórzy w banku

116

wiedzieliby, jak postąpić w takiej sytuacji. Rekiny, jak nazywała ich Grania.

Myśląc o Grani, przypomniał sobie jej ojca.

- Czy ma pani wystarczającą liczbę kandydatów, żeby rozpocząć kurs? -

Może to jest jego wyjście awaryjne. Może kurs nigdy się nie odbędzie.

Ale twarz Signory rozpromieniła się.

- Si, si, udało się nam. O kursie usłyszało bardzo wiele osób z różnych stron. A jak pan się dowiedział, panie Burkę?

- W banku - wyjaśnił.

- W banku! - Radość Signory była tak wielka, że nie miał serca wyprowadzać jej z błędu. - No proszę, wiedzą o nas nawet w banku!

- Czy będę mógł się uczyć słownictwa bankowego? - Pochylił się nad stołem, z nadzieją wpatrując się w jej twarz.

- Jakiego rodzaju?

- Wie pani, słownictwo, którego używamy w banku... - zaczął Bill, nie bardzo wiedząc, jakich słów będzie potrzebował, jeśli dostanie kiedyś pracę w banku we Włoszech.

- Może je pan wypisać na kartce, wszystko posprawdzam - zaproponowała Signora. - Ale prawdę mówiąc ten kurs nie opiera się na słownictwie bankowym. Głównie będzie dotyczył języka i kultury Włoch. Chciałabym, żebyście pokochali ten kraj i poznali go trochę. Dzięki temu, gdy kiedyś go odwiedzicie, poczujecie się, jakbyście byli u przyjaciół.

- Byłoby cudownie - powiedział Bill i wręczył jej pieniądze za siebie i Lizę.

- Martedi - rzekła Signora.

- Słucham?

- Martedi, wtorek. Teraz zna już pan jedno słowo.

- Martedi - powtórzył Bill i poszedł na przystanek autobusowy. Był

pewien, że teraz wyrzucił niepotrzebnie jeszcze więcej pieniędzy, niż w przypadku wełnianej, dobrze skrojonej marynarki.

* * *

- Co mam włożyć na kurs włoskiego? - zagadnęła Liza w poniedziałek wieczorem. Tylko Liza mogła zadać takie

117

pytanie. Inni by się zainteresowali, czy mają wziąć notatnik, słownik czy plakietki z imieniem.

- Coś, co nie będzie odwracało uwagi innych od nauki - rzekł Bill.

Płonna nadzieja i głupia uwaga. Jej szafa ubraniowa nie zawierała tego rodzaju ubrań. Nawet teraz pod koniec lata nosiła krótką spódniczkę ukazującą długie opalone nogi, obcisłą bluzkę i luźno zarzucony na plecy żakiet.

- Co masz na myśli?

Wiedział, że nie chodziło o styl ubioru. Ale o dobór kolorystyczny.

- Lubię czerwony - powiedział.

Oczy jej zalśniły. Łatwo było ją zadowolić.

- Przymierzę teraz - oświadczyła i wyjęła czerwoną spódniczkę i białoczerwoną bluzkę. Wyglądała zachwycająco, świeża i młoda, ze swoimi złotymi włosami, jak na reklamie szamponu.

- Może przewiązać włosy czerwoną wstążką? - spytała niepewnie.

Bill poczuł przyływ uczuć opiekuńczych. Liza naprawdę go potrzebowała. Poważnie myślący i z obsesją spłacania długów był jej niezbędny.

- To już dzisiaj - oznajmił Grani w pracy następnego dnia.

- Opowiesz mi o wszystkim szczerze, dobrze? Powiesz mi, jak wyglądają te zajęcia. - Grania była przejęta. Martwiła się, jak wypadnie jej ojciec, czy się nie ośmieszy.

Bill zapewnił ją, że powie jej całą prawdę, ale w głębi serca wątpił. Jeśli lekcje okażą się klęską, nie będzie czuł się na siłach. Pewnie po prostu powie, że lekcje są w porządku.

Bill nie poznał zakurzonej szkolnej przybudówki, kiedy przyszedł na zajęcia. Została odmieniona. Ściany udekorowano olbrzymimi plakatami, zdjęciami fontanny di Trevi i Koloseum, wizerunkami Mony Lisy i Dawida Michała Anioła, a także widokami winnic i talerzy z włoskim jedzeniem. Pośrodku stał stół nakryty czerwoną, białą i zieloną krepiną, a na nim poustawiano papierowe talerze.

Znajdowało się na nich prawdziwe jedzenie, plasterki salami i sera.

Zobaczył też papierowe kwiaty, każdy z dużym podpisem.

118

Goździki - garofani... ktoś musiał włożyć w to sporo pracy.

Bill miał nadzieję, że wszystkim się uda. Tej dziwnej kobiecie o niesamowitych rudoszarych włosach nazywanej Signorą, temu miłemu mężczyźnie kręcącemu się z tyłu sali, pewnie ojcu Grani, i tym wszystkim ludziom siedzącym wokół stołu, skrzepowanym i wyczekującym na rozpoczęcie zajęć. Każdy z nich pełen nadziei czy marzeń, jak on sam.

Nikt nie zdradzał, że zamierza pracować w banku za granicą.

Signora klasnęła w ręce i przedstawiła się.

- Mi chiamo Signora. Come si chiama? - spytała mężczyznę, który wyglądał na ojca Grani.

- Mi chiamo Aidan. - I tak po kolei. Lizzie była zachwycona.

- Mi chiamo Liza! - krzyknęła i wszyscy uśmiechnęli się z podziwem, jakby dokonała jakiegoś wyczynu.

- Nadajmy naszym imionom włoskie brzmienie. Może pani powiedzieć: Mi chiamo Elizabetta.

Liza ucieszyła się jeszcze bardziej i trudno ją było powstrzymać od ciągłego powtarzania nowego imienia.

Następnie wszyscy napisali swoje imiona na dużych kawałkach papieru i przypięli do ubrań. Nauczyli się także pytać o samopoczucie, czas, jaki jest dzień, data i gdzie mieszkają.

- Chi e? - zapytała Signora wskazując na Billa.

- Guglielmo! - zawołała klasa w odpowiedzi.

Po chwili wszyscy znali już swoje włoskie imiona i grupa wyraźnie się rozluźniła. Signora rozdała kartki. Zapisała na nich poznane zwroty.

Uważała, że nigdy by ich nie wymówili, gdyby zobaczyli je wcześniej na piśmie.

Powtarzali w kółko, dzień, czas, imiona i odpowiadali na pytania. Na twarzach zaczął się pojawiać wyraz zadowolenia.

- Bene - pochwaliła Signora. - Mamy jeszcze dziesięć minut.

Przez salę przeleciało westchnienie żalu. Niemożliwe, żeby minęły już dwie godziny.

- Ciężko pracowaliście, więc mam dla was małą niespodziankę, ale zanim zjemy salami, musimy się nauczyć wymawiać to słowo i także formaggio.

119

Trzydzieścioro dorosłych osób rzuciło się na kielbasę i ser niczym gromada dzieci.

- Giovedi - pożegnała ich Signora.

- Giovedi - powtórzyli chórem. Bill zaczął ustawiać krzesła w stos przy ścianie. Signora spojrzała na ojca Grani szukając jego aprobaty. Skinął

lekko głową. Wtedy inni przyłączyli się do pomocy. Po chwili sala była uprzątnięta. Dozorca nie

będzie miał tutaj wiele pracy.

Bill i Liza wyszli na przystanek autobusowy.

- Ti amo - powiedziała nagle.

- Co to znaczy? - spytał.

- Daj spokój, przecież to ty jesteś od myślenia - uśmiechnęła się zniewalająco. - No dalej, zgadnij. Ti ...znaczy?

- Chyba „ty” - powiedział Bill.

- A „amo”?

- Czy to „miłość”?

- To znaczy „kocham cię”!

- Skąd wiesz? - spytał zaskoczony.

- Spytałam ją tuż przed wyjściem. Powiedziała, że to najcudowniejsze słowa na świecie.

- To prawda - przyznał Bill.

Może te lekcje włoskiego na coś się przydadzą.

- Jestem zachwycony - wyznał Bill Grani następnego dnia.

- Mój ojciec wrócił do domu cały w skowronkach. Dzięki Bogu! -

odetchnęła Grania.

- Ona jest rzeczywiście dobra. Dzięki niej zaczynasz wierzyć, że możesz mówić po włosku w pięć minut.

- Więc będziesz prowadził sekcję włoską? - zażartowała Grania.

- Nawet Lizie się podobało, była naprawdę zainteresowana. W autobusie wciąż powtarzała wyuczone zwroty, a za nią niektórzy pasażerowie.

- O tak, nie wątpię - rzekła z ironią.

- Och, przestań. Nie spodziewałem się, że będzie taka zadowolona. Mówi teraz na siebie Elizabetta - powiedział z dumą Bill.

- Oczywiście - mruknęła Grania. - I założę się, że zrezygnuje po trzeciej lekcji.

* * *

Grania niestety miała rację, ale nie dlatego, że Liza straciła zapał. Po prostu do Dublina przyjechała jej matka.

- Nie była tu od lat, muszę odebrać ją ze stacji - tłumaczyła się.

- Nie możesz jej powiedzieć, że wrócisz wpół do dziesiątej? - błagał Bill.

Był pewny, że jeśli signorina Elizabetta opuści jedną lekcję, to już koniec.

Zacznie się później wykręcać tłumacząc, że nie zdąży nadrobić przerobionego materiału.

- Ależ Bill! Matka nie przyjeżdża do miasta zbyt często. Muszę tam być! -

Bill milczał. - Ty dbasz o matkę do tego stopnia, że z nią mieszkasz, na litość boską, dlaczego ja nie miałabym wyjść po nią na stację w Heuston?

Nie proszę o wiele.

Bill był rozsądny.

- Tak, to niewiele - zgodził się.

-Bill, słuchaj, nie mógłbyś mi pożyczyć na taksówkę? Matka nie znosi podróży autobusem.

- Sama nie zapłaci za taksówkę?

- Nie bądź taki skąpy, ty zachłanny dusigroszu!

- To niesprawiedliwe, Lizo. To nieprawda i dobrze o tym wiesz.

- Dobra. - Wzruszyła ramionami.

- Co znaczy „dobra“?

- Po prostu. Baw się dobrze i przekaz pozdrowienia Signorze.

- Proszę, weź te pieniądze na taksówkę.

- O nie, nic z łaski.

- Będę szczęśliwy, jeśli matka i ty pojedziecie taksówką. Naprawdę.

Poczujesz się szczęśliwa, mogąc ją podjąć z wszelkimi honorami. Proszę, weź je, Lizo.

- No, skoro tak mówisz. Pocałował ją w czoło.

- Czy tym razem spotkam się z twoją matką?

- Mam nadzieję, Bill, wiesz, że chcieliśmy się spotkać 121

z tobą ostatnim razem, ale ona ma mnóstwo przyjaciół wokół. Zabrali jej cały czas. Ona zna tyle osób, rozumiesz.

Bill pomyślał, że matka Lizy może i zna wiele osób, ale nikogo na tyle dobrze, żeby po nią wyjechał na stację samochodem albo taksówką. Ale nic nie powiedział.

- Dov'e la bella Elizabetta? - spytała Signora.

- La bella Elizabetta e andata alla stazione - usłyszał siebie Bill. - La madre di Elizabetta arriva stasera.

Signora była zachwycona.

- Benissimo, Guglielmo. Bravo, bravo.

- Wykułeś się ty mały lizusie! - zdenerwował się przysadzisty mężczyzna z przypiętą karteczką „Luigi”. Naprawdę nazywał się Lou.

- Na ostatnich zajęciach przerabialiśmy andato, a na poprzednich stasera.

To są słowa, które poznaliśmy. Wcale nie kułem.

- O Jezu, daj spokój - burknął Lou i jeszcze bardziej się zachmurzył.

Razem z grupą zaczął powtarzać, że na tym piazza znajdują się piękne budynki. - Akurat piękne. Bzdury - dodał wyglądając przez okno na zaniedbane boisko szkolne.

- Niedługo będą ładne, zaczęli je odmalowywać - zauważył Bill.

- Ależ z ciebie przyjemniaczek - popatrzył na niego z ironią. - Dla ciebie wszystko zawsze musi być takie piekielnie cudowne, tak?

Bill daleki był od samozadowolenia. Tkwił w mieszkaniu, gdzie każdy polegał tylko na nim, miał dziewczynę, która nie kochała go na tyle, by przedstawić swojej matce, i nie miał pojęcia, jak uda mu się spłacić zaciągnięty kredyt w następnym miesiącu.

Oczywiście nie zamierzał mu o tym mówić. Zamiast tego dołączył do chóru głosów skandujących: In questa piazza ci sono molti belli edifici.

Zastanawiał się, gdzie poszły Liza i jej matka. Miał nadzieję, niestety nikłą, że nie zabrała matki do restauracji i nie zapłaci czekiem. Tym razem w banku czekały go poważne kłopoty.

Podano też małe kromki chleba czymś posmarowane. Signora nazwała je crostini.

122

- A vino? - ktoś zapytał.

- Chciałam przynieść vino, vino rosso, vino blanco. Ale jesteśmy w szkole i nie można na jej teren przynosić alkoholu. Aby nie dawać złego przykładu młodzieży.

- Trochę na to za późno - mruknął Lou.

Bill spojrzał na niego zaintrygowany. Trudno pojąć, co taki mężczyzna robi na lekcjach włoskiego. Zresztą dotyczyło to również innych osób. Dla wszystkich musiało być na przykład zagadką, co tu robi Liza. Podobnie jak wydawało się niezrozumiałe, dlaczego Lou, obecnie Luigi, przychodzi dwa razy w tygodniu na coś, czym gardzi, i przez całe zajęcia patrzy na resztę wilkiem. Bill zdecydował, że będzie musiał przyjąć to jako jeden z przejawów bogactwa życia.

Jeden z papierowych kwiatów spadł na podłogę i podarł się.

- Czy mogę go wziąć, Signora? - spytał Bill.

- Certo, Guglielmo, czy to dla la bella Elizabetta?

- Nie, dla mojej siostry.

- Mia sorella, mia sorella, moja siostra - powiedziała Signora. - Jest pan miłym, dobrym człowiekiem, Guglielmo.

- No tak, ale dokąd nas to dzisiaj zaprowadzi? - spytał Bill i udał się na przystanek.

* * *

Olivia czekała na niego przy drzwiach.

- Mów po włosku! - zawołała.

- Ciao, sorella - przywitał się. - Proszę, garofano. Przyniosłem je dla ciebie.

Wyraz zadowolenia na jej twarzy sprawił, że poczuł się jeszcze gorzej niż dotąd, a już czuł się paskudnie.

Bill zabrał w tym tygodniu do pracy kanapki. Nie stać go było nawet na stołówkę.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Grania. - Wyglądasz na zmęczonego.

- Och, my, lingwiści, musimy się nauczyć pokonywać przeciwności losu -

uśmiechnął się słabo.

Wydawało mu się, że Grania chciała zapytać o Lizę, ale się rozmyśliła.

Liza? Gdzie ona dzisiaj jest? Może z przyjaciółmi matki na koktajlu w jakimś dużym hotelu. Albo

123

w centrum na Temple Bar, odkrywa nowe miejsca, o których później będzie mu opowiadała z błyszczącymi oczami. Chciałby, żeby zadzwoniła.

Opowiedziałby jej, jak się o nią dopytywano na zajęciach, nazywając piękną. I o zdaniu, które utworzył po włosku mówiąc, że pojechała na stację, aby spotkać się z matką. Powiedziała mu, co robiła. Dlaczego milczy?

Popołudnie wydawało się długie i nużące. Po pracy zaczął się martwić.

Nigdy się nie zdarzyło, by nie skontaktowała się z nim przez cały dzień.

Czy powinien pójść do jej mieszkania? Jeśli jednak była z nią matka, może pomyśleć, że się narzuca. Obiecała, że zorganizuje wspólne spotkanie. Nie może ich do niczego zmuszać.

Grania także pracowała tego dnia dłużej.

- Czekasz na Lizę? - spytała.

- Nie, przyjechała do niej matka, nie ma czasu. Nie wiem, co z sobą zrobić.

- Ja też. Praca w banku dostarcza tyle radości... Pod koniec dnia człowiek jest tak wykończony, że przestaje nawet myśleć - zaśmiała się Grania.

- Zawsze gdzieś pędzisz - powiedział z zazdrością.

- Nie dzisiaj. Nie zamierzam wracać do domu. Matka wychodzi do pracy, ojciec znika w swoim pokoju a Brigid miota się po mieszkaniu, gdyż znowu przybrała na wadze. Twierdzi, że waga się pod nią zarywa, tłumacząc to roznoszącymi się po całym domu zapachami czegoś smażonego. Nawija o jedzeniu bite pięć godzin każdego wieczoru. Można osiwieć wysłuchując jej narzekań.

- Tak bardzo się tym przejmuje? - Bill zawsze był taki miły. Wykazywał

tyle zainteresowania.

- Nie mam pojęcia. Dla mnie wygląda tak samo. Trochę przy kości, ale w porządku. Gdy ma zrobione włosy i uśmiecha się, jest świetna, ale zawsze musi coś dodać na temat dodatkowego kilograma, zamka, który się nie dopina, czy rajstop, które się podarły. Jezu, doprowadza mnie do szału.

Nie chcę wracać do domu, dziś tego nie wytrzymam.

Nastąpiła chwila ciszy. Bill chciał jej zaproponować drinka, ale przypomniał

sobie o finansach. To będzie dobre wytłumaczenie, aby pojechać do domu nie wydając grosza.

124

W tym momencie odezwała się Grania.

- Może pójdziemy do kina i na frytki. Ja stawiam, dobrze?

- Nie mogę, Grania.

- Możesz. Mam wobec ciebie dług wdzięczności za zapisanie się na lekcje włoskiego. Oddałeś mi wielką przysługę.

Brzmiało to przekonująco.

W wieczornej gazecie przeczytali repertuar kinowy i żywo dyskutowali, co ich zdaniem jest warte obejrzenia, a co jest kiczowate. Życie byłoby prostsze, gdyby się miało taką osobę u swego boku, pomyślał kolejny raz Bill. Był pewny, że Grania czuje podobnie. Ale co z tego? Ona dalej będzie kochała tego dziwnego starszego człowieka wbrew wszystkiemu. A on zostanie z Lizą, która łamie mu serce. Takie jest życie.

Gdy wrócił do domu, powitała go zaniepokojona matka.

- Była tu Liza - oznajmiła. - Bez względu na porę masz się u niej zjawić.

- Coś się stało? - przestraszył się.

Nie pojawiała się u niego w domu po ostatniej niezbyt udanej wizycie.

- Już wcześniej stało się dużo złego, ta dziewczyna to same kłopoty - nie dawała za wygraną matka.

- Ale czy była chora? Coś się wydarzyło?

- Kłopoty tkwią w niej samej - powtórzyła matka.

Wiedział, że niczego się od niej nie dowie poza narzekaniami, więc wrócił

na przystanek, tyle, że w przeciwnym kierunku.

Była ciepła wrześnie noc. Do drzwi kawalerki Lizy prowadziły duże kamienne schody, Lizzie siedziała na nich, obejmując rękami podkulone nogi i kiwając się w przód i w tył. Billy z ulgą stwierdził, że nie płacze ani nie wygląda na specjalnie zmartwioną.

- Gdzie byłeś? - spytała oskarżycielsko.

- Gdzie ty byłaś? - spytał Bill. - Przecież sama nie pozwalasz mi do siebie dzwonić ani się pojawiać.

- Byłam u ciebie w domu.

- A ja wyszedłem.

125

- Gdzie?

- Do kina.

- Myślałam, że nie mamy pieniędzy na coś tak normalnego jak chodzenie do kina.

- Zaprosiła mnie Grania Dunne.

- Ach tak?

- Tak. Co się stało Lizzie?

- Wszystko.

- Dlaczego do mnie przyszedłaś?

- Chciałam cię zobaczyć, wszystko naprawić.

- Udało ci się śmiertelnie nastraszyć moją matkę i mnie. Dlaczego nie zadzwoniłaś do pracy?

- Nie wiedziałam, co robić.

- Czy przyjechała twoja matka? -Tak.

- Spotkałaś się z nią?

- Tak. - Jej głos był bezbarwny.

- Wzięłaś taksówkę? -Tak.

- Więc w czym problem?

- Śmiała się z mojego mieszkania.

- Liza, daj spokój! Chyba nie przyciągnęłaś mnie tutaj, żeby mi o tym powiedzieć?

- Oczywiście - zaśmiała się.

- Ty masz swoje życie, ona swoje... ludzie tacy jak ty i ona śmieją się cały czas.

- Ale nie w ten sposób.

- To znaczy w jaki?

- Powiedziała, że jestem komiczna i czy może już iść, skoro zobaczyła mieszkanie. Nie pozwoli, by taksówka odjechała i porzuciła ją na tym pustkowiu.

Billowi zrobiło się jej żal. Liza była najwyraźniej zmartwiona. Cóż za bezmyślna, głupia kobieta z tej matki. Tak rzadko widywała się z córką i nie mogła być miła przez kilka godzin?

- Wiem, wiem - pocieszał. - Ludzie zawsze mówią nie to, co trzeba. No, nie martw się już. Chodź na górę. No, chodź.

- Nie, nie możemy. Potrzeba było nieco perswazji.

- Liza, w banku przez cały dzień, od dziewiątej rano, miałem ludzi, którzy mówili nie to, co trzeba. Nie chcieli źle, po prostu denerwowali innych.

Najważniejsze, żeby im na to nie pozwolić. Gdy wracam do domu, matka mówi mi, że jest zmęczona polewaniem mrożonego kurczaka sosem z puszki, a ojciec opowiada o wszystkich szansach, których nie wykorzystał

jako mały chłopiec. Olivia opowiada tym, którzy chcą jej słuchać, że jestem dyrektorem banku. Czasami trudno wytrzymać, ale po prostu musisz się do tego przyzwyczaić. Nie masz wyjścia.

- Ty może tak, ale nie ja. - Jej głos brzmiał martwo.

- Pokłóciłyście się? Czy tak? To minie, kłótnie rodzinne przechodzą. Wierz mi.

- Właściwie nie.

- A więc?

- Przygotowałam kolację. Wątróbka z kurczaka, mała sherry i ryż.

Postawiłam na stole, a ona znowu się zaśmiała.

- Jak mówiłem...

- Ona wcale nie zamierzała zostać, Bill, nie na kolację. Powiedziała, że zadzwoniła, żeby mnie uspokoić. Szła do jakiejś galerii sztuki, na otwarcie czy wystawę. Mogła się spóźnić. Próbowала mnie pchnąć, żeby wyjść.

- Co? - Billowi to się nie podobało.

- Nie wytrzymałam.

- Co zrobiłaś, Lizo? - Sam się dziwił, że był taki spokojny.

- Zamknęłam drzwi od środka i wyrzuciłam klucz przez okno.

-Co?!

- Powiedziała jej, że musi teraz zostać i porozmawiać ze swoją córką, że nie może już uciec, jak uciekała przez całe życie od taty i od nas.

- A co ona na to?

- Strasznie się zdenerwowała, zaczęła krzyczeć i walić w drzwi, wrzeszcząc, że jestem stuknięta jak

mój ojciec i tym podobne rzeczy, no, wiesz.

- Nie wiem, jakie rzeczy?

- To, czego można oczekiwać. - I co się stało później?

- Zmęczyła się i w końcu zjadła kolację.

127

- A później krzyczała?

- Nie, tylko martwiła się, że w razie pożaru spalimy się na popiół. Wciąż to powtarzała.

Umysł Billa pracował powoli, ale skutecznie.

- Więc w końcu ją wypuściłaś?

- Nie, skąd.

- Ale nie ma jej tutaj?

- Jest.

- Nie mówisz poważnie. Skinęła kilka razy głową.

- Niestety, tak.

- Jak ty się wydostałaś?

- Przez okno, gdy była w łazience.

- Rozumiem, że u ciebie spała?

- Musiała. Ja spałam na krześle. Miała całe łóżko - broniła się Liza.

- Coś sobie wyjaśnijmy. Przyjechała tu wczoraj, we wtorek, o siódmej.

Teraz jest środa, jedenasta w nocy, a ona ciągle jest zamknięta wbrew swej woli?

-Tak.

- Ale na Boga, dlaczego?

- Abym mogła z nią porozmawiać. Nigdy nie ma dla mnie czasu. Nigdy!

- I udało ci się wreszcie? To znaczy teraz, gdy jest zamknięta?

- Niezupełnie, nie tak, jakbym chciała. Wciąż powtarzała, że jestem nienormalna, nie zrównoważona i tak dalej.

- Nie mogę w to uwierzyć! Liza, nie mogę! Ona tam siedzi całą noc, dzień i jeszcze noc? - Kręciło mu się w głowie.

- Co mogłam innego zrobić? Nigdy nie ma czasu, ciągle gdzieś się spieszy... spotyka się z innymi!

- Dobrze, ale nie w ten sposób! Nie możesz kogoś zamykać i wymagać, żeby z tobą rozmawiał.

- Wiem, że nie zrobiłam najlepiej. Pomyślałam, że do niej pójdziesz i z nią pogadasz... nie zachowuje się zbyt rozsądnie.

- Ja? Ja mam z nią porozmawiać?!

- Sam mówiłeś, że chciałeś się z nią spotkać, Bill. Prosiłeś kilka razy.

Popatrzył na piękną, udęczoną twarz ukochanej. Oczywiście, że chciał

poznać swoją przyszłą teściową. Ale nie zamkniętą w pokoju. Nie w sytuacji, gdy została porwana i więziona przez trzydzieści godzin i gdy była bliska wezwania policji. To spotkanie wymagało dyplomacji, z którą Bill niewiele miał wspólnego.

Zastanawiał się, jak poradziliby sobie bohaterowie czytanych książek i doszedł do wniosku, że nikogo nie postawiono w takiej sytuacji.

Poszli po schodach do mieszkania Lizzie. Panowała tam cisza.

- Czy ona mogła wyjść? - spytał szeptem Bill.

- Nie, przy oknie jest coś w rodzaju kraty. Nie dałaby rady.

- Może zbiła szybę?

- Nie, nie znasz mojej matki.

To prawda, pomyślał Bill, ale właśnie miał okazję ją poznać, i to w dość wyjątkowych okolicznościach.

- Czy zachowa się gwałtownie, rzuci się na mnie albo coś w tym rodzaju?

- Oczywiście, że nie. - Liza poczuła się urażona.

- Powiedz coś do niej, przedstaw, kim jestem.

- Nie, obraziła się na mnie, lepiej, żeby porozmawiała z kimś obcym. - Na jej twarzy malował się strach.

Bill wyprostował się.

- Ehm... Halo? Pani Duffy, nazywam się Bill Burkę, pracuję w banku! -

zaczął. Cisza. - Pani Duffy, dobrze się pani czuje? Czy może mi pani odpowiedzieć, że uspokoiła się pani i nic pani nie jest?

- Jak mam być spokojna i dobrze się czuć? Moja psychicznie chora córka uwięziła mnie tutaj i będzie tego żałowała, każdego dnia, każdej godziny, od teraz aż do końca jej dni! - Głos był wściekły, ale stanowczy.

- Jeśli pani odejdzie od drzwi, wejdę i wszystko pani wytłumaczę.

- Czy jest pan znajomym Elizabeth?

- Tak, bardzo dobrym znajomym. Bardzo mi na niej zależy.

- A więc pan także jest szalony.

129

Lizzie przewróciła oczami.

- A nie mówiłam? - szepnęła.

- Pani Duffy, myślę, że lepiej będzie omówić to w cztery oczy. Wchodzę, więc proszę odejść od drzwi.

- Nigdzie pan nie wejdzie! Podstawiłam pod klamkę krzesło, w razie gdyby chciała przyprowadzić jakiegoś innego narkomana albo kryminalistę jak pan. Zostanę tu tak długo, aż ktoś mnie uwolni.

- Właśnie przyszedłem panią uwolnić - powiedział zdesperowany Bill.

- Może pan kręcić kluczem, nie wejdzie pan. Mówiła prawdę.

Zabarykadowała się od środka.

- Może okno? - podsunęła Lizzie. - Trochę trzeba się wspiąć, ale ci pomogę.

Bill przeraził się.

- Myślałem, że to ty tam wejdiesz.

- Nie mogę, Bill, słyszałeś, co powiedziała. Ona jest jak rozjuszony byk.

Zabiłaby mnie.

- A co zrobi ze mną? Uważa, że jestem narkomanem! Usta Lizy zaczęły drżeć.

- Powiedziałeś, że mi pomożesz - wyjąkała.

- Pokaż to okno - rzekł Bill.

Gdy się wspiął, zobaczył drewnianą podporę, o której mówiła Liza, klinującą dolną część okna. Odepchnął ją, otworzył okno i rozsunął

zasłony. Blondynka około czterdziestki, z pomazaną tuszem do rzęs twarzą, rzuciła się na wchodzącego z krzesłem.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, wyłaź stąd, ty wstrętny zbirze! -

krzyknęła.

- Mamo, mamo! - dobiegł głos z drugiej strony drzwi.

- Pani Duffy, proszę, proszę... - Bill chwycił do obrony pokrywę od pojemnika na pieczywo. - Pani Duffy, przyszedłem panią uwolnić! Proszę, tutaj mam klucz! Błagam, niech pani odstawi krzesło.

Rzeczywiście, chciał dać jej klucz. Jakby się odprężyła. Odstawiła krzesło i obserwowała go niepewnie.

- Proszę mi pozwolić otworzyć drzwi. Liza wejdzie i razem wszystko spokojnie wyjaśnimy - powiedział kierując się w stronę drzwi.

130

Ale kobieta znów chwyciła krzesło.

- Odejdź od drzwi! Kto wie, jakich tam gangsterów przyprowadziła?

Powiedziałam Lizie, że nie mam pieniędzy, żadnych kart kredytowych...

porywanie mnie na nic się nie zda. Nikt nie zapłaci okupu. Pomyliliście osoby. - Usta jej drżały. Wyglądała jak jego siostra. Odezwały się w nim uczucia opiekuńcze.

- Tam jest tylko pani córka, a nie gangsterzy. Zaszło nieporozumienie. -

Jego głos brzmiał kojąco.

- Może pan sobie powtarzać. Najpierw ta lunatyczka zamyka mnie tutaj na dwie noce i zostawia zupełnie samą, na Bóg wie, ile czasu, a potem pojawia się pan, grożąc mi pokrywą.

- O nie, chwileczkę, podniosłem ją, gdy pani chwyciła krzesło. Proszę, już odkładam. - Jego głos miał dobroczynny wpływ. Zaczęła mówić z sensem.

Odstawiła czerwone krzesło kuchenne i usiadła na nim, wyczerpana, przerażona, nie wiedząc, co robić dalej.

Bill zaczął normalnie oddychać. Postanowił na razie nie proponować jej otwierania drzwi, niech ta chwila trwa jakiś czas. Patrzyli na siebie niepewnie.

Wtedy usłyszeli za drzwiami wołanie.

- Mamo? Bill? Co tam się dzieje? Dlaczego nie rozmawiacie, nie krzyczycie?

- Odpoczywamy - odparł Bill. Zastanawiał się, czy to wystarczające wyjaśnienie.

Najwyraźniej tak.

- W porządku - rzekła Liza.

- Czy ona jest na jakichś prochach? - spytała jej matka.

- Nie. Na Boga, dlaczego?

- Dlaczego? A co miało znaczyć to zamykanie i domaganie się rozmowy, wygadywanie tych wszystkich głupot?

- Myślę, że jej pani brak - powiedział wolno Bill.

- Od dzisiaj będzie jej rzeczywiście mnie brakowało - oświadczyła pani Duffy.

Bill starał się ją zrozumieć. Była młoda i szczupła, wyglądała zupełnie inaczej niż jego matka. Ubrana w długą, luźną sukienkę z szerokimi rękawami i sznurem szklanych koralików na szyi. Podobne do tych, które można było zobaczyć

131

na obrazach artystów New Age. Brakowało jedynie sandałów i długich rozpuszczonych włosów. Włosy miała kręcone jak Liza, tylko lekko przyprószone siwizną. Gdyby nie rozmazany na twarzy makijaż, mogłaby iść na przyjęcie. Co oczywiście zamierzała zrobić, zanim została uwięziona.

- Myślę, że było jej przykro, że tak się od siebie oddaliłyście - rzekł Bill.

Kobieta prychnęła. - Mieszka pani tak daleko.

- Nie wystarczająco daleko! Poprosiłam ją tylko, żeby spotkała się ze mną na stacji, na kawie, ale ona nalegała, żeby wsiąść do taksówki i tu przyjechać. Zgodziłam się, ale tylko na chwilę, gdyż wkrótce miałam otwarcie wystawy Chestera... Co on sobie teraz myśli?

- Kto to jest Chester?

- Przyjaciel, na Boga, jeden z wielu, którzy mieszkają niedaleko mnie, artysta! Wszyscy tu przyjechaliśmy! I nikt nie wie, co się ze mną stało!

- Czy będą pani szukać tutaj, u córki?

- Oczywiście, że nie, dlaczego?

- Chyba wiedzą, że ma pani córkę w Dublinie?

- Może. Wiedzą, że mam trójkę dzieci, ale nie papolę im o tym bez przerwy, więc nie znają adresu Elizabeth.

- A inni, pani prawdziwi przyjaciele?

- To są moi prawdziwi przyjaciele - obruszyła się.
- Wszystko w porządku? - odezwała się Lizzie.
- Poczekaj chwilę, Lizo - poprosił Bill.
- Na Boga, zapłacisz mi za to, Elizabeth! - krzyknęła matka.
- Gdzie mieszkają pani przyjaciele?
- Nie wiem, w tym cały problem. Umówiliśmy się na wystawie. Gdyby się pojawił, mieliśmy pójść do niego. Mieszka w przerobionym magazynie, gdzie wcześniej już nocowaliśmy. A gdyby nie wypaliło, Chester obiecał znaleźć cudowne miejsce za pół darmo.
- Czy Chester może wezwać policję?
- Dlaczego, u licha, miałby to robić?
- Żeby się dowiedzieć, co się z panią stało.
- Policję?
- Jeśli pani oczekiwał, a pani zniknęła.

132

- Pomyślał, że zabrałam się z kimś z wystawy. Mógł nawet dojść do wniosku, że w ogóle nie chciało mi się przyjść. I dlatego to wszystko jest takie denerwujące.

Bill odetchnął z ulgą. A więc matka Lizy to wędrowny ptak. Nie musiał się obawiać wielkich poszukiwań. W okolicy nie pojawią się samochody policyjne, policjanci nie zaczną wypytywać o blondynkę w długiej, luźnej sukni. Liza nie spędzi reszty nocy w celi na komisariacie.

- Może ją wpuszczimy, jak pani sądzi? - Billowi udało się sprawić wrażenie, że jest po jej stronie.
- A przestanie bredzić o samotności, braku kontaktu i ucieczce?
- Dopilnuję tego, proszę mi wierzyć.
- Dobrze. Ale proszę nie oczekiwać, że będę cała w skowronkach po tym numerze, który mi wykręciła.
- Oczywiście, ma pani wszelkie powody, żeby się denerwować.

Przeszedł obok niej i otworzył drzwi. Na zewnątrz w ciemnym korytarzu siedziała skulona Liza.

- Och, Liza - powiedział Bill tonem, którym wita się nieoczekiwanego, ale ukochanego gościa. - Proszę, wejdź. Może zrobiłabyś nam herbaty?

Przemknęła do kuchni, unikając wzroku matki.

- Poczekaj, aż o twoim wyczynie usłyszy ojciec - mruknęła matka.

- Pani Duffy, czy podać mleko i cukier do herbaty? -

przerwał Bill.

- Nie, dziękuję.

- Tylko herbata dla pani Duffy! - zawołał Bill, jakby wydawał polecenie służbie. Zaczął sprzątać porzucane rzeczy, poprawił kapę na łóżku, podniósł jakieś rzeczy z podłogi. Przywrócił ład w małym mieszkaniu.

Wkrótce siedzieli, o dziwo, we trójkę, popijając herbatę z kubków.

- Kupiłam herbatniki maślane - oznajmiła dumnie Lizzie, wyjmując metalowe pudełko w szkocką kratkę.

- One kosztują fortunę - przeraził się Bill.

- Chciałam podać coś specjalnego z okazji wizyty mojej matki.

133

- Nigdy nie wspominałam o żadnej wizycie, to tylko twój wymysł. O tak, całkiem niezły.

- Na szczęście są paczkowane - zauważył Bill. - Mogą przetrwać jeszcze długo.

- Czy pan jest zupełnie normalny? - spytała nagle matka Lizzie.

- Tak sędzę. Dlaczego pani pyta?

- Mówić o herbatnikach w takiej sytuacji. Myślałam, że pan tu decyduje.

- Czy to nie lepsze niż krzyczeć i opowiadać o tęsknocie, związkach rodzinnych i innych rzeczach, o których nie chciała pani słuchać? - Bill poczuł się urażony.

- Nie, wcale nie lepsze, to zwariowane, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Jest pan tak samo stuknięty jak ona. Dostałam się do domu wariatów.

Rzuciła okiem na stojącą obok drzwi swoją torebkę. Czy poderwie się, by ją złapać i uciec? Może dobrze by się stało? Ale skoro zaszli już tak daleko, może lepiej doprowadzić sprawę do końca? Niech Liza powie matce, czego od niej oczekuje, i niech matka zgodzi się z tym albo nie.

Chociaż ojciec zawsze twierdził, żeby zostawić sprawy swojemu biegowi i czekać, aż wszystko samo się ułoży. Niezbyt odpowiadała Billowi ta filozofia. Na co czekać? Co się ułoży? Ale ojciec wydawał się zadowolony z końcowego rezultatu, więc może była w tym cząstka prawdy.

Lizzie gryzła herbatniki.

- Pyszne - rzekła. - Czuje się w nich masło.

Była urocza jak małe dziecko. Czy matka tego w niej nie dostrzega?

Bill patrzył to na jedną, to na drugą. Miał nadzieję, że się nie myli, ale twarz matki jakby złagodniała.

- Czasami, Lizo, trudno jest żyć samotnej kobiecie, rozumiesz - zaczęła.

- Ale nie musisz być sama, mamó. Mogłaś mieć nas wszystkich, tatę, mnie, Johna i Kate.

- Nie mogłam żyć w takim domu, czułam się jak więzień czekając na mężczyznę, który wracał do domu z wypłatą. A twój ojciec często wracał

bez niej, gdyż przegrywał zakłady. Jak robi to nadal w Galway.

134

- Nie musiałaś odchodzić.

- Musiałam, gdyż w przeciwnym razie kogoś bym zabiła, jego, ciebie, siebie. Czasami bezpieczniej jest odejść, by złapać oddech.

- Kiedy pani odeszła? - spytał Bill, jakby chodziło o rozkład jazdy pociągów.

- Nie wie pan? Nie zna pan szczegółów z życia przewrotnej czarownicy, która uciekła pozostawiając wszystkich na łasce losu?

- Prawdę mówiąc, nie. Nawet nie wiedziałem dotąd, że pani odeszła.

Myślałem, że pani i pan Duffy rozeszliście się polubownie, a dzieci poszły w swoją stronę. To była dojrzała decyzja, tak jak powinna postąpić normalna rodzina.

- Co pan rozumie przez „normalną rodzinę”? - Matka Lizy spojrzała na niego podejrzliwie.

- No, widzi pani, mieszkam w domu z matką, ojcem i upośledzoną siostrą, i szczerze mówiąc, nigdy nie zdarzyło mi się spędzić bez nich dnia, trudno mi to sobie nawet wyobrazić, więc uważałem, że rodzina Lizy posiadała dar wolności... i właściwie jej tego zazdrościłem. - Był dogłębnie szczery. Nikt nie potrafiłby tego odegrać.

- Może pan po prostu wstać i odejść - zasugerowała matka.

- Pewnie tak, ale nie czułbym się z tym najlepiej.

- Ma pan tylko jedno życie. - Oboje zdawali się nie zauważać Lizy.

- To prawda, przypuszczam, że gdybym miał więcej niż jedno, czułbym się mniej winny.

Lizzie próbowała włączyć się do rozmowy.

- Nigdy nie piszesz, nie kontaktujesz się ze mną.

- A o czym mam pisać? Nie znasz moich przyjaciół. Ja nie znam twoich ani przyjaciół Johna, ani Kate. Ale wciąż cię kocham i pragnę twojego dobra, chociaż nie widzimy się zbyt często. - Przerwała, jakby sama zdziwiona tym, co powiedziała.

Liza nie czuła się przekonana.

- Nie możesz nas kochać, bo wtedy spotykałabyś się z nami. Nie śmiałabyś się ze mnie i z miejsca, w którym mieszkam, i z pomysłu zostania ze mną.

135

- Myślę, że pani Duffy chciała... - zaczął Bill.

- Na litość boską, mów mi Bernie. - Bill aż zaniemówił. - Mówiłeś, że co chciałam?

- Powiedzieć, jak Liza jest dla pani... ciebie ważna, ale ponieważ trochę się od siebie oddaliłyście i West Cork jest tak daleko... i ostatnia noc nie była dobrym pomysłem na spotkanie, gdyż chciała się pani zobaczyć z przyjacielem Chesterem, który miał wystawę, i chciała pani go wesprzeć moralnie... Czy tak było? - Patrzył to na jedną, to na drugą, pełen niepokoju. Błagam, niech to będzie prawda. Niech nie wzywa policji i nie grozi, że już do końca swych dni nie zobaczy się z Lizą.

- Można to tak ująć - zgodziła się Bernie - ale tylko po części.

To już coś, pomyślał Bill.

- A Liza wyrzucając klucz chciała powiedzieć, że boi się uciekającego czasu, że nie znajdzie drugiej szansy poznania cię i porozmawiania, pragnęła nadrobić stracony czas, czyż nie tak było? - dokończył Bill.

- Właśnie tak. - Liza energicznie kiwała głową.

- Ale na Boga... jak ci na imię?

- Bill - powiedział usłużnie.

- Tak, Bill, zwabienie mnie tutaj i zamknięcie nie było dziełem osoby zdrowej psychicznie.

- Nie zwabiłam cię, pożyczyłam pieniądze od Billa na taksówkę.

Zaprosiłam cię, kupiłam herbatniki, bekon i wątróbki z kurczaka, i sherry.

Przygotowałam swoje łóżko dla ciebie. Chciałam, żebyś została. Nie prosiłam chyba o wiele.

- Ale ja nie mogłam. - Głos Bernie stał się łagodniejszy.

- Mogłaś powiedzieć, że przyjdiesz następnego dnia. A ty się tylko śmiałaś. Nie mogłam tego znieść, a potem coraz bardziej się denerwowałam i zaczęłam mówić okropne rzeczy.

- Nie zachowywałam się normalnie, bo nie rozmawiałam z normalną osobą. Naprawdę wyprowadziłaś mnie z równowagi, Lizo. Miałam wrażenie, że postradałaś rozum. Mówiłaś od rzeczy... że od sześciu lat jesteś jak zagubiony duch...

- Bo tak właśnie się czułam.

- Gdy odeszłam, miałaś siedemnaście lat. Twój ojciec chciał, żebyś pojechała z nim do Galway, ale nie... Nalegałaś, że jesteś wystarczająco dorosła, żeby zostać w Dublinie. Otrzymałaś pracę w pralni, jak pamiętam.

Miałaś własne pieniądze. Tego chciałaś. Tak mówiłaś.

- Zostałam, bo myślałam, że wrócisz.

- Wrócić? Gdzie? Tutaj?

- Nie, do domu. Ojciec nie sprzedał go przez rok, pamiętasz?

- Pamiętam, a potem wszystko, co za niego dostał, postawił na konie.

- Dlaczego nie wróciłaś, mamó?

- A niby do czego? Ojca interesowały jedynie zakłady, John wyjechał do Szwajcarii, Kate do Nowego Jorku, ty trzymałaś się ze swoimi znajomymi.

- Czekałam na ciebie, mamó.

- Nie, to nieprawda, Lizo. Nie możesz zmienić przeszłości. Dlaczego nie napisałaś, jak się sprawy przedstawiają?

Przez chwilę panowała cisza.

- Chciałaś słyszeć o mnie tylko wtedy, gdy się dobrze bawiłam, więc pisałam ci o tym. Na pocztówkach i w listach. Jak pojechałam do Grecji i na wyspę Achilla. Nie pisałam, jak bardzo cię potrzebuję, gdyż bałam się twojego gniewu.

- To byłoby o wiele lepsze od porwania i uwięzienia...

- Czy ładnie jest w West Cork? - Bill starał się okazać zainteresowanie. -

Gdy ogląda się na zdjęciach te widoki, morze, wydaje się bardzo przyjemne.

- To bardzo specyficzne miejsce. Mnóstwo tam wolnych duchów, ludzi, którzy ponownie zajęli się uprawą ziemi, którzy malują, wyrażają swoje uczucia, zajmują się garncarstwem.

- Czy specjalizujesz się w jakiejś dziedzinie sztuki... mhm... Bernie? - Bill patrzył na nią skupiony i zaniepokojony, nie mogła się obrazić.

- Nie, osobiście nie, ale zawsze interesowali mnie artyści i świat. Czuję się stłamszona, gdy przebywam w jednym miejscu. Stąd to wszystko...

Bill za wszelką cenę próbował odciągnąć ją od tego tematu.

137

- Masz swój dom czy mieszkasz z Chesterem?

- Nie, na Boga, nie - zaśmiała się jak jej córka, radosnym, głośnym śmiechem. - Nie, Chester jest homoseksualistą, mieszka z Viniem. Nie, nie. To moi najlepsi przyjaciele. Mieszkają osiem kilometrów stąd. Mam pokój, coś w rodzaju studio, kiedyś był to budynek gospodarczy większego domu.

- To bardzo ciekawe, czy leży blisko morza?

- Tak, oczywiście. Wszędzie jest blisko do morza. Urocze miejsce.

Uwielbiam je. Mieszkam tam już od sześciu lat, stworzyłam sobie mały prawdziwy dom.

- A jak zarabiasz na życie? Masz jakąś pracę?

Matka Lizy spojrzała na niego, jakby powiedział coś wulgarnego.

- Słucham?

- To znaczy, jeśli ojciec Lizy nie daje ci pieniędzy, jakoś musisz zarabiać na życie. To wszystko. - Bill wcale nie był zakłopotany.

- To dlatego, że on pracuje w banku - przeprosiła za niego Liza. - Ma obsesję na punkcie zarabiania pieniędzy.

Nagle Bill uznał, że ma tego dość. Siedział w środku nocy w tym mieszkaniu starając się ułagodzić dwie szalone kobiety, a one myślały, że to on jest dziwakiem, gdyż miał pracę, płacił rachunki i żył zgodnie z zasadami. Jego cierpliwość się wyczerpała. Niech same dojdą do porozumienia. On wraca do domu, do swojej nudnej, smutnej rodziny.

Nigdy nie zostanie przeniesiony do banku międzynarodowego, bez względu na to, jak długo będzie powtarzał po włosku „jak się masz?”,

„piękne budynki” i „czerwone goździki”. Nie zamierza więcej godzić ze sobą ludzi, by jeden dostrzegł w drugim dobro. Poczul w oczach i nosie nieznane sobie swędzenie, jakby zaraz miał się rozpłakać.

Wyraz jego twarzy zwrócił uwagę obu kobiet. Bill jakby się wycofał, opuścił je.

- Nie miałam zamiaru z ciebie kpić - rzuciła szybko matka. - Oczywiście, że muszę zarabiać. Pomagam w pracach domowych tam, gdzie wynajmuję swoje studio, no wiesz, sprzątanie, lekkie prace, a gdy odbywają się imprezy, pomagam później sprzątać. Uwielbiam prasować, zawsze lubiłam.

Dzięki temu nie muszę płacić za wynajem. Oczywiście, dostaję też pieniądze na drobne wydatki.

Liza spojrzała na matkę z niedowierzaniem. I to miało być życie artystyczne, spotkanie się ze sławnymi i bogatymi, którzy mieli drugie domy w południowozachodniej Irlandii? Jej matka była gosposią!

Bill odzyskał panowanie nad sobą.

- To cudowne uczucie - powiedział. - Mieć dwa światy dla siebie, przyjemne miejsce do mieszkania, niezależność i żadnych zmartwień o to, co włożyć do garnka.

Pani Duffy szukała w jego twarzy sarkazmu, ale nie znalazła.

- To prawda - przyznała w końcu. - Tak to właśnie wygląda.

Bill pomyślał, że musi sam porozmawiać z Lizą, zanim ta wyrwie się z czymś, co zacznie od nowa całą awanturę.

- Może kiedyś, gdy pogoda się poprawi, Liza i ja moglibyśmy cię odwiedzić. Byłbym zachwycony. Moglibyśmy pojechać autobusem i przesiąść się w Cork. - Rozentuzjasmowany, chłopięcy, jakby planował

spóźnione spotkanie.

- A czy wy dwoje... to znaczy, czy jesteś chłopcem Lizy?

- Tak, zamierzamy się pobrać, jak skończymy dwadzieścia pięć lat, za dwa lata. Mamy nadzieję dostać pracę we Włoszech, więc uczymy się teraz włoskiego.

- Tak, wspominała mi o tym pomiędzy innymi bezładnymi informacjami -

mruknęła Bernie.

- Że zamierzamy się pobrać? - spytał zadowolony Bill.

- Nie, że uczy się włoskiego. Pomyślałam, że to jeszcze jedno szaleństwo.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Bill podniósł się jak zwykły gość, opuszczający zwykłe wieczorne spotkanie.

- Bernie, jak może zauważyłaś, jest bardzo późno. Autobusy już nie kursują, a gdyby nawet kursowały, trudno będzie znaleźć twoich przyjaciół. Proponuję, żebyś została dziś na noc, z własnej woli oczywiście, z kluczem w drzwiach. A jutro, gdy obie się wyśpicie, pożegnacie się ciepło i prawdopodobnie nie zobaczycie się aż do następnego lata, kiedy z przyjemnością odwiedzimy cię w West Cork.

- Nie odchodź! - błagała Bernie. - Nie odchodź. Ona jest miła i spokojna, tylko gdy ty tu jesteś, ale gdy wyjdiesz za drzwi, zaczniesz wygłaszać swoje teorie i krzyczeć na mnie, że ją opuściłam.

- Nie, nie, nic takiego się nie zdarzy - zapewnił Bill. - Liza, mogłabyś oddać matce klucz? Proszę, Bernie, teraz możesz wyjść, kiedy tylko zapragniesz.

- A jak ty wrócisz do domu, Bill? - spytała Liza. Spojrzał na nią zdziwiony.

Zwykle nigdy nie pytała i nie

obchodziło jej, że musiał iść piechotą pięć kilometrów, gdy wracał od niej do domu w nocy.

- Pójdę pieszo, jest piękna gwiazdzista noc - wyjaśnił. Obie patrzyły na niego nieruchomo. Na zakończenie

chciał powiedzieć jeszcze coś miłego.

- Zeszłego wieczoru na lekcji włoskiego Signora nauczyła nas kilku słów o pogodzie: „Było wspaniałe lato”. E' stata una magnifica estate.

- Ładne - powiedziała Lizzie. - E' stata una magnifica estate - powtórzyła dokładnie.

- Hej! Udało ci się powtórzyć za pierwszym razem? My musieliśmy długo ćwiczyć. - Bill był pod wrażeniem.

- Zawsze miała doskonałą pamięć, już jako mała dziewczynka.

Wystarczyło tylko raz coś powiedzieć. - Bernie spojrzała na córkę jakby z dumą.

Bill szedł ulicą i było mu lekko na duszy. Wszystkie przeszkody, które urosły do niebotycznych rozmiarów, jakby zmalowały. Nie musiał się obawiać eleganckiej matki z West Cork, która uważałaby niskiego urzędnika bankowego za niegodnego jej córki. Nie musiał się obawiać, że jest za nudny dla Lizy. Pragnęła bezpieczeństwa, miłości i stabilizacji, a on mógł dać jej wszystkie te rzeczy. Oczywiście problemy nie znikły. Lizie trudno będzie się przyzwyczaić do budżetu domowego. Nigdy nie zmieni swojego nastawienia do wydawania pieniędzy na potrzeby chwili. Jedyne, co mógł zrobić, to namówić ją do podjęcia pracy. Jeśli jej beztroska matka zarabiała prasując i sprzątając u kogoś obcego, może plany Lizy co do przyszłej posady ulegną zmianie.

Poglądy można zmienić.

Kiedyś może nawet pojedą do Galway odwiedzić jej ojca. Niech wie, że ma rodzinę, zamiast udawać i marzyć. A wkrótce stanie się członkiem rodziny Billa.

Mijały go samochody i taksówki. Nie zazdrościł im. Był szczęśliwym człowiekiem. To prawda - musiał się opiekować innymi, byli od niego zależni. W porządku. Takim był już człowiekiem i prawdopodobnie za jakiś czas jego syn będzie mu współczuł, tak jak on współczuł swojemu ojcu. Ale to nie miało znaczenia. Chłopcy po prostu są jeszcze za mali, by cokolwiek zrozumieć. To wszystko.

141

Rozdział Czwarty.

Kathy.

Kathy Clarke była jedną z najpilniejszych uczennic w szkole Mountainview. Na lekcjach marszczyła brwi z wysiłku, długo podejmowała decyzje, zostawała po lekcjach i zadawała pytania. W pokoju nauczycielskim żartowano z niej dobrotliwie. „O, udaje Kathy Clarke!”

mówili o osobie, która zbyt długo odczytywała tablicę ogłoszeń.

Była wysoką dziewczyną o niezdarnych ruchach, w granatowej, nieco przydługiej szkolnej spódnicy, bez taniej biżuterii jak u jej koleżanek, czy przekłutych uszu. Może niezbyt bystra, ale pełna zapału do nauki. Nawet za bardzo. Każdego roku organizowano spotkania nauczycieli z rodzicami, ale nikt właściwie nie pamiętał, kto przychodzi pytać o naukę Kathy.

- Jej ojciec jest hydraulikiem - powiedział kiedyś Aidan Dunne. -

Zainstalował nam toaletę, wykonał świetną robotę, ale oczywiście trzeba było płacić gotówką. Powiedział dopiero na końcu... omal nie zemdlął, gdy zobaczył książeczkę czekową.

- Pamiętam jej matkę, która przez cały czas rozmowy nie wyjęła papierosa z ust - dodała nauczycielka irlandzkiego. - Wciąż powtarzała, czy ta nauka coś jej córce da, czy przygotowuje ją do zarabiania na życie.

- Wszyscy myślą w ten sposób - wtrącił z rezygnacją Tony O'Brien, dyrektor elekt. - Nie oczekujemy od nich, że zaczną mówić o nauce jak o czynniku stymulującym rozwój intelektualny, nauce dla niej samej.

- Czasami przychodzi jej starsza siostra - przypomniał

142

ktos inny. - Jest kierowniczką w supermarkecie. Wydaje mi się, że ona jedna rozumie biedną Kathy.

- Boże, czy nie byłoby cudownie, gdyby jedynym naszym zmartwieniem była zbyt wyczerpująca i pilna nauka uczniów? - Tony O'Brien miał na biurku dużo bardziej dręczące problemy do rozwiązania. I nie tylko zawodowe.

W swoim życiu, przez które przewinęło się wiele kobiet, niewiele spotkał

takich, z którymi chciałby zostać dłużej, a gdy wreszcie mu się udało znaleźć kogoś takiego, sprawy się znacznie skomplikowały. Dziewczyna była córką biednego Aidana Dunne, który tak liczył na posadę dyrektora.

Nieporozumienia i kłopoty zupełnie jak w wiktoriańskim melodramacie.

Teraz Grania Dunne na pewno przestanie się z nim spotykać, oskarżając go o upokorzenie jej ojca. To nieprawda i duża przesada, ale tak właśnie myślała. Pozostawił jej wolny wybór, obiecując po raz pierwszy w życiu, że nie zwiąże się z nikim innym i będzie czekał na jej powrót. Posyłał jej pocztówki z dowcipnymi tekstami, jako znak, że wciąż tu jest, ale nie odpowiadała. Może był głupi łudzac się. Wśród kobiet czuł się jak ryba w wodzie, a wokół nie brakowało chętnych towarzyszek kąpieli.

Ale jakoś żadna nie zrobiła na nim takiego wrażenia, jak ta bystra, żywa dziewczyna o tańczących oczach, pełna entuzjazmu i energii, która sprawiała, że znów czuł się młody. Nie uważała, że jest dla niej za stary, nie tej nocy, gdy z nim została. Kim jest, dowiedział się poprzedniego dnia. I że jej ojciec starał się o posadę, której nigdy nie mógłby zdobyć.

Ostatnią rzeczą, której spodziewał się Tony O'Brien po wyborze na dyrektora, było prowadzenie niemal zakonnego trybu życia w domu. Choć musiał przyznać, że wcześniejsze zasypianie, rzadsze nocne spotkania i mniejsze ilości alkoholu nie wyrządzają mu krzywdy. Próbował nawet ograniczyć palenie, licząc, że Grania wróci. Przynajmniej nie palił rano.

Po obudzeniu nie wyciągał ręki z jeszcze zamkniętymi oczami w poszukiwaniu papierosa. Udawało mu się doczekać do przerwy w szkole i zaciągał się dopiero w swoim pokoju przy filiżance kawy. To postęp.

Zastanawiał się, czy nie posłać jej kartki ze zdjęciem papierosa 143

i napisem „Już nie palę”, ale mogłaby pomyśleć, że całkiem rzucił palenie, a od tego był daleko. To absurdalne, ile ta dziewczyna zajmowała miejsca w jego myślach.

Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak wyczerpujące jest prowadzenie szkoły, spotkania z rodzicami. Otwarte dni to tylko jedna z licznych spraw, które wymagały jego obecności.

Nie miał czasu na przejmowanie się Kathy Clarke. Skończy szkołę, otrzyma pracę, może siostra ściągnie ją do swojego sklepu. Nigdy nie będzie mogła podjąć studiów wyższych. Nie to pochodzenie i nie ten umysł. Ale przetrwa.

* * *

Nikt nie wiedział, jak wygląda życie domowe Kathy Clarke. Jeśli już ktoś w ogóle o tym myślał, sądził pewnie, że jest to jeden z domów na nowo powstałym osiedlu, które charakteryzuje zbyt duża liczba telewizorów i posiłki w barach szybkiej obsługi, hałaśliwa i niebezpieczna okolica, zbyt duża liczba dzieci i niewystarczające środki na ich utrzymanie. Normalny obraz. Nie domyślali się, że w pokoju Kathy znajduje się wbudowane w ścianę biurko i mała biblioteczka. Jej starsza siostra Fran

siadała z nią każdego wieczoru i razem odrabiała lekcje. W zimie włączały grzejnik gazowy z przenośnymi butlami gazowymi, który Fran kupiła z przeceny w supermarkecie.

Rodzice Kathy śmiali się z tej ekstrawagancji. Pozostałe dzieci odrabiała prace domowe przy stole kuchennym i było dobrze. Ale Fran się sprzeciwiła. Sama zakończyła edukację w wieku piętnastu lat, bez żadnych kwalifikacji, i wiele lat zajęło jej dojście do obecnej pozycji, a i tak miała jeszcze sporo luk w edukacji. Chłopcy ledwo pozdawali swoje egzaminy, dwaj pracowali w Anglii, jeden wędrował z grupą muzyczną. Fran zachowywała się, jakby Kathy otrzymała misję do spełnienia i powinna dać z siebie więcej niż reszta rodziny.

Czasami Kathy czuła, że zawiodła siostrę.

- Wiesz, Fran, nie jestem zbyt mądra. Nie przyswajam wiadomości tak jak inni w klasie. Nie uwierzyłabyś, jak bystra jest Harriet.

- Jej ojciec jest nauczycielem, jak mogłaby nie być bystra? - mruknęła Fran.

- Właśnie o to mi chodzi. Tak bardzo się dla mnie poświęcasz. Zamiast pójść na tańce, siedzisz ze mną przy odrabianiu lekcji. Tak się boję, że nie zdam egzaminów i cię ośmieszę. Spędziłaś ze mną tyle godzin.

- Nie chcę iść na tańce - westchnęła Fran.

- Przecież jesteś jeszcze młoda i możesz chodzić na dyskoteki, prawda?

Kathy była najmłodsza z rodziny, miała szesnaście lat, Fran, najstarsza, trzydzieści dwa. Powinna już być mężatką, mieszkać we własnym domu jak jej znajome. Kathy nie chciała jednak, żeby Fran odeszła. Nie wyobrażała sobie domu bez niej. Mama często przebywała na mieście, załatwiała sprawy, jak się mówiło. W rzeczywistości grała na automatach w „jednorękiego bandytę”.

Mieszkanie nie byłoby tak komfortowe, gdyby nie Fran. Sok pomarańczowy na śniadanie, ciepły posiłek wieczorem. To Fran kupiła Kathy mundurek szkolny, nauczyła pastować buty, codziennie prać bluzki i bieliznę. Żadnej z tych rzeczy nie nauczyłyby się od matki.

Fran mówiła jej o sprawach życiowych, kupiła pierwszą paczkę tampaxów.

Przekonywała, by zanim zdecyduje się na współżycie, poczekała, aż znajdzie kogoś, kogo polubi, i by nie ulegała namowom.

- Czy ty znalazłaś kogoś, kogo bardzo lubiłaś, żeby z nim to robić? -

spytała z zainteresowaniem czternastoletnia Kathy.

Ale Fran miała przygotowaną odpowiedź.

- Zawsze uważałam, że lepiej o tym nie rozmawiać, wiesz, znika wtedy cała aura tajemniczości - powiedziała

po prostu.

Fran zabierała ją do teatru Abbey, Gate i Project. Prowadziła ją na Graf ton Street i pokazywała eleganckie sklepy.

- Musimy się nauczyć pewności siebie - tłumaczyła. - Najważniejsze, żeby nie wyglądać na pokorną i winną, jakbyśmy nie miały prawa tam wchodzić.

Fran nigdy ani jednym słowem nie krytykowała rodziców. Kathy czasami się skarżyła.

- Mama cię wykorzystuje, Fran. Kupiłaś jej nowy piekarnik, a ona go nie używa.

- Nic nie szkodzi - odpowiadała siostra.

- Tata nigdy ci nie dziękuje, gdy przynosisz mu piwo z supermarketu.

Nigdy nie dał ci żadnego prezentu.

- Nie jest tak źle - łagodziła Fran. - Życie z głową utkwioną przez cały dzień między pokręconymi rurami nie należy do przyjemnych.

- Czy wyjdiesz kiedyś za mąż? - spytała raz z niepokojem Kathy.

- Poczekam, aż dorośniesz, wtedy o tym pomyślę - zaśmiała się Fran.

- A nie będziesz za stara?

- Wcale nie. Gdy ty skończysz dwadzieścia, ja trzydzieści sześć. Będę w kwiecie wieku.

- Myślałam, że wyjdiesz za Kena - powiedziała Kathy.

- A ja nie. Poza tym pojechał do Ameryki, więc nie wchodzi w rachubę -

szybko odpowiedziała Fran.

Ken pracował z nią kiedyś w supermarkecie i był bardzo ambitny. Mama i tata wróżyli im świetną przyszłość. Kathy ulżyło, gdy Ken wyjechał.

* * *

Na letnie spotkanie rodziców z nauczycielami ojciec Kathy nie mógł

przyjść. Powiedział, że musi pracować do późna w nocy.

- Proszę, tato, proszę! Nauczyciele chcą, żeby przyszli rodzice. Mama nie pójdzie, nigdy nie chodzi. Nie będziesz musiał nic robić, tylko słuchać.

Zobaczysz, że wszystko jest w porządku!

- Boże, Kathy, nienawidzę chodzić do szkoły! Czuję się tam jak z innego świata!

- Ale tato, nie chodzi o to, że zrobiłam coś złego i że będą o mnie mówić.

Chcę tylko, żeby wiedzieli, że się mną interesujecie.

- Ależ oczywiście, że się interesujemy, kochanie... ale matka teraz nie jest sobą i tylko pogorszy sprawę, jak się tam pojawi, wiesz, co myślą na temat palenia. Za dużo ją to kosztuje... może Fran mogłaby pójść znowu. Ona wie więcej niż my.

Więc Fran poszła i opowiadała o swojej młodszej siostrze zmęczonym nauczycielom, którzy musieli się spotkać z całym legionem rodziców zwierających się ze swych problemów i każdemu musieli dodać otuchy z odpowiednią

dawką przestrogi.

- Ona jest zbyt poważna - tłumaczyli Fran. - Za bardzo się stara, więcej by przyswoiła, gdyby była bardziej zrelaksowana.

- Ależ ona naprawdę bardzo się pasjonuje tym, co robi - protestowała Fran.

- Siedzę z nią, gdy odrabia lekcje, nigdy niczego nie zaniedbuje.

- Ma jakieś hobby? - Nauczyciel, który miał zostać nowym dyrektorem, starał się być miły. Wyglądało na to, że nie bardzo zna swoich uczniów.

Mówił o nich tylko ogólnikami. Fran zastanawiała się, czy rzeczywiście ich odróżnia, czy tylko zgaduje.

- Nie, nie chce marnować czasu, który może przeznaczyć na naukę - wyjaśniła.

- Może powinna - powiedział szorstko, ale w dobrej wierze.

- Wydaje mi się, że powinna zrezygnować z łaciny - dodał przyjazny pan Dunne.

Fran ścisnęło się serce.

- Ależ panie Dunne, ona wkłada w to całą duszę! Sama nigdy nie uczyłam się łaciny, więc teraz przerabiam materiał razem z nią i ona naprawdę poświęca temu mnóstwo

czasu.

- Ale nie bardzo rozumie, o co w tym chodzi. - Biedny pan Dunne starał się jej nie urazić.

- Mogę dać jej kilka prywatnych lekcji? Byłoby cudownie, gdyby miała stopień z łaciny na świadectwie. Miałaby wtedy większą możliwość wyboru wyższych szkół.

- Może nie uzyskać wystarczającej liczby punktów na uniwersytet. -

Czyżby chciał ją zniechęcić?

- Ale ona musi. Nikt z nas do niczego nie doszedł. Musimy umożliwić jej lepszy start.

- Ma pani bardzo dobrą pracę, panno Clarke. Widuję panią w supermarkecie, nie mogłaby pani

załatwić jej tam pracy?

147

- Kathy nigdy nie będzie pracować w supermarkecie! -Oczy Fran zapłonęły.

- Och, bardzo przepraszam.

- To ja przepraszam. Jest pan bardzo miły, okazując tyle zainteresowania.

Proszę mi wybaczyć, że podniosłam głos. Niech mi pan poradzi, co będzie dla niej najlepsze.

- Powinna zająć się czymś, co sprawia jej przyjemność, czymś mniej wyczerpującym - zasugerował Dunne. - Może grą na jakimś instrumencie... Ciekawi ją to?

- Nie - potrząsnęła głową Fran. - Zupełnie. Nikt z nas nie ma słuchu, nawet brat, choć gra w zespole muzycznym.

- A może malarstwem?

- Sama nie mam o tym pojęcia, tylko by się zadreślała, czy dobrze maluje.

Przyjemnie się rozmawiało z tym nauczycielem, panem Dunne. Pewnie trudno mu było wytłumaczyć rodzicom i rodzinie, że ich dziecko nie jest wystarczająco zdolne do podjęcia dalszej nauki. Może jego dzieci studiuje na uniwersytecie i chciałby, by inni też mieli szansę. To miło, że martwi się o Kathy, o jej szczęście i spokój. Była zła na siebie, że odrzuca wszystkie jego propozycje. Próbował jej pomóc. Praca nauczyciela wymaga ogromnej cierpliwości.

Aidan patrzył na szczupłą, ładną twarz dziewczyny, która wykazywała więcej zainteresowania swoją siostrą niż wszyscy rodzice razem wzięci.

Nie wiedział, jak powiedzieć, że Kathy jest opóźniona, a właściwie czuł

się winny. Zawsze uważał, że gdyby szkoła była mniejsza, gdyby dysponowali większą liczbą pomocy naukowych, większą biblioteką, dodatkowymi lekcjami, może mniej byłoby opóźnionych dzieci.

Omawiał to kiedyś z Signorą w trakcie planowania lekcji włoskiego.

Uważała, że wszystko zależy od nastawienia. Wiele lat musiało upłynąć w nowym systemie edukacji, zanim ludzie pojęli, że nie ma przeszkód nie do przebycia. Spotkała się z tym problemem we Włoszech. Widziała, jak dorastają dzieci miejscowego hotelarza i jego żony. Wioska była mała i biedna. Nikomu nie przyszło do głowy, że ich dzieci mogą zająć znacznie wyżej niż ich rodzice. Nauczyła ich angielskiego na tyle, żeby umieli przywitać się z turystami,

zostać pokojówkami czy kelnerami. Pragnęła dla nich o wiele więcej.

Signora doskonale rozumiała Aidana.

Tak swobodnie się z nią rozmawiało. Wypili mnóstwo kawy przy omawianiu kursu wieczorowego. Nie żądała niczego, nie zadawała pytań o rodzinę i mało mówiła o swoim życiu w domu tego Jerry'ego Sullivana.

Opowiedział jej o swoim gabinecie, który właśnie urządzał.

- Nie zabiegam o posiadanie rzeczy - powiedziała Signora - ale przyjemny cichy pokój z dużym oknem, przez które wpadałoby światło, biurko z dobrego drewna wraz ze wszystkimi wspomnieniami, książkami i obrazami na ścianie... to rzeczywiście musi dawać dużo zadowolenia.

Mówiła, jakby była Cyganką albo żebraczką, która nie śmie nawet marzyć o czymś tak cudownym, ale co chciałaby ofiarować innym jako nagrodę.

Opowiedział jej także o Kathy Clarke, dziewczynie o niespokojnej twarzy, wkładającej tyle wysiłku, aby sprostać oczekiwaniom siostry, która uważa ją za inteligentną. Może Signora wpadnie na jakiś pomysł.

Ale przerwał miłe wspomnienia tych rozmów i wrócił do rzeczywistości.

Czekała go długa noc.

- Na pewno coś pani wymyśli, panno Clarke - spojrzał ponad nią na sznurek czekających rodziców.

- Bardzo jestem państwu wdzięczna - powiedziała Fran, jakby naprawdę tak myślała. - Poświęćcie tyle swojego czasu, tak przejmujecie się uczniami. Dawniej, gdy sama chodziłam do szkoły, było inaczej, a może tylko się usprawiedliwiam. - Mówiła poważnie, z bladą twarzą. To szczęście mieć taką troskliwą siostrę.

Fran skierowała się na przystanek, zwiesiła głowę, ręce schowała w kieszeniach. Gdy przechodziła obok przybudówki, zauważyła kartkę informującą o kursie włoskiego. Kurs, który otworzy cię na kolory, malarstwo, muzykę i język Włoch. Obiecywano dobrą zabawę i solidną naukę. Fran zaczęła się nad tym zastanawiać. Ale opłaty były zbyt wysokie. Tyle miała wydatków. Nie mogłaby opłacić całego semestru z góry. I przypuścmy, że Kathy podejrze do tego zbyt poważnie, jak zdarzało się wcześniej. Wtedy lekarstwo może okazać się groźniejsze niż choroba. Nie, będzie musiała

pomyśleć o czymś innym. Fran westchnęła i poszła na przystanek.

Tam spotkała Peggy Sullivan, jedną z kobiet pracujących przy kasie.

- Przez te zebrania można się postarzyć, prawda? - zagadnęła ją Peggy.

- Tak, zajmują dużo czasu i są męczące, ale to lepsze niż kiedy byliśmy młode i nikt nie wiedział, co robimy przez większość czasu. A jak się ma pani syn? - Jako kierowniczka Fran starała się poznać osobiście jak najwięcej personelu. Peggy miała dwoje dzieci, które sprawiały sporo kłopotu. Dorosłą córkę, która nie mogła sobie ułożyć stosunków z ojcem, i chłopca, który nie przykładał się do nauki.

- Nie uwierzy pani, ale Jerry ostatnio bardzo się poprawił. Wszyscy tak mówią. Znow zachowuje się jak człowiek, jak ktoś to określił.

- To doskonale!

- To zasługa tej dziwaczki, która z nami mieszka. Nikomu ani słowa, panno Clarke, ale mamy lokatorkę, pół Włoszkę, pół Irlandkę. Mówi, że była mężatką i że mąż zmarł, ale to nieprawda. Myślę, że ona jest zakonnica w przebraniu. Zresztą nieważne, zajęła się Jerrym i to już nie ten sam chłopak.

Peggy wyjaśniła, że Jerry'emu nigdy nie przyszło do głowy, że poezja może coś znaczyć, aż do momentu pojawienia się Signory. To zmieniło jego podejście do nauki. Jego nauczyciel angielskiego był zachwycony.

Nigdy też nie rozumiał, że historia rzeczywiście kiedyś istniała.

Fran pomyślała ze smutkiem, że jej siostra, której poświęcała tyle uwagi, nie zdaje sobie sprawy, że łacina to język, którym kiedyś ludzie się posługiwali. Może i dla niej Signora mogłaby coś zrobić.

- Czym zajmuje się pani lokatorka? - spytała.

- Musiałaby pani zatrudnić armię detektywów, żeby się dowiedzieć.

Trochę szyje, trochę pracuje w szpitalu, a od przyszłego semestru tutaj w szkole zacznie prowadzić kurs włoskiego. Cieszy się jak dziecko, jakby zdobyła Puchar Świata i cały czas śpiewa włoskie piosenki. Całe lato przygotowuje się do tego kursu.

150

Fran postanowiła, że się zapisze. Ona i Kathy będą chodziły w każdy wtorek i czwartek i, do licha, będą się uczyć włoskiego, z radością! To właśnie robią. Z tą zwariowaną kobietą, która śpiewa piosenki i przygotowuje się do tego z taką pasją. Może biedna nerwowa Kathy trochę się odpręży, a Fran zapomni wreszcie o Kenie, który pojechał bez niej do Ameryki.

- Powiedzieli, że Kathy to wspaniała dziewczyna -oznajmiła z dumą Fran przy stole kuchennym.

Matka, przybita utratą znacznych sum pieniędzy na automatach, starała się okazać entuzjazm.

- A dlaczego nie mieliby tak mówić? To prawda.

- Nie mówili o mnie nic złego? - spytała Kathy.

- Nie. Powiedzieli, że twoje prace domowe są nienaganne i uczenie ciebie to przyjemność. To wszystko.

- Naprawdę chciałem tam pójść, kochanie, ale nie wiedziałem, czy zdążę wrócić z pracy. - Kathy i Fran wybaczyły ojcu. Teraz nie miało to już znaczenia.

- Mam dla ciebie nagrodę, Kathy. Będziemy się uczyć włoskiego! Ty i ja!

Gdyby zaproponowała lot na księżyc, rodzina Clarke'ów nie zdziwiłaby się bardziej.

Kathy poczerwieniała z radości.

- My dwie?

- Dlaczego nie? Zawsze podobały mi się Włochy, poza tym czy moje szanse na poderwanie jakiegoś Włocha nie będą większe, gdy poznam jego język?

- Czy dam sobie radę?

- Oczywiście, to dla takich nieudaczników jak ja, które niczego się nie nauczyły. Będiesz najlepsza w grupie, ale przede wszystkim to ma być zabawa. Pani, która będzie nas uczyć, ma odtwarzać nam opery, pokazywać zdjęcia i częstować nas włoską kuchnią. Będzie cudownie.

- To nie jest bardzo drogi kurs, Fran?

- Nie, nie, a poza tym ile z niego skorzystamy - uspokajała Fran czując, że całkiem już zwariowała.

151

* * *

W lecie Ken szukał mieszkania w małym miasteczku w stanie Nowy Jork.

Znowu napisał do Fran: Kocham Cię i zawsze będę Cię kochał.

Rozumiem, że opiekujesz się Kathy, ale dlaczego nie możesz do mnie przyjechać? Kathy spędzałaby z nami wakacje, wtedy byś ją uczyła.

Proszę, zgódź się zanim wynajmę mieszkanie tylko dla siebie. Powiedz: tak, i załatwimy jakiś mały dom. Ona ma szesnaście lat, nie mogę czekać na Ciebie kolejne cztery lata.

Popłakała się nad listem, ale teraz nie opuści Kathy. Tak długo marzyła, by zobaczyć kogoś z rodziny Clarke'ów studiującego na uniwersytecie. Ken tłumaczył, żeby poczekała, aż będą mieli własne dzieci i wtedy zaplanują ich przyszłość, dadzą im wszystkie możliwe szanse na świecie. Ale on nie rozumiał. Zbyt dużo pracy włożyła w Kathy, która może nie była intelektualistką, ale głupia też nie.

Gdyby urodziła się w bogatej rodzinie, nie musiałaby pokonywać tylu trudności. Dostałaby się na uniwersytet przez sam fakt, że miałyby wystarczająco dużo czasu, w mieszkaniu byłoby dużo książek, ludzie więcej by od niej oczekiwali. Fran zwiększała szansę Kathy. Nie mogła teraz odejść i zostawić jej matce, która z trudem oderwałaby się od automatów do gry, i ojcu, który chciał dobrze, ale nie wymagał wiele, tylko tyle, by znaleźć pracę zaspokajającą jego niewielkie potrzeby. Kathy by bez niej zginęła.

Lato było ciepłe i turyści tłumnie odwiedzali miasto. Supermarket przygotował specjalny zestaw śniadaniowy na piknik. Na pomysł wpadła Fran i udał się doskonale.

Pan Burkę przy ładzie z mięsem miał jednak wątpliwości.

- Nie zamierzam pracować w tym biznesie przez całe życie, panno Clarke, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Kroić wieprzowinę na plasterki, smażyć i układać na kanapkach jak wędlinę? Dlaczego nie wystarczy zwykła szynka jak dotąd?

- Ludzie lubią teraz chrupiące mięso i jestem pewna, że kanapki ze smażoną wieprzowiną będą się świetnie sprzedawać.

152

- A co się stanie, gdy je usmażę i nikt ich nie kupi? Co wtedy, panno Clarke?

Był bardzo miłym człowiekiem, bardzo się przejmował i troszczył o sklep, ale bał się zmian.

- Spróbujemy przez trzy tygodnie, panie Burkę, dobrze?

Jej przewidywania sprawdziły się całkowicie. Ludzie tłoczyli się po kanapki. Wydawali na nie sporo pieniędzy, a gdy już weszli do supermarketu, zaczęli kupować także inne rzeczy.

Kiedyś zabrała Kathy do muzeum sztuki nowoczesnej, a w dniu wolnym od pracy pojechały na trzygodzinną wycieczkę autobusem po Dublinie.

Trzeba znać historię swojego miasta, oświadczyła Fran. Cieszyły się, że zobaczyły dwa protestanckie kościoły, w których nigdy nie były, i Phoenix Park. Patrzyły z dumą na georgiańskie bramy i półkoliste okna.

- Spójrz, jesteśmy jedynymi Irlandkami w autobusie -szepnęła Kathy. -

Reszta to turyści. To miasto należy do nas.

Starając się nie zachowywać zbyt apodyktycznie, Fran namówiła Kathy na elegancką bawełnianą sukienkę i fryzjera. Pod koniec lata Kathy była opalona i wyglądała bardzo atrakcyjnie. Z jej oczu zniknął wyraz przestachu.

Fran zauważyła, że Kathy ma koleżanki, ale żadnej bliskiej przyjaciółki, z którą mogłaby pochichotać, jak ona to robiła będąc młodą dziewczyną, co wydawało się wieki temu. Niektóre z

koleżanek Kathy chodziły w soboty na hałaśliwe dyskoteki, o których Fran słyszała od swoich młodszych pracowników.

Doskonale zdawała sobie sprawę, co się tam dzieje, że narkotyki krążą tam bez przeszkód. Tak zorganizowała sobie pracę, że mogła przejeżdżać koło dyskoteki o pierwszej nad ranem i zabierać Kathy. Poprosiła Barry'ego, jednego z młodych kierowców samochodów dostawczych, żeby podwoził

ją w te soboty, gdy Kathy szła na dyskotekę. On też uważał, że dyskoteka nie jest odpowiednim miejscem dla młodzieży.

- Co mam zrobić? - Fran wzruszyła ramionami. - Jeśli jej zakażę, będzie się czuła bardzo pokrzywdzona. I tak

153

szczęśliwie się złożyło. Dzięki tobie mam pretekst, żeby ją zabrać do domu.

Barry był wspaniałym chłopakiem. Brał nadgodziny, by zaoszczędzić na motor. Miał już trzecią część sumy i gdy tylko uzbiera połowę, pójdzie go obejrzyć, a gdy będzie miał trzy czwarte, dokona zakupu, resztę zaś spłaci w ratach.

- Po co ci to, Barry? - spytała Fran.

- Wreszcie poczuję się wolny, panno Clarke - wyjaśnił. - Wie pani, ten pęd powietrza koło uszu i w ogóle.

Fran poczuła się staro.

- Razem z siostrą zapisałyśmy się na kurs włoskiego - powiedziała kiedyś, gdy czekali na Kathy przed dyskoteką.

- To wspaniale, panno Clarke. Sam chciałbym się uczyć. Pojechałem kiedyś do Włoch na mistrzostwa świata, poznałem wspaniałych Włochów.

Myślę, że my też byśmy tacy byli, gdybyśmy mieli taki ciepły klimat.

- Może ty też zaczniesz się uczyć włoskiego? - rzuciła bezwiednie, zauważywszy kilku osiłków wychodzących z dyskoteki. Dlaczego Kathy i jej koleżanki chciały tu przychodzić? I pomyśleć, że za jej czasów nie do pomyślenia było, żeby w wieku szesnastu lat chodzić samej na dyskoteki.

- Może się zapiszę, jeśli spłacę motor, gdyż pierwsze miejsce, do którego pojedę, to Włochy - oświadczył Barry.

- Kurs odbędzie się w Mountainview, zaczyna się we wrześniu - rzuciła szybko, gdyż właśnie zobaczyła Kathy, Harriet i inne dziewczęta.

Nacisnęła klakson. Natychmiast spojrzały w jej stronę. Podwożenie Kathy w sobotnie noce weszło w zwyczaj. A co z rodzicami pozostałych dziewcząt, pomyślała? Czy w ogóle ich obchodzą? A może to ona trzęsie się nad Kathy jak kwoka? Boże, cóż to będzie za ulga, gdy znów zacznie się rok szkolny i skończą się te wypadki.

* * *

Kurs rozpoczął się we wtorek o siódmej. Tego ranka Fran dostała list od Kena. Urządził się w swoim małym mieszkaniu. Ten kraj tak bardzo różnił

się od rodzinnego. Na przykład uzupełnianie towarów w magazynie. Nie ma żadnego targowania się z dostawcami, płacisz, ile żądają.

154

Ludzie odnoszą się przyjaźnie, zapraszają do swoich domów. Wkrótce z okazji Święta Pracy miał odbyć się piknik, świętujący także koniec lata.

Tęsknił za nią, ale czy ona tęskni za nim?

Grupa liczyła trzydzieści osób. Każdy otrzymał dużą tekturę, by napisać na niej swoje imię, ale po włosku, jak poleciła ta wspaniała kobieta. Fran została więc Francescą, a Kathy Cateriną. Zaczęli naukę od witania się i pytania

o swoje imiona. Kathy była zachwycona. Opłacało się chyba wymazać z pamięci Kena udającego się na piknik.

- Hej, Fran, czy widzisz tego faceta, który się przedstawił: Mi chiamo Bartolomeo? Czy to nie Barry z twojego

sklepu?

Rzeczywiście. Fran się ucieszyła; wypracował wystarczającą liczbę nadgodzin, by kupić sobie motor. Pomachali do siebie przez salę.

Cóż za niezwykła zbieranina ludzi. Zauważyła elegancką panią, o której słyszała, że wydaje wystawne przyjęcia w swoim domu. Cóż ona, u licha, robi w takim miejscu?

I piękną dziewczynę ze złotymi lokami, Elizabetę, i jej miłego chłopca w ładnym garniturze. Był tam także ciemny, gwałtowny Luigi i starszy mężczyzna, Lorenzo. Niesamowita mieszanka.

Signora była uradowana.

- Znam właścicielkę domu, w którym pani mieszka - zagadnęła ją Fran, gdy pogryzały salami i ser.

- No tak, pani Sullivan jest moją daleką kuzynką, ja jestem jej kuzynką -

odparła nerwowo Signora.

- Oczywiście, jak mogłam zapomnieć, oczywiście, że tak - uspokajała Fran. Doskonale знаła ten sposób unikania płacenia podatków. Zupełnie w stylu jej ojca. - Mówiła, że bardzo pani pomogła jej synowi.

Uśmiech wykwitł na twarzy Signory. Była bardzo piękna, gdy się śmiała.

Fran nie sądziła, by mogła być zakonnica. Peggy Sullivan coś się pomieszało.

* * *

Fran i Kathy uwielbiały lekcje. Szły razem do autobusu i śmiały się jak dzieci, żartowały z błędów swojej wymowy

155

i historyjek, które opowiadała im Signora. Gdy Kathy relacjonowała zajęcia swoim koleżankom, nie mogły w to uwierzyć.

Między ludźmi na kursie wytworzyła się niezwykła więź. Jak gdyby wszyscy znaleźli się nagle na bezludnej wyspie i jedyną nadzieją na ratunek była nauka języka włoskiego, zapamiętanie wszystkiego, czego się dowiedzieli. Może dlatego, że Signora mocno wierzyła w ich zdolność do wielkiego wysiłku, i oni w to uwierzyli. Prosiła, żeby używali włoskich wyrazów, nawet jeśli nie potrafią utworzyć całego zdania. Ani się spostrzegli, jak zaczęli mówić o powrocie do casa, o tym, że camera jest bardzo ciepła i że są stanca, zamiast zmęczeniu.

Przez cały czas Signora patrzyła i słuchała z zadowoleniem, niczemu się nie dziwiąc. Nie wyobrażała sobie, żeby ktoś, kto zetknie się z językiem włoskim, nie wpadł od razu w zachwyt. Podobnie myślał pan Dunne, który zorganizował ten kurs. Wyglądało na to, że świetnie się razem dogadują.

- Może kiedyś byli przyjaciółmi - zastanawiała się Fran.

- Nie, on ma żonę i dwoje dzieci - wyjaśniła Kathy.

- Może mieć żonę i przyjaciółkę - zauważyła Fran.

- Tak, ale myślę, że mógłby z nią to robić, uśmiechają się do siebie w szczególny sposób. Harriet mówi, że to świadczy tylko o jednym. Harriet była koleżanką Kathy ze szkoły, niezwykle zainteresowaną seksem.

* * *

Aidan Dunne z przyjemnością, która go zaskoczyła, patrzył, jak rozkwita kurs włoskiego. Tydzień w tydzień uczestnicy przyjeżdżali do szkoły na rowerach, motorowerach, furgonetkami, autobusami i nawet, jak ta niesamowita kobieta, BMW. Uwielbiał przygotowywać dla nich różne niespodzianki. Robili papierowe flagi. Najpierw rozdawał białe flagi, które potem malowali na kolor, który

wywołał. Każda osoba podnosiła w górę flagę, a reszta nazywała kolory po włosku. Byli jak dzieci, pełni entuzjazmu i zapału. Po zajęciach groźnie wyglądający Lou czyli Luigi pomagał w sprzątaniu - ostatnia osoba, od której można 156

było oczekiwać pomocy w układaniu pudeł i ustawianiu w stos krzeseł.

Ale to zasługa Signory. Dostrzegała w ludziach tylko to, co dobre, i to od nich otrzymywała. Spytała kiedyś Aidana, czy mogłaby uszyć pokrowce na poduszki do jego gabinetu.

- W takim razie przyjdź i obejrzyj pokój - zaproponował zniecierpliwiony Aidan.

- Świetnie. Kiedy?

- W sobotę rano. Nie mam zajęć. Jesteś wolna?

- Jestem wolna o każdej godzinie - odparła.

Całe piątkowe popołudnie spędził na sprzątaniu pokoju. Wyjął tacę z dwiema małymi czerwonymi szklaneczkami, które przywiózł z Murano koło Wenecji. Kupił butelkę marsali. Wypiją za sukces kursu i urządzenie gabinetu.

Przyszła w południe i przyniosła próbki materiału.

- Pomyślałam, że żółty będzie pasował - powiedziała pokazując mu błyszczący materiał w żywym kolorze. - Kosztuje trochę więcej niż zwykle materiały, ale przecież ma to być pokój na całe życie, prawda?

- Na całe życie - powtórzył.

- Czy chcesz pokazać go swojej żonie zanim zacznę szyc?

- Nie, Neli na pewno się spodoba. Poza tym to jest mój pokój.

- Tak, oczywiście. - Nigdy nie zadawała zbędnych pytań. Neli nie było tego ranka w domu, ani żadnej z córek.

Aidan nie wspomniał im o wizycie i cieszył się, że są sami. Razem z Signorą wypili za kurs i gabinet „na całe życie”.

- Szkoda, że nie uczysz normalnie w szkole, wyzwalasz w uczniach tyle entuzjazmu - zauważył z podziwem.

- To tylko dlatego, że chcą się uczyć.

- Podobno Kathy Clarke zabłysła nagle inteligencją tylko dzięki lekcjom włoskiego.

- Caterina? Miła dziewczyna.

- Podobno opowiada w swojej klasie, jak wesoło jest na kursie, i teraz wszyscy chcą się zapisać.

- Czyż to nie cudowne?

Aidan nie wspomniał, gdyż nie miał pojęcia, o plotkach Kathy związanych z jego zachwytem nad nauczycielką włoskiego i jego rozanielonym spojrzeniem szczeniaka, gdy

157

na nią patrzył. Przyjaciółka Kathy, Harriet, uważała, że to było do przewidzenia. Trzeba mieć oko właśnie na tych spokojnych. Tam kryje się prawdziwa namiętność i żądza.

Historii uczyła teraz panna Quinn i usilnie starała się odnieść wydarzenia z przeszłości do czasów teraźniejszych. Do czegoś, co uczniowie znali.

Mówienie o rodzie Medyceuszów jako o mecenasach sztuki nie miało sensu, nazwała ich więc sponsorami.

- Czy ktoś zna artystów, których Medyceusze sponsorowali? - spytała.

Popatrzyli na siebie bezmyślnie.

- Sponsorowali? - zastanawiała się Harriet. - Tak jak sponsorem jest firma produkująca napoje czy towarzystwo ubezpieczeniowe?

- Tak. Musicie znać jakieś nazwiska sławnych włoskich artystów, prawda?

Nauczycielka historii była młoda, nie przyzwyczajona, by uczniowie zapominali to, czego się uczą albo w ogóle nie mieli o tym pojęcia.

Powoli podniosła się Kathy Clarke.

- Jednym z najważniejszych był Michał Anioł. Papież Sykstus V poprosił

go, aby pomalował sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej przedstawiając różne sceny biblijne.

Spokojnym, pewnym głosem opowiedziała klasie o wybudowanym gigantycznym rusztowaniu, kłótniach i nieporozumieniach, trudnościach w zachowaniu intensywności barw.

Wszyscy siedzieli zasłuchani i pełni podziwu. Odpowiedź Kathy wyszła daleko poza ramy oczekiwań nauczycielki, więc musiała jej przerwać.

- Dziękuję Katherino Clarke. Czy ktoś może wymienić innych artystów tego okresu?

Ręka Kathy ponownie znalazła się w górze. Nauczycielka rozejrzała się po klasie, czy jest jeszcze jakiś ochotnik, ale nie było takiego. Dziewczynki i chłopcy wpatrywali się zdumieni w Kathy, gdy opowiadała o Leonardzie da Vinci i jego rękopisie, pięciu tysiącach stron, napisanym jak w

lustrzanym odbiciu, może dlatego, że był leworęczny, a może chciał

zachować je tylko dla siebie. O tym, jak starał się 158

o pracę u księcia Mediolanu, przekonując, że potrafi zaprojektować statki w czasie wojny i pomniki w czasie pokoju. Kathy opowiadała o tym jakby czytała powieść.

- Święty Józefie i Maryjo, ten kurs włoskiego jest niesamowity - oznajmiła Josie Quinn w pokoju nauczycielskim.

- Dlaczego tak sądzisz? - pytali wszyscy.

- Kathy Clarke zrobiła mi dzisiaj wykład o włoskim renesansie, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie słyszałam.

W drugim końcu pokoju Aidan Dunne, który rozmyślał nad swoimi klasami, zamieszał cukier w kawie i uśmiechnął się do siebie. Szerokim radosnym uśmiechem.

Godziny spędzone wspólnie na lekcjach jeszcze bardziej zbliżyły do siebie Kathy i Fran. Matt Clarke wrócił jesienią z Anglii, aby powiadomić o swoich zamiarach poślubienia Tracey z Liverpoolu. Nie planowali żadnego przyjęcia. W zamian za to postanowili wyjechać na Wyspy Kanaryjskie. Wszyscy odetchnęli z ulgą, że ominie ich wyprawa do Anglii.

Śmiali się, gdy usłyszeli, że podróż poślubna odbędzie się przed ślubem, a nie po nim.

Matt uważał, że postąpili rozsądnie.

- Chciała się opalić do zdjęć ślubnych, a poza tym, jeśli okaże się, że nie możemy ze sobą wytrzymać, będzie czas na odwołanie wszystkiego -

oznajmił radośnie.

Matt dał matce pieniądze na automaty do gry i zabrał

ojca na kilka piw.

- O co chodzi z tą nauką włoskiego? - spytał.

- Mnie się nie pytaj - odparł ojciec. - Nic z tego nie łapię. Fran jest wykończona pracą w supermarkecie, wczesne ranki, późne noce. Facet, z którym chodziła, wyjechał do Stanów. Nie mam pojęcia, dlaczego się zapisała, szczególnie gdy w szkole powiedzieli, że Kathy za dużo się uczy.

Ale dostały na tym punkcie bzika. Chcą dalej tam chodzić w przyszłym roku. Niech mają.

- Kathy powoli zamienia się w ślicznotkę, nie? - zauważył Matt.

- Możliwe. Co prawda, widując ją codziennie, nie bardzo się przyglądam -

zdziwił się lekko ojciec.

Kathy rzeczywiście stała się atrakcyjna. W szkole Harriet także to zauważyła.

159

- Masz kogoś na tych lekcjach włoskiego? Wydajesz się jakaś inna.

- Nie, ale jest tam dużo starszych, interesujących panów - zaśmiała się Kathy. - Niektórzy nawet bardzo starzy. Łączymy się w pary do ćwiczenia dialogów, na przykład umawiamy się na spotkanie. Ale ubaw.

Rozmawiałam z jednym, ma chyba sto lat, Lorenzo. Naprawdę nazywa się chyba Laddy. W każdym razie powiedział do mnie: „E libera questa sera?”. Przewracał przy tym oczami i kręcił nieistniejącym wąsem tak, że wszyscy pokładali się ze śmiechu.

- No i co jeszcze? Uczy was czegoś przydatnego, na przykład jak się umawiać i tym podobne?

- Coś w tym rodzaju. - Kathy zastanawiała się nad odpowiednim wyrażeniem. - Vive solo czy sola, to znaczy, czy mieszkasz sama. I coś innego, ale nie pamiętam dokładnie... Deve rincasare questa notte? Czy musisz iść dzisiaj w nocy do domu?

- Nauczycielka to ta starsza pani, którą widzi się czasami w bibliotece, z śmiesznymi rudymi włosami?

- Tak, Signora.

- No proszę - mruknęła Harriet. Wokół dzieje się tyle niezwykłych rzeczy.

* * *

- Czy chodzi pani jeszcze na ten kurs do Mountainview, panno Clarke? -

spytała Peggy Sullivan wręczając Fran zawartość kasy.

- O tak, jest wspaniały. Proszę powtórzyć to Signorze, dobrze? Wszyscy go uwielbiają. Czy pani wie, że nikt z grupy nie zrezygnował? To niespotykane!

- Muszę powiedzieć, że bardzo się nim przejmuje. Bardzo skryta kobieta.

Twierdzi, że miała męża, Włocha, przez dwadzieścia sześć lat w jakiejś wiosce... żadnego listu z Włoch... żadnego zdjęcia. I do tego okazuje się, że ma całą rodzinę w Dublinie, matkę w eleganckim domu nad morzem, ojca w domu opieki i jeszcze siostry i braci.

- Tak, cóż... - Fran nie chciała słuchać nawet najmniejszych słów krytyki pod adresem Signory.

- To dziwne, nie sądzi pani? Dlaczego mieszka w jednym małym pokoju u nas, jeśli po całym mieście ma porozrzucaną rodzinę?

- Może po prostu źle się między nimi układa.

- Każdego poniedziałku jeździ odwiedzać matkę, a ojca dwa razy w tygodniu. Wywozi go w wózku na spacer, tak powiedziała mojej Suzi jedna z pielęgniarek. Siada pod drzewem i czyta mu, ale on nie reaguje, wpatrując się gdzieś w dal, chociaż z każdym innym, nawet jeśli pojawia się tylko raz na sto lat, stara się rozmawiać.

- Biedna Signora - powiedziała nagle Fran. - Zasługuje na coś więcej.

- Chyba tak, panno Clarke - przyznała Peggy Sullivan. Miała powody, by być wdzięczną tej dziwnej lokatorce,

zakonnicy czy też nie. Wywarła na ich życie ogromny wpływ. Suzi świetnie się z nią dogadywała i częściej pojawiała się w domu, Jerry traktował ją jak prywatnego nauczyciela. Uszyła dla nich zasłony i pokrowce na poduszki w tym samym kolorze. Pomalowała szafkę w kuchni i ustawiła w oknie skrzynki na kwiaty. Pokój utrzymywała w nieskazitelnej czystości. Czasami Peggy Sullivan zaglądała tam z ciekawości. Jak każdy. Ale Signora najwyraźniej nie miała nic więcej niż w momencie przyjazdu. Była niezwykłą kobietą. To dobrze, że wszyscy w klasie ją polubili.

* * *

Kathy Clarke była najmłodsza w grupie. Pełna zapału do nauki. Pytała o problemy gramatyczne, o których reszta nie miała pojęcia albo które ich nie obchodziły. Była także atrakcyjna, niebieskooka, o ciemnych włosach, urodzie nie spotykanej we Włoszech. Tam wszystkie ciemnowłose miały duże piwne oczy. Czasami Signora widziała, jak dziewczyna uczy się w bibliotece. Myślała chyba o podjęciu wyższych studiów.

- Co twoja matka chce, żebyś robiła po zakończeniu szkoły? - spytała pewnego wieczoru, gdy sprzątały po zajęciach. Nikt nie spieszył się z wyjściem, stali i rozmawiali, co było dobrym znakiem. Potem część szła na drinka do pubu na wzgórzu lub na kawę. Nie mogło być lepiej.

161

- Moja matka? - zdziwiła się Kathy.

- Wydaje się taka zaangażowana i pełna zapału do wszystkiego - odparła Signora.

- W rzeczywistości niewiele wie o szkole, co się w niej dzieje i co ja robię.

Rzadko wychodzi z domu, nie orientuje się, czego się uczyć i po co.

- Ale to ona chodzi z tobą tu na zajęcia, prawda? Jest kierowniczką w supermarkecie? Pani Sullivan, u której mieszkam, mówi, że u niej pracuje.

- Och, to Fran. Moja siostra - sprostowała Kathy. - Niech pani tego jej nie powtarza, bo się wścieknie.

Signora była zaskoczona.

- Och, przepraszam, wszystko mi się myli.

- Nic nie szkodzi, to normalne. - Kathy nie chciała, żeby Signora poczuła się zakłopotana. - Fran jest najstarsza w rodzinie, ja najmłodsza. Łatwo się pomylić.

Nic nie wspomniała Fran o rozmowie, żeby nie poszła do lustra wypatrywać zmarszczek. Biedna Signora jest trochę roztargniona i często przekręca fakty. Ale jest cudowną nauczycielką. Wszyscy w grupie, nawet Bartolomeo, ten od motoru, ją uwielbiali.

Kathy polubiła Bartolomea, pięknie się uśmiechał i opowiadał o piłce nożnej. Spytał ją, gdzie chodzi na tańce, i kiedy opowiedziała mu o dyskotekach w lecie, umówili się w połowie semestru. Miał ją zaprowadzić w specjalne miejsce.

Opowiedziała o tym Harriet.

- Wiedziałaś, że zapisałaś się na kurs dla seksu - stwierdziła koleżanka.

Śmiały się długo.

* * *

W październiku przeszła przez miasto ulewa i w dachu przybudówki, gdzie odbywały się zajęcia, zrobił się przeciek. Wspólnymi siłami udało się temu zaradzić. Pozbierali gazety, poprzestawiali stoliki i znaleźli wiadro w szatni. Przez cały czas wołali do siebie, narzekając na pogodę Che temapaccio i Che brutto tempo. Barry zaproponował, że poczeka w swoim stroju przeciwdeszczowym na przystanku i da znak światłami motoru, gdy pojawi się autobus, żeby grupa nie przemokła.

Connie, kobieta z biżuterią, za którą, jak twierdził Luigi, można było kupić kilka mieszkań, zaproponowała podwiezienie czterem osobom. Wcisnęli się do jej pięknego BMW: Guglielmo, sympatyczny młody człowiek z banku, jego lekko nieprzytomna dziewczyna Elizabetta, Francesca i młoda Caterina. Najpierw podjechali do mieszkania Elizabetty. Kochanków uciekających na schody przed deszczem pożegnał chór ciao i ariwederci.

Potem pod dom Clarke'ów. Siedząca z przodu Fran wskazywała drogę.

Tych okolic Connie nie знаła. Gdy dojechali, Fran zobaczyła swoją matkę z kubłem na śmieci, jak zawsze w podartych kapciach i niechlujnej podomce. Pomimo deszczu trzymała w ustach zupełnie już rozmiękłego papierosa. Fran poczuła wstyd za matkę, ale zaraz potem za siebie. To, że została podwieziona eleganckim samochodem, nie oznacza, że musi zmieniać swój system wartości. Jej matka miała ciężkie życie, ale była hojna i wyrozumiała, gdy było trzeba.

- Mama jest całkiem mokra. Nie można wyrzucić śmieci rano? -

zniecierpliwiła się Fran.

- Che temapaccio, che temapaccio - uskarżała się na pogodę Kathy.

- Wsiadaj, Caterina. Babcia trzyma ci drzwi - ponaglała Connie.

- To moja matka - poprawiła Kathy.

Lejący deszcz, trzask drzwi i hałas pojemników na śmieci wprowadził tyle zamieszania, że nie zwrócono na to uwagi.

W środku pani Clarke patrzyła ze zdziwieniem i niesmakiem na swój papieros.

- Całkiem przemokłam czekając, aż się wywleczenie z tej limuzyny.

- Napijmy się herbaty - zaproponowała szybko Fran i ruszyła po czajnik.

Kathy siadła ciężko przy stole.

- Due tazze di te - powiedziała po włosku Fran. - No, Kathy, Con latte?

Con zucchero?

- Wiesz, że piję z mlekiem i cukrem - powiedziała bezbarwnym głosem Kathy.

Była bardzo blada. Pani Clarkę oznajmiła, że nie ma sensu stać tu beczynn timer na dole, więc idzie na

górze do łóżka, a jeśli jej mąż raczy się wreszcie pojawić z pubu, niech nie zostawia przypadkiem w zlewie żadnych patelni do mycia na rano.

Weszła na skrzypiące schody kaszląc i mruczając coś pod nosem.

- O co chodzi, Kathy?

Kathy spojrzała na nią przenikliwie.

- Czy ty jesteś moją matką, Fran? - spytała.

W kuchni zaległa cisza. Słysząc było odgłos spuszczonej wody w łazience na górze i deszczu padającego na betonowe podwórko.

- Dlaczego teraz mnie o to pytasz?

- Chcę poznać prawdę. Jesteś czy nie?

- Przecież wiesz, że tak, Kathy. Długa chwila milczenia.

- Nie, nie wiedziałam, aż do teraz. - Fran podeszła do niej, żeby ją objąć. -

Nie, odejdz. Nie dotykaj mnie.

- Kathy, przecież musiałaś to czuć, nie trzeba było nic mówić. Myślałam, że wszystko rozumiesz.

- A inni?

- To znaczy kto? Ci, którzy muszą, wiedzą. Kathy, bardzo cię kocham i zrobiłabym wszystko dla twojego dobra, dałabym ci wszystko.

- Z wyjątkiem ojca, domu i nazwiska.

- Masz dom, nazwisko i masz innego ojca i matkę.

- Nie, nie mam. Jestem bękartem, którego urodziłaś, nigdy mi o tym nie mówiąc.

- Dobrze wiesz, że nie ma już czegoś takiego jak bękart. Nie ma już dzieci z nieprawego łoża. A ty prawnie przynależysz do tego domu od dnia, kiedy się urodziłaś. To jest twój dom.

- Jak mogłaś... - zaczęła Kathy.

- O co ci chodzi? Powinam cię oddać obcym do adopcji? Czekać, aż skończysz osiemnaście lat, żebyś mogła cię poznać, i tylko wtedy, gdy wyraziłabyś takie życzenie?

- I przez te wszystkie lata pozwalałaś mi myśleć, że mama jest moją matką? Nie mogę w to uwierzyć.

- Kathy potrząsnęła głową, 164

jakby chciała strząsnąć z siebie tę przerażającą myśl.

- Mama była matką dla ciebie i dla mnie. Przyjęła cię do rodziny w momencie, gdy się o tobie dowiedziała. Ucieszyła się z całego serca, wierz mi. Naprawdę Kathy, myślałam, że wiesz.

- Niby skąd? Tak samo zwracaliśmy się do mamy i taty. Ludzie mówili, że jesteś moją siostrą, a Matt, Joe i Sean są moimi braćmi. Skąd, pytam?

- Tak jakoś wyszło. Mieszkaliśmy wszyscy razem w jednym domu. Byłaś tylko o siedem lat młodsza od Joe'ego i w naturalny sposób stałaś się jego siostrą.

- Czy wszyscy sąsiedzi wiedzą?

- Część pewnie tak, ale sądzę, że już zapomnieli.

- A kto był moim ojcem, prawdziwym ojcem?

- Tata jest twoim prawdziwym ojcem, bo cię wychował i opiekował się tobą.

- Nie o tym mówię.

- Był chłopcem z dobrego domu i rodzice nie chcieli, by się ze mną ożenił.

- Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym? Nie żyje?

- Żyje, ale nie jest częścią naszego życia.

- Może twojego nie, ale mojego na pewno.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Nieważne, co sądzisz. Gdziekolwiek się znajduje, jest moim ojcem. Mam prawo go poznać, spotkać się z nim i powiedzieć mu, że nazywam się Kathy i istnieję dzięki

niemu.

- Proszę, napij się herbaty albo pozwól, że ja się napiję.

- Nie zatrzymuję cię. - Oczy Kathy były zimne. Fran zrozumiała, że potrzebuje teraz więcej dyplomacji

i taktu niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet wtedy, gdy jedno z dzieci dyrektora zostało przyłapane na kradzieży w jej sklepie, gdzie pracowało podczas wakacji. Sytuacja była

dużo poważniejsza.

- Powiem ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć. Wszystko -

powiedziała tak spokojnie, jak tylko mogła. -Jeśli tata pojawi się w trakcie naszej rozmowy, przejdziemy do twojego pokoju.

165

Pokój Kathy był znacznie większy od pokoju Fran. Znajdowało się tam biurko, półka na książki i umywalka.

- Zrobiłaś to wszystko z poczucia winy, tak? Przytulny pokoik, mundurek do szkoły, kieszonkowe, nawet kurs włoskiego! Płaciłaś za to, bo czułaś się winna!

- Nigdy nie miałam najmniejszego poczucia winy z twojego powodu -

powiedziała spokojnie Fran. Jej głos brzmiał tak stanowczo, że Kathy, popadająca już w histerię, nagle się uspokoiła. - Nie, czasami było mi tylko smutno, ponieważ tyle z siebie dawałaś, a ja chciałam ci umożliwić jak najlepszy start w życiu. Ciężko pracowałam, żeby ułożyć ci życie na odpowiednim poziomie. Co tydzień odkładałam część pieniędzy do spółdzielni mieszkaniowej, niewiele, ale da ci to pewną niezależność.

Kochałam cię każdego dnia mojego życia i wierz mi, zatarła się różnica między siostrą a córką. Jesteś dla mnie po prostu Kathy i pragnę tylko twojego dobra. Włożyłam wiele wysiłku, aby to osiągnąć, i cały czas o tym myślę. Zapewniam cię, że nie czuję żadnej winy.

Łzy napłynęły do oczu Kathy. Fran pogłaskała jej rękę, zaciśniętą na kubku z herbatą.

- Wiem, wiem, nie powinnam była tego mówić, ale doznałam szoku, rozumiesz - wyszeptała Kathy.

- Nic się nie stało, pytaj mnie, o co chcesz.

- Jak mu na imię?

- Paul. Paul Malone.

- Jestem Kathy Malone? - zacięła się.

- Nie, Kathy Clarke.

- Ile miał wtedy lat?

- Szesnaście, ja miałam piętnaście i pół.

- Kiedy wspomnę ten apodyktyczny ton, z jakim udzielałaś mi rad na temat seksu, a ja słuchałam...

- Jeśli przypomnisz sobie dokładnie tamtą rozmowę, zrozumiesz, że nie mówiłam o niczym, czego sama nie doświadczyłam.

- Kochałaś więc tego Paula Malone'a?

- Tak, bardzo. Bardzo go kochałam. Byłam młoda, ale myślałam, że wiem, co znaczy miłość, i on też. Ale nie zamierzam nas potępiać twierdząc, że postąpiliśmy bezmyślnie. To nieprawda.

166

- Gdzie go spotkałaś?

- Na koncercie muzyki pop. Tak nam było dobrze we dwoje, że często uciekałam ze szkoły i razem szliśmy do kina. On czasami miał dodatkowe lekcje, więc też je opuszczał. Cudownie spędzaliśmy czas.

- A potem?

- Potem okazało się, że jestem w ciąży. Paul powiedział swoim rodzicom, a ja swoim. Rozpętało się piekło.

- Była mowa o ślubie?

- Nie, nikt o tym nie wspomniał. Wiele o tym myślałam siedząc w pokoju, który teraz jest twój. Marzyłam, że któregoś dnia Paul przyjdzie do mnie z bukietem kwiatów i powie, że jak tylko skończę szesnaście lat, to się ze mną ożeni.

- Ale oczywiście tak się nie stało. -Nie.

- Dlaczego jednak nie został przy tobie, żeby się tobą opiekować, chociaż nie pozwolono mu się z tobą ożenić?

- To była część umowy.

- Umowy?

- Tak. Rodzice uznali, że ponieważ ten związek nie ma żadnej przyszłości, najlepiej będzie przerwać wszelkie łączące nas więzy.

- Jacy oni byli?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej ich nie spotkałam, dopiero wtedy. Paul również nie znał moich rodziców.

- Więc układ polegał na pozbyciu się ciebie i dziecka.

- Oni dali nam cztery tysiące funtów, Kathy! To było wtedy dużo pieniędzy.

- Wykupili się!

- Rodzice nie traktowali tego w ten sposób. Dwa tysiące włożyliśmy w spółdzielnię mieszkaniową. Suma się znacznie powiększyła, a do tego doszły moje małe wpłaty. Drugie dwa tysiące daliśmy

mamie i tacie, bo to oni mieli się tobą opiekować.

- Czy Paul Malone uważał, że to uczciwe? Dać ci cztery tysiące za pozbycie się mnie?

- Nie było cię jeszcze na świecie. Słuchał swoich rodziców. Przekonali go, że szesnaście lat to za mało, by zostać

167

ojcem, miał przed sobą karierę. Popełnił błąd. Musi dotrzymać zobowiązania. Tak na to patrzyli. - I zrobił karierę?

- Tak, jest księgowym.

- Mój ojciec księgowym - zastanowiła się Kathy.

- Ożenił się i ma dzieci, własną rodzinę.

- To znaczy ma inne dzieci? - zdziwiła się Kathy.

- Tak, chyba dwoje.

- Skąd wiesz?

- Niedawno czytałam artykuł w gazecie, wiesz, o sławnych i bogatych.

- Ale on nie jest sławny.

- Ale jego żona tak. Ożenił się z Mariannę Hayes - wyjaśniła Fran, czekając na jej reakcję.

- Mój ojciec ożenił się z najbogatszą kobietą w Irlandii? -Tak.

- I dał ci tylko marne cztery tysiące dla pozbycia się mnie?

- Przecież nie był wtedy żonaty.

- Ale teraz jest. Coś nam się od niego należy.

- Mamy dosyć, Kathy, niczego nam nie brakuje.

- Oczywiście, że brakuje! I tobie, i mnie! - zawołała Kathy i nagle wybuchnęła płaczem. Płakała i płakała, a Fran, która przez szesnaście lat traktowała ją jak siostrę, głaskała ją po głowie, po policzkach mokrych od łez, z największą miłością,, jaką może zaofiarować matka.

Następnego ranka przy śniadaniu Joe Clarke miał kaca.

- Bądź grzeczną dziewczynką i podaj mi puszkę zimnej coli z lodówki, Kathy. Mam dziś kupę roboty, a zaraz przyjedzie tu ciężarówka.

- Masz bliżej do lodówki niż ja - odparowała Kathy.

- Ależ masz tupet.

- Po prostu stwierdzam fakt.

- Żadne z moich dzieci nie będzie stwierdzało faktów tym tonem! - Ojciec poczerwieniał z gniewu.

- Nie jestem twoim dzieckiem - powiedziała zimno Kathy.

Dziadkowie wcale nie wyglądali na speszonych - ci starzy ludzie, których traktowała jak mamę i tatę.
Matka dalej

czytała gazetę paląc papierosa, ojciec mruczał pod nosem.

- Jestem takim samym dobrym ojcem jak każdy inny, którego miałaś czy będziesz miała! Dalej, podaj mi tę puszkę, żebym się nie męczył.

Kathy zrozumiała, że nie uczestniczyli w żadnej sekretnej grze, niczego przed nią nie udawali. Podobnie jak Fran uważali, że Kathy wie o wszystkim. Spojrzała na wyprostowaną Fran, wyglądającą przez okno.

- Dobrze, tato - rzekła wreszcie i wyjęła mu puszkę i szklanę.

- Dobra dziewczynka - uśmiechnął się jak zwykle. Dla niego nic się nie zmieniło.

* * *

- Co byś zrobiła, gdyby się okazało, że nie jesteś dzieckiem swoich rodziców? - spytała Kathy Harriet w szkole.

- Byłabym zachwycona, możesz mi wierzyć.

- Dlaczego?

- Bo jak dorosnę, będę miała taki sam wstrętny podbródek jak moja matka i babcia i będę musiała słuchać głędzenia mojego ojca na temat zdobycia wystarczającej liczby punktów na egzaminie końcowym.

Ojciec Harriet był nauczycielem i bardzo liczył na to, że Harriet zostanie lekarką. Harriet z kolei chciała prowadzić nocny klub.

Zmieniły temat.

- Co wiesz o Mariannę Hayes? - spytała Kathy później.

- To chyba najbogatsza kobieta w Europie, czy tylko w Dublinie? I ładna.

Myślę, że kupiła sobie te piękne zęby, opaleniznę i błyszczące włosy.

- Na pewno.

- Dlaczego się nią interesujesz?

- Śniła mi się zeszłej nocy - powiedziała Kathy zgodnie z prawdą.

- A ja śniłam, że kochałam się ze wspaniałym facetem. Trzeba się wreszcie tym zająć. Mamy już

- Przecież to ty mówiłaś, że powinniśmy się skoncentrować na nauce -

obruszyła się Kathy.

- Tak, tak, ale to było przed tym snem. Strasznie wyglądasz, jesteś blada, zmęczona i stara. Lepiej nie śnij już o Mariannę Hayes, nie robi ci dobrze.

- Raczej nie - zgodziła się Kathy i nagle pomyślała o Fran i jej bladej twarzy, o zmarszczkach pod oczami, braku opalenizny i możliwości wyjazdu za granicę. Co tydzień przez szesnaście lat odkładała dla niej pieniądze. Przypomniła sobie Kena, chłopaka Fran, który pojechał do Ameryki. Czy on też znalazł sobie bogatą kobietę? Która nie była córką hydraulika, nie musiała się mozolnie piąć w górę, aby dostać pracę w supermarkecie, która nie musiała utrzymywać nieślubnego dziecka. Ken wiedział o wszystkim. Fran najwyraźniej nie próbowała utrzymać tego w sekrecie.

Jak powiedziała Fran ostatniego wieczora, w wielu domach w Dublinie najmłodsze dziecko jest wnuczką. W większości przypadków matki, czyli najstarsze córki, nie zostają w domu, odchodzą, by zacząć nowe życie. To niesprawiedliwe.

To także niesprawiedliwe, że Paul Malone prowadził beztroskie życie, nie ponosząc odpowiedzialności. Na lekcjach trzy razy zwracano jej uwagę, że nie uważa. Ale Kathy Clarke nie była zainteresowana nauką. Planowała, jak spotkać się z Paulem Malone.

- Porozmawiaj ze mną - poprosiła tego wieczoru Fran.

- Powiedziałaś, że nie ma już o czym mówić.

- Więc wszystko jest jak dawniej? - spytała Fran. Oczy miała niespokojne.

Nie używała nowoczesnych, drogich kremów przeciwzmarszczkowych.

Nikt nigdy nie pomagał jej przy wychowaniu dziecka. Mariannę Hayes, obecnie Mariannę Malone, musiała mieć pomoc zewsząd. Pielęgniarki, nianie, opiekunki do dzieci, szoferów, trenerów tenisa. Kathy bacznie spojrzała na swoją matkę. Chociaż jej życie wywróciło się do góry nogami, nie będzie się dokładała do cierpień Fran.

- Tak, Fran - skłamała. - Jak dawniej.

Prawie każdego tygodnia można było o nich przeczytać w gazetach.

Każdy znał ich dom. Ale nie chciała się tam spotkać. Musi iść do biura.

Porozmawiać z nim w oficjalny sposób. Nie miało sensu angażowanie w te sprawy jego żony.

Wyposażona w kartę telefoniczną zaczęła wydzwaniać do dużych firm zajmujących się księgowością. Już po drugim telefonie miała to, czego szukała. Słyszała o tej firmie. Pracowali tam księgowi gwiazd filmowych i ludzi teatru. Coś w rodzaju show businessu. A więc Paul Malone zdobył nie tylko pieniądze, ale i fajną pracę.

Dwa razy wchodziła do biura i dwa razy odwaga ją opuszczała. Budynek był ogromny. Wiedziała, że zajmują tylko dwa piętra, piąte i szóste, ale jakoś nie miała śmiałości wejść. Gdy tylko go zobaczy, powie mu kim jest, powie, jak jej matka pracowała i oszczędzała pieniądze. Nie będzie o nic błagać. Ujawni tylko całą niesprawiedliwość. Wnętrze wywarło na niej naprawdę przytłaczające wrażenie. Portier w foyer, dziewczyny w informacji, które dzwoniły, aby uzyskać zgodę na wejście do szacownych biur na

górze.

Będzie musiała zmienić swój wygląd, jeśli chce się przedostać przez ten szpaler wyfiokowanych pań do biura Paula Malone'a. Nie pozwolą uczennicy w granatowej spódniczce spotkać się ze starszym księgowym, szczególnie, jeśli ten jest mężem milionerki.

Zadzwoiła do Harriet.

- Czy mogłabyś przynieść jutro do szkoły jakieś ekstra ciuchy swojej matki?

- Pod warunkiem, że podasz mi powód.

- Zamierzam się zabawić.

- Seksualnie?

- Może.

- Czy potrzebujesz jakiejś koszuli nocnej albo fig? -Harriet podeszła do sprawy praktycznie.

- Nie, chodzi mi o żakiet. I rękawiczki.

- Dobry Boże! Zapowiada się niezłe wyuzdanie.

171

Następnego dnia nieco pogniecione ubranie dotarło do Kathy w torbie.

Przymierzyła je w szatni. Zakiet leżał dobrze, ale spódnica nie wyglądała najlepiej.

- Gdzie to się odbędzie? - Harriet zaparło dech w piersiach z podniecenia.

- W biurze. Eleganckim biurze.

- Możesz trochę podwinąć spódnicę, jeśli chcesz ją skrócić. Będzie wtedy dobrze. Czy on cię rozbierze, czy zrobisz to sama?

- Co? Ach, tak. Sama.

- W takim razie w porządku. - Wspólnymi siłami udało się doprowadzić strój do jakiegoś takiego wyglądu. Teraz mogłaby pokazać się wszędzie.

Wcześniej zabrała od Fran cienie do powiek i szminkę.

- Nie maluj się teraz - syknęła Harriet.

- Dlaczego?

- Jeśli pójdziesz tak do klasy, wszyscy będą wiedzieli, że coś się szykuje.

- Nie idę do klasy. Powiesz nauczycielowi, że dostałam grypy.

- Nie, nie wierzę!

- Och, Harriet. Robiłam to samo dla ciebie, gdy chciałaś zobaczyć gwiazdy muzyki pop.

- Ale gdzie ty idziesz o dziewiątej rano?

- Do biura, przeżyć przygodę - wyjaśniła Kathy.

- Nie poznaję cię. - Harriet otworzyła usta z podziwu.

* * *

Tym razem się nie wahała.

- Dzień dobry, chciałabym się widzieć z Paulem Malone.

- Pani nazwisko?

- Moje nazwisko nic mu nie powie, ale proszę powiedzieć, że przyszła Katherine Clarke w sprawie Frances Clarke, klientki z dawnych czasów. -

Kathy pomyślała, że w takich biurach pewnie nie używa się zdrobnień w stylu Kathy i Fran.

- Porozmawiam z jego sekretarką. Pan Malone przyjmuje tylko osoby wcześniej umówione.

- Może pani powiedzieć, że poczekam, aż będzie wolny.

- Kathy mówiła spokojnie, ale stanowczo, co dało znacznie lepszy efekt niż próby z dopasowaniem ubioru.

Jedna z olśniewających recepcjonistek wzruszyła prawie niedostrzegalnie ramionami, podniosła słuchawkę i cichym głosem przekazała informacje.

- Panno Clarke, czy mogłaby pani porozmawiać z sekretarką pana Malone'a? - spytała po chwili.

- Oczywiście.

Kathy podeszła bliżej modląc się, żeby jej spódnica nagle nie wysunęła się spod zakietu matki Harriet.

- Mówi Penny, w czym mogłabym pomóc?

- Czy przekazano pani nazwiska?

- Tak, oczywiście, ale nie chodzi o nazwiska.

- Ależ tak. Proszę powtórzyć je panu Malone'owi i powiedzieć, że nie zajmę mu dużo jego cennego czasu. Najwyżej dziesięć minut, ale będę czekać, aż się ze mną zobaczy.

- Nie przyjmujemy nikogo bez wcześniejszego umówienia.

- Proszę podać mu te nazwiska. - Kathy poczuła, jak kręci się jej w głowie z podniecenia.

Czekała grzecznie, aż po trzech minutach zadzwonił telefon.

- Sekretarka pana Malone'a czeka na panią na szóstym piętrze - oznajmiła jedna z bogiń przy kontuarze.

- Bardzo dziękuję za pomoc - rzekła Kathy Clarke i przytrzymując ręką spódnice skierowała się do windy, która miała ją zawieźć do ojca.

- Panna Clarke? - spytała Penny.

Wyglądała jak osoba z konkursu piękności. Ubrana w kremową garsonkę i czarne pantofle na wysokich obcasach. Na szyi miała gruby czarny naszyjnik.

- Tak - odparła Kathy, żalując, że nie wygląda lepiej. Na starszą i elegantszą.

- Proszę tedy. Pan Malone zobaczy się z panią w pokoju konferencyjnym.

Kawy?

- Tak, bardzo chętnie. Wprowadzono ją do pokoju, w którym stał stół z jasno-brązowego drewna z sześcioma krzesłami wokół. Na ścianach 173

wisiałoby obrazy, nie zwykłe reprodukcje za szkłem jak u nich w szkole, ale prawdziwe. Na parapetach stały kwiaty, świeżo przygotowane bukiety.

Siedziała i czekała.

Do pokoju wszedł młody, przystojny mężczyzna, wyglądający młodziej niż Fran, choć był od niej starszy o rok.

- Dzień dobry - przywitał się z szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry - odrzekła i zamilkła.

W tym momencie weszła Penny z kawą.

- Czy mam tu postawić? - spytała, marząc o pozostaniu.

- Dziękuję, Penny - rzekł.

- Wie pan, kim jestem? - spytała Kathy, gdy Penny wyszła.

-Tak.

- Oczekiwał mnie pan?

- Prawdę mówiąc dopiero za dwa, trzy lata - uśmiechnął się ujmująco.

- I co pan wtedy zamierzał zrobić?

- To, co teraz. Słuchać.

Sprytna odpowiedź. Decyzja należała do niej.

- Chciałam się tylko z panem zobaczyć - wyjaśniła niepewnym głosem.

- Naturalnie.

- Zobaczyć, jak pan wygląda.

- Teraz już wiesz - powiedział ciepło i otwarcie. - No i co myślisz?

- Myślę, że dobrze - powiedziała z ociąganiem.

- Ty też.

- Właśnie się dowiedziałam, rozumie pan - wyjaśniła.

- Rozumiem.
- Dlatego musiałam przyjść z panem porozmawiać.
- Oczywiście. - Nalał kawy do filiżanek, stawiając obok mleko i cukier.
- Do dzisiaj myślałam, że jestem córką taty i mamy. Przeżyłam szok.
- Fran nie powiedziała ci, że jest twoją matką? -Nie.
- Gdy byłaś młodsza, to rozumiałe, ale kiedy dorosłaś...
- Ona myślała, że ja wiem. Uważałam ją za wspaniałą siostrę. Nie jestem zbyt mądra.

- Wyglądasz zupełnie normalnie i inteligentnie - powiedział ze szczerym podziwem.
- Niestety tak nie jest. Ciężko nad tym pracuję i może w końcu osiągnę, co zamierzam, ale nie należę do zbyt lotnych osób, nie tak jak moja przyjaciółka Harriet. Wszystko robię powoli.
- Zupełnie jak ja. W takim razie masz to po ojcu. Był to niezwykły moment. Przyznał, że jest jej ojcem.
- Zakręciło się jej w głowie. Nie wiedziała teraz, co zrobić. Wytrącił jej z ręki wszystkie atuty. Myślała, że będzie się wypierał, zaprzeczał i tłumaczył. Ale nic takiego się nie stało.
- Nie dostałby pan takiej pracy, gdyby był pan powolny.
- Moja żona jest bardzo bogata, a ja jestem uroczym guzdrałą. Nie przeszkadzam ludziom. Dlatego między innymi się tu znalazłem.
- Ale zanim pan ją poznał, był już pan księgowym? -W zasadzie tak, ale nie tutaj. Mam nadzieję, że kiedyś poznasz moją żonę, Katherine. Polubisz ją, jest bardzo miła.
- To niemożliwe. Na pewno jest miła, ale nie sądzę, żeby chciała mnie poznać.
- Tak, jeśli ją o to poproszę. Staramy się sprawiać sobie przyjemność.
- Spotkałbym się z jej gościem, gdyby mnie poprosiła.
- Ale ona nie wie, że w ogóle istnieję.
- Ależ wie. Od dawna. Nie znałem twojego imienia, ale powiedziałem, że mam córkę, córkę, której nie widziałem, ale którą prawdopodobnie poznam, gdy dorośnie.
- Nie znałeś mojego imienia?
- Nie, Fran postanowiła, że powie mi tylko, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka.
- Taka była umowa? - spytała Kathy.
- Dobrze to ujęłaś. To była umowa.
- Dobrze się o tobie wyraża, mówi, że zachowałeś się świetnie.

- Z czym cię do mnie przysyła? - Był odprężony, delikatny.

- Ona nie wie, że tu jestem.

175

- A myśli, że gdzie jesteś?

- W szkole, w Mountainview.

- Tam się uczysz?

- Nie zostało wystarczająco dużo z czterech tysięcy funtów sprzed szesnastu lat, aby mnie posłać do eleganckiej szkoły - rzuciła Kathy buńczucznie.

- A więc znasz szczegóły umowy?

- Dowiedziałam się o wszystkim jednej nocy. O tym, że Fran nie jest moją siostrą i że się wykupiłeś.

- Tak się wyraziła?

- Nie, takie są fakty, ona wyraziła to inaczej.

- Bardzo mi przykro. Musiałas się czuć okropnie.

Kathy spojrzała na niego. Tak, właśnie, czuła się okropnie. Myślała o niesprawiedliwości ich umowy. Jej matka była biedna, można ją było przekupić. Jej ojciec był synem uprzywilejowanej rodziny i nie musiał

płacić za swoją przyjemność. Ten system jest i zawsze będzie przeciwko takim jak ona. Dziwne, że zrozumiał jej uczucia.

- Tak, tak właśnie się czułam.

- Powiedz, czego ode mnie oczekujesz. Możemy o tym porozmawiać.

Zamierzała żądać od niego niestworzonych rzeczy dla siebie i Fran.

Chciała mu udowodnić, że w dwudziestym wieku nie ma już bogaczy, którym wszystko uchodzi na sucho. Ale jakoś trudno było powiedzieć to mężczyźnie, który siedział spokojnie i robił wrażenie, że jej widok raczej go cieszy niż przeraża.

- Jeszcze nie wiem, czego chcę. Jest trochę za wcześnie.

- Rozumiem, nie miałaś jeszcze czasu zastanowić się, jak się czujesz. -

Wcale nie odetchnął z ulgą. Wyglądał na przejętego.

- To dla mnie bardzo trudne. Nie całkiem do mnie dotarło.

- Spotkanie z tobą też jest dla mnie bardzo trudne. -Stawiał się w ten sposób w tej samej sytuacji co ona.

- Czy jest pan zły, że przyszedłam?

- Nie możesz się bardziej mylić. Jestem zachwycony, że przyszłaś. Smutno mi tylko, że życie cię nie rozpieszczęło, a do tego jeszcze okazało się, że Fran nie jest twoją siostrą.

176

Zaschło jej w gardle. Zupełnie nie tak go sobie wyobrażała. Czy to możliwe, żeby ten mężczyzna był jej ojcem? I gdyby sprawy ułożyły się inaczej, on i Fran byliby małżonkami, a ona najstarszą córką?

Wyjął swoją wizytówkę i napisał na niej numer.

- To mój bezpośredni telefon, nie będziesz musiała łączyć się przez sekretarki.

Sprytnie to sobie obmyślił, pomyślała, jakby unikał tłumaczenia się przed pracownikami ze swoich wstydliwych tajemnic.

- Nie obawia się pan, że mogę zadzwonić do domu? -spytała żałując, że przerywa miłą atmosferę, ale zdecydowała, że nie pozwoli się oszukać.

Wciąż trzymał długopis w ręce.

- Właśnie miałem zapisać mój numer domowy. Możesz dzwonić, kiedy chcesz.

- A co na to żona?

- Mariannę z przyjemnością z tobą porozmawia. Powiem jej dziś wieczorem, że się z tobą spotkałem.

- Jest pan bardzo pewny siebie - zauważyła Kathy z podziwem pomieszczonym z pogardą.

- Na zewnątrz tak, jestem spokojny, ale w środku bardzo się denerwuję.

Kto by się nie denerwował? Po raz pierwszy zobaczyłem swoją dorosłą, piękną córkę i zrozumiałem, że to dzięki mnie przyszła na świat.

- Czy myśli pan o mojej matce?

- Wspominam ją tak, jak wspomina się swoją pierwszą miłość, nawet coś więcej ze względu na to, co przeżyliśmy i na twoje narodziny. Ale ponieważ stało się to, co się stało, żyłem dalej i zacząłem myśleć o innych rzeczach i ludziach.

To była prawda, Kathy nie mogła zaprzeczyć.

- Jak mam się do pana zwracać? - spytała nagle.

- Do Fran zwracasz się po imieniu; możesz mi mówić Paul?

- Przyjdę jeszcze do ciebie, Paul. - Podniosła się.

- Zawsze mnie tu znajdziesz, jeśli będziesz mnie potrzebowała, Kathy -
oświadczył ojciec.

Wyciągnęli do siebie ręce. Gdy się dotknęli, przyciągnął ją do siebie i przytulił.

177

- Teraz wszystko będzie inaczej, Kathy. Inaczej i lepiej.

Wracając do szkoły autobusem starła szminkę i makijaż.

Zwinięty żakiet matki Harriet włożyła do torby ortalionowej i weszła do klasy.

- I co? - syknęła Harriet. - Nic.

- Jak to nic?

- Nic się nie wydarzyło.

- To znaczy, że włożyłaś te ciuchy, poszłaś do jego biura i on cię nie dotknął?

- Tylko mnie przytulił - wyznała Kathy.

- Musi być impotentem - orzekła autorytatywnie Harriet. - W gazetach często piszą o kobietach, które opowiadają takie historie. Coś w tym jest.

- Możliwe - przyznała Kathy i wyjęła książkę do geografii.

Pan O'Brien, który dalej uczył geografii pomimo objęcia posady dyrektora, spojrział na nią zza okularów.

- Nagle poczułaś się lepiej, Kathy? - spytał podejrzliwie.

- Dzięki Bogu, tak, panie O'Brien - odpowiedziała Kathy.

Nie mógł powiedzieć, że zachowała się niegrzecznie czy wyzywająco, ale rozmawiała z nim jak z równym, nie jak uczennica.

Bardzo się zmieniła od nowego semestru. Ciekawe, czy ma to związek z kursem włoskiego, który jakimś cudem nie okazał się totalną klęską, jak przewidywał, ale wręcz odniósł wielki sukces.

Mama poszła grać w bingo, tata siedział w pubie. Fran była w kuchni.

- Spóźniłaś się Kathy. Wszystko w porządku?

- Tak, poszłam na mały spacer. Na dzisiejsze zajęcia nauczyłam się części ciała. Dzisiaj w parach będziemy się pytać: Dov'e ii gomito i trzeba będzie dotknąć łokcia partnera.

Fran cieszyła się, że widzi ją uśmiechniętą.

- Przygotujemy sobie zapiekankę, żebyśmy miały więcej energii?

- Świetnie. Wiesz, jak są stopy?
 - I piedi. Nauczyłam się podczas lunchu - powiedziała z zadowoleniem Fran. - Będziemy pupilkami lektorki, zobaczysz.
 - Widziałam się z nim dzisiaj - wyznała Kathy.
 - Z kim?
 - Z Paulem Malone'em. Fran usiadła.
 - Nie mówisz poważnie.
 - Był bardzo miły, naprawdę. Dał mi swoją wizytówkę. Popatrz, mam jego bezpośredni telefon do pracy i numer domowy.
 - To nie było mądre - powiedziała w końcu Fran.
 - Wydawał się zadowolony. Powiedział, że się cieszy z naszego spotkania.
 - Tak?
 - Mogę przyjść do niego, kiedy będę chciała, i spotkać się z jego żoną.
- Oczy Fran nagle straciły wyraz. Jakby uszło z niej życie, jakby ktoś włożył rękę do środka i coś w niej wyłączył. Kathy zdziwiła się.
- Nie cieszysz się? Nie było kłótni, żadnych scen, zupełnie normalnie, jak mówiłaś. Rozumiał, że przeżyłam szok, i obiecał, że teraz będzie już inaczej. Inaczej i lepiej, jak się wyraził.
- Fran skinęła głową, jakby nie mogła wymówić słowa. Skinęła ponownie i wreszcie powiedziała:
- Tak, to dobrze. Dobrze.
 - Dlaczego się nie cieszysz? Myślałam, że tego chciałaś.
 - Masz całkowite prawo spotkać się z nim i korzystać z tego, co ma. Nigdy ci tego nie odmawiałam.
 - Nie o to chodzi.

- Ależ o to. To oczywiste, że możesz czuć się oszukana, gdy widzisz kogoś, kto ma wszystko: korty tenisowe, baseny, pewnie nawet szoferów...

- Nie po to tam poszłam - przerwała Kathy.

- ...potem wracasz do tego domu, idziesz do szkoły takiej jak Mountainview i musisz myśleć, że chodzenie na jakiś piekielny kurs wieczorowy, na który oszczędzałam, jest

179

dla ciebie wyróżnieniem. Nic dziwnego, że masz nadzieję na zmianę, na coś... jak to wyraziłaś... innego i lepszego.

Kathy spojrzała na nią przerażona. Fran sądziła, że ona woli teraz Paula Malone'a zamiast niej, że spotkanie z człowiekiem, o którym usłyszała dopiero kilka dni temu, oszołomiło ją i olśniło.

- Nic się nie zmieniło, Fran, po prostu cieszę się, że teraz wszystko wiem -

próbowała tłumaczyć.

- Oczywiście. - Fran była spięta i niespokojna. Jak automat układała na tostach ser, plasterki pomidora i wkładała do grilla.

- Fran, przestań! Nie na tym mi zależy. Nie rozumiesz? Musiałam się z nim zobaczyć. Miałaś rację, nie jest potworem, to bardzo miły człowiek.

- Cieszę się, że ci powiedziałam.

- Ale wszystko przekręcasz. Słuchaj, sama do niego zadzwoń, spytaj go.

Wcale nie chcę z nim być bardziej niż z tobą. Po prostu chciałabym się z nim czasami spotykać. Porozmawiaj z nim, to zrozumiesz.

- Nie.

- Dlaczego? Dlaczego nie? Teraz, kiedy przetarłam ci drogę?

- Szesnaście lat temu zawarłam umowę. Obiecałam, że nigdy więcej się z nim nie spotkam, i tak było.

- Ale ja się nie umawiałam.

- Nie, czy cię krytykuję? Powiedziałam ci przecież, że masz pełne prawo.

Czyż nie tak? - Fran postawiła na stole kanapki i naląła mleka do kubków.

Kathy ogarnął niewyobrażalny smutek. Ta miła kobieta poświęciła się dla niej, zapewniając jej wszystko, czego potrzebowała. Nie byłoby kubka dobrego, chłodnego mleka, gorących kolacji, gdyby

nie Fran. Teraz wyjawiała, że nawet odejmowała sobie od ust, żeby zapłacić za kurs. Nic dziwnego, że poczuła się dotknięta i urażona na myśl, że Kathy zaślepiona nagłą możliwością dostępu do prawdziwego bogactwa i wygody, mogłaby tak lekko przekreślić te wszystkie lata poświęcenia i miłości.

- Powinnyśmy już wychodzić na autobus - zauważyła Kathy.

180

- Oczywiście, jeśli chcesz.

- Jasne, że chcę.

- Dobrze. - Fran włożyła płaszcz, który znał lepsze dni. Zmieniła buty na równie zniszczone. Kathy przypomniała sobie buty ojca z miękkiej włoskiej skóry. Wiedziała, że są bardzo, bardzo drogie.

- Avanti! - zawołała i popędziły do autobusu.

Na zajęciach Fran siedziała z Luigim. Jego groźne spojrzenie spod zmarszczonych brwi wydawało się bardziej ponure niż zwykle.

- Dov'e U cuore? - spytał Luigi. Jego dubliński akcent sprawiał, że trudno było się domyślić o jaką część ciała pyta. - U cuore - powtórzył

zniecierpliwiony. - U cuore, najważniejsza część ciała, na litość boską.

Fran spojrzała na niego niewyraźnie.

- Non so - rzekła.

- Oczywiście, że pani wie, gdzie pani ma to piekielne cuore. - Luigi stał się jeszcze bardziej antypatyczny.

Z pomocą przyszła Signora.

- Con calma per favore - uspokajała Signora. Ujęła rękę Fran i położyła na sercu. - Ecco U cuore.

- Długo musiała pani szukać - burknął Luigi.

Signora spojrzała na Fran. Panna Clarke wyglądała dziś zupełnie inaczej.

Zwykle była bardzo aktywna i zachęcała też Kathy do brania udziału w lekcji.

Signora zapytała Peggy Sullivan o Fran.

- Mówiła pani, że panna Clarke jest matką tej szesnastolatki?

- Tak, urodziła ją, gdy sama miała tyle lat. Dziewczynkę wychowywała jej matka, ale jest córką

panny Clarke, wszyscy wiedzą.

Z wyjątkiem Kathy, pomyślała Signora. Ale w tym tygodniu obie były jakieś dziwne. Może sprawa wyszła na jaw. Miała nadzieję, że nie stało się to z jej przyczyny.

* * *

Kathy czekała tydzień, zanim zadzwoniła do Paula Malone'a do pracy.

- Nie przeszkadzam? - spytała.

181

- Jest u mnie klient, ale chciałbym z tobą porozmawiać. Możesz poczekać chwilkę? - Słyszała, jak pozbywa się kogoś. Może jakiejś ważnej albo znanej osoby.

- Kathy? - Miał ciepły, serdeczny głos.

- Czy rzeczywiście możemy się spotkać gdzieś na dłużej, nie w biurze?

- Oczywiście. Zjadłabyś ze mną lunch?

- Bardzo dziękuję. Kiedy?

- Jutro. Znasz restaurację Quentin?

- Wiem, gdzie się znajduje.

- Świetnie. Może być o pierwszej? Masz wtedy jakieś zajęcia w szkole?

- Tak, ale coś wymyślę. - Uśmiechnęła się i czuła, że on też się uśmiecha.

- Jasne, ale nie chciałbym, żebyś wpadła przeze mnie w kłopoty.

- Będzie dobrze.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Umyła głowę, ubrała się starannie w najlepszą szkolną bluzkę i wywabiła plamy na blezerze.

- Spotykasz się z nim dzisiaj - powiedziała Fran widząc, jak Kathy poleruje buty.

- Zawsze mówiłam, że powinnaś pracować w Interpolu.

- Nie, nigdy tak nie mówiłaś.

- Umówiłam się tylko na lunch.

- Powtarzam, że masz prawo się z nim spotykać, jeśli chcesz. Dokąd idziecie?

- Do Quentina. - Musiała powiedzieć prawdę. Fran prędzej czy później i tak by się dowiedziała. Żałowała, że nie wybrał jakiegoś mniej eleganckiego miejsca, nie tak oddalonego od ich świata.

Fran z trudem znalazła słowa zachęty.

- Świetnie, baw się dobrze.

Kathy zdała sobie sprawę, jak niewielką rolę w ich życiu odgrywali mama i tata, żyli jakby na drugim planie. Czy było tak zawsze, czy po prostu nie zwracała na to uwagi? W szkole powiedziała, że ma wizytę u dentysty.

- Musisz mieć zaświadczenie - przypomniał nauczyciel.

- Wiem, ale byłam tak przerażona, że zapomniałam je wziąć. Mogę przynieść jutro?

- Dobrze, dobrze.

Kathy pomyślała, że opłacało się być pilną uczennicą przez te wszystkie lata. Nie należała do trudnych uczniów. Na wiele mogła sobie teraz pozwolić.

Oczywiście poinformowała Harriet, że ucieka z lekcji.

- Gdzie idziesz tym razem w tym stroju pielęgniarki? -dopytywała się Harriet.

- Tylko na lunch do Quentina - odparła dumnie Kathy. Harriet otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

- Żartujesz!

- Ani trochę. Po powrocie przyniosę ci kartę dań.

- Masz najbardziej interesujące życie seksualne ze wszystkich osób, które znam! - orzekła Harriet z zazdrością.

W środku panował przyjemny półmrok i chłód. Było bardzo elegancko.

Podeszła do niej ładna kobieta w ciemnym kostiumie.

- Dzień dobry, nazywam się Brenda Brennan, witam serdecznie.

Kathy chciałaby tak wyglądać i życzyłaby tego Fran. Być tak pewną siebie i spokojną. Może żona jego ojca też taka jest. To coś, z czymś się rodzisz, czego nie można się nauczyć. Chyba, że nauczysz się udawać.

- Jestem umówiona z Paulem Malone'em. Miał zarezerwować stolik na pierwszą. Przyszłam trochę wcześniej.

- Zaprowadzę panią do stolika pana Malone'a. Chciałaby pani przedtem zamówić coś do picia?

Kathy poprosiła o dietetyczną colę. Podano jej kryształową szklanę z lodem i kawałkami cytryny. Musi zapamiętać dla Harriet każdy najdrobniejszy szczegół.

Gdy wszedł do restauracji, zaczął kłaniać się różnym osobom przy stolikach. Jakiś pan wstał, by podać mu rękę. Zanim doszedł do niej, przywitał się z połową sali.

- Wyglądasz inaczej, ślicznie - powiedział.

- Przynajmniej nie mam na sobie żakietu matki mojej 183

przyjaciółki i tony makijażu, co umożliwiło mi przedostanie się przez recepcję - zaśmiała się.

- Zamówić już coś? Musisz szybko wracać?

- Nie, wcale nie.

Wręczono im karty dań, po chwili podeszła pani Brennan, by polecić dzisiejsze potrawy.

- Mamy bardzo smaczne insalata di mare - zaczęła.

- Gamberi, calamari? - spytała Kathy odruchowo. Zeszłego wieczoru uczyli się o owocach morza. - Gamberi, krewetki, calamari, kalmary...

Paul i Brenda Brennan spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Popisuję się. Chodzę na wieczorowy kurs włoskiego.

- Też bym się popisywała, gdybym znała takie słowa - zauważyła pani Brennan. - Musiałam się nauczyć kilku wyrazów od mojej przyjaciółki Nory, która pomaga nam przy sporządzaniu karty włoskich dań.

Kathy czuła, że patrzą na nią z podziwem, ale może jest zarozumiała, może tylko tak jej się wydaje?

Paul zamówił to co zwykle, kieliszek wina i wodę mineralną.

- Nie musiałeś mnie zapraszać do tak eleganckiego lokalu - powiedziała.

- Jestem z ciebie dumny. Chciałem się pochwalić.

- Fran uważa... myślę, że jest zazdrosna, że chodzę w takie miejsca z tobą.

Stać nas najwyżej na Macdonalda.

- Fran zrozumie. Chciałem, żebyśmy uczcili nasze spotkanie w miłym miejscu.

- Powiedziała dziś rano, że mam wszelkie prawo spotkać się z tobą, i życzyła mi dobrej zabawy. Myślę jednak, że w głębi serca bardzo się martwi.

- Ma kogoś, jakiegoś przyjaciela? - spytał. Kathy spojrzała na niego zdziwiona. - To znaczy... to nie moja sprawa, ale mam nadzieję, że ma.

Życzyłem jej, żeby wyszła za męża i dała ci siostry i braci. Ale jeśli nie chcesz o tym mówić, nie musisz. Nie powinienem się wtrącać.

- Był Ken.

- Coś poważnego?

- Któż to wie. A może wszyscy wiedzą oprócz mnie. Mam wrażenie, że niczego nie dostrzegam, nic nie pojmuję.

184

Ale długo ze sobą chodzili, śmiała się, gdy przychodził po nią do domu.

- Co się z nim stało?

- Wyjechał do Ameryki.

- Jak to zniosła?

- Tego też nie wiem. Czasami do niej pisze. Latem nawet bardzo często.

Ostatnio nie bardzo.

- Nie mogła do niego pojechać?

- Dziwne. Gdy teraz się nad tym zastanawiam... coś mi się przypomniało.

Raz zapytała mnie, czy chciałabym pojechać do małego miasteczka w zapadłym kącie Ameryki. Nie w Nowym Jorku ani nic w tym rodzaju. I powiedziałam: Boże, nie! Tylko Dublin, przynajmniej to stolica!

- Uważasz, że nie pojechała ze względu na ciebie?

- Nigdy o tym nie myślałam. Ale przecież była tylko moją siostrą, jak wtedy sądziłam. Może rzeczywiście to przeze mnie. - Na twarzy Kathy pojawiło się zakłopotanie i smutek.

- Nie martw się, jeśli jest tu czyjaś wina, to tylko moja.

- Czytał w jej myślach.

- Poprosiłam, żeby do ciebie zadzwoniła, ale nie chciała.

- Powiedziała, dlaczego?

- Z powodu umowy. Ty dotrzymałeś swojej, ona dotrzyma swojej.

- Cóż, jak zawsze kryształowa.

- Wygląda na to, że nigdy nie będziecie ze sobą rozmawiać.

- Na pewno nie będziemy spacerować razem pod rękę w zachodzącym słońcu, gdyż jesteśmy już zupełnie innymi ludźmi. Ja kocham Mariannę, Fran może kocha Kena czy kogoś innego. Ale na pewno porozmawiamy, dopilnuję tego. A teraz poza rozwiązywaniem problemów tego świata zjedzmy wspólnie lunch.

Miał rację. Zmienili temat. Zaczęli rozmawiać o szkole, show businessie, cudownych lekcjach włoskiego i jego dwójce dzieci, które miały siedem i sześć lat.

Przy płaceniu rachunku kobieta przy kasie spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Przepraszam, ale czy to nie szkolny blezer Mountainview?

185

- Kathy poczuła wyrzuty sumienia. - Po prostu uczy tam mój mąż, dlatego go rozpoznałam.

- Tak? Jak się nazywa?

- Aidan Dunne.

- Och, pan Dunne jest bardzo miły, uczy łaciny i to on zorganizował kurs włoskiego - wyjaśniła Paulowi.

- A ty... - zaczęła kobieta przy kasie.

- Pozostanie na zawsze tajemnicą. Dziewczyny, które idą na lunch w czasie zajęć nie chcą, by dowiedział się o tym ich nauczyciel. - Uśmiech Paula Malone'a był uroczy, ale głos miał lodowaty. Neli Dunne zrozumiała, że pozwoliła sobie na zbyt wiele. Miała nadzieję, że pani Brennan tego nie słyszała.

* * *

- Nic nie mów - ziewnęła Harriet. - Jadłaś ostrygi i kawior.

- Nie - sprostowała Kathy. - Carciofi i jagnięcinę. Przy kasie siedziała żona pana Dunne'a. Rozpoznała blezer.

- No to wpadłaś - uśmiechnęła się Harriet bezlitośnie.

- Wcale nie, nie powiedziałam jej, jak się nazywam.

- Dowie się, złapią cię.

- Nie mów tak, wcale nie chcesz, żeby mnie złapano. Zależy ci, żebym dalej miała przygody.

- Kathy Clarke, nawet gdyby przypalano mnie rozgrzanym żelazem, powiedziałabym, że jesteś ostatnią osobą, która może mieć przygody.

- Różnie bywa - rzekła radośnie Kathy.

* * *

- Telefon do panny Clarke na trzeciej linii - ogłoszono przez megafon.

Fran spojrzała zdziwiona. Przeszła do pokoju służbowego, gdzie można było widzieć klientów, będąc samemu nie zauważonym. Nacisnęła guzik telefonu.

- Clarke, kierowniczka, słucham.
- Mówi Paul Malone - odezwał się głos w słuchawce. -Tak?
- Chciałbym z tobą porozmawiać, ale domyślam się, że nie chcesz się spotkać?

186

- Masz rację, Paul. Nie żywię urazy, po prostu nie widzę sensu.
- Fran, możemy chwilę porozmawiać przez telefon?
- Jestem zajęta.
- Jak ktoś pracuje, to jest zajęty.
- No właśnie.
- Ale czy jest coś ważniejszego od Kathy?
- Dla mnie nic.
- Dla mnie też ona jest ogromnie ważna, ale...
- Ale nie chcesz się zbytnio angażować.
- Całkowicie się mylisz. Chciałbym się angażować, jak tylko mogę, ale to ty ją wychowałaś, ty ukształtowałaś na takiego, a nie innego człowieka, ty jesteś osobą, która najbardziej na świecie się o nią troszczy. Nie chcę ci wchodzić w drogę. Powiedz mi, co jest dla niej najlepsze?
- Uważasz, że ja wiem? Niby skąd? Pragnęłabym oddać jej cały świat, ale nie mogę. Jeśli ty możesz dać jej więcej, proszę, zrób to.
- Jesteś dla niej wszystkim, Fran.
- Ty też wiele dla niej znaczysz.
- Mnie zna raptem dwa tygodnie, a ciebie całe życie.
- Nie łam jej serca, Paul. To wspomniała dziewczyna, przeżyła szok.

Myślałam, że wie, domyśla się, czuje coś podświadomie, nie wiem. Tu w okolicy nieślubne dzieci wychowywane jak rodzeństwo to częsty przypadek, ale najwyraźniej niczego nie rozumiała.

- Poradzi sobie. Ma twój charakter. I z tym, co sprawiedliwe, i z tym, co niesprawiedliwe.

- Po tobie też coś ma. Mnóstwo odwagi.
- Więc co zrobimy, Fran?
- Ona musi podjąć decyzję.
- Może czerpać ze mnie, ile zechce, ale obiecuję, że nie będę próbował ci jej odebrać.
- Wiem. - Zapadła cisza.
- A czy poza tym... wszystko w porządku?
- Tak, w porządku.
- Mówiła mi, że obie uczycie się włoskiego, dała mi popis w restauracji.
- Cieszę się.

187

- Fran, czy możemy powiedzieć, że w jakimś stopniu nam się udało?
- Na pewno - rzekła łamiącym się głosem i zanim zdążyła odłożyć słuchawkę, wybuchnęła płaczem.

* * *

- Co to są carciofi? - spytała Kathy na lekcji włoskiego.
- Karczochy, Caterina. Dlaczego pytasz?
- Byłam w restauracji, w której to podają.
- Tłumaczyłam menu dla mojej przyjaciółki Brendy Brennan - oświadczyła z dumą Signora. - Czy byłaś w Quentinie?
- Tak, ale proszę nie mówić panu Dunne'owi. Pracuje tam jego żona. Jest trochę dziwna.
- Rozumiem.
- I jeszcze jedno, Signora. Pamięta pani, jak kiedyś myślała pani, że Fran to moja matka?
- Tak, tak... - Signora chciała przeproszać.
- Miała pani rację. Ja nie całkiem rozumiałam - oznajmiła Kathy swobodnie, jakby mówiła o drobnej pomyłce, która może się zdarzyć każdemu. Trudności w odróżnieniu matki od siostry.
- Cieszę się, że wszystko już dobrze.

- Mam nadzieję.
- Musi być dobrze - powiedziała poważnie Signora. - Jest taka młoda i miła. Będzie z tobą bardzo długo, o wiele dłużej niż gdyby była starsza.
- Tak. Chciałabym, żeby wyszła za mąż, wtedy nie czułabym się tak winna.
- Może kiedyś kogoś znajdzie.
- Wydaje mi się, że straciła już szansę. Miała kogoś, ale pojechał do Ameryki. Myślę, że został tam przeze mnie.
- Możesz do niego napisać - podsunęła Signora.

* * *

Przyjaciółka Signory była bardzo ciekawa, jak przebiegają lekcje włoskiego.

- Któregoś dnia była tu jedna z twoich młodszych uczennic. Miała na sobie szkolny blezer i mówiła, że uczy się włoskiego.

- Czy zamawiała karczochy?
- Skąd wiesz takie rzeczy, jesteś jasnowidzem?
- To Kathy Clarke, jest jedynym dzieckiem na kursie, reszta to sami dorośli. Podobno pracuje tu żona Aidana Dunne'a. Czy to prawda?
- Ach to o tym Aidanie ciągle opowiadasz. Tak, Neli jest kasjerką. Dziwna kobieta, nie mogę jej rozgryźć, mówiąc szczerze.
- Co masz na myśli?
- Cóż, jest bardzo pracowita, wydajna, uczciwa, szybka. Przyjemny mechaniczny uśmiech do klientów, pamięta ich nazwiska. Ale jest jakby nieobecna, w innym świecie.
- Gdzie?
- Wydaje mi się, że ma romans - oznajmiła Brenda.
- Niemożliwe! Z kim?
- Nie mam pojęcia, jest bardzo skryta, często spotyka się z nim po pracy.
- Proszę, proszę.

Brenda wzruszyła ramionami.

- Jeśli więc masz jakieś zamiary wobec jej męża, nie krępuj się. Jego żona nie rzuci w ciebie kamieniem.
- Chryste, Brendo, co za pomysł! W moim wieku? Ale powiedz mi, z kim spotkała się ta Kathy Clarke w twojej eleganckiej restauracji?
- To dziwne... spotkała się z Paulem Malone'em, znasz go, a może nie.

Znany księgowy, elegancik. Pełen uroku.

- I Kathy z nim była?
- Tak wiem, mogłaby być jego córką - powiedziała Brenda. - Ale mówię ci, im dłużej pracuję w tym interesie, tym mniej się dziwię.

- Paul?

- Kathy? Minęły chyba wieki.

- Czy pójdziesz ze mną na lunch. Ja zapraszam. Ale nie do Quentina.

- Oczywiście. Gdzie proponujesz?

- Na zajęciach włoskiego wygrałam talon na lunch dla dwojga plus wino.

- Nie mogę pozwolić, byś ciągle opuszczała lekcje.

189

- Prawdę mówiąc, chciałam zasugerować sobotę, jeśli to ci nie sprawi kłopotu.

- Mówiłem ci, że nigdy nie ma kłopotów w tej sprawie.

* * *

Pokazała mu talon, który wygrała. Paul Malone wyraźnie ucieszył się z zaproszenia.

- Mam do ciebie prośbę. Związaną trochę z pieniędzmi, ale nie chcę cię o nic błagać - zaczęła Kathy Clarke.

- Nie krępuj się.

Powiedziała mu o podróży do Nowego Jorku na święta Bożego Narodzenia. Ken zapłaciłby za całość, ale nie starczyło mu pieniędzy. Nie miał skąd pożyczyć. Tutaj żyje się jakby na kredyt. Tam jest inaczej.

- Coś o tym wiem - mruknął Paul Malone, księgowy.

- Ucieszył się, gdy do niego napisałam i wyjaśniłam, że o wszystkim wiem. Przeprosiłam, że stanęłam im na drodze. Odpisał, że kocha Fran do szaleństwa i myślał nawet o powrocie do Irlandii, ale doszedł do wniosku, że sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. Pokazałabym ci ten list, Paul, ale to list prywatny. Spodobałby ci się, cieszyłbyś się jej szczęściem.

- Jestem pewien.

- Powiem ci dokładnie, jaka to suma. Około trzystu funtów. Wiem, strasznie dużo. Ale potraktuj to jako pożyczkę. Fran odłożyła moje pieniądze w spółdzielni mieszkaniowej. Gdy spravimy, że Ken i Fran znów będą razem, wtedy wszystko ci oddam.

- Jak przekazemy pieniądze, żeby się nie dowiedzieli, skąd pochodzą?

- Ty im je dasz.

- Dałbym ci wszystko, Kathy, i twojej matce też. Ale nie można jej upokarzać.

- Może wyślemy Kenowi?

- On też może się poczuć upokorzony.

Zapadła cisza. Podszedł kelner zapytać, jak im smakuje.

- Benissimo - rzekła Kathy.

- Moja... moja młoda przyjaciółka zaprosiła mnie tutaj, 180

gdyż wygrała talon na kursie włoskiego - wyjaśnił Paul Malone.

- Musisz być bardzo mądra - zauważył kelner.

- Nie, po prostu mam szczęście - odparła Kathy. Paul spojrział na nią uderzony nagłą myślą.

- Mam! Możesz wygrać też dwa bilety lotnicze!

- Jak to zrobimy?

- Wygrałaś przecież dla nas ten lunch.

- Dzięki Signorze, która przygotowała dla zwycięzcy nagrodę.

- Może ja zorganizuję jakiś konkurs i nagrody.

- To będzie oszustwo.

- Ale to lepsze niż jałmużna.

- Mogę się zastanowić?

- Ale niezbyt długo, mamy mało czasu.

- Powiemy Kenowi?

- Myślę, że nie, a co ty na to?

- Nie uważam, żeby musiał znać cały scenariusz - zgodziła się Kathy. Tak często mówiła Harriet.

Rozdział Piąty.

Lou.

Kiedy Lou miał piętnaście lat, do sklepu jego rodziców weszło trzech rabusiów z pałkami. Zabrali wszystkie papierosy i zawartość kasy, gdy nagle dał się słyszeć odgłos syreny samochodu

policyjnego. Rodzice byli ukryci za ladą. Lou zawołał natychmiast do największego:

- Tylnymi drzwiami, przez mur!

- Po co to robisz? - syknął jeden.

- Bierzcie papierosy, zostawcie pieniądze. Idźcie! Tak właśnie uczynili.

Policjanci byli wściekli.

- Skąd wiedzieli o tylnym wyjściu?

- Pewnie znali teren. - Lou wzruszył ramionami.

- Puściłeś ich, do cholery, pozwoliłeś im uciec! - denerwował się później ojciec. - Gdyby nie ty, wylądowaliby w więzieniu!

- Nie kapujesz, tato? - Lou nawet mówił jak gangster. - Co ci to da?

Więzienia są pełne, skrócą im wyrok i gdy wyjdą, rozniosą sklep na kawałki. A tak są nam coś winni. To tak, jakbyśmy zapłacili im haracz za ochronę.

- Czarno to widzę - stwierdził ponuro ojciec.

Lou był pewien, że postąpił dobrze, i matka po cichu się z nim zgadzała.

„Unikać kłopotów”, stanowiło jej motto. Według niej oddanie bandytów w ręce policji było właśnie stwarzaniem sobie kłopotów.

Sześć tygodni później do sklepu wszedł po papierosy jakiś mężczyzna.

Około trzydziestki, krzepki, z głową ogoloną 192

prawie na zero. O tej porze po szkole sprzedawał

Lou.

- Jak się nazywasz? - spytał mężczyzna. Lou rozpoznał głos jednego z bandziorów.

- Lou - odpowiedział.

- Znasz mnie, Lou?

Lou popatrzył mu prosto w oczy.

- Nigdy w życiu pana nie widziałem.

- Dobry z ciebie chłopak, Lou, usłyszysz o nas jeszcze.

I mężczyzna, który sześć tygodni temu zabrał pięćdziesiąt paczek papierosów wymachując pałką, teraz grzecznie zapłacił należną sumę.

Niedługo potem przyszedł potężny facet z plastikową torbą.

- Jagnięce nóżki dla twojej matki, Lou - rzekł i wyszedł.

- Nic nie powiemy ojcu - zdecydowała matka i przygotowała je na niedzielny obiad.

Ojciec nie byłby zachwycony widząc, jak rzeczy z jego sklepu rozdawane są okolicznym ludziom przez współczesnego Robin Hooda, podobnie jak i właściciel jatki, skąd najprawdopodobniej skradziono mięso.

Lou i matka nie chcieli być nadto dociekliwi. Lou wyobrażał sobie wielkiego mężczyznę jako Robin Hooda i gdy kiedyś go zobaczył, skinął

mu głową.

- Hej! - zawołał.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego i powiedział:

- Jak się miewasz, Lou?

Lou miał cichą nadzieję, że Robin skontaktuje się z nim znowu. Wiedział, że dług został spłacony nóżkami jagnięcymi. Ale był podniecony, że znalazł się tak blisko podziemnego świata. Marzył, by Robin dał mu jakieś zadanie. Nie myślał o samodzielnej akcji, kradzieży czy innej rozróbie.

Ale o przeżyciu czegoś emocjonującego.

* * *

Przez kilka miesięcy nic się nie wydarzyło. Lou nie był dobrym uczniem.

W wieku szesnastu lat opuścił szkołę i znalazł się w biurze zatrudnienia nie licząc na zbyt wiele. Pierwszą osobą, którą zobaczył, był Robin, studiujący ogłoszenia na tablicy.

193

- Cześć, Robin - pozdrowił go zapominając, że sam wymyślił to imię.

- Kto? - spytał mężczyzna.

- Jakoś cię muszę nazywać, a nie znam twojego imienia.

- Czy to jakiś dowcip? - rozgniewał się mężczyzna.

- Nie, to tak jak Robin Hood, no, wiesz, ten bohater... -Umilkł. Lou nie chciał opowiadać o drużynie

tego szlachetnego zbójcy, żeby Robin nie pomyślał, że posądza go o skłonność do mężczyzn, nie chciał też używać słowa banda czy gang. Po co w ogóle się odzywał?

- Jeśli imię to nie odnosi się do obrobienia kogoś...
- Och nie, Boże, nie! - zawołał Lou, jakby Robin powiedział coś odrażającego.
- W takim razie dobrze - złagodniał Robin.
- A jak się naprawdę nazywasz?
- Robin wystarczy, jeśli sprawa została wyjaśniona.
- Oczywiście.
- W porządku. Jak leci, Lou?
- Nie najlepiej. Pracowałem w magazynie, ale mają tam idiotyczne zakazy palenia.
- Coś o tym wiem - powiedział Robin ze zrozumieniem. Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak wyglądała pierwsza praca chłopca zakończona już po tygodniu.
- Mam coś dla ciebie. - Wskazał na ogłoszenie oferujące sprzątanie w kinie.
- To chyba dla dziewcząt?
- Nic nie piszą. W dzisiejszych czasach nic nie wiadomo.
- Ale to straszna robota. - Lou był rozczarowany, że Robin tak nisko go ocenia.
- Ma swoje zalety - mruknął Robin patrząc w innym kierunku.
- Jakie?
- Ale trzeba by zostawiać otwarte drzwi.
- Każdej nocy? To nie jest niebezpieczne?
- Nie, jeśli zasuwą będzie odsunięta minimalnie.
- A potem?
- Potem, jeśli, powiedzmy, moi ludzie będą chcieli wejść i wyjść, będą mieli na to tydzień.
- A dalej?

- I jeśli ktoś, kto podjąłby się tej pracy, postarałby się jeszcze przez jakiś czas z niej nie rezygnować, moi ludzie byliby mu za to bardzo wdzięczni.

Lou był tak podekscytowany, że z trudem oddychał. No i stało się. Robin włączył go do swojego gangu. Bez słowa podszedł do kontuaru i wypełnił

blankiety na sprzątacza.

- Dlaczego się na to zdecydowałeś? - dziwił się ojciec.

- Ktoś musi to robić - wzruszył ramionami Lou.

Czyścił krzesła, zbierał śmieci, sprzątał łazienki i zmywał ze ścian graffiti.

Każdego dnia poluzowywał zamek w dużych tylnych drzwiach. Robin nie musiał mu nawet mówić, w których. Oczywiście było, że tylko tamtędy będą wchodzić jego ludzie.

Kierownik był nerwowym, zrzędlwym mężczyzną. Tłumaczył Lou, że świat teraz to podłe miejsce, zupełnie inne od tego, w którym się wychowywał.

- To prawda - zgodził się Lou. Nie wdawał się w rozmowy. Nie chciał, żeby kierownik pamiętał go czy kojarzył w jakikolwiek sposób.

Zdarzenie miało miejsce cztery dni później. Złodzieje weszli, włamali się do kasy i zabrali dzienny utarg. Najwyraźniej przepiłowali zasuwę.

Musieli jakoś sięgnąć przez szparę. Policja pytała, czy istniała możliwość pozostawienia otwartych drzwi, ale nerwowy kierownik, który znajdował

się już wtedy w stanie hysterii, przekonany o niegodziwości tego świata, stanowczo temu zaprzeczył. Zawsze wszystko dokładnie sprawdzał, a poza tym, dlaczego mieliby piłować otwarte. Lou zrozumiał, że zrobiono to dla jego bezpieczeństwa. W tej sytuacji nikt nie będzie podejrzewał

sprzątacza.

Pracował w kinie jeszcze przez dwa tygodnie, uważnie zamykając nową zasuwę, aby udowodnić, że nie ma nic wspólnego z włamaniem. Potem oświadczył kierownikowi, że dostał lepszą propozycję.

- Nie byłeś najgorszy - oświadczył kierownik.

Lou poczuł się winny, wiedząc, że w pewnym sensie był najgorszy. Jego poprzednicy nie otwierali drzwi, by wpuścić złodziei. Ale nie było sensu rozpaczać po fakcie. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz czekał, co będzie dalej.

więc Lou wziął ją bez słowa. Otworzył, gdy został sam. Znajdowało się tam dziesięć banknotów dziesięciofuntowych.

Sto funtów za obluźowywanie zasuwy przez cztery kolejne noce. Jak obiecał Robin, jego ludzie byli mu bardzo wdzięczni.

Lou nigdy nie prosił Robina o pracę. Pracował tam, gdzie w danej chwili mu się udało. Wiedział, że w razie potrzeby dadzą mu znać. Ale nie mógł

się już doczekać ponownego spotkania z potężnym mężczyzną. Nigdy więcej nie zobaczył Robina w biurze zatrudnienia.

Nie wątpił, że ma on coś wspólnego z kradzieżą w supermarkecie, skąd na godzinę przed zamknięciem wywieziono całą półciężarówkę alkoholu.

Firma ochroniarska nie wierzyła własnym oczom. Nie udało się znaleźć informatora napastników.

Ciekawe, jak Robin tego dokonał i gdzie składował ukradziony towar.

Musiał zorganizować jakąś melinę. Tkwił w tym interesie już wystarczająco długo. Lou miał piętnaście lat, gdy wtedy zawitał do ich sklepu. Teraz miał dziewiętnaście. I przez ten czas tylko raz

otrzymał

* * *

Niespodziewanie natknął się na niego w dyskotecie. Było to hałaśliwe miejsce. Lou nie spotkał żadnej dziewczyny, która by mu się podobała. A prawdę mówiąc, której on by się spodobał. Przecież starał się być miły, uśmiechnięty. Stawiał im drinki, ale najwyraźniej podobali się im mężczyźni skąpi i ponurzy. Wtedy zobaczył Robina tańczącego z atrakcyjną dziewczyną. Im bardziej się do niego uśmiechała i przymilała, tym bardziej on stawał się ponury i groźny. Może tu tkwił sekret. Lou stojąc przy barze patrzył w lustro i ćwiczył marszczenie brwi i groźne miny. Za nim stanął Robin.

- I jak Lou? Dobrze wyglądasz?

- Miło cię znów widzieć, Robin.

- Lubię cię, Lou, nie narzucasz się.

196

- Bo i po co? Zawsze powtarzam: tylko spokojnie.

- Słyszałem, że mieliście kłopoty w sklepie któregoś dnia.

Skąd Robin wiedział?

- To sprawka jakiś dzieciuchów.

- Zajęliśmy się tym. Dostali w skórę, nie tkną więcej tego miejsca. Jeden telefon do naszych przyjaciół w policji z informacją, gdzie można złapać bandę, załatwi jutro sprawę.

- To bardzo miło z twojej strony, jestem ci wdzięczny.

- Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie - oświadczył Robin.

Lou czekał. - Pracujesz gdzieś?

- Tak, ale nie jest to praca, z której nie można by zrezygnować w razie potrzeby - odparł Lou.

- Tłum ludzi, prawda? - Robin skinął w kierunku baru, przy którym stali.

Banknoty dziesięcio- i dwudziestofuntowe przechodziły z ręki do ręki.

Nocny utarg powinien być

spory.

- Tak, i pewnie mają tu dwóch dryblasów i psa, by przenieść szmal do sejfów - zauważył Lou.

- Tak się składa, że nie mają - sprostował Robin. Lou znów czekał. - O

trzeciej nad ranem podjeżdża mikrobus, żeby zabrać pracowników. Ostatni wychodzi kierownik, który niesie zwykłą torbę na ubrania, ale w rzeczywistości znajdują się tam pieniądze.

- Wkłada je do sejfów?

- Nie, zabiera je do domu i ktoś później po nie przychodzi i odnosi do sejfów.

- Trochę skomplikowane, nie?

- Tak, ale to niebezpieczna okolica. - Robin z dezaprobatą pokiwał głową.

- Nikt tutaj nie odważyłby się prowadzić furgonetki, to zbyt niebezpieczne.

- Zmarszczył czoło, jakby coś ciążyło mu na duszy.

- I nikt nie zna tego planu z torbą?

- Nie sądzę.

- Nawet kierowca?

- Nawet on.

- Czego potrzebują twoi ludzie?

- Kogoś, kto nagle zjawi się przed mikrobusem i zatrzyma go 197

na ulicy przez pięć minut. - Lou skinął głową. - I kogoś, kto jest czysty, ma prawo jazdy, samochód i jest tu znany.

- Dobry pomysł.

- Masz samochód?

- Niestety nie, Robinie; prawo jazdy tak, i często tu się pojawiaam, ale samochodu nie mam.

- Myślałeś o kupnie?

- Tak, chciałem kupić używany, ale to niemożliwe.

- Aż do teraz. - Robin podniósł szklanę.

- Aż do teraz - powtórzył Lou. Wiedział, że nie wolno mu nic zrobić, dopóki Robin nie da mu znać. Ucieszył się, że Robin go polubił. Spojrzał

na jakąś dziewczynę i zmarszczył groźnie brwi. Po chwili zaprosiła go do tańca. Lou od dawna nie czuł się tak wspaniale.

Następnego dnia ojciec nie mógł wyjść z podziwu dla policjantów, którzy znaleźli każdą najdrobniejszą rzecz ukradzioną ze sklepu przez tamte dzieciaki. Czyż to nie cud? Trzy dni później z warsztatu samochodowego przyszedł list i umowa sprzedaży ratalnej. Pan Lou Lynch wpłacił dwa tysiące funtów i zobowiązał się spłacać miesięczne raty. Podpisanie umowy i odbiór samochodu miał odbyć się w ciągu trzech dni.

- Myślałem o kupnie samochodu - oświadczył rodzicom Lou.

- Świetnie - ucieszyła się matka.

- Patrzcie tylko, na co stać kogoś, kto żyje na cholernym zasiłku - burknął

ojciec.

- Tak się składa, że nie jestem na zasiłku - obraził się Lou.

Pracował w dużym sklepie ze sprzętem zmechanizowanym jako pomocnik zanoszący lodówki, mikrofalówki i inne rzeczy do samochodów klientów.

Liczył, że właśnie w takim miejscu znajdzie go Robin. Skąd mógł

przypuszczać, że stanie się to w dyskotecce.

Dumny jeździł po okolicy samochodem. W niedzielny poranek zabrał

matkę do Glendalough. Wyznała mu, że jako młoda dziewczyna marzyła o mężczyźnie z samochodem, ale marzenie nigdy się nie spełniło.

198

- Ale spełnia się teraz, mamó - pocieszał Lou.

- Twój ojciec uważa, że wplątałeś się w niezłe kłopoty. Nie zdołałbyś zarobić na taki samochód.

- A co ty myślisz, mamó?

- Nic nie myślę, synu.

- Ja też.

Sześć tygodni później natknął się na Robina, który kupił w supermarkecie telewizor. Lou zaniósł mu go do samochodu.

- Często chodzisz na dyskoteki?

- Dwa, trzy razy tygodniowo. Znają mnie z imienia.

- Trochę obskurne miejsce.

- Cóż. Gdzieś trzeba się zabawić, popić, potańczyć. - Robin lubił takich beztroskich ludzi.

- Święta prawda. Będziesz tam dzisiaj wieczorem?

- Oczywiście.

- Chyba lepiej dzisiaj nie pić. A nuż złapie cię policja?

- Jedna noc na wodzie mineralnej jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

- Pokazać ci, gdzie najlepiej zaparkować samochód?

- Wspaniale. - Nie zadawał zbędnych pytań, to była jego zaleta.

O dziesiątej wieczorem postawił samochód we wskazanym miejscu.

Zrozumiał, że cofając utrudni wyjazd z uliczki na główną drogę.

Pracownicy z mikrobusu będą go doskonale widzieli. Zgaśnie mu silnik i będzie usilnie się starał go zapalić. Ale zanim to nastąpi, minie jeszcze pięć godzin.

Poszedł więc na dyskotekę i w ciągu piętnastu minut znalazł dziewczynę, taką, w której mógłby się zakochać i chcieć spędzić z nią resztę życia.

Nazywała się Suzi i była wysoka, ruda, zachwycająco ruda. Przyszła na dyskotekę po raz pierwszy. Miała dość przesiadywania w domu i postanowiła zobaczyć, co przyniesie noc.

I noc przyniosła Lou. Tańczyli i rozmawiali. Podobało się jej, że Lou pije mineralną wodę; od innych czuć było piwo. Wyjaśnił, że czasami też pije piwo, ale w niewielkich ilościach.

Pracowała w kawiarni na Temple Bar. Lubili te same filmy i muzykę, przyprawę curry, nie przeszkadzała im kąpiel 199

w zimnej morskiej wodzie w lecie i każde z nich miało nadzieję wyjechać do Ameryki. Wszystko w Suzi mu się podobało. W normalnej sytuacji po dyskotekę odwiózłby ją do domu.

Ale sytuacja nie była normalna. Jedyne powód, dla którego miał samochód, to właśnie nienormalność sytuacji.

- Odwiózłbym cię do domu, ale muszę się spotkać z jednym facetem. -

Chyba nie powinien tego mówić. W razie późniejszych przesłuchań, które na pewno go nie ominą, mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Może więc odprowadzi ją do domu i wróci? No tak, ale Robin chciał, żeby był obecny całą noc.

- Naprawdę chciałbym się z tobą znów zobaczyć, Suzi.

- Ja również.

- Umówimy się w takim razie na jutro? Tutaj, albo w innym spokojniejszym miejscu?

- Czy mam rozumieć, że dzisiaj już koniec? - spytała Suzi.

- Niestety tak, ale słuchaj, jutrzejsza noc będzie trwała, jak długo zechcesz.

- Jesteś żonaty?

- Nie, oczywiście, że nie. Mam dopiero dwadzieścia lat. Dlaczego pytasz?

- Niektórzy są.

- Ja nie. Spotkamy się jutro?

- Gdzie teraz idziesz?

- Do toalety.

- Bierzesz prochy, Lou?

- Chryste, nie! Co to, przesłuchanie?

- Po prostu cały czas chodzisz do toalety.

To prawda, starał się być zauważony, dobrze zapamiętany.

- Nie, nic nie biorę. Posłuchaj, kochanie, jutro możemy przeżyć cudowną noc. Pójdziemy gdziekolwiek zechcesz, naprawdę.

- Jasne.

- Nie jasne, tylko naprawdę.

- Dobranoc, Lou - powiedziała urażona i zła. Chwyciła kurtkę i zniknęła w ciemnościach.

Chciał za nią pobiec. Czy musiało go to spotkać właśnie teraz? To strasznie niesprawiedliwe.

* * *

Wreszcie nadszedł czas działania. Opuścił klub jako ostatni i poszedł do samochodu. Poczekał, aż wszyscy wsiądą do mikrobusu i zapalą się światła. W tym momencie cofnął i zaczął naciskać pedał gazu tak, by zalać silnik. Miał teraz pewność, że samochód już nie zapali.

Wszystko szło jak w zegarku. Lou nie zwracał na nic uwagi, odgrywając rolę zdesperowanego kierowcy, który nie może uruchomić silnika. Kątem oka dostrzegł, jak czarne postacie przeskakują przez mur. Przerażony i wzburzony kierownik wybiegł na ulicę, wołając na pomoc policję.

Lou siedział w samochodzie zupełnie bezradny.

- Nie mogę stąd wyjechać!

- To jeden z nich! - zawołał ktoś i czyjeś silne ręce chwyciły Lou.

Bramkarze i barmani rozpoznali go.

- Hej, to Lou Lynch! - zawołali puszczając go.

- O co chodzi? Najpierw nie mogę zapalić samochodu, a później ktoś się na mnie rzuca. Co się stało?

- Zabrano pieniądze, cały utarg! - Kierownik zrozumiał, że karierę ma już za sobą. Napastnicy byli już daleko.

Jeden z legitymujących policjantów przypomniał sobie adres Lou.

- Niedawno tam byłem, do ich sklepu włamała się grupa dzieciaków i wszystko im zabrała.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni, że udało się wam odzyskać cały towar.

Policjanci z zadowoleniem słuchali, jak chwali się ich publicznie za coś, co prawdę powiedziawszy, nie było ich zasługą. Otrzymali poufną informację od nieznanej osoby, szczęśliwy traf, który dawno już im się nie przytrafił. Pracownicy dyskoteki zapewniali detektywów, że Lou jest bardzo miłym chłopcem i w żaden sposób nie mógł być zamieszany w sprawę kradzieży. Miał dobre referencje ze sklepu elektrycznego, regularnie wpłacał raty za samochód, nie wykryto nawet kropli alkoholu we krwi. Lou Lynch był czysty.

Następnego dnia jednak Lou nie myślał o Robinie, kolejnej kopercie i jej zawartości. Myślał o pięknej Suzi. Będzie musiał ją okłamać i podać oficjalną wersję zdarzeń. Miał nadzieję, że się na

niego nie obraziła.

W czasie lunchu poszedł do jej restauracji z czerwoną różą.

- Chciałem podziękować za wczorajszą noc.

- Nie bardzo jest za co - burknęła Suzi. - Zachowałeś się jak Kopciuszek i przez ciebie musiałam wcześniej wrócić do domu.

- To się nie powtórzy dzisiaj - rzekł. - Oczywiście, jeśli chcesz.

- Zobaczymy - rzekła ponuro Suzi.

* * *

Potem umawiali się prawie co wieczór.

Lou zaproponował pójście do dyskoteki, w której spotkali się po raz pierwszy. Wyjaśnił, że jest bardzo sentymentalny. W rzeczywistości nie chciał, by pracownicy skojarzyli jego zniknięcie z tamtym zdarzeniem.

Znał już cały przebieg akcji. Czterej mężczyźni z pistoletami wtargnęli do mikrobusu i kazali wszystkim położyć się na podłodze. Zabrali im podręczne torby i zniknęli. Pistolety! Lou poczuł skurcz w żołądku, gdy o tym usłyszał. Sądził, że Robin i jego ludzie wciąż posługują się pałkami.

Ale przecież to było pięć lat temu, a świat szedł do przodu. Kierownik stracił pracę, system przekazywania pieniędzy do banku został zmieniony i każdej nocy przed klubem pojawiał się ogromny wóz z groźnymi psami.

Teraz potrzeba by całej armii.

Trzy tygodnie później zobaczył Robina na parkingu. I znowu pojawiła się koperta. Lou schował ją bez komentarza.

- Bardzo dziękuję - rzekł.

- Nie zobaczysz, co jest w środku? - Robin wyglądał na rozczarowanego.

- Nie muszę. Ostatnim razem byłeś bardzo hojny.

- Tym razem to tysiąc - oświadczył dumnie Robin. Było się czym zachwycać. Lou otworzył kopertę i popatrzył na banknoty.

202

- Fantastycznie! - zawołał.

- Jesteś dobrym chłopakiem, Lou. Lubię cię - rzekł Robin i odjechał.

Tysiąc funtów w kieszeni i czekająca na niego najpiękniejsza na świecie rudowłosa dziewczyna. Lou Lynch czuł się w tej chwili najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

* * *

Romans z Suzi rozwijał się pomyślnie. Z takimi pieniędzmi stać go było na kupowanie różnych prezentów i zabieranie dziewczyny w eleganckie miejsca. Ale gdy wyjął banknot dwudziestofuntowy, zaniepokoiła się.

- Hej, Lou, skąd bierzesz pieniądze, że tak nimi szastasz?

- Przecież pracuję, nie?

- Tak i wiem, ile tam płacą. W tym tygodniu to już trzecia dwudziestka.

- Kontrolujesz mnie?

- Lubię cię, więc jasne, że cię kontroluję.

- Czego się boisz?

- Wolalabym się nie dowiedzieć, że jesteś związany ze światem przestępczym - powiedziała wprost.

- Czy wyglądam na takiego?

- To nie jest odpowiedź.

- Na niektóre pytania nie ma jasnych odpowiedzi.

- Dobra, w takim razie zapytam inaczej. Czy w tej chwili jesteś w coś wplątany?

- Nie - odparł najzupełniej szczerze.

- A zamierzasz? - Chwila milczenia. - Nie rób tego, Lou. Ty masz pracę i ja mam pracę. Nie daj się w nic wplątać. - Miała piękną kremową skórę i ogromne ciemnozielone oczy.

- Dobra, w nic nowego nie będę się angażował - obiecał. I Suzi rozsądnie nie wracała do tematu. Nie zadawała

więcej pytań o przeszłość. Mijały tygodnie, spotykali się coraz częściej.

Któregoś dnia przyprowadziła go na lunch do domu rodziców.

Zdziwił się widząc, gdzie mieszkają.

- Myślałem, że mieszkasz w lepszej okolicy - stwierdził, gdy wysiedli z autobusu.

- Sama staram się o sobie lepiej myśleć. Dzięki temu dostałam tę pracę w restauracji.

Jej ojciec nie był taki zły, jak opowiadała, kibicował odpowiedniej drużynie piłki nożnej, a w lodówce stały puszki piwa.

Matka pracowała w supermarkecie, który jakiś czas temu okradli Robin i jego przyjaciele. Panna Clarke, kierowniczka, była przekonana, że ktoś z pracowników sklepu zostawił otwarte drzwi, ale nikt nie wiedział, kto.

Lou słuchał kiwając głową. Robin najwyraźniej miał w całym mieście ludzi, którzy obluzywali zasuwę czy parkowali samochody w odpowiednich miejscach. Spojrzał na Suzi, uśmiechniętą i szczęśliwą. Po raz pierwszy marzył, żeby Robin więcej się z nim nie kontaktował.

* * *

- Polubili cię - powiedziała później zdziwiona Suzi.

- A dlaczego nie? Jestem miłym facetem.

- Mój brat stwierdził, że strasznie się marszczysz, ale wyjaśniłam, że to tik nerwowy, i kazałam mu się zamknąć.

- To nie żaden tik, tylko oznaka dorosłości i powagi - obraził się Lou.

- W każdym razie to jedyna wada, jaką znaleźli, a to coś znaczy. Kiedy poznam twoich?

- W przyszłym tygodniu.

Matka i ojciec przerazili się, słysząc, że Lou chce przyprowadzić do domu dziewczynę.

- Pewnie jest w ciąży - mruknął ojciec.

- Oczywiście, że nie i nie życzę sobie rozmów na ten temat, gdy tutaj przyjdzie - ostrzegł Lou.

- Co mam podać? - zatroskała się matka.

Zaczął sobie przypominać, co podano u Sullivanów.

- Kurczaka - rzekł. - Jeśli przygotujesz kurczaka, będzie świetnie. - Nawet ona nie mogła zepsuć kurczaka.

- Polubili cię - powiedział później z tym samym zdziwieniem, co ona.

- To dobrze - rzuciła od niechcienia, ale widział, że sprawił jej przyjemność.

- Jesteś pierwsza, rozumiesz - wyjaśnił.

- Naprawdę?

- To znaczy pierwsza, którą przyprowadziłem do domu. Pogładziła go po ręce. Miał ogromne szczęście, że spotkał taką dziewczynę jak Suzi Sullivan.

Na początku września przypadkowo natknął się na Robina. Ale oczywiście nie był to przypadek. Robin parkował koło sklepu rodziców i właśnie wysiadał z samochodu.

- Po piwku na koniec dnia? - zaproponował Robin, wskazując głową pobliski pub.

- Wspaniale - bez entuzjazmu przyjął zaproszenie Lou. Miał wrażenie, że Robin czyta w jego myślach, i obawiał się, że dostrzeże nieszczerzy ton głosu.

- Jak leci?

- Świetnie. Mam odjazdową dziewczynę.

- Rzeczywiście niezła.

- Fantastyczna. Myślmy o sobie poważnie.

Robin dał mu kuksańca w ramię. Miał oznaczać przyjaźń, ale zabołał. Lou powstrzymał się, żeby nie potrzebować bólowego miejsca.

- A więc wkrótce będziesz potrzebował wkładu na mieszkanie? - spytał

swobodnie Robin.

- Na razie nam się nie spieszy. Ona ma duży pokój.

- Ale kiedyś będziesz potrzebował. - Nie dawał za wygraną Robin.

- No tak, kiedyś tak. - Zapadła cisza. - Czy Robin przeczuwał, że Lou chce się wycofać?

- Pamiętasz, Lou, jak zawsze mówiłem, że cię lubię?

- Tak i ja też zawsze cię lubiłem. To było wzajemne uczucie. I jest - dodał

pospiesznie.

- Biorąc pod uwagę, w jakich okolicznościach się poznaliśmy.

- Człowiek o takich rzeczach zapomina.

- Dobrze, dobrze. - Robin skinął głową. - Szukam miejsca, Lou.

- Do wynajęcia?

- Nie, nie. Mam mieszkanie, choć nasi przyjaciele policjanci regularnie przewracają je do góry nogami. Taka rutynowa cotygodniowa kontrola.

- To bezprawne.

205

- Ja o tym wiem i oni też. Nigdy nic nie znajdują. Doskonale wiedzą, że łamią prawo.

-A więc jeśli nic nie znajdują...? - Lou nie miał pojęcia, do czego Robin zmierza.

- To oznacza, że towar musi być trzymany gdzie indziej, a mam z tym większe kłopoty. - Lou czekał jak zawsze, aż Robin sam wszystko wyjaśni.

- Szukam miejsca, do którego dwa, trzy razy w tygodniu jakaś grupa ludzi nie rzucając się w oczy swobodnie wchodzi i wychodzi.

- Jak na przykład hurtownia, w której pracowałem? - spytał nerwowo Lou.

- Nie, tam jest ochrona.

- Więc co to ma być?

- Nie potrzebuję dużo miejsca; chodzi o to, żeby starczyło na, powiedzmy... pięć, sześć skrzynek wina, paczek tego rozmiaru.

- To nie powinno być trudne, Robin.

- Śledzą każdy mój krok. Tygodniami chodzę i rozmawiam z różnymi osobami, które nie są notowane, żeby ich zmylić. Ale wkrótce pojawi się towar, a ja nic nie znalazłem.

Lou spojrzał z niepokojem przez drzwi pubu na sklep po drugiej stronie ulicy.

- W sklepie moich rodziców będzie chyba trudno.

- Nie o tym myślałem, tam musi być ruch, dużo ludzi wchodzących i wychodzących.

- Pomyślę - obiecał Lou.

- Dobrze. Masz tydzień, a potem dam ci instrukcje. Prosta sprawa, żadnego prowadzenia samochodu ani nic takiego.

- Właściwie, Robin, chciałbym ci coś powiedzieć... zastanawiałem się, czy... czy mógłbym się wycofać.

Robin zmarszczył gniewnie brwi.

- Jeśli już raz wpadłeś, nie masz wyjścia. - Lou milczał. - Tak to wygląda -

dodał Robin.

- Rozumiem - odparł Lou także marszcząc brwi, by pokazać, że wziął słowa na serio.

* * *

Tego wieczora Suzi oświadczyła, że jest zajęta, gdyż obiecała tej Włoszce, która jest lokatorką w ich domu,

206

posprzątać przybudówkę w szkole na jakiś kurs wieczorowy.

- Dlaczego musisz tam iść? - zirytował się Lou. Pragnął zabrać Suzi do kina, potem na frytki, a potem do łóżka w jej małym pokoiku. Nie chciał

zostać sam z myślą, że jeśli raz się wpadło, to nie ma wyjścia.

- Chodź ze mną, pomożesz mi - zaproponowała Suzi.

I Lou poszedł. Przybudówka przylegała do szkoły, ale stanowiła część niezależną. Miała osobne wejście, dużą salę, dwie łazienki i małą kuchnię.

W korytarzu znajdował się schowek, w którym stało kilka pudeł. Pustych pudeł.

- Co to jest? - spytał.

- Próbujemy doprowadzić to miejsce do jakiegoś takiego porządku, żeby nie wyglądało jak wysypisko śmieci. Niedługo zaczynają się zajęcia -

wyjaśniła kobieta zwana Signorą. Miła, ale trochę dziwna, o niezwykle kolorze włosów.

- Wyrzucimy te pudła - podsunęła Suzi.

- A może ułożyć je w stos tutaj - zaproponował Lou tknięty nagłą myślą. -

Nigdy nie wiadomo, do czego się przydadzą.

- Na lekcjach włoskiego? - zdziwiła się Suzi.

- Tak, on ma rację - włączyła się Signora. - Można ich użyć jako stołów, gdy będziemy przerabiać zamawianie dań w restauracji, albo jako lad sklepowych czy samochodów w garażu! - dodała rozpromieniona.

Lou patrzył na nią zdumiony. Musi mieć nie po kolei w głowie, ale w tym momencie ją uwielbiał.

- Świetny pomysł, Signora - ucieszył się i poukładał pudła w stos.

* * *

Nie miał kontaktu z Robinem, ale nie zdziwił się, gdy otrzymał telefon do pracy.

- Nie mogę porozmawiać z tobą osobiście, bo nasze żołnierzyki stały się ostatnio strasznie nerwowe. Nie ruszam się nigdzie bez pięcioosobowej obstawy.

- Znalazłem coś - oznajmił Lou.

- Wiedziałem.

207

Lou opowiedział dokładnie, gdzie to jest, i wyjaśnił, że w każdy wtorek i czwartek odbywają się tam zajęcia dla trzydziestu osób.

- Wspaniale - ucieszył się Robin. - Zapisaleś się?

- Gdzie?

- Na zajęcia, oczywiście.

- Robin, Jezu, ledwo mówię po angielsku, co będę robił na kursie włoskiego?

- Liczę na ciebie - uciał Robin i wyłączył się.

Tej nocy w domu czekała na niego koperta. Zawierała pięćset funtów i karteczkę. „Nieoczekiwane wydatki na naukę języka”. Robin mówił

poważnie.

* * *

- Co zamierzasz zrobić?!

- Przecież sama mówiłaś, że powinienem się doskonalić, Suzi. Dlaczego nie?

- Miałam na myśli rozwijanie się, znalezienie sobie lepiej płatnej pracy.

Nie mówiłam, żebyś od razu wariował i zaczynał się uczyć obcego języka!

- zawołała zdumiona Suzi. - Lou, chyba straciłeś rozum. To kosztuje.

Biedna Signora martwiła się, że opłaty mogą być zbyt wysokie, a ty nagle ni stąd, ni zowąd chcesz

się zapisać. Nie rozumiem.

Lou zmarszczył brwi.

- Życie byłoby bardzo nudne, gdyby wszyscy się nawzajem rozumieli -
oznajmił.

Suzi odparła, że życie wtedy byłoby jednak o wiele prostsze.

Lou szedł na pierwsze zajęcia niczym skazaniec do celi śmierci. Lata, jakie spędził w szkole, nie należały do chwalebnych. Teraz czekały go dalsze upokorzenia. Wbrew oczekiwaniom jednak zajęcia okazały się całkiem przyjemne. Najpierw ta zwariowana Signora zapytała o ich imiona, a później rozdała kolorowe kartony i prosiła o napisanie na nich swoich imion po włosku.

Lou został Luigim. Nawet mu się podobało. Czuł się ważny.

- Mi chiamo Luigi - mówił marszcząc brwi. Pozostali byli najwyraźniej pod wrażeniem.

208

Grupa składała się z różnych dziwnych osób. Kobieta obwieszona biżuterią, której nikt przy zdrowych zmysłach nie założyłby do szkoły Mountainview, jeżdżąca BMW. Lou miał nadzieję, że ludzie Robina nie ukradną jej samochodu. Była sympatyczna, tylko miała smutne oczy.

Chodził tam też miły starszy pan, portier hotelowy, Laddy, choć na karteczce miał napisane Lorenzo, matka z córką, oszałamiająca blondynka Elizabetta z chłopakiem w marynarce i krawacie. I mnóstwo innych, których nikt nie spodziewałby się ujrzeć na takich zajęciach. Więc może i jego osoba nikogo nie zdziwi.

Zastanawiał się nad tym przez dwa tygodnie, potem dostał wiadomość od Robina. We wtorek może się spodziewać przesyłki, około siódmej trzydzieści, gdy ludzie zaczną się schodzić. Niech dopilnuje, żeby znalazła się w schowku w korytarzu.

Nie znał mężczyzny w kurtce z kapturem. Wpatrywał tylko półciężarówkę. Przyjeżdżało tyle ludzi, rowery, motorowery, BMW, dwie kobiety w toyocie starlet, tak że półciężarówka nie wzbudziła niczyjego zainteresowania.

Błyskawicznie przeniesiono cztery pudła do pomieszczenia. Po chwili samochód i mężczyzna zniknęli.

W czwartek przygotował towar do zabrania. Wszystko odbyło się w ciągu kilkunastu sekund. Lou stał się pupilkiem nauczycielki za pomoc w układaniu kartonów. Czasami okrywali je czerwoną krepiną i rozkładali sztucze.

- Quanto costa U piatto del giorno? - pytała Signora, a oni powtarzali w kółko, aż nauczyli się pytać o każdą najgłupszą rzecz i podnosili noże mówiąc: Ecco U coltello.

Może to było dziecinne, ale Lou się podobało. Nawet marzył, że pojedzie kiedyś z Suzi do Włoch i bez zająknięcia zamówi dla niej bicchiere di vino rosso.

Kiedyś Signora podniosła jedno z pełnych pudeł.

Lou zamarł na chwilę, ale powiedział spokojnie:

- Signora, proszę pozwolić mi to wziąć. Potrzebujemy tylko pustych pudeł.

- Ale co w nich jest? Są strasznie ciężkie.

209

- Kilka moich rzeczy. Mogę je przechować przez jakiś czas w szkole? No, załatwione. Do czego dzisiaj będziemy ich używali?

- Przerabiamy słownictwo związane z hotelami, alberghi. Albergo di prima categoria, di seconda categoria.

Lou ucieszył się, że wszystko zrozumiał.

- Może nie byłem taki tępy w szkole - oznajmił później Suzi. - Może źle mnie uczono.

- Możliwe - odparła z roztargnieniem Suzi. Co innego miała teraz na głowie. Wezwano jej rodziców do szkoły w sprawie Jerry'ego. Wyglądało to poważnie. I właśnie teraz, gdy dzięki Signorze zaczął wykazywać postępy w nauce. Nie chodziło chyba o kradzież ani nic takiego.

Jedną z przyjemniejszych rzeczy podczas pracy w kawiarni było obserwowanie gości. Suzi uważała, że na podstawie podsłuchanych rozmów mogłaby napisać książkę.

Ludzie opowiadali o sekretnych weekendach, kolejnych romansach i oszustwach podatkowych. Niesamowite historie uwikłanych w skandale polityków, dziennikarzy i znanych osobistości. Może część była zmyślona, ale wszystkie podnosiły włosy na głowie. Zwykle jednak te najzwyklejsze rozmowy okazywały się najciekawsze. Szesnastoletnia dziewczyna zdecydowana za wszelką cenę zająć w ciążę, by wyrwać się z domu i dostać mieszkanie spółdzielcze, małżeństwo, które zajmowało się fałszowaniem dowodów osobistych, przekonane o konieczności zakupu porządnego laminatora. Lou miał nadzieję, że Robin i jego przyjaciele nigdy nie wybiorą sobie tej kafejki do omawiania planów. Ale raczej nie była w ich stylu, więc czuł się bezpieczny.

Suzi chętnie przedłużała sprzątanie stolików, jeśli obok prowadzono interesujące rozmowy. Do kafejki wszedł mężczyzna w średnim wieku z córką, ładną blondynką w stroju urzędniczki bankowej. Mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy, długich włosach, trudny do określenia. Był

może dziennikarzem albo poetą. Chyba się kłócili. Suzi starała się podejść bliżej.

- Spotkałam się z tobą tylko dlatego, że mam wolne pół

godziny w pracy i ogromną ochotę na dobrą kawę, a nie na zlewki, które dają w stołówce - powiedziała dziewczyna.

- W domu czeka na ciebie nowy piękny ekspres i cztery różne rodzaje kawy, jeśli zgodzisz się przyjść - oświadczył.

Nie mówił jak ojciec, ale raczej jak kochanek. Ale był za stary. Suzi zaczęła wolno polerować stolik, by usłyszeć więcej.

- Używałeś go?

- Ciągłe się ćwiczę, czekając na dzień, kiedy wrócisz, by móc ci przygotować „Blue Mountain” lub „Costa Ricę”.

- Będziesz długo czekał.

- Proszę, nie możemy porozmawiać? - błagał. Suzi musiała przyznać, że jest całkiem przystojny.

- Rozmawiamy, Tony.

- Myślę, że cię Kocham - oświadczył.

- Nie, Kochasz tylko wspomnienie o mnie i nie możesz znieść, że nie wracam do ciebie truchciem jak wszystkie inne.

- Nie ma żadnych innych. - Milczała. - Nigdy nikomu nie wyznałem miłości.

- Nie powiedziałaś, że mnie Kochasz, tylko że tak ci się wydaje. To różnica.

- Niech pomyślę. Jestem prawie pewny - uśmiechnął się.

- Czy mamy pójść do łóżka, żebyś to sprawdził dokładniej? - spytała z goryczą.

- Oczywiście, że nie. Chodźmy gdzieś na obiad i porozmawiajmy jak dawniej.

- A później jak dawniej chodźmy do łóżka.

- Grania, zrobiliśmy to tylko raz. Wcale nie o tym myślę. Suzi nie mogła odejść. Starszy pan był bardzo miły, ta

dziewczyna, Grania, powinna dać mu szansę, choćby pójść z nim na obiad.

Z trudem się opanowała, żeby nie włączyć się do rozmowy.

- Niech będzie obiad - zgodziła się wreszcie Grania. Uśmiechnęli się i podali sobie ręce.

Nie zawsze był to ten sam mężczyzna, ta sama półciężarówka czy ta sama kurtka, ale wszystko działo się niezwykle szybko i bez zbędnych rozmów.

211

Pogoda się popsowała, zrobiło się ciemno i mokro, więc Lou przyczepił w korytarzu duży wieszak na mokre ubrania, by nie korzystano ze schowka.

„Nie chciałem, by zamokły pudła Signory” - tłumaczył.

Mijały tygodnie wnoszenia pudeł we wtorki i odbierania w czwartki. Lou nie chciał nawet myśleć, co się w nich znajduje. Na pewno nie butelki.

Gdyby Robin zajmował się przemytem alkoholu, to pudła byłyby ich pełne, tak jak wtedy w supermarkecie. Lou nie mógł dłużej się oszukiwać.

To musiały być narkotyki. W przeciwnym razie Robin tak by się nie przejmował. Jaki inny towar wymaga tyle zachodu, różnych osób przy dostarczaniu i odbiorze. Boże, narkotyki w szkole! Robin chyba oszalał.

A kłopoty młodszego brata Suzi, rudego chłopca o zuchwałej twarzy?

Przyłapano go z grupą starszych kolegów w przechowalni na rowery. Jerry przysięgał, że był tylko posłańcem. Prosił go o odebranie czegoś przy szkolnej bramie, gdyż sami byli nieustannie pilnowani przez nauczyciela.

Ale pan O'Brien, który ich złapał, zrobił z tego straszną aferę.

Tylko błagania Signory uchroniły Jerry'ego od wydalenia ze szkoły. Był

taki młody, cała rodzina zapewniała, że po szkole nigdzie się nie włóczy, wraca prosto do domu odrabiać lekcje. I ostatnio bardzo się poprawił w nauce, Signora za niego ręczyła... Tym razem mu darowano.

Starszych chłopców wyrzucono tego samego dnia. Tony'ego O'Briena niewiele obchodziła ich przyszłość. Nawet jeśli mieli jej doczekać, to na pewno nie w tej szkole.

Lou wolał nie myśleć, jakie powstałoby piekło, gdyby odkryto, że szkolna przybudówka służy jako punkt przerzutowy narkotyków. Może to właśnie Jerry, jego przyszły szwagier, rozprowadzał część towaru z tych pudeł.

Zdecydowali z Suzi, że pobiorą się w przyszłym roku.

- Nikogo jeszcze tak nie lubiłam - oświadczyła Suzi.

- To brzmi jakbym był najlepszy z najgorszych - mruknął Lou.

- Nieprawda. - Od kiedy zapisał się na kurs włoskiego polubiła go jeszcze bardziej. Signora chwaliła go za pomoc. Suzi słyszała, jak przygotowywał się do lekcji, powtarzał

212

słowa oznaczające części ciała, dni tygodnia. Czynił to z zapałem małego chłopca. Grzecznego małego chłopca.

* * *

Lou zaczął rozglądać się za kupnem pierścionka, gdy znowu natknął się na Robina.

- Może jakiś przyjemny klejnocik dla twojej rudowłosej przyjaciółki, Lou?

- Tak, Robin, chciałem właśnie... rozumiesz, pójść razem z nią, żeby sama wybrała... - Lou zastanawiał się, czy dostanie coś jeszcze za swoją robotę w szkole. Właściwie sprawa była tak prosta, że nie spodziewał się większej zapłaty. Z drugiej strony jednak robił coś tak niebezpiecznego, że powinien zostać sownie wynagrodzony, żeby ryzyko się opłacało.

- Jeśli udacie się do tego dużego sklepu na Grafton Street i wybieriecie pierścioneł, wystarczy, żebyś zapłacił zaliczkę. Reszta zostanie uregulowana.

- Oczywiście nic jej nie powiem, Robin, ale ona się domyśli.

Robin uśmiechnął się.

- Wiem, że nic nie powiesz, ale nie obawiaj się. Facet pokaże wam zestaw najlepszych pierścionków, bez cen. Twoja dziewczyna będzie nosiła na palcu coś rzeczywiście wartościowego. Wszystko absolutnie legalnie, my się tym zajmujemy.

- Wiesz, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, wiem, ile to warte, ale...

- Pomyśl, jak będziesz miał kupkę dzieciaków i przyjdą ciężkie czasy.

Wtedy przypomnisz sobie, że kiedyś dostałeś tego szczęścia i poznałeś faceta imieniem Robin, który załatwił ci depozyt na dom, a żonie kamień wartości dziesięciu patoli.

Czy Robin rzeczywiście miał na myśli dziesięć tysięcy funtów? Lou zakręciło się w głowie. Robin wspomniął także o wkładzie na mieszkanie.

Trzeba by upaść na głowę, żeby z tego nie skorzystać.

Poszli do jubilera. Lou zapytał o George'a.

George przyniósł biżuterię.

213

- Wszystkie są w granicach cenowych określonych przez pana.

- One są ogromne - syknęła Suzi. - Lou, nie stać cię na to.

- Proszę, nie odbieraj mi przyjemności ofiarowania ci ładnego pierścionka.

- Oczy miał duże i smutne.

- Lou, posłuchaj mnie. Z trudem udaje się nam zaoszczędzić tygodniowo dwadzieścia pięć funtów. Te muszą kosztować co najmniej dwieście pięćdziesiąt, to dziesięcioletnie oszczędzanie! Znajdźmy coś tańszego. - Była taka miła. Nie zasługiwał na nią. I nie miała pojęcia, że patrzy na prawdziwą biżuterię.

- Który podoba ci się najbardziej?

- To nie jest prawdziwy szmaragd, Lou?

- W typie szmaragdu - zapewnił uroczyście.

Suzi poruszyła dłonią, kamień błysnął w świetle. Zaśmiała się radośnie.

- Boże, dałabym głowę, że jest prawdziwy - zwróciła się do George'a.

Lou poszedł z George'em w kąt sali, gdzie zapłacił mu ponad dwieście pięćdziesiąt funtów w banknotach. Pozostała suma, czyli dziewięć i pół

tysiąca funtów została już wpłacona wcześniej na nazwisko pana Lou Lyncha.

- Życzę panu wszystkiego najlepszego - rzekł George nie zmieniając wyrazu twarzy.

Co on wie? Czy też raz wpadł i nie ma teraz wyjścia? Czy Robin rzeczywiście przyszedł do tego szacownego miejsca sam i zapłacił całą sumę gotówką? Lou poczuł, że jest mu słabo.

* * *

Signora podziwiała pierścionek Suzi.

- Niezwykle piękny - powiedziała.

- Zwyczajne szkło, ale można by pomyśleć, że to prawdziwy szmaragd, prawda?

Signora, która zawsze kochała biżuterię, choć nigdy nie posiadała żadnej, była pewna, że to prawdziwy szmaragd. W doskonałej oprawie. Zaczęła się martwić o Luigię.

Suzi zobaczyła wchodzącą śliczną blondynkę, którą już знаła, Granie.

Była ciekawa, jak udał się obiad ze starszym panem. Jak zwykle z trudem się opanowała, żeby nie zapytać.

- Stolik na dwoje? - spytała uprzejmie.

- Tak, poproszę.

Suzi była rozczarowana, że to nie tamten mężczyzna. Ale dziewczyna.

Niska, w ogromnych okularach. Najwyraźniej stara przyjaciółka.

- Słuchaj, jeszcze nic nie jest ustalone, nic. Ale być może w najbliższych tygodniach zadzwonię do ciebie, by się umówić na zostanie na noc, jeśli mnie rozumiesz.

- Rozumiem zbyt dobrze. Już od wieków nie dzwoniłaś, aby zapewnić sobie alibi - zauważyła Fiona.

- Po prostu ten facet... to długa historia. Naprawdę mi się podoba, ale są pewne problemy.

- Jak to, że ma prawie sto lat, tak? - podsunęła Fiona.

- Och, Fiona, gdybyś wiedziała... akurat to najmniejszy problem. To, że ma prawie sto lat, nic nie znaczy.

- Wy, panny Dunne, prowadzicie bardzo dziwne życie -zamyśliła się Fiona. - Spotykasz się z emerytem i nie obchodzi cię jego wiek. Brigid ma obsesję na punkcie rozmiaru swoich piersi, które według mnie są doskonałe.

- Wszystko zaczęło się, gdy pojechała na wakacje i wybrała się na plażę nudystów - wyjaśniła Grania. - Ktoś powiedział, że jeśli ołówek włożony pod biust nie wypada, masz zbyt obwisłe piersi i nie powinnaś pokazywać się topless.

-I...?

- Brigid stwierdziła, że mogłaby utrzymać pod biustem książkę telefoniczną.

Obie zachichotały.

- Cóż, jeśli sama tak powiedziała - rzekła dziewczyna w ogromnych okularach.

- Najgorsze było to, że nikt nie zaprzeczył, i teraz ma kosmiczny kompleks.

Suzi powstrzymała się, żeby się głośno nie roześmiać. Zaproponowała jeszcze kawy.

- Hej, masz świetny pierścionek - rzekła z podziwem Grania.

- Właśnie się zaręczyłam - pochwaliła się Suzi. Pogratulowały jej i spytały, czy mogą przymierzyć.

- Czy to prawdziwy szmaragd? - spytała Fiona.

- Niestety nie. Mój chłopak pracuje tylko jako pakowacz w dużym sklepie elektrycznym. Ale cudowne szkło, prawda?

- Wspaniale. Gdzie go kupiłaś? Suzi podała nazwę sklepu.

Gdy odeszła, Grania szepnęła do Fiony:

- To dziwne, w tym sklepie sprzedają tylko prawdziwą biżuterię. Mają konto w naszym banku. Założę się, że to nie szkło.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Grupa nie będzie się widywać przez dwa tygodnie. Signora poprosiła, żeby na ostatnie zajęcia każdy przyniósł coś do jedzenia. Urządzą małe przyjęcie. Po całej klasie porozwieszano transparenty z napisem Buon Natale. Wszyscy ubrali się odświętnie. Nawet Bill, ten poważny gość z banku, Guglielmo, jak go nazywali, poddał się nastrojowi i przyniósł papierowe kapelusze.

Connie, ta od samochodu i biżuterii, przyniosła sześć butelek frascati, które znalazła na tylnym siedzeniu samochodu męża. Oświadczyła, że mąż kupił je dla swojej sekretarki, więc lepiej, jeśli oni je wypiją. Nikt nie wiedział, czy mówi poważnie, poza tym picie alkoholu na terenie szkoły było zabronione. Ale Signora uspokoiła ich, że wszystko już załatwiła z dyrektorem Tonym O'Brienem i nie muszą się o nic martwić.

Nie dodała, że zdaniem Tony'ego O'Briena, jeśli w szkole sprzedaje się narkotyki i dzieciaki bez kłopotu je kupują, to kilkoro dorosłych równie dobrze może się napić wina z okazji świąt.

- Co pani robiła w ostatnie święta? - zagadnął Signorę Luigi. Siedzieli obok siebie. Wokół rozbrzmiewały salute, molto grazie i va bene.

- W zeszłym roku byłam na popołudniowej mszy i patrzyłam na mojego męża Maria i jego dzieci z tylnej ławki kościoła - odparła Signora.

- Dlaczego nie siedziała pani razem z nimi? - spytał.

Uśmiechnęła się do niego.

- To byłoby źle widziane.

- A potem on umarł? - Suzi przekazała Lou wszystkie informacje na temat Signory. Podobno była wdową, chociaż matka Suzi uważała ją za zakonnice w przebraniu.

- Tak, Lou, umarł - potwierdziła cicho Signora.

- Mi spiace - powiedział Lou. - Troppo tñste, Signora.

- Tak, Lou, to straszne, ale życie dla nikogo nie jest łatwe.

Nagle Lou uderzyła przerażająca myśl.

Był czwartek, a przed szkołą nie pojawił się mężczyzna w kurtce ani półciężarówka. Szkoła będzie zamknięta przez dwa tygodnie razem z całym towarem w schowku. Co on, na Boga, teraz zrobi?

Signora podała im włoską wersję „Cichej nocy” i spotkanie dobiegło końca. Lou ogarnęła panika. Był bez samochodu, a nawet gdyby go miał, jak by wytłumaczył wynoszenie ze schowka czterech dużych pudeł.

Żadnych szans na wejście do szkoły przed Nowym Rokiem. Robin go zabije.

Ale właściwie to wina Robina. Nie zostawił numeru kontaktowego ani instrukcji w razie kłopotów. Coś musiało się stać z osobą odpowiedzialną za odbiór towaru. To było słabe ogniwo. Nikt nie może winić Lou. Ale płacono mu, bardzo dobrze mu płacono, za szybkie myślenie i opanowanie. Co ma robić?

Zaczęło się sprzątanie. Wszyscy się żegnali.

Lou zaproponował pomoc w wyniesieniu śmieci.

- Nie mogę na to pozwolić, Lou. I tak za dużo pracujesz - oponowała Signora.

Guglielmo i Bartolomeo postanowili mu pomóc. W normalnych okolicznościach nigdy z kimś takim by się nie zaprzyjaźnił. Razem wynieśli czarne torby na śmieci do pojemników na zewnątrz.

- Nie uważacie, że ta Signora jest niesamowicie miła? - spytał Bartolomeo.

- Lizzie sądzi, że coś ją łączy z panem Dunne, wiecie, tym, co zorganizował ten kurs - szepnął Guglielmo.

- Daj spokój - oburzył się Lou. Co oni mogli wiedzieć?

- Ale byłoby fajnie, nie?

217

- W ich wieku? - Guglielmo potrząsnął głową.

- Może gdy sami będziemy w ich wieku, potraktujemy to w sposób naturalny. - Lou stanął w obronie Signory. Nie wiedział, czy powinien zaprzeczyć tym śmiesznym posądzeniom, czy zbyć je milczeniem.

Serce waliło mu na myśl o zostawionych pudłach. Wiedział, że musi zrobić coś, czym się brzydził. Musi oszukać tę miłą kobietę o niesamowitych włosach.

- Jak pani wraca do domu? Czy podwiezie panią pan Dunne? - spytał od niechcienia.

- Tak, wspomniał, że po mnie przyjedzie. - Była nieco zarumieniona i zakłopotana. Wpływ wina, udanych zajęć, a może bezpośredniości pytania.

Signora pomyślała, że jeśli Luigi, niezbyt bystry uczeń, zauważył coś szczególnego w stosunkach między nią a Aidanem Dunne'em, dla wszystkich było to jasne. Nie mogła znieść myśli, że patrzą na nią jak na jego kochankę. Przecież nic poza wymianą słów i czystą serdecznością się nie wydarzyło. Ale jeśli pogłoski dotrą do jego żony i córek? Jeśli usłyszy o tym pani Sullivan?

Żyjąc przez tyle lat w ukryciu, Signora bała się wyjść ze swej roli. Ale przecież nie musiała. Aidan traktował ją jak przyjaciółkę, nic więcej. Ale może dla ludzi, jakby to wyrazić, prostszych, jak Luigi, wyglądało to zupełnie inaczej.

Patrzył na nią zagadkowo.

- Ja już zamknę, a pani niech idzie, zaraz panią dogonię. Wszyscy się dzisiaj spieszymy.

- Grazie, Luigi. Troppo gentile. Ale upewnij się, że drzwi są dobrze zamknięte. Za godzinę rozpocznie obchód dozorca. Pan O'Brien jest bardzo czuły na tym punkcie. Jak dotąd, nic złego się nie wydarzyło. I nie chciałabym tego na koniec.

A więc nie mógł zostawić otwartych drzwi i wrócić później, jak sobie zaplanował. Musiał te cholerne drzwi zamknąć. Wziął klucze. Wisiały na dużym kółku w kształcie sowy. Dziecinna zabawka, ale dzięki temu, że była duża, nikt nie mógł jej zgubić ani zapomnieć.

Bez zastanowienia zdjął klucz z kółka i powiesił swój. Następnie zamknął

szkołę, dogonił Signorę i wrzucił klucz

218

do jej torebki. Nie będzie go potrzebowała aż do następnego semestru, a nawet gdyby, wymyśli coś, żeby go zamienić. Najważniejsze, żeby pojechała do domu myśląc, że ma klucz od sali.

Nie dostrzegł dzisiaj pana Dunne'a. Nie wyłonił się z ciemności i nie wziął

Signory pod rękę, ale cóż to byłoby za wydarzenie! Musi powiedzieć o tym Suzi. Przypomniał sobie, że lepiej, jeśli dzisiaj zostanie u niej na noc.

Oddał właśnie klucz swoich rodziców.

* * *

- Zostanę dzisiaj na noc u Fiony - poinformowała Grania. Brigid spojrzała na nią znad talerza z pomidorami. Neli Dunne nie oderwała wzroku od czytanej książki.

- Dobrze - rzekła.

- A więc do zobaczenia jutro wieczorem - pożegnała się.

- Świetnie. - Matka nie przerwała czytania.

- Tak, świetnie - mruknęła Brigid.

- Przecież ty też możesz wyjść się zabawić, Brigid. Nie musisz tu siedzieć i wzdychać nad tymi pomidorami. Jest wiele miejsc, gdzie możesz się wybrać. Także możesz przenocować u Fiony.

- O tak, ma dom zdolny pomieścić nas wszystkich - ucięła Brigid.

- Och, Brigid, jutro Boże Narodzenie, rozchmurz się.

- Potrafię się rozchmurzyć nie idąc z kimś do łóżka - syknęła Brigid.

Grania spojrzała na matkę zaniepokojona, ale ta nic nie zauważyła.

- To prawda - powiedziała cicho. - Ale nie musisz atakować wszystkich dookoła, bo nie podobają ci się piersi, które jak dla mnie wyglądają zupełnie normalnie.

- Kto ci mówił o moich piersiach? - spytała podejrzliwie Brigid.

- Tłum ludzi protestował dzisiaj przeciwko nim koło banku. Och, Brigid, zamknij się już! Nic ci nie brak, skończ z tymi anoreksyjnymi histeriami!

- Anoreksyjnymi? - Brigid prychnęła. - Nagle jesteś tak słodka i radosna, bo twój ukochany się zmaterializował?

219

- Jaki ukochany? Nie masz o niczym zielonego pojęcia! Nic nie wiesz! -

wściekła się Grania.

- Sama jęczysz i zawodzisz! I ty mi mówisz o wzdychaniu nad pomidorami, ty, która ciągle sapiesz jak parowóz i podskakujesz na dziesięć metrów, gdy zadzwoni telefon. Ktokolwiek to jest, musi być żonaty. Dręczy cię wyraźnie poczucie winy.

- Zawsze wszystko ci się mieszało - odcięła się Grania. - Ale jeszcze nigdy do tego stopnia. Nie jest żonaty i mogę cię zapewnić, że nigdy nie będzie.

- Typowe gadanie kogoś, kto mdleje na samą myśl o pierścionku zaręczynowym - rzekła Brigid, bez

przekonania przewracając pomidory.

- Wychodzę. Powiedz tacie, że nie przyjdę na noc, więc niech zamknie drzwi.

Ojciec rzadko pojawiał się teraz na kolacji. Siedział w swoim pokoju i rozmyślał nad kolorami ścian i obrazami, które chciał na nich powiesić, albo w szkole, gdzie dyskutował nad kursem wieczorowym.

* * *

Aidan Dunne poszedł do szkoły sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam Signory, ale wszystko było pozamykane. Nie chodziła do pubu sama, a kafejki są o tej porze zwykle zatłoczone. Nigdy nie dzwonił do niej do domu Sullivanów i nie zamierzał robić tego teraz.

Jednak bardzo chciał się z nią zobaczyć przed świętami, aby wręczyć jej drobny prezent. Medalion z podobizną Leonarda da Vinci. Nic cennego, ale jako podarunek jak najbardziej odpowiedni. Miał nadzieję, że Signora otrzyma go na święta. Owinął go w złoty papier, na którym widniał napis Buon Natale. Później to nie będzie to samo.

A może po prostu miał ochotę na chwilę rozmowy. Kiedyś powiedziała mu, że na końcu drogi, tam gdzie mieszka, znajduje się murek, na którym często siada i spoglądając na góry, zastanawia się, jak dziwnie ułożyło się jej życie i jak vista del monte nabrał innego znaczenia. Może poszła tam dzisiaj wieczorem.

220

Aidan Dunne szedł zatłoczonymi uliczkami. W oknach paliły się świąteczne lampki, do domów dostarczano kartony z piwem. Jakże inne musiały być tutejsze święta od tych, które Signora spędziła w zeszłym roku we włoskiej wiosce.

Siedziała nieruchomo na murku. Nie zdziwiła się, gdy go zobaczyła.

Usiadł obok.

- Przyniosłem ci prezent - powiedział.

- A ja tobie - odparła. W ręku trzymała dużą paczkę.

- Otworzymy je teraz? - ucieszył się.

- Czemu nie?

Signora miała medalion, Aidan duży kolorowy włoski talerz, żółtozłoty z fioletowymi pasami, idealny do jego pokoju. Byli zachwyceni. Patrzyli na siebie jak nastolatki nie wiedząc, co dalej robić.

Zrobiło się zimno. Wstali prawie jednocześnie.

- Buon natale, Signora. - Pocałował ją w policzek.

- Buon natale, Aidan, caro mio - powiedziała.

W sklepie ze sprzętem zmechanizowanym pracowano w Wigilię dłużej niż zwykle. Dlaczego ludzie odkładali takie zakupy jak elektryczny nóż do krojenia, wideo, czajnik elektryczny na ostatnią chwilę? Lou harował cały dzień i właśnie tuż przed zamknięciem pojawił się Robin. Wszedł do magazynu z kwitkiem w rękę. Lou jakby się go spodziewał.

- Wesołych świąt, Lou.

- Buon natale, Robin.

- Co to znaczy?

- To po włosku, którego kazałeś mi się uczyć. Już nawet myślę w tym języku.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że możesz zrezygnować z nauki, kiedy zechcesz - poinformował Robin.

-Co?

- Znalazłem inny lokal, ale moi ludzie byli bardzo wdzięczni, że tak gładko wszystko przebiegało.

- A co z ostatnią dostawą? - pobladł Lou.

- A co ma być?

- Nie została odebrana.

221

- Chyba żartujesz!

- Czy mógłbym żartować w takiej sytuacji? W czwartek nikt się nie pojawił. Towar wciąż tam jest.

- Pospiesz się i daj panu jego towar - niecierpliwił się kierownik. Chciał już zamykać.

- Daj mi kwitek - syknął Lou.

- To telewizor dla ciebie i Sue.

- Nie mogę tego wziąć. Pozna się, że to kradzione.

- Nie jest kradziony, czyż za niego nie zapłaciłem? - powiedział urażony Robin.

- Tak, ale wiesz, co mam na myśli. Wezmę go i zapakuję do twojego samochodu.

- Chciałem cię zawieźć do jej mieszkania ze świąteczną niespodzianką.

Jak można się było domyślić, był to najdroższy telewizor w całym sklepie, najnowszy model. Suzi nie będzie słuchać żadnych wyjaśnień, gdy zobaczy, jak wnoszą go do jej pokoju na górze.

- Słuchaj, mamy większe problemy niż telewizor. Poczekaj chwilę, wezmę wypłatę, wtedy zobaczymy, co się da zrobić w sprawie szkoły.

- Domyślałem się, że podjąłeś pewne kroki.

- Tak, ale może nie najwłaściwsze.

Lou wszedł do środka i przyłączył się do kolegów. Dostali pieniądze, drinka i premię. Po niewyobrażalnie długim czasie, jak mu się zdawało, podszedł do miejsca, gdzie potężny mężczyzna siedział w swoim kombi. Z

tyłu stał ogromny telewizor.

- Mam klucze do szkoły, ale cholera wie, co za idiotę wynajęli do sprawdzania drzwi. O różnych porach. Sam dyrektor wygląda na jakiegoś maniaka.

Wyjął klucz, który nosił stale przy sobie od momentu, gdy zabrał go Signorze.

- Bystry z ciebie chłopak, Lou.

- O wiele bystrzejszy niż ci, którzy mi nie powiedzieli, jak się zachować w sytuacji, gdy ten przeklęty facet w kurtce się nie pojawi. - Lou był zły, dotknięty i przerażony. Siedział w samochodzie na parkingu swego miejsca pracy z kryminalistą i telewizorem, którego nie mógł przyjąć.

222

Ukradł klucz i zostawił pudło z narkotykami w szkole. Wcale nie czuł się jak spryciarz, tylko jak głupek.

- Oczywiście, zawsze zdarzają się problemy z ludźmi - wyjaśnił Robin. -

Czasami cię zawodzą. Ktoś nas zawiódł. Już więcej nie będzie pracował.

- Co się z nim stanie? - spytał ze strachem Lou. Wyobrażał już sobie nieposłusznego współpracownika, jak kończy swój żywot na dnie rzeki Liffey z uwiązanymi do ciała betonowymi blokami.

- Jak powiedziałem, więcej nie będzie dla nas pracował.

- Może miał wypadek samochodowy, może pojechał z dzieckiem do szpitala?

Sam nie wiedział, dlaczego go broni. Przecież to on spowodował ten koszmar.

Gdyby nie to, wyszedłby cało z tej niebezpiecznej sytuacji. Ludzie Robina znaleźli nowe miejsce na towar. Dziwne, ale nie chciał rezygnować z lekcji włoskiego. Podobały mu się. Może nawet wybrałby się na tę wycieczkę, którą planowała Signora następnego lata. Nie musiał już uczęszczać na zajęcia dla kamuflażu. Nikt nic nie wiedział. Był czysty.

Nikt nie mógłby go o nic oskarżyć, gdyby nie ten głupek, który się nie pojawił we czwartek wieczorem.

- Za karę nigdy więcej nie będzie u nas pracował. - Robin potrząsnął smutno głową.

Lou dostrzegł dla siebie promyk nadziei. Znalazł wyjście, żeby się wyrwać. Zawał raz sprawę. Raz zrób coś źle, a nigdy więcej cię nie wezmą. Nie było to jednak takie proste. Nie mógł teraz popełnić żadnego błędu. Mężczyzna w kurtce z kapturem już za to zapłacił, Lou miał klucz i prawdopodobnie uchronił wszystkich od nieszczęścia. Musi poczekać na inną okazję.

- Robin, czy to twój samochód?

- Oczywiście, że nie. Przecież wiesz. Pożyczyłem od przyjaciela, żebym mógł przetransportować telewizor do ciebie i Suzi. Ale proszę bardzo, co mam za to - nadąsał się jak dziecko.

- Więc policja nie będzie cię szukała w tym samochodzie - upewniał się Lou. - Mam pomysł. Nie wiem, czy się uda, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

223

-Mów.

Lou przedstawił mu swój plan.

Zbliżała się północ, gdy podjechali pod szkołę. Zaparkował tyłem tuż przy drzwiach do przybudówki i rozglądając się na boki, czy nikt go nie śledzi, wszedł do środka.

Wstrzymując oddech zajrzał do schowka w korytarzu. Stały tam te cztery pudła. Wyglądały zwyczajnie, jak pudła z butelkami wina, ale nie było na nich napisu, „Ostrożnie, szkło!”. Powoli wyniósł jedno po drugim. Potem sapiąc i dysząc wstawił do klasy wielki telewizor. Miał wbudowane wideo, cud techniki. Przyczepił do niego kartkę, którą wcześniej napisał

kolorowym ołówkiem zakupionym w nocnym sklepie: Buon natale a Lei, Signora, e a tutti.

Szkoła będzie miała telewizor. Towar został uratowany. Zawiezie go samochodem Robina w miejsce, gdzie już kto inny przekaże go w milczeniu komu innemu.

Lou pomyślał o ludziach, którzy nagle musieli stawić się na żądanie w wigilię Bożego Narodzenia. Miał nadzieję, że nigdy nie zostanie jednym z nich.

Ciekaw był, co powie Signora, gdy zobaczy telewizor. Czy ona pierwsza tu wejdzie? A może ten szalony Tony O'Brien, który zdawał się przeczesywać szkolny teren w dzień i w nocy. Nigdy się nie domyśla.

Numery zostały zdjęte. Można go było kupić w każdym sklepie.

Pudło nic im nie wyjaśni. Gdy złączą wypytować, dowiedzą się, że nie jest kradziony. Będą się starali rozwiązać zagadkę, ale nigdy nie znajdą na nią odpowiedzi. Tajemnica, jak ktoś dostał się do środka, z czasem przestanie ich intrygować. Przecież nic nie zostało ukradzione. Nikt się nie włamał.

Nawet ten popędliwy pan O'Brien będzie musiał się poddać.

A tymczasem szkoła i kurs wieczorowy będą mogli korzystać ze wspaniałego telewizora i wideo.

Przy następnej wyznaczonej mu przez Robina robocie Lou nawali. I wtedy oświadczą mu ze smutkiem, że nigdy więcej nie otrzyma u nich pracy, i wreszcie zaczną żyć normalnie.

224

* * *

Był świąteczny ranek i Lou czuł się zupełnie wykończony. Przyszedł do domu rodziców Suzi na herbatę i świąteczne ciasto. Signora siedziała w kącie i grała z Jerrym w szachy.

- Szachy? - szepnęła zdumiona Suzi. - On zna figury i zasady gry? Cuda jednak się zdarzają.

- Dzień dobry, Signora! - przywitał się Lou.

- Och, Luigi! - ucieszyła się na jego widok.

- Wie pani? Dostałem w prezencie takie samo kółko na klucze, jak pani -
powiedział.

- W kształcie sowy? - Signora zawsze z ochotą podejmowała każdą rozmowę.

- Mógłbym zobaczyć, czy są takie same? - poprosił.

Signora wyjęła kółko z torebki i Lou udając, że je porównuje, dokonał

zamiany kluczy. Był teraz bezpieczny, podobnie jak ona. Nikt nie będzie pamiętał tamtej nieistotnej rozmowy. Teraz musi rozmawiać o innych prezentach, żeby ich zmylić.

* * *

- Boże, myślałam, że Lou nigdy nie przestanie mówić - westchnęła Peggy Sullivan do Signory podczas zmywania. - Pamięta pani, jak dawniej mówiło się, że „gada jak nakręcony”, ale teraz, w dobie

kompaktów i kaset, ten zwrot nic nie znaczy.

- Pamiętam. Kiedyś próbowałam przetłumaczyć go Mariowi, ale jak to bywa z językami, tłumaczenie nie oddało sensu i nigdy nie zrozumiał, o co w tym chodzi.

Dobry moment na zwierzenia. Peggy nigdy nie ośmieliła się zadać osobistego pytania, ale w tej chwili coś ją podkusiło.

- Czy nie chciałaby pani spędzić świąt ze swoją rodziną, Signora? -

spytała.

Signora nie wyglądała na urażoną. Odpowiedziała na pytanie spokojnie i z rozwagą, tak jak na pytania Jerry'ego.

- Nie. To byłaby sztuczna sytuacja. Widziałam się z matką i siostrami wiele razy, ale żadna tego nie zaproponowała. One żyją swoim życiem, swoimi zwyczajami. Trudno by im

225

było przyjąć mnie do siebie. Żadnej ze stron nie sprawiłoby to przyjemności, chyba że udawaną. Ale cieszę się, że mogę być teraz tutaj, w tym domu z pani rodziną. - Była opanowana i odprężona. Na szyi miała nowy medalion. Nie zwierzyła się, skąd go ma i nikt się nie pytał.

Tajemnicza osoba.

- I my cieszymy się bardzo z pani obecności w naszej rodzinie - rzekła Peggy, zastanawiając się, co, u licha, ta kobieta właściwie robiła, zanim pojawiła się w ich życiu.

* * *

Zajęcia rozpoczęły się ponownie w pierwszy wtorek stycznia. Był to zimny wieczór, ale zjawili się wszyscy. Nie brakowało nikogo z trzydziestki osób, które zapisały się we wrześniu. To niebywały sukces na kursach wieczorowych.

Stawiło się całe dowództwo, dyrektor, Tony O'Brien i pan Dunne, wszyscy rozpromienieni. Stała się rzecz niezwykła. Klasa otrzymała prezent.

Signora jak dziecko klaskała z radości.

Kto to zrobił? Ktoś z grupy? Czy się ujawni, żeby można mu było podziękować? Każdy snuł domysły, w końcu wybór padł na Connie.

- Nie, bardzo bym chciała. Żałuję, że nie byłam taka miła, aby o tym pomyśleć. - Connie poczuła się zakłopotana.

Dyrektor był zachwycony, ale także zaniepokojony ze względów bezpieczeństwa. Jeśli nikt nie zgłosi

się jako ofiarodawca, trzeba będzie wymienić zamki w drzwiach. Nie było śladu włamania, więc ktoś miał do tego miejsca klucze.

- W banku spojrzeliby na to inaczej - zażartował Guglielmo. - Poradziliby nic nie ruszać, by, ktokolwiek to zrobił, następnym razem mógł przynieść sprzęt grający.

Lorenzo, czyli portier hotelowy Laddy, powiedział, że trudno sobie nawet wyobrazić, ile w Dublinie krąży kluczy, zdolnych otworzyć te same drzwi.

I nagle Signora spojrzała na Luigiego. Uciekł ze wzrokiem.

Proszę, niech nic nie mówi, modlił się w duchu. Proszę, niech zrozumie, że przyniesie to więcej szkody niż pożytku. Nie wiedział już, czy modli się do Boga czy mruczy do siebie, ale bardzo tego pragnął. Bardzo.

226

Chyba zadziało, gdyż Signora także odwróciła wzrok.

Zaczęła się lekcja. Powtórzenie. Sporo pozapominali i wiele trzeba będzie włożyć pracy, żeby obiecana wycieczka do Włoch doszła do skutku.

Zawstydzeni zaczęli sobie przypominać zdania i zwroty, które z taką łatwością opanowali przed przerwą świąteczną.

Lou próbował wymknąć się tuż po zajęciach.

- Nie pomożesz mi dzisiaj z pudłami, Luigi? - spytała wprost.

- Scusi, Signora, gdzie one są? Zapomniałem. Przenieśli je do pustego teraz schowka, miejsca, które już nigdy nie będzie zawierało nic niebezpiecznego.

- Czy ehm... czy pan Dunne przyjdzie po panią, Signora?

- Nie, Luigi, ale zmieniając temat; chodzisz z Suzi, córką państwa, u których mieszkam. - Twarz miała napiętą.

- Przecież pani wie, jesteśmy zaręczeni.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, o zaręczynach i pierścionku zaręczynowym. Un anello di fidanzamento, tak nazywamy to po włosku.

- Tak, tak, pierścionek dla narzeczonej - uradował się Lou.

- Ale niekoniecznie od razu szmaragdy, Luigi. Do tego prawdziwe. To w tym wszystkim jest takie dziwne.

- Och, Signora, proszę nie żartować. Prawdziwy szmaragd? To zwykłe szkło!
- To szmaragd. Uno smeraldo. Znam się na tym. Uwielbiam ich dotykać.
- Robią coraz lepsze imitacje, Signora. Nie sposób teraz odróżnić prawdziwy od fałszywego.
- On kosztuje tysiące, Luigi.
- Signora, niech mnie pani posłucha...
- A telewizor setki... albo i więcej.
- Co pani ma na myśli?

Nawet za czasów szkolnych żaden nauczyciel nigdy tak nie zawstydził i nie upokorzył Lou Lyncha. Jego matka i ojciec nie zdołali go sobie podporządkować, ani ksiądz czy przyjaciel. Ale nagle przeraził się, że może utracić szacunek tej dziwnej kobiety.

- Chciałem powiedzieć... - zaczął. Czekwała dziwnie napięta.

227

- Chciałem powiedzieć, że to już koniec, cokolwiek to było. Nie będzie już niczego więcej.
- Czy to są rzeczy kradzione? Ten piękny szmaragd i zachwycający telewizor?
- Nie, nie są kradzione - zapewnił. - Zostały kupione, niezupełnie przeze mnie, ale przez ludzi, dla których pracowałem.
- Już dla nich nie pracujesz?
- Przysięgam, że nie. - Strasznie chciał, żeby mu uwierzyła. Na twarzy miał wypisaną całą duszę.
- A więc koniec z pornografią.
- Z czym, Signora?
- Oczywiście, Lou, otworzyłam te pudła. Bardzo się obawiałam narkotyków w szkole, martwiłam się Jerrym, młodszym bratem Suzi...
bałam się, że to właśnie zawierają.
- I nie zawierały? - Z trudem ukrył zdumienie.
- Przecież wiesz, że nie. Sądząc po zdjęciach na okładkach, zawierały obrzydliwe rzeczy. Tyle zamieszania, żeby je przywozić i odwozić, takie to głupie i prawdopodobnie bardzo szkodliwe dla młodych, tak przecież łatwowiernych ludzi.

- Oglądała je pani?
- Nie mam wideo, żeby je oglądać, a nawet gdybym miała...
- I nic pani nie powiedziała?
- Przez całe lata żyłam w milczeniu. Przyzwyczyłam się.
- O kluczu też pani wie?
- Nie, aż do dzisiejszego wieczora. Przypomniałam sobie wtedy tamtą śmieszna rozmowę o kólkach. Do czego był ci potrzebny?
- Przez przypadek w szkole zostały na święta pudła.
- Nie mogły tam zostać, żebyś nie musiał kraść klucza?
- To nie takie proste - rzekł skruszony.
- A telewizor?
- To długa historia.
- Opowiedz mi.
- Dostałem go w prezencie za... mhm... przechowanie... mhm... pudeł z kasetami. Nie chciałem dać go Suzi, gdyż... no wie pani, nie mogłem.

Domyśliłaby się, coś zaczęłaby podejrzewać.

228

- Ale teraz już nie musi się martwić?
- Nie, Signora. - Czuł się, jakby miał cztery latka.
- In bocca al lupo, Luigi, powodzenia - powiedziała Signora i starannie zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie mocno, by sprawdzić, czy są dobrze zamknięte.

229

Rozdział Szósty.

Connie.

Kiedy Constance O'Connor skończyła piętnaście lat, jej matka przestała podawać w domu desery. Ze stołu zniknęły ciasta do herbaty, zamiast masła pojawiła się nisko tłuszczowa margaryna, a słodczyce i czekoladki zostały wykreślone z jadłospisu.

- Biodra zaczynają ci się za bardzo zaokrąglać - oświadczyła matka, gdy Constance się skarżyła. - Na nic się nie zdadzą lekcje tenisa, spotkania w eleganckich miejscach, do których chodzimy, jeśli będziesz miała za dużą pupę.

- A na co mają się zdać?

- Na przyciągnięcie uwagi odpowiedniego kandydata na męża - zaśmiała się matka. I zanim Constance zdołała zaprotestować, mówiła dalej: - Wierz mi. Wiem, co mówię. Zgadzam się, że to nieuczciwe, ale tak to wygląda.

Poza tym, dlaczego nie postępować zgodnie z regułami, skoro je znamy?

- Może za twoich czasów, mamo, w latach czterdziestych, postępowano według tych zasad, ale teraz jest inaczej.

- Wierz mi - powtórzyła matka swoją słynną frazę, której używała, by przekonywać ludzi do wszystkiego. - Nic się nie zmieniło; czy są to lata czterdzieste, czy sześćdziesiąte. Wciąż szuka się szczupłej, zadbanej żony.

Takie kobiety wyglądają elegancko. Mężczyźni, którzy nas interesują, właśnie tak uważają. Ciesz się, że dane ci było się tego dowiedzieć, w przeciwieństwie do większości twoich szkolnych koleżanek.

230

Connie zapytała ojca:

- Czy ożeniłeś się z matką, ponieważ była szczupła?

- Nie. Ożeniłem się z nią, gdyż była cudowna, urocza i czuła, i ponieważ dbała o siebie. Wiedziałem, że ktoś, kto dba o siebie, będzie dbał o mnie i o ciebie, kiedy się zjawisz, i o dom. To proste.

Connie uczęszczała do drogiej szkoły dla dziewcząt. Matka nalegała, żeby zapraszała koleżanki na kolacje czy weekendy.

- One w rewanżu zaproszą ciebie i będziesz mogła poznać ich braci i znajomych - tłumaczyła.

- Och, mamo, to idiotyczne. Czasy prezentowania panien na dworze królewskim minęły. Spotkam, kogo spotkam, i już.

- Wcale nie - odparła matka.

W wieku lat siedemnastu i osiemnastu Connie obracała się w towarzystwie dokładnie takim, jakie wyznaczyła jej matka: synów doktorów, prawników, młodych ludzi, których ojcowie wybili się w biznesie.

Niektórzy byli zabawni, niektórzy straszliwie głupi, ale Connie wiedziała, że to się zmieni, gdy pójdzie na uniwersytet i zacznie się spotykać, z kim zechce. Zaprzyjaźni się z osobami wybranymi

przez siebie, a nie z grupką ludzi, którą jej matka uznała za jedynie odpowiednią.

Przed ukończeniem dziewiętnastu lat zapisała się na Uniwersytet Dubliński. Obeszła kampus wokół kilkanaście razy i wzięła udział w kilku otwartych wykładach, by w październiku nie czuć się obco.

Ale we wrześniu stało się coś niewiarygodnego. Zmarł nagle jej ojciec, spędzający większość czasu na polu golfowym dentysta, którego sukces zawodowy był ściśle związany z firmą jego wuja, współnika. Powinien żyć wiecznie. Tak mówili wszyscy. Nie palił, nie pił, poza małymi drinkami dla towarzystwa, dużo ćwiczył. Żadnych stresów. Żadnych nerwów.

Ale oczywiście nikt nie wiedział o hazardzie. Aż do czasu, gdy przedstawiono jego długi. Musieli sprzedać dom. Nie było pieniędzy, by posłać Connie i jej rodzeństwo na uniwersytet.

231

Matka Connie milczała jak zaklęta. Zachowywała się, jak przystało na wdowę, po pogrzebie zaprosiła wszystkich na wino i sałatki.

- Richard tak właśnie by chciał - mówiła.

Plotki już krążyły, ale ona nosiła głowę wysoko. Tylko gdy zostawała z Connie sama, zrzucała maskę.

- Gdyby żył, zabiłabym go! - powtarzała w kółko. - Udusiłabym go własnymi rękami, za to, co nam zrobił!

- Biedny tata. - Connie miała miększe serce. - Bardzo musiał się męczyć, widząc, jak wyrzuca pieniądze na psy i konie. Czegoś mu było brak.

- Gdyby mógł stanąć ze mną twarzą w twarz, wiedziałby, czego mu brak.

- Ale gdyby żył, mógłby rzecz wyjaśnić, odegrać się, wytłumaczyć nam. -

Connie pragnęła zachować jak najlepsze wspomnienia o ojcu, który był

serdeczny i zrównoważony. Nie robił tyle zamieszania co matka i nie wprowadzał tylu zakazów, nie określał jej praw.

- Nie bądź głupia, Connie. Nie ma na to czasu. Jedyna nadzieja, to że wyjdiesz dobrze za mąż.

- Mamo! Oszalałaś! Nie zamierzam wychodzić za mąż! Ani teraz, ani później! Muszę skończyć studia, potem chciałam podróżować. Nie wyjdę za mąż co najmniej do trzydziestki.

Matka spojrzała na nią twardo.

- Wyjašnjmy coś sobie raz na zawsze. Nie będzie żadnego uniwersytetu.

Skąd weźmiemy pieniądze na chesne, na twoje utrzymanie?

- Co mam w takim razie robić? - spytała zrozpaczona Connie.

- To, co będziesz musiała. Przeniesiesz się do rodziny ojca. Jego wujowie i bracia ogromnie się wstydzą tego, co zrobił. Niektórzy o tym wiedzieli, niektórzy nie. Ale zadeklarowali się, że będą cię utrzymywać przez rok w Dublinie, abys ukończyła szkołę sekretarek i może jeszcze jakieś inne kursy. Później dostaniesz pracę i wyjdiesz za kogoś odpowiedniego, najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Ale mam... ja chcę studiować. Wszystko jest załatwione! Zostałam przyjęta!

232

- Teraz już nic nie jest załatwione.

- To nieuczciwe, tak być nie może!

- Powiedz to swemu nieżyjącemu ojcu. To jego zasługa, nie moja.

- A nie mogłabym pracować i studiować jednocześnie?

- Niemożliwe. Twoja rodzina nie będzie utrzymywała w swoim domu sprzątaczkę czy pomocnicę w sklepie, a tylko na takie prace możesz liczyć.

Może powinnam wtedy bardziej walczyć, pomyślała Connie. Ale już nie pamiętała, co się wtedy działo. Jak strasznie to przeżyli, jakiego doznali szoku.

I jak bardzo się bała zamieszkać z kuzynami, których nie знаła, podczas gdy matka wróciła z bliźniakami na wieś do swojej rodziny. Powiedziała, że powrót do małego miasteczka, które opuściła triumfalnie wiele lat temu, był najtrudniejszym wyzwaniem, jakie musiała podjąć w życiu.

- Będą ci współczuć, więc będą mili - pocieszała Connie.

- Nie chcę ich współczucia i uprzejmości. Chcę swojej dumy. On mi ją zabrał. Dlatego nigdy mu nie daruję, aż do ostatnich chwil życia.

* * *

Na kursie sekretarek Connie spotkała Verę, z którą chodziła do szkoły.

- Strasznie mi przykro z powodu twego ojca i utraty pieniędzy -

powiedziała natychmiast Vera, a oczy Connie zaszyły łzami.

- To było straszne. Nie dlatego, że umarł mi ojciec, ale dlatego, że przez ten cały czas był zupełnie inną osobą, kimś, kogo nikt z nas nie znał.

- Ależ znałaś go, tylko nie wiedziałaś, że lubi hazard. Nigdy by tak nie postąpił, gdyby mógł przewidzieć te wszystkie cierpienia, które na was spadły - uspokajała Vera.

Connie ucieszyła się, że spotkała kogoś tak serdecznego i wyrozumiałego.

I chociaż w szkole się nie przyjaźniły, teraz zbliżyły się do siebie.

Nawet nie wiesz, jak to dobrze znaleźć kogoś, kto cię rozumie - pisała Connie do matki. - To tak jak ciepła kąpiel. Jestem pewna, 233

że Ty poczujesz się podobnie, jeśli pozwolisz innym sobie pomóc i wytłumaczysz, jak okropnie to przeżyłaś.

List od matki był utrzymany w ostrym i zwięzłym tonie. Wolałabym, żebyś nie wylewała przed wszystkimi swoich żalów. Współczucie ani miłe słówka nic Ci nie pomogą. Godność i duma to jedyne, czego potrzebujesz, gdy osiągniesz średni wiek. Modłę się, żebyś nie została z nich odarta, tak jak ja.

Ani słowa o ojcu. Dobrym mężu i ojcu. Wyjęto zdjęcia z ram, które potem sprzedano na aukcji. Connie nie śmiała zapytać, czy zachowały się fotografie z dzieciństwa.

Connie i Vera świetnie się ze sobą zgadzały. Chodziły na zajęcia z maszynopisania i stenografii, księgowości i prowadzenia biura, typowe przedmioty na kursie. Kuzyni, u których mieszkała, byli zakłopotani jej ciężkim położeniem i zostawiali jej dużo więcej swobody niż matka.

Connie cieszyła się swoją młodością i pobytem w Dublinie. Razem z Verą chodziły na tańce, gdzie poznawały wspaniałych ludzi. Chłopcu imieniem Jacko spodobała się Connie, a Kevinowi Vera, często więc wychodzili we czwórkę. Ale ani Connie, ani Vera nie traktowały tego poważnie. Chłopcy naciskali na pójście do łóżka. Vera się zgodziła, Connie nie.

- Dlaczego to robisz, skoro nie sprawia ci przyjemności i boisz się, że zajdziesz w ciążę? - pytała skonsternowana Connie.

- Nie mówiłam, że mi się nie podoba - protestowała Vera. - Powiedziałam tylko, że nie jest tak cudownie, jak się spodziewałam. Nie rozumiem tych wzdychań i dyszenia. Poza tym nie obawiam się ciąży, gdyż zamierzam brać pigułki.

Chociaż na początku lat siedemdziesiątych antykoncepcja była w Irlandii wciąż oficjalnie zabroniona, pigułki można było przepisać w przypadku nieregularnych miesiączek. Nic dziwnego, że na tę dolegliwość zaczęła cierpieć spora część żeńskiej populacji. Connie postanowiła, że też z tego skorzysta. Nie zna się dnia ani godziny, kiedy trzeba będzie spędzić z kimś noc.

Jacko nie wiedział, że ona bierze pigułki. Miał nadzieję, że Connie wreszcie zrozumie, że są sobie przeznaczeni, tak jak Vera i Kevin. Wciąż wymyślał coś nowego, by ją zachęcić.

234

Razem pojedą do Włoch. Języka nauczą się na jakimś wieczorowym kursie albo z płyt. Był przystojny, pełen zapału i zapatrzony w nią. Ale Connie była nieugięta. Żadnych poważniejszych związków, żadnego głębszego zaangażowania. Zażywanie pigułek wynikało tylko z jej praktycznego

podejścia do życia.

Vera nie mogła dopasować sobie odpowiedniego środka i w trakcie przechodzenia z jednego rodzaju na drugi zaszła w ciążę.

Kevin był zachwycony.

- I tak mieliśmy się pobrać - powtarzał.

- Chciałam skorzystać trochę z życia - łkała Vera.

- Skorzystałaś, a teraz zaznamy prawdziwego życia, ty, ja i dziecko! -

Kevin cieszył się, że nie będą dłużej musieli mieszkać z rodzicami. Mogli mieć teraz własny dom.

Niestety, nie okazał się bardzo wygodny. Rodzina Very nie była zamożna i bardzo się zdenerwowała słysząc, że córka, ich zdaniem, zmarnowała kosztowną naukę, zanim zdążyła przepracować choć jeden dzień w życiu.

Nie byli także zachwyceni rodziną przyszłego zięcia. Choć uważali ich za ludzi wartościowych, nie o tym marzyli dla swojej córki.

Vera nie musiała tłumaczyć Connie koszmaru całej sytuacji. Matka Connie dostałaby szału. Connie wyobrażała sobie, jak krzyczy: „Jego ojciec jest malarzem pokojowym i on zamierza założyć własną firmę! Jakby można było zrobić karierę na malowaniu ścian!” Nie miało sensu tłumaczenie, że ojciec Kevina był właścicielem małej firmy budowlanej i dekoratorskiej, które w przyszłości mogą stać się świetnie prosperującym przedsiębiorstwem.

Kevin zarabiał na życie, odkąd skończył siedemnaście lat. Teraz miał

dwadzieścia jeden i był bardzo dumny, że zostanie ojcem. Pomalował

pokój dziecienny w domu aż trzema warstwami farby. Musiał być idealnie przygotowany na przyjście dziecka.

Na ślubie Very, gdzie Jacko był drużbą, a Connie druhną, Connie podjęła decyzję.

- Od jutra przestajemy się spotykać - rzekła stanowczo.

- Nie mówisz poważnie! Co ja takiego zrobiłem?

235

- Nic. Jesteś miły i cudowny, ale nie zamierzam wychodzić za mąż. Chcę dostać pracę i wyjechać za granicę.

Zdumienie odbiło się na szczerzej, otwartej twarzy Jacka.

- Będziesz mogła pracować. Co roku będę zabierał cię do Włoch na wakacje.

- Nie, drogi Jacko, nie.

- Myślałem, że dziś wieczorem ogłosimy nasze zaręczyny - powiedział
rozgoryczony.

- Ledwo się znamy.

- Znamy się tyle, co ta para młodych, i popatrz na nich -W jego głosie brzmiała zazdrość.

Connie nie wyjawiała mu, co myśli o Verze. Uważała, że przyjaciółka postąpiła nierozsądnie, składając swój los w ręce Kevina. Podejrzewała, że Vera niedługo poczuje się zmęczona takim życiem. Vera o ciemnych uśmiechniętych oczach, długiej, opadającej na oczy grzywce, wciąż wyglądająca jak uczennica, niedługo zostanie matką. Nie bała się przeciwstawić swej matce o zaciętej twarzy i zmusiła wszystkich, by dobrze się bawili na jej weselu. Spójrzcie na nią, z wystającym brzuszkiem, oczywistą oznaką dla każdego, intonującą „Hey, Jude” i przygrywającą sobie na pianinie. Wkrótce śpiewała cała sala.

Przysięgała Connie, że tego właśnie chciała.

I o dziwo, wszystko dobrze się ułożyło. Vera ukończyła kurs i zaczęła pracować w biurze ojca Kevina. W krótkim czasie uporządkowała prowadzoną dotąd dość chaotycznie rachunkowość. Sterta porozrzucanych akt znalazła się we właściwej szafce, na biurku pojawiła się książka, do której każdy musiał się wpisać. Przybycie urzędnika podatkowego nie wywoływało takiego popłochu. Vera wprowadziła ich w inny system pracy.

Dziecko było istnym aniołkiem: malutkie, ciemnookie, z mnóstwem czarnych włosów jak Vera i Kevin. W czasie chrztu Connie poczuła pierwsze ukłucie zazdrości. Ona i Jacko byli rodzicami chrzestnymi. Jacko miał teraz inną dziewczynę, wyzywającą, niską. Spódnicę miała za krótką, zupełnie nieodpowiednią na tę okazję.

- Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy - szepnęła do niego Connie przy chrzcielnicy.

236

- Wróciłbym do ciebie nawet jutro. Dzisiaj, Connie -wyznał.

- To nieuczciwe. Nie powinieneś tak mówić.

- Ona jest mi potrzebna tylko po to, żebym mógł zapomnieć o tobie -
tłumaczył.

- Może jej się uda.

- Albo następnym dwudziestu siedmiu, ale wątpię. Niechęć, jaką rodzina Very okazywała Kevinowi, zniknęła.

Jak często się zdarza, niewinne maleństwo w beciku przekazywane z rąk do rąk wszystko zmieniło... dopatrywanie się podobieństwa w oczach, nosie i uszach. Vera nie musiała już intonować „Hey Jude”, żeby ich rozweselić. Już byli szczęśliwi.

* * *

Dziewczęta nie straciły ze sobą kontaktu.

- Chcesz wiedzieć, jak bardzo Jacko za tobą tęskni? -pytała Vera.

- Nie, proszę, ani słowa.

- A co mam powiedzieć, gdy pyta, czy się z kimś spotykasz?

- Powiedz mu prawdę, że od czasu do czasu tak, ale nie w głowie mi chłopcy ani ustatkowanie się.

- Dobrze - zgodziła się Vera. - Ale czy spotkałaś kogoś, kogo polubiłaś bardziej niż Jacka?

- Można tak powiedzieć.

- A czy posunęłaś się dalej w tej znajomości?

- Nie mogę rozmawiać o takich rzeczach z zamężną kobietą i matką -

uśmiechnęła się Connie przewrotnie.

- To znaczy nie - orzekła Vera i zaczęły chichotać, jak dawniej, gdy razem chodziły na kurs.

Doskonała prezencja i opanowanie były atutami Connie w staraniach o pracę. Nigdy nie pozwalała sobie na okazywanie entuzjazmu, ale też nie zachowywała się wyniośle. Zrezygnowała z bardzo atrakcyjnej oferty, gdyż proponowana praca była tylko okresowa.

Mężczyzna, który ją przesłuchiwał, był zdziwiony, ale pod wrażeniem.

- Dlaczego napisała pani podanie, skoro nie zamierza się zatrudnić?

237

- Oferta została tak sformułowana, że nie sugerowała pracy okresowej.

- Ale jeśli raz zacznie pani pracować w banku, będzie pani miała dobry start, panno O'Connor.

Connie była zdecydowana.

- Jeśli mam pracować w banku, wolałabym być przyjęta na normalnych zasadach.

Zapamiętał ją i tego wieczoru w klubie golfowym wspomniał o niej swym dwóm przyjaciołom.

- Pamiętacie Richarda O'Connora, tego dentystę, który zbankrutował?

Dzisiaj przyszła do mnie jego córka, prawdziwa mała Grace Kelly, pewna siebie jak nikt. Chciałem dać jej pracę przez wzgląd na jej biednego ojca, ale się nie zgodziła. Niesamowicie zmyślna dziewczyna.

Jeden z mężczyzn był właścicielem hotelu.

- Nadaje się do pełnienia funkcji reprezentacyjnych?

- Dokładnie taka, jakiej potrzebujesz, może nawet za dobra dla ciebie.

Następnego dnia Connie wezwano na przesłuchanie.

- To bardzo prosta praca, panno O'Connor - wyjaśnił hotelarz.

- Ale czego mogłabym się nauczyć? Szukam pracy, która by mnie rozwijała, stanowiła dla mnie wyzwanie.

- To praca w najnowocześniejszym nowym hotelu, będzie taka, jaką ją pani stworzy.

- Dlaczego uważa pan, że jestem odpowiednią kandydatką?

- Są trzy powody: dobrze się pani prezentuje, dobrze się z panią rozmawia i... znałem pani ojca.

- W podaniu nie wspominałam nic o moim zmarłym ojcu.

- Nie, ale wiem, kim był. Nie bądź niemądra, dziewczyno, weź tę pracę.

Twój ojciec na pewno by chciał, żeby ktoś się tobą zaopiekował.

- Niewiele zrobił, żeby dać temu dowód.

- Niech pani tak nie mówi. On bardzo panią kochał.

- Skąd pan wie?

- Podczas spotkań w klubie golfowym ciągle pokazywał zdjęcia waszej trójki. Najzdolniejsze dzieci na świecie, jak powtarzał.

238

Poczuła szczypanie w oczach.

- Nie chcę pracy z litości, panie Hayes.

- Pragnąłbym, żeby moja córka czuła podobnie, ale jednocześnie nie chciałbym, żeby zbyt obnosiła się ze swoją dumą. Po pierwsze, to grzech, a poza tym duma nie jest najlepszym towarzyszem w zimowe wieczory.

Tą myślą dzielił się z nią najbogatszy człowiek w Dublinie.

- Dziękuję, panie Hayes, i jestem wdzięczna. Mogę to przemyśleć?

- Bardzo bym chciał, żeby pani zdecydowała się teraz. Mamy mnóstwo innych chętnych młodych kobiet. Proszę przyjąć tę pracę i niech przyniesie pani sukces.

Tego wieczora Connie zadzwoniła do matki.

- Od poniedziałku będę pracowała u Hayesa. Będę go reprezentować przy otwarciu nowego hotelu. Wybrano mnie spośród setek innych kandydatek.

Tak powiedzieli specjaliści od kreowania wizerunku firmy. Możesz sobie wyobrazić, że w gazecie wieczornej będzie moje zdjęcie? -zawołała podekscytowana.

Na matce nie wywarło to większego wrażenia.

- Będiesz grała słodką idiotkę robiącą głupie miny do fotografów.

Connie zeszywniała. Przecież zastosowała się ściśle do poleceń matki, skończyła kurs sekretarek, mieszkała u kuzynostwa, znalazła pracę. Nie pozwoli, by ją obrażano i traktowano protekcjonalnie.

- Jeśli pamiętasz, mamó, to ja chciałam iść na studia i zostać prawnikiem.

Nie udało się, więc robię, co mogę. Przykro mi, że tak źle się o tym wyrażasz. Myślałam, że będziesz zadowolona.

- Przepraszam - zreflektowała się natychmiast matka. -Naprawdę mi przykro. Wciąż zapominam, że mam ostry język... Mówią tu, że przypominam słynną ciocię Katie, a pamiętasz, jaką była legendą w rodzinie.

- W porządku, mamó.

- Nie, strasznie mi wstyd. Jestem z ciebie bardzo dumna. Mówię tak, gdyż nie mogę znieść myśli, że musisz być wdzięczna takim ludziom jak Hayes, z którym ojciec grywał

239

w golfa. Pewnie wiedział, że jesteś córką biednego Richarda, i dał ci pracę z litości.

- Nie sędzę, żeby coś o tym wiedział - skłamała bez zajknięcia Connie.

- Może masz rację. Niby skąd? To już prawie dwa lata -powiedziała smutno matka.

- Zadzwoń jeszcze, by powiedzieć, co u mnie słychać.

- Tak, kochanie, i nie przejmuj się mną. Moja duma to wszystko, co mi zostało. Nie zamierzam tu nikogo przeproszać. Nie ugnę karku przed nikim.

- Cieszę się, że jesteś ze mnie zadowolona. Przekaż pozdrowienia bliźniakom.

Connie pomyślała, że odtąd stanie się dla nich zupełnie obca. Teraz, gdy dwaj czternastoletni chłopcy poszli do szkoły braci zakonnych w małym miasteczku, a nie do prywatnego college'u jezuitów, jak planowano.

Ojciec odszedł, od matki nie mogła oczekiwać pomocy. Mogła liczyć tylko na siebie. Zrobi, jak powiedział pan Hayes. Osiągnie sukces. Będzie najlepszą recepcjonistką, jaką kiedykolwiek mieli.

* * *

Dokonali świetnego wyboru. Pan Hayes wciąż sobie gratulował. Connie była tak podobna do Grace Kelly, że zastanawiał się, kiedy spotka swojego księcia.

Stało się to po dwóch latach. Miała oczywiście mnóstwo ofert różnego rodzaju. Biznesmeni regularnie przybywający do hotelu marzyli o umówieniu się z elegancką panną O'Connor z recepcji w ekskluzywnej restauracji albo klubie nocnym. Ale ona była bardzo nieprzystępna.

Uśmiechała się i odpowiadała uprzejmie, że nie łączy interesów z przyjemnością.

- To nie musi tak wyglądać - zawołał kiedyś zdesperowany Teddy O'Hara.

- Przenieś się do innego hotelu, jeśli zdecyduje się pani ze mną umówić.

- Nie najlepiej odwdzięczałabym się za otrzymanie tutaj świetnej pracy -

uśmiechnęła się Connie - gdybym wysyłała wszystkich klientów do konkurencyjnego hotelu.

240

O wszystkim opowiadała Verze. Dzwoniła co tydzień i umawiała się na wizytę u Kevina, Very i Deirdre oraz oczekiwanego kolejnego dziecka.

- Teddy O'Hara chciał się z tobą umówić? - Vera otworzyła szeroko oczy. -

Och, proszę, Connie, wyjdź za niego, wtedy dostaniemy kontrakt na zrobienie wystroju jego sklepów. Urządźmy się finansowo do końca życia. Dla naszego dobra wyjdź za niego.

Connie zaśmiała się, ale zdała sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie pomogła przyjacielom w interesach. Następnego dnia wspomniała panu Hayesowi, że zna świetną małą firmę dekoratorską, którą można by wciągnąć na listę hotelowych firm usługowych. Pan Hayes oświadczył, że tymi sprawami zajmuje się kierownik, ale sam potrzebuje kogoś, kto odnowi jego dom w Foxrock.

Kevin i Vera nieustannie podziwiali wielkość i elegancję domu państwa Hayes, ich serdeczność i małą córeczkę Mariannę. Kevin z ojcem urządzili dziecinny pokój ze wszystkimi wygodami, o jakich można marzyć.

Dziewczynka miała nawet swoją własną różową wanienkę. Takie małe dziecko!

Nie wyczuwało się w ich głosie zazdrości. Byli wdzięczni Connie za protekcję. Pan Hayes, zadowolony z wykonanej pracy, polecił ich małą firmę swoim znajomym. Wkrótce Kevin kupił lepszy samochód. Mówiono nawet o zmianie mieszkania na większe, gdy urodzi się dziecko.

Nadal przyjaźnili się z Jackiem, który pracował teraz w firmie elektronicznej. Może i dla niego znalazłaby zamówienie, zastanawiała się Connie. Vera obiecała, że zbada grunt. Jacko zareagował ostro: „Powiedz tej nadętej żmii, żeby się wypchała, obejdę się bez jej łaski”. Vera, starająca się zawsze łagodzić konflikty, przekazała jedynie, że Jacko nie wyraził chęci skorzystania z pomocy.

W tym samym czasie, gdy Verze i Kevinowi urodził się syn Charlie, Connie poznała Harry'ego Kane'a. Był niezwykle przystojnym mężczyzną: wysoki, o gęstych, ciemnych włosach, które w lokach opadały mu na ramiona, zupełnie niepodobny do biznesmenów, których znała. Miał

ujmujący uśmiech i sposób bycia, który zjednywał mu ludzi. Portierzy spieszyli,

241

by przytrzymać mu drzwi, dziewczęta w sklepach porzucały innych klientów, by podać mu gazetę, i nawet Connie, którą uważano za osobę nad wyraz chłodną, uśmiechała się do niego szeroko.

Podziwiał sposób, w jaki traktowała trudnych klientów.

- Świetna taktyka, panno O'Connor.

- Zawsze miło pana widzieć, panie Kane. Wszystko już przygotowane w pańskiej sali konferencyjnej.

Harry Kane wraz z dwoma starszymi wspólnikami prowadził nową i doskonale prosperującą firmę ubezpieczeniową. Stanowili dużą konkurencję dla istniejących już firm. Niektórzy patrzyli na nich podejrzliwie. Zbyt szybko się rozwinęli, muszą coś kombinować. Ale nic na to nie wskazywało. Wspólnicy pracowali w Galway i Cork, spotykali się z klientami w każdą środę w hotelu Hayes. Spotkania, w których uczestniczyła także sekretarka, trwały od dziewiątej do dwunastej trzydzieści w pokoju konferencyjnym. Później wszystkich zapraszano na lunch.

Czasami byli to ministrowie, przedstawiciele przemysłu czy wielkich związków zawodowych. Connie ciekawiło, dlaczego nie odbywają spotkań w biurze w Dublinie. Harry Kane miał duże eleganckie biuro z kilkunastoma pracownikami. Może potrzebował trochę prywatności i spokoju. Wydano ściśle instrukcje, żeby w środy nie łączyć żadnych rozmów telefonicznych z pokojem konferencyjnym.

Sekretarkę niewątpliwie wtajemniczano w najtajniejsze sekrety firmy, musiała znać wszystkie jej ciemne sprawy. Connie z zainteresowaniem patrzyła na nią, jak każdego tygodnia wchodzi i

wychodzi z pokoju. Niosła walizkę z dokumentami i nigdy nie dołączała do szefów na lunch, choć była z pewnością zaufaną pracownicą.

Connie marzyła o takiej pracy. Dla kogoś takiego jak Harry Kane.

Rozmawiała z sekretarką wykorzystując cały swój czar i spryt.

- Wszystko było dobrze zorganizowane, panno Casey?

- Oczywiście, w przeciwnym razie pan Hayes nie omieszkałby o tym wspomnieć.

- Zainstalowaliśmy nowy system audiowizualny, może w czymś się państwu przyda?

242

- Dziękujemy, ale nie.

Panna Casey zawsze się śpieszyła do wyjścia, jak gdyby walizka zawierała pełno brudnych pieniędzy. Może tak było. Connie dyskutowała o tym z Verą godzinami.

- Na pewno jest fetyszystką - sugerowała Vera podrzucając małego Charliego na kolanach i zapewniając Deirdre, że jest dużo piękniejsza i bardziej kochana niż Charlie.

- Kim? - zdziwiła się Connie.

- I sadomasochistką, biczuje ich co środa do nieprzytomności. To jedyne wytłumaczenie. Biczowanie!

- Och, Vera, szkoda, że jej nie widziałas.

Connie zaśmiewała się do łez wyobrażając sobie pannę Casey w tej roli. I co dziwne, poczuła ukłucie zazdrości na myśl, że zrównoważoną, piękną pannę Casey mogłyby łączyć intymne związki z Harrym Kane'em. Nigdy przedtem tak się nie czuła.

- On ci się podoba - orzekła Vera.

- Tylko dlatego, że mnie nie zauważa.

- Jak sądzisz, dlaczego go lubisz?

- Przypomina mi ojca - odparła nagle Connie, zanim zdała sobie sprawę, że tak właśnie jest.

- Tym bardziej musisz na niego uważać - przestrzegła Vera. Była jedyną osobą, która mogła mówić z Connie o zmarłym Richardzie, nie narażając się na miażdżące spojrzenie.

Nie zadając pytań wprost, udało się Connie więcej dowiedzieć o Harrym Kanie. Miał prawie trzydzieści lat, był nieżonaty, rodzice pochodzili ze wsi, byli farmerami. Jako pierwszy z rodziny

wszedł do świata biznesu.

Mieszkał w kawalerce z oknami wychodzącymi na morze, chodził na premiery i wernisaże, ale nigdy samotnie.

Jego nazwisko pojawiała się w gazetach zawsze w towarzystwie innych osób, często dzielił łożę ze sławami. Kiedy się ożenił, to tylko z kimś z ważnej rodziny, takiej, jak Hayesowie. Dzięki Bogu, że jego córka jest jeszcze mała, gdyż stanowiła doskonałą partię.

* * *

- Mamo, może przyjechałabyś pociągiem do Dublina w którąś środę i zabrała kilka swoich przyjaciółek na

243

lunch do hotelu Hayes? Zapewniam cię, że przyjmą cię z honorami.

- Nie mam przyjaciółek w Dublinie.

- Właśnie że masz. - Connie wymieniła kilka.

- Nie potrzebuję ich współczucia.

- Co wspólnego ze współczuciem ma zaproszenie ich na lunch? Och, mamo, spróbuj. Możesz kupić tańszy bilet jednodniowy.

Matka się w końcu zgodziła.

Posadzono je w pobliżu pana Kane'a i jego gości, właściciela gazety i dwóch ministrów. Panie były zachwycone i nie mogły się nadziwić, że otacza się je względami większymi niż ważne osobistości obok.

Jak Connie przewidziała, lunch okazał się wielkim sukcesem i jedna z pań zaprosiła wszystkie na następny lunch. Za miesiąc, także w środę. I tak się zaczęło. Matka odzyskała pewność siebie i wróciła jej radość. Nikt nie wspominał jej zmarłego męża poza krótkim westchnieniem „biedny Richard”, jak mówi się do wdowy o jej zmarłym mężu.

Connie zwykle przechodziła obok stolika i proponowała kieliszek porto, przekazując wyrazy szacunku. Na oczach wszystkich podpisywała rachunek. Posyłała także uśmiechy w stronę stolika Kane'a.

Za którymś razem zwróciła wreszcie jego uwagę.

- Jest pani bardzo miła dla tamtych starszych pań, panno O'Connor -
zauważył.

- To moja matka z przyjaciółkami. Dobrze się bawią i cieszą się, że je widzę. Mieszka na wsi, rozumie pan.

- A pani gdzie mieszka? - spytał zaciekawiony.

Mogła oczywiście odpowiedzieć „mam własne mieszkanie” lub

„mieszkam sama”, ale była już przygotowana.

- Mieszkam w Dublinie oczywiście, panie Kane, ale mam nadzieję, że w przyszłości uda mi się podróżować. Chciałabym zwiedzić inne miasta.

W ten sposób nic nie ujawniała. Dostrzegła zainteresowanie w jego oczach.

- I powinna pani. Była pani w Paryżu?

- Niestety, nie.

244

- Jadę tam w przyszłym tygodniu; pojechałaby pani ze mną?

Zaśmiała się, jakby śmiała się z nim, a nie z niego.

- Czyż nie byłoby cudownie? Niestety, to niemożliwe, ale życzę miłej podróży.

- Może poszłaby pani ze mną na obiad po powrocie, żebym mógł pani wszystko opowiedzieć?

- Z przyjemnością.

I tak zaczął się romans Connie O'Connor i Harry'ego Kane'a. Przez cały czas wiedziała, że Siobhan Casey, jego zaufana sekretarka, jej nienawidzi.

Starali się utrzymywać związek w tajemnicy, ale nie udało się. Jeśli zapraszano go do opery, zabierał ją z sobą, zamiast, jak dotąd, grona znajomych. Nie trzeba było wiele czasu, by gazety połączyły ich nazwiska. Jeden z dziennikarzy określił ją jako jasnowłosą przyjaciółkę.

- Nie podoba mi się to - zachnęła się. - Zrobili ze mnie bezwartościową błyskotkę.

- Bo nazwali cię moją przyjaciółką? - uniósł w zdziwieniu brwi.

- Wiesz, o co mi chodzi. To określenie wiele sugeruje.

- Przykro mi, że nie mają racji. - Już od dłuższego czasu namawiał ją, by poszła z nim do łóżka, ale odmawiała.

- Myślę, że powinniśmy przestać się spotykać, Harry.

- Nie mówisz poważnie.

- Tak będzie najlepiej. Posłuchaj, nie chcę traktować tego jako przygody, a potem zostać odrzuconą. Naprawdę, bardzo cię lubię, nawet więcej, myślę o tobie cały czas.

- A ja o tobie. - W jego głosie brzmiała szczerłość.

- Lepiej więc będzie, jeśli przerwiemy to teraz.

- Jest taki zwrot...

- W porę się wycofać - uśmiechnęła się do niego.

- Ale ja nie chcę się wycofać.

- Ja też, ale później będzie trudniej.

- Wyjdiesz za mnie?

- Nie to miałam na myśli. Nie przystawiam ci lufy do skroni. To nie ultimatum, to dla twojego dobra.

- Ale ja przystawiam ci lufę do skroni. Wyjdź za mnie.

245

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

* * *

Ślub miał się odbyć w hotelu Hayes. Wszyscy na to nalegali. Pan Kane był

jakby częścią rodziny, a panna O'Connor bijącym sercem hotelu od początku jego istnienia.

Matka Connie nie musiała płacić za nic z wyjątkiem stroju. Mogła zaprosić przyjaciółki, panie, z którymi odnowiła kontakty. Zaprosiła nawet kilkoro starych wrogów. Bliźniacy wzięli udział w najwytworniejszym ślubie, jakiego od lat nie widziano w Dublinie, jej córka była piękną, pan młody najlepszą partią w Irlandii. Tego dnia matka Connie prawie zapomniała o zmarłym Richardzie. Gdyby się pojawił, może nie zadusiłaby go własnymi rękami. Pogodziła się z losem.

Noc poprzedzającą ślub spędziła w pokoju hotelowym razem z Connie.

- Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa - powiedziała.

- Dziękuję, mam. Wiem, że zawsze pragnęłaś mojego dobra. - Connie była spokojna. Fryzjer i kosmetyczka zostały zamówione na rano następnego dnia dla niej, matki i Very, która była świadkiem. Verę oszołomił splendor całego wydarzenia.

- Jesteś szczęśliwa? - upewniała się matka.

- Och, mamó, na litość boską! - Connie z trudem powstrzymała gniew.

Czy nie może być miejsca, zdarzenia, uroczystości, której matka by nie zepsuła? Spojrzała w jej zatroskaną twarz. - Jestem bardzo szczęśliwa.

Tylko boję się, że mu nie dorównam, nie będę wystarczająco dobra. On jest taki sławny.

- Jak dotąd mu dorównywałeś - zauważyła sprytnie matka.

- Ale to była taktyka. Nie spałam z nim jak wiele innych, o których słyszałam. Nie poddałam mu się łatwo. To może się zmienić po ślubie.

Matka zapaliła kolejnego papierosa.

- Pamiętaj tylko o jednej rzeczy. Powiem ci to dzisiaj i nigdy więcej o tym nie wspomnę, ale słuchaj uważnie. Postaraj się

dostać od niego jakąś sumę, którą mogłabyś zainwestować w cokolwiek.

Wtedy bez względu na późniejsze wydarzenia zniesiesz wszystko.

- Och, mamó. - Jej oczy złagodniały, pełne współczucia dla matki, która została zdradzona. Matki, która musiała zacząć życie od nowa, gdyż mąż roztrwonił jej przyszłość. -Pieniądze będą miały takie znaczenie?

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak wielkie, i modlę się dzisiaj, żebyś nigdy nie musiała tego doświadczyć.

- Zastanowię się nad tym - obiecała Connie. Był to bardzo użyteczny zwrot, którego często używała w pracy, gdy nie miała zamiaru myśleć o tym, co ktoś powiedział.

* * *

Ślub zachwycił wszystkich. Wspólnicy Harry'ego i ich żony oświadczyły, że był to najpiękniejszy ślub, jaki kiedykolwiek widzieli. Connie została zaakceptowana. W zastępstwie nieżyjącego ojca panny młodej pan Hayes zabrał głos i wspomniał o tym, jak bardzo Richard byłby zadowolony i dumny, gdyby był tutaj i mógł zobaczyć swoją piękną córkę tak szczęśliwą i promienną. Dobrze się stało dla Hayes Hotel Group, że Connie Kane, jak teraz będzie się nazywała, zgodziła się kontynuować pracę tak długo, jak to będzie możliwe.

Na sali rozległ się szmer radosnego podniecenia na myśl o żonie tak bogatego mężczyzny, która będzie pracowała jako recepcjonistka, dopóki nie zajdzie w ciążę. Co stanie się oczywiście w najkrótszym możliwym czasie.

Miesiąc miodowy spędzili na Bahamach - dwa tygodnie, które miały być najpiękniejszymi dniami w

życiu Connie. Lubiła rozmawiać z Harrym i śmiać się z nim. Chodzić z nim po plaży, robić zamki z piasku w porannym słońcu nad brzegiem morza i spacerować trzymając się za ręce przed pójściem na obiad czy na tańce.

Kochanie się z nim nie sprawiało jej przyjemności. Żadnej. To była ostatnia rzecz, której mogła się spodziewać. Był szorstki i niecierpliwy. I wściekły, że Connie nie reaguje na jego pieszczoty. Nawet gdy rozumiała, czego od niej oczekuje, i starała się udawać podniecenie, którego nie czuła.

247

- Daj spokój, Connie! Daruj sobie te żalosne jęki i westchnienia. Nawet kocur poczułby się zakłopotany.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak dotknięta i samotna. Chociaż trzeba przyznać, że próbował wszystkiego. Starał się być delikatny, uwodzicielski i czuły. Czasami tylko ją przytulał i pieścił. Ale gdy dochodziło do zbliżenia, sztywniała i opierała się, bez względu na to, jak bardzo sobie wmawiała, że przecież oboje tego pragną. Czasami leżała z otwartymi oczami wpatrzona w ciepłą, ciemną noc, słuchając nieznanego śpiewu cykad i odgłosów wyspy w oddali. Zastanawiała się, czy wszystkie kobiety tak się czują. Może to gigantyczny spisek, który trwa od wieków - kobiety udają podniecenie i rozkosz, a pragną jedynie dzieci i poczucia bezpieczeństwa? Czy o tym właśnie mówiła jej matka? O żądaniu tego bezpieczeństwa? W latach siedemdziesiątych kobiety nie miały łatwego życia. Mężczyźni mogli opuścić dom, i nikt nie mówił o nich złego słowa, mogli przepuścić wszystkie pieniądze w grach hazardowych i wciąż wyrażano się o nich pochlebnie.

Podczas tych długich, ciepłych i bezsennych nocy, kiedy bała się poruszyć, by go nie obudzić i nie sprowokować do kolejnych pieszczot, Connie przypominała sobie słowa Very: „Dalej, Connie, prześpij się z nim, na miłość boską! Zobacz, czy ci się spodoba. Jeśli nie, pomyśl, jak będziesz z tym żyła przez następne lata”.

Powiedziała nie. Respektował jej życzenie pozostania dziewicą aż do ślubu. W ostatnich miesiącach kilka razy wzbudził w niej pożądanie.

Dlaczego nie poddała się temu, zamiast czekać. Na katastrofę.

Rozczarowanie, które zaważy na całym ich życiu.

Po ośmiu dniach i nocach, które powinny być najpiękniejszym okresem dla dwojga młodych, zdrowych ludzi, a które stały się koszmarem pełnym frustracji i nieporozumień, Connie postanowiła wrócić do roli opanowanej, chłodnej kobiety, która tak mu się podobała. Ubrana w swoją najlepszą białocytrynową sukienkę usiadła na balkonie z koszykiem owoców i porcelanowym dzbankiem do kawy i zawołała:

- Harry, wstawaj i weź prysznic, musimy porozmawiać.

248

- To wszystko, czego pragniesz - mruknął do poduszki.

- Pośpiesz się, Harry. Kawa nie będzie wiecznie gorąca.

Wbrew jej oczekiwaniom usłuchał i przyszedł uroczo potargany, w białym szlafroku. To grzech, pomyślała, że nie może zadowolić tego mężczyzny, a on nie może zadowolić jej. Ale był to problem, który należało rozwiązać.

Przy drugiej filiżance kawy powiedziała:

- Gdy pojawiają się problemy w pracy, organizuje się spotkanie i dyskusję, prawda?

- O co ci chodzi? - Najwyraźniej nie zamierzał podjąć rozmowy.

- Opowiadałeś mi kiedyś o żonie twojego wspólnika, która za dużo piła i zaczynała rozpowiadać o firmie. Upewniałeś się, czy nie wie nic ważnego.

Opracowałeś strategię działania... Dyskutowaliście z nią o interesach, ale o rzeczach, które nie miały większego znaczenia. Była szczęśliwa i jest taka do dzisiejszego dnia. Wszystko dzięki taktyce. Usiedliście razem i doszliście do wniosku, że skoro nie wolno jej zranić ani z nią rozmawiać o firmie, trzeba znaleźć inne rozwiązanie. I udało się wam.

- I co? - Nie rozumiał, do czego zmierza.

- U mnie w pracy pojawił się problem bratanka pana Hayesesa. Chłopak był

głupi jak but. Przyuczano go do objęcia ważnej pozycji. Ale nie nauczysz krowy latać. Jak powiedziec o tym panu Hayesowi? Trzy osoby, które przejęły się sprawą, postanowiły ją przedyskutować. Dowiedzieliśmy się, że chłopak chciał być muzykiem, a nie dyrektorem hotelu, więc zatrudniliśmy go w jednym z salonów do gry na pianinie. Zapraszał

swoich znanych przyjaciół i konflikt został zażegnany.

- O co ci chodzi, Connie?

- Ty i ja mamy problem. Nie wiem, dlaczego. Jesteś cudownym, doświadczonym kochankiem. Kocham cię. To musi być moja wina.

Powinnam się zobaczyć z lekarzem, psychiatrą czy kimś takim. Ale chcę to jakoś rozwiązać. Czy możemy o tym porozmawiać bez kłótni, obrażania się i denerwowania? - Wyglądała tak uroczo, z przejęciem wyjaśniając rzeczy, o których mówiło się niechętnie i z niesmakiem. Milczał.

249

- Powiedz coś, Harry. Powiedz, że nie poddamy się po ośmiu dniach i nocach. Szczęście stoi przed nami otworem. Wszystko będzie dobrze!

Cisza. Żadnych oskarżeń, tylko konsternacja.

- Powiedz coś! - błagała. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Chciałem mieć dziecko z miesiąca miodowego, Connie. Mam trzydzieści lat, pragnę syna, który przejmie interesy, gdy będę miał pięćdziesiąt.

Pragnę rodziny która przez następne lata, wesprze mnie w kłopotach. Ale przecież wiesz o tym. Rozmawialiśmy o naszych planach, marzeniach tyle razy, noc po nocy, zanim zrozumiałem... - przerwał.

- Mów dalej - poprosiła cichym głosem.

- Zanim zrozumiałem, że jesteś... oziębła. - Zamilkł. - Sama chciałaś. Nie widzę sensu o tym rozmawiać. - Był wyraźnie zmartwiony.

- Tak, prosiłam cię. I uważasz, że taka jestem? - mówiła dalej spokojnie.

- Przecież powiedziałaś, że będziesz potrzebowała lekarza czy psychiatry.

Może coś się stało w przeszłości. Jezu, nie wiem! Strasznie mi przykro, jesteś taka piękna. To okropne, że kochanie się nie sprawia ci przyjemności.

Postanowiła, że nie będzie płakać, krzyczeć, uciekać, jak chciała w pierwszej chwili uczynić. Spokój zawsze ją ratował. Musi jakoś to przetrwać.

- Więc chcemy tego samego. Ja też pragnę dziecka. Chodźmy, to nie takie trudne. Mnóstwo ludzi to robi. Spróbujmy - powiedziała posyłając mu najbardziej nieszczerzy uśmiech, na jaki się kiedykolwiek zdobyła, i przeszła do sypialni.

* * *

Gdy wrócili do Dublina, zapewniała go, że wszystko wyjaśni. Uśmiechem dodając sobie odwagi postanowiła poradzić się specjalistów. Najpierw umówiła się na wizytę u znanego ginekologa. Był bardzo uprzejmy i miły.

Pokazał jej przekrój narządów kobiecych tłumacząc, co może być przyczyną bólu. Connie przyglądała się temu z zainteresowaniem.

Wyglądało to jak schemat nowego systemu klimatyzacji w hotelu. Kiwała potakująco głową, pokrzepiona

250

miłym obejściem lekarza i dyskretną aluzją, że prawie wszyscy na świecie mają takie kłopoty.

Problemy zaczęły się przy badaniu. Była tak spięta, że nie mógł jej zbadać.

Stał zrozpaczony w gumowych rękawiczkach z uprzejmym, ale i nieobecny wyrazem twarzy. Nie

czuła, że stanowi dla niej zagrożenie.

Stwierdzenie, że wszystkiemu winna jest jakaś błona, byłoby ulgą, ale spała się każdy miesiąc jej ciała.

- Myślę, że powinniśmy wykonać badanie w znieczuleniu - zasugerował

lekarz. - To nam ułatwi sprawę, może wykonamy jeszcze drobny zabieg i będzie pani zdrowa jak ryba.

Umówiła się na następny tydzień. Harry podtrzymywał ją na duchu.

Razem poszli do kliniki.

- Tyle dla mnie znaczysz, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty - rzekł

Harry.

- O tak, założę się, że nie - zaśmiała się. - Miałaś raczej problemy z odpieraniem ataków innych kobiet. Nie to co ze mną.

- Connie, wszystko będzie dobrze. - Był tak czuły, piękny i troskliwy. Jeśli nie może ofiarować miłości temu człowiekowi, nie ma dla niej nadziei.

Ciekawe, co by się stało, gdyby uległa wtedy namowom Jacka i się z nim przespała. Pomogłoby to coś czy nie? Nigdy się nie dowie.

Badanie wykazało, że pod względem fizycznym pani Constance Kane nic nie dolega. Connie wiedziała, że jeśli doszło się uliczką do ślepego zaułka, należy się wycofać i pójść inną. Umówiła się więc na wizytę u psychiatry.

Bardzo miłej kobiety o szczerym uśmiechu i zdecydowanym podejściu.

Rozmawiało się z nią swobodnie, zadawała krótkie pytania, które jednak nigdy nie były zbyt agresywne, i oczekiwała długich odpowiedzi. Zwykle to raczej Connie była słuchaczem, ale stopniowo się rozluźniła i zaczęła uczestniczyć w rozmowie.

Zapewniła starszą panią, że nie miała przykrych doświadczeń seksualnych, po prostu z ich braku. Nie czuła się z tego powodu pokrzywdzona, zaintrygowana czy sfrustrowana. Nie odczuwała pociągu fizycznego do kobiet i z żadną

251

nie związała się emocjonalnie na tyle silnie, żeby mogło to wpłynąć na jej małżeństwo. Opowiedziała o przyjaźni z Verą, dalekiej od pożądania czy uzależnienia emocjonalnego, pełnej natomiast śmiechu i zwierzeń. I o początkach znajomości. Vera była jedyną osobą, która potraktowała sprawę z jej ojcem jako coś zupełnie normalnego, coś, co może się przytrafić każdemu.

Lekarka była bardzo wyrozumiała i pełna współczucia dla Connie rozczarowanej po śmierci ojca.

- Wydaje mi się, że zbyt roztrząsa pani sprawę mojego ojca - zauważyła kiedyś Connie.

- Możliwe. Proszę sobie przypomnieć powroty ze szkoły do domu. Czy ojciec odrabiał z panią lekcje?

- Wiem, co pani sugeruje, że może w jakiś sposób mnie napastował, ale absolutnie nie.

- Nie, wcale nie to miałam na myśli. Dlaczego tak pani sądzi?

I tak w kółko. Czasami Connie zaczynała płakać.

- Czuję się, jakbym go zdradzała mówiąc tak o nim.

- Przecież o nic go pani nie oskarża, tylko stwierdza, że był bardzo kochającym i dobrym ojcem, i że pokazywał pani zdjęcia kolegom w klubie golfowym.

- Ale mam wrażenie, że coś mu zarzucamy, winimy go za to, że nie mogę się przespać z mężczyzną.

- Wcale nie.

- Czuję, jak to nade mną wisi.

- A w czym tkwi przyczyna, jak pani sądzi?

- Nie wiem, przypuszczam, że czułam się bardzo zawiedziona, gdy musiałam na nowo ułożyć sobie życie. Nie kochał nas wystarczająco mocno, skoro bardziej zależało mu na koniach i psach.

- W ten sposób pani to teraz odbiera?

- Nigdy mnie nie tknął, zapewniam panią. Nic nie ukrywam, nie staram się zapomnieć.

- Ale zawiódł panią, rozczarował.

- I to ma być przyczyna moich problemów? Ponieważ ojciec nie spełnił się jako głowa rodziny, boję się wszystkich mężczyzn? - zaśmiała się Connie.

252

- Czy wydaje się to pani tak mało prawdopodobne?

- Cały czas mam do czynienia z mężczyznami, pracuję z nimi. Nigdy nie czułam się przez nich zagrożona.

- Ale również nie pozwoliła pani żadnemu z nich się do siebie zbliżyć.

- Zastanowię się nad tym, co pani powiedziała - rzekła Connie.

- Niech się pani zastanowi nad tym, co pani powiedziała - odparła lekarka.

* * *

- Dowiedziałaś się czegoś? - spytał Harry z nadzieją.

- Same bzdury. Twierdzi, że mam uraz do wszystkich mężczyzn, ponieważ mój ojciec był nieodpowiedzialny. - Connie zaśmiała się pogardliwie.

- To niewykluczone - przyznał ku jej zdziwieniu.

- Ależ Harry, jak to możliwe? Jesteśmy tacy otwarci wobec siebie. Poza tym nigdy byś mnie nie zawiódł.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział z taką powagą, że przeszedł ją dreszcz.

Minął tydzień. Nie było żadnej poprawy, ale Connie nie przestawała go błagać.

- Proszę nie rezygnuj ze mnie, proszę, Harry! Kocham cię i tak bardzo pragnę naszego dziecka, tak bardzo! Może po porodzie coś się zmieni.

- Cicho, cicho - uspokajał, gładząc bruzdy niepokoju na jej twarzy.

Kochali się na tyle często, że powinna już zająć w ciążę. Przecież tyle kobiet wokół bez powodzenia podejmowało wszelkie możliwe kroki, by jej uniknąć. W czasie bezsennych nocy Connie zastanawiała się, czy los jest na tyle okrutny, że zesłał na nią jeszcze bezpłodność. Ale nie. Okres się opóźnił. Bała się o tym nawet myśleć, dopóki nie uzyskała całkowitej pewności. Wtedy oznajmiła nowinę mężowi.

Harry się rozpromienił.

- Nie mogłaś mnie uczynić szczęśliwszym człowiekiem! - zawołał. - Nigdy cię nie zawiodę.

- Wiem - odrzekła. Ale czuła, że pewnej części życia nie będzie z nim dzieliła i że prędzej czy później on podzieli ją

z kimś innym. Ale na razie musi zrobić wszystko, by wzmocnić swoją pozycję tam, gdzie może.

Wspólnie pełnili różne funkcje publiczne i Connie nalegała, by przedstawiać ją zarówno jako panią Constance Kane z Hayes Hotel jak i żonę pana Kane'a. Zbierała pieniądze na cele charytatywne z żonami innych biznesmenów. Podejmowała gości w nowym, eleganckim domu urządzonej przez firmę Kevina.

Nic nie mówiła matce o tym, co się stało. Verze wyznała wszystko.

- Gdy urodzi się dziecko - radziła Vera - zrób sobie skok w bok, poflirtuj z kimś. Może ci się spodoba i wtedy wróc do Harry'ego.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała Connie.

* * *

Pokój dziecienny był gotów. Connie zrezygnowała z pracy.

- Nie ma nadziei, że skusimy panią, choć na pół etatu, gdy dziecko będzie wystarczająco duże, by zostało z nianią? - prosił pan Hayes.

- Zobaczymy.

Jest bardziej opanowana i spokojna niż zwykle, pomyślał pan Hayes.

Małżeństwo z tak twardym mężczyzną jak Harry Kane wcale jej nie zmieniło.

Jednym z postanowień Connie było utrzymywanie dobrych stosunków z rodzicami Harry'ego, skromnymi ludźmi, odnoszącymi się z wielkim szacunkiem do swojego sławnego syna. W ciągu roku złożyła im więcej wizyt, niż ich syn przez ostatnie dziesięć lat. Szczegółowo informowała o całym przebiegu ciąży. Pierwszy wnuczek, ważne wydarzenie w ich życiu, mówiła. Byli zachwyceni, wręcz zakłopotani taką atencją ze strony synowej, która chciała nawet poznać ich zdanie co do wyboru imienia dla dziecka.

Connie dbała także, by utrzymywać ścisłe kontakty ze współnikami Harry'ego i ich żonami. W środowe wieczory organizowała lekkie kolacje.

Po spotkaniach na obfitych lunchach goście nie mieli ochoty na nic wystawnego. Ale Connie za każdym razem podawała coś niezwykłego.

Nic tuczącego, gdyż jeden z nich był na diecie, i z małą ilością alkoholu, 254

gdyż inny miał skłonność do nadmiernego picia.

Pytała i słuchała z uwagą. Zapewniała panie, że Harry tak bardzo chwali ich mężów, że stała się o to zazdrosna. Pamiętała o najdrobniejszych szczegółach z egzaminów ich dzieci, o drobnych remontach domowych i wyjazdach, o strojach, które kupiły. Były prawie o dwadzieścia lat starsze od niej i z początku odnosiły się do niej z rezerwą i wyższością. Po sześciu miesiącach małżeństwa stały się jej oddanymi niewolnicami. Mówiły swoim mężom, że Harry Kane nie mógł znaleźć sobie odpowiedniejszej żony i czyż to nie cudowne, że nie poślubił tej zaciętej Siobhan Casey, która tak bardzo na to liczyła.

Wspólnicy nie chcieli wypowiadać się źle na temat zachwycającej ich zdaniami Siobhan. Przez dyskrecję i męską lojalność nie prostowali także, że nadzieje panny Casey na małżeństwo może się rozwiać, ale romans, który kiedyś miała z Harrym, zawiązał się ponownie. Wspólnicy nie mogli tego zrozumieć. Jeśli w domu czeka tak piękna Connie, po co zawracać sobie głowę takimi rzeczami?

Gdy Connie odkryła, że jej mąż sypia z Siobhan Casey, była zaszokowana.

Nie spodziewała się tego tak szybko. Nie musiała długo czekać, by ją zawiódł. Nie dał jej szansy. Ich małżeństwo trwało dopiero siedem miesięcy, była w trzecim miesiącu ciąży. Ona wywiązała się z umowy.

Żaden mężczyzna nie miał wygodniejszego życia. Connie wykorzystwała całą swoją wiedzę z pracy w hotelu przy prowadzeniu domu. Był

elegancki i wygodny. Pełen ludzi, kwiatów i uroczystości lub spokojny i cichy, stosownie do życzeń i potrzeb. Ale to mu nie wystarczało.

Darowałyby mu, gdyby był to przelotny romans, jedna noc spędzona na konferencji czy za granicą. Ale ta kobieta bez wątplenia pragnęła go na własność. Cóż za upokorzenie, że zdobyła go ponownie. I w tak krótkim czasie.

Jego tłumaczenia nie były nawet wykrętne.

- W poniedziałek będę w Cork, chyba tam zanocuję -oznajmiał, tyle że jego wspólnik z Cork właśnie dzwonił, chcąc się z nim spotkać. A więc nie jechał do Cork.

255

Connie bagatelizowała sprawę, przyjmując tłumaczenia Harry'ego.

- Ten facet nie może zapamiętać swojego imienia, jeśli nie ma go napisanego na walizce. Musiałem powtarzać mu trzy razy, że nocuję w hotelu. Starość nie radość.

Niedługo potem, gdy wyjeżdżał do Cheltenham, biuro turystyczne przesłało bilety do domu. Jeden był dla Siobhan Casey.

- Nie wiedziałam, że ona też jedzie - zauważyła Connie spokojnie.

Harry wzruszył ramionami.

- Jedziemy zawierać znajomości, obejrzyć wyścigi konne, spotykać się z ludźmi. Ktoś musi pozostać trzeźwy.

Potem co najmniej raz w tygodniu nie pojawiał się w domu na noc. A dwa razy wracał tak późno, że nie miała wątpliwości, gdzie był. zaproponował

oddzielne pokoje, żeby jej nie przeszkadzać. W jej stanie powinna mieć zapewniony spokój. Czuła się okropnie samotna.

Mijały tygodnie, coraz bardziej się od siebie oddalali. Harry zawsze był

miły i wyrażał się z uznaniem o jej działalności. Szczególnie o środowych kolacjach. Naprawdę zbliżyły do siebie wspólników. Dzięki temu spędzał

środkowe noce w domu i o to właśnie jej chodziło. Zamawiała taksówki, żeby odwoziły współników i ich żony do hotelu Hayes, gdzie wynajmowano im apartamenty po specjalnych cenach.

Po wyjściu gości siadali z Harrym i rozmawiali o jego interesach, ale Connie myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się, czy Harry tak samo siaduje z Siobhan Casey w jej mieszkaniu i rozmawia o swoich sukcesach i porażkach. Czy może ogarnięci nagłym pożądaniem zrzucają z siebie ubrania od razu po wejściu do środka i robią to na dywaniku, nie czekając, aż znajdą się w sypialni?

Któregoś środowego wieczora, gdy zaczął ją głaskać po zaokrąglającym się brzuszku, w jego oczach pojawiły się łzy.

- Tak mi przykro... - zaczął.

- Dlaczego? - Jej twarz pozostała bez wyrazu. Zawahał się, jakby chciał coś wyznać, więc szybko wtrąciła:

- Dlaczego ci przykro? Mamy wszystko, prawie wszystko, 256

a to, czego nie udało się nam osiągnąć, może przyjdzie z czasem. - Bała się usłyszeć od niego prawdę.

- Tak, tak, oczywiście. - Opanował się.

- I niedługo urodzi się nasze dziecko - dodała pocieszająco.

- I wszystko się ułoży - powiedział bez przekonania.

* * *

Syn przyszedł na świat po osiemnastu godzinach porodu. Piękne, zdrowe niemowlę. Ochrzcili go imieniem Richard. Connie wyjaśniła, że jest to imię zarówno jej ojca, jak i ojca Harry'ego, więc wybór jest oczywisty. A to, że pana Kane'a seniora przez całe życie nazywano Sonny, nigdy nie zostało przypomniane.

Przyjęcie z okazji chrztu było eleganckie, ale skromne. Connie witała gości, znów smukła, choć od porodu minęło niewiele czasu. Towarzyszyła jej matka, wytwornie ubrana i radosna. Dzieci Very, Deirdre i Charlie, były gośćmi honorowymi.

Ksiądz z parafii, wielki przyjaciel Connie, stał dumnie obok. Gdybyż wszyscy parafianie byli tacy hojni i mili jak ta młoda kobieta. Przyszedł

także znajomy prawnik jej ojca, pan w średnim wieku, współnik słynnej z wygrywania spraw firmy adwokackiej o doskonałej reputacji.

Gdy Harry spojrział na Connie ubraną w elegancką granatową suknię z jedwabiu z białymi dodatkami, otoczoną przez księdza i prawnika, trzymającą ich syna na ręku, wstrząsnął nim dreszcz. Nie znał

przyczyny i starał się o tym nie myśleć. Może to początek grypy. Miał nadzieję, że nie, bo w nadchodzącym tygodniu czekało go dużo pracy. Ale nie mógł

oderwać oczu od tego żywego obrazu. Jakby coś mu uzmysławiał, coś groźnego.

Podszedł do nich wbrew sobie.

- Piękny widok - powiedział ze zwykłą swobodą. - Mój syn w towarzystwie księdza i prawnika w dniu chrztu. Czego więcej potrzebuje do startu życiowego w świętej, katolickiej Irlandii?

Uśmiechnęli się:

- Właśnie mówiłam ojcu O'Harze i panu Murphy'emu - odezwała się Connie - że powinieneś być dzisiaj szczęśliwym człowiekiem.

257

Wspomniałam im o tym, co powiedziałaś w osiem dni po naszym ślubie.

- Tak, co takiego?

- O tym, jak pragniesz dziecka poczętego w miesiącu miodowym, syna który przejmie twoją firmę, kiedy skończysz pięćdziesiąt pięć lat, i rodziny, która zawsze będzie przy tobie. - Jej głos wydawał się ciepły i pełen podziwu. On czuł w nim twardość stali. Nigdy nie wracali do tej rozmowy. Nie spodziewał się, że zapamięta te wypowiedziane wtedy zbyt pochopnie słowa. I nie wyobrażał sobie, że powtórzy je publicznie. Czy to groźba?

- W twoich ustach to brzmi jak przysięga - uśmiechnął się. - Byliśmy wtedy świeżo poślubioną parą, spędzającą beztrudne dni na Bahamach.

- To były twoje słowa i właśnie tłumaczyłam ojcu O'Harze i panu Murphy'emu, że nie kuszając losu, znajdujemy się chyba na dobrej drodze.

- Miejmy nadzieję, że Richard polubi firmy ubezpieczeniowe.

Czuł, że to ostrzeżenie, ale nie rozumiał, przed czym.

* * *

Kilka miesięcy później doradca prawny poprosił go na konsultację do swego biura.

- Czy chodzi o sprawy służbowe, o opracowanie programu ubezpieczeniowego firmy? - spytał Harry.

- Nie, to sprawa całkowicie osobista. Będzie też główny adwokat strony -

wyjaśnił prawnik.

W biurze znajdował się T.P. Murphy, przyjaciel ojca Connie. Uśmiechając się uprzejmie oświadczył, że został zaangażowany przez panią Kane w celu przeprowadzenia podziału wspólnej własności zgodnie z Ustawą o Własności Kobiety Zameężnej.

- Ale przecież połowa mojego majątku należy do niej. -Harry jeszcze nigdy w życiu nie był tak zszokowany. Cały czas miał do czynienia z ludźmi, którzy go zaskakiwali, ale nie do tego stopnia.

- Tak, ale należy rozważyć inne czynniki - wyjaśnił doradca.

258

Słynny adwokat nie odzywał się, tylko spoglądał to na jedną, to na drugą stronę.

- Jakże na przykład?

- Jak element ryzyka w pańskiej pracy, panie Kane.

- W każdej pracy jest element ryzyka, w pańskiej też -uciał Harry.

- Musi pan przyznać, że pańska firma rozwinęła się nadzwyczaj szybko; można zakwestionować niektóre dochody firmy.

Niech ją szlag, pewnie im powiedziała o grupie pracowników robiących lewe interesy, o tym obszarze działania firmy, o który wraz ze współnikami najbardziej się bali. Tylko ona mogła im o tym donieść.

- Jeśli zniestawiła naszą firmę w celu zagarnięcia pieniędzy dla siebie, odpowie za to! - wybuchnął.

W tym momencie odezwał się adwokat swoim jedwabistym głosem:

- Drogi panie Kane, zdumiewa nas pan całkowitym niezrozumieniem pobudek, jakimi się kierowała pańska żona, troski o pana. Może nie zna pan dokładnie pewnych zdarzeń z jej przeszłości. Dochody jej ojca okazały się niewystarczające do utrzymania rodziny, gdy...

- To nie ma z tym nic wspólnego! To był stuknięty stary dentysta, który wszystkie zarobione na plombach pieniądze stawiał na konie i psy. - W

biurze zaległa cisza. Harry Kane zrozumiał, że tylko pogarsza swoją sytuację. Prawnicy spojrzeli po sobie. - Bez wątpienia także przyzwoity facet - dodał z niechęcią.

- Tak, bardzo przyzwoity. Jeden z moich najbliższych przyjaciół przez wiele lat - rzekł T.P. Murphy.

- Tak, tak, oczywiście.

- Jak zrozumieliśmy, pan i pani Kane oczekujecie drugiego dziecka, tak? -

zapytał adwokat, nie podnosząc wzroku znad papierów.

- Tak, i bardzo się cieszymy.

- I pani Kane oczywiście zrezygnowała z bardzo obiecującej kariery w Hayes Hotel, by móc się opiekować dwójką dzieci i może następnymi.

- Niech pan posłucha! To była beznadziejna praca recepcjonistki, 259

polegająca jedynie na wręczaniu klientom kluczy do pokoi i życzeniu miłego pobytu, a nie żadna obiecująca kariera! Wyszła za mnie i może mieć, co chce. Czy czegoś jej odmawiam? Czy przedstawiła panom listę skarg?

- Cieszę się, że nie ma tu z nami pani Kane i nie słyszy pańskich słów -

powiedział T.P. Murphy. - Całkowicie błędnie interpretuje pan całą sprawę.

Nie ma żadnej listy skarg, jest tylko ogromna troska z jej strony o pana, pańską firmę i rodzinę, której pan tak bardzo pragnął. Obawia się, że w przypadku jakichś niepowodzeń w firmie może pan zostać pozbawiony majątku, na który pan tak ciężko pracował... i pracuje nadal, gdyż, jak mówiła, często pan jeździ za granicę i pozostaje z dala od rodziny.

- Co proponuje moja żona?

Przeszli do sedna. Adwokaci zażądali, żeby niemal wszystko zostało przepisane na żonę: dom i pewien procent rocznego dochodu bez podatku.

Pani Kane stworzy wtedy własną firmę i mianuje swoich dyrektorów.

Złożono dokumenty, wpisano odpowiednie nazwiska.

- Nie mogę tego zrobić - oświadczył po prostu Harry Kane.

- Dlaczego, panie Kane?

- Jak bym to wytłumaczył moim wspólnikom, dzięki którym powstała ta firma? Miałbym im powiedzieć: „Słuchajcie, trochę się martwię, więc swój udział przepisuję na żonę, żebyście nie mogli mnie tknąć jeśli wpakujemy się w pasztet”. Jakby to wyglądało? Zupełnie, jakbym wątpił

w to, co robimy!

Harry jeszcze nigdy nie spotkał kogoś o tak łagodnym, a jednak stanowczym głosie jak T.P. Murphy. Adwokat mówił prawie szeptem, a mimo to każde słowo dźwięczało jak srebro.

- Nie sądzę, żeby kwestionował pan sposób, w jaki pańscy wspólnicy inwestują swoje udziały, panie Kane. Jeden postanowił włożyć wszystkie swoje pieniądze w stadninę na zachodzie, inny kupuje dzieła sztuki i podejmuje ludzi filmu i mediów. Nie podważa pan ich decyzji. Dlaczego oni mieliby podważyć pańską decyzję o przepisaniu udziałów na firmę żony?

Wszystko im powiedziała. A w ogóle skąd miała te informacje? No tak, rozmowy żon na środowych kolacjach... Położy temu kres.

- A jeśli odmówię?

- Jestem pewien, że pan tego nie zrobi. Mamy sąd rodzinny i zapewniam pana, że każdy, kto będzie reprezentował panią Kane w sprawie rozwodowej, postara się, żeby warunki podziału były dla niej niezwykle korzystne. Ale największy problem to nieprzychylność prasy, a zgodzi się pan ze mną, że istnienie firmy ubezpieczeniowej zależy w dużej mierze od wiary i zaufania ludzi w ogóle... -Umilkł.

Harry Kane podpisał dokumenty.

Pojechał prosto do swego przestronnego, wygodnego domu. Codziennie przychodził ogrodnik i krążył wśród roślin przy południowej ścianie.

Harry wszedł drzwiami frontowymi i spojrzał na świeże kwiaty w hallu, żywe i jasne kolory ścian i wiszące na nich obrazy, które wspólnie wybrali.

Zajrzał do dużego salonu z szafkami wypełnionymi szkłem waterford, mieszczącego lekko czterdziestu gości bez potrzeby otwierania podwójnych drzwi prowadzących do pokoju jadalnego, którego jedyną ozdobą były suszone kwiaty. Jadalni używali tylko podczas wystawnych obiadów. Przeszedł do słonecznej kuchni, gdzie Connie, śmiejąc się zachwycona, karmiła tartym jabłkiem małego Richarda. Miała na sobie piękną kwiecistą sukienkę ciążową z białym kołnierzykiem. Z góry dochodził szum odkurzacza. Niedługo przybędzie samochód dostawczy z supermarketu.

Cokolwiek by się o niej powiedziało, trzeba przyznać, że dom prowadziła doskonale. Sprawy z tym związane nie obchodziły Harry'ego ani nie przeszkadzały mu w życiu. Brudne ubrania znikwały z jego szaf i szuflad, by pojawić się na nowo, czyste i uprasowane. Nigdy nie musiał się martwić zakupem nowych skarpetek czy bielizny, choć sam wybierał

garnitury, koszule i krawaty.

Stał i patrzył na swą piękną żonę i cudownego synka. Niedługo spodziewali się następnego dziecka. Connie wywiązywała się ze swojej roli wzorowo. Właściwie miała prawo

się zabezpieczyć. Nie zauważyła go i gdy się poruszył, podskoczyła przestraszona.

Ale dostrzegł, że pierwszą jej reakcją była radość.

- Och, świetnie, udało ci się wyrwać z pracy. Czy mam wstawić kawę?

- Widziałem się z nimi.

- Z kim?

- Z twoją drużyną prawniczą. - Jego głos brzmiał rzeczowo.

Nawet nie drgnęła.

- Pomyślałam, że będzie prościej, jeśli oni wykonają całą papierkową robotę. Sam mówiłeś, żeby nie tracić czasu, tylko zapłacić specjalistom.

- Sądząc po kroju garnituru i zegarku pan T.P. Murphy słono sobie policzy jako ekspert.

- Znam go od dawna.

- Tak mówił.

Połąskotała Richarda pod brodą.

- Powiedz cześć tatusiowi, Richardzie. Rzadko nadarza ci się taka okazja w ciągu dnia.

- Brawo, Connie! - powiedział z goryczą. - Czy tak będzie już zawsze?

Cierpkie uwagi, złośliwe docinki, że rzadko bywam w domu? Czy tak ma dorastać i następny potomek? W przekonaniu, że tata jest zły, nietroskliwy... tak zamierzasz go wychowywać?

Spojrzała na niego skruszona. O ile ją znał, była chyba szczerą.

- Harry, nawet nie wiesz, jak bardzo nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Przysięgam. Ucieszyłam się, gdy przyszedłeś. Paplałam do niego tak, żeby też się ucieszył. Wierz mi, nie będzie więcej złośliwości. Sama nie znoszę, gdy inni to robią.

Miesiącami nie zbliżała się do niego, nie zrobiła żadnego czułego gestu.

Ale gdy zobaczyła, jak stoi taki samotny, zrobiło się jej go żal.

- Harry, nie mów tak, proszę. Jesteś dla mnie taki kochany, mamy takie dobre życie. Czy nie możemy czerpać z niego radości, zamiast patrzeć na siebie wrogo i podejrzliwie?

262

Nie poruszył się, chociaż objęła go zarzucając mu rękę na szyję.

- Nie spytałaś, czy podpisałem - powiedział. Puściła go.

- Wiem, że tak.

- Skąd? Czy zadzwonili, jak tylko opuściłem biuro?

- Oczywiście, że nie. - Wyglądała na urażoną takim przypuszczeniem.

- Dlaczego nie, wykonali dobrą robotę.

- Podpisałeś, gdyż było to uczciwe, i dlatego, że rozumiałeś płynące z tego dla siebie korzyści.

Przyciągnął ją do siebie i poczuł jej wypukły brzuch. Kolejne dziecko, kolejny Kane w dynastii, którą tak pragnął mieć w tym pięknym domu.

- Żałuję, że mnie nie kochasz.

- Kocham cię.

- Ale nie tak, jakbym chciał.

- Staram się. Próbuję, wiesz, że jestem zawsze, gdy mnie potrzebujesz.

Chciałabym, żebyś spał ze mną w tym samym łóżku, w tym samym pokoju. To ty postanowiłeś spać oddzielnie.

- Przyszedłem do domu strasznie wściekły, Connie. Zamierzałem ci powiedzieć, że to podłość z twojej strony spiskować za moimi plecami, zabrać mi ostatni grosz. Jesteś bezlitośnie przebiegła... wiele rzeczy miałem ci powiedzieć... - przerwał na chwilę - ale myślę, że po prostu popełniłaś straszliwy błąd, podobnie jak ja. Jesteś tak samo nieszczęśliwa.

- Bardziej samotna niż nieszczęśliwa - wtrąciła.

- Nazwij to jak chcesz - wzruszył ramionami. - Czy teraz, gdy masz pieniądze, czujesz się mniej samotna?

- Sądzę, że mniej się będę bała.

- Czego masz się bać? Tego, że stracę wszystko jak twój stary i znowu będziesz biedna?

- Bardzo się mylisz - powiedziała dobitnie. Wiedział, że jest szczerą. - Nie, nigdy nie przeszkadzało mi ubóstwo. Umie zarabiać na życie, w przeciwieństwie do matki. Ale nie chciałam się stać tak zgorzkniała jak ona. Bałam się, że cię znenawidzę, gdy będę musiała wrócić do pracy, którą

263

przez ciebie porzuciłam, i zaczynać wszystko od zera. Nie mogę wychowywać dzieci obiecując im coś, czego im nie dam. Doświadczyłam tego na własnej skórze. Tyle rzeczy stoi przed nami otworem, tak bardzo do siebie pasujemy. We wszystkim, z wyjątkiem łóżka. Pragnęłam, żebyśmy byli szczęśliwi do końca naszych dni.

- Ja też.

- Nie możesz zostać moim przyjacielem, Harry? Kocham cię i chcę twojego dobra, nawet jeśli nie umiem tego okazać.

- Nie wiem - powiedział i wziął kluczyki od samochodu. - Nie wiem.

Chciałbym być twoim przyjacielem, ale po tym, co się stało, nie mógłbym ci już zaufać, a bez tego nie ma przyjaźni.

Nachylił się nad Richardem gaworzącym w swoim wysokim krzeselku.

- Opiekuj się mamusią. Wydaje się, że wszystko przyszło jej lekko i łatwo, ale naprawdę w głębi duszy bardzo cierpi.

Po jego wyjściu Connie płakała tak długo, że omal nie pękło jej serce.

Urodziła się dziewczynka. Nazwali ją Veronica. Rok później mieli bliźniaki. Gdy na początku ciąży na monitorze aparatu ukazały się dwa embriony, Connie była zachwycona. W jej rodzinie zdarzały się bliźniaki, to cudowne. Myślała, że Harry też się ucieszy.

- Widzę, że jesteś zadowolona - powiedział zimno. - Mamy więc czwórkę.

Swoją rolę odegrałaś wspaniale. Koniec przedstawienia. Co za ulga.

- Potrafisz być bardzo okrutny - szepnęła.

* * *

Otoczenie uważało ich oczywiście za doskonałą parę. Pan Hayes, którego córkę Mariannę, rozkwitającą piękność, ścigali żądni fortuny młodzi mężczyźni z Dublina, był dobrym przyjacielem Connie i często konsultował się z nią w sprawach prowadzenia hotelu. Jeśli czasami dostrzegał w jej oczach smutek, milczał.

264

Dochodziły go plotki o romansach Harry'ego Kane'a. Widywano go z różnymi kobietami, ale wciąż nie odstępowała go na krok śmiesznie oddana sekretarka. Jednak z upływem lat pan Hayes doszedł do wniosku, że małżeństwo musiało dojść do jakiejś ugody.

Najstarszy chłopiec Richard świetnie sobie radził w szkole i nawet grał w pierwszej piętnastce w szkolnym pucharze rugby. Dwunastoletnia Veronica postanowiła pójść na medycynę i o niczym innym nie myślała.

Bliźniacy wyrosli na małych urwisów.

Państwo Kane nadal wydawali wspaniałe przyjęcia i często pokazywali się razem. Trzydziestoletnia Connie była kobietą elegancką. Nie spędzała dużo czasu na studiowaniu mody czy zamawianiu strojów u projektanta, na co przecież było ją stać, ale zawsze wyglądała nienagannie.

Nie była szczęśliwa. Oczywiście, że nie. Ale w końcu tyle ludzi ma nadzieję na lepsze jutro, łudząc się, że szczęście się do nich w końcu uśmiechnie.

Może na tym polega życie, a te wszystkie opowieści o szczęściu trzeba włożyć między bajki. Pracując przez tyle lat w hotelu spotkała wielu samotnych i nieszczęśliwych. Poznała tę stronę życia. Ludzie chodzili na zebrania charytatywne tylko po to, by wypełnić otaczającą ich pustkę, umawiali się na kolejne poranne herbatki, gdyż nic innego im nie pozostało.

Czytała książki, oglądała kolejne sztuki i robiła krótkie wycieczki do Londynu i dalej do Kerry.

Harry nigdy nie miał czasu na wspólne rodzinne wakacje. Była ciekawa, czy dzieci zdają sobie sprawę, że jego wspólnicy jeżdżą z rodzinami. Ale dzieci potrafią być tak mało spostrzegawcze. Inne kobiety towarzyszyły mężom w wyjazdach. Connie nigdy. A Harry jeździł często. Tłumaczył, że w sprawach zawodowych. Uśmiechała się drwiąco na myśl, jaki związek z pracą miały wyprawy na południe Hiszpanii czy do nowego uzdrowiska na wyspach greckich. Ale milczała.

Harry był żądny miłości fizycznej. Uwielbiał się kochać. Nie mogła mu tego ofiarować, więc byłoby niesprawiedliwe, gdyby odmawiała mu zaspokojenia tych pragnień gdzie indziej.

265

I wcale nie czuła się zazdrosna o intymną zażyłość z Siobhan Casey czy kimkolwiek innym. Jedną z przyjaciółek Connie nieustannie rozpaczała nad niewiernością męża. Wyobrażanie sobie męża w łóżku z inną kobietą doprowadzało ją do szaleństwa. Connie nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu.

Pragnęła jedynie, by Harry rozwiązał ten problem poza domem, a dla niej pozostał kochającym przyjacielem. Byłaby szczęśliwa mogąc dzielić z nim sypialnię, jego nadzieje, plany i marzenia. Czy jej marzenia były rzeczywiście takie absurdalne? Całkowite odsunięcie jej od wszystkiego za to, że nie mogła sprawić mu przyjemności w łóżku, uważała za zbyt ciężką karę. Dała mu przecież czworo dzieci, powinno to wpłynąć na jego ocenę sytuacji.

Niektórzy uważali, że powinna opuścić Harry'ego. Na przykład Vera. Nie powiedziała tego wprost, ale napomykała. Podobnie pan Hayes. Oboje sądzili, że Connie trwa przy nim dla poczucia bezpieczeństwa. Nie wiedzieli, że zabezpieczyła się finansowo i w przypadku rozstania uzyskałaby całkowitą niezależność.

Więc dlaczego została?

Ze względu na rodzinę. Dzieci potrzebowały obojga rodziców. Poza tym rozpoczęcie nowego życia kosztowałoby ją zbyt wiele wysiłku, a nie miała gwarancji, że będzie lepsze. A właściwie nie było jej tak źle. Harry, gdy się pojawiał, był uprzejmy i troskliwy. Nie narzekała na brak zajęć, bez problemu wypełniała sobie godziny, dni, tygodnie, lata.

Odwiedzała swoją matkę i rodziców Harry'ego. Zabawiała wspólników i ich żony. Prowadziła dom dla dzieci i ich przyjaciół, którzy uważali, że rodzina Kane'ów jest wspaniała, gdyż pani Kane nigdy

się nie wtrąca, a pana Kane'a nigdy nie ma w domu. W tle zawsze było słycać odgłos piłek tenisowych na korcie czy dźwięki muzyki z pokojów.

* * *

I wtedy, gdy Richard Kane skończył dziewiętnaście lat, czyli był w tym wieku, co Connie, kiedy zmarł jej ojciec,

266

zostawiając rodzinę w długach, Harry Kane przyszedł do domu i oznajmił, że sen się skończył. Firma znalazła się na skraju bankructwa i zostaje zamknięta od następnego dnia. Wybuchnie skandal. W całym kraju mają długi, ludzie potracili oszczędności całego życia. Jednego ze współników trzeba było ratować przed samobójstwem, dwóch pozostałych powstrzymać przed ucieczką za granicę.

Siedzieli w kuchni, Connie, Richard i Veronica. Bliźniacy wyjechali na wycieczkę szkolną. Milczeli, gdy Harry wyjaśniał całą sytuację. Sążnisty artykuł w gazecie. Dziennikarze przed drzwiami, fotoreporterzy usiłujący zrobić zdjęcia kortu tenisowego, luksusowych apartamentów należących do człowieka, który oszukiwał cały kraj. Zaczęły się pojawiać nazwiska polityków, którzy go popierali, ujawniono szczegóły zagranicznych wycieczek. Znane osoby, kiedyś związane z firmą, teraz wypierały się wszelkich kontaktów.

Co było powodem bankructwa? Przymykanie oczu na nie całkiem legalne załatwianie niektórych spraw, podejmowanie niepotrzebnego ryzyka, przyjmowanie nieodpowiedzialnych ludzi. Niezadawanie pytań tam, gdzie były one konieczne. Niedostrzeganie problemów, które renomowana firma powinna była zauważyć.

- Czy będziemy musieli sprzedać dom? - spytał Richard. Zapadła cisza.

- Czy starczy pieniędzy na opłacenie moich studiów? - zaniepokoiła się Veronica.

Znowu cisza.

Wtedy odezwał się Harry:

- Muszę wam coś wyznać. Wasza matka zawsze mnie ostrzegała, że coś takiego może się stać. Ostrzegała, a ja nie słuchałem. Więc jeśli będziecie kiedyś wspominać ten dzień, pamiętajcie o tym.

- Och, tato, to nie ma znaczenia - przerwała Veronica dokładnie takim samym tonem, jakiego użyłaby Connie, rozmawiając z tatą o jego kłopotach finansowych. Oczy Harry'ego zasły łzami.

- To się mogło przytrafić każdemu - rzekł odważnie Richard. - Taki jest biznes.

267

Serce Connie przepełniła radość. Udało się im wychować dzieci na ludzi szlachetnych, a nie na małe, bezmyślne istoty oczekujące, że świat należy tylko do nich. Powinna chyba coś powiedzieć.

- Gdy wasz ojciec przyszedł do mnie z tą straszną wiadomością, poprosiłam go, by poczekał, aż wszyscy się tu zbierzemy. To sprawa całej naszej rodziny. Cieszę się tylko, że nie ma z nami bliźniaków, porozmawiam z nimi później. Wieczorem musimy opuścić ten dom, to najważniejsze. Weźmy do małych walizek rzeczy niezbędne, tyle, żeby nam wystarczyło na tydzień. Poproszę Verę i Kevina, żeby przyjechali po nas furgonetką, tak, by reporterzy czekający przed domem nas nie zauważyli. Na sekretarce zostawimy wiadomość, żeby wszystkie pytania kierować do Siobhan Casey. Sądzę, że tak będzie najlepiej, prawda, Harry?

Kiwnął głową zdumiony.

- Ty, Harry, pojedziesz do mojej matki na wieś. Nikt nie będzie się nią interesował ani jej niepokoił. Zadzwoń stamtąd do swoich przyjaciół i uspokój ich, że wszystko się ułoży, ale póki sprawa nie przycichnie, pozostaniesz w ukryciu. Powiedz, że wrócisz za dziesięć dni. Żadna sensacja nie trwa dłużej.

Patrzyli na nią z otwartymi ustami.

- Oczywiście, pójdziecie na uniwersytet, i bliźniacy także.

Prawdopodobnie będziemy musieli sprzedać dom, ale nie od razu, bank nie będzie nam dyktował warunków.

- A nie musimy spłacić długu? - zainteresował się Richard.

- Ten dom nie należy do waszego ojca - oznajmiła spokojnie Connie.

- Ale nawet jeśli jest twój, nie musisz...

- Nie jest też mój. Dawno temu kupiła go firma, której jestem dyrektorem.

- Och, tato, ale jesteś sprytny! - wykrzyknął Richard.

- Tak, wasz ojciec jest niezwykle mądrym biznesmenem - włączyła się Connie w odpowiednim momencie - i kiedy coś obiecuje, dotrzymuje słowa. Nie pozwoli, by ludzie zostali bez pieniędzy, więc jestem pewna, że nie skończymy

268

na bruku. Ale na razie będzie nam ciężko. Potrzebujemy dużo siły i wytrwałości.

Wieczór upłynął na pakowaniu i rozmowach telefonicznych. Opuścili nie zauważeni dom tylnymi drzwiami, samochodem dekoratorów wewnątrz.

Pobladła Vera i Kevin wprowadzili ich do swojego domu. Bez zbędnych słów i wyrazów współczucia przeszli od razu do przygotowanego dla nich najlepszego pokoju gościnnego z podwójnym łóżkiem. Zostawiono im zimną kolację i termos z gorącą zupą.

- Do zobaczenia jutro - pożegnała się Vera.
 - Skąd ludzie wiedzą, jak się mają zachować? - spytał Harry.
 - Przypuszczam, że mówią to, co sami chcieliby usłyszeć. - Connie nalała mu zupy do kubka. Potrząsnął głową. -Jedz, Harry. Jutro może ci tego brakować.
 - Czy Kevin miał u nas jakieś lokaty?
 - Nie, żadnych - odparła spokojnie Connie.
 - Dlaczego?
 - Na wszelki wypadek im odradziłam.
 - Co mam teraz robić, Connie?
 - Musisz się z tym pogodzić. Oświadczysz publicznie, że zawiodłeś ludzi.
- Nie chciałeś, żeby tak się stało, ale zamierzasz zostać w kraju i pracować dalej, tak jak potrafisz.
- Rozerwą mnie na kawałki.
 - Sprawa przycichnie i nabierze innego wymiaru. -A ty?
 - Wrócę do pracy.
 - A co z pieniędzmi, które wyciągnęli dla ciebie prawnicy?
 - Wezmę tyle, ile będzie potrzeba dla dzieci, a resztę zwrócę ludziom, którzy potracili swoje oszczędności.
 - Boże, chyba nie zamierzasz odgrywać siostry miłosierdzia?
 - Co uważasz, że powinnam zrobić z tymi pieniędzmi, moimi pieniędzmi?
 - Jej oczy były zimne.
 - Zatrzymaj je. Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że udało ci się je zachować. Nie wyrzucaj ich w błoto.
 - Chyba nie wiesz, co mówisz. Porozmawiamy o tym jutro.

269

- Właśnie, że wiem. To jest biznes, a nie partia krykieta dla gentelmenów.

Takie jest prawo firm z ograniczoną odpowiedzialnością. Tamci mogą dostać tylko tyle, ile firma w

danym momencie ma na koncie. Dostałaś swój udział, jaki, na Boga, widzisz sens w jego zwracaniu?

- Jutro - powtórzyła.

- Zdejmij z twarzy tę cholerną maskę, Connie, i choć raz w życiu zachowaj się normalnie! Przestań na pięć minut grać i skończ z tą dobroczynną gadką o zwracaniu biednym inwestorom ich pieniędzy. Wiedzieli, co robią, jak wszyscy inni. Tak, jak twój ojciec wiedział, co robi, gdy stawiał pieniądze przeznaczone na twoje studia na jakieś konie.

Pobladła. Wstała i skierowała się do drzwi.

- O tak, jak zawsze wyniosła i pełna godności, zamknięta w swojej skorupce. No dalej, idź do swojej przyjaciółki Very i poskarż się na tych strasznych mężczyzn. A może to właśnie z nią powinnaś zamieszkać?

Może potrzebujesz kobiety, by cię rozruszała?

Bez zastanowienia uderzyła go w twarz. Obrażał Verę w jej własnym domu, choć to Vera i Kevin wyciągnęli go z opresji, o nic nie pytając.

Harry nie zachowywał się jak człowiek, ale jak zdiczące zwierzę.

Jej pierścionek rozkrwawił mu policzek, pozostawiając długą czerwoną smugę. Jednak nie przeraził jej widok krwi, nie odczuwała żadnego wstydu za to, co zrobiła.

Zamknęła drzwi i poszła na górę. Pozostali siedzieli przy stole w kuchni i z pewnością słyszeli krzyki na górze, może nawet poszczególne słowa.

Connie, tak opanowana przez ostatnie godziny, rozejrzała się dokoła. W

kuchni była Deirdre, śliczna, ciemnooka córka Very, która pracowała w butik, i Charlie, który zaangażował się w rodzinnej firmie dekoratorskiej.

A między Kevinem i Verą przed butelką whisky siedział Jacko. W

rozpiętej koszuli, z dzikimi, zaczerwienionymi oczami. Jacko, który na zmianę płakał i pił. Zrozumiała, że stracił swoje pieniądze w firmie inwestycyjnej jej męża. Pierwszy chłopak, który kochał ją szczerze i bez zastrzeżeń, który stał przed kościołem w dniu jej ślubu z Harrym, w nadziei, że ceremonia nie dojdzie do skutku. Teraz siedział

270

przy kuchennym stole przyjaciół, ogołocoony ze wszystkiego, co miał. Jak to się stało, zastanawiała się przerażona Connie.

Nie mogła tutaj zostać. Nie mogła też pójść na górę, gdzie Harry czekał

jak wściekły lew, by dalej obrażać ją i siebie. Nie mogła też zwyczajnie wyjść na ulicę, do normalnego świata. Nie będzie już umiała spojrzeć ludziom prosto w oczy. Czy tkwi w człowieku jakaś siła, która ściąga na niego nieszczęścia i nakłania innych do zła? Nie ma danych statystycznych, mówiących o bankructwach zarówno ojca, jak i męża, więc może coś istnieje w twojej osobowości, że skłaniasz się ku osobom, które wykazują podobne cechy i słabości jak twój ojciec?

Przypomniała sobie nagle przyjazną i otwartą twarz lekarki, zadającej jej pytania o ojca. Czy miała rację? Wydawało się jej, że stoi tak od wieków.

Wtedy odezwał się Jacko. Głos miał niewyraźny.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Inni milczeli.

- Nie, Jacko - Connie mówiła wyraźnie i spokojnie - może to dziwne, ale przez całe swoje życie nie zaznałam tego uczucia. - Patrzyła gdzieś w dal.

- Ostatnie dwadzieścia lat wypełniały mi pieniądze, co powinno mnie uszczęśliwić. Niestety. Spędziłam je samotnie odgrywając jedynie jakieś role. Ale. to dla ciebie żadna pociecha.

- Owszem - burknął Jacko. Wciąż przystojny, o żywych oczach. Jego małżeństwo nie udało się, jak mówiła jej Vera. Żona zabrała synka, którego bardzo kochał.

Praca była dla niego wszystkim. A teraz nie miał nawet jej.

- Dostaniesz pieniądze z powrotem - oświadczyła.

- Och, tak? - Jego śmiech zabrzmiał jak szczeknięcie psa.

- Tak, firma ma pieniądze.

- Oczywiście, w Jersey albo na Kajmanach, albo na koncie żony - prychnął

Jacko.

- Żebyś wiedział, że na koncie żony. I to całkiem sporo - ucięła.

Vera i Kevin spojrzeli na nią zdumieni.

271

- Chcesz powiedzieć, że jako były chłopak pani Kane mogę liczyć na deszcz pieniędzy?

- Wiele osób może na to liczyć. Jeśli Harry jeszcze nie zwariował, przed konferencją prasową zaprowadzę go do banku.

- Skoro pieniądze należą do ciebie, dlaczego ich nie zatrzymasz? - zdziwił

się.

- Ponieważ wbrew temu, co myślisz, nie uległam jeszcze całkowicie zwyrodnieniu. Vero, czy mogłabym spać na kanapie w pokoju telewizyjnym?

Vera poszła z nią i dała jej koc.

- Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam - wyznała.

- A ty najlepszym przyjacielem, jakiego miałam - odparła Connie.

Może miłość do Very nie byłaby taka zła. Żyć latami w ogrodzie pełnym kwiatów i prowadzić wspólnie jakąś małą firmę rzemieślniczą?

Uśmiechnęła się blado.

- Z czego można się śmiać w takiej chwili? - zdziwiła się Vera.

- Przypomnij mi kiedyś, to ci powiem. Nie uwierzysz - rzekła Connie i zrzuciwszy buty położyła się na kanapie.

Spała nadszpiewanie mocno i obudziła się dopiero na dźwięk zmywania naczyń. W kuchni był Harry. Blady, z długą, ciemnoczerwoną szramą na policzku. Zapomniała o tym.

- Przyniosłem ci kawę - powiedział.

- Dziękuję. - Nie poruszyła się.

- Jest mi ogromnie przykro, Connie. - Tak.

- Naprawdę, strasznie cię przepraszam. Wczoraj wieczorem dostałem szału. W życiu pragnąłem tylko stać się kimś i gdy byłem blisko celu, wszystko się zawaliło. - Ubrał się starannie i ogolił omijając szramę.

Czekał go najdłuższy dzień w życiu. Connie wydawało się, że widzi go po raz pierwszy, podobnie jak ludzie, którzy będą go oglądać w telewizji, wszyscy ci, którzy stracili swoje oszczędności, ci, którzy spotkali się z nim kiedyś podczas spotkań roboczych

272

czy towarzyskich. Przystojny, nie zaspokojony mężczyzna, który chciał

stać się kimś bez względu na środki, które musiał podjąć.

Wtedy zobaczyła, że płacze.

- Potrzebuję cię, Connie, rozpaczliwie. Cały czas byłaś przy mnie, nie możesz zostać jeszcze trochę,

udając, że mi wybaczyłaś? Proszę, Connie, potrzebuję cię! Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc! - Położył

głowę na jej kolanach i zaczął łkać jak dziecko.

* * *

Dokładnie nie pamięta tamtego dnia. To tak, jakby próbować poskładać w całość horror, który oglądało się urywkami, co jakiś czas zakrywając z przerażenia oczy, albo koszmar, który nie chce zniknąć. Dzień zaczął się spotkaniem w biurze prawnika, gdzie wyjaśniono Harry'emu warunki, na jakich powstała firma, mająca na celu zapewnienie wykształcenia ich dzieciom. Pieniądze zainwestowano doskonale. Pomnożyły się. Reszta została równie dobrze ulokowana. Na jej potrzeby. Constance Kane była bardzo bogatą kobietą. Zauważyła pogardliwy wyraz twarzy adwokata, gdy patrzył na jej męża. Nie starał się go nawet ukryć. Był tam też przyjaciel jej ojca T.P. Murphy, milczący i już mocno siwy. Twarz miał

ponurą. Poza tym zjawili się księgowy i dyrektor inwestycyjny.

Rozmawiali z Harrym Kane'em jak ze zwykłym krętaczem. Za takiego go właśnie uważano. Jeszcze poprzedniego ranka, pomyślała Connie, traktowano by go z należnym szacunkiem. Jak szybko zmieniają się układy.

Potem poszli do banku. Bankierzy nigdy dotąd nie spotkali się z czymś takim, jak znikające i pojawiające się fundusze. Connie i Harry siedzieli w milczeniu, podczas gdy ich doradcy wyjaśniali, że bank dostanie pieniądze dopiero wtedy, gdy zapewni specjalny pakiet na pomoc dla inwestorów.

Do południa zawarto porozumienie. Poproszono współników Harry'ego.

Kazano im milczeć podczas konferencji prasowej w hotelu Hayes.

Ustalono, że żony współników nie będą w niej uczestniczyły. Oglądały wszystko w telewizorze

273

w jednym z hotelowych pokoi. Imię Connie nie pojawiło się. Stwierdzono tylko, że firma dysponowała funduszem awaryjnym, licząc się z ewentualnością bankructwa.

Po wiadomościach południowych nagłówki w gazetach porannych były już nieaktualne. Jeden z dziennikarzy zainteresował się blizną na twarzy Harry'ego Kane'a. Czy to sprawa jednego z wierzycieli?

- To był ktoś, kto nie rozumiał, co się dzieje, kto nie pojmował, że zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy, by chronić ludzi, którzy nam zaufali - odparł Harry patrząc prosto w kamerę.

Connie poczuła lekki zawrót głowy. Naszła ją fala mdłości. Jeśli Harry potrafi przed kamerami kłamać jak z nut, do czego jeszcze jest zdolny? W

głębi sali, w której odbywała się konferencja, Connie zauważyła Siobhan Casey. Zastanawiała się, ile Siobhan wie i czy ona także otrzyma pieniądze z funduszu. Ale nigdy się tego nie dowie. Skoro powierzyła bankowi kierowanie całą operacją, nie miała prawa przeprowadzać żadnych kontroli. Nie wątpiła, że pieniądze będą rozdzielone mądrze i sprawiedliwie. Nie mogła sprzeciwić się wypłaceniu Siobhan Casey jej części tylko dlatego, że ta sypiała z szefem.

Przeprowadzili się z powrotem do swojego mieszkania. Po tygodniu zaczęli oddychać swobodniej. Po trzech miesiącach życie wróciło do normy.

Veronica od czasu do czasu pytała ojca z troską w głosie, czy rana na twarzy już się zagoiła.

- Och, będzie zawsze przypominała twojemu ojcu, jakim był głupcem -

odpowiadał. Connie widziała, z jaką czułością na siebie patrzą...

Richard także podziwiał ojca. Dzieci uważały, że doświadczenie wiele ojca nauczyło.

- Prawda, mam, że tata spędza teraz więcej czasu w domu? - pytała Veronica, jakby chciała się w coś utwierdzić.

- Tak, to prawda - przyznała Connie. Harry co tydzień spędzał jedną noc poza domem, a dwie lub trzy noce przychodził bardzo późno. I tak miało być już zawsze.

274

Gdzieś w głębi duszy Connie pragnęła to zmienić, ale była za bardzo zmęczona. Znużyły ją lata udawania i pozorów, nie znała już innego życia.

Któregoś dnia zadzwoniła z pracy do Jacka.

- Przypuszczam, że mam teraz paść przed tobą na kolana i podziękować jaśnie pani, że odzyskałem swoje pieniądze.

- Nie, Jacko, pomyślałam, że moglibyśmy się spotkać.

- Po co?

- Nie wiem, porozmawiać, pójść do kina. Uczyłeś się kiedyś włoskiego?

- Nie, zbyt byłem zajęty zarabianiem na życie. - Milczała. Wywołała w nim chyba poczucie winy.
- A ty?

- Byłam zbyt zajęta, żeby nie zarabiać na życie. Zaśmiał się.

- Jezu, Connie, nasze spotkanie nie ma sensu. Znów się w tobie zadurzę i zacznę ciągnąć cię do łóżka, jak czyniłem to wtedy przez całe lata.

- Jeszcze, Jacko? Nadal cię do tego ciągnie?

- Boże, a czemu nie? Czyż nie jestem w kwiecie wieku?

- Oczywiście.

- Connie? -Tak?

- Wiesz... Dziękuję. Rozumiesz.

- Rozumiem, Jacko.

Mijały kolejne miesiące. Właściwie nic się nie zmieniło, ale gdyby przyjrzeć się bliżej, stałoby się jasne, że życie dla Connie Kane straciło sens.

Dostrzegli to Kevin i Vera. Byli jednymi z nielicznych, którzy wiedzieli, że to ona uratowała swojego męża. A on nie okazywał najmniejszej wdzięczności. Nadal publicznie spotykał się ze swoją byłą sekretarką, tajemniczą Siobhan Casey, która została ostatnio dyrektorem firmy.

Matka Connie zaczęła się niepokoić. Próbowала ją pocieszyć.

- Krzywdę, którą ci wyrządził, da się naprawić. Nie to, co ze mną. Harry miał przygotowany fundusz awaryjny. Twój ojciec nie pomyślał o czymś takim.

275

Connie nie wyjawiała jej prawdy. Wmawiała sobie, że jednym z powodów jest lojalność wobec Harry'ego, ale tak naprawdę nie chciała się przyznać przed matką, że przez te wszystkie lata miała rację, żądając, by córka zabezpieczyła się finansowo i zdobyła niezależność.

Dzieci nic nie zauważyły. Matka była jak zwykle po prostu matką, cudowną, zawsze obecną tam, gdzie jej potrzebowano. Wydawała się szczęśliwa, jak dawniej spotykała się z przyjaciółmi.

Richard został zakwalifikowany jako księgowy i pan Hayes zaoferował

mu doskonałą posadę w firmie zięcia. Jego ukochana córka Marianne wyszła za mąż za przystojnego i uroczonego Paula Malone'a. Pieniądze teścia i własny urok osobisty pomogły Malone'owi szybko piąć się po szczeblach kariery. Richard świetnie trafił.

Veronica z zapalem studiowała medycynę. Myślała o specjalizacji z psychiatrii. Jak mówiła, większość problemów tkwi w głowie i przeszłości człowieka.

Bliźniacy wybrali swoją drogę życiową: jeden zaczął studiować sztukę, drugi wstąpił do Państwowej Służby Cywilnej. Na szczęście nie trzeba było sprzedawać dużego domu, aby uzyskać fundusze na pakiet pomocy dla poszkodowanych klientów firmy. Prawnicy Connie przekonywali ją do przygotowania kolejnego dokumentu z podobnymi zasadami jak poprzedni, zapewniający jej część dochodów, ale sprzeciwiła się.

- Wtedy musiałam myśleć o przyszłości dzieci - tłumaczyła.

- Musimy to powtórzyć, gdyż w przeciwnym razie poprzedni dokument straci ważność. Jeśli pojawią się jakieś problemy, sąd raczej na pewno wypowie się na pani korzyść, ale...

- Jakiego rodzaju problem może teraz wyniknąć? - zdziwiła się Connie.

Prawnik, który często widywał pana Kane'a jedzącego obiad u Quentina z kobietą, która nie była panią Kane, poczuł się zakłopotany.

- Radziłbym pani to zrobić - powtórzył.

- Dobrze, ale proszę to załatwić jak najdelikatniej, bez upokarzania go.

Przeszłość należy do przeszłości.

276

- Oczywiście, pani Kane - obiecał prawnik.

I tak się stało. Do biura Harry'ego przesłano dokumenty do podpisu. Bez spotkań. Gdy zjawił się w domu po podpisaniu papierów, twarz miał

surową. Doskonale go znała i umiała odczytywać nastroje. Nie powie nic wprost, ale postara się ją ukarać.

- Nie będzie mnie kilka dni - oznajmił wieczorem. Żadnego tłumaczenia, udawania. Przygotowywała dla nich kolację, ale wiedziała, że spożyje ją w samotności. Stare zwyczaje się zakorzeniają. Connie przyzwyczała się do odgrywania komedii, nawet jeśli nie była śmieszna. Bardzo powoli, jakby wymagało to ogromnej troski i uwagi, wymieszała sałatkę z pomidorów i posypała ją koperkiem.

- Czy podróż będzie męcząca? - spytała unikając pytań dokąd, dlaczego i z kim.

- Raczej nie. - Głos miał lodowaty. - Postanowiłem też odpocząć kilka dni.

- To dobrze - odparła.

- Na Bahamach. - Zapadła cisza. -Aha.

- Nie masz nic przeciwko temu? Nie jest to twoje miejsce kultowe czy coś w tym rodzaju?

Nie odpowiedziała, zdejmując z patelni plasterki gorącego boczku.

- Oczywiście podczas mojej nieobecności będziesz mogła się pocieszyć swoimi inwestycjami i udziałami, wszystkimi zdobytymi prawami. - Był

tak wściekły, że z trudem mówił.

Jeszcze kilka lat temu pełen wdzięczności wypłakiwał się na jej kolanach mówiąc, że nie zasługuje na nią, przysięgając, że już nigdy nie zostawi jej samej. Teraz stał poblady z furii, ponieważ znów domagała się udziałów w firmie.

- Przecież to tylko formalność - rzekła.

- Tak jak i moja podróż na Bahamy - rzucił z sarkazmem i poszedł na górę po rzeczy.

Nie miała wątpliwości, że dziś spędzi noc u Siobhan. Wyjadą następnego dnia. Usiadła przy stole i zjadła kolację. Przyzwyczała się do samotnych posiłków. Był ciepły, letni

277

wieczór, słyszała śpiew ptaków w ogrodzie, stłumiony wysokimi murami odgłos ruchu ulicznego. Miała duży wybór, gdyby chciała gdzieś się wybrać dzisiejszego wieczoru.

Na przykład pójść z Jackiem do kina. Stanąć przed afiszami na O'Connell Street i pospierać się, który wybrać film. Ale to niedorzeczny pomysł.

Jacko miał rację, że ich spotkanie nie ma sensu. Ale to byłoby takie zabawne, gdyby mogła podjechać swoim BMW pod jego dom w robotniczej dzielnicy i zatrąbić. Tylko głupcy sądzą, że mogliby być szczęśliwsi z kimś innym, i całe życie marnują na żałowaniu swojego wyboru. Wcale nie miała pewności, że z Jackiem byłoby lepiej. Z nim także przeżywałyby koszmar w łóżku. Ale może nie czułaby się tak samotna.

Czytała wieczorną gazetę, gdy zszedł Harry z dwoma walizkami.

Wycieczka na Bahamy zapowiadała się poważnie. Harry odczuwał

zarówno ulgę, jak i złość, że nie zrobiła mu sceny.

Spojrzała i uśmiechnęła się do niego zza okularów.

- Kiedy zamierzasz wrócić, gdyby ktoś pytał?

- A kto miałby pytać?

- Choćby twoje dzieci, ale nie wątpię, że je zawiadomisz o wyjeździe.

Więc może ktoś z twoich przyjaciół, z biura czy banku.

- W biurze wiedzą.

- W takim razie mam kierować ich do Siobhan? - spytała z niewinną miną.

- Siobhan jedzie ze mną, jak dobrze wiesz.

- No to może do kogoś innego?

- Wcale bym nie wyjeżdżał, Connie, gdybyś zachowywała się rozsądnie, a nie jak urzędnik podatkowy. Nie pozostawiasz mi wyboru.

- Ale jeśli to podróż służbowa, musisz jechać, prawda? - Wszedł

trzasnąwszy drzwiami.

Próbowała dalej czytać gazetę. Takich scen, kiedy on wychodził, a ona płakała, przeżyła zbyt wiele. Nie można tak żyć.

Natknęła się na wywiad z nauczycielem, który zorganizował wieczorowy kurs włoskiego w szkole Mountainview. Duża szkoła w nieciekawej dzielnicy. To tereny Jacka. Pan

278

Aidan Dunne nie wątpił, że okoliczni mieszkańcy zainteresują się życiem i kulturą Włoch, jak i językiem tego kraju. Od czasu Pucharu Świata w piłce nożnej pośród Dublińczyków nie ustaje zainteresowanie Włochami. Kursy oferują urozmaicony program. Connie przeczytała jeszcze raz. Możliwe, że Jacko się zapisał. Ale jeśli nawet nie, dwa razy w tygodniu będzie w pobliżu jego domu. Podano numer telefonu. Zapisze się od razu, zanim zmieni zdanie.

* * *

Jacko oczywiście się nie zapisał. Takie rzeczy zdarzają się tylko w snach.

Ale Connie się podobało. Ta niezwykła kobieta, Signora, niewiele starsza od niej, miała wszystkie cechy urodzonej nauczycielki. Nigdy nie podniosła głosu, ale wszyscy patrzyli na nią z uwagą. Nigdy nikogo nie krytykowała, ale była wymagająca.

- Constanza... niestety potrafi pani powiedzieć tylko sono le due, le tre... a nie nauczyła się pani zwrotów, wpół do godziny i kwadrans.

- Bardzo przepraszam, Signora - odpowiadała speszona Constance Kane. -

Byłam bardzo zajęta. Nie przygotowałam się.

- W przyszłym tygodniu opanuje to pani doskonale - wołała Signora i Connie bezwiednie, zatykając sobie uszy, powtarzała: sono le sei e venti.

Jak to się stało, że przyjeżdża do tej obskurnej szkoły tyle kilometrów, siedzi w klasie z trzydziestoma obcymi osobami, powtarzając chórem i śpiewając, rozpoznając obrazy włoskich malarzy, pomniki i budowle, kosztując włoskiej kuchni i słuchając włoskiej opery? A co najdziwniejsze, robi to z zachwytem.

Próbowała opowiedzieć o tym Harry'emu, gdy wrócił opalony i mniej zgryźliwy. Ale nie okazał

zainteresowania.

- To, co ciągnie cię w to cholerne miejsce, to chęć pokazywania swoich dekli - było jego jedynym komentarzem.

Vera także ją skrytykowała.

- To niebezpieczne miejsce, kuszysz los jeżdżąc takim samochodem i, na Boga, Connie, zdejmij ten złoty zegarek!

- Nie zamierzam się wywyższać i traktować tego miejsca jak getto.

279

- Nie wiem, co cię tam pcha. Nie masz gdzieś bliżej kursów włoskiego?

- Tam mi się podoba. Poza tym mam nadzieję, że spotkam przypadkiem Jacka - uśmiechnęła się Connie przewrotnie.

- Wielki Boże, czy nie masz wystarczająco dużo kłopotów? - Vera podniosła oczy ku niebu. Miała pełne ręce roboty. Prowadziła biuro Kevina i opiekowała się wnuczkiem. Deirdre urodziła cudowne, duże dziecko, ale oświadczyła, że nie zamierza oddać się w niewolę staromodnym teoriom na temat małżeństwa.

Connie polubiła uczestników kursu. Poważnego Billa Burke'a, Guglielma, i jego zadziwiającą przyjaciółkę Elizabetę. Bill pracował w banku, który utworzył pakiet pomocy dla Harry'ego i jego wspólników. Był jednak zbyt młody, żeby o tym wiedzieć. Ale i tak nie mógłby rozpoznać w Constanzy pani Kane. Miłymi towarzyszkami okazały się także przebojowe kobiety Caterina i Francesca, nie wiadomo, czy siostry, czy matka z córką.

Był tam też postawny, dobroduszny Lorenzo, z rękami szerokimi niczym łopaty, z którym Connie ćwiczyła scenę w restauracji, ona jako kelnerka, on jako gość.

Una tavola vicina alla finestra, mówił i Connie przesuwała kartonowe pudło pod rysunek wyobrażający okno. Tam sadzała Lorenza, czekając, aż zdecyduje się, co zamówić. Lorenzo nauczył się nazw wielu nowych potraw, jak węgorz, gęsie wątróbki i morskie jeżowce. Signora protestowała, nakłaniając, by uczył się tylko nazw przez nią podanych.

- Pani nie rozumie, Signora. Ludzie, z którymi będę się spotykał we Włoszech, to wykwinтни smakosze, a nie klienci pizzerii.

Był tam też złowrogi i chmurny Luigi, który miał niezwykły dar kaleczenia włoskiego. Normalnie nigdy by go nie spotkała. Czasami była z nim w parze, jak podczas zabawy w lekarza i pielęgniarki z nie istniejącymi stetoskopami, kiedy kazał jej głęboko oddychać. *Respiri profondamente per favore*, Signora, wołał Luigi przykładając ucho do drugiego końca wyimaginowanej gumowej rurki. *Non mi sento bene*, odpowiadała Connie.

Stopniowo stawali się mniej spięci, bardziej pewni siebie i zjednoczeni wspólnym marzeniem o podróży do Włoch latem przyszłego roku. Connie, która spokojnie mogła kupić każdemu bilet na lot rejsowy, przyłączała się do dyskusji na temat sposobów sponsorowania, obniżenia kosztów, wpłacania zaliczek na czarter grupowy. Jeśli zbiorą grupę, ona oczywiście też pojedzie.

Zauważyła wyraźną poprawę stanu szkoły. Nowa warstwa farby, nowe sadzonki drzew, odnowione boisko, nowe przechowalnie rowerów.

- Przeprowadza tu pan prawdziwą rewolucję - pochwaliła Connie przystojnego dyrektora pana O'Briena z bujną czupryną, który pojawiał się od czasu do czasu na zajęciach, by wyrazić swe uznanie dla kursu.

- To żmudna praca, pani Kane. Gdyby szepnęła pani słówko w naszej sprawie tym finansistom, z którymi spotyka się pani i pani mąż, byłibyśmy wdzięczni.

Dobrze wiedział, kim jest. Ale przez uprzejmość nie wypytywał jej, jak się tu znalazła.

- To są ludzie bez serca, panie O'Brien. Nie rozumieją, że szkoły stanowią przyszłość kraju.

- Coś o tym wiem - westchnął. - Czyż nie spędzam połowy życia w piekielnych bankach, wypełniając formularze? Zapomniałem już, jak uczyć.

- Ma pan żonę i rodzinę, panie O'Brien? - Connie sama się zdziwiła, dlaczego zadaje mu tak osobiste pytanie. Nigdy nie była wścibska. W

czasie pracy w hotelu nauczyła się raczej słuchać, niż wypytywać.

- Tak się składa, że nie - odparł.

- Lepiej, żeby pan poświęcił się szkole. Uważam, że większość ludzi nie powinna się żenić. Mój mąż jest tego dowodem.

Uniósł brwi. Connie zrozumiała, że posunęła się za daleko jak na zwykłą, towarzyską rozmowę.

- Przepraszam - zaśmiała się. - Nie chciałam z siebie robić nieszczęśliwej żony. Po prostu stwierdzam fakt.

- Faktem też jest, jak bardzo pragnąłbym się ożenić - wyznał z uśmiechem.

Starał się być miły. Powierzono mu tajemnicę, powinien odwzajemnić okazane zaufanie. - Problem w tym,

że nie spotkałem osoby, z którą chciałbym spędzić wspólne życie, aż do teraz, gdy stałem się za stary.

- Ależ pan nie jest stary!

- Jestem. Znalazłem nieodpowiednią osobę, to jeszcze dziecko. Prawdę mówiąc, to córka pana Dunne - rzekł skinąwszy głową w kierunku szkoły, gdzie Aidan Dunne i Signora żegnali się z klasą.

- Czy ona pana kocha?

- Mam nadzieję. Ale nie nadaję się dla niej, jestem o wiele za stary.

Zupełnie się nie nadaję. Poza tym są jeszcze inne problemy.

- Co sądzi o tym pan Dunne?

- On nic nie wie, pani Kane. Westchnęła głęboko.

- Teraz rozumiem, co pan ma na myśli, mówiąc o problemach. Cóż, muszę już iść. Życzę powodzenia w ich rozwiązaniu.

Uśmiechnął się do niej, rad, że nie zadała więcej pytań.

- Pani mąż kompletnie oszalał, poświęcając się tylko pracy.

- Dziękuję, panie O'Brien. - Wsiadła do samochodu i pojechała do domu.

Odkąd zapisała się na kurs, dowiedziała się niezwyklej rzeczy o ludziach.

Niesamowita dziewczyna z kręconymi włosami, Elizabetta, oświadczyła, że Guglielmo zamierza w przyszłym roku zarządzać bankiem we Włoszech, gdy tylko opanuje język. Ponury Luigi spytał ją, czy można poznać, że ktoś nosi na palcu pierścionek wart dwanaście tysięcy funtów.

Aidan Dunne chciał się dowiedzieć, gdzie można dostać używane kolorowe dywany. Bartolomeo z kolei pytał ją, czy zna kogoś, kto popełnił

samobójstwo, i czy takie osoby podejmują następne próby. Bardzo interesuje to jego przyjaciela, jak podkreślał wielokrotnie. Caterina, która była albo siostrą, albo córką Franceski - nie sposób zgadnąć - oznajmiła, że jadła lunch w Quentinie i karczochy smakowały wyśmienicie. Lorenzo martwił się, że rodzina, u której zamierzał zatrzymać się we Włoszech, jest bardzo bogata i nie chciałby się ośmieszyć. A teraz pan O'Brien oznajmia, że ma romans z córką pana Dunne'a.

282

Kilka miesięcy temu nie miała pojęcia ani o tych ludziach, ani o ich życiu.

W deszczowe dni podwoziła ich do domu, ale na tyle rzadko, żeby jej samochód nie zamienił się w taksówkę. Zrobiła wyjątek dla Lorenza, który miał daleko i musiał się jeszcze przesiadać. Mieszkał w hotelu siostrzeńca.

Tam też pracował jako pomoc i nocny portier. Inni po zajęciach wracali do domu i kładli się od razu spać lub oglądali telewizję, jeszcze inni szli do pubu czy kawiarni. Ale Lorenzo wracał do pracy. Podwiezienie po zajęciach ogromnie ułatwiało mu życie, więc Connie zawsze starała się to robić.

Naprawdę nazywał się Laddy. Ale dla ułatwienia używali włoskich imion.

Laddy został zaproszony do Rzymu. Był potężnym, prostym i dobrodusznym sześćdziesięcioletkiem. Nie widział nic niezwykłego w tym, że do hotelu odwozi go kobieta w eleganckim aucie.

Kiedyś zaczął jej opowiadać o swym siostrzeńcu Gusie i jego problemach z hotelem. Gus pracował jak wół, ale mogło się okazać, że na darmo.

Kłopoty finansowe hotelu wiązały się z upadkiem jakiś czas temu znanej spółki ubezpieczeniowo-inwestycyjnej. Jakimś cudem udało im się odzyskać włożone w nią pieniądze. Siostra Lorenza znajdowała się wtedy w szpitalu i ze zmartwieniaomal nie pękło jej serce. Ale Bóg się ulitował i nie zobaczyła jedyne go syna na skraju bankructwa. Umarła szczęśliwa.

Słuchając tego Connie zagryzała wargi. To właśnie od takich ludzi Harry się odwrócił. Na czym więc polega nowy problem, zastanawiała się. No tak, wróciła stara sprawa. Kiedy spółka w końcu wykupiła zadłużenie, nakłoniła ich do ponownej inwestycji dużych sum. Tłumaczyła, że to rodzaj podziękowania za pomoc w tamtej trudnej sytuacji. Firma wcale nie musiała się tak wtedy zachować. Lorenzo niewiele z tego rozumiał, ale martwił się ogromnie. Gus był już u kresu wytrzymałości, próbował

wszystkiego. Hotel powinien być odremontowany, zażądano nowego sprzętu przeciwpożarowego. Wszystko, co miał, poszło na nową inwestycję i nie było szans na odzyskanie pieniędzy. Na pewno nie na Bahamach, gdzie obowiązujące tam prawo praktycznie to uniemożliwiało.

283

Connie zwolniła i zjechała na pobocze.

- Czy możesz opowiedzieć mi o tym jeszcze raz, Lorenzo? - Twarz miała bladą.

- Nie jestem ekspertem w sprawach finansowych, Constanza.

- Mogłabym porozmawiać z twoim siostrzeńcem? Proszę!

- Może mu się nie spodobać, że pani powiedziałem - przestraszył się Lorenzo.

- Proszę, Lorenzo!

Podczas rozmowy ze zrozpaczonym Gusem Connie musiała poprosić o brandy. Cała ta historia była tak plugawa, tak podła. Przez ostatnie pięć lat Gusa i prawdopodobnie wielu, wielu innych mu podobnych nakłoniono do zainwestowania w dwie zupełnie niezależne spółki z siedzibą we Freeport i Nassau.

Ze łzami w oczach Connie przeczytała, że dyrektorami byli Harold Kane i Siobhan Casey. Gus i Lorenzo patrzyli na nią zdumieni. Connie wyciągnęła książeczkę czekową i wypisała pokaźny czek dla Gusa, zapisała mu także adres firmy budowlanej i dekoracyjnej prowadzonej przez jej przyjaciół, za których ręczyła. Poleciała też firmę elektroniczną, ale prosiła, by nie wymieniano jej nazwiska.

- Ale dlaczego pani to robi, Constanza? - Gus nic z tego nie rozumiał.

Connie wskazała na nazwiska na papierach firmowych.

- Ten mężczyzna to mój mąż, a kobieta to jego kochanka. Przymknęłam oczy na jego romans. Nie obchodzi mnie, że z nią sypia, ale, na Boga, nie pozwolę, żeby korzystał z moich pieniędzy, oszukując uczciwych ludzi. -

Wiedziała, że w ich pojęciu zachowuje się jak wariatka.

- Nie mogę przyjąć tych pieniędzy, pani Kane. Nie mogę. To za duża suma.

- Do zobaczenia we wtorek, Lorenzo - powiedziała tylko i wyszła.

* * *

Zawsze, gdy wracała do domu, miała nadzieję, że Harry będzie na nią czekał, ale rzadko się to zdarzało. Dzisiejszy wieczór nie należał do wyjątków. Było już późno, ale zadzwoniła

284

do starego przyjaciela ojca, adwokata T.P. Murphy'ego. I do doradcy prawnego. Umówiła się na następny dzień rano. Wszystko odbyło się bez oskarżeń i zbędnych wyjaśnień. Skończyli rozmowę o jedenastej wieczorem.

- I co teraz zamierzacie? - spytała prawnika.

- Zadzwonimy do Harcourt Square - odparł zwięźle. Mieścił się tam Wydział do Spraw Defraudacji.

Tej nocy się nie pojawił. Nie mogła zasnąć. Nagle ten dom, który prowadziła przez tyle lat, wydał się jej śmieszny. Dzieci mieszkały już u siebie. Rano zmęczona pojechała do miasta. Zaparkowała samochód.

Wziąwszy głęboki oddech, weszła po schodach do biura na spotkanie, które miało zakończyć niechlubny rozdział w życiu jej męża.

Ostrzegano ją, że sprawa nabierze znacznego rozgłosu, bardzo nieprzyjemnego, a i ona zostanie obrzucona błotem. Proponowano, żeby zamieszkała gdzie indziej. Dawno temu kupiła małe mieszkanie na wypadek, gdyby matka postanowiła przeprowadzić się z powrotem do Dublina. Na parterze, blisko morza. Idealne miejsce. Może się tam znaleźć w ciągu kilku godzin.

- Tyle właśnie potrwa to spotkanie - powiedziano jej. Na własne życzenie spotkała się z Harrym w

cztery oczy. Siedział w swoim biurze patrząc, jak zabierają dokumentację firmy wraz z całym oprogramowaniem.

- Pragnąłem tylko stać się kimś - rzekł głucho.

- Już raz to mówiłeś.

- I powtarzam jeszcze raz. Mówienie o czymś dwa razy nie oznacza, że się kłamie.

- Byłeś kimś, zawsze byłeś kimś. Ale ty musiałeś mieć wszystko.

- Ale po co to zrobiłaś? Niczego ci nie brakowało.

- Tak, niczego.

- No, poza jednym. Byłaś zimną, zazdrosną suką i wciąż jesteś!

- Nigdy nie byłam zazdrosna o to, co Siobhan Casey mogła ci zaofiarować, nigdy - odparła spokojnie.

- Więc dlaczego?

- Ponieważ postąpiłeś podle. Dostałeś raz ostrzeżenie 285

i wyszedłeś obronną ręką. Ale to cię niczego nie nauczyło. Wciąż było ci mało.

- Nic nie wiesz o mężczyznach, nic! - wybuchnął. - Nie tylko nie masz pojęcia, jak ich zadowolić, ale uważasz, że prawdziwy mężczyzna może się zgodzić na jałmużnę od kobiety!

- Musisz być silny, Harry, przez wzgląd na dzieci.

- Wyjdź stąd, Connie!

- Dzieci bardzo cię kochają, szczególnie po ostatnich wydarzeniach.

Prowadzą własne życie, ale nadal jesteś ich ojcem. Ciebie nie obchodził

własny ojciec, ale większość ludzi tak nie postępuje.

- Naprawdę mnie nienawidzisz, prawda? Cieszysz się, że zamkną mnie w więzieniu.

- Nie, i prawdopodobnie nie spędzisz w nim wiele czasu, jeśli w ogóle.

Zawsze spadałeś na cztery łapy. - Opuściła biuro.

Na mosiężnej plakietce na drzwiach obok zauważyła nazwisko Siobhan Casey. Ze środka także zaczęto wynosić dokumentację. Siobhan najwyraźniej nie miała rodziny ani przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc.

Siedziała teraz w otoczeniu bankowców, inspektorów z wydziału defraudacji i prawników.

Connie szła z uniesioną wysoko głową. Ręka jej nie drżała, gdy nacisnęła przycisk przy kluczykach, samoczynnie otwierający drzwiczki samochodu.

Wsiadła i pojechała do swojego nowego mieszkania nad morzem.

286

Rozdział Siódmy.

Laddy.

Podczas wymyślania imion dla uczestników kursu, Signora starała się tak dobrać ich włoskie odpowiedniki, by raczej przypominały pierwotne imiona, niż były dokładnym ich tłumaczeniem. Była w grupie kobieta imieniem Gertie, czyli Margaret, a więc po włosku Margareta. Ale Gertie nigdy nie dopatrzyłaby się w tym swego imienia, więc Signora zaproponowała jej imię Gloria. Tak się jej spodobało, że myślała o zachowaniu go na zawsze.

Potężny mężczyzna o stroskanej twarzy przedstawił się jako Laddy.

Signora zawahała się. Nie ma sensu zastanawiać się nad pochodzeniem tego imienia. Wymyśli mu coś, co będzie mógł z przyjemnością wymawiać.

- Lorenzo! - zawołała. Spodobało się mu.

- Czy tak mówią we Włoszech? - upewniał się.

- Tak, Lorenzo - powtórzyła Signora.

- Lorenzo, kto by pomyślał. - Laddy był zachwycony. Powtarzał bez końca. - Mi chiamo Lorenzo.

* * *

Laddy na chrzcie, na początku lat trzydziestych, otrzymał imiona John Matthew Joseph Byrne, ale nigdy nie zwracano się do niego inaczej niż Laddy. Jedyne dziecko w rodzinie po pięciu córkach. Mała farma była zabezpieczona. Będzie miał ją kto prowadzić.

Ale życie nie zawsze toczy się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli.

287

Laddy wracał właśnie ze szkoły, półtorej mili przez błota i wilgotny las, gdy zobaczył zbliżające się siostry. Wiedział, że zdarzyło się coś strasznego. Najpierw pomyślał o swoim psie collie, Tripperze, którego bardzo kochał. Może skaleczył się w nogę albo ugryzł go szczur.

Próbował przebiec obok płaczących dziewcząt, ale go zatrzymały.

Powiedziały, że mama i tata są już w niebie i od teraz one będą się nim opiekować.

- Nie mogli odejść jednocześnie.

Laddy miał osiem lat i wiele rozumiał. Ludzie umierają kolejno, nosi się wtedy czarne ubrania i płacze.

Ale stało się inaczej. Zginęli razem na przejeździe kolejowym, gdy próbowali uwolnić zaklinowany w szynach wózek. Pociąg uderzył w nich, zanim zdążyli cokolwiek zrobić. Laddy pogodził się z myślą, że Bóg tak chciał i wezwał ich do siebie, ale długo nie mógł pojąć, dlaczego wybrał taką drogę.

Tragedia wywołała wiele bólu i cierpienia. Maszynista pociągu nie mógł

dojść do siebie i skończył w zakładzie dla umysłowo chorych. Ludzie, którzy znaleźli ciała mamy i taty, nigdy o tym później nie opowiadali.

Laddy zapytał kiedyś księdza, dlaczego Bóg nie zesłał na mamę i tatę ciężkiej choroby, jeśli pragnął ich śmierci. Ksiądz podrapał się w głowę i wyjaśnił, że to tajemnica i gdybyśmy rozumieli wszystkie boskie poczynania, byłibyśmy tak mądrzy jak On, co oczywiście jest niemożliwe.

Najstarsza siostra Laddy'ego była pielęgniarką w miejscowym szpitalu. Z

ciężkim sercem zrezygnowała z pracy, by zająć się rodziną. Musiała też przestać spotykać się z chłopcem, który nie wyobrażał sobie dalej związku z dziewczyną, mieszkającą od niego półtorej mili na farmie pełnej dzieci, wymagających ciągłej opieki.

Ale Rosę stworzyła im prawdziwy dom. Co wieczór w kuchni pilnowała odrabiania lekcji, prała i cerowała ubrania, gotowała i sprzątała, uprawiała warzywa, hodowała kury i zatrudniła Shaya Neila jako pomocnika na farmie.

Shay zajmował się małym stadem bydła i zarządzał gospodarstwem.

Chodził na targi i bazy, zawierał umowy. Mieszkał w oddzielnym wyremontowanym budynku gospodarczym. Wszystko musiało wyglądać bez zarzutu. Co by ludzie powiedzieli,

288

gdyby pomocnik na farmie przebywał razem z dziewczynkami i małym chłopcem?

Ale dziewczynki nie zostały na farmie. Rosę postarała się, by zdały egzaminy i z jej zachętą ruszyły w świat. Jedna na pielęgniarstwo, druga na nauczycielkę, trzecia do pracy w sklepie w Dublinie, a czwarta na urzędniczkę w administracji państwowej.

Wszyscy byli zgodni, że dzięki Rosę i zakonnicom dziewczynki wyszły na ludzi. Rosę włożyła wiele wysiłku w wychowanie małego Laddy'ego.

Wyrósł na silnego szesnastoletniego chłopca. Prawie nie pamiętał

rodziców. Miał tylko Rosę, cierpliwą, poważną i wyrozumiałą.

Potrafiła godzinami ślęczeć z nim nad książkami, w kółko powtarzając zadany materiał i nie denerwując się, gdy rano czegoś zapomniał. Z tego, co słyszał od kolegów w szkole, Rosę była lepsza niż niejedna matka.

W tym czasie odbyły się dwa śluby. Rosę przygotowała przyjęcie i różne atrakcje dla młodszych siostr. To było wielkie wydarzenie. Na ścianach zawisły pamiątkowe zdjęcia zrobione przed domem, który Shay wcześniej odmalował. Shay oczywiście uczestniczył w uroczystościach, ale jakby na drugim planie. Był przecież tylko wynajętym pracownikiem.

Niedługo potem siostra Laddy'ego, która pracowała w Anglii, zawiadomiła, że bierze cichy ślub w urzędzie stanu cywilnego, co oznaczało, że jest w ciąży. Rosę zaproponowała w liście, że przyjadą do niej z Laddym, jeśli to w czymś pomoże. Siostra odpisała w słowach pełnych wdzięczności, ale podkreśliła, że przyjazd w niczym nie pomoże.

Siostra, która uczyła się pielęgniarstwa, wyjechała do Afryki. A więc rodzina Byrne'ów urządziła się, jak mówili ludzie. Rosę zajmie się farmą, aż biedny Laddy dorośnie i będzie mógł ją przejąć, oby Bóg sprawił, żeby to się udało. Uważali, że Laddy jest trochę niedorozwinięty. Wszyscy z wyjątkiem Rosę i Laddy'ego.

W wieku szesnastu lat powinien był przystąpić w szkole do egzaminów końcowych, ale nikt o tym nie wspominał.

- Rety, nie przejmują się w tej szkole - zauważyła pewnego dnia Rosę. -

Myślałam, że będą jakieś powtórki, plany i intensywniejsza nauka, a tu cisza.

289

- Chyba w tym roku nic z tego nie wyjdzie - oznajmił Laddy.

- Dlaczego? Przecież kończysz czwarty rok. Kiedy miałbyś je zdawać?

- Brat Gerald nic o tym nie mówił. - Laddy był wyraźnie zmartwiony.

- Porozmawiam z nim, Laddy. - Rosę rozwiązywała wszystkie problemy.

Miała już prawie trzydzieści lat, była piękną ciemnowłosą kobietą, pogodną i dobroduszną. Mężczyźni interesowali się nią, ale nigdy nie brała tego poważnie. Musiała się opiekować rodziną. Na romanse przyjdzie czas później. Z radosnym uśmiechem odmawiała odpowiednio wcześniej, by nikt nie czuł się urażony.

Rosę spotkała się z bratem Geraldem, niskim, uprzejmym mężczyzną, o którym Laddy zawsze dobrze się wyrażał.

- Och, panno Rosę, kiedy pani przejrzy na oczy - powiedział. - Laddy to czysty skarb, ale biedakowi pomieszało się w głowie.

Rosę poczerwieniała ze złości.

- Brat nic nie rozumie - zaczęła. - On jest pełen zapału, chce się uczyć, może lekcje są dla niego za trudne?

- Nie potrafi czytać nie wodząc palcem po kartce, a i tak przychodzi mu to z trudem.

- To taki nawyk. Można się go pozbyć.

- Staram się to zrobić od dziesięciu lat i bez skutku.

- To jeszcze nie koniec świata. Nie zawałił żadnego egzaminu. Nie uzyskał

nigdy oceny niedostatecznej. Przystąpi do egzaminów, prawda? - Brat Gerald westchnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. -

Proszę mówić, bracie Geraldzie. Nie będziemy się o niego kłócić. Oboje pragniemy tylko jego dobra.

- Nigdy nie oblał testu, panno Rosę, gdyż nigdy go nie pisał. Nie chciałem go tak upokarzać. Dlaczego miał być zawsze ostatni?

- I co on robi, gdy inni piszą test?

290

- Wykonuje dla mnie różne polecenia. To uczciwy, dobry chłopak.

- Jakiego rodzaju polecenia?

- Przenoszenie pudeł z książkami, rozpalanie ognia w pokoju nauczycielskim, zanieśenie czegoś na pocztę.

- A więc czesne w tej szkole płacę po to, żeby mój brat mógł być chłopcem na posyłki?

- Panno Rosę Byrne. - Oczy zaszły mu łzami. - Pani wszystko przekręca. I o jakim czesnym pani mówi? Kilka funtów rocznie. Laddy jest u nas szczęśliwy, wie pani o tym. Co więcej możemy dla niego zrobić? Nie ma najmniejszej szansy, żeby zdawał egzamin końcowy ani żaden inny, musi pani to zrozumieć. Chłopiec jest niedorozwinięty, staram się to pani wytłumaczyć. Życzyłbym sobie, żeby to był jedyny problem uczniów, którzy przewinęli się przez tę szkołę.

- Co ja z nim zrobię? Liczyłam, że pójdzie do technikum rolniczego, gdzie nauczy się prowadzić farmę.

- To ponad jego siły, panno Rosę. Nawet gdyby się dostał, co jest niemożliwe.

- W takim razie, jak będzie prowadził gospodarstwo?

- Nie będzie. Pani się tym zajmie. Przecież doskonale pani o tym wiedziała.

Rosę nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Aż do teraz.

Wracała do domu z ciężkim sercem.

Shay Neil układał widłami nawóz. Jak zwykle chłodno kiwnął głową.

Stary pies Laddy'ego szczeknął na powitanie. Laddy podszedł do drzwi.

- Czy brat Gerald skarżył się na mnie? - spytał ze strachem.

- Powiedział, że jesteś najlepszym pomocnikiem, jakiego kiedykolwiek miała ta szkoła. - Bezwiednie zaczęła mówić do niego jak do dziecka, przybierając uspokajający, łagodny ton.

Ale Laddy nic nie zauważył. Twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

- Naprawdę?

291

- Tak, chwalił cię za rozpalanie ognia, noszenie książek i roznoszenie przesyłek. - Miała nadzieję, że nie wyczuł w jej głosie ironii.

- O tak, nie każdemu można zaufać tak jak mnie - powiedział Laddy z dumą.

- Boli mnie trochę głowa, Laddy. Wiesz co? Byłoby wspaniale, gdybyś mógł mi przynieść kubek herbaty i suchary. I może też dla Shaya.

- Mam mu też pokroić szynkę i pomidory?

- Tak, Laddy, świetnie.

Poszła na górę, by się położyć. Dlaczego nie zauważyła, że jej brat jest niedorozwinięty? Czy rodzice zawsze idealizują swoje dzieci i nadmiernie się o nie troszczą?

Nigdy się nie dowie. Nie zamierzała wychodzić za mąż. Będzie mieszkać tu ze swoim nienormalnym bratem i ponurym pomocnikiem. Nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Zawsze będzie już tak samo. Jej życie pozbawione zostało wszelkiej radości.

Co tydzień pisała listy do jednej z sióstr. Opowiadała, co się działo na farmie, jak radzi sobie Laddy.

Teraz pisanie przychodziło jej z trudem. Czy one zdawały sobie sprawę z ułomności brata? Czy dlatego były pełne wdzięczności i uznania? Dlatego, że poświęciła swoje życie Laddy'emu?

Nie rozumiała, że tak właśnie było. Wydawało się jej, że zrezygnowała z młodości, z kariery pielęgniarki tylko z powodu śmierci rodziców. Myślała o nich z goryczą. Dlaczego ciągnęli ten piekielny wózek, zamiast zostawić go w spokoju, by ratować życie?

Miała wysłać urodzinową kartkę do siostrzenicy i banknot dziesięciofuntowy. Wkładając go do środka pomyślała, że wszyscy pewnie uważają ją za szczęściarę. Pomimo kłopotów. Miała przecież ziemię. Nie wiedzieli, że ona wcale jej nie chce. Oddałaby ją pierwszemu, który by się nią zainteresował, gdyby była pewna, że zapewni Laddy'emu dobre życie do końca jego dni.

Każdego lata przyjeżdżało wesołe miasteczko. Rosę zabierała Laddy'ego i razem jeździli elektrycznymi samochodzikami

292

i kręcili się na karuzeli. Gdy wjeżdżali do tunelu strachów, przytulał się do niej mocno, krzycząc z przerażeniem, ale potem prosił o kolejne dziesięć szylingów na to samo. Spotykała ludzi z miasta, którzy pozdrawiali ją ciepło. Podziwiano Rosę Byrne. Teraz wiedziała, dlaczego. Cenili ją za to, że poświęciła życie dla drugiej osoby. Brat bawił się doskonale.

- Czy możemy wydać pieniądze, które dostaliśmy ze sprzedaży jajek?

- Część tak, ale nie wszystkie.

- Na co lepszego można wydać te pieniądze, jeśli nie na zabawę? -

powiedział i podszedł do stoiska z grami zręcznościowymi.

Wygrał dla niej figurę Najświętszego Serca Jezusowego. Rozpierała go duma.

Nagle usłyszała za sobą głos:

- Zaniosę to na farmę, żeby pani nie musiała się z tym włóczyć cały dzień.

- Był to Shay Neil. - Włożę to do koszyka przy rowerze.

Rosę uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Czyż to nie wspaniałe, Shay? Zawsze jesteś, gdy cię potrzebujemy.

- Dziękuję, panno Rosę.

Coś w jego głosie ją zaniepokoiło. Jest pijany? Spojrzała na niego ostro.

Właściwie co jej do tego? Miał wolny dzień. Mógł pić, jeśli chciał. On także nie miał łatwego życia.

Mieszkanie w starym budynku, wywalanie gnoju, dojenie krów. Z tego, co wiedziała, nie miał przyjaciół ani rodziny.

Czyż nie należało mu się kilka kieliszków whisky?

Podeszli do wróżki.

- Spróbujemy? - zaproponowała.

Laddy bardzo się ucieszył, że zostali na zabawie. Bał się, że Rosę będzie chciała wracać do domu.

- Byłoby cudownie, gdyby mogła mi powróżyc.

Cyganka Ella długo wpatrywała się w jego rękę. Przepowiedziała mu ogromny sukces w sporcie, długie życie, pracę wśród ludzi. I podróż.

Podróż zamorską. Rosę westchnęła. Niepotrzebnie mówiła jeszcze o tej podróży. Wiadomo było, że Laddy nigdy nie pojedzie za granicę sam.

293

A ona nie miała żadnych szans na wyjazd dokądkolwiek.

- A teraz ty, Rosę.

Cyganka spojrzała zadowolona.

- Ale ja doskonale znam swoją przyszłość, Laddy. -Tak?

- Moja przyszłość to farma i ty.

- Przecież mam się spotykać z ludźmi i wyjechać za granicę!

- No tak, no tak - przytaknęła Rosę.

- Więc dalej, pokaż swoją rękę - zachęcał zniecierpliwiony.

Cyganka Ella wywróżyła, że w ciągu najbliższego roku Rosę wyjdzie za mąż. Urodzi jedno dziecko, które stanie się dla niej źródłem ogromnej radości.

- Czy mnie też czeka podróż? - spytała przez uprzejmość.

Nie. Cyganka nie widziała żadnego wyjazdu. Będą problemy ze zdrowiem, ale krótko. Rosę zapłaciła pół korony i przed wyjściem kupiła jeszcze dla obojga lody. Powrót do domu wyjątkowo ją zmęczył, cieszyła się, że nie musi dźwigać figury.

W domu Laddy wciąż opowiadał, jaki to był wspaniały dzień i że tak naprawdę wcale się nie bał w tunelu strachu. Rosę wpatrywała się w ogień w kominku, rozmyślając o Cygance. Jak można tak żyć,

przenosząc się z miejsca na miejsce z tą samą grupą ludzi. Może była żoną mężczyzny od elektrycznych samochodzików.

Laddy poszedł do łóżka poczytać komiks, zakupiony w wesołym miasteczku. Rosę była ciekawa, co tam teraz robią. Niedługo je zamkną.

Kolorowe światła zostaną wyłączone, ludzie wejdą do wozów i przyczep.

Tripper leżał obok pochrapując cicho. Laddy na górze pewnie już zasnął.

Na dworze panowała ciemność. Rosę rozmyślała o małżeństwie, dziecku i chorobie. Powinni zabronić wróżenia. Niektórzy są na tyle naiwni, że mogą w to uwierzyć.

Obudziła się nagle z uczuciem, że coś ją dusi. Leżał na niej jakiś wielki ciężar. W panice próbowała się podnieść. Czy spadła na nią szafa? Czy oderwał się kawał dachu?

294

Gdy chciała krzyknąć, czyjaś ręka zasłoniła jej usta. Poczowała alkohol. Z

obrzydzeniem zrozumiała, że leży na niej Shay Neil.

Usiłowała uwolnić głowę.

- Proszę, Shay - szepnęła - proszę, nie rób tego.

- Błagałaś o to - wydusił próbując rozsunać jej nogi.

- Shay, ależ nie. Nie chcę, żebyś to robił. Shay, odejdz, a nigdy do tego nie wrócimy.

- Więc dlaczego mówisz szeptem? - powiedział cicho.

- Nie chcę obudzić Laddy'ego, przestraszyć go.

- Nie, nie chcesz go obudzić, bo pragniesz, żebyśmy to robili.

- Dam ci, czego zażadasz.

- Nie, teraz ja ci coś dam. - Był ciężki, brutalny, zbyt silny. Miała dwa wyjścia. Mogła zawołać Laddy'ego, żeby przyszedł i go uderzył. Ale czy chciała, żeby ją tak zobaczył, z porwaną koszulą nocną, przygniecioną ciężarem Shaya? Mogła też się poddać. Rosę wybrała to drugie.

* * *

Rano uprała pościel, spaliła nocną koszulę i otworzyła szeroko okna.

- Shay musiał dzisiaj w nocy wchodzić na górę - zauważył Laddy przy śniadaniu.

-Tak?

-Figura, którą dla ciebie wygrałem, leży na piętrze. Przyniósł ją na górę.

- Tak, możliwe - mruknęła Rosę.

Czuła się okaleczona i obolała. Poprosi Shaya, żeby odszedł. Laddy będzie się dopytywał. Musi wymyślić jakąś historię dla niego i sąsiadów. Nagle ogarnęła ją fala gniewu. Dlaczego ona, Rosę, która nie ponosi najmniejszej winy za to, co się stało, ma się tłumaczyć, wyjaśniać i ukrywać fakty? To najbardziej niesprawiedliwa rzecz, jaka spotkała ją w życiu.

Minął kolejny poranek jak wiele poprzednich. Przygotowywała kanapki dla Laddy'ego, wysyłała go do szkoły, w której, jak już wiedziała, załatwiał jedynie dla nauczycieli różne sprawy. Zbierała jajka, karmiła kury. Prześcieradła

295

i poszewki łopotwały na sznurze, koc leżał rozłożony na żywopłocie.

Weszło w zwyczaj, że śniadanie, chleb z masłem i herbatę, Shay jadł u siebie. Po dzwonach na Anioł Pański, których brzmienie dobiegało z miasta, mył ręce i twarz pod pompą na podwórku i przychodził na obiad.

Nie zawsze było mięso, czasami zupa. Ale zawsze miska ziemniaków, kubek wody i herbata. Po posiłku Shay zbierał swoje naczynia, sztućce i mył w zlewozmywaku.

Nie były to wesołe spotkania. Często Rosę po prostu czytała, a Shay nigdy nie podejmował rozmowy. Tego dnia nie przygotowała obiadu. Gdy przyjdzie, powie mu, że ma odejść. Ale dzwony były na Anioł Pański, a Shay się nie pojawił. Wiedziała, że pracuje. Słyszała, jak przyprowadzano krowy do dojenja, widziała bańki pełne mleka pozostawione, by zebrała się śmietanka.

Zaczęła się bać. Może znów zamierza ją zaatakować. Może brak reakcji z jej strony dzisiejszego ranka poczytał za zachętę. Opacznie zrozumiał

oddanie się mu w nocy. Pragnęła tylko uchronić Laddy'ego od czegoś, czego by nie zrozumiał szesnastolatek, a zwłaszcza on.

O drugiej zaniepokoiła się nie na żarty. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby Shay nie przyszedł na popołudniowy posiłek. Czy czyhał gdzieś, by ją chwycić i powtórnie skrzywdzić? Na Boga, tym razem zamierza się bronić! Za drzwiami kuchennymi stał drąg z zagiętymi na końcu gwoździemi. Używali go do zgarniania gałęzi i patyków ze słomianego dachu. Doskonały do obrony. Zabrała go do środka i siadła przy stole, zastanawiając się, co robić dalej.

Otworzył drzwi i znalazł się w kuchni, zanim zdała sobie z tego sprawę.

Sięgnęła po drąg, ale Shay kopnął go na bok. Twarz miał bladą, cały się trząsł.

- To, co stało się ostatniej nocy, nie powinno się stać - powiedział drżącym głosem. Usiadł przy stole. - Byłem bardzo pijany. Mam słabą głowę.

Zrobiłem to przez ten alkohol.

Szukała słów, by mu powiedzieć, żeby opuścił ten dom, wyniósł się stąd na zawsze, ale tak, by nie sprowokować ponownego ataku. Nie mogła jednak nic z siebie wydusić. Przyzwyczajili się do milczenia. W tej kuchni z Shayem Neilem

296

spędzała godziny, dni, tygodnie bez słowa. Teraz odczuwała strach i obrzydzenie mając wciąż w uszach jego stękania i jęki z zeszłej nocy.

- Chciałbym, żeby ostatnia noc nie miała miejsca - rzekł w końcu.

- I ja też, na Boga, ja też - przytaknęła. - Ale skoro się stało... - Teraz musi to powiedzieć, wyrzucić go z ich życia.

- Skoro się stało - dokończył - wydaje mi się, że nie powinienem już więcej przychodzić tu na obiad. Sam będę przygotowywał sobie jedzenie.

Tak będzie najlepiej.

Naprawdę zamierzał zostać, po tym wszystkim? Po najbardziej przerażającej i brutalnej napaści na drugą istotę, uważał, że wystarczy zmienić układ posiłków, by sprawa została załatwiona? Musiał postradać zmysły.

Mówiła łagodnie, ale zdecydowanie. Nie mogła okazać strachu.

- Nie, Shay, to nie wystarczy, myślę, że powinieneś odejść. Niełatwo zapomnimy, co się wydarzyło. Musisz zacząć pracę gdzie indziej.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nie mogę odejść - rzekł.

- Znajdziesz inne miejsce.

- Nie mogę odejść. Ja cię kocham.

- Nie mów bzdur. - Była zła i jeszcze bardziej przerażona. - Nie kochasz mnie ani nikogo innego. To, co zrobiłeś, nie miało nic wspólnego z miłością.

- Powiedziałem ci, że byłem wtedy pijany, ale ja cię kocham.

- Musisz odejść, Shay.

- Nie zostawię cię. Co się stanie z tobą i Laddym beze mnie?

Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

- Dlaczego Shay nie przyszedł na obiad? - spytał Laddy w sobotę.

- Woli jeść sam, jest bardzo skryty - wyjaśniła Rosę. Od tamtego czasu nie rozmawiała z Shayem. Wszystko

toczyło się zwykłym trybem. Naprawił płot wokół sadu. Zainstalował

nową zasuwę w drzwiach kuchennych, żeby Rosę mogła się zamknąć od środka.

297

* * *

Tripper, stary pies, zaczął umierać.

Laddy bardzo to przeżywał. Siedział przy nim głaszcząc go po głowie i próbując poić wodą za pomocą łyżeczki. Czasami przytulony do psa płakał.

- Wyzdrowiej, Tripper. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

- Rosę? - odezwał się Shay po raz pierwszy od tygodni. Podskoczyła.

-Co?

- Powinienem chyba wziąć Trippera na pole i go zastrzelić. Jak myślisz? -

Spojrzeli jednocześnie na rzeżącego psa.

- Nie możemy tego zrobić bez wiedzy Laddy'ego. Laddy poszedł do szkoły postanawiając, że kupi Tripperowi kawałek mięsa. Miał nadzieję, że to go wzmocni. Wstąpi do rzeźnika w drodze powrotnej. Nie chciał wierzyć, że pies nie przełknie już ani mięsa, ani nic innego.

- Spytać go, gdy wróci? -Tak.

Tego wieczoru Laddy wykopał grób dla Trippera. Zanieśli psa na pole.

Shay przyłożył mu broń do łba. Sekundę potem pies już nie żył. Laddy zrobił mały drewniany krzyż i we trójkę stali przez chwilę w ciszy nad małym kopczykiem ziemi. Potem Shay wrócił do siebie.

- Jesteś bardzo milcząca, Rosę - zauważył Laddy. - Też ci smutno po śmierci Trippera.

- O tak, oczywiście.

Ale Rosę była milcząca, gdyż opóźniał się jej okres. Coś, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Laddy był zaniepokojony zachowaniem Rose. Dręczyło ją coś więcej, niż smutek po stracie psa.

W Irlandii lat pięćdziesiątych Rose miała trzy wyjścia. Mogła urodzić dziecko i mieszkać dalej na farmie jako kobieta pohańbiona, w parafii, która trzęsłaby się od plotek. Mogła sprzedać farmę i zacząć z Laddym życie od nowa tam, gdzie nikt ich nie zna. Mogła też zaprowadzić Shaya do księdza i wziąć z nim ślub.

298

Żadne rozwiązanie nie było dobre. Nie potrafiła się pogodzić z myślą, że po tych wszystkich latach stanie się nagle niezamężną kobietą z dzieckiem, którego ojciec będzie nieznany. Skończą się jedyne przyjemności, jak wizyta w mieście, kawa w hotelu, pogawędki po mszy.

Będzie obiektem spekulacji, osobą godną współczucia. Ludzie zaczną potrząsać w zdumieniu głowami. Laddy będzie skonsternowany. Ale czy ma prawo sprzedać farmę? Farma należy także do jej sióstr. Co sobie pomyślą, jeśli nagle przeniesie się z Laddym i nieślubnym dzieckiem gdzieś do Dublina?

Wyszła za Shaya Neila.

Laddy był zachwycony i uradowany, że zostanie wujkiem.

- Czy dzidzius będzie do mnie mówił „wujku Laddy”? -dopytywał się.

- Jak tylko sobie zażyczysz - mówiła Rose.

Nic się nie zmieniło poza tym, że Shay spał teraz w sypialni z Rose. Rose rzadziej pojawiała się w mieście. Może dlatego, że była bardziej zmęczona w ciąży, a może nie miała ochoty widywać się z ludźmi. Laddy nie był

pewien. I pisała mniej listów do sióstr, choć one zaczęły pisać więcej.

Małżeństwo siostry zupełnie je zaskoczyło. I to, że nie odbyło się huczne wesele, takie, jakie urządziła im swego czasu. Przyjechały z wizytą i niezręcznie witały się z Shayem. Zwykle szczerza i otwarta siostra nie umiała im udzielić wyczerpujących wyjaśnień.

Dziecko urodziło się zdrowe. Laddy został ojcem chrzestnym, a pani Nolan z hotelu matką chrzestną. Nadano mu imię August. Nazywali go Gus. Gdy Rose wzięła syna na ręce, uśmiech znów pojawił się na jej twarzy. Laddy pokochał chłopca i nigdy nie czuł się zmęczony zabawą z nim. Shay jak dawniej niewiele się odzywał. Życie tej dziwacznej rodziny toczyło się dalej. Laddy chodził do pracy do pani Nolan. Jak mówiła, był

dla niej niezastąpiony. Nic nie sprawiało mu trudności. Bez niego by zginęli.

Mały Gus nauczył się chodzić i drepcząc niezdarnie, gonił za kurczakami po podwórku. Rosę stała w drzwiach patrząc na niego z zachwytem. Shay Neil był ponury jak zwykle. Czasami w nocy Rosę ukradkiem go obserwowała. Potrafił długo leżeć z otwartymi oczami. O czym myślał?

Czy był szczęśliwy w małżeństwie?

Prawie się do siebie nie zbliżali. Najpierw nie chciała z powodu ciąży. Ale po urodzeniu Gusa oświadczyła otwarcie:

- Jesteśmy mężem i żoną, zostawmy przeszłość za sobą. Powinniśmy zacząć normalne życie.

- Racja - przytaknął bez przekonania.

Rosę ze zdziwieniem stwierdziła, że nie czuje do Shaya odrazy ani się go nie boi. Wspomnienia gwałtu zatarły się. Gdy się nad tym zastanowiła głębiej, doszła do wniosku, że był to jedyny moment, kiedy naprawdę byli ze sobą blisko. Shay miał naturę zamkniętą i powikłaną. Rozmowa z nim nigdy nie była łatwa. Na żaden temat.

Nie trzymali alkoholu w domu, poza pół litra whisky na górnej półce w kuchni, używanej w nagłych wypadkach albo do zmożenia waty w razie bólu zęba. Nie wracali do sprawy upicia się tamtego wieczoru. Zdarzenie to miało w sobie coś tak koszmarnego, że Rosę starała się zepchnąć je w jak najgłębsze zakamarki pamięci. Nie pamiętała, że przecież rezultatem tamtego wieczoru jest jej ukochany Gus, dziecko, które przyniosło jej więcej szczęścia, niż mogła sobie wyobrazić.

Zupełnie nie była przygotowana na spotkanie z agresywnym Shayem, który wrócił z festynu tak pijany, że nie mógł wymówić nawet słowa. Gdy go zwymyślała, nieprzytomny z wściekłości wyciągnął pasek ze spodni i zaczął ją bić. Podnieciło go to tylko i wziął ją siłą dokładnie w ten sam sposób, jak tamtej nocy, którą udało się jej wymazać z pamięci. Każdy szczegół powrócił, obrzydzenie i strach. I chociaż знаła już jego ciało i przyjmowała go, ogarnęło ją przerażenie. Leżała posiniaczona, z rozciętą wargą.

- Nie będziesz mogła przyjść jutro, moja wyniosła damo, by mi powiedzieć, że mam odejść. Już nie teraz, gdy jesteśmy małżeństwem -

mruknął i odwróciwszy się na bok, zasnął.

- Co ci się stało, Rosę? - zaniepokoił się Laddy.

- Spadłam z łóżka we śnie i uderzyłam się o szafkę nocną - odparła.

- Czy mam poprosić doktora, żeby przyszedł, gdy będę w mieście? -

Laddy nie widział jeszcze takiego siniaka.

- Nie, Laddy, nie trzeba - rzekła, dołączając w ten sposób do kobiet, które godzą się na przemoc, nie umiejąc się jej przeciwstawić.

Rosę marzyła o następnym dziecku, siostrze dla małego Gusa, ale nie zachodziła w ciążę. Jakie to dziwne, że ciąża pojawia się po jednej nocy gwałtu, a nie po miesiącach, jak to się określa, normalnego pożycia małżeńskiego.

* * *

Pani Nolan zwróciła uwagę doktorowi Kenny'emu, że Rosę dziwnie często się przewraca i rani.

- Tak, widziałem ją.

- Twierdzi, że robi się nieuważna, ale sama nie wiem.

- Ja też, pani Nolan, ale co mogę zrobić? - W swoim długim życiu poznał

wiele kobiet, które stały się nieuważne i często wyrządzały sobie krzywdę.

Dziwnym zrządzeniem losu działo się to zawsze po festynach i targach w mieście. Gdyby to zależało od doktora Kenny'ego, zabroniłby sprzedaży alkoholu w czasie tych zabaw. Ale kto posłucha starego wiejskiego lekarza, który opatruje rany, ale rzadko, jeśli w ogóle, dowiaduje się o prawdziwej ich przyczynie?

* * *

Laddy'emu podobały się dziewczęta, ale nie umiał się zachować w ich towarzystwie. Powiedział Rosę, że chciałby mieć błyszczące włosy i buty ze spiczastymi noskami, gdyż wtedy na pewno miałyby powodzenie. Kupiła mu buty i nasmarowała włosy, ale nie dało to oczekiwanego rezultatu.

- Czy myślisz, że kiedykolwiek się ożenię? - spytał pewnego wieczora.

Shay pojechał do innego miasta, aby kupić

301

krowę. Gus zasnął podekscytowany perspektywą pójścia następnego ranka do szkoły. Przy kominku siedzieli tylko Rosę i Laddy, jak za dawnych czasów.

- Nie wiem, Laddy. Nigdy o tym nie myślałam, ale pamiętasz, co przepowiedziała nam dawno temu wróżka? Miałam wyjść za mąż w ciągu roku i tak się stało. Wtedy też o tym nie myślałam. Ani o dziecku i radości, którą mi da. Ty miałeś znaleźć pracę wśród ludzi i pracujesz w hotelu.

Będiesz podróżował i osiągał sukcesy w sporcie. Wszystko przed tobą -

uśmiechnęła się do niego szeroko.

To stało się zupełnie niespodziewanie. Nie było żadnego festynu, pijaństwa, kolejnych szklanek whisky wypijanych z kolegami, których alkohol rozweselał. Nie obawiała się dzisiaj jego powrotu i dlatego tak bardzo się przeraziła, gdy zobaczyła go pijanego, z na wpół otwartymi ustami, z obłędem w oczach, nie mogącego skupić spojrzenia.

- Nie patrz tak na mnie - wybełkotał.

- Wcale na ciebie nie patrzę.

- O tak, patrzysz, cholernie dobrze patrzysz.

- Kupiłeś jałówkę?

- Ja ci dam zaraz jałówkę - mruknął ściągając pas.

- Nie, Shay, nie! Chcę z tobą porozmawiać, nic do ciebie nie mam! Nie! -

Teraz krzyczała, nie błagała jak dotychczas zdławionym szeptem, by uchronić brata i syna.

Krzyk podniecił go jeszcze bardziej.

- Jesteś dziwką, zwykłą dziwką! Nigdy nie masz dość, nawet, gdy nie byłaś mężatką. Brzydzę się tobą! - Zamachnął się i uderzył ją pasem najpierw w ramię potem w głowę.

Jednocześnie spuścił spodnie i zdarł z niej koszulę nocną. Próbując się bronić wyciągnęła rękę po krzesło, ale on był pierwszy. Chwycił je, rozbił

o brzeg łóżka i trzymając w górze zbliżył się do niej.

- Nie, Shay, na Boga, Shay, nie rób tego! - Nie obchodziło jej, czy ktoś słyszy. W drzwiach za nim zobaczyła przerażonego małego Gusa, zakrywającego ręką usta. Obok stanął Laddy. Obudzeni krzykami, skamieniali ze strachu

obserwowali scenę przed nimi. Rosę zawołała bez zastanowienia:

- Chryste, Laddy, pomóż mi!

Patrzyła, jak Laddy potężnym chwytem łapie Shaya za szyję i ciągnie w tył.

Gus krzyczał przerażony. Rosę złapała porwaną koszulę i nie zwracając uwagi na krew płynącą z rozbitego czoła, rzuciła się, by wziąć synka w ramiona.

- On nie jest sobą, Laddy - wydusiła. - Nie wie, co robi. Musimy go gdzieś zamknąć.

- Tatusiu! - wrzasnął Gus.

Shay uwolnił się i podszedł do matki z dzieckiem. Wciąż trzymał w ręku nogę od krzesła.

- Laddy, na litość boską! - jęknęła błagalnie.

Shay spojrział na Laddy'ego, potężnego chłopca w pizamie, czerwonego na twarzy, spoconego i przestraszonego.

- No i co, słodka Rosę, czyż to nie wspaniały obrońca? Wiejski prostak w pizamie. Piękny widok. Idiota broniący swojej starszej siostry - szydził

Shay. - No dalej, wielkoludzie, uderz mnie. Dalej, uderz ty tłusty pedale!

No, chodź!

W ręku trzymał nogę od krzesła kierując w stronę Laddy'ego ostry poszarpany koniec.

- Uderz go, Laddy! - krzyknęła Rosę. Pięść Laddy'ego wylądowała na twarzy Shaya. Upadając uderzył głową o marmurową umywalkę. Dał się słyszeć chrzęst. Shay leżał nieruchomo, z otwartymi oczami. Rosę postawiła na podłodze Gusa, który przestał już płakać. Cisza zdawała się trwać wiecznie.

- On chyba nie żyje - powiedział cicho Laddy.

- Zrobiłeś, co musiałeś.

Laddy patrzył na nią z niedowierzaniem. Czuł, że zrobił coś potwornego.

Uderzył za mocno, pozbawiając życia. Rosę często mu mówiła: „Nie znasz swojej siły, Laddy, uważaj, gdy coś robisz”. Ale tym razem nie skrytykowała go ani słowem. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Odwrócił głowę, nie mogąc patrzeć na szeroko otwarte oczy Shaya.

Rosę powiedziała powoli:

- Teraz, Laddy, chciałabym, żebyś się ubrał i pojechał rowerem do miasta po doktora Kenny'ego. Powiedz, że

303

biedny Shay upadł i uderzył się w głowę. Doktor przekaże wiadomość ojcu Maherowi i razem przywiozą cię tu z powrotem.

- Czy mam powiedzieć...

- Powiesz, że obudziły cię krzyki i że potem Shay upadł, a ja poprosiłam cię, żebyś poszedł po lekarza.

- Ale czy on... to znaczy... czy doktor Kenny będzie mógł...

- Doktor Kenny zrobi co trzeba i zamknie Shayowi oczy. Ubierz się i idź

już, dobrze, Laddy?

- Dasz sobie radę?

- Tak i Gus też.

- Gus też - powtórzył chłopczyk z palcem w buzi, uczepiony ręki Rosę.

Laddy pedałowal szaleńczo w ciemnościach, światło lampki tańczyło w górę i w dół, rzucając przerażające cienie i kształty.

Doktor Kenny i ojciec Maher przymocowali rower na dachu samochodu doktora. Rosę zastali spokojną. Ubrana była w schludny ciemny sweter, spódnicę i białą bluzkę. Zaczesała włosy tak, by ukryć rozcięcie na czole.

W kominku ogień świecił jasnym płomieniem, Rosę wrzuciła do niego połamane krzesło. Został z niego tylko popiół. Nikt się nie dowie, że zostało użyte jako broń.

Twarz miała bladą. Wstawiła wodę na herbatę i przygotowała świece do modłów za zmarłego. Laddy i Gus włączyli się do modlitwy. Wypisano akt zgonu. Śmierć nastąpiła na skutek zatrucia alkoholowego i nieszczęśliwego wypadku.

Kobiety, które przygotowują ciało, przyjdą rano. Rosę przyjęła wyrazy współczucia w sposób oficjalny i chłodny. I doktor, i ksiądz zdawali sobie sprawę, że było to małżeństwo pozbawione miłości, zawarte po tym, jak wynajęty pomocnik zrobił właścicielce domu dziecko. Było rzeczą wiadomą, że Shay Neil nie znał umiaru w picciu.

Doktor Kenny nie zamierzał drażnić sprawy upadku Shaya ani świeżej krwi na twarzy Rosę. Gdy ksiądz zajmował się czym innym, doktor wyjął torbę podręczną i bez pytania obejrzał i opatrzył ranę.

304

- Wszystko będzie dobrze, pani Rosę - powiedział. Wiedziała, że nie chodzi mu tylko o ranę na czole.

Po pogrzebie Rosę zaprosiła całą rodzinę na farmę. Usiedli wokół stołu w kuchni przy starannie przygotowanym przez nią posiłku. Przyjechało kilkoro krewnych Shaya, ale nie zostali zaproszeni do domu.

Rosę przedstawiła im swoją propozycję. Nie wiązały jej z farmą miłe wspomnienia, więc ona, Gus i Laddy chcieliby ją sprzedać i przenieść się do Dublina. Rozmawiała już z pośrednikiem handlu nieruchomościami, który wycenił farmę. Czy ktoś sprzeciwia się sprzedaży? Ktoś chciałby tu zamieszkać? Nie, nikt nie myślał o zamieszkaniu tutaj i, owszem, bardzo się cieszą z propozycji sprzedaży.

- Świetnie - powiedziała krótko.

Czy chcieliby zabrać jakieś pamiątki?

- Teraz? - Byli zdumieni szybkością załatwienia sprawy.

- Tak, dzisiaj.

Wystawi dom na sprzedaż następnego dnia.

* * *

Gus poszedł do szkoły w Dublinie, Laddy, wyposażony w doskonałe referencje od pani Nolan, został portierem w małym hotelu. Wkrótce stał

się częścią rodziny i zaproponowano mu zamieszkanie w nim. Wszyscy byli zadowoleni. Lata mijały w spokoju.

Rosę podjęła ponownie pracę pielęgniarki. Gus świetnie radził sobie w szkole i zapisał się na kurs hotelarstwa. Rosę przekroczyła czterdziestkę wciąż będąc atrakcyjną kobietą. Pewien wdowiec, którego żoną się opiekowała, zaproponował jej małżeństwo, ale Rosę była stanowcza.

Jedno małżeństwo bez miłości jej wystarczyło. Nie zwiąże się z kimś, kogo prawdziwie nie pokocha. Nie ubolewała nad swoim życiem, bo tak naprawdę uważała, że nic nie straciła. Większość ludzi nie zaznała tyle szczęścia, jakim cieszyła się ona, mając Laddy'ego i Gusa.

Gus uczył się z pasją, spędzał długie godziny nad książkami i wykonywał

najcięższe zadania, by w przyszłości móc dobrze zarządzać hotelem.

boksyerskie i mecze piłkarskie. Pamiętał o przepowiedniach wróżki.

- Może chodziło jej o to, że będę raczej interesował się sportem -

tłumaczył Gusowi - niż uczestniczył jako zawodnik?

- Możliwe. - Gus bardzo lubił tego potężnego, miłego mężczyznę, który tak troskliwie się nim opiekował.

W rozmowach nie wracali do tamtej nocy, kiedy zdarzył się wypadek.

Rosę zastanawiała się, ile Gus z niej pamięta. Miał wtedy sześć lat, wystarczająco dużo, żeby wszystko zrozumieć. Ale nie męczyły go potem koszmary senne i nie wydawał się zmieszany, gdy mówiono o jego ojcu.

Ale także nigdy o niego nie pytał, co było znamienne. Większość chłopców chciałaby wiedzieć. Może Gus wiedział wystarczająco dużo.

* * *

Hotel, w którym pracował Laddy, prowadziło starsze małżeństwo.

Wkrótce zamierzali odejść na emeryturę. Laddy bardzo się tym przejął.

Jednocześnie Gus zaczął się spotykać z inteligentną, pełną życia dziewczyną, Maggie, wykwalifikowaną szefową kuchni, pełną humoru, ale i stanowczości. Według Rosę była to idealna dziewczyna dla niego.

Stanie się podporą rodziny.

- Zawsze myślałam, że będę zazdrosna, gdy Gus znajdzie sobie dziewczynę, ale jestem zachwycona.

- A ja zawsze myślałam, że moja teściowa będzie jędzą z piekła rodem, a dostałam ciebie - powiedziała Maggie.

Wszystko, czego potrzebowali, to hotel, w którym mogliby razem pracować. Wystarczyłby zupełnie mały, nawet zaniedbany, do generalnego remontu.

- Nie możecie kupić mojego hotelu? - podsunął Laddy. Nie mogło być lepszej propozycji, ale nie było ich na to stać.

- Jeśli znajdziecie dla mnie pokój, dam wam potrzebną sumę - oświadczyła Rosę.

Cóż lepszego mogła zrobić z zaoszczędzonymi pieniędzmi i sumy uzyskanej ze sprzedaży mieszkania w Dublinie. Stworzy dom dla Gusa i Laddy'ego, zapewni start młodemu

306

małżeństwu, a sobie miejsce, gdzie będzie mogła spocząć, gdy złoży ją przepowiedziana choroba. Wiedziała, że to grzech i głupota wierzyć we wróżby, ale cały ten dzień z Cyganką Ellą wciąż stał jej przed oczami niezwykle wyraźnie. No tak, przecież tego dnia została zgwałcona przez Shaya.

Na początku nie było łatwo. Spędzali mnóstwo czasu na obliczaniu wydatków. Więcej wydawali, niż zarabiali.

Laddy, zdając sobie sprawę z kłopotów, próbował pomóc.

- Mogę nosić więcej węgla na górę - proponował.

- Po co, Laddy, jeśli nie ma dla kogo rozpalać w kominku. - Maggie lubiła wujka Gusa. Starła się, by czuł się ważny.

- Może wyjdę na ulicę z tabliczką i będę rozdawał ulotki o hotelu, co myślisz, Rose? - Tak bardzo chciał się przydać.

- Nie, Laddy. To jest hotel Gusa i Maggie. Coś wymyślą, rozwiną interes.

Wkrótce nie będą mogli się opędzić od gości.

I tak się stało.

Młodzi pracowali dniami i nocami. Zdobyli grono wiernych klientów. Stali się znani. Jeżeli przyjeżdżali goście z zagranicy, wręczali im kartkę:

„Mamy tłumaczy francuskiego, niemieckiego i włoskiego”.

To prawda. Znali Niemca, introligatora, Francuza, nauczyciela w szkole dla chłopców i Włocha, który prowadził kafejkę. W razie potrzeby kontaktowano się z nimi telefonicznie i zjawiali się natychmiast.

Gus i Maggie mieli dwoje dzieci, dziewczynki, prawdziwe aniołki. Rose była najszczęśliwszą kobietą w Irlandii. W niedzielne poranki zabierała je do parku, by karmić kaczki.

* * *

Jeden z gości hotelowych zapytał kiedyś Laddy'ego, czy jest gdzieś w pobliżu sala do snookera, i Laddy, jak zawsze pomocny, znalazł ją.

- Może byś ze mną zagrał - zaproponował samotny biznesmen z Birmingham.

- Niestety nie potrafię - przeprosił Laddy.

- Pokażę ci.

I tak się zaczęło. Spełniły się przepowiednie wróżki. Laddy miał wrodzony talent do tej gry. Gość z Birmingham nie wierzył, że Laddy nigdy przedtem nie grał. Szybko opanował kolejność kul, żółte, zielone, brązowe, niebieskie, różowe, czarne. Uderzał w nie lekko i wprawnie.

Ludzie zbierali się wokół zaciekawieni.

Laddy stał się sportowcem, o którym mówiła Cyganka.

Nigdy nie zakładał się o pieniądze. Stawiano za to na niego. Zbyt ciężko pracował na swoją pensję i wszyscy go potrzebowali: Rosę, Gus, Maggie i dziewczynki. Ale wygrał zawody i jego zdjęcie ukazało się w gazetach.

Zaproszono go do klubu. Stał się miejscową sławą.

Rosę patrzyła z zachwytem. Jej brat został wreszcie ważną osobą. Nie musiała prosić syna, by zaopiekował się bratem po jej śmierci. Wiedziała, że to zbędne. Laddy będzie mieszkał z Gusem i Maggie aż do końca swych dni. Założyła album z wycinkami o jego zwycięstwach. Razem siadali, by go obejrzyć.

- Czy Shay byłby dumny, jak myślisz? - spytał któregoś wieczoru Laddy.

Był w średnim wieku i rzadko wspominał zmarłego Shaya Neila.

Mężczyznę, którego zabił zbyt silnym ciosem.

Rosę była zaskoczona.

- Myślę, że byłby zadowolony - powiedziała powoli. - Ale wiesz, jak z nim było. Nie wiadomo, co myślał. Mało mówił. Kto wie, co siedziało w jego głowie.

- Dlaczego za niego wyszłaś, Rosę?

- Chciałam stworzyć nam dom - powiedziała po prostu. To mu wystarczyło. Rosę zauważyła, że nie zagłębiał się w sprawy małżeństwa czy kobiet w ogóle. Musiał odczuwać pożądanie i miał potrzeby jak każdy mężczyzna, ale nie było to widoczne. Teraz snooker pochłaniał go bez reszty. Kiedy Rosę dowiedziała się, że dolegliwości kobiece, na które się uskarża, to nowotwór, i że wycięcie macicy nie rozwiąże problemu, zrozumiała, że nie musi się martwić o przyszłość. Lekarz rzadko spotykał się z osobami, które z takim spokojem przyjmowały diagnozę.

- Postaramy się, żeby jak najmniej pani cierpiała - obiecał.

- Wiem. Chciałabym się przenieść do hospicjum, jeśli to możliwe.

- Ależ ma pani kochającą rodzinę, jestem pewien, że się panią zajmą -

zapewniał doktor.

- Nie wątpię, ale oni prowadzą hotel. Nie chcę, żeby poświęcali mi swój cenny czas. Proszę doktorze, nie będę sprawiać kłopotu w hospicjum.

Pomogę, ile zdołam.

- Oczywiście - powiedział, głośno wycierając nos. Rose, jak każdy człowiek, miała napady złości czy

frustracji, ale nigdy nie zdarzało się jej to w towarzystwie rodziny czy pacjentów hospicjum. Okresy uzalania się nad losem, który tak niesprawiedliwie ją doświadczył, były krótkie w porównaniu z czasem spędzonym na planowaniu pozostałych miesięcy życia.

Gdy przychodziła do niej rodzina, nic nie wspominała o bólu i mdłościach.

Mówiła tylko o hospicjum i jego działalności, o miejscu otwartym dla nowych pomysłów i projektów. Pragnęła, żeby spożytkowali swoją energię w tym kierunku, a nie przynosili jej słodczy czy podarunki. Chciała, żeby zrobili coś praktycznego, coś, co mogłoby pomóc innym. Tego oczekiwała od swojej rodziny.

Zaczęli więc działać.

Laddy zdobył używany stół do snookera i dawał lekcje, Gus razem z Maggie organizowali pokazy kulinarne. Mijały radosne i szczęśliwe miesiące. Chociaż Rose wyszczupiała i z trudem chodziła, na nic się nie uskarżała, nie oczekiwała współczucia, tylko towarzystwa i entuzjazmu.

Przynajmniej jej umysł działał sprawnie.

Gus i Maggie nie zdołali utrzymać w tajemnicy nieszczęścia, które na nich spadło. Ubezpieczyli się i zainwestowali razem ze spółką, która zbankrutowała. Stracą hotel, swoje nadzieje, marzenia i przyszłość. Z

początku mieli nadzieję, że Rose się nie domyśli. Nie chcieli, żeby umierała martwiąc się o nich. Była już taka słaba, że nie mogli zabierać jej w niedzielę na rodzinny obiad w hotelu, jak to czynili wcześniej. Jedyne co mogli zrobić, to nie dopuścić, żeby Rose dowiedziała się o ich niefortunnej inwestycji.

- Musicie powiedzieć mi prawdę - rzekła do Gusa i Maggie. - Nie opuście tego pokoju, póki nie dowiem się wszystkiego. Przede mną jeszcze tylko kilka tygodni życia, nie chcę ich spędzić na zamartwianiu się o waszą przyszłość, wyobrażając sobie najgorsze.

- Co dla ciebie byłoby najgorsze? - spytała Maggie.

- Któreś z dzieci jest poważnie chore? - Potrząsnęli przecząco głowami. -

Któreś z was? Laddy? - Nie. - W takim razie nie mamy się czego obawiać

- uśmiechnęła się słabo, z błyszczącymi oczami.

Opowiedzieli jej całą historię. Jak wywnioskowali z dokumentów, cały majątek zniknął. Z funduszu firmy nie zostało nic, by zaspokoić roszczenia klientów. Potem ten szanowany biznesmen, Harry Kane, oświadczył w telewizji, że nikt nie straci swoich pieniędzy, banki dysponują funduszem pomocy, ale ludzie wciąż się bali. Nic nie było jasne.

Łzy popłynęły po twarzy Rosę. Cyganka Ella nic o tym nie mówiła.

Przeklinała się, że uwierzyła we wróżby. Przeklinała Harry'ego Kane'a i jego wspólników za chciwość i kradzież. Nigdy nie widzieli jej tak zdenerwowanej.

- Wiedziałem, że nie powinniśmy ci tego mówić - mruknął Gus ponuro.

- Bardzo dobrze, że to zrobiliście. I przysięgnijcie, że odtąd zawsze o wszystkim będę wiedziała. Jeśli coś będzie nie tak, i to przede mną ukryjecie, nigdy wam nie wybaczę.

- Pokażę ci wszystkie dokumenty, mamó - obiecał Gus.

- A jeśli nie on, to ja - dodała Maggie.

- I mamó, jeśli jednak stanie się to najgorsze i będziemy musieli zmienić pracę, wiesz, że zajmiemy się Laddym.

- To oczywiste - obruszyła się Maggie.

Przynosili jej listy z banku. Okazało się, że istnieje fundusz pomocy.

Inwestycja się załamała, ale nie stracili pieniędzy. Czytała uważnie każde słowo, żeby niczego nie przeoczyć.

- Czy Laddy zdaje sobie sprawę z powagi problemu? - spytała Rosę.

310

- Na swój sposób tak - odparła Maggie i Rosę nagle zrozumiała, że cokolwiek się stanie, Laddy jest w dobrych rękach.

Umarła spokojna.

* * *

Nie dowiedziała się o telefonie Siobhan Casey, która zadzwoniła do hotelu tłumacząc, że w związku z uratowaniem hotelu firma domaga się reinwestycji. Zaznaczyła, że w normalnych warunkach firma z ograniczoną odpowiedzialnością nie zwraca pieniędzy swoim klientom i że pieniądze wpłacone na hotel Neilów pochodziły z prywatnych funduszy pana Kane'a, który został poparty finansowo w nowym przedsięwzięciu przez wszystkich tych, których uratował.

Całą sprawę określono jako poufną. Dokumentacja prezentowała się imponująco, ale sugerowano niewprowadzanie jej do ksiąg podatkowych firmy. Była to umowa dżentelmeńska nie mająca nic wspólnego z księgowością.

Z początku proponowana suma nie była wysoka, ale stopniowo zaczęła rosnąć. Gus i Maggie zaniepokoiili się. Nie mogli zaprzeczyć, że w sytuacji bez wyjścia podano im pomocną dłoń. Może w biznesie takie drobne kręactwa i sztuczki należały do reguły. Panna Casey mówiła o powiązaniach swoich przełożonych tonem pełnym szacunku, jak gdyby byli to ludzie o ogromnej władzy, ludzie, którym bardzo niemądrze byłoby odmówić.

Gus czuł, że matka nie zgodziłaby się na ten układ. Martwił się swoją naiwnością. Laddy'emu nic nie mówiono. Po prostu ograniczali wydatki.

Nie kupili nowego bojlera, nie zmienili dywanu w hallu na nowy, tylko kupili tani chodnik, który przykrył bardziej zniszczone miejsca. Ale Laddy czuł, że dzieje się coś złego, i martwił się. Nie narzekali przecież na brak gości, cały czas mieli chętnych. Ale Zdrowe Irlandzkie Śniadanie nie było tak zdrowe jak dawniej i nie posyłano już Laddy'ego na targ po świeże kwiaty, gdyż były zbyt drogie. A kiedy jedna z kelnerek odeszła, nie mogli znaleźć nikogo nowego.

Potrzebowali tłumaczy włoskiego, a Paolo, który pracował w kafejce, był zmęczony ciągłymi wezwaniami.

311

- Któreś z was musi się zapisać na kurs - poradził Gusowi. - Wszyscy jesteśmy Europejczykami, ale wam nawet do głowy nie przyjdzie, żeby się nauczyć obcego języka.

- Myślałem, że dziewczynki zainteresują się językami - tłumaczył się Gus.

Ale nic takiego się nie stało.

Któregoś dnia przyjechał do hotelu biznesmen z Włoch z żoną i dwoma synami. Cały dzień siedział w biurach Irlandzkiej Izby Handlowej, żona zwiedzała sklepy podziwiając miękkość irlandzkiego tweedu i piękną biżuterię. Dwaj synowie nie wiedzieli, co z sobą zrobić. Laddy zaproponował im grę w snookera. Nie w hallu, gdzie palono papierosy, pito alkohol i stawiano zakłady, ale w katolickim klubie młodzieżowym, gdzie żadna krzywda się im nie stanie. Całkowicie zmienił ich

wakacje.

Otrzymał od Paola listę przydatnych wyrazów: tavola da biliardo, sala da biliardo, stecca da biliardo. Chłopcy odpowiadali po angielsku: stół do bilardu, kij bilardowy.

To była bogata rodzina. Mieszkali w Rzymie, tylko tyle potrafił zrozumieć.

Tuż przed wyjazdem zrobili sobie wspólne zdjęcie przed hotelem. Potem wsiedli do taksówki i pojechali na lotnisko. Na ścieżce po odjeździe samochodu Laddy zauważył zwitek banknotów. Irlandzkie pieniądze związane gumką. Spojrzał na znikające auto. Nigdy nie dojdą, gdzie je zgubili. Zauważą pewnie dopiero w domu. Byli bogaci, nie odczują straty.

Kobieta wydawała majątek za każdym razem, gdy pojawiała się na eleganckiej Graf ton Street.

Nie odczują braku tych pieniędzy.

W przeciwieństwie do Maggie i Gusa, którym były one bardzo potrzebne.

Nowe karty dań, na przykład. Stare podarły się i poplamiły. Nowy szyld na drzwiach. Laddy namyślał się przez pięć minut, po czym westchnął i wsiadł w autobus na lotnisko. Włochów znalazł przy odprawie bagażu, pięknych, eleganckich walizek z prawdziwej skóry. Przez chwilę się wahał, ale szybko pomachał im, by nie zmienić zdania.

Włoska rodzina uściskała go z radości. Zaczęli krzyczeć dookoła, jacy to Irlandczycy są hojni i cudowni. Nigdy nie spotkali tak serdecznych ludzi.

Kilka banknotów powędrowało do kieszeni Laddy'ego.

312

- Puo venire alla casa. La casa a Roma - błagali go.

- Proszą cię, żebyś przyjechał koniecznie do Włoch, by ich odwiedzić -

przetłumaczyli ludzie stojący obok, mile zaskoczeni takimi pochwałami dla rodaków.

- Wiem. - Oczy Laddy'ego zabłyśły. - Pojadę. Wiele lat temu wróżka przepowiedziała mi podróż. Powiedziała, że wybiorę się do kraju za morze. - Patrzył na wszystkich rozpromieniony. Włosi ucałowali go jeszcze raz na pożegnanie i Laddy wrócił do autobusu. Nie mógł się doczekać, kiedy o wszystkim opowie.

Gus i Maggie byli zaniepokojeni.

- Może za kilka dni zapomni - pocieszał się Gus.

- Nie mogli mu dać zwyczajnie napiwku i tak tego zostawić? - Maggie wiedziała, że Laddy potraktował zaproszenie poważnie, że będzie się przygotowywał do wyjazdu i potem serce mu

pęknie.

* * *

- Potrzebuję paszportu - oświadczył Laddy następnego dnia.

- Może najpierw nauczyłbyś się włoskiego? - wpadła na pomysł Maggie.

Jeśli uda im się odwlec decyzję wyjazdu do Rzymu, może Laddy po jakimś czasie dojdzie do wniosku, że to był tylko sen.

Laddy zaczął wypytywać o kursy włoskiego w klubie snookera.

Kierowca półciężarówki, którego znał, Jimmy Sullivan, powiedział mu o kursie włoskiego w szkole Mountainview, organizowanym przez jego lokatorkę, niezwykłą kobietę.

Któregoś wieczora Laddy poszedł się zapisać.

- Nie mam odpowiedniego wykształcenia. Czy myśli pani, że dam radę? -

spytał kobiety, zwanej Signorą, gdy wpłacał pieniądze.

- Nie będzie żadnego problemu, jeśli tylko włoży pan w to całe serce. Nie spostrzeże się pan, jak pan zacznie mówić - zapewniała.

- To tylko dwie godziny we wtorki i czwartki - tłumaczył się Gusowi i Maggie.

313

- Możesz chodzić, kiedy chcesz, Laddy. Czyż nie pracujesz tu na kilka etatów?

- Miałaś rację, że nie powinienem wyjeżdżać nie znając słowa po włosku.

Signora powiedziała, że wkrótce będę mówił.

Maggie zamknęła oczy. Co ją podkusiło, żeby zaproponować mu naukę?

Laddy próbujący dotrzymać kroku grupie. To śmieszne.

Bardzo się denerwował przed pierwszymi zajęciami, więc Maggie z nim poszła.

Wyglądało tu całkiem przyzwoicie w porównaniu z raczej obskurną szkołą. Sala była udekorowana zdjęciami i plakatami, a na stole stały nawet talerze z serem i wędliną. Lektorka rozdawała każdemu duże kartonowe tabliczki z imionami, podając włoskie odpowiedniki.

- Laddy? To trudne - zamyśliła się na chwilę. - Masz jakieś inne imię?

- Nie, chyba nie - odparł jakby przestraszony i winny.

- Nic nie szkodzi. Wymyślmy jakieś włoskie imię o podobnym brzmieniu.

Lorenzo! Może być? - Laddy nie wiedział, co ma powiedzieć, ale Signorze się podobało. - Lorenzo - powtórzyła kilka razy. - Brzmi doskonale. Nie mamy w klasie nikogo o tym imieniu.

- Czy we Włoszech tak właśnie mówią na Laddych? -ucieszył się.

Maggie zagryzła niepewnie wargę.

- Właśnie tak, Lorenzo - przytaknęła kobieta o niesamowitym kolorze włosów i szerokim uśmiechu.

Maggie wróciła do hotelu.

- To miła osoba - powiedziała Gusowi. - Laddy nie będzie się tam czuł

gorszy czy głupszy, ale na pewno zrezygnuje po trzech lekcjach.

Gus westchnął. Ostatnimi czasy pojawiało się coraz więcej okazji do ciężkich westchnień.

* * *

Nie mogli się bardziej mylić. Laddy uwielbiał zajęcia. Do każdej lekcji przygotowywał się, jakby od tego zależało jego życie. Gdy w hotelu pojawiali się goście z Włoch, witał

314

ich ciepło po włosku dodając dumnie: Mi chiamo Lorenzo, jak gdyby oczekiwali, że portier w małym hotelu w Irlandii tak właśnie się nazywa.

Mijały tygodnie. Często widzieli, jak w deszczowe dni Laddy wraca do domu po zajęciach eleganckim BMW.

- Powinieneś zaprosić panią do środka, Laddy. - Maggie próbowała kilka razy przyjrzeć się pięknej kobiecie za kierownicą.

- Och nie. Constanza musi wracać. Ma daleko do domu -wyjaśnił.

Constanza! W jaki sposób ta dziwna nauczycielka wciągnęła ich w tę grę?

Była jak Piotruś Pan ze swoją kompanią. Laddy musiał opuścić zawody snookera, które z pewnością by wygrał, ale nie chciał stracić lekcji włoskiego. W tym tygodniu mieli omawiać części ciała i on z Francescą będą wskazywać swoje gardła, łokcie i kostki. Wszystkiego się nauczył: la gola, położył rękę na szyi, i gomiti: ręce na łokciach, schylał się dotykając stóp: la caviglia. Francesca nigdy mu nie wybaczy, jeśli nie przyjdzie.

Zawody snookera z pewnością jeszcze się odbędą. A zajęcia o częściach ciała już nie. Sam byłby wściekły, gdyby Francesca nie przyszła z powodu jakichś zawodów czy czegoś innego.

Gus i Maggie patrzyli na siebie zdumieni. Doszli do wniosku, że lekcje mają na niego dobry wpływ. Musieli w to wierzyć. Co innego ich teraz martwiło. Powinni wykonać kilka remontów, na które nie było ich stać.

Powiedzieli Laddy'emu, że sytuacja jest ciężka, ale zdawało się to do niego nie docierać. Żyli z dnia na dzień. Przynajmniej Laddy był

szczęśliwy. A Rosę zmarła nie bojąc się o nich.

* * *

Czasami Laddy'emu trudno było zapamiętać wszystkie słówka. Nie był do tego przyzwyczajony w szkole, gdzie bracia nie obarczali go zbyt nauką. Ale tu na kursie oczekiwano, że będzie szedł równo z grupą.

Czasami siadał na murku szkolnym zatykając palcami uszy i próbował

opanować wyuczone zwroty. Dov'e ii dolore, trzeba mówić z intonacją pytającą. Tak zwraca się do ciebie lekarz, gdy znajdziesz się w szpitalu.

Nie można robić

315

z siebie głupka, nie mówiąc, gdzie cię boli. Dov'e U dolore, powtarzał w kółko.

Kiedyś przyszedł pan O'Brien, dyrektor szkoły, i usiadł obok niego.

- Dzień dobry - przywitał się. - Jak leci?

- Bene, benissimo. - Signora prosiła, żeby na każde pytanie odpowiadać po włosku.

- Świetnie... Podobają się panu zajęcia? Jak panu na imię?

- Mi chiamo Lorenzo.

- Widzę, że się podobają. Chyba nie są to zmarnowane pieniądze?

- Dokładnie nie wiem, ile kosztuje ten kurs. Płaci za mnie żona mojego siostrzeńca.

Tony O'Brien patrzył na tego potężnego prostego mężczyznę z rosnącym zdumieniem. Aidan Dunne miał rację, walcząc o powstanie tego kursu.

Wszystko rozwijało się jak we śnie. Zapisali się przeróżni ludzie. Nawet sama pani Kane i wyglądający na gangstera młody mężczyzna o chmurnej twarzy.

Próbował wytłumaczyć to Grani, ale ona wciąż uważała, że traktuje ją protekcyjnie, łaskawie

klepiąc jej ojca po plecach w dowód uznania za jego wysiłki. Chciał się dowiedzieć coś szczególnego o kursie, żeby Grania zrozumiała, że naprawdę się tym interesuje.

- Co dzisiaj przerabiacie?

- Cały tydzień uczymy się słownictwa związanego z częściami ciała.

Przyda się nam, gdy znajdziemy się nagle w szpitalu we Włoszech. Jak tylko nas przywiozą, lekarz zapyta: Dov'e U dolore? Czy pan wie, co to znaczy?

- Nie, nie chodzę na kurs. Tak spyta doktor?

- Tak, czyli gdzie odczuwa pan bóle. I trzeba mu powiedzieć.

- Dov'e znaczy gdzie, tak?

- Chyba tak, skoro mamy Dov'e U banco, dov'e U albergo. No tak, to znaczy „gdzie” - ucieszył się Laddy.

- Czy jest pan żonaty, Lorenzo?

- Nie. Nie byłbym dobrym mężem. Moja siostra mówiła mi, żebym skoncentrował się na grze w snookera.

316

- Nie zawsze trzeba wybierać. Można pogodzić dwie rzeczy.

- Tak, jeśli jest się takim mądrym człowiekiem jak pan i umie się prowadzić szkołę. Ale ja nie potrafię robić dwóch rzeczy na raz.

- Ja też nie - posmutniał nagle pan O'Brien.

- Więc nie jest pan żonaty? Myślałem, że ma pan już dorosłe dzieci.

- Nie, nie jestem żonaty.

- Może nauczyciele się nie żenią - zastanawiał się Laddy. - Pan Dunne także nie jest żonaty.

- Naprawdę? - Tony O'Brien nadstawił ucha.

- Tak i myślę, że ma romans z Signorą! - Laddy rozejrzał się dokoła, jakby sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje. Zbyt śmiało sobie poczynął

mówiąc takie rzeczy.

- Nie sądzę, żeby to była prawda - rzekł zdumiony Tony O'Brien.

- Wszyscy tak myślą. Francesca, Guglielmo i Bartolomeo. Rozmawialiśmy o tym. Signora i pan Dunne często się razem śmieją i pan Dunne odprowadza ją do domu po zajęciach.

- No proszę.

- To byłoby miłe, nie uważa pan? - Laddy cieszył się szczęściem innych.

- Tak, to byłoby niezwykle interesujące - zgodził się Tony O'Brien.

Różnych rzeczy się spodziewał, ale nie czegoś takiego. Ciekawe, czy ten biedny człowiek wszystko sobie wymyślił, czy też mówi prawdę. Jeśli się nie myli, dla Tony'ego zabłysła iskierka nadziei. Aidan Dunne nie może go potępiać, jeśli sam uwikłał się w dość dziwną, delikatnie mówiąc, sytuację.

Nie miał moralnych podstaw do prawienia kazań. Poza tym Tony O'Brien był kawalerem zabiegającym o względy wolnej kobiety. W porównaniu z układem Signora - Aidan jego sytuacja była jasna i nieskomplikowana.

Nie mógł jednak powiedzieć o tym Grani. Spotkali się, ale rozmowa była sztuczna, prawili sobie uprzejmości starając się zapomnieć o tym, co zaszło.

- Zostaniesz na noc? - spytał wtedy.

317

- Tak, ale nie będziemy spać razem - powiedziała spokojnie i rzeczowo.

- Śpimy w jednym łóżku, czy mam spać na sofie?

Była tak dziewczęca i zakłopotana. Pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć, że wszystko w końcu się ułoży, będzie dobrze. Ale nie ośmielił

się.

- Ja powinnam spać na sofie, to twój dom.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, Grania. Jeśli cię poproszę, żebyś spała ze mną, zachowam się jak opętany żądzą potwór. Jeśli ci tego nie zaproponuję, wyjdzie, że jestem bez serca. Rozumiesz?

- Czy mogę przespać się na sofie?

Okrył ją kocem i pocałował w czoło. Rano przygotował kawę costa rican.

Grania wyglądała źle, pod oczami miała ciemne cienie.

- Nie mogłam zasnąć. Przeczytałam kilka książek. Masz tu niesamowite rzeczy.

Obok sofy leżały „Paragraf 22” i „W drodze”. Grania nigdy nie czytała Hellera i Kerouaca. Może rzeczywiście dzieli ich zbyt duża przepaść.

Zadziwiona oglądała kolekcję płyt jazzowych. Była jeszcze dzieckiem.

- Z przyjemnością przyszedłbym znów na kolację - powiedziała przy wyjściu.

- Powiedz tylko kiedy, a przygotuję coś specjalnego - odparł.

- Dziś wieczorem? Za wcześnie?

- Nie, świetnie. Ale trochę później, gdyż chciałbym zajrzeć na kurs włoskiego. I zanim coś powiesz: to nie ma nic wspólnego z tobą czy twoim ojcem.

- A więc zawieramy pokój - powiedziała, ale w jej oczach widział niepokój.

* * *

Tony O'Brien po powrocie do domu przygotował kolację. W imbirze i miodzie marynowały się piersi kurczaka. Stół był nakryty. Zmienił pościel na łóżku, zostawił koc na sofie na wszelki wypadek.

Tony wolałby opowiedzieć Grani o czymś bardziej stosownym niż o ewentualnym romansie Aidana z dziwnie wyglądającą 318

nauczycielką włoskiego. Lepiej, żeby na zajęciach wydarzyło się coś interesującego.

- Dov'e ii dolore? - spytał jeszcze na koniec Lorenza.

- U gomito - zawołał Laddy chwytając się za łokieć.

- Doskonale.

Chyba zupełnie zwariował.

* * *

Zajęcia ze słownictwem o częściach ciała były bardzo zabawne. Tony O'Brien musiał zakrywać ręką usta, by powstrzymać się od śmiechu, gdy uczniowie wskazywali na siebie krzyżąc: eccola! Ze zdziwieniem stwierdził, że mimo tak luźnej, zdawałoby się, atmosfery przyswoili sobie mnóstwo słówek i podświadomie zaczęli ich używać.

Ta kobieta była dobrą nauczycielką. Nagle przeszła do omawiania dni tygodnia i zamawiania drinków w barze.

- Chyba nie chcemy spędzić całego czasu podczas naszej viaggio w Rzymie w szpitalu?

Oni naprawdę myśleli, że pojedą do Rzymu.

Tony O'Brien, który radził sobie z ministerstwem edukacji, różnymi organizacjami nauczycielskimi, gniewem księży, handlarzami narkotyków i wandalami, najbardziej zdeprawowanymi i trudnymi uczniami, teraz siedział nie mogąc wymówić słowa. Zakręciło mu się w głowie na myśl o wycieczce.

W końcu wstał i chciał podejść do Aidana Dunne'a, by się pożegnać, ale zrezygnował, gdy zobaczył, jak Aidan i Signora śmieją się i przestawiają pudła zamieniając je ze szpitalnych łóżek na siedzenia w pociągu.

Zachowywali się jak ludzie, których łączy głębsze uczucie. Nie dotykali się, ale wyczuwało się między nimi intymną bliskość. Jezu, a więc to prawda!

Złapał płaszcz i wyszedł. Musi przygotowywać kolację. Liczył, że wieczór zakończy się w łóżku z córką Aidana Dunne'a.

* * *

W hotelu Gus i Maggie mieli tyle spraw na głowie, że z trudem radzili sobie jeszcze z problemami Laddy'ego na

319

kursie. Wszystkie wyuczone zwroty i wyrażenia zaczęły mu się mieszać.

- Nie przejmuj się, Laddy. Zapamiętaj to, co potrafisz - pocieszał Gus.

Bracia w szkole też mu radzili, żeby nie wymagał od siebie zbyt wiele.

Ale nie chciał słuchać.

- Nic nie rozumiecie. Signora mówiła, że na tym etapie musimy być pewni siebie, żadnego jąkania się, zacinania. Mamy jeszcze tylko jedną lekcję z części ciała, a ja nie mogę wszystkiego zapamiętać. Proszę, pomóżcie mi.

Dwóch gości zrezygnowało z pobytu w hotelu z powodu niskiego standardu i jeden zagroził, że napisze skargę do odpowiednich instytucji.

Nie starczało im na wypłacanie pensji, a Laddy ze zmartwioną miną prosił, żeby powtórzyli z nim pracę domową z włoskiego.

- Wcale bym się nie przejmował, gdybym był w parze z Constanzą.

Pomaga mi, ale musimy zmieniać partnerów. Będę z Francescą, Gloria, a może z Elizabetą. Możemy powtórzyć?

Maggie wzięła kartkę.

- Od czego zaczniemy?

Przerwał im rzeźnik, pytając, kiedy, jeśli w ogóle, dostanie swoje pieniądze.

- Zajmę się tym, Gus - powiedziała Maggie. Gus wziął od niej kartkę.

- Dobrze, Laddy. Mam być doktorem czy pacjentem?

- Możesz być i jednym, i drugim, aż się nauczę? Powtarzajmy jak zwykle.

- Oczywiście. Przyszedłem do chirurga, bo coś mi dolega. Co powie doktor?

- Powinienem zapytać: „Gdzie panią boli?” Elizabetta będzie pacjentem, a ja doktorem.

Gus zastanawiał się, jakim cudem udaje mu się zachować cierpliwość.

Dov'e U dolore, powiedział przez zaciśnięte zęby. Dov'e leja male?, i Laddy rozpaczliwie starał się je zapamiętać.

- Wiesz, Elizabetta na początku wydawała się trochę głupia i nie potrafiła nic zapamiętać, ale Guglielmo zmusił

320

ją, żeby zaczęła traktować sprawę poważnie i teraz ona też odrabia prace domowe.

Gusowi i Maggie ludzie z kursu przypominali grupę zwariowanych mimów. Dorośli ludzie, a posługują się śmiesznymi imionami, pokazują na łokcie i udają stetoskopy.

I właśnie tej nocy Laddy przyprowadził Constanzę. Najelegantszą kobietę, jaką kiedykolwiek widzieli, o smutnej twarzy. Ze wszystkich strasznych wieczorów Laddy musiał wybrać właśnie ten. Przez trzy ostatnie godziny obliczali kolumny cyfr i nie chcieli przyjąć do wiadomości tego, co było oczywiste. Muszą sprzedać hotel. A teraz Laddy każe im prowadzić towarzyską rozmowę z tą dziwną kobietą.

Ale nie było żadnych uprzejmych rozmów. Nie widzieli jeszcze tak zdenerwowanej osoby. Wyjaśniła im, że jest żoną Harry'ego Kane'a, który podpisał dokumenty, kontrakty i umowy, które jej pokazali. A Siobhan Casey jest jego kochanką.

- Nie rozumiem, przecież pani jest o wiele piękniejsza - wyrwało się Maggie.

Constanza podziękowała jej i wyjęła książeczkę czekową. Podała im nazwiska przyjaciół i poleciła ich firmę budowlano-dekoratorską. Nawet przez moment nie wątpili, że mówi szczerze. Tłumaczyła, że gdyby nie oni, nie znalazłaby w sobie dość odwagi, by zrobić to, co zamierza. Muszą wierzyć, że te pieniądze prawnie należą do nich i zostaną odzyskane, jak tylko sprawa ruszy z miejsca.

- Czy dobrze zrobiłem, mówiąc Constanzie? - Laddy patrzył przestraszony na całą trójkę. Nigdy nie opowiadał obcym o problemach hotelu.

Zauważył, że nie byli zachwyceni, gdy przyprowadził Constanzę. Ale z tego, co zdołał zrozumieć, wszystko ułożyło się cudownie. Znacznie szczęśliwiej, niż się spodziewał.

- Dobrze zrobiłeś, Laddy - odparł cicho Gus. W jego oczach można było dostrzec głęboką wdzięczność.

Wszyscy odetchnęli. Gus i Maggie byli bardzo spięci, gdy kilka godzin temu powtarzali z nim słówka. Wyraźnie się rozluźnili, jakby to, co ich dręczyło, minęło.

321

Musi im powiedzieć, jak dobrze mu poszło na zajęciach.

- Świetnie dziś sobie radziłem. Bałem się, że zapomnę jakiegoś słówka, ale pamiętałem wszystkie! - oświadczył rozpromieniony.

Maggie kiwnęła głową, niezdolna mówić. Oczy jej błyszczały.

Constanza postanowiła włączyć się do rozmowy.

- Wiecie, że Laddy i ja byliśmy dziś w parze? Doskonale sobie radziliśmy.

- Łokieć, kostka i gardło? - podpowiedział Gus. - I dużo więcej. Kolano i broda.

- n ginocchio e la barba! - zawołał Laddy.

- Czy pani wie, że Laddy ma nadzieję na wyjazd do znajomych w Rzymie?

- odezwała się wreszcie Maggie.

- O tak, wszyscy o tym wiemy. W przyszłym roku w wakacje, kiedy pojedziemy do Rzymu, z pewnością się z nimi zobaczymy. Czuwa nad tym Signora.

Constanza wyszła.

Siedli przy stole. We trójkę, tak jak już będą siadać zawsze. Zgodnie z życzeniem Rosę.

322

Rozdział Ósmy.

Fiona.

Fiona pracowała w kafejce dużego szpitala.

Uważała, że to tak samo ciężka praca, jak praca pielęgniarki, ale pozbawiona dobrych stron, jak niesienie pomocy ludziom. Widziała blade, zdenerwowane twarze pacjentów czekających na wizytę, rodziny odwiedzające swoich bliskich, którym się nie poprawiało, hałaśliwe, niespokojne dzieci, przeczuwające, że dzieje się coś złego, ale nie potrafiące tego określić.

Od czasu do czasu zdarzało się coś miłego. Kiedyś wpadł jakiś mężczyzna krzycząc: „Nie mam raka, nie mam raka!” i z radości ucałował Fionę.

Potem uścisnął rękę każdemu na sali. Oczywiście wszyscy cieszyli się wraz z nim. Jednak niektórzy z tych, co się uśmiechali, mieli raka, o czym nie pomyślał. I niektórym z nich rokowano poprawę, ale patrząc na szczęśliwca, zapominali o tym i zazdrościli mu wyroku ułaskawiającego.

Kawa, herbata i ciastka były płatne, ale Fiona czuła, że nie może zmuszać do płacenia osób, które przeżywały dramat. Czasami nawet sama wciskała kubek kawy do rąk cierpiącej osoby. Fiona wolałaby zwykłe kubki od jednorazowych, ale nie sposób zmywać wszystkich filiżanek i spodków po tych tłumach, jakie codziennie przewijają się przez szpital. Wiele osób znało ją po imieniu i często zagadywało dla odpędzenia przykrych myśli.

Fiona witała wszystkich szerokim uśmiechem, którego tak bardzo potrzebowali. Wyglądała jak myszka, w dużych okularach, które jeszcze bardziej podkreślały jej duże

323

oczy, z włosami upiętymi z tyłu w duży kok. W poczekalni było ciepło, więc Fiona ubierała się w T-shirty i krótkie czarne spódniczki. Kupowała koszulki z nadrukiem kolejnych dni tygodnia i ludziom się to podobało.

„Gdy nie wiem, jaki mamy dzisiaj dzień tygodnia, patrzę na koszulkę Fiony”, mówili. „Dobrze, że nie masz napisane: styczeń, luty, marzec”

mówili inni. Był to pretekst do rozpoczęcia rozmowy. Fiona i jej dni tygodnia.

Czasami Fiona marzyła, że kiedyś podejdzie do niej przystojny lekarz i patrząc w jej duże oczy powie, że jest dziewczyną, której szukał przez całe życie.

Ale tak się nie stało. I Fiona zrozumiała, że nigdy się nie stanie. Lekarze mieli swoich przyjaciół, innych lekarzy, ich córki, ludzi z klasą. Nie będą patrzyli na dziewczynę w koszulce, rozdającą jednorazowe kubki do kawy.

Przestań marzyć, mówiła sobie.

Fiona skończyła dwadzieścia lat i nie łudziła się, że kiedykolwiek uda jej się umówić z mężczyzną. Zwyczajnie się do tego nie nadawała.

Wystarczyło spojrzeć na jej przyjaciółki, Granie i Brigid Dunne. Nie zdążyły wyjść za drzwi i już

miały adoratorów. Do których czasami szły nawet na noc. Wiedziała o tym, gdyż często służyła jako alibi. „Nocuję dziś u Fiony” było świetnym tłumaczeniem.

Matka Fiony nie zdawała sobie z tego sprawy. Nigdy by się nie zgodziła na taki układ. Wyznawała tradycyjne zasady o grzecznej dziewczynce, która czeka, aż wyjdzie za mąż. Fiona sama nie miała wyrobionej opinii na ten temat. Teoretycznie, jeśli pokochało się kogoś z wzajemnością, należało ten związek potraktować poważnie ze wszystkimi konsekwencjami. Skoro jednak ten problem nie pojawił się w jej życiu, nie było możliwości sprawdzenia teorii w praktyce.

Często patrzyła na siebie w lustro. Nie wyglądała źle. Może była trochę za niska. Okulary też nie dodawały jej urody, ale ludzie mówili, że podoba się im w okularach, że wygląda uroczo. Czy chcieli ją w ten sposób pocieszyć? Czy wyglądała śmiesznie? Trudno powiedzieć.

324

Grania Dunne powiedziała jej, żeby się przestała wygłupiać. Wygląda dobrze. Ale Grania była teraz lekko nieprzytomna. Zauroczył ją zupełnie facet w wieku jej ojca! Fiona nie mogła tego zrozumieć. Grania miała przecież tylu normalnych adoratorów. Dlaczego zdecydowała się na tego starego mężczyznę?

Brigid także prawiała jej komplementy. Podziwiała jej figurę, krytykując własną. Twierdziła, że przybiera na wadze już po zjedzeniu kanapki.

Dlaczego więc Brigid o pulchnych biodrach nigdy nie narzekała na brak partnerów? Chociaż nie poznawała ich w biurze turystycznym. Jak mówiła, przychodziły tam tylko tłumnie dziewczyny, pragnące spędzić słoneczne wakacje, starsze panie po wycieczki autokarowe i młodożeńcy, których natarczywość doprowadzała ją do wymiotów, domagający się wyjątkowo ustronnych miejsc. I nie chodziło o to, że siostry Dunne spały z każdym, kto się nawinął. To nie tłumaczyło ich powodzenia u mężczyzn.

Stanowiły dla Fiony wielką zagadkę.

Ten poranek zaczął się pracowicie i biegła jak w ukropie. W koszu na śmieci leżało tyle torebek od herbaty i pudełek po ciastkach, że musiała się ich pozbyć. Z trudem przeniosła dużą plastikową torbę pod drzwi. Jeszcze tylko donieść na śmietnik. Podszedł do niej jakiś młody mężczyzna i wziął torbę.

- Pozwoli pani, że pomogę - zaproponował. Był śniady i dość przystojny, włosy miał lekko nastroszone. Pod pachą ścisnął kask, jakby się bał stracić go z oczu.

Przytrzymała mu drzwi.

- Proszę wrzucić do któregoś z tamtych pojemników - powiedziała czekając, aż wróci. - Bardzo pan miły.

- Choć na chwilę mogłem się oderwać od swoich myśli.

Miała nadzieję, że nic poważnego mu nie dolega. Wyglądał na silnego i zdrowego. Ale widziała już tylu silnych i zdrowych, którym zakomunikowano najgorsze.

- To świetny szpital - rzekła, chociaż wcale nie miała pewności. Nie różnił się chyba od innych, ale mówiła tak, by dodać ludziom otuchy i nadziei.

- Naprawdę? - ucieszył się. - Przywiozłem ją tutaj, bo było mi najbliżej.

325

- Ma doskonałą reputację. - Fiona próbowała podtrzymać rozmowę.

Wskazał na jej koszulkę.

- Giovedi - powiedział.

- Słucham?

- To po włosku znaczy czwartek - wyjaśnił.

- Tak? Mówi pan po włosku?

- Nie, ale chodzę na kurs wieczorowy dwa razy w tygodniu. - Był z siebie bardzo dumny. Podobał się jej i chciała przedłużyć rozmowę.

- Kogo pan tu przywiózł? - spytała, by od razu wyjaśnić sytuację. Jeśli to żona albo dziewczyna, nie ma sensu się angażować.

- Matkę - twarz mu się zachmurzyła. - Jest na ostrym dyżurze. Mam tutaj poczekać.

- Miała wypadek?

- Coś w tym rodzaju. - Nie chciał o tym mówić.

Fiona zapytała o kurs. Czy to trudne zajęcia? Gdzie się odbywają?

- W szkole Mountainview, niedaleko stąd. Fiona zaniemówiła.

- Cóż za zbieg okoliczności! Uczy w niej ojciec mojej najlepszej przyjaciółki. - Coś już ich łączyło.

- Mały jest ten świat.

Czuła, że go zanudza, a przy ladzie zaczęła się ustawiać kolejka po herbatę i kawę.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co.

- Jestem pewna, że matka dojdzie szybko do siebie. Tam są świetni lekarze.

- Na pewno.

Fiona obsługiwała ludzi, uśmiechając się do nich. Może jest bardzo nudną osobą?

- Brigid, czy ja jestem nudna? - spytała przyjaciółkę tego wieczoru.

- Nie, jesteś przebojowa. Powinnaś mieć swój program w telewizji. -

Brigid spojrzała zdeglustowana na pękający rozporek w spódnicy. - Nie mogą nic zrobić porządnie. Przecież nie jestem aż tak gruba, żeby się rozpruł. To niemożliwe.

326

- Oczywiście, że nie - skłamała Fiona. Wtedy zrozumiała, że Brigid też pewnie ją okłamywała. - Jestem nudna - stwierdziła nagle w przebłysku świadomości.

- Fiona, jesteś szczupła. Czyż nie o tym marzą wszyscy na tym zwariowanym świecie? Przestań głądzić. Stałaś się nudna, kiedy zaczęłaś o tym nawijać. - Brigid straciła cierpliwość. Co to za problem w porównaniu z niezaprzeczalnym faktem, że znów przytyła?

- Spotkałam dziś chłopaka. Zaczął ziewać i odszedł po dwóch minutach rozmowy ze mną. - Fiona była niepoczyszona.

Brigid spoważniała.

- Gdzie go poznałaś?

- W pracy. Przywiózł matkę na ostry dyżur.

- Na miłość boską, jego matka została przejechana albo coś takiego, a ty oczekujesz, że zaczniesz z tobą towarzyskie rozmowy? Zastanów się, dziewczyno!

Fiona była tylko częściowo przekonana.

- Uczy się włoskiego na kursie u twego taty.

- To dobrze. Dzięki Bogu, że ktoś się uczy. Bali się, że nie znajdą tylu chętnych. Całe lato chodził jak struty - powiedziała Brigid.

- To wina moich rodziców. Jak mam nie być nudna, skoro w moim domu nie rozmawia się na żaden temat. Co ja mogę sobą reprezentować po tylu tak spędzonych latach?

- Och, zamknij się, Fiona. Nie jesteś nudna i nie spotkałam rodziców, którzy mieliby coś ciekawego do powiedzenia! Ja ze swoimi nie rozmawiałam od lat. Tata po kolacji idzie do swojego pokoju i nie rusza się stamtąd przez całą noc. Dziwię się, że tam nie śpi. Siedzi przy biurku, gładzi książki,

włoskie talerze i obrazy na ścianach. W słoneczne popołudnia siada w oknie na sofie i patrzy przed siebie. I co ty na to?

- Co mam powiedzieć, gdy go znowu zobaczę?

- Mojego ojca?

- Nie, tego chłopaka o sterczących włosach.

- Boże, możesz spytać, jak się czuje jego matka. Czy mam iść z tobą i jak w teatrzyku kukiełkowym mówić ci: zrób to, porusz prawą ręką...

327

- To nie taki zły pomysł. Czy twój ojciec ma słownik włoski?

- Chyba ze dwadzieścia, a co?

- Chciałam sprawdzić, jak są dni tygodnia - odparła Fiona, jakby chodziło o rzecz oczywistą.

* * *

- Byłam dzisiaj u Dunne'ów - powiedziała Fiona w domu.

- To miło - rzekła matka.

- Nie chodź tam zbyt często, bo pomyślą, że tam mieszkasz - ostrzegł

ojciec.

Fiona była ciekawa, co ma na myśli. Nie była tam od tygodni. Gdyby rodzice wiedzieli, jak często córki Dunne'ów twierdziły, że nocują w tym domu! Wtedy dopiero miałyby problem.

- Czy uważasz, że Brigid Dunne jest piękna? - spytała matkę.

- Nie wiem, trudno powiedzieć. Ojciec czytał gazetę.

- Ale powiedziałaabyś, że dobrze wygląda, gdybyś ją zobaczyła?

- Musiałabym się zastanowić.

Leżąc w łóżku tej nocy, Fiona długo nad tym myślała. Jak Grania i Brigid to robią, że są takie pewne siebie, takie zdecydowane? Mieszkały w podobnych domach, chodziły do tej samej szkoły. A Grania walczyła o wszystko jak lew. Miała romans ze starszym mężczyzną. Zaczynali, rozchodzili się, ale wciąż trwał. Zamierzała powiedzieć matce i ojcu, że wyprowadzi się z domu do niego albo nawet wyjdzie za mąż.

Najgorsze, że był on szefem pana Dunne'a. I pan Dunne go nie lubił.

Grania nie wiedziała, czy ma zawiadomić rodzinę, że romansuje ze starszym od siebie mężczyzną, ale nie mówić z kim, dając w ten sposób tacie czas, by się z tym oswoił, czy też ma powiedzieć od razu całą prawdę. Pan O'Brien twierdził, że należy mówić prawdę prosto z mostu, gdyż ludzie są odważniejsi niż myślimy.

Ale Grania i Brigid miały wątpliwości; zwłaszcza Brigid. On był tak strasznie stary.

- Wkrótce zostaniesz wdową - ostrzegła.

328

- Ale bogatą. Dlatego za niego wychodzę. Otrzymam po nim niezłą rentę -

śmiała się Grania.

- Zaczną ci się podobać inni mężczyźni, zaczniesz się z nimi spotykać, wreszcie go zdradzisz, a on kiedyś dorwie cię w łóżku z innym i dokona podwójnego morderstwa. - Brigid była nieomal zachwycona takim rozwiązaniem sprawy.

- Nigdy wcześniej nikogo nie pragnęłam tak bardzo. Gdy poczujesz coś takiego, jesteś pewna, że to jest to. - Grania była nieprzyzwoicie zadowolona z siebie.

Fiona i Brigid wywróciły oczy. Prawdziwa miłość to rzecz bardzo wyczerpująca i niezrozumiała dla postronnych obserwatorów. Chociaż Brigid nie zawsze była obserwatorem. Jej też składano wiele propozycji.

Fiona leżała w ciemnościach i rozmyślała o sympatycznym chłopcu ze sterczącymi włosami, który ciepło się do niej uśmiechał. Czyż to nie byłoby cudowne, gdyby ją pokochał taki chłopiec?

* * *

Minął tydzień, zanim znowu go zobaczyła.

- Jak się czuje matka? - spytała.

- Jak się o niej pani dowiedziała? - Był wyraźnie zły i zakłopotany jej pytaniem. Wielkie dzięki dla Brigid za jej radę.

- Kiedy był pan tu ostatnim razem, pomógł mi pan wynieść torbę ze śmieciami i wtedy dowiedziałam się, że pana matka jest na ostrym dyżurze.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Ach, tak. Przepraszam. Nie jest z nią dobrze. Znow to zrobiła.

- Miała znów wypadek?

- Nie, przedawkowała lekarstwa.

- Strasznie mi przykro - powiedziała z przejęciem.

- Tak, wiem.

Zapadła cisza. Wskazała na swoją koszulkę.

- Venerdi - rzekła dumnie. - Tak to się wymawia?

- Tak. - Wymówił to jeszcze raz bardziej po włosku i kazał jej powtórzyć. -

Pani też uczy się włoskiego? - zainteresował się.

329

- Nie, nauczyłam się tylko dni tygodnia na wypadek, gdybym pana spotkała - wypaliła bez zastanowienia. Natychmiast zrobiła się czerwona.

Marzyła teraz, by zapaść się pod ziemię.

- Mam na imię Barry - przedstawił się. - Chciałaby pani pójść ze mną do kina?

* * *

Barry i Fiona spotkali się na O'Connell Street i popatrzyli na afisze.

- Co chciałabyś zobaczyć? -A ty?

- Wszystko mi jedno, naprawdę.

- Mnie też. - Czy na twarzy Barry'ego nie zauważyła przypadkiem wyrazu zniecierpliwienia? - Może pójdźmy tam, gdzie jest najmniejsza kolejka -

zapropozowała.

- Ale to o wschodnich sztukach walki.

- Może być - rzekła bezmyślnie.

- Lubisz to? - spytał zdziwiony.

- A tobie się podoba?

Randka rozpoczęła się nie najlepiej. Poszli na film, który obojgu się nie podobał. Potem pojawił się problem, co robić dalej.

- Masz ochotę na pizzę? - zaproponował. Fiona skwapliwie kiwnęła głową.

- Wspaniale.

- A może chcesz pójść do pubu?

- Też świetny pomysł.

- Chodźmy więc na pizzę - powiedział tonem człowieka, który wie, że sam musi podjąć decyzję.

Siedli i popatrzyli na siebie. Wybór pizzy okazał się jeszcze trudniejszy.

Fiona zgodziła się zarówno na pizzę margheritę, jak i pizzę neapolitańską, więc Barry zamówił quattro stagioni dla obojga. Składała się z czterech części o różnych smakach. Można było zjeść wszystkie i nie trzeba było podejmować decyzji.

Barry opowiedział jej o nauczycielce włoskiego, która przyniosła raz na zajęcia różne rodzaje pizzy. Musiała na to wydać wszystkie zarobione pieniądze. Jedli i głośno wymawiali

330

nazwy poszczególnych rodzajów. To było cudowne. Mówił z takim entuzjazmem, że przypominał jej małego chłopca. Fiona chciałaby, żeby ją także przepełniała taka radość. Z czegokolwiek.

Mogła za to winić tylko matkę i ojca. Byli miłymi ludźmi, ale nie mieli nic do powiedzenia. Jej ojciec mawiał: „Mniej mówisz, szybciej działasz”, co powinno zostać wytatuowane każdemu nowonarodzonemu dziecku.

Ludzie nie traciliby wtedy czasu na gadanie bez sensu. Co nie oznaczało, że ojciec w ogóle się nie odzywał. Matka kierowała się inną zasadą. Nie dać się ponieść emocjom. Zawsze powtarzała Fionie, żeby nie emocjonowała się lekcjami tańca, wakacjami w Hiszpanii czy czymkolwiek innym, co się jej podoba. Dlatego Fiona nie miała własnego zdania, nie potrafiła wyrazić swojej opinii.

Wyrosła na osobę, która nie wie, jaki film chce obejrzeć, jaką zjeść pizzę i co potem powiedzieć. Czy powinna rozmawiać o próbie samobójstwa jego matki? Czy Barry umówił się z nią, gdyż chciał na chwilę zapomnieć o matce? Fiona zmarszczyła brwi z wysiłku.

- Przepraszam, trochę cię zanudzam.

- Och, nie, absolutnie nie - zawołała. - Słucham cię z przyjemnością.

Wiesz, chciałabym się tak przejmować jak ty. Zazdroszczę tobie i tym ludziom, którzy zdecydowali się zapisać na kurs. Ja czuję się trochę nudna.

- Bardzo często, kiedy tego nie oczekiwała, udawało się jej powiedzieć coś, co sprawiało innym przyjemność.

Barry uśmiechnął się szeroko i poklepał ją po ręce.

- Wcale nie jesteś nudna. Bardzo miło się z tobą rozmawia i przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ty też zapisała się na kurs, prawda?

- Chyba nie. Czy u ciebie są wolne miejsca? - Znów pożałowała swoich słów. Zbyt się narzuca, nie potrafi sama poszukać sobie kursu.

Przygryzła wargi. Barry potrząsnął głową.

- To nie ma sensu. Już za późno, przerobiliśmy sporo materiału - oznajmił

z dumą. - Poza tym wszyscy zapisaliśmy się z określonego powodu.

Każdy czuł potrzebę nauczenia się włoskiego. Przynajmniej tak to wygląda.

- A jaką ty odczuwałeś potrzebę?

331

Barry lekko się zmieszał.

- Wiązało się to z wyjazdem na piłkarskie mistrzostwa świata - wyjaśnił. -

Pojechałem wtedy z kolegami. Poznałem wielu fantastycznych Włochów i czułem się, jakbym się urwał z choinki, gdy nie mogłem powiedzieć ani słowa w ich języku.

- Ale mistrzostwa się już odbyły.

- Tak, ale Włosi wciąż tam są. Chciałbym tam wrócić i porozmawiać z nimi - rozmarzył się.

Fiona wahała się, czy zapytać o jego matkę, ale uznała, że lepiej nie. Jeśli będzie chciał, sam to zrobi. To były zbyt osobiste sprawy. Uważała go za przemiłego faceta i pragnęła spotkać się z nim ponownie. Jak radzą sobie dziewczyny z facetami? Czy opowiadają coś śmiesznego? A może w ogóle się nie odzywają? Wiele by dała, żeby się dowiedzieć. Zastanawiała się, jak mu dać do zrozumienia, że go lubi i chce zostać jego przyjaciółką. A później nawet czymś więcej. Dlaczego nie mogła nic wymyślić?

- Powinniśmy chyba wracać - zauważył.

- Tak, oczywiście. - Wyraźnie widziała, że jest nią zmęczony.

- Odprowadzić cię do autobusu?

- Dobrze.

- A może odwiózłbym cię moim motorem?

- Wspaniale. - Zdała sobie sprawę, że zgodziła się na obie propozycje.

Znów się wygłupiała. Postanowiła się wytłumaczyć. - To znaczy, gdy zaproponowałeś mi odprowadzenie do autobusu, nie wiedziałam, że masz motor. Ale wolałabym przejażdżkę motorem. - Była przerażona własną śmiałością.

- Świetnie - ucieszył się. - Trzymaj się mnie mocno, dobrze?

- Dobrze - odparła i uśmiechnęła się zza dużych okularów.

Poprosiła, żeby zatrzymał się wcześniej, gdyż okolica była spokojna i motory rzadko tu jeździły. Ciekawe, czy jeszcze się z nią umówi.

- Do zobaczenia - powiedział.

- Tak, do zobaczenia. - Modliła się, żeby nie dostrzegł w jej oczach błagania i nadziei.

332

- Możesz mnie znaleźć w supermarkecie - rzucił.

- Co? Ach, tak. Jasne.

- Albo zobaczymy się w szpitalu.

- No tak, oczywiście, jeśli będziesz przechodził - powiedziała smutnie.

- Będę tam codziennie - wyjaśnił. - Zatrzymali matkę na dłużej. Dziękuję, że o nią nie pytałaś... Nie mogłem o tym rozmawiać.

- Oczywiście. - Fiona odetchnęła z ulgą. Była o krok od zadania mu tego pytania.

- Dobranoc, Fiona.

- Dobranoc, Barry, i dziękuję.

Długo leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Polubił ją za to, że nie była wścibska. To prawda, popełniła kilka głupich błędów, ale obiecał, że się zobaczą.

* * *

Brigid zadzwoniła do Fiony do szpitala.

- Czy możemy cię prosić o przysługę? Mogłabyś przyjść do nas wieczorem?

- Jasne. A po co?

- Dzisiaj jest ten dzień. Grania zamierza im powiedzieć o swoim emerycie.

Talerze pójdą w ruch.

- W czym ja się przydam? - zdziwiła się Fiona.
- Może spuszcza nieco z tonu, gdy w domu będzie ktoś spoza. Może - skrzywiła się z powątpiewaniem Brigid.
- On też przyjdzie?
- Będzie siedział w samochodzie, na wypadek, gdyby był potrzebny.
- Potrzebny? - przestraszyła się Fiona.
- No, jeśli zostanie przyjęty jako przyszły zięć, zaproszą go do domu, albo gdy będzie musiał ruszyć na pomoc Grani, jeśli ojciec stłucze ją do nieprzytomności.
- Chyba tego nie zrobi! - Fiona otworzyła usta z przerażenia.
- Oczywiście, że nie, Fiono. Wszystko bierzesz tak dosłownie. Nie masz wyobraźni?
- Wydaje mi się, że nie - odparła Fiona smutnie.

333

W ciągu dnia Fiona zrobiła wywiad na temat pani Healy, matki Barry'ego.

Znała Kitty, jedną z pielęgniarek na oddziale. Płukanie żołądka, drugi raz.

Kobieta chciała się zabić. Kitty pogardzała takimi ludźmi. Jeśli pragnęli śmierci, nie zamierzała im przeszkadzać. Po co marnować czas i pieniądze na ciągłe pocieszanie, zapewnianie, że są niezastąpieni i kochani?

Prawdopodobnie nie byli. Gdyby wiedzieli, ile jest prawdziwie cierpiących ludzi, którzy tak bardzo pragną żyć, porządnie by się zastanowili.

Kitty nie współczuła niedoszłym samobójcom. Ale prosiła, żeby Fiona nikomu o tym nie mówiła. Nie chciała być uważana za nieczułą. Podawała tej kobiecie lekarstwa i starała się być tak samo miła, jak dla innych pacjentów.

- Jak ma na imię?
- Chyba Nessa.
- Jaka ona jest? - spytała Fiona.
- Nie wiem. Bardzo słaba, w szoku. Wciąż patrzy na drzwi myśląc, że pojawi się w nich jej mąż.
- I przyszedł?

- Jeszcze nie. Jej syn tak, ale nie na niego czeka. Chce zobaczyć twarz męża. Dlatego to zrobiła.

- Skąd wiesz?

- Wszystkie tak się zachowują - rzekła pouczająco Kitty.

* * *

W kuchni państwa Dunne'ów wszyscy siedzieli przy stole. Stały na nim talerze z makaronem posypanym serem, ale prawie nikt nie jadł. Obok talerza pani Dunne jak zwykle leżała rozłożona książka. Gospodyni wyglądała, jakby znajdowała się w poczekalni na lotnisku, a nie we własnym domu.

Brigid jak zwykle starała się nic nie jeść, ale nakładając sobie małymi porcjami makaron z półmiska i ścierając rozlany sos chlebem z masłem zjadła więcej, niż gdyby nałożyła sobie jedną rozsądną porcję. Grania była blada. Pan Dunne pochylił się, by wstać i zniknąć w swoim ukochanym pokoju.

334

- Tato, poczekaj chwilkę - odezwała się Grania. Głos miała zduszony. -

Chciałam ci coś powiedzieć, wam wszystkim.

Matka Grani spojrzała znad książki. Brigid spuściła głowę. Fiona zaczerwieniła się z poczucia winy. Tylko ojciec był niczego nieświadom.

- Tak, oczywiście - usiadł, jakby zadowolony, że wreszcie można z kimś porozmawiać.

- Wiem, że trudno wam będzie się z tym pogodzić, więc postaram się mówić prosto i jasno. Pokochałam kogoś i chcę za niego wyjść za mąż.

- To wspaniale - rzekł ojciec.

- Wyjść za mąż? - spytała matka, jakby była to ostatnia rzecz, którą można zrobić, gdy się kogoś kocha.

Brigid i Fiona wydały z siebie tylko dziwne dźwięki mające chyba oznaczać zdziwienie i radość.

Zanim ojciec spytał, kim jest wybranek, Grania dodała szybko:

- Nie spodoba ci się to, co usłyszysz. Uznasz, że jest za stary i mnóstwo innych rzeczy, ale... to Tony O'Brien.

Zapadła grobowa cisza. Było to gorsze, niż sobie Grania wyobrażała.

- Czy to jakiś dowcip? - odezwał się wreszcie pan Dunne.

- Nie, tato.

- Tony O'Brien! Proszę, proszę, żona dyrektora! - parsknęła śmiechem matka.

Fiona nie mogła znieść napięcia.

- Słyszałam, że jest bardzo miły - wyjąkała.

- Od kogo to słyszałaś, Fiono? - spytał tonem typowego belfra.

- No, tak mówią - odparła słabym głosem.

- On nie jest zły, tato. Ona musi za kogoś wyjść - przyszła z pomocą Brigid.

- Jeśli myślisz, że wyjdiesz za Tony'ego O'Briena, to się grubo mylisz. -

Twarz Aidana Dunne'a skurczyła się z wściekłości i goryczy.

- Chciałam, żebyś dowiedział się pierwszy. Za miesiąc planowaliśmy wziąć ślub. - Grania próbowała powstrzymać drżenie głosu.

335

- Grania, ten mężczyzna mówi co najmniej trzem dziewczynom w miesiącu, że się z nimi ożeni. Potem zabiera je do swojego burdelu i robi z nimi, co chce. Cóż, pewnie o tym wiesz, bywając u niego wystarczająco często, kiedy mówiłaś nam, że zostajesz u Fiony.

Fiona skuliła się, gdy kłamstwo wyszło na jaw.

- To nie tak. To już trwa od dawna. To znaczy nie widywałam się z nim, od kiedy został dyrektorem, gdyż myślałam, że nas oszukał. Ciebie i mnie.

Ale wszystko mi wyjaśnił.

- Naprawdę?

- Tak. Tony cię potrzebuje. Bardzo cię szanuje i podziwia za zorganizowanie i prowadzenie kursu wieczorowego.

- Znam chłopaka, który się tam zapisał i jest zachwycony - pisnęła Fiona.

Ze spojrzeń wywnioskowała, że jej odezwanie się nie było pomocne.

- Długo musiał mnie przekonywać, tato. Byłam po twojej stronie i nawet z nim zerwałam. Ale wytłumaczył mi, że nie stoimy na przeciwnych pozycjach.

- Nie wątpię, że długo musiał cię namawiać. Zwykle zajmuje mu to około trzech dni. Przechwala się, jaki jest dobry w zaciąganiu młodych dziewczyn do łóżka. I taki człowiek kieruje szkołą

Mountainview.

- On się zmienił, tato. Daję słowo, że tak. Pomyśl o tym.
- Tylko dlatego, że nie siedzi w pokoju nauczycielskim, ale w swojej małej licej sali tronowej, którą nazywa gabinetem dyrektora.
- Tato, przecież to zawsze był gabinet dyrektora, korzystał z niego nawet pan Walsh.
- To co innego. On był człowiekiem godnym tego stanowiska.
- A Tony nie jest? Czyż nie odmalował ścian, nie wyremontował części rzeczy? Nie podjął nowych zadań, nie dał pieniędzy na twój ogród przyrody, kurs wieczorowy, nie namówił rodziców, by załatwili lepszy dojazd autobusowy...?
- Widzę, że doskonale cię indoktrynował.
- A ty, co myślisz, mamó? - zwróciła się Grania do matki.
- Co ja myślę? A jakie to ma znaczenie? I tak zrobisz, co zechcesz.

336

- Spróbuj zrozumieć, że jemu też jest ciężko. Chciał ci wszystko wyjaśnić dużo wcześniej, nie podobało mu się trzymanie tego w tajemnicy, ale ja nie byłam gotowa.
- No pewnie - burknął pogardliwie ojciec.
- Naprawdę, tato. Fatalnie się czuł, gdy musiał z tobą rozmawiać i wiedział, że coś ukrywa, że prędzej czy później będzie musiał stanąć z tobą twarzą w twarz.
- O mój Boże, biedaczek, tak się zamartwiał. - Nigdy nie widziały ojca tak rozgoryczonego i pełnego sarkazmu. Twarz miał wykrzywioną pogardliwie.

Grania wyprostowała się.

- Jak powiedziała mama, jestem pełnoletnia i mogę robić, co zechcę, ale miałam nadzieję, że otrzymam od was jakąś... jakieś wsparcie.
- A gdzie jest ten Wzór Wszelkich Cnót, który nie śmiał się tu pojawić, by przedstawić swój punkt widzenia?
- Czeka pod domem w samochodzie. Powiedziałam, że zawołam go w odpowiedniej chwili. - Grania zagryzła wargi. Wiedziała, że O'Brien nie zostanie zaproszony.
- To nie jest odpowiednia chwila. Nie otrzymasz ode mnie błogosławieństwa i wsparcia. Jak zauważyła matka, zrobisz, co zechcesz i nic na to nie poradzimy.

Wstał od stołu roztrzęsiony i wściekły. Po chwili usłyszeli trzaśnięcie drzwi jego gabinetu.

Grania spojrzała na matkę. Neli Dunne wzruszyła ramionami.

- Czego oczekiwałaś? - spytała.

- Tony mnie kocha! - zaprotestowała Grania.

- Może tak, a może nie. Ale czy myślisz, że to ma jakieś znaczenie dla twojego ojca? Po prostu wybrałaś człowieka, akurat tego z miliona, z którym on nigdy nie dojdzie do porozumienia. Nigdy.

- Ale czy ty, ty mnie rozumiesz? - Grania rozpaczliwie szukała czyjegoś wsparcia.

- Rozumiem, że jest on kimś, kogo w tym momencie pragniesz, jasne. Co jeszcze mam zrozumieć?

Twarz Grani była kamienna.

- Dzięki, właśnie to chciałam usłyszeć. - Spojrzała na siostrę i przyjaciółkę. - Wam też dziękuję. Bardzo mi pomogliście.

337

- Boże! Co miałyśmy zrobić? Paść na kolana i przekonywać go, że jesteś dla niego stworzona? - Brigid poczuła się urażona niesprawiedliwym oskarżeniem.

- Mówiłam przecież, że jest powszechnie szanowany - broniła się Fiona ze łzami w oczach.

- Tak, mówiłaś - powiedziała ponuro Grania. Sztywno wstała od stołu.

- Gdzie idziesz? Ojciec nie zmieni zdania - ostrzegła Brigid.

- Nie, zamierzam spakować rzeczy i przenieść się do Tony'ego.

- Jeśli tak za tobą szaleje, jutro też tam będzie - zauważyła matka.

- Nie chcę tu dłużej zostawać. Zrozumiałam to dopiero pięć minut temu.

Nigdy nie byłam szczęśliwa w tym domu.

- A co to znaczy być szczęśliwym? - spytała Neli Dunne. Siedziały w milczeniu słuchając, jak Grania wchodzi po

schodach, by spakować walizkę.

* * *

Siedzący w samochodzie mężczyzna cały czas obserwował, co się dzieje w domu, i zastanawiał się, czy cień postaci przesuwany się w sypialni to dobry znak.

Po chwili zobaczył w drzwiach Granie z walizką w rękach.

- Zabiorę cię do domu, kochanie - powiedział. Położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła płakać. Tak jak niedawno, będąc dzieckiem, wypłakiwała się na ramieniu taty.

* * *

Fiona długo rozmyślała nad tym, co się stało. Grania była od niej starsza tylko o rok. Przeżycia Fiony w porównaniu z przeżyciami przyjaciółki nie liczyły się. Czy ona zdołałaby przeciwstawić się w ten sposób rodzicom?

Najważniejsza rzecz, którą powinna teraz zrobić, to zaistnieć w życiu Barry'ego.

Pomyśli o tym jutro rano w pracy.

338

* * *

Pod koniec dnia w szpitalu można było tanio kupić kwiaty z kwiaciarni, te które nie dotrzymałyby do następnego dnia. Fiona wybrała mały bukietik frezji i dołączyła do niego karteczkę: „Szybkiego powrotu do zdrowia, Nesso Healy". Kiedy nikt nie widział, zostawiła je na stoliku pielęgniarki oddziałowej, po czym szybko wróciła do kafejki.

Po dwóch dniach zobaczyła Barry'ego.

- Matka czuje się lepiej. Wraca do domu pod koniec tygodnia - oznajmił radośnie.

- Cieszę się... czy przeszło jej już, cokolwiek to było?

- Chodzi o mojego ojca, rozumiesz. Ona myśli... myślała... cóż.

Powiedział, że nigdy nie przyjdzie do niej do szpitala. Nie podda się szantażowi. Na początku była zrozpaczona.

- A teraz?

- Chyba zrezygnował. Przesłał jej kwiaty. Bukietik frezji. Gdy matka zrozumiała, że jednak obchodzi tatę, poczuła się lepiej i wraca do domu.

Fionie zrobiło się zimno.

- Przyszedł do niej z... kwiatami?

- Nie, zostawił je na stoliku pielęgniarki i odszedł. Ale to wystarczyło.

- A co na to twój ojciec? - spytała słabo Fiona.

- Twierdzi, że nie przysyłał żadnych kwiatów, ale oni tak zawsze. - Barry miał zmartwioną minę.

- Wszyscy rodzice są dziwni, moja przyjaciółka też tak mówi. Trudno pojąć, co im siedzi w głowie - powiedziała z przejęciem.

- Gdy matka wróci do domu i trochę się uspokoi, spotkasz się ze mną? -

spytał.

- Z przyjemnością - odparła Fiona. Proszę, Boże, proszę, niech nikt nie dowie się o kwiatach, niech dalej myślą, że to on je wysłał, tak będzie lepiej.

Barry zabrał ją na mecz piłki nożnej. Przed meczem wytłumaczył, która drużyna jest zła, a która dobra. Wyjaśnił, co to znaczy być na spalonym, i dodał, że na poprzednich meczach sędzia miał coś nie w porządku z oczami, ale liczą, że mu się poprawiło.

339

W przerwie meczu Barry spotkał ciemnego, przysadzistego młodego mężczyznę.

- Hej, Luigi, nie wiedziałem, że kibicujesz tej drużynie. Luigi ucieszył się ze spotkania.

- Bartolomeo, bracie, jestem z nimi od zawsze. Przeszli na włoski, mi piace giocare a calcio. Wybuchnęli

śmiechem. Fiona też się zaśmiała.

- To znaczy, że lubię piłkę nożną - wytłumaczył Luigi. Pewnie to właśnie znaczyło; Fiona starała się okazać zainteresowanie.

- Widzę, że nieźle wam idzie mówienie po włosku - powiedziała.

- Och, przepraszam, Luigi - zreflektował się Barry. - To jest Fiona.

- Masz szczęście, że twoja dziewczyna chodzi z tobą na mecze. Suzi woli zajmować się swoimi sprawami.

Fiona nie była pewna, czy powinna wyjaśnić temu dziwnemu mężczyźnie z dublińskim akcentem i włoskim imieniem, że właściwie nie jest dziewczyną Barry'ego. Postanowiła nic nie mówić. Dlaczego tak dziwnie nazywał Barry'ego?

- Jeśli spotykasz się później z Suzi, może razem wybierzemy się na drinka? - zaproponował Barry.

Luigi przyjął propozycję z ochotą. Umówili się w pubie.

Przez cały mecz Fiona usilnie starała się zrozumieć, na czym polega gra, kiedy ma okazywać radość. W głębi serca uważała, że to świetna rzecz iść z chłopakiem na mecz, spotkać przyjaciół i potem wspólnie spędzić wieczór.

Czuła się fantastycznie.

Musi się nauczyć, jakie zagrania prowadzą do karnego, różnego i rzutu z autu. A co ważniejsze, musi pamiętać, żeby nie pytać Barry'ego o rodziców i tajemniczy bukiet kwiatów.

Suzi była urocza, miała rude włosy i pracowała jako kelnerka w eleganckiej kawiarni na Temple Bar.

Fiona opowiedziała jej o swojej pracy w szpitalu.

- To nie to samo, co u ciebie - rzekła smutnie.

- Twoja praca jest ważniejsza - powiedziała stanowczo Suzi. - Podajesz kawę ludziom, którzy tego potrzebują. Ja tylko stawiam filiżanki przed tymi, którzy się pojawiają.

340

Panowie, widząc, że dziewczyny pochłonięte są rozmową, zajęli się szczegółowym analizowaniem meczu. Potem zaczęli omawiać podróż do Włoch.

- Czy Bartolomeo też dniami i nocami opowiada o viaggio? - spytała Suzi.

- Dlaczego tak go nazywasz? - szepnęła Fiona.

- Przecież to jego imię, nie? - zdziwiła się szczerze Suzi.

- Mówię do niego Barry.

- Ach, to przez Signorę. Jest cudowna. Wynajmuje pokój u moich rodziców. To jej pomysł. Z Lou zrobiła Luigiego. Czasami ja też tak go nazywam. Ale jedziesz?

- Dokąd?

- Do Rzymu! - Suzi wywróciła oczami.

- Nie wiem. Nie znam Barry'ego zbyt dobrze. Ale jeśli między nami się ułoży, może pojedę. Kto wie?

- Zacznij oszczędzać, będzie świetna zabawa. Lou chce, żebyśmy wzięli tam ślub albo przynajmniej spędzili tam miesiąc miodowy. - Suzi wyciągnęła rękę z pierścionkiem zaręczynowym.

- Niesamowity - zachwyciła się Fiona.

- Nie jest prawdziwy, ale przyjaciel Lou zrobił na nim świetny interes.

- Miesiąc miodowy w Rzymie - rozmarzyła się Fiona.

- Ale jest drobny problem. Spędzimy go w gronie pięćdziesięciu, sześćdziesięciu osób.

- Więc będziesz go zabawiała tylko w nocy, dzień będziesz miała z głowy.

- Zabawiać jego? A co ze mną? Oczekuję, że to on będzie mnie zabawiał.

Fiona znów pozałowała swoich słów. Oczywiście, że ktoś taki jak Suzi może tak myśleć. Spodziewać się, że Luigi będzie ją adorował. Nie musi się obawiać, że go czymś zdenerwuje. Czyż to nie wspaniałe mieć tyle pewności siebie? Z drugiej strony, jeśli ma się wygląd Suzi, te piękne rude włosy, jeśli pracuje się w tak eleganckim miejscu i spotyka z takimi chłopakami jak Luigi, ofiarowującymi jej drogie pierścionki zaręczynowe... Fiona westchnęła ciężko.

Suzi spojrzała na nią współczująco.

- Nudziłaś się na meczu?

341

- Nie, nie był zły. Nigdy wcześniej nie byłam na meczu. Nie całkiem rozumiem zasadę spalonego, a ty?

- Jezu, nie mam pojęcia. I nie obchodzi mnie to. Siedzieć w przejmującym chłodzię wśród wrzeszczących ci wprost do ucha ludzi? Moja zasada to spotykać się z nimi po meczu. - Suzi wiedziała wszystko.

Fiona patrzyła na nią z nie skrywanym podziwem i zazdrością.

- Jak ty to robisz, że jesteś taka... no wiesz... taka pewna siebie? To dlatego, że tak świetnie wyglądasz?

Suzi przyjrzała się jej uważnie. Ta dziewczyna o żywej twarzy i w ogromnych okularach wcale sobie z niej nie kpiła. Mówiła szczerze.

- Prawdę mówiąc nie wiem, co myśleć o swoim wyglądzie - wyznała Suzi.

- Ojciec twierdzi, że wyglądam jak dziwka, matka, że jestem zbyt łatwa. W

miejscach, gdzie starałam się o pracę, mówiono, że się za mocno maluję, chłopcy, którzy chcieli pójść ze mną do łóżka, mówili, że jestem super.

Skąd mam wiedzieć, jak wyglądam?

- Wiem, wiem - przytaknęła Fiona. Matka uważała, że Fiona wygląda śmiesznie w T-shirtach, ludzie w szpitalu je uwielbiali. Niektórzy mówili, że jej duże okulary to zaleta, powiększają oczy. Inni pytali, czy nie mogłaby sobie kupić szkieł kontaktowych. Czasami wydawało się jej, że ma ładne

długie włosy, czasami, że wygląda jak uczennica.

- W końcu doszłam do wniosku, że jestem już dorosła i rozumiałam, że nie zadowolę wszystkich - podjęła Suzi. - Postanowiłam zadowolić siebie.

Mam ładne nogi, więc noszę krótkie spódniczki, ale nie wyzywające i trochę mniej się maluję. Odkąd przestałam się tym przejmować, nikt się mnie nie czepia.

- Czy uważasz, że powinnam ściąć włosy? - szepnęła Fiona.

- Absolutnie nie i absolutnie tak. Kochana! To twoje włosy i twoja twarz.

Rób to, co tobie odpowiada, nie radź się mnie ani Bartolomea czy matki.

W przeciwnym razie na zawsze zostaniesz dzieckiem. Tak myślę.

Łatwo mówić pięknej Suzi. Fiona czuła się jak myszka w okularach.

Długowłosa myszka. Ale nawet jeśli zdejmie

342

okulary i zetnie włosy, będzie tylko mrugającą, krótkowłosą myszką. Jak ma dorosnąć? Nauczyć się podejmować decyzje jak inni ludzie? Może wydarzy się coś, dzięki czemu stanie się silna.

Barry'emu podobał się wieczór. Odwiózł Fionę do domu na motorze.

Uczepiona jego kurtki rozmyślała, jak ma się zachować, jeśli Barry zaprosi ją na następny mecz. Czy, tak jak Suzi, oświadczyć odważnie, że woli się spotkać po meczu? Albo zapytać kogoś w pracy, na czym polega spalony i przyjąć zaproszenie? Co będzie lepsze? Gdyby wiedziała, czego sama chce. Ale nie była dorosła jak Suzi i nie miała własnego zdania.

- Miło było poznać twoich przyjaciół - powiedziała zsiadając z motoru.

- Następnym razem ty coś zaproponujesz - rzekł. - Wpadnę jutro wieczorem. Rano zabieram matkę do domu.

- Myślałam, że już jest w domu. - Nie zbliżała się do sali, w której leżała pani Healy, bojąc się, że ktoś ją rozpozna jako ofiarodawczynię frezji.

- Nie. Myśleliśmy, że czuje się lepiej, ale miała nawrót.

- Przykro mi to słyszeć.

- Wbiła sobie do głowy, że to ojciec przysłał kwiaty, co oczywiście było nieprawdą. Kiedy to do niej dotarło, załamała się.

Fiona poczuła jednocześnie falę zimna i gorąca.

- To straszne. - I dodała ciszej. - Dlaczego uważa, że to on?

Twarz Barry'ego zasępiła się. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Na stoliku były kwiaty zaadresowane dla niej. Ale lekarze twierdzą, że sama je sobie przysłała.

- Dlaczego?

- Bo nikt inny nie wiedział, że znajduje się w szpitalu - stwierdził po prostu Barry.

* * *

Kolejna nie przespana noc dla Fiony. Zbyt wiele się zdarzyło. Mecz, zasady gry, spotkanie z Luigim i Suzi, możliwość wyjazdu do Włoch, traktowanie jej jako dziewczyny Barry'ego. Cały ten pomysł, że kiedy się już dorośnie, wiadomo,

343

co robić, jak myśleć i podejmować samodzielne decyzje. I bolesna świadomość, że posyłając kwiaty matce Barry'ego pogorszyła jej stan.

Myślała, że sprawi jej tym przyjemność. Wszystko zepsuła.

Przyszła do pracy blada i wymęczona. Włożyła koszulkę z nieodpowiednim dniem tygodnia. Wprowadziła zamieszanie. Ludzie myśleli, że jest piątek, inni dokuczali jej, że pewnie ubierała się po ciemku. Jakaś pani, widząc napis „poniedziałek” na koszulce Fiony, nie poszła na spotkanie z lekarzem, bo sądziła, że pomyliła dzień. Fiona włożyła w łazience koszulkę tył na przód. Pilnowała, żeby nie odwracać się plecami.

Barry pojawił się podczas lunchu.

- Panna Clarke, moja szefowa, dała mi kilka godzin wolnego. Jest naprawdę miła. Także chodzi na lekcje włoskiego. Na zajęciach mówię do niej Francesca, a w pracy panno Clarke. Ale zabawa.

Fiona doszła do wniosku, że pół Dublinu chodzi na włoski przybierając fałszywe imiona. Ale miała na głowie o wiele ważniejsze sprawy, niż zazdrośczenie tym wszystkim ludziom, którzy jak dzieci bawili się w szkole Mountainview. Musi dowiedzieć się czegoś o jego matce, ale nie pytając wprost.

- Wszystko w porządku?

- Niestety nie. Matka nie chce wracać do domu, a jej stan zdrowia jest na tyle dobry, że nie mogą jej dłużej trzymać w szpitalu. Zamierzają ją przenieść na oddział psychiatryczny. - Był smutny i przybity.

- To przykre, Barry - powiedziała cicho Fiona.

- Tak, muszę sobie jakoś poradzić. Chciałem tylko powiedzieć, wracając do tego spotkania, na które miałaś...

Fiona przeraziła się. Nie śmiała nawet o tym myśleć. Boże, do tego wszystkiego teraz ją zaprosi!

- Jeszcze nie zdecydowałam, co...

- Nie, chciałem powiedzieć, że musimy odłożyć spotkanie. Nie o to chodzi, że idę z kimś innym, czy że nie chcę ani nic takiego... - starał się usilnie wytłumaczyć.

Fiona zrozumiała, że naprawdę ją polubił. Czowała, że serce zaraz jej wyskoczy z radości.

344

- Och, mój Boże, oczywiście rozumiem! Jak tylko wszystko się ułoży, odezwiesz się do mnie. - Uśmiechnęła się szeroko, zupełnie zapominając o ludziach czekających na kawę.

Barry odwzajemnił uśmiech.

Fiona dowiedziała się, co to znaczy być na spalonym. Nie mogła jednak pojąć, jak się upewnić, że między zawodnikiem a bramką znajdują się zawsze dwie osoby. Nikt nie mógł jej udzielić zadowalającej odpowiedzi.

Zadzwoniła do Brigid.

Odebrał jej ojciec.

- Och, dobrze, że dzwonisz. Chciałem z tobą porozmawiać. Ostatnim razem, gdy byłaś u nas, zachowałem się nieuprzejmie. Proszę, wybacz mi.

- Ależ nic się nie stało, panie Dunne. Był pan bardzo zdenerwowany.

- To prawda, i wciąż jestem, ale to nie tłumaczy złego zachowania przy gościach. Bardzo cię przepraszam.

- To chyba moja wina. Nie powinno mnie tam być.

- Zawołam Brigid.

Brigid czuła się wspaniale. Schudła kilogram, kupiła świetną kurtkę, w której wyglądała szczupłej, i wybierała się na darmową wycieczkę do Pragi. Żadnej plaży nudystów i ośmieszania się.

- Jak się czuje Grania?

- Nie mam pojęcia.

- Chcesz powiedzieć, że nie widziałaś się z nią?

- Hej, to dobry pomysł. Zajrzyjmy dziś wieczorem do tej cudzołożnicy.

Może spotkamy tego geriatrycznego kochanka.

- Cicho, nie nazywaj go tak. Twój ojciec może usłyszeć.

- To jego wyrażenie - odparła Brigid bez cienia skruchy. Ustaliły miejsce spotkania. Brigid sądziła, że nieźle się

uśmieją. Fiona była ciekawa, jak Grania sobie radzi.

Grania otworzyła drzwi. Miała na sobie dżinsy i długi czarny sweter. Ich widok ją zaskoczył.

- Nie wierzę własnym oczom! - zawołała zachwycona. - Wejdźcie. Tony!

Pojawił się zwiastun gałązki oliwnej.

345

Podszedł do nich uśmiechnięty, przystojny, ale bardzo stary. Fiona nie mogła zrozumieć, jak Grania wyobraża sobie przyszłość z tym mężczyzną.

- Moja siostra Brigid i nasza przyjaciółka Fiona.

- Nie mogłyście przyjść w lepszym momencie. Chciałem właśnie otworzyć butelkę wina. Grania uważa, że za dużo pijemy, co oznacza, że ja za dużo piję... ale teraz musimy.

Zaprowadził je do pokoju pełnego książek, kaset i kompaktów. Z

głośników dobiegała grecka muzyka.

- Czy to „Zorba”? - spytała Fiona.

- Nie, ale ten sam kompozytor. Lubisz Theodorakisa? - Oczy zabłyśły mu nadzieją, że znalazł kogoś, kto podziela jego zamiłowania muzyczne.

- Kogo? - spytała Fiona i uśmiech znikł z jego twarzy.

- Bardzo elegancko - powiedziała Brigid z wymuszonym podziwem.

- Naprawdę? Półki robił ten sam facet, co u taty. Jak się czuje ojciec? -

spytała z niepokojem Grania.

- Och, wiesz, jak zwykle - burknęła Brigid.

- Wciąż się piekli?

- Nie, teraz raczej wzdycha.

- A mama?

- Znasz mamę, ledwo zauważa, że cię nie ma.

- Dzięki, wiesz co zrobić, żeby człowiek poczuł się potrzebny.

- Mówię tylko prawdę.

Fiona próbowała zagadnąć Tony'ego, żeby nie słuchał intymnych szczegółów życia rodziny państwa Dunne. Ale pewnie znał je doskonale.

Tony nalał im po kieliszku wina.

- Cieszę się, że was widzę, dziewczęta, ale mam do załatwienia kilka spraw w szkole, a wy pewnie chcecie poplotkować, więc zostawię was same.

- Nie musisz wychodzić, kochanie. - Grania całkiem nieświadomie używała tego pieszczotliwego określenia.

- Wiem, ale pójdę. - Zwrócił się do Brigid. - Jeśli będziesz rozmawiała z ojcem, powiedz mu... mhm... powiedz mu... - Brigid patrzyła na niego wyczekująco. Słowa przychodziły mu

346

z trudem. - Powiedz mu, że... Grania ma się dobrze - wydusił chropawym głosem i wyszedł.

- No i co? - spytała Brigid. - Co mam przez to rozumieć?

- On to bardzo przeżywa - wyjaśniła Grania. - Tata nie rozmawia z nim w szkole. Po prostu wychodzi, gdy on się pojawia. Tony jest w ciężkiej sytuacji. I mnie jest ciężko, że nie mogę przyjść do domu.

- Nie możesz? - odezwała się Fiona.

- Raczej nie. Ojciec znowu zrobi scenę i zacznie przemowy o wyrodnej córce.

- Trochę się uspokoił - zauważyła Brigid. - Może będzie jęczał i wzdychał

przez pierwsze kilka wizyt, ale w końcu się przyzwyczai.

- Nie wiem, czy chcę wysłuchiwać tych obrzydliwości, które opowiada o Tonym - zawahała się Grania.

- Przypominanie jego niechlubnej przeszłości? - spytała Brigid.

- Każdy w tym wieku ma jakąś przeszłość, Gdybym miała tyle lat, co on, chciałabym móc się

pochwalić różnymi doświadczeniami. Po prostu ja jeszcze nie zdążyłam.

- Czyż to nie cudowne móc wspominać swoje podboje? - spytała tęsknie Fiona.

- Zamknęłabyś się, Fiona. Jesteś chuda jak patyk, musiałaś mieć facetów na pęczki - zdenerwowała się Brigid.

- Nie spałam z nikim, nie kochałam się, nie robiłam tego - wyrzuciła z siebie Fiona.

Siostry spojrzały na nią z zainteresowaniem.

- Musiałaś - nie uwierzyła Brigid.

- Dlaczego? Przecież chyba bym o tym pamiętała. Nic takiego się nie stało.

- Dlaczego? - spytała Grania.

- Nie wiem. Albo byli pijani, albo okropni, albo miejsce było nie takie, albo kiedy się zdecydowałam, było już za późno. Znaie mnie - jęknęła rozzalona.

- Szkoda, że wypuściłyśmy naszego ogiera, mógłby wyświadczyć nam tę przysługę - powiedziała Brigid wskazując głową drzwi, którymi wyszedł

Tony O'Brien.

- To wcale nie jest śmieszne! Wcale! - oburzyła się Grania.

347

- Dla mnie też nie - przyłączyła się Fiona. - Nie zamierzam tego robić z kim popadnie. Muszę być zakochana.

- Ach, panie wybaczą - prychnęła Brigid. Grania dołała im wina.

- Nie kłóćmy się - rzekła.

- Kto się kłóci? - spytała Brigid wyciągając rękę po kieliszek.

- Pamiętasz, jak w szkole bawiłyśmy się w „prawda albo fant”?

- Zawsze wybierałaś fant - przypomniała Fiona.

- Ale dzisiaj będzie prawda. Co powinnam zrobić? Powiedzcie mi obie.

- Powinnaś wrócić do domu i zobaczyć się z ojcem. Tęskni za tobą -

odezwała się Brigid.

- Powinniście porozmawiać o innych rzeczach, banku, polityce, kursie wieczorowym. Nic, co przypominałoby mu... ehm... Tony'ego, aż się z tym pogodzi - dodała Fiona.

- A mama? Naprawdę nic ją to nie obchodzi?

- Nie powiedziałam tak, żeby cię zdenerwować. Ale wiesz, że coś z nią jest nie tak. Kłopoty w pracy albo menopauza. Nie jesteś jej oczkiem w głowie jak dla taty.

- Dobra - zgodziła się Grania. - Teraz Brigid.

- Myślę, że powinna przestać głądzić o swojej tuszy - rzuciła Fiona.

- Ponieważ nie jest gruba, tylko seksowna. Czyż faceci nie lecą na okrągłe biodra i porządne zderzaki? - zauważyła Grania.

- I wąska talia pośrodku - dodała Fiona.

- Jest okropnie nudna z tymi piekielnymi kaloriami i suwakami - zaśmiała się Grania.

- Łatwo mówić, gdy się wygląda jak kij od szczotki.

- Nudna i seksowna, nadzwyczajne połączenie - zauważyła Grania.

Brigid uśmiechnęła się lekko. Czowała, że są szczerze.

- No, to teraz Fiona - powiedziała rozpromieniona. Siostry zawahały się.

Łatwiej atakować kogoś z rodziny.

- Dajcie mi drinka, może wtedy to zniosę - poprosiła nagle Fiona.

- Zbyt pokorna.

348

- Zbyt skruszona.

- Brak poglądów na cokolwiek.

- Niemożność podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

- Nie dorosła na tyle, by zrozumieć, że sami podejmujemy decyzje.

- Prawdopodobnie już na zawsze zostanie dzieckiem.

- Powtórzcie to jeszcze raz - przerwała Fiona.

Grania i Brigid zastanawiały się, czy nie posunęły się za daleko.

- Chodzi o to, że jesteś zbyt miła dla ludzi i nie wiadomo, co naprawdę myślisz - starała się złagodzić Grania.

- Albo czy w ogóle myślisz - palnęła Brigid.

- Zachowuję się jak dziecko? - spytała błagalnie Fiona.

- Musimy podejmować decyzję, inaczej inni robią to za nas i nigdy nie wyrośniemy z pieluch - usprawiedliwiała się Grania w obawie, że uraziła małą, wesołą Fionę.

- Niesamowite. Jesteś drugą osobą, która mi to mówi. Ta dziewczyna, Suzi, też to powiedziała, gdy spytałam, czy powinnam ściąć włosy.

Niezwykłe.

- Więc myślisz, że ci się uda? - spytała Brigid.

- Co mi się uda?

- Wreszcie samodzielnie podjąć decyzję, przespać się ze swoim chłopakiem, obciąć włosy, mieć własne poglądy.

- A czy ty przestaniesz narzekać na zbytnią kaloryczność wszystkiego, co jesz? - odcięła się Fiona.

- Dobrze, jeśli to stało się nudne.

- Umowa stoi - rzekła Fiona.

Grania zaproponowała, że pójdzie do chińskiej restauracji i przyniesie coś do jedzenia. Ale Fiona musi obiecać, że nie będzie się godzinami namyślać, co wybrać, a Brigid nie powie ani słowa na temat zbytńio wysmażonych produktów. Dziewczyny zgodziły się, ale pod warunkiem, że Grania następnego dnia zobaczy się z ojcem.

Otworzyły kolejną butelkę i tak długo się zaśmiewały, aż przyszedł Tony.

Oświadczył, że w jego wieku musi regularnie sypiać i wygonił je do domu.

Ze sposobu, w jaki patrzył na Granie, wywnioskowały, że wcale nie myślał o spaniu.

349

* * *

- To był świetny pomysł, żeby ją odwiedzić - powiedziała Brigid w autobusie. Była przekonana, że to jej pomysł.

- Wygląda na szczęśliwą - zauważyła Fiona.

- Ale on jest taki stary.

- Cóż, tego właśnie chce - rzekła stanowczo Fiona. Ku jej zdziwieniu Brigid całkowicie się z nią zgodziła.

- Tak jest. Nieważne, czy pochodzi z Marsa i czy ma odstające uszy, jeśli ona to lubi. Gdyby ludzie mieli więcej odwagi podążać za tym, czego pragną, świat byłby o wiele lepszy. - Mówiła bardzo głośno, pewnie pod wpływem alkoholu.

Ludzie w autobusie zaczęli się śmiać, niektórzy nawet klaskali. Brigid spojrzała na nich srogo.

- No, dalej, rozchmurz buźkę, ponętna gołąbeczko! - zawołał jeden z chłopaków.

- Nazwał mnie ponętną - szepnęła zachwycona Brigid.

- A co, nie mówiłyśmy ci?

Fiona postanowiła, że kiedy Barry się z nią umówi, co niewątpliwie zrobi, ona będzie już inną osobą.

Wydawało się, że minęły wieki, chociaż trwało to tylko tydzień. Wreszcie pojawił się Barry.

- Jak się czuje matka? - spytała.

- Nie bardzo. Nic ją nie obchodzi, nawet nie gotuje. Dawniej szalała w kuchni wciąż coś pichcąc i zmuszała nas do jedzenia. Teraz muszę kupować gotowe jedzenie w supermarkecie, bo w ogóle nic by nie jadła.

- Co chcesz zrobić? - spytała Fiona ze współczuciem.

- Nie wiem, sam już wariuję. Wymyśliłaś coś na dzisiejszy wieczór?

Fiona nagle zdecydowała.

- Chciałabym przyjść do ciebie na herbatę.

- To nie jest dobry pomysł - zmieszał się.

- Spytałeś, co bym chciała robić, więc ci powiedziałam. Twoja matka będzie musiała wziąć się w garść i coś przygotować, jeśli powiesz, że przyrowadzasz swoją dziewczynę. Będę wesoła i miła. Porozmawiamy, jak w normalnej rodzinie.

- Nie, Fiono, jeszcze nie teraz.

- Właśnie teraz najbardziej potrzebuje pomocy. Jak ma zacząć normalnie żyć, jeśli nie dajesz jej szansy?

- Może masz rację - zaczął z wahaniem. - A więc kiedy? - zgodził się pełen złych przeczuć.

Znając Fionę sądził, że zadowoli się jakąkolwiek potrawą, którą przygotowuje matka, ale ku jego zdziwieniu, oznajmiła, że po długim i męczącym dniu w pracy miałyby ochotę na coś konkretnego, jak na przykład makaron albo ziemniaki zapiekane z mięsem. Barry słuchał

zaskoczony, ale przekazał matce jej życzenia.

- Nie umiem tego robić - odparła matka.

- Oczywiście, że umiesz, przecież jesteś świetną kucharką.

- Twój ojciec tak nie uważa.

Ból ścisnął mu serce. Potrzeba było czegoś więcej niż samej Fiony na kolacji, żeby wyciągnąć matkę z depresji. Żałował, że nie ma rodzeństwa, z którym mógłby się podzielić swoim cierpieniem. Niech ojciec wyzna wreszcie matce to, co ta pragnie usłyszeć, że ją kocha i że serce mu pęka, gdy dowiedział się o próbie samobójstwa. I niech przysięgnie, że nigdy jej nie opuści. Poza tym, kto by ojca teraz chciał? Dlaczego uważa, że matka go szantażuje, a on się temu nie podda? Ojciec wcale nie należał do osób zdecydowanych. Kiedy odbywały się referenda czy wybory, z westchnieniem pograżał się w lekturze gazet, unikając wyrażania swoich poglądów. Dlaczego teraz jest taki nieprzejednany? Nie stać go na te kilka cholernych słów, które by ją pocieszyły?

Pomysł Fiony nie zagra. Czuł to.

- Dobrze mam, spróbuję sam coś przygotować. Nie jestem w tym dobry, ale spróbuję. I powiem, że to ty zrobiłaś. Nie chcę, żeby było jej przykro.

- Ugotuję - westchnęła matka. - Ty nie przyrządziłbyś posiłku nawet dla Cascarina. - Cascarino był jednookim kotem. Nazwali go po Tonym Cascarino, piłkarzu grającym w barwach Irlandii, ale kot nie umiał tak szybko przebierać nogami.

Fiona przyniosła matce Barry'ego pudełko czekoladek.

- Och, nie powinnaś, można od nich przytyć - zauważyła matka. Była blada, miała zmęczone oczy. Włożyła zwykłą

351

brązową sukienkę, jej proste włosy zwisały niechlujnie. Ale Fiona patrzyła na nią z podziwem.

- Och, pani Healy, nie jest pani tęga. Ma pani urocze kości policzkowe. A właśnie po nich można się zorientować, czy ktoś przybiera na wadze, czy nie.

- Naprawdę? - spytała matka z niedowierzaniem.

- To fakt. Proszę popatrzeć na gwiazdy filmowe. Pięknie zarysowane kości policzkowe... - Rozbawione zaczęły wyliczać: Audrey Hepburne, która nigdy nie przytyła ani grama, Ava Gardner, Meryl Streep. Potem te, które nie zasługiwały na miano piękności, gdyż nie miały odpowiednio zarysowanych kości policzkowych.

Barry od tygodni nie widział matki tak ożywionej. Ze strachem słuchał, jak Fiona zaczyna mówić o Marilyn Monroe, która pewnie nie wytrzymałaby próby czasu, gdyby dożyła starości. Wolał, żeby nie wspominała ludzi, którzy popełnili samobójstwo.

Matka odruchowo podjęła temat.

- Ale chyba nie zabiła się z powodu kości policzkowych? Barry dostrzegł, jak Fiona poczerwieniała, ale opanowała się szybko:

- Nie, myślę, że po prostu nie czuła się kochana. Boże, na szczęście reszta nie decyduje się na taki krok, gdyż w przeciwnym razie świat by opustoszał. - Mówiła o tym z takim spokojem i swobodą, że Barry wstrzymał oddech.

Matka nieoczekiwanie odpowiedziała równie lekko:

- Może miała nadzieję, że ten ktoś, kogo kochała, znajdzie ją i będzie mu przykro.

- Raczej wkurzyłby się jeszcze bardziej - oświadczyła radośnie Fiona.

Barry spojrzał na nią z podziwem. Miała w sobie dzisiaj tyle życia. Nie wiedział dokładnie, co to było, ale nie patrzyła już na niego z tym błagalnym wyczekiwaniem. To był świetny pomysł, żeby umówić się na kolację tutaj. Kto by przypuszczał, że Fiona zacznie mówić matce o ładnych kościach policzkowych.

A bał się, że kolacja okaże się katastrofą. Rozluźnił się, czekając, jak dalej potoczy się rozmowa po tym, jak przebrnęły przez niebezpieczny temat Marilyn Monroe.

352

Zastanawiał się, o czym dalej rozmawiać. Nie mógł powiedzieć, że Fiona pracuje w szpitalu, gdyż zaraz wróciłyby wspomnienia płukania żołądka.

Ani o kursie włoskiego, supermarkecie czy motorze, gdyż stałoby się jasne, że stara się unikać bolesnych tematów. Zamierzał wspomnieć o śmiesznych koszulkach Fiony, ale nie był pewien, czy to się jej spodoba.

Przyszła ubrana w ładny zakiet i różową bluzkę, więc może się poczuć zakłopotana.

W tym momencie do pokoju wszedł kot i spojrzał na Fionę zdrowym okiem.

- Chciałbym ci przedstawić Cascarina - oznajmił Barry, który nigdy jeszcze nie był tak zachwycony widokiem złośliwego kota. Żeby tylko nie wczepił się pazurami w spódnicę Fiony albo nie zaczął lizać sobie publicznie dolnych partii ciała. Ale kot złożył łepkę na kolanach Fiony i zaczął mruczeć niczym silnik samolotu na przyspieszonych obrotach.

- A ty masz kota? - spytała matka Barry'ego.

- Nie, ale bardzo bym chciała. Mój ojciec się sprzeciwia, twierdząc, że same z nimi kłopoty.

- Szkoda, są dla mnie wielką pociechą. Cascarino nie wygląda najlepiej, ale jak na samca jest bardzo wyrozumiały.

- Wiem - przyznała Fiona. - Ciekawe, że mężczyźni są tacy trudni. Myślę, że nie robią tego świadomie, po prostu tacy już są.

- Są bez serca! - Oczy pani Healy zabłyśły złowrogo. - Oczywiście, że mają tam w środku coś, co pompuje krew, ale to nie jest serce. Wystarczy popatrzeć na ojca Barry'ego. Nie ma go dziś w domu, chociaż wiedział, że syn przyprowadza przyjaciółkę na kolację. Wiedział, a wciąż go nie ma.

To było gorsze, niż Barry oczekiwał. Nie miał pojęcia, że już w pierwszej godzinie matka rzuci ich na głęboką wodę.

Zdumiony patrzył, jak Fiona zupełnie swobodnie podejmuje temat.

- To typowe dla mężczyzn. Kiedy Barry przyjdzie do mnie, mój ojciec także przyniesie mi wstyd. Oczywiście będzie obecny, zawsze jest. Ale założę się, że nie minie pięć minut, a on już zacznie truć o tym, jak bardzo niebezpieczne jest

353

prowadzenie motoru czy półciężarówki i jakie to głupie chodzić na mecze. Szybko też wymyśli, na czym polega głupota kursu włoskiego.

Wszystko przedstawia w ujemnym świetle. To bardzo przygnębiające.

- A co na to twoja matka? - zainteresowała się matka Barry'ego odkładając na później atak na męża.

- Myślę, że po tylu latach zaczęła przyznawać mu rację. Oni są starzy, pani Healy. Znacznie starsi niż pani i pani mąż. Jestem najmłodsza z rodziny.

To weszło im w nawyk, przyzwyczaili się, nie można ich teraz zmienić. -

Wyglądała tak radośnie, w błyszczących okularach i z dużą różową kokardą we włosach. Każda matka byłaby zadowolona, że syn ma taką dziewczynę.

Barry dostrzegł, że matka uspokoiła się nieco.

- Barry, bądź tak dobry, pójdź do kuchni, wstaw ciasto do piecyka i zajmij się resztą.

Zostawił je. Krzątał się chwilę w kuchni, po czym podkradł się do drzwi, by usłyszeć, co się dzieje w salonie. Mówiły cicho i nic nie rozumiał.

Boże, żeby Fiona nie palnęła czegoś głupiego, a matka niech nie opowiada jej bzdur, że ojciec ma romans. Westchnął i wrócił do kuchni, by nakryć do stołu. Był zły na ojca, że się nie pojawił. Stawał na głowie, żeby wszystko wróciło do normy. Ojciec mógł się choć trochę wysilić. Czy nie rozumiał, że zachowując się w ten sposób tylko dolewa oliwy do ognia i podsycy podejrzenia mamy?

Dlaczego nie może zachować się normalnie i przyjść na kolację? Choć Barry musiał przyznać, że był pewien postęp. Mama w końcu przygotowała kurczaka i upiekła szarlotkę.

Kolacja minęła w atmosferze, o jakiej nawet nie marzył. Fiona zjadła wszystko, co miała na talerzu i omal go nie wylizwała. Powiedziała, że bardzo chciałaby się nauczyć piec ciasta. Nie umiała gotować. Nagle uderzyła ją myśl.

- Już wiem, czym się zajmę! Mogłabym się zapisać na lekcje gotowania! -

zawołała. - Barry pytał mnie, co bym chciała robić. Teraz, widząc ten pięknie zastawiony stół, już wiem, co sprawiłoby mi przyjemność.

- Doskonały pomysł - rzekł Barry, zadowolony z pochwał dla matki.

354

- Tylko najpierw sprawdź, czy taki kurs prowadzi osoba kompetentna -

ostrzegła matka.

Oczywiście, jak zwykle szuka dziury w całym, pomyślał smutno Barry.

Ale Fiona zdawała się nie przejmować.

-No tak, racja... i to połowa semestru... ale zaraz... chyba nie powinnam pytać... - patrzyła na matkę podniecona.

- Ależ proszę mówić.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe we wtorek czy czwartek, gdy Barry ma zajęcia, ale może... pani byłaby tak dobra i pokazała mi, jak się gotuje.

Chociaż kilka wskazówek. - Starsza kobieta siedziała w milczeniu. Fiona dodała szybko: - Przepraszam, to w moim stylu, paplę, co mi ślina na język przyniesie.

- Z największą przyjemnością nauczę cię gotować, Fiono - rzekła matka Barry'ego. - Zacniemy w następny wtorek od chleba i babeczek maślanych.

* * *

Brigid Dunne była pod wrażeniem.

- Świetne posunięcie, poprosić o lekcje gotowania.
- Jakoś samo wyszło. Po prostu powiedziałam, co myślę. - Fiona sama była zdziwiona swoją śmiałością.
- I to ty podobno nie umiesz sobie radzić z facetami. Kiedy poznamy tego Barry'ego?
- Wkrótce. Nie chcę go przygwoździć moimi seksownymi, stanowczymi przyjaciółkami.
- Zmieniłaś się - zauważyła Brigid.

* * *

- Grania? Mówi Fiona.
- Jak się masz? Zrobiłaś to już? -Co?
- No, wiesz.
- Jeszcze nie, ale wkrótce. Wszystko jest na dobrej drodze, chciałam ci tylko podziękować.
- Za co?
- Za uświadomienie mi, że jestem trochę głupkowata.

355

- Nigdy tego nie powiedziałam, Fiono - obruszyła się Grania.
 - Ale dzięki tobie zdobyłam się na odwagę! Barry szaleje za mną i jego matka też. Nie mogło być lepiej.
 - Cieszę się.
 - Dzwonię też, bo jestem ciekawa, czy dotrzymałaś swojej części umowy.
- Spotkałaś się z ojcem?
- Próbowałam, ale w ostatniej chwili stchórzyłam.
 - Grania! - oburzyła się Fiona.
 - Ty chcesz mnie pouczać?

- Przecież przyrzekłaś!

- Wiem.

- Od tamtego czasu Brigid nie wspomniała nawet słowem o niskokalorycznym słodziku, a ja byłam dzielna jak lew. Nie uwierzyłabyś.

- Och, do diabła, Fiona, pójdę tam dzisiaj - oświadczyła Grania.

* * *

Grania wzięła głębszy oddech i zapukała do drzwi. Otworzył ojciec.

Patrzył na nią bez wyrazu.

- Masz przecież klucz, nie musisz pukać - rzekł.

- To by wyglądało, jakbym tu mieszkała.

- Nikt nie mówił, że tu nie mieszkasz.

- Wiem, tato. - Wciąż stali w korytarzu. Zapadła niezręczna cisza. - Gdzie są wszyscy? W domu?

- Nie wiem - odparł ojciec.

- Ależ, tato, musisz wiedzieć.

- Nie wiem. Matka może czyta w kuchni, Brigid może siedzi na górze.

Byłem w swoim pokoju.

- Jak się czujesz? - spytała Grania, starając się ukryć smutek. To był duży dom, zbyt duży dla kogoś, kto nie wie, czy żona i córka są w domu i tym się nie przejmuje.

- W porządku - odparł.

- Pokażesz mi swój pokój? - Czy rozmowa z ojcem już zawsze będzie tak oziębła i zdawkowa?

- Oczywiście.

Wprowadził ją do pokoju. Zapało jej dech w piersiach. Wieczorne słońce wpadało przez okno rozświetlając złoto żółte 356

wnętrze, fioletowo złote zasłony lśniły jak w teatrze. Półki wypełniały książki i pamiątki, małe biurko błyszczało w wieczornym świetle.

- Tato, tu jest pięknie. Nie spodziewałam się, że możesz zrobić coś takiego

- zachwycła się Grania.

- Wielu rzeczy nie wiemy o sobie.

- Pozwól mi podziwiać ten cudowny pokój, freski i wszystko.

- Proszę.

- To jest jak sen.

Mówiła z takim entuzjazmem, że nie mógł pozostać zimny i nieczuły.

- To prawda, ale zawsze byłem niepoprawnym marzycielem.

- Odziedziczyłam to po tobie.

- Nie wydaje mi się.

- Nie w sensie artystycznym oczywiście, nie stworzyłabym takiego pokoju nawet za milion lat. Ale mam marzenia.

- To nie są odpowiednie marzenia, wierz mi, Grania.

- Posłuchaj, tato. Nigdy wcześniej nikogo nie kochałam. Oprócz ciebie i matki, i cóż... ciebie bardziej. Muszę to dokończyć, bo może więcej nie pozwolisz mi ze sobą rozmawiać. Teraz wiem, co znaczy miłość. To pragnienie dobra dla kogoś drugiego, pragnienie, by ta osoba stała się szczęśliwsza, zgadzasz się?

- Tak - odparł głucho.

- Kiedyś czułeś to samo do mamy, prawda? To znaczy może ciągle tak czujesz.

- To się zmienia, gdy stajemy się starsi.

- Ale ja nie mam czasu, żeby się zestarzeć. Ty i mama macie jeszcze przed sobą przynajmniej dwadzieścia pięć lat. Podobnie ja i Tony. Pali, pije, beznadzieja. Dobrze wiesz. Jeśli uda mi się wyciągnąć z tego dziesięć dobrych lat, będę szczęśliwa.

- Grania, mogłaś trafić o wiele lepiej.

- Cóż może być lepszego od bycia kochaną przez kogoś, kogo kochasz, tato? Ja o tym wiem i ty też.

- Nie można na nim polegać.

357

- Polegam na nim całkowicie. Ufam mu bezgranicznie.

- Poczekaj, aż zostawi cię z dzieckiem. Wspomnisz moje słowa.

- Niczego tak bardzo nie pragnę w życiu, jak mieć z nim dziecko.

- Nie krępuj się. Nic cię nie powstrzyma.

Grania schyliła się i zaczęła przyglądać kwiatkom na stole.

- Sam je kupiłeś?

- Kto inny mógłby mi je kupić? W jej oczach pojawiły się łzy.

- Kupiłabym ci, gdybyś mi pozwolił, przyszedłabym do ciebie i usiadła tutaj.

Przyprowadziłabym też wnuczka lub wnuczkę.

- Czy chcesz powiedzieć, że jesteś w ciąży?

- Nie. Kontroluję to, co mogę i nie zamierzam mieć dziecka, jeśli nie zostanie przyjęte w tym domu z radością.

- To możesz długo czekać - mruknął, ale zauważyła, że w jego oczach także pojawiły się łzy.

- Tato - wyszeptała i trudno było powiedzieć, które z nich pierwsze wyciągnęło rękę. Objęci, łkali cicho.

* * *

Brigid i Fiona poszły do kina.

- Przespałaś się z nim wreszcie?

- Nie, ale po co się śpieszyć. Wszystko przebiega zgodnie z planem - odparła Fiona.

- Strasznie długofalowy ten twój plan - mruknęła Brigid.

- Wierz mi, wiem, co robię.

- Cieszę się, że ktoś wie - burknęła Brigid. - Tata i Grania stali się nagle wielkimi przyjaciółmi. Siedzą w pokoju taty i rozmawiają, jakby nic między nimi nie zaszło.

- To niedobrze?

- Dobrze, oczywiście, że dobrze, ale to dziwne - skarżyła się Brigid.

- A co na to matka?

- Nic. I to też dziwne. Myślałam, że jesteśmy bezbarwną, najzwyczajszą rodziną na świecie. Teraz mam wrażenie,

358

że mieszkam w domu wariatów. Zawsze mi się wydawało, że to ty jesteś dziwna. Ale proszę, oto domowy pieczoszek zostaje nagle szefem kuchni, pobierając nauki od kobiety, z której synem planuje się przespać.

Jak to się stało? Brigid nie znosiła tajemnic i poczucia zagubienia. Była głęboko rozczarowana.

* * *

Lekcje gotowania wypadły znakomicie. Czasami pojawiał się ojciec Barry'ego. Wysoki, ciemny i czujny. Wyglądał na dużo młodszego niż jego żona, ale przecież nie miał tylu problemów. Pracował na dużej farmie, dostarczając produkty rolne i kwiaty do restauracji i hoteli wokół miasta.

W stosunku do Fiony zachowywał się nienagannie, ale bez entuzjazmu.

Nic go nie obchodziło i wyglądał raczej, jakby przypadkiem znalazł się w tym domu, a nie w nim mieszkał.

Czasami Barry wracał z zajęć wcześniej i razem siadali do przygotowanej przez panię kolacji, ale Fiona, wiedząc, jak Barry lubi się spotykać po kursie z przyjaciółmi, nie nalegała, by przychodził. Poza tym i tak była to zbyt późna pora na jedzenie. Wróci do domu autobusem sama. Widywali się przecież w inne dni.

Krok po kroku odkrywała tajemnicę Wielkiej Zdrady. Z początku usiłowała nie słuchać.

- Proszę mi o tym nie opowiadać, pani Healy. Gdy wszystko się ułoży między panią i mężem, będzie pani tego żałowała.

- Nie, na pewno nie. Jesteś moją przyjaciółką. Pokrój to drobniej, Fiono.

Nie możemy włożyć takich dużych kawałków. Musisz mnie wysłuchać.

Musisz wiedzieć, jaki jest ojciec Barry'ego.

Wszystko zaczęło się dwa lata temu. Jeśli można tak powiedzieć. Zawsze życie z nim było trudne, ale przyzwyczała się. Czasami wstawiał o czwartej trzydzieści, czasami pracował do późna w nocy. Ale miał wolne.

Na przykład w środku dnia. Wspominała, jak chodzili do kina na seans o drugiej w południe, a potem na herbatę z ciastkiem, i wszystkie kobiety wokół jej zazdrościły. Żadnej na

359

pewno nie zdarzyło się pójść w ciągu dnia z mężem do kina. Uważał

wtedy, że nie powinna pracować. Przynosił wystarczająco dużo pieniędzy dla niej i dziecka. Miała zajmować się domem i gotowaniem, i czekać z utęsknieniem na jego powrót z pracy. To była jego recepta na szczęśliwe życie.

Ale dwa lata temu wszystko uległo zmianie. Poznał kogoś i zaczął romans.

- Nie może mieć pani pewności, pani Healy - próbowała pocieszyć Fiona odmierzając rodzynki na ciasto owocowe. -Może to wynik przeciążenia w pracy, pogorszenia się warunków jazdy na drogach, wie pani, wszyscy wyruszają o jednej godzinie.

- Nie ma ruchu o czwartej rano, gdy wraca do domu -odparła ponuro.

- Za bardzo się zapracowuje.

- Sprawdziłam. Pracuje dwadzieścia osiem godzin tygodniowo. W domu nie ma go drugie tyle.

- Dojazdy? - podsuwała zdesperowana Fiona.

- Ma niecałe dziesięć minut z pracy.

- Może potrzebuje trochę samotności?

- Ma wystarczająco, śpi w oddzielnym pokoju.

- Nie chce pani budzić?

- Raczej nie chce być blisko.

- A jeśli ta kobieta naprawdę istnieje, kim jest, jak pani myśli? - spytała Fiona prawie szeptem.

- Nie mam pojęcia, ale dowiem się.

- Czy to może być ktoś z pracy?

- Znam je wszystkie, nie sądzę, ale na pewno poznał ją poprzez pracę. A to może oznaczać pół Dublina.

Fiona słuchała jej ze współczuciem. Takie nieszczęście, choć jak twierdzi Barry, to tylko wytwór wyobraźni matki.

- Czy rozmawia z tobą o tym? - spytał kiedyś Barry. Fiona czuła, że jest coś świętego w rozmowach z panią

Healy, prowadzonych w otoczeniu białych od mąki stolnic, parujących zapiekanki, kawy wypijanej po zakończeniu gotowania, kiedy Fiona siadała na sofie, a na wpół ślepy Cascarino, mrużąc, kładł

się jej na kolanach.

360

- Czasami coś tam napomyka - skłamała.

Nessa Healy traktowała Fionę jak przyjaciółkę, a przyjaciel nie rozpowiada powierzonych mu sekretów.

Barry i Fiona spotykali się często. Chodzili do kina i na mecze, a jeśli pogoda dopisała, wyjeżdżali motorem na wycieczki do Wicklow czy Kildare i innych miejsc, których Fiona nigdy nie widziała.

Nie poprosił jej, by pojechała z nim do Rzymu, na viaggio, jak to nazywali. Fiona miała nadzieję, że wreszcie to zrobi, aby mogła na czas złożyć podanie o paszport.

Czasami wychodzili we czwórkę, z Suzi i Luigim, którzy zaprosili ich na swój ślub w połowie czerwca w Dublinie. Narzeczeni zrezygnowali z zawarcia go w Rzymie. Nie zgodzili się rodzice, a przyjaciele pukali się w czoło. Więc Rzym potraktują jako miesiąc miodowy.

- A ty uczysz się włoskiego? - spytała Fiona.

- Nie. Jeśli chcą ze mną rozmawiać, muszą poznać mój język - odparła atrakcyjna dziewczyna, która pewnie wymagałaby tego nawet od Eskimosów, gdyby przejeżdżała kiedyś przez biegun północny.

Potem zorganizowano wielkie przyjęcie w celu zebrania funduszy na wycieczkę. Uczestnicy kursu wieczorowego mieli przygotować różne potrawy. Alkohol i napoje zapewniły sklepy monopolowe i supermarket.

Ktoś znał grupę muzyczną, która zgodziła się zagrać za darmo w zamian za zdjęcie w lokalnej gazecie. Od każdego ucznia oczekiwano, że przyprowadzi co najmniej pięcioro gości, z których każde zapłaci pięć funtów. To pozwoli zgromadzić siedemset pięćdziesiąt funtów i przeznaczyć je na wycieczkę do Rzymu. Potem miała się odbyć loteria fantowa. Nagrody były wartościowe, co dałoby dodatkowe sto pięćdziesiąt funtów albo i więcej. Biuro turystyczne znacznie obniżyło ceny.

Zarezerwowano miejsca w pensjone w Rzymie. W programie była też wycieczka do Florencji, nocleg w schronisku i wycieczka do Sieny.

Barry szukał swoich pięciorga gości.

- Chciałbym, żebyś przyszedł, tato - prosił. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. My z mamą zawsze jeździliśmy na twoje wycieczki z pracy.

361

- Jeśli będę wolny, przyjdę. Tylko tyle ci mogę obiecać.

Barry zaprosił Fionę, swoją matkę, kolegę z pracy i sąsiada. Fiona zamierzała zaprosić Granie i

Brigid, ale szły już z ojcem. Luigi zaprosił

Suzi. Zapowiadała się świetna zabawa.

Fiona z matką Barry'ego nadal zgłębiały tajniki sztuki kulinarnej. Na przyjęcie szykowały egzotyczny deser, cannoli. Owoce, orzechy i ser ricotta, wszystko razem zapiekane w cieście.

- Czy to na pewno nie rodzaj potrawy z makaronu? - dopytywał się Barry.

Nie, zapewniały go. Chodziło mu pewnie o cannelloni, rodzaj makaronu w kształcie rurek. Niech się upewni u Signory. Signora potwierdziła, że cannoli alla siciliana jest jedną z najsmakowitszych potraw na świecie, i nie mogła się doczekać, kiedy jej skosztuje.

Zwierzania między Fioną i panią Healy podczas lekcji gotowania trwały nadal. Fiona wyznała, że bardzo lubi Barry'ego, jest oddanym, przemyślnym chłopcem, ale nie chciałyby go ponaglać, gdyż jak sądzi, Barry nie nosi się jeszcze z zamiarem małżeństwa.

Matka Barry'ego oznajmiła, że nie może rozstać się z mężem. Nie tak dawno przyjęła jego tłumaczenia, że jej nie kocha, i pozwoliłaby mu odejść, z kimkolwiek by chciał. Ale nie teraz.

- Dlaczego? - zdziwiła się Fiona.

- Gdy leżałam w szpitalu, po tym, no wiesz, gdy zachowałam się trochę niemądrze, przyniósł mi kwiaty. Mężczyzna nie robi czegoś takiego, jeśli mu nie zależy. Zostawił dla mnie bukiet frezji. Pomimo tych wszystkich awantur, wmawiania mi, że nie da się szantażować, jemu na mnie zależy, Fiono. To mnie trzyma przy życiu.

Fiona w wielkich okularach i z rękami ubielonymi mąką patrzyła na nią nieruchomo, przeklinając swoją głupotę. Jeśli chce wszystko wyjaśnić, musi to zrobić teraz.

Ale widząc zmienioną twarz Nussy Healy, pełną nadziei i życia, zrozumiała, przed jakim stanęła problemem. Jak miała wytłumaczyć, że to ona, dziewczyna pracująca w szpitalnej kafejce, przyniosła te piekielne frezje? Ona,

362

która przecież nic nie wie o jej próbie samobójczej. Nigdy o tym nie rozmawiały. Jednak cokolwiek Fiona zamierzała zrobić, aby naprawić wyrządzoną krzywdę, nie mogło się to wiązać z pozbawieniem pani Healy nadziei i poczucia sensu życia. Musi znaleźć inną drogę.

Ale jaką, myślała z rozpaczą Fiona, gdy dni mijały, a ta kobieta, która prawdopodobnie zostanie wkrótce jej teściową, oświadczyła, że miłość nie może umrzeć, jeśli ktoś przesyła ci bukiet kwiatów.

Suzi znalazłaby rozwiązanie, ale Fiona za żadne skarby świata jej nie spyta. Suzi mogłaby wszystko powtórzyć Luigiemu, Luigi swojemu przyjacielowi Bartolomeo, jak nazywał Barry'ego. Poza tym Suzi na pewno byłaby oburzona postępkami Fiony.

Brigid i Grania nie okazały zrozumienia w tej sytuacji. Uznają, że Fiona wróciła do swojego poprzedniego wcielenia i znowu robi z igły widły. W

szkole była starsza nauczycielka, która często je pouczała: „Dziewczynki, nie wpadajcie w egzagerację”, a one dusiły się ze śmiechu. Ale później Brigid i Grania doszły do wniosku, że to określenie dobrze oddaje charakter Fiony. Trochę chimeryczna, drżąca i wystraszona. Fiona nie mogła im powiedzieć, jak przerażający i denerwujący obrót przyjęła jej egzageracja tym razem, bo uważałyby, że to jej wina. Co bez wątpienia było prawdą.

- Lubisz mnie, Fiono? - spytała pani Healy po zakończeniu pieczenia cytrynowych bezów.

- Bardzo - odparła Fiona z zapałem.

- I powiedziałaabyś mi prawdę?

- O tak. - Głos Fiony stał się naraz piskliwy. Czekwała na cios, który ją powali. A więc prawda o kwiatkach wyszła na jaw. Może to i lepiej.

- Czy uważasz, że powinnam pójść do wizażystki? - spytała matka Barry'ego.

- Do kogo?

- To ktoś, kto doradza, jak się malować, jak dobierać kolory, by twarz nabrała wyrazu, rozjaśniła się, rozumiesz. To zupełnie naukowe sprawy.

363

Fiona z trudem wydobyła z siebie głos.

- A ile to kosztuje? - wydusiła w końcu.

- Och, mam pieniądze.

- Nie znam się na tym, ale mam koleżankę, która jest w tym dobra. Spytam ją, co o tym sądzi.

- Dziękuję, Fiono - odparła Nessa, która miała około czterdziestu pięciu lat, a wyglądała na siedemdziesiąt pięć i za sprawą Fiony wciąż myślała, że mąż ją kocha.

* * *

Suzi jak najbardziej poparła ten pomysł.

- Kiedy zamierzasz tam pójść? - spytała.

Fiona nie miała odwagi wyjaśnić, że nie myślała o sobie. Była też zła, że nie potrafi sama sobie poradzić. Tak bardzo chciała wydorosnąć, nie wahać się przy podejmowaniu decyzji.

- Wiesz, co możemy jeszcze zrobić? - ucieszyła się pani Healy. -

Powinnyśmy pójść do znanego fryzjera i całkiem zmienić wygląd.

Fionie zrobiło się słabo. W ten sposób ulotniła się wszystkie pieniądze, które z takim trudem oszczędziła na viaggio.

Na szczęście uratowała je Suzi. Znała szkołę fryzjerską.

Mijały tygodnie. Pani Healy przestała chodzić w brązach i wyjęła stroje w pastelowych kolorach, do których nosiła gustowne ciemne chustki.

Ufarbowała i skróciła włosy. Wyglądała teraz na pięćdziesiąt, a nie siedemdziesiąt lat.

Fiona obcięła swoje gęste włosy. Były teraz bardzo krótkie, idealnie proste, z grzywką, i wszyscy uważali, że wygląda świetnie. Ubierała się w żywe czerwienie i żółcie i kilku chirurgów zaczęło ją kokietować, na co śmiała się dobrodusznie. Nie wyobrażała sobie od razu, jak czyniła to dawniej, że pewnie zamierzają się z nią ożenić.

Ojciec Barry'ego częściej bywał w domu, trochę częściej i był wyraźnie zadowolony, gdy widział tam Fionę.

Nic jednak nie wskazywało na to, że nowe uczesanie i stroje przywrócą czasy sprzed Wielkiej Zdrady dwa lata temu.

364

* * *

- Jesteś bardzo miła dla mojej mamy. Wygląda wspaniale - rzekł z podziwem Barry.

- A ja co? Nie wyglądam wspaniale?

- Ty zawsze wyglądasz wspaniale. Ale posłuchaj. Nie wygadaj się, że wiesz o samobójstwie. Kazała mi przysiąc, że nigdy ci nie powiem. Boi się, że straciłabyś dla niej szacunek.

Fiona przełknęła głośno ślinę. Ona także nigdy nie powie czegoś Barry'emu. Chyba tak już jest na tym świecie, że niektórzy ludzie muszą zawsze żyć w kłamstwie. To całkiem możliwe. Nawet nie chodziło o samo kłamstwo, ale o to, że prowadziło ono do tak złudnych nadziei.

Fiona nie spodziewała się usłyszeć żadnych rewelacji, gdy oddzielała żółtka od białek, które potem miała ubić na bezy.

- Odkryłam, gdzie pracuje - oznajmiła triumfalnie pani Healy.

-Kto?

- Ta kobieta. Kochanka Dana - powiedziała Nessa z satysfakcją, jak po dobrze wykonanym zadaniu szpiegowskim.

- Gdzie? - spytała zaniepokojona Fiona. Czy to oznaczało, że biedna matka Barry'ego znów się załamała i targnie na swoje życie?

- W jednej z najelegantszych restauracji Dublina. U Quentina. Znasz to miejsce?

- Tak. Czytałam gdzieś w gazecie - wyjąkała Fiona.

- I może znowu przeczytasz - powiedziała ponuro pani Healy.

Chyba nie zamierza pójść do restauracji, by zrobić scenę? A może?

- Czy jest pani pewna, że to właśnie tam? Skąd pani wie?

- Śledziłam go.

- Śledziła go pani?

- Wczoraj wieczorem pojechał swoim samochodem. Często wyjeżdża w środy. Najpierw siedzi w domu i ogląda telewizję. Po dwunastej oznajmia, że musi iść do pracy.

365

Wiem, że kłamie, w środy nie pracuje. Poza tym ubiera się wtedy starannie, myje zęby, wkłada czystą koszulę.

- Ale w jaki sposób pani go śledzi, skoro wyjeżdża własnym samochodem?

- Zamawiam taksówkę. Czeka na mnie ze zgaszonymi światłami i potem za nim jedziemy.

- Cały czas czeka tam taksówka? Aż wyjdzie? - Fionę bardziej oszołomiła czysta ekstrawagancja tego pomysłu, niż sam czyn.

- Wiem, że wychodzi około północy, więc zamówiłam ją nieco wcześniej.

- Boże litościwy, pani Healy, a co na to taksówkarz?

- Taksówkarz myśli o bijącym cały czas liczniku i tyle.

- I co się stało?

- Samochód Dana podjechał na podjazd na tyłach restauracji. - Przerwała.

Nie wyglądała na zrozpaczoną. Fiona często widywała panią Healy bardziej przygnębioną i załamaną. Czego oczekiwała po tej niezwyklej wyprawie?

- A potem?

- Czekaliśmy. To znaczy on, taksówkarz, i ja. Po chwili wyszła jakaś kobieta. Nie widziałam jej dobrze, było za ciemno. Skierowała się prosto do samochodu, jakby wiedziała, że tam będzie. Odjechali tak szybko, że ich zgubiliśmy.

Fiona nieomal odetchnęła z ulgą. Ale pani Healy podeszła do sprawy praktycznie.

- Nie zgubimy ich w następną środę - powiedziała zdecydowanie.

Fionie nie udało się odwieść jej od tego planu.

- Proszę pomyśleć o kosztach. Zamiast płacić taksówkarzowi, mogłaby pani kupić nową elegancką spódnicę!

- To moje pieniądze, Fiono. Oszczędziłam je i wydam, na co mi się podoba.

- A co będzie, gdy panią zobaczy, odkryje?

- To nie ja muszę się tłumaczyć. Wybrałam się tylko na przejażdżkę taksówką.

- Ale co pani przez to osiągnie? Co to zmieni?

- Obejrzę sobie, jak wygląda kobieta, którą on, jak sobie tylko wmawia, kocha. Powiedziała to tak dobitnie, że Fiona poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach.

366

* * *

- Czy twoja matka pracuje u Quentina? - spytała Fiona Brigid.

- Tak, a co?

- Zna może młode kelnerki pracujące na nocne zmiany?

- Raczej tak, pracuje tam już długo, a o co chodzi?

- Jeśli podam ci imię jednej z nich, mogłabyś się o nią zapytać, ale tak, żeby matka niczego się nie domyśliła?

- Mogłabym, a po co?

- Wszystko musisz wiedzieć?

- Nie zrobię nic, jeśli nie dowiem się wszystkiego.

- W takim razie zapomnij o całej sprawie - zniecierpliwiła się Fiona.

- No dobra, nie powiedziałam, że nie spytam.
- Zapomnij.
- Chodzi o Barry'ego? Myślisz, że ma kogoś u Quentina? - zapaliła się Brigid.
- Niezupełnie.
- Jasne, że mogę zapytać.
- Nie, za dużo chcesz wiedzieć. Zostawmy to, wszystko byś zaraz wygadała.
- Och, daj spokój, Fiona. Zawsze byłyśmy przyjaciółkami. Wybadam grunt, podaj mi tylko to imię.
- Pomyślę.
- Jak ona się właściwie nazywa? - spytała Brigid.
- Wkrótce się dowiem - powiedziała Fiona tonem osoby zdecydowanej to uczynić.
- Co zamierza pani teraz zrobić? - spytała Fiona panią Healy.
- Nie wiem, pomyślałam, że trzeba by z nimi porozmawiać.
- Ale znając jej imię, nie musiałyby pani z nią rozmawiać.
- To co mam zrobić? - spytała zrezygnowana Nessa. Przez chwilę siedziały cicho.
- Przypuśćmy... - zaczęła Fiona. - Przypuśćmy, że powie mu pani, że dzwoniła jakaś kobieta z Quentina i prosiła

367

o telefon, ale nie zostawiła nazwiska. Potem podsłuchamy, z kim rozmawia.

- Fiono, marnujesz się w tym szpitalu! - rzekła z podziwem matka Barry'ego. - Powinnaś zostać prywatnym detektywem.

Przeprowadziły swój plan tego samego wieczora. Gdy przyszedł Dan i poczęstowały go kruchymi ciasteczkami orzechowymi, Nessa przekazała mu, że dzwoniła do niego jakaś kobieta z Quentina.

Telefonował z korytarza. Fiona włączyła mikser na najwyższe obroty, a matka Barry'ego podkradła się pod drzwi i nadstawiła ucha.

Gdy Dan wrócił, obie mieszały coś zawzięcie.

- Czy jesteś pewna, że chodziło o Quentina?

- Tak powiedziała.

- Zadzwoń tam, ale nikt mnie nie szukał.

Nessa wzruszyła ramionami dając do zrozumienia, że to nie jej sprawa.

Zaniepokojony poszedł do siebie na górę.

- Usłyszała pani, kogo prosił? - spytała Fiona.

Pani Healy skinęła energicznie głową. Oczy jej błyszczały.

- Tak. Rozmawiał z nią.

- Kto to jest? Jak się nazywa? - Fiona była tak podekscytowana, że z trudem łapała oddech.

- Ktokolwiek to był, odebrał telefon, a on powiedział: „Jezu, Neli, dlaczego zadzwoniłaś do domu?”
Na imię ma Neli.

-Co?!

- Neli. Samolubna, bezmyślna suka! Świński babsztyl! Chyba nie myśli, że on ją kocha. Był na nią wściekły.

- Rozumiem.

- Więc teraz, mając jej imię, mamy władzę - oświadczyła Nessa Healy.

Fiona milczała.

Neli to matka Brigid i Grani. Neli Dunne pracowała w kasie Quentina i odebrała wtedy telefon.

Ojciec Barry'ego miał romans z matką jej przyjaciółki. Nie przelotną przygodę z głupiutkim młodym dziewczęciem, jak myślały, ale poważny romans z kobietą równie

368

starą jak Nessa Healy. Kobieta zamężną, matką dwóch dorosłych córek.

Fiona zastanawiała się, czy te problemy kiedykolwiek się skończą.

* * *

- Fiona? Tu Brigid.

- Ach tak. Nie powinnam prowadzić rozmów prywatnych w pracy.

- Gdybyś zdała końcowe egzaminy i otrzymała odpowiednią pracę, to mogłabyś rozmawiać przez telefon - wytknęła jej Brigid.

- Niestety, nie zdałam. O co chodzi, Brigid? Tłum ludzi czeka w kolejce. -

W bufecie nie było nikogo, ale Fiona czuła się nieswojo, rozmawiając z przyjaciółką, gdy znała taki straszny sekret o jej rodzinie.

- Ta lalunia, o której mówiłaś, że podoba się Barry'emu, ta, która pracuje w Quentinie... miałaś mi

powiedzieć, jak się nazywa, a ja miałam zasięgnąć języka u matki.

- Nie! - krzyknęła mimowolnie Fiona.

- Przecież sama mnie prosiłaś.

- Zmieniłam zdanie.

- Jeśli ma kogoś na boku, powinnaś wiedzieć. To twoje prawo.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytała Fiona z przejęciem.

- Jasne. Jeśli mówi, że cię kocha, i potem powtarza to samo tamtej, to na litość boską...

- To nie jest całkiem tak.

- Nie powiedział ci, że cię kocha?

- Tak, ale... niech to szlag!

- Fiona? - Tak?

- Wydaje mi się, że nie jesteś zupełnie normalna. Musisz o tym wiedzieć.

- Oczywiście, Brigid - odparła Fiona ciesząc się po raz pierwszy, że jest uważana za niezbyt zrównoważoną.

- Wolałaby pani, żeby była młoda czy starsza? - spytała Fiona matkę Barry'ego.

369

- Neli? Musi być młoda, bo jaki byłby inny powód jego zdrady?

- Mężczyzn nie można zrozumieć. Wszyscy tak twierdzą. Może być równie dobrze stara jak grzyb.

Nessa Healy mówiła bardzo spokojnie.

- Jeśli wdał się we flirt, to tylko dlatego, że jakaś młoda cizia zawróciła mu w głowie. Mężczyźni łąkną pochwał. Ale on mnie kocha. Zawsze to wiedziałam. Kiedy znalazłam się w szpitalu, o czym ci opowiadałam, przyszedł do mnie, gdy spałam, i zostawił kwiaty. To mnie podtrzymuje na duchu.

Barry przyszedł pełen entuzjazmu. Na przyjęcie we czwartek zapisało się tyle osób, że aż trudno uwierzyć. Będzie wspaniale. Magnifico. Pan Dunne powiedział, że dzięki temu przyjęciu i zebranych funduszom w przyszłym roku uda się stworzyć ogromny program edukacji dla dorosłych.

- Pan Dunne? - powtórzyła głucho Fiona.

- Ten, który zorganizował ten kurs. Jest wielkim przyjacielem Signory.

Mówiłaś, że znasz jego córki.

- Tak, znam.

- Strasznie się do tego zapalił. Od razu lepiej wygląda.

- On też tam będzie?

- Fiono, czy ty mnie słuchasz, czy śpisz? Czy to nie ty powiedziałaś, że nie możemy sprzedać biletów jego córkom, ponieważ idą z nim?

- Tak powiedziałam? - Pewnie tak, ale to było dawno temu. Zanim odkryła straszną prawdę. - Czy myślisz, że jego żona też przyjdzie?

- Raczej tak. Ktokolwiek z nas ma żonę, męża, matkę czy ojca, nie wspominając o ukochanej dziewczynie, chciałby ich przyprowadzić.

- A twój ojciec się pojawi?

- Obiecał, że tak - odparł Bartolomeo.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na festę w Mountainview.

Signora zamierzała kupić sobie na tę okazję nową sukienkę, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i postanowiła wydać pieniądze na kolorowe lampki w szkolnym korytarzu.

- No nie, Signora - obruszyła się Suzi Sullivan. - Znalazłam 370

dla pani piękną sukienkę w jednym niedrogim sklepie. Niech światła zostaną takie, jakie są.

- Chcę, żeby zawsze pamiętali ten wieczór. Jeśli powiesz kolorowe lampki, atmosfera stanie się bardziej romantyczna... Jaka to różnica, czy wydam te pieniądze na nową sukienkę, czy nie. I tak nikt nie zauważy.

- Jeśli zorganizuję oświetlenie, kupi pani sobie sukienkę? •

- Chyba nie myślisz, żeby Luigi... - zaniepokoiła się Signora.

- Och, nie. Przysięgam, że nie pozwolę mu znowu na jakiegokolwiek kontakty z ciemnym światkiem. Zbyt dużo czasu zajęło mi wydostanie go stamtąd. Po prostu znam kogoś z firmy elektrotechnicznej, niejakiego Jacko. Potrzebowałam kogoś do zmiany instalacji w moim mieszkaniu i Lou dowiedział się o nim przez Laddy'ego. Wynajęli go w hotelu, gdzie pracuje. Zajmie się wszystkim. Mogę go przysłać?

- No wiesz, Suzi...

- Jeśli policzy tanio, a na pewno tak, musi mi pani obiecać, że kupi pani sobie nową sukienkę,

dobrze? - spytała niecierpliwie.

- Oczywiście, Suzi - odparła Signora nie rozumiejąc, dlaczego ludzie robią tyle zamieszania wokół stroju.

* * *

Wkrótce do szkoły przyszedł Jacko.

- Budowano to chyba z przeznaczeniem na stodołę - zauważył.

- Tak, i właśnie myślałam, że kilka rzędów kolorowych świateł, takich jak na gwiazdkę, wie pan...

- Będzie wyglądało żałośnie.

- Nie mamy pieniędzy na nic innego - rzekła zawiedziona Signora.

- A kto mówił o kupowaniu? Przygotuję pani odpowiednie oświetlenie.

Przyniosę sprzęt, trochę jak na dyskotecę. Zainstaluję na jedną noc. Rano zabiorę.

- Ale to będzie kosztować fortunę! Ktoś będzie musiał to obsługiwać.

371

- Zajmę się tym, żeby nie wybuchło. Skoro tylko na jedną noc, nic nie policzę.

- Nie możemy się na to zgodzić.

- W zamian powiesicie na ścianie dużą reklamę mojej firmy - oznajmił

Jacko uśmiechając się szeroko.

- Mogę panu dać kilka biletów, gdyby chciał pan przyprowadzić kogoś znajomego? - Signora za wszelką cenę starała się mu jakoś odwdziaczyć.

- Ostatnimi czasy chadzam samotnie, Signora - uśmiechnął się krzywo. -

Ale nie wiadomo, co upoluję na przyjęciu. Nie będę przecież cały czas pilnował świateł.

Bill Burkę i Liza Duffy musieli zorganizować dziesięć osób. Bill nie mógł

sprzedać biletów w banku, bo Grania go ubiegła. Ale okazało się, że matka Lizy miała być wtedy w Dublinie.

- Myślisz, że powinniśmy? - zaniepokoił się Bill. Pani Duffy kierowała się w życiu własnymi zasadami postępowania i wynikające z tego niebezpieczeństwa mogły być większe niż korzyści.

Lizzie zastanowiła się poważnie.

- Co byłoby najgorsze? - spytała.

- Gdyby się upiła i zaczęła śpiewać z orkiestrą? - podsunął.

- Gdy się upija, pomstuje tylko na mojego ojca.

- Muzyka będzie grała wystarczająco głośno, żeby nikt jej nie słyszał. W

takim razie zaprosimy ją - zdecydował Bill.

* * *

Constanza mogła kupić każdy bilet bez uszczerbku na koncercie, ale nie z tym miała problem. Musiała kogoś zaprosić.

Przyjdzie oczywiście Veronica i przyprowadzi przyjaciela z pracy. Córka zachowała się wspaniale. Nieśmiało zapytała syna, Richarda, czy nie wybrałby się ze swoją dziewczyną, i ku jej zdziwieniu zgodził się z ochotą. Dzieci okazały się dla niej wielkim wsparciem po procesie i skazaniu ojca. Harry odsiadywał minimalną karę, jak przewidywała.

372

Co tydzień dzieci dzwoniły i odwiedzały ją w małym mieszkanku nad morzem.

- Nie uwierzysz! - zadzwonił do niej Richard kilka dni później. - Wiesz kto będzie na twojej festa w Mountainview? Pan Malone, mój szef. Powiedział

mi o tym dzisiaj.

- Cóż, świat jest mały - powiedziała Connie. - W takim razie może zaproszę jego teścia. Czy Paul przyjdzie z żoną?

- Tak myślę - odrzekł Richard. - Starsi zawsze tak robią. Connie była ciekawa, kto, u licha, mógł zaprosić Paula

Malone'a.

* * *

Gus i Maggie z ochotą przyjęli zaproszenie na przyjęcie. Nic im w tym nie przeszkodzi. Zapytają przyjaciela, który prowadzi kafejkę, czy też by nie przyszedł, dziękując mu w ten sposób za tłumaczenia. Zaoferowali również nagrody do loterii fantowej w postaci darmowych obiadów w hotelu.

Jerry Sullivan chciał koniecznie wiedzieć, jaki jest limit wieku.

- Mówiłam ci już, że szesnaście lat - odparła Signora. Zauważyła w szkole niezwykle zainteresowanie młodzieży przyjęciem, tańcami, dyskotekowym oświetleniem i alkoholem.

Pan O'Brien zniechęcił nawet starszą młodzież od wzięcia udziału.

- I tak spędzacie tu za dużo czasu - powiedział. - Lepiej pójźcie do swoich zadymionych klubów i rozsadźcie sobie bębni w uszach tą waszą muzyką.

Tony O'Brien miotał się jak rozjuszony tygrys. Chcąc zadowolić Granie Dunne, miłość swego życia, rzucił palenie. Nie wpłynęło to najlepiej na jego układ nerwowy. Musiał jednak wytrwać w swoim postanowieniu.

Grania dokonała cudu. Spotkała się z ojcem i przekonała go do swoich racji.

Następnego dnia Aidan Dunne wkroczył do jego gabinetu i wyciągnął rękę na zgodę.

- Zachowałem się jak ojciec w wiktoriańskim melodramacie 373

- oświadczył. - Moja córka jest na tyle dorosła, że wie, co robi, więc jeśli potrafi pan ją uszczęśliwić, to dobrze. Zszokowany Tony omal nie spadł z krzesła.

- Prowadziłem hulaszczcze życie, Aidanie, i doskonale pan o tym wie. Ale naprawdę, Grania całkowicie mnie odmieniła. Pańska córka napełniła mnie szczęściem, nadzieją i wiarą w siebie. Nigdy jej nie zawiodę. Musi mi pan uwierzyć.

Podali sobie ręce i potrząsali tak gwałtownie, że ramiona bolały ich jeszcze długo potem.

Znacznie uprościło im to życie, zarówno w szkole, jak i w domu. Grania przestała brać pigułki antykoncepcyjne. Tony zdawał sobie sprawę, ile kosztował Aidana ten gest pojednania. Dziwny człowiek. Gdyby nie znał

go lepiej, uwierzyłby, że tego nauczyciela łaciny łączy coś z Signorą.

Ale to niemożliwe.

* * *

Na przyjęcie wybierali się także Brenda i Patrick Brennanowie. Jaki jest sens w zbijaniu fortuny, jeśli nie można się zabawić, mówili. Mieli przecież zastępcę szefa i kierownika, jakoś przeżyją jeden wieczór bez nich. Kasjerka Neli Dunne także pójdzie na przyjęcie, więc młodzi, niedoświadczeni pracownicy Quentina zostaną rzućni na głęboką wodę, śmiali się.

- Nie rozumiem, po co musimy tam wszyscy iść? Trzeba być chyba nienormalnym - mruknęła Neli Dunne.

- Robimy to z poczucia solidarności i z chęci pomocy, oczywiście. - Pani Brennan spojrzała na nią dziwnie.

Neli po raz kolejny odniosła wrażenie, że pani Brennan jej nie lubi.

Przecież jej wątpliwości były uzasadnione. Co tacy ludzie jak elegancyjści Brennanowie i nawet ona sama, siedząca w kasie jak królowa, ubrana w czarną suknię i żółty szal, mieli robić w barakach szkoły Mountainview, w której Aidan trwał niezłomnie jak żołnierz, na darmo zresztą?

Ale pożałowała swoich słów. Zauważyła, że Brennanom z jakiegoś powodu bardzo się to nie spodobało.

Ale cóż, chyba pójdzie. Dan był tego wieczoru zajęty. Obiecał gdzieś pójść z synem. Córki też by jej nie darowały, gdyby nie poszła.

374

To będzie straszne przyjęcie, podobnie jak wszystko, co wiązało się z tą szkołą. Ale przynajmniej nie będzie zwracać sobie głowy strojem. Pięć funtów za kawałek pizzy i orkiestrę, która ogłuszy cię zawodząc jakieś włoskie piosenki. Boże najdroższy, jak ona się musi poświęcać dla

rodziny!

* * *

Grania i Brigid przygotowywały się na festę.

- Mam nadzieję, że się uda. Ze względu na tatę - rzekła Grania.

- Po tym, jak przyjął do wiadomości, że jego córka sypia z jego szefem, znieśie wszystko. Nikt już nie zrzuci go z piedestału - oznajmiła Brigid czesząc włosy przed lustrem w salonie.

- Przestań sprowadzać całą sprawę do łóżka - zdenerwowała się Grania. -

Łączy nas dużo więcej.

- Czy w jego wieku nie czuje się zbyt wyczerpany? - zachichotała Brigid.

- Gdybym ci o tym opowiedziała, zzieleniałabyś z zazdrości - rzekła Grania nakładając cienie na powieki. Weszła matka.

- Hej, mamo, szykuj się, zaraz wychodzimy - zawołała Grania.

- Jestem gotowa.

Spojrzały na matkę. Niedbale uczesane włosy, nie umalowana twarz, prosta sukienka i rozpinany sweter zarzucony na ramiona. Jakikolwiek uwagi nie miałyby sensu. Siostry wymienili ze sobą znaczące spojrzenia.

- Dobrze, w takim razie idziemy - zarządziła Grania.

To było pierwsze wyjście Nesy Healy, odkąd opuściła szpital. Wizazystka świetnie jej doradziła.

Barry uznał, że od lat nie widział matki w tak dobrej formie. Nie było wątpliwości, że Fiona miała na nią zbawienny wpływ. Zastanawiał się, czy zaprosić Fionę na viaggio. To by oznaczało, że będą dzielić pokój, a ta sfera ich znajomości była wciąż niejasna. Pragnął jej, ale nie mógł znaleźć ani możliwości, ani okazji.

375

- Kto tam właściwie przyjdzie? - spytał niespokojnie ojciec.

- Ci, którzy chodzą na zajęcia, tato, i wszyscy ci, których zdołają przyciągnąć ze sobą, tak jak ja ciebie. Będzie świetnie, zaręczam.

- Jasne.

- I pani Clarke powiedziała, że mogę wypożyczyć półciężarówkę ze sklepu. Będę mógł zabrać ciebie i mamę do domu, jeśli poczujecie się zmęczeni czy znudzeni.

Mówił z takim entuzjazmem, że ojciec poczuł się zawstydzony.

- Czy Dan Healy mógłby opuścić przyjęcie, jeśli na stole stoją jeszcze drinki? - uśmiechnął się.

- Fiona też będzie? - spytała z nadzieją pani Healy, która polubiła tę żywą, młodą dziewczynę i potrzebowała jej wsparcia. Fiona zmusiła ją do obietnicy, że powstrzyma się na razie od spotkania z nieznaną Neli.

Chociaż na tydzień. Jeden tydzień. Nessa w końcu się zgodziła.

- Tak, nalegała, że pójdzie sama - rzekł Barry. - Możemy iść?

Przed wyjściem z domu Sullivanów Signora stanęła przed dużym lustrem i popatrzyła na swoje odbicie. Z trudem rozpoznała kobietę, która rok temu przyjechała do Irlandii. Wdowę oplakującą zmarłego tragicznie Maria.

Miała wtedy długie, luźno rozpuszczone włosy i szeroką spódnicę do kostek. Bojaźliwa, nieśmiała, pytająca o pracę czy pokój do wynajęcia, przerażona myślą o spotkaniu z rodziną.

Teraz była jakby wyższa, elegancka, suknia w kawowo liliowym kolorze doskonale pasowała do rudych włosów. Suzi twierdziła, że suknia warta jest ze trzysta funtów. Zrobiła jej także makijaż.

- Nikt mnie nie pozna pod tą warstwą kosmetyków - protestowała Signora.

- To dla pani wyjątkowy wieczór - nalegała Suzi.

Signora stała w szkolnym korytarzu oświetlonym kolorowymi światłami, z plakatami i obrazami porozwieszanymi wszędzie wokół i włoską muzyką płynącą z głośników do

376

czasu przyjazdu orkiestry. Zdecydowali, że z taśmy będą często puszczać

„Nessun Dorma”, „Volare” i „Arrivederci Roma”. Tylko znane utwory.

Przyszedł Aidan Dunne.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować - powiedział.

- To ja powinnam ci podziękować, Aidanie - odparła. Był jedyną osobą, która nie otrzymała włoskiego imienia. Stał się przez to wyjątkowy.

- Denerwujesz się? - spytał.

- Trochę, ale przecież będziemy wśród przyjaciół, dlaczego mam się denerwować? Wszyscy są za nami, a nie przeciw - uśmiechnęła się.

Próbowała odsunąć od siebie myśl, że dziś wieczór nie przyjdzie nikt z jej rodziny. Zaprosiła ich, ale nie błagała. Byłoby tak miło choć raz powiedzieć znajomym: to jest moja siostra, a to matka. Ale nie.

- Wyglądasz cudownie, Noro. Wszystko jest cudowne. Nigdy wcześniej nie zwrócił się do niej jej prawdziwym

imieniem, Nora. Nie zdążyła się nad tym zastanowić, gdyż zaczęli pojawiać się goście. Przy drzwiach przyjaciółka Constanzy, niezwykle przedsiębiorcza kobieta, Vera, przyjmowała bilety. W szatni młoda Caterina z kursu wieczorowego i jej wesoła przyjaciółka Harriet zajęte były wydawaniem numerków, przestrzegając, żeby ich nie zgubić.

Wchodzili nieznajomi i rozchodzili się po sali. Dyrektor, Tony O'Brien, wszystkim tłumaczył:

- Nie ma w tym niestety mojej zasługi. To wszystko pomysł pana Dunne'a i Signory.

Stali jak młoda para przyjmująca gratulacje.

Fiona zauważyła Granie i Brigid z matką. Wstrzymała oddech. Spotykała panią Dunne wiele razy, ale nigdy nie widziała jej w takim stanie.

Wyglądała strasznie. Nie umyła chyba nawet twarzy.

Dobrze, pomyślała Fiona ponuro. Odczuwała dziwny ból w klatce piersiowej, jakby coś utkwiło jej w przełyku, kawałek twardego ziemniaka albo surowego selera. Wiedziała, że to strach. Fiona,

niepozorna myszka w okularach, postanowiła wkroczyć w życie innych ludzi i pokierować ich losem. Zamierzała naopowiadać im mnóstwo kłamstw i śmiertelnie nastraszyć.

377

Czy zdobędzie się na taki wyczyn, czy też padnie na podłogę zemdlona i tylko pogorszy sprawę?

Oczywiście, że da sobie radę. Nie zapomniała tamtego wieczoru w mieszkaniu O'Briena, gdy Grania zamówiła chińskie dania. Fiona odmieniła swoje życie i proszę, ile z tego wynikło dobrego. Jej samej udało się przekonać Nessę Healy, żeby się wystroiła i przyszła na to przyjęcie. To nie było działanie szarej myszki w okularach. Dotarła już tak daleko, że pokona też ostatnią przeszkodę. Musi przerwać ten romans, który łamał wszystkim serca. Gdy tylko to uczyni, zajmie się swoim życiem osobistym.

Rozejrzała się dokoła, przybierając zuchwałą minę. Poczekaj, aż atmosfera nieco się rozgrzeje.

Nie zajęło to wiele czasu. Od razu rozległy się głośnie rozmowy, dał się słyszeć brzęk szkła i po chwili wkroczyła orkiestra. Tańce rozpoczęły się muzyką z lat sześćdziesiątych, która zadowalała gusta każdej grupy wiekowej.

Fiona podeszła do Neli Dunne, która stała samotnie rozglądając się wokół z pogardą.

- Pamięta mnie pani, pani Dunne?

- Och, Fiona? - Z trudem przypomniała sobie jej imię, wyraźnie bez większego zainteresowania.

- Gdy byłam mała, zawsze była dla mnie pani miła.

- Naprawdę?

- Tak, gdy przychodziłam w odwiedziny. I dlatego nie chciałabym, żeby pani się ośmieszyła.

- Skąd ten pomysł?

- Chodzi o Dana, tego mężczyznę tam.

- Co?! - Neli spojrzała we wskazanym kierunku.

- Wie pani, że opowiada wszystkim o swojej żonie, czupiradle, które wciąż podejmuje próby samobójcze, i że nie może się doczekać, żeby ją zostawić. Ale on ma cały sznur kobiet i wszystkim opowiada to samo.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- A pani pewnie jest jego... zaraz niech pomyślę... przyjaciółką środową i jeszcze z jakiegoś dnia.

Tak to załatwia.

Neli Dunne spojrzała na elegancką kobietę, do której Dan Healy uśmiechał się szeroko. To nie mogła być żona, o której jej opowiadał.

378

- A skąd ty o tym możesz wiedzieć?

- To proste - odparła Fiona. - Spotykał się także z moją matką. Podjeżdżał pod pracę mojej matki półciążarówką. Szalała na jego punkcie. To było straszne.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytała Neli zduszonym głosem; oczy błyskały jej dziko. Rzucała spojrzenia na lewo i prawo.

Fionie udało się wyprowadzić ją z równowagi.

- Przywozi warzywa i kwiaty tam, gdzie pracuję. Chwali się głośno swoimi kobietami, wspominał też o pani. Podobno zauroczył panią.

„Elegantka z Quentina”, jak mówi. Dopiero niedawno zrozumiałam, że chodzi o panią. Zupełnie jak z moją matką. To było dla mnie straszne.

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Jesteś zupełnie obłąkana - syknęła pani Dunne mrużąc oczy w szparki.

* * *

Luigi tańczył zapamiętane z Cateriną. Caterina i Harriet wreszcie opuściły szatnię i teraz nadrabiały stracony czas.

- Przepraszam - przerwała im Fiona odciągając go na bok.

- Co jest? Suzi nie ma nic przeciwko temu, lubi patrzeć, jak tańczę - obruszył się.

- Mam do ciebie wielką prośbę - poprosiła Fiona. - Jedną prośbę, ale bez żadnych pytań.

- Nie mogłaś lepiej trafić.

- Czy mógłbyś podejść do tego ciemnego mężczyzny tam przy drzwiach i powiedzieć mu, że jeśli nie chce wpaść w poważne kłopoty, niech zostawi środową kobietę w spokoju?

- Czy...?

- Miało nie być pytań.

- Chciałem tylko spytać, czy on mnie nie uderzy?

- Nie. I jeszcze jedno. -Tak?

- Nie powiesz nic Suzi ani Bartolomeowi?

- Załatwione.

- I czy mógłbyś zrobić srogą minę, gdy będziesz z nim rozmawiał?

379

- Spróbuję - rzekł Luigi. Pomyślał, że to jest coś, nad czym znów powinien popracować.

* * *

Neli Dunne miała właśnie podejść do Dana, gdy zobaczyła, jak rozmawia z masywnym mężczyzną o mocno zarysowanych szczękach i groźnym wyrazie twarzy. Chciała zbliżyć się do niego i tak, by nie zwrócić niczyjej uwagi, szeptem poprosić go na słówko, ruchem głowy wskazując na korytarz.

Dlaczego nie powiedział, że też tu przyjdzie? Taki dziwnie skryty. Może jest bardziej tajemniczy, niż myślała? Jednak zanim zdążyła się ruszyć, podniósł głowę. Gdy ją zobaczył, na jego twarzy odmalowało się przerażenie. Zaczął się cofać. Nagle chwycił żonę za rękę i siłą zaciągnął

do tańca.

Orkiestra grała „Ciao, Ciao Bambino”. Muzycy nie znosili tego utworu, ale praca jest pracą. No i ich zdjęcie pojawi się w jutrzejszych gazetach.

* * *

Fiona stanęła na krześle, by nie umknął jej żaden szczegół z tego, co się działo na sali. Musi wszystko zapamiętać. Barry zapytał ją właśnie, czy nie chciałaby z nim pojechać na viaggio, i zgodziła się. Jej przyszła teściowa i teść tańczyli razem.

Matka Grani i Brigid przeciskała się do wyjścia. Zażądała, żeby Caterina i Harriet otworzyły dla niej szatnię. Tylko Fiona zauważyła jej wyjście.

Barry oczywiście nie zwrócił na nią uwagi. Może nigdy nie będzie musiał

poznać prawdy ani o niej, ani o frezjach.

- Zatańczysz ze mną? - spytał. Grano właśnie słodką i nastrojową piosenkę.

Barry przytulił ją mocno do siebie.

- Ti amo, Fiona, carissima Fiona.

- Anch 'io - odrzekła.

- Co?! - Nie mógł w to uwierzyć.

- Anch'io. To znaczy: ja też. Także cię kocham. Ti amo da morire.

380

- Boże! Gdzie się tego nauczyłaś? - Patrzył na nią z podziwem.

- Spytałam Signory. Ćwiczyłam, na wszelki wypadek.

- Na wszelki wypadek?

- Gdybyś mi to kiedyś wyznał. Chciałam być przygotowana.

Wokół tańczyli ludzie, powtarzając banalne słowa piosenki. Ojciec Grani i Brigid nie zauważył zniknięcia swojej żony, czarował rozmową Signorę.

Ojciec Barry'ego nie rozglądał się niespokojnie. Gawędził swobodnie z żoną jak z bliską osobą. Brigid zamiast zwyczajowo wąskiej spódniczki, którą wciąż obciągała, włożyła luźną fioletową sukienkę. Zarzuciła ręce na szyję jakiemuś mężczyźnie i najwyraźniej nie zamierzała go już puścić.

Grania stała wsparta na ramieniu Tony'ego, starszego pana. Fiona wiedziała, że niedługo odbędzie się ślub. Została zaproszona.

Fiona rozkoszowała się swoją dorosłością i władzą. Nie mogła powiedzieć, że to wszystko wydarzyło się tylko dzięki niej, ale miała w tym duży udział.

Rozdział Dziewiąty.

Viaggio.

Dlaczego zapraszamy na nasz ślub pana Dunne'a? -zainteresował się Lou.

- Signora nie ma nikogo, nie będzie się czuła samotna.

- Przecież ma wielu przyjaciół. Czy nie mieszka z twoją rodziną?

- Wiem, co mówię - powiedziała Suzi niewzruszenie.

- Jego żonę też? Suzi! Lista gości rośnie z każdą minutą, a każda osoba to siedemnaście funtów, nie wspominając już o alkoholu.

- Oczywiście, że nie zapraszamy jego żony. Oszalałeś? -powiedziała Suzi, patrząc na niego dziwnie. Czy ona przypadkiem nie uważa, że wychodzi za mąż za matoła, pomyślał Lou.

- No jasne, że nie - dodał szybko. - Coś mi się pokreśliło.
- Czy jest ktoś jeszcze z twojej strony, kogo chciałbyś zaprosić?
- W pewnym sensie oni są moją stroną. Czyż nie jadą z nami na miesiąc miodowy? - rozpromienił się Lou.
- A z nimi jeszcze pół Dublina - zachwyciła się Suzi.
- W urzędzie stanu cywilnego, rozumiem - powiedziała Neli Dunne, gdy Grania podała jej datę.
- Bylibyśmy hipokrytami, gdybyśmy wzięli ślub w kościele. Żadne z nas nie jest wierzące. - Neli wzruszyła ramionami. - Przyjdiesz, mamó, prawda? - W głosie Grani brzmiał niepokój.

382

- Oczywiście, że przyjdę, dlaczego pytasz?
- No bo... bo...
- O co chodzi, Grania?
- Wyszłaś z przyjęcia w szkole, zanim się rozpoczęło, a to był wielki dzień taty. I na wycieczkę do Włoch też nie jedziesz.
- Nie zostałam zaproszona - odparła Neli szorstko.
- Czy na te wakacje do Rzymu i Florencji może pojechać każdy? - spytała Bernie Duffy swoją córkę Lizy.
- Nie, mamó. Przykro mi, ale to wycieczka tylko dla uczestników kursu - tłumaczyła Lizzie.
- Nie zależy im na zwiększeniu grupy? - spytała zawiedziona Bernie. Na przyjęciu bawiła się wspaniale. Pomyślała, że na viaggio będzie podobnie.
- Co zrobimy? Ona ciągle mnie o to męczy - spytała później Liza swojego chłopaka.
- Zabierzemy ją do twojego ojca do Galway - powiedział nagle Bill.
- Możemy tak zrobić?
- Czyż nie rozwiąże to wielu problemów? Odwróci jej uwagę od wycieczki, będzie miała jakieś zajęcie i przestanie narzekać na brak rozrywki.
- Świetny pomysł - przyznała Liza.

- Poza tym powinienem się z nim zobaczyć, nie?

- Po co? Przecież nie zamierzamy brać ślubu, póki nie skończymy dwudziestu pięciu lat?

- Nie wiem. Luigi żeni się z Suzi, córka pana Dunne'a wychodzi za mąż...

myślę, że powinniśmy pomyśleć o wcześniejszym ślubie.

- Perche non? - spytała Liza uśmiechając się szeroko.

- Poprosiłem Signore, żeby napisała dla mnie list do państwa Garaldich -

rzekł Laddy. - Ma wszystko wytłumaczyć.

Maggie i Gus wymienili między sobą spojrzenia. Signora na pewno rozumie, że zaproszenie było tylko wyrazem radości 383

i wdzięczności ludzi wzruszonych uczciwością irlandzkiego portiera. Nie oczekiwali, że Laddy weźmie je poważnie, że zapisze się na kurs włoskiego i zacznie sobie wyobrażać, że we Włoszech wyczekują go z niecierpliwością.

Signora jest dojrzałą kobietą, postąpi rozsądnie. Chociaż patrząc na nią tamtego wieczora na przyjęciu w kawowo liliowej sukience, wyczuwało się w niej coś dziecinnego. Ta błoga ekscytacja zajęciami włoskiego i okazywaną jej pomocą. Była zupełnie oderwana od rzeczywistości.

Podobnie jak Laddy. Może ona też uważa, że państwo Garaldi czekają z otwartymi ramionami na kogoś, o kim pewnie już dawno zapomnieli.

Ale nie odważyliby się zasiać w jego sercu niepokoju, nawet najlżejszego.

Miał już paszport w hotelowym sejfie, wymienił pieniądze na liry. Ta wycieczka była dla niego wszystkim, nie mogli pozwolić, by cokolwiek odebrało mu tę radość. Wszystko będzie dobrze, powiedzieli do siebie Gus i Maggie. Musi być.

* * *

- Nigdy nie byłam za granicą, a teraz jednego lata wyjeżdżam dwa razy -

rzekła Fran do Connie.

- Dwa razy?

- Poza wyjazdem do Włoch pojedę do Ameryki, gdyż Kathy wygrała dla nas dwa bilety. Nie uwierzysz. Wzięła udział w jakimś konkursie z fachowego czasopisma, które przyniosła do szkoły jej koleżanka Harriet.

Wygrała dwa bilety lotnicze do Nowego Jorku. Więc jedziemy.

- Wspaniale! Macie gdzie się zatrzymać?

- Tak. Mam przyjaciela, chłopaka, z którym kiedyś chodziłam. Przyjedzie po nas. To ponad siedemset kilometrów ale dla nich to podobno żadna odległość.

- Musi cię wciąż bardzo lubić, skoro zdecydował się jechać taki kawał.

Fran uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję. Ja też wciąż go lubię. Czyż to nie cud, że Kathy wygrała te dwa bilety?

- O tak.

- Gdy mi powiedziała, byłam pewna, że dostała je od ojca. Ale przyszli z redakcji czasopisma z biletami do domu,

więc sprawa jest jasna.

384

- Dlaczego jej ojciec miał dać ci bilety nic nie mówiąc?

- Nie widuję się z nim. Jest mężem najbogatszej kobiety w Irlandii, ale nie przyjąłabym od niego jałmużny.

- Oczywiście, że nie. Czy żywisz jeszcze jakieś uczucia dla ojca Kathy?

- Och, nie. To było tak dawno temu. Ale życzę mu jak najlepiej w jego małżeństwie z Marianną Hayes, do której należy spora część Dublina.

* * *

- Bartolomeo, czy ty i Fiona możecie być w jednym pokoju? - spytała Signora

- Si, grazie, Signora, wszystko ustaliliśmy. - Barry zaczerwienił się lekko na wspomnienie, w jak uroczy sposób zostało to ustalone.

- Świetnie, to nam ułatwi sprawę. Mamy problemy z pojedynczymi pokojami.

Signora będzie w pokoju z Constanzą, Aidan Dunne z Lorenzem. Pozostali mieli pary.

Biuro turystyczne spisało się znakomicie. Pracowała w nim córka pana Dunne'a. Zorganizowali wszystko tak, żeby maksymalnie obniżyć cenę.

Brigid zaczęła żałować, że sama się nie wybiera.

- Dlaczego nie jedziesz ze swoim emerytem? - spytała Granie.

Grania skwitowała tę uwagę śmiechem.

- Nie chcemy robić tłumu, poza tym szykuję się do historycznego ślubu emerytów.

Brigid zachichotała. Grania była tak szczęśliwa, że niczym nie można było jej urazić.

Obie ze zdziwieniem zauważyły, że w planach wyjazdu do Włoch nikt nie brał pod uwagę ich matki. Ale o tym się nie mówiło. Sprawa była zbyt banalna i zbyt poważna jednocześnie. Czy to oznaczało, że między matką i ojcem wszystko skończone? W takiej rodzinie to się nie mogło zdarzyć.

* * *

Na krótko przed viaggio Fiona zaprosiła Barry'ego do domu.

385

- Przecież ty praktycznie mieszkasz w moim domu -skarżył się Barry. - A mnie nie wolno cię odwiedzić.

- Wolałabym, żebyś nie spotykał się z moimi rodzicami aż do momentu, kiedy będzie za późno.

- Co to znaczy za późno?

- Za późno, żebyś mnie porzucił. Najpierw chciałam obudzić w tobie pożądanie, jak również podziw i uwielbienie.

Mówiła z taką powagą i przejęciem, że Barry z trudem opanował śmiech.

- Ogarnęło mnie takie pożądanie, że wytrzymam wszystko, nawet spotkanie z rodzicami, bez względu na to, jak są okropni.

Okazali się rzeczywiście okropni. Matka Fiony oświadczyła, że wakacje w Irlandii są doskonałe, gdyż przynajmniej nie można się spalić na słońcu i nikt nie ukradnie ci torebki.

- Takie rzeczy zdarzają się wszędzie, również w Irlandii.

- Ale tutaj przynajmniej mówią po angielsku - mruknął ojciec.

Barry oświadczył, że już wie, jak po włosku zamawiać dania w restauracji, jak radzić sobie w komendzie policji, w szpitalu i w razie awarii autobusu.

- No widzisz? - rzekł triumfalnie ojciec. - To musi być bardzo niebezpieczny kraj, jeśli uczą ich tego wszystkiego.

- Ile kosztuje pokój jednoosobowy? - spytała matka.

- Pięć funtów za dobę - odparła Fiona.

- Dziewięć funtów za dobę - powiedział jednocześnie Barry. Spojrzeli na siebie z furją.

- To znaczy... mhm... więcej kosztuje dla mężczyzn - wyjąkał

zdesperowany Barry.

- A to czemu? - spytał ojciec Fiony podejrzliwie.

- Taki włoski charakter. Uważają, że mężczyźni powinni mieć większy pokój ze względu na garderobę.

- Czyż to nie kobiety mają zwykle więcej ubrań? - zdziwiła się matka Fiony. Z jakimż to elegancikiem zadaje się jej córka, jeśli on potrzebuje ogromnego pokoju, by zmieścić swoje ubrania?

- Tak mówi też moja matka... A właśnie... bardzo chciałyby się z państwem spotkać, poznać państwa.

386

- Dlaczego? - spytała matka Fiony.

Barry nie mając pojęcia, co odpowiedzieć, rzekł:

- Taka już jest, kocha ludzi.

- Szczęśliwa kobieta - mruknął ojciec Fiony.

* * *

- Jak jest po włosku „Powodzenia, tato”? - spytała Grania ojca w przeddzień viaggio.

- In bocca al lupo, Papa. - Powtórzyła. Siedzieli w jego gabinecie. Zebrał

już wszystkie potrzebne mapy i przewodniki. Zapakuje je do małej podręcznej torby. Jeśli zginą ubrania, to dla niego żadna strata, ale książki są bezcenne.

- Mama pracuje dziś wieczorem? - spytała Grania od niechcienia.

- Tak sędzę.

- Cudownie się opalisz na ślub. - Grania za wszelką cenę chciała utrzymać pogodny nastrój.

- Tak. Wiesz, że mogliśmy urządzić ci przyjęcie tutaj, kochanie.

- Woleliśmy w pubie, tato.

- Zawsze myślałem, że odbędzie się w tym domu i ja za wszystko zapłacę.

- Kupujesz nam wielki tort i szampana, czy to nie wystarczy?

- Mam nadzieję.

- Słuchaj, denerwujesz się tym wyjazdem?

- Trochę tak. Może się okazać, że nie wszystko ułoży się tak, jak sobie wymarzyliśmy. Zajęcia przebiegały wspaniale. Nie chciałbym, żeby wyjazd wszystko zepsuł.

- Nie ma takiej możliwości, tato. Będzie cudownie. Żałuję, że nie mogę jechać.

- Ja też.

Żadne z nich nie wspomniało, że żona Aidana, z którą żył od dwudziestu pięciu lat, nie jedzie i, jak twierdzi, nie została nawet zaproszona.

* * *

Signorę na lotnisko podwiózł Jimmy Sullivan, który akurat tego dnia miał

kurs w tym kierunku.

387

- Jest pani dużo za wcześnie - rzekł.

- Jestem zbyt zdenerwowana. Nie usiedziałabym w domu, chciałam już zacząć podróż.

- Czy pojedzie pani do swojej wioski zobaczyć się z przyjaciółmi męża?

- Nie, nie będzie czasu.

- Byłoby przykro jechać taki kawał i się z nimi nie spotkać. Grupa zwolni panią na dzień lub dwa.

- To zbyt daleko, na drugim końcu Włoch, na Sycylii.

- Więc nie dowiedzą się, że pani przyjechała, i nie poczują się urażeni?

- Nie, nie będą mieli pojęcia o mojej podróży.

- Skoro tak, to w porządku.

- Po powrocie Suzi i ja opowiemy panu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

- Ten ślub to było coś, prawda, Signora?

- Byłam zachwycona, podobnie jak wszyscy.

- Będę go spłacał do końca życia.

-Och, żartuje pan. To także było dla pana ogromne przeżycie. Ma pan tylko jedną córkę, a przyjęcie wypadło znakomicie. Ludzie będą je wspominali latami.

-O tak, długo będą leczyć kaca - mruknął Jimmy z zadowoleniem na myśl o swej niespotykanej hojności. Mam nadzieję, że Suzi i Lou zdążą wyjść z łóżka, żeby zdążyć na samolot.

- Och, wie pan, jacy są nowożeńcy - powiedziała Signora dyplomatycznie.

-Nie wychodzili z łóżka już na długo przed ślubem. Jimmy zmarszczył

brwi z dezaprobatą. Suzi nigdy nieokazywała skruchy za swoje niemoralne postęпки.

Gdy Signora znalazła się na lotnisku, siadła na krześle i wyjęła plakietki, które przygotowała dla grupy. Na każdej napisała po włosku nazwę szkoły Vista Del Monte, i nazwisko. W ten sposób nikt się nie zgubi. Jeśli Bóg istnieje, powinien być zadowolony, że ci wszyscy ludzie odwiedzą Święte Miasto, i nie pozwoli, by przytrafiło im się coś złego.

Czterdzieści dwie osoby, włączając ją i Aidana, akurat tyle, 388

by zapełnić autokar, który miał ich odebrać z lotniska. Ciekawe, kto przyjdzie pierwszy? Może Lorenzo? Albo Aidan. Obiecał pomóc w rozdawaniu plakietek. Ale pierwsza przyszła Constanza.

- Ach, moja para już jest - uśmiechnęła się i przyczepiła sobie plakietkę.

- Bez kłopotu mogła sobie pani wynająć pojedynczy pokój - zauważyła z troską Signora. Nigdy wcześniej nie rozmawiała o jej zamożności.

- Oczywiście, ale nie miałabym do kogo ust otworzyć, a to połowa radości z wyjazdu, prawda?

Signora nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż zauważyła kolejne osoby.

Większość przyjechała autobusami. Przyszli po swoje plakietki. Nie spodziewali się, że nazwa ich szkoły brzmi po włosku tak elegancko.

- Nikt we Włoszech się nie domyśli, jakie to podłe miejsce - odezwał się Lou.

- Hej, Luigi, to nie w porządku. Przez ostatni rok szkoła zmieniła się nie do poznania. - Aidan miał na myśli drobne przebudowy, odmalowanie budynku i odremontowanie przechowalni na rowery. Wszystko za sprawą Tony'ego O'Briena, który wywiązał się ze swoich obietnic bez zarzutu.

- Przepraszam, panie Aidanie, nie wiedziałem, że pan słyszy - uśmiechnął

się Lou. Był mu wdzięczny za pomoc na weselu. Aidan zaśpiewał dla nich La donna e mobile. Znał cały tekst.

Na lotnisko przyszła też Brenda Brennan, by się pożegnać. Signora była wzruszona.

- Jesteś taka dobra. Wszystkich żegnają kochające rodziny.

- Nie wszystkich. - Brenda kiwnęła głową w stronę Aidana, rozmawiającego z Luigim. - Jego nie. Pytałam żonę, dlaczego nie jedzie z wami do Rzymu. Wzruszyła tylko ramionami i powiedziała, że nie została zaproszona i nie zamierza się pchać tam, gdzie jej nie chcą. A poza tym i tak to dla niej żadna atrakcja. Czy to jest kochająca się rodzina?

- Biedny Aidan. Zapowiedziano lot do Rzymu.

389

Siostra Guglielma machała wszystkim jak szalona. Dla Olivii sam przyjazd na lotnisko był wielkim wydarzeniem.

- Mój brat jest dyrektorem banku, jedzie spotkać się z papieżem - mówiła nieznajomym.

Bill uśmiechnął się tylko i razem z Lizą machali do Olivii, aż znikła im z oczu.

- Czterdzieści dwie osoby! Kogoś na pewno zgubimy - żartował Aidan licząc uczestników wycieczki przed halą odlotów.

- Podchodzisz do sprawy bardzo optymistycznie. Ja wciąż myślę, że zgubimy wszystkich - uśmiechnęła się Signora.

- Musimy pamiętać o ciągłym sprawdzaniu obecności - powiedział Aidan bez przekonania. Podzielił wycieczkę na cztery dziesięcioosobowe grupy i wyznaczył czterech przedstawicieli, którzy przed każdym wyruszeniem i po każdym powrocie mieli zgłaszać stan liczebny swojej grupy. Ten system działał przy dzieciach, ale dorosłym mógł się nie spodobać.

Jednak nie wyglądali na dotkniętych. Niektórzy byli wręcz zachwyceni.

- No proszę, Lou został przedstawicielem - chwaliła się Suzi.

- Taki odpowiedzialny człowiek. Kto byłby lepszy? - odparła Signora.

Prawdziwym powodem, dla którego go wybrali, był złowrogi wyraz twarzy. Nikt z grupy nie ośmielił się spóźnić, jeśli będzie musiał mu się tłumaczyć.

Prowadził ich do samolotu jak do walki.

- Proszę podnieść paszporty - poprosił. Wykonali polecenie. - Teraz dokładnie je schowajcie i zapnijcie zamki. Nie chcę widzieć ich rozpiętych, aż dolecimy do Rzymu.

Ogłoszono start samolotu po włosku i angielsku. Signora zapoznała ich wcześniej z odpowiednimi zwrotami. Kiedy stewardesa zaczęła mówić, kiwali do siebie głowami ciesząc się, że wszystko rozumieją. Dziewczyna wskazała na wyjścia awaryjne po lewej i prawej stronie i grupa powtarzała radośnie destra, sinistra, chociaż słyszeli to już po angielsku.

Gdy skończyła i podziękowała, grazie, grupa odpowiedziała głośno prego.

Oczy Aidana i Signory spotkały się. A więc to się dzieje naprawdę. Jadą do Rzymu.

390

Signora miała miejsce obok Laddy'ego. Wszystko dla niego było nowe i niezwykle, począwszy od pasów bezpieczeństwa, a skończywszy na posiłkach podanych na małych tackach.

- Czy państwo Garaldi będą na lotnisku? - dopytywał się.

- Nie, Lorenzo. Najpierw zwiedzimy Rzym i okolice, jak zaplanowaliśmy, pamiętasz?

- Tak, ale jeśli oni będą chcieli, żebym pojechał z nimi od razu? - zmartwił

się.

- Wiedzą, że przyjeżdżasz. Napisałam do nich. Mamy się skontaktować we czwartek.

- Giovedi - powiedział.

- Bene, Lorenzo, giovedi.

- Będzie pani jadła swój deser, Signora? - Nie, Lorenzo, możesz wziąć.

- Po prostu nie lubię, jak coś się marnuje.

Signora chciała się teraz trochę przespać. Zamknęła oczy. Niech ta wycieczka się uda. Niech wszyscy ulegną jej czarowi. Może państwo Garaldi nie zapomnieli Lorenza i będą dla niego mili. W napisanie listu włożyła całe serce i była zrozpaczona, że nie otrzymała odpowiedzi.

* * *

Autobus już na nich czekał.

- Dov'e l'autobus? - spytał Bill.

- Stoi przed nami - odparła Lizzie.

- Wiem, chciałem ci tylko przypomnieć - wyjaśnił Bill.

- Ale te dziewczyny mają ogromne biusty i biodra! - szepnęła zdumiona Fiona, rozglądając się wokół.

- Wydaje mi się, że nie wyglądają źle - zachnął się Barry. Od czasu, gdy tu był podczas mistrzostw świata, czuł się ekspertem i nie życzył sobie żadnych krytycznych uwag na temat tego miejsca.

- Nie rozumiesz, uważam, że są wspaniałe - tłumaczyła się Fiona. -

Chciałabym tylko, żeby Brigid Dunne mogła je zobaczyć... przestałyby się wreszcie nad sobą użalać.

- Możesz poprosić jej tatę, żeby jej o tym powiedział - poradził Barry bez przekonania.

391

- Właśnie, że nie mogę. Domyśli się, że o niej rozmawiałam. Mówiła, że hotel nie będzie odlotowy, ale nie rozczarujemy się.

- Ja na pewno się nie rozczaruję - rzekł Barry obejmując Fionę.

- Ani ja. Tylko raz byłam w hotelu, na Majorce. Było tak głośno, że nie mogliśmy zasnąć, więc ubraliśmy się i wróciliśmy na plażę.

- Ten hotel jest na pewno dobry, choć tani - zapewnił Barry.

- Tak, wyjątkowo tani. Brigid wspominała, że do biura przyszła jakaś dziwna kobieta i chciała się koniecznie dowiedzieć, gdzie się zatrzymamy.

Rozeszło się pewnie, że udało nam się tanio zarezerwować.

- Chciała pojechać z nami?

- Brigid jej wyjaśniła, że to niemożliwe, gdyż już dawno wykupiono tę wycieczkę, ale ona nalegała, by podać jej nazwę hotelu.

- No dobrze - westchnął Barry, gdy wyszli na słońce. Z zadowoleniem zaczął liczyć swoją grupę. Uno, duo, tre. Przedstawiciele grup podeszli do swojego zadania bardzo poważnie.

- Byłaś kiedyś w hotelu, Fran? - spytała Kathy, gdy autobus mknął w sznurze samochodów, prowadzonych przez wyjątkowo niecierpliwych kierowców.

- Dwa razy, wieki temu - powiedziała niejasno Fran.

- Nigdy mi nie mówiłaś - drążyła temat Kathy.

- To było w Cork, z Kenem, jeśli musisz wiedzieć.

- Kiedy twierdziłaś, że jesteś u koleżanki? - Nie chciałam ich martwić, że mogę znowu urodzić dziecko, którym będą musieli się opiekować. Fran szturchnęła córkę po przyjacielsku.

- Teraz już chyba dla ciebie za późno na dzieci? - Posłuchaj, jeśli między mną i Kenem znowu się ułoży

w Ameryce, teraz, gdy wygrałaś dla nas ten bilet... może urodzę ci siostrzyczkę lub braciszka i zabierzemy go do domu.

- A może tam zostaniesz?

- Pamiętaj, że mamy bilet powrotny.

392

- Dzieci nie rodzą się w ciągu jednego dnia.

Śmiejąc się pokazywały sobie mijane budowle, aż dojechały do Via Giolitti.

* * *

Signora prowadziła ożywioną dyskusję z kierowcą.

- Tłumaczy mu, że powinniśmy zostać zawiezieni pod sam hotel, a nie na końcowy przystanek - wyjaśniła Suzi.

- Skąd wiesz? Przecież nie chodzisz z nami na kurs? - oburzył się Lou.

- Gdybyś pracował jako kelner, prędzej czy później nauczyłbyś się wszystkiego - powiedziała lekceważąco. Potem patrząc na twarz Lou, dodała: - Poza tym sam często mówisz po włosku w domu, więc nauczyłam się też od ciebie. - To była zdecydowanie zreczniejsza odpowiedź.

Suzi miała rację. Autobus ruszył znowu i wyrzucił ich przed Albergo Francobollo.

- Hotel „Pod znaczkami pocztowymi” - przetłumaczył im Barry. - Łatwo zapamiętać. Vorrei un francobollo per urlanda!, zawołali głośno i Signora uśmiechnęła się do nich serdecznie.

Dowiozła ich do Rzymu bez żadnych tragedii, hotel potwierdził

rezerwację, grupa była w doskonałych nastrojach. Niepotrzebnie się niepokoiła. Wkrótce się odpręży i zacznie cieszyć powrotem do Włoch, ich kolorami, dźwiękami i ożywieniem. Zaczęła oddychać swobodniej.

Albergo Francobollo nie należał do najelegantszych hoteli w Rzymie, ale powitanie wycieczki przerosło oczekiwania grupy Irlandczyków. Signor i Signora Buona Sera byli pełni podziwu dla ich świetnej znajomości włoskiego.

- Bene, bene, benissimo - wołali biegając zachwyceni z jednego pokoju do drugiego.

- Czy on naprawdę nazywa się pan Dobrywieczór? - spytała Fiona Barry'ego.

- Tak. U nas za to mamy nazwisko Skurcz, a jeden z naszych klientów w supermarkecie nazywa się Mądry.

- Ale nie mamy panów Dobrywieczór i Dobranoc - upierała się Fiona.

- Tak, ale znam wiele miejscowości o bardzo dziwnych nazwach, czasami nawet wulgarnych. I co powiedzą na to ludzie z innego kraju?

- Kocham cię, Barry - powiedziała nagle Fiona. Właśnie znaleźli się przed swoim pokojem i pani Dobrywieczór usłyszała jej słowa.

- Miłość. Bardzo dobrze, bardzo dobrze - rzekła i szybko zeszła na dół, by pomóc w rozłokowaniu pozostałych gości.

Connie powiesiła starannie rzeczy w małej szafce po swojej stronie. Z

okien widziała dachy i okna wysokich domów przy uliczkach prowadzących do Piazza Quintacenti. Umyła się w umywalce. Od lat nie korzystała z hotelu, w którym nie miałyby własnej łazienki. Ale także od dawna nie była taka odprężona i spokojna. Nie czuła się lepsza od tych ludzi tylko dlatego, że miała dużo pieniędzy. Nie przyszło jej nawet do głowy, by pożyczyć samochód lub zaprosić wszystkich do pięciogwiazdkowej restauracji na obiad, chociaż nic by ją to nie kosztowało. Z ochotą przyjęła plan tak drobiazgowo opracowany przez Signorę i Aidana Dunne'a. Podobnie jak i pozostali uczestnicy kursu wieczorowego odniosła wrażenie, że łączy ich coś więcej niż sprawy czysto zawodowe. Nikt się nie zdziwił, że nie pojechała z nimi żona Aidana.

- Signor Dunne, telefono - zawołała signora Buona Sera ze schodów.

Aidan poradził Laddy'emu, żeby nie proponował od razu pomocy przy polerowaniu mosiężnych części drzwi. Może trochę później.

- Może to telefon od pana włoskich przyjaciół? - ożywił się Laddy.

- Nie, Lorenzo, nie mam tu przyjaciół.

- Ale był pan już tutaj.

- Ćwierć wieku temu, nikt mnie już nie pamięta.

- Ja mam przyjaciół - rzekł dumnie. - I Bartolomeo spotkał kilku podczas mistrzostw świata.

- Wspaniale. Lepiej pójdę, zobaczę, kto to dzwoni.

- Tata?

- Brigid? Coś się stało?

- Nie, nic. Dojechaliście cało?

- Jak najbardziej. Cudowny wieczór, wybieramy się właśnie na Piazza Navona do kawiarni.
- Będzie wspaniale.
- Brigid? Czy coś...
- To pewnie nic ważnego, tato, ale jakaś zwariowana kobieta była w moim biurze dwa razy i koniecznie chciała wiedzieć, w jakim hotelu się zatrzymaliście. To może nic takiego, ale nie podobała mi się. Nie zachowywała się całkiem normalnie.
- Mówiła dlaczego?
- Powiedziała, że zadała proste pytanie i oczekuje prostej odpowiedzi. Jeśli nie podam jej nazwy hotelu, pójdzie do szefa.
- I co zrobiłaś?
- Myślę, że ma nie po kolei w głowie, więc jej odmówiłam. Jeśli chce przekazać jakąś informację, prześlę ją do hotelu, gdyż jest tam mój ojciec.
- I to wszystko?
- Niestety nie. Poszła do szefa i powiedziała, że musi się pilnie skontaktować z panem Dunne'em z grupy Mountainview. Podał jej nazwę hotelu, a mnie się dostało.
- Musiała mnie znać, skoro знаła moje nazwisko.
- Widziałam, jak przeczytała je z mojej plakietki. Chodzi mi o to, że...
- Co Brigid?
- Ona jest pomyłona, powinniście uważać.
- Dziękuję ci, droga córeczko - powiedział i w tej samej chwili uświadomił sobie, jak dawno tak się do niej nie zwracał.

* * *

Był ciepły wieczór. Wyruszyli na spacer po Rzymie. W oddali zobaczyli Santa Maria Maggiore.

- Dzisiaj jest wieczór towarzyski. Napijemy się czegoś na pięknym placu.

Jutro zaczniemy zwiedzanie. Jeśli ktoś będzie wolał posiedzieć w kawiarni i popijać kawę, proszę bardzo. - Signora chciała dać im jasno do zrozumienia, że

nie muszą cały czas chodzić grupą trzymając się ustalonego przez nią planu, ale po oczach widziała, że czują się jeszcze niepewnie i potrzebują przewodnika.

- Co powiemy, gdy zobaczymy na cudnym Piazza Navona fontanny i posągi? - spytała wskazując ręką dokoła.

- In questa piazza ci sono multi belli edifici! - krzyknęli chórem.

- Benissimo - pochwaliła. - Avanti, chodźmy ich poszukać.

Na placu usiedli przy stolikach, czterdzieści dwie osoby, i patrzyli, jak nad Rzymem zapada noc.

- Jakies problemy z telefonem? - spytała Signora siedząca obok Aidana.

- Nie, to tylko Brigid chciała się dowiedzieć, czy dojechaliśmy szczęśliwie. Powiedziałem, że jest wspaniale.

- Była bardzo pomocna przy organizacji wyjazdu. Chciała, żeby ci się udało, nam wszystkim.

- I uda się. - Pili kawę. Inni piwo lub grappę. Signora ostrzegła, że ceny tu są wysokie ze względu na turystów, więc żeby nie zamawiali nic więcej.

Musi im zostać trochę pieniędzy na wydatki we Florencji i Sienie.

Uśmiechnęli się prawie z niedowierzaniem, gdy wymówiła nazwy tych miast. Naprawdę są we Włoszech. Rozpoczęli swoją viaggio. To już nie rozmowy w klasie w deszczowe wtorki i czwartki.

- Tak, będzie cudownie - zgodziła się Signora.

- Brigid wspomniała jeszcze o czymś. Nie chciałem cię martwić, ale jakaś zwariowana kobieta przyszła do biura i dopytywała się o nazwę hotelu, w którym mieszkamy. Brigid uważała, że możemy mieć z nią kłopot.

- Jeśli udało się nam tu dotrzeć, poradzimy sobie z każdym problemem, nie sądzisz?

Wycieczka ustawiała się małymi grupami do zdjęcia przed Fontanną Czterech Rzek. Wziął ją za rękę.

- Poradzimy sobie ze wszystkim - powiedział.

- To dobrze - rzekła radośnie.

Młodzi ludzie uśmiechnęliby się pobłaźliwie, gdyby wiedzieli, ile dla Signory i Aidana znaczyło usiąść na Piazza Navona, wziąć się za ręce i patrzeć na gwiazdy.

- Przyjechała pana znajoma, signor Dunne - oznajmiła signora Buona Sera.

- Znajoma?

- Z Irlandii. Chciała tylko sprawdzić, czy wszyscy są.

- Przedstawiła się? - spytał Aidan.

- Nie, nie podała nazwiska, upewniała się, czy cała grupa zatrzymała się w tym hotelu. Przekazałam, że jutro rano wybieracie się na wycieczkę autokarem, tak?

- Tak. Czy nie wydawała się pani nieco dziwna? - spytał od niechcienia.

- Dziwna, signor Dunne?

- Pazza - pomogła Signora.

- Nie, absolutnie nie pazza - signora Buona Sera była wyraźnie oburzona posądzeniem, że do jej hotelu mógł zgłosić się ktoś nie całkiem normalny.

* * *

Wycieczka autokarem ma wprowadzić grupę w atmosferę Rzymu, powiedziała Signora. Później każdy może pójść zwiedzać te miejsca, które najbardziej mu się podobały. Nie wszystkim musi się podobać spędzanie wielu godzin w Muzeum Watykańskim.

Na śniadanie dostają dużo żółtego sera, więc można z niego robić kanapki na później. Wieczorem w restauracji niedaleko hotelu zarezerwowano obfity obiad. Po posiłku każdy wraca do hotelu sam. Oczywiście, nie ma obowiązku przyjścia, powtarzała Signora. Ale wiedziała, że zjawią się wszyscy.

Nie wspomniano o zwariowanej kobiecie, która ich szukała. Signora i Aidan Dunne byli zbyt zajęci ustalaniem trasy z kierowcą, by się nad tym zastanawiać.

Czy znajdzie się czas na wyjście i wrzucenie monety do słynnej Fontanna di Trevi? Czy uda się zaparkować obok Bocca della Verità?

Grupie spodoba się na pewno wkładanie rąk do marmurowych ust kamiennej płaskorzeźby. Dawniej wierzono, że usta zamkną się na rękę kłamcy. Czy będą wchodzili po Schodach Hiszpańskich na samą górę? Nie mieli

397

czasu myśleć o dziwnej kobiecie, która ich szukała. Kimkolwiek była.

Po powrocie z wycieczki wszyscy byli tak wyczerpani, że zrobili sobie przed obiadem dwugodzinny odpoczynek. Signora poszła wcześniej do restauracji, by sprawdzić, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik, i ustalić szczegółowe menu. Connie spała.

Na drzwiach restauracji wisiała kartka z napisem w czarnej ramce: CHIUSO: morte in famiglia. Signora fuknęła ze złością. Czy członkowie rodziny nie mogli umrzeć kiedy indziej? Czy ona lub on musiał zejść z tego świata właśnie wtedy, gdy czterdzieści dwie osoby z Irlandii zamówiły tu obiad? Miała niecałą godzinę na znalezienie innego miejsca.

Signora nie współczuła rodzinie z powodu tragedii. Była wściekła.

Dlaczego nie zadzwonili do hotelu? Umawiali się, że dadzą jej znać w razie jakichkolwiek problemów organizacyjnych.

Obeszła wszystkie ulice wokół Stazione Termini. Małe hotele, tanie pokoje dla ludzi, którzy dopiero co przyjechali na ogromny dworzec. Ale żadnej taniej restauracji, o jakiej myślała. Zagryzła wargi i skierowała się do restauracji Catania. Chyba sycylijska. Czy to dobry znak? Czy mogła wziąć ich na litość, tłumacząc, że za półtorej godziny czterdzieścioro dwoje Irlandczyków będzie chciało zjeść porządny, niedrogi obiad?

Musiała spróbować.

- Buona sera - przywitała się.

Młody, kanciasty mężczyzna o ciemnych włosach spojrzał na wchodzącą.

- Signora? - powiedział. - Signora? - powtórzył z niedowierzaniem. - Non e possibile, Signora! - zawołał i podszedł do niej z wyciągniętymi rękami.

To był Alfredo, najstarszy syn Maria i Gabrielli. Weszła do jego restauracji przez przypadek. Ucałował ją w oba policzki. - E un miracolo. - Podstawił

jej krzesło.

Signora usiadła. Czując, że kręci się jej w głowie, oparła się o blat stołu.

- Stock Ottanto Quattro - powiedział i nalał jej dużą szklanekę mocnej, słodkiej włoskiej brandy.

398

- Grazie - podniosła szklanekę do ust i napiła się. - Czy to twoja restauracja, Alfredo? - spytała.

- Nie, nie, Signora. Tylko tu pracuję. Zbieram pieniądze...

- A co z twoim hotelem? Twojej matki. Dlaczego tam nie pracujesz?

- Moja matka nie żyje, Signora. Zmarła sześć miesięcy temu. Jej bracia, moi wujkowie, zaczęli się za bardzo wtrącać, podejmować decyzje... nie mieli o niczym pojęcia. Nie ma tam dla nas miejsca. Enrico został, ale to jeszcze dziecko, brat z Ameryki nie wróci. Przyjechałem do Rzymu, żeby się więcej nauczyć.

- Twoja matka nie żyje? Biedna Gabriella. Co się stało?

- Rak. Zaatakował tak nagle i szybko. Poszła do doktora w miesiąc po śmierci ojca.

- Ogromnie mi przykro - szepnęła Signora. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Nagle poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Gabriella zmarła teraz zamiast lata temu, brandy drażniła jej gardło, nie znalazła restauracji dla wycieczki, Mario leżał w grobie w Annunziata. Łzy popłynęły jej po policzkach. Płakała i płakała, a Mario gładził ją po włosach.

* * *

Connie leżała owinawszy stopy zmoczonymi w zimnej wodzie ręcznikami.

Dlaczego nie wzięła ze sobą balsamu do stóp albo miękkich jak rękawiczki skórkowych pantofli? Nie chciała chyba rozpakowywać na oczach Signory swojej kosmetyczki pełnej luksusowych rzeczy. A zresztą kto z całej tej grupy mógł przypuszczać, że jej buty kosztują tyle, ile każdy z nich z trudem zarobiłby przez trzy tygodnie? Powinna je wziąć, teraz została ukarana. Jutro wymknie się do Via Veneto i kupi jakieś piękne włoskie buty. Nikt nie zauważy, a jeśli nawet, palicho. Ci ludzie nie są opanowani żądzą bogactwa, ciągłym dążeniem do osiągnięcia coraz wyższego standardu życia. Nie myśleli obsesyjnie o pieniądzach. W

niczym nie przypominali Harry'ego Kane'a.

To dziwne uczucie móc o nim myśleć bez emocji. Pod koniec roku Harry wyjdzie z więzienia. Od starego pana Murphy'ego 399

dowiedziała się, że zamierza się przenieść do Anglii. Zajmą się nim przyjaciele. Czy pojedzie z nim Siobhan Casey, spytała swobodnie, jakby mówiła o zupełnie obcej osobie, nic dla niej nie znaczącej, jak o postaci z jakiegoś serialu. Och, nie, czy nic nie słyszała? Stosunki między nimi znacznie ochłodziły. Odmówił widzenia się z panną Casey, gdy przyszła go odwiedzić w więzieniu. Zdaje się, że obwinia ją o wszystko, co się stało.

Connie Kane wcale się z tego nie cieszyła. W pewnym sensie łatwiej by jej było myśleć o nim, gdyby ułożył sobie życie z kobietą, z którą był zawsze związany. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek Siobhan i Harry byli tu razem. Czy wzruszyło ich to piękne miasto, jak wszystkich zwiedzających, bez względu na to, czy są zakochani, czy nie. Nigdy się nie dowie, ale nie miało to już dla niej znaczenia.

Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Wróciła chyba Signora. Ale nie, to mała, ruchliwa signora Buona Sera.

- List dla pani - powiedziała i wręczyła jej kopertę.

- Na zwykłej kartce pocztowej ktoś napisał: Możesz tutaj zginąć w wypadku samochodowym i nikt nawet nie zauważy.

Przedstawiciele grup liczyli osoby do wyjścia na obiad. Brakowało trojga uczestników: Connie, Laddy'ego i Signory. Doszli do wniosku, że Connie i Signora są razem i za chwilę się pojawią.

Ale gdzie jest Laddy? Aidan nie był w ich pokoju. Zajmował się przygotowaniem planu wycieczki na następny dzień do Forum i Koloseum. Może Laddy zasnął? Aidan pobiegł na górę, ale pokój był pusty.

W tym momencie przyszła Signora, blada i zmęczona. Poinformowała, że obiad zjedzą w innym miejscu, ale cena jest taka sama. Udało jej się zarezerwować stoliki w Catanii. Była dziwnie zdenerwowana i przygaszona. Aidan nie chciał jej mówić o zniknięciu Laddy'ego. W tej samej chwili na schodach pojawiła się Connie, przepraszając za spóźnienie. Ona także była blada i zmartwiona. Ten upał, hałas i ciągłe zamieszanie kosztował te dwie kobiety najwyraźniej zbyt wiele wysiłku, pomyślał Aidan. Ale teraz musi

400

znaleźć Laddy'ego. Weźmie adres restauracji i dołączy do nich później.

Signora dała mu kartkę, ręka jej drżała.

- Wszystko w porządku, Noro?

- Tak, Aidanie - skłamała.

Rozgadana grupa ruszyła ulicą, a Aidan rozpoczął poszukiwania Laddy'ego. Signor Buona Sera znał signora Lorenza, który proponował mu wspólne umycie okien. Bardzo miły pan, też pracował w hotelu w Irlandii.

Ucieszył się, że przyszedł do niego gość.

- Gość?

- Ktoś przyszedł z listem dla jednego z uczestników wycieczki.

Wspomniała mu o tym żona. Signor Lorenzo uważał, że to dla niego i był

bardzo szczęśliwy.

- Czy wiadomość rzeczywiście była dla niego? Otrzymał ten list?

- Nie, signor Dunne. Chociaż żona powiedziała mu, że oddała go jednej pani z grupy, signor Lorenzo stwierdził, że to pomyłka, ale że nie ma problemu, bo zna adres i tam pójdzie.

- Święty Boże! - zawołał Aidan Dunne. - Zostawiłem go tylko na dwadzieścia minut, a on myśli, że ta piekielna rodzina z Włoch po niego posłała. Dostanę przez niego zawału, jak Boga kocham!

Najpierw poszedł do restauracji, gdzie wszyscy siedzieli już przy stolikach. Musieli wstać do zdjęcia pod transparentem z napisem Benvenuto agli Irlandesi.

- Potrzebuję adres Garaldich - szepnął Signorze do ucha.

- Chyba tam nie poszedł?

- Na to wygląda.

Signora spojrzała na niego z niepokojem.

- Lepiej tam pójde.

- Pozwól, że ja to zrobię. Zostań tu i dopilnuj wszystkiego.

- Pójde, Aidanie, znam język, pisałam do nich.

- W takim razie pójdźmy razem - zaproponował.

- Kogo wyznaczymy na kierownika grupy? Constanzę?

401

- Nie, coś ją dręczy. Pomyślmy. Niech zajmą się tym Francesca i Luigi.

A więc postanowiono. Signora i pan Dunne wyruszą na poszukiwania Lorenza, a grupie będą przewodzić Francesca i Luigi.

- Dlaczego właśnie oni? - mruknął ktoś.

- Ponieważ byliśmy najbliżej - odparła Fran, zawsze dążąca do zgody.

- I jesteśmy najlepsi - dodał Luigi, mężczyzna lubiący wygrywać.

Wzięli taksówkę i dojechali do domu Garaldich.

- Jest elegantszy niż myślałam - szepnęła Signora.

- Laddy nigdy nie był w takim miejscu. - Aidan patrzył z podziwem na wyłożony marmurem hall wejściowy prowadzący na dziedziniec.

- Vorreri parlare eon la famiglia Garaldi - powiedziała Signora pewnym siebie tonem, choć wcale się tak nie czuła, patrząc na wytwornie ubranego lokaja. Zapytał ją o nazwisko i cel wizyty. Aidan słuchał zaskoczony, jak Signora wyjaśnia w jakiej przyszli sprawie i jak jest to dla nich ważne.

Mężczyzna w szaro-czerwonej liberii poszedł do telefonu. Rozmowa zdawała się trwać wiecznie.

- Mam nadzieję, że poradzą sobie tam bez nas - powiedziała do Aidana.

- Oczywiście. To niesamowite, że tak szybko udało ci się znaleźć nową restaurację. Przyjęto nas bardzo serdecznie.

- Tak, to niezwykle. - Signora myślami była daleko.

- Zresztą wszyscy są tutaj bardzo mili, może to wcale nie jest takie niezwykle.

- W tej restauracji spotkałam znajomego kelnera. Znałam jego ojca.

Uwierzyłbyś?

- Gdy byłaś na Sycylii? - Tak.

- A jego znałaś?

- Od dnia, kiedy się urodził... pamiętam, jak niesiono go do chrztu.

Wrócił lokaj.

402

- Signor Garaldi chciałby z państwem mówić osobiście. Jest zupełnie zdezorientowany.

- Musimy wejść, nie mogę tego wyjaśnić przez telefon - powiedziała Signora. Aidan był zdumiony jej śmiałością. Czuł się zakłopotany odkryciem jej sycylijskiej przeszłości.

Przeszli dziedzińcem do szerokich schodów, fontanny i dużych drzwi.

Naprawdę bogaci ludzie. Czy Laddy tu dotarł?

Znaleźli się w korytarzu. Nagle z jakiegoś pokoju wybiegł mały, zdenerwowany mężczyzna w brokatowej marynarce. Za nim szła chyba jego żona, starając się go uspokoić. W środku na stołku przy pianinie siedział przerażony i zupełnie zagubiony Laddy.

Gdy ich zobaczył, twarz mu pojaśniała.

- Signora! - zawołał. - Pan Dunne. Wyjaśnijcie im wszystko. Nie uwierzycie, ale zupełnie zapomniałem włoskiego. Mogłem powiedzieć im tylko dni tygodnia i pory roku albo zamówić danie dnia. To straszne.

- Sta calma, Lorenzo - uspokajała Signora.

- Pytają wciąż, czy jestem O'Donoghue, napisali mi to na kartce. - Nigdy nie był tak przejęty i przestraszony.

- Laddy, to moje nazwisko, dlatego pytają. Podałam je w liście.

- Pani nie jest O'Donoghue! - powiedział zrozpaczony Laddy. - Pani jest Signora.

Aidan objął ramieniem roztrzęsionego Laddy'ego. Signora zaczęła tłumaczyć. Mówiła jasno i spokojnie. Zrozumiał prawie wszystko.

Opowiedziała o mężczyźnie, który znalazł pieniądze państwa Garaldich w Dublinie, który odwiedzili w zeszłym roku. Pracuje tam jako portier i ich uprzejme słowa wdzięczności przyjął jako zaproszenie do Włoch. Opisała, ile włożył wysiłku w nauczanie się włoskiego. Przedstawiła siebie i Aidana, wyjaśniając, że są organizatorami kursu wieczorowego. Bardzo się zmartwili, dowiedziawszy się, że przez nieporozumienie ich przyjaciel Lorenzo przyszedł tutaj myśląc, że otrzymał stąd wiadomość przesłaną do hotelu. Wszyscy oczywiście już wychodzą, ale może z dobroci serca signor Garaldi i jego rodzina zrobią jakiś gest, żeby pokazać, że pamiętają niezwykłą

403

uczciwość człowieka, który zwrócił im plik banknotów, coś, na co nie zdobyłaby się większość Dublińczyków.

Aidan stojąc przy drżącym Laddym zastanawiał się, jak dziwnie układa się życie. Przypuśćmy, że zostałby dyrektorem Mountainview. Tak bardzo tego pragnął, jeszcze nie tak dawno. Teraz rozumiał, jak mocno by z tego powodu cierpiał, jak dobrym kandydatem był Tony O'Brien, żadne ucieleśnienie zła, jak poprzednio sądził, ale prawdziwy triumfator, niezwyknięty w walce z nałogiem palenia i prawdopodobnie przyszły zięć. Aidan nigdy nie stałby w tym okazałym rzymskim domu z notatkami przygotowanymi na wykład, który miał wygłosić w Forum, schowanymi w kieszeni, pocieszając zdenerwowanego portiera hotelowego i patrząc z dumą i podziwem na tę dziwną kobietę, która tak odmieniła jego życie.

Przywróciła jego rozdartej i hardej duszy jasność i spokój.

- Lorenzo. - Signor Garaldi zbliżył się do Laddy'ego, który patrzył na niego z przestraczem. - Lorenzo, mio amico. - Ucałował go w oba policzki.

Laddy nie chował urazy.

- Signor Garaldi - powiedział i chwycił go za ramiona. - Mio amico.

Nastąpiły szybkie wyjaśnienia i reszta rodziny zrozumiała całą sytuację.

Przyniesiono ciasteczka i wino. Laddy uśmiechał się od ucha do ucha.

- Giovedi - powtarzał radośnie.

- Giovedi? - zdziwił się Garaldi, ale wznosił toast, tak jak chciał Laddy.

- Powiedziałam mu, że w czwartek się z panem skontaktujemy. Nie chciałam, by przychodził tu sam.

Napisałam o tym w liście, że może zadzwonimy. Nie czytał pan?

Niski mężczyzna był wyraźnie speszony.

- Otrzymuję mnóstwo listów z różnymi prośbami. Myślałem, że to jeden z nich. Zamierzałem dać mu trochę pieniędzy, gdy się zjawi. Musi mi pani wybaczyć. Nie przeczytałem uważnie. Strasznie mi wstyd.

- Och nie szkodzi, ale czy pan myśli, że mógłby przyjść w czwartek? Tak bardzo się cieszył. Może wzięłabym aparat

404

i zrobiła mu zdjęcie, które potem mógłby pokazać całej wycieczce.

Signor Garaldi i jego żona wymienili spojrzenia.

- Zapraszamy was wszystkich na drinka dla uczczenia znajomości.

- To czterdzieści dwie osoby - zauważyła Signora.

- Ten dom został zbudowany właśnie na takie spotkania - oznajmił Garaldi kłaniając się lekko.

Zamówiono samochód i po chwili szofer wiozł ich ulicami Rzymu do Catanii, w miejsce, gdzie rzadko pojawiały się tak eleganckie samochody.

Signora i Aidan spojrzeli po sobie z dumą, jak para rodziców, która wyratowała swoje dziecko z opresji.

- Szkoda, że moja siostra nie może mnie zobaczyć - powiedział nagle Laddy.

- Ucieszyłaby się? - spytała ciepło Signora.

- Wiedziała, że tak się stanie. Kiedyś poszliśmy do wróżki, która przepowiedziała jej, że wyjdzie za mąż, będzie miała dziecko i młodo umrze. Mnie wywróżyła przyszłość sportowca i że wybiorę się w podróż za morze. Wcale by jej to nie zdziwiło, ale szkoda, że nie żyje.

- To bardzo przykre, ale może widzi nas teraz - pocieszał Aidan.

- Wcale nie jestem pewien, czy istnieje niebo, panie Dunne.

- Naprawdę, Laddy? Ja z każdym dniem coraz bardziej się o tym przekonuję.

* * *

Gdy weszli do restauracji wszyscy głośno śpiewali. Kelnerzy stali obok i głośno klaskali po zakończeniu piosenki. Inni goście, którzy odważyli się spożywać w tym samym czasie obiad, zostali

od razu wciągnięci do towarzystwa. Wycieczka widząc wchodzącą trójkę, wydała okrzyk radości.

Alfredo pobiegł po zupę.

- Brodo - wybrał Laddy.

- Możemy zacząć od razu od głównego dania, jeśli chcesz - powiedział

Aidan.

405

- Przepraszam, panie Dunne, ale dopóki nie zostaną odwołany, ja tu zarządzam i prosiłbym, żeby Lorenzo dostał swój rosół. - Luigi groźnie zmarszczył brwi. Aidan zrobił przestraszoną minę i przeprosił za swój błąd. - W takim razie w porządku - rzekł łaskawie Luigi.

Fran zwróciła się do Signory z prośbą. Niepokoi się o Kathy. Zauważyła, że jeden z młodych kelnerów namawiał Kathy, żeby się z nim umówiła po obiedzie. Czy Signora mogłaby powiedzieć, że cała grupa ma wrócić do hotelu po skończonym wieczorze?

- Oczywiście, Francesco - odparła Signora.

To niesamowite, że nikt nie spytał o Laddy'ego, co się z nim stało.

Założyli, że ona i Aidan pojechali go uratować, i zrobili to.

- Lorenzo zaprasza całą grupę na przyjęcie we czwartek - oznajmiła. - Do wspaniałego domu.

- Giovedi - powtórzył dla pewności Laddy.

To także przyjęli bez zastrzeżeń. Signora szybko skończyła zupę.

Poszukała wzrokiem Constanzy. Connie siedziała osowiała, wpatrzona gdzieś w dal. Coś się stało, ale Constanza była osobą zamkniętą i nie lubiła się zwierzać. Z kolei Signora nie lubiła się mieszać w nie swoje sprawy, więc nie chciała się wypytywać.

Alfredo oświadczył, że przygotował niespodziankę. Tort w kolorach Irlandii. Zrobił go dla nich, gdyż są tacy radosni i pragnął, żeby na zawsze zapamiętali tę wycieczkę. Włosi znają barwy narodowe Irlandii od czasu słynnych mistrzostw świata.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, Alfredo. To był cudowny wieczór.

- Wie pani jak, Signora. Proszę, żeby pani przyszła jutro i ze mną porozmawiała.

- Nie jutro, Alfredo. Pan Dunne ma wykład w Forum.

- Signore'a Dunne'a może pani słuchać kiedy indziej. Zostało mi tylko kilka dni, żeby z panią

porozmawiać. Proszę, Signora, błagam panią!

- Może jakoś mu to wytłumaczę. - Signora spojrzała na Aidana. Nie chciała go zawieść, wiedziała, ile włożył wysiłku w przygotowanie tego wykładu. Obiecał sprawić, że

406

wszyscy poczują się jak w czasach, gdy po Rzymie jeździły rydwany. Ale chłopiec miał zmartwioną minę, jakby chciał jej powiedzieć coś bardzo ważnego. Przez wzgląd na przeszłość musi go wysłuchać.

* * *

Signorze bez trudu udało się wyrwać Caterinę z objęć kelnera i zabrać ją do hotelu. Po prostu poprosiła Alfreda, żeby nagle w pilnej sprawie odwołał chłopca. Ten, wpatrując się błagalnie w oczy Cateriny, poprosił ją o spotkanie w inny wieczór, wręczył czerwoną różę i pocałował w rękę.

Connie nie dowiedziała się kto jej przysłał dziwną wiadomość. Signora Buena Sera powiedziała, że ktoś prosił tylko o dostarczenie listu signorze Kane. Ani ona, ani jej mąż nie widzieli, czy był to mężczyzna, czy kobieta.

Tajemnicza historia. W nocy Connie Kane nie mogła zasnąć. Martwiła się.

O co w tym wszystkim chodzi? Myślała, czy nie zwierzyć się Signorze, ale nie chciała się narzucać tej miłej, cichej kobiecie.

* * *

- Oczywiście, rozumiem, jeśli masz do załatwienia swoje sprawy, związane z Sycylią - powiedział Aidan następnego dnia.

- Przykro mi, Aidanie. Naprawdę bardzo chciałam być na twoim wykładzie.

- Rozumiem. - Odwrócił się, żeby nie zobaczyła na jego twarzy cierpienia i rozczarowania, ale dostrzegła je.

* * *

- Nie musimy iść na wykład - zdecydował Lou wciągając Suzi z powrotem do łóżka.

- Ale ja chcę iść. - Uwolniła się.

- Łacina, rzymscy bogowie i stare świątynie... jasne, że nie chcesz.

- Pan Dunne przygotowywał się do niego godzinami. Signora chciałyby nas tam widzieć wszystkich.

- Tak, tylko sama nie przyjdzie - oświadczył z mądrą miną Lou.

- Skąd, na Boga, o tym wiesz?
- Słyszałem, jak mu się wczoraj tłumaczyła. Miał strasznie kwaśną minę.
- To do niej niepodobne.
- W takim razie my też nie musimy iść - rzekł i opatulił się kołdrą.
- Tym bardziej musimy iść, żeby go wesprzeć. - Suzi stała obok łóżka wkładając szlafrok. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, była już przy łazience.

* * *

Liza i Bill z uwagą przygotowywali kanapki.

- Czyż to nie świetny pomysł? - cieszył się Bill, licząc, że będą robić to samo po powrocie do domu. Może Liza zrozumie wreszcie potrzebę oszczędzania. Choć musiał przyznać, że tutaj zachowywała się nienagannie. Nie rozglądała się za sklepami. Notowała ceny lodów i przeliczała na funty.
- Och, Bill, nie bądź niemądry. - Wcale nie była zachwycona jego pomysłem. - Gdybyśmy kupowali szynkę, jajka i chleb, wyniesie nas to dużo drożej, niż gdybyśmy jadali w barach talerz zupy, jak u siebie w domu.
- Może.
- Ale gdy staniesz się międzynarodowym bankierem, wtedy możemy to rozważyć. Zamieszkamy w hotelu czy we własnej willi? Jak myślisz?
- Chyba w willi - odparł ponuro Bill. To było tak mało prawdopodobne i takie nierealne.
- Dowiadywałeś się czegoś na ten temat?
- Na temat willi? - przeraził się.
- Nie, na temat możliwości pracy tutaj. Przecież dlatego zacząłeś się uczyć włoskiego. - Spojrzała na niego wymownie.
- Z początku tak - przyznał Bill. - Ale teraz uczę się tylko dla przyjemności.
- Czy to ma oznaczać, że nigdy nie będziemy bogaci? - W wielkich oczach Lizy odmalował się niepokój.
- Nie, nie to miałem na myśli. Będziemy bogaci. Wierz mi.
- Wierzę ci. No, kanapki gotowe. Zawiniemy je w papier i zjemy w Forum po wykładzie. Potem

wyślemy kartki?

408

- Będiesz mogła wysłać jedną do ojca - rzekł Bill Burke, który zawsze starał się dostrzec dodatnią stronę każdej sprawy.

- Przypadliście sobie do gustu, prawda?

Przed wyjazdem wybrali się na krótko do Galway i nawet powiodła im się próba pogodzenia rodziców Lizy. Przynajmniej starsi państwo zaczęli ze sobą rozmawiać.

- Tak, podobał mi się. Jest niezwykle komiczny. - Bill pomyślał, że to doskonałe określenie mężczyzny, który niemal zgniótł mu rękę przy powitaniu i już po dziesięciu minutach znajomości poprosił o pożyczenie dziesięciu funtów.

- Tak się cieszę, że polubiłeś moją rodzinę - powiedziała Liza.

- A ty moją.

Jego rodzice okazywali teraz więcej serdeczności Lizie. Zaczęła nosić dłuższe spódnice i mniej wycięte dekolty. Interesowała się sposobami krojenia bekonu przez ojca i różnicami między wędzonym a surowym. W

nieskończoność grała z Olivią w kółko i krzyżyk, dając jej wygrać połowę rund, co dodawało grze dreszczyku emocji. Może ślub nie okaże się tak straszny, jak z początku myślał.

- Chodźmy, posłuchamy o dziewicach, kapłankach Westy. - Uśmiechnął

się szeroko.

- O czym?

- Liza! Nie czytałaś notatek pana Dunne'a? Rozdał wszystkim konspekt, żebyśmy łatwiej zapamiętali.

- Daj mi to szybko - poprosiła Liza.

Aidan Dunne narysował mapę, zaznaczając miejsca, które będą zwiedzać i o których będzie opowiadał. Przebiegła wzrokiem i oddała mu kartkę.

- Czy myślisz, że oni śpią ze sobą? - spytała, oczy jej błyszczały.

- Jeśli tak, Lorenzo i Constanza będą się czuli nieswojo - zauważył Bill.

* * *

Constanza i Signora były już ubrane, gotowe do zejścia na śniadanie.

Wyczuwało się pewne napięcie, jakby chciały sobie coś powiedzieć.

409

- Constanza?

- Si, Signora?

- Czy mogłaby pani robić notatki podczas wykładu Aidana? Nie będzie mnie i bardzo mi przykro z tego powodu. Aidan też jest zmartwiony. Tyle włożył starań, tak się przygotowywał - powiedziała ze smutkiem.

- Nie może pani przyjść?

- Niestety.

- Jestem pewna, że zrozumie, ale oczywiście, będę słuchała uważnie i wszystko pani przekażę. - Przerwała na chwilę. - I jeszcze jedno, Signora.

- Si, Constanza?

- Chodzi o to, że... Czy słyszała pani kiedykolwiek, żeby ktoś w grupie źle się o mnie wyrażał, mówił z pogardą, że może stracił pieniądze przez mojego męża czy coś w tym

rodzaju?

- Nie, nigdy! Nic takiego nie słyszałam. Dlaczego pani pyta?

- Ktoś przesłał mi okropną wiadomość. Może to dowcip, ale się zdenerwowałam.

- Co w niej było? Proszę mi powiedzieć.

Connie pokazała jej kartkę. Oczy Signory zaszyły łzami.

- Kiedy to się stało?

- Ktoś zostawił ją w recepcji wczoraj wieczorem, zanim wyszliśmy. Nikt nie wie, kto to był. Pytałam, ale państwo Buona Sera nie mają pojęcia.

- To nie może być nikt z grupy. Jestem pewna.

- Ale kto jeszcze wie, że pojechaliśmy do Rzymu? Signora przypomniała sobie słowa Aidana.

- Aidan mówił mi, że jakaś zwariowana kobieta dopytywała się o naszą wycieczkę w Dublinie. A dokładnie o hotel, w którym się zatrzymamy.

Może to ma coś z tym wspólnego?

- Trudno w to uwierzyć.
- Ale na pewno łatwiej, niż podejrzewać, że to ktoś z naszej grupy.
- Dlaczego ja? Dlaczego teraz, w Rzymie?
- Czy ktoś może żywi do pani urazę?
- Setki osób, w związku z tym, co zrobił Harry, ale on siedzi w więzieniu.

410

- Jakiś wariat, osoba chora psychicznie?
- Nic o tym nie wiem. - Connie potrząsnęła głową. Nie powinna dłużej zawracać głowy Signorze i jej denerwować. - Będę na siebie uważała i chodziła z dala od jezdni. Zrobię notatki, Signora. Obiecuję, że nic mi nie umknie, poczuje się pani, jakby pani na nim była.

* * *

- Mam nadzieję Alfredo, że to coś naprawdę ważnego. Nawet nie wiesz, jak bardzo kogoś zasmuciłam.
- Wykłady nie uciekną, Signora.
- Ten był wyjątkowy. Kosztował wiele pracy. Więc o co chodzi?

Zrobił im kawy i usiadł obok.

- Signora, mam do pani wielką prośbę.

Patrzyła na niego z bólem serca. Chciał pieniędzy. Skąd mógł wiedzieć, że ona nic nie ma. Dosłownie nic. Gdy wróci do Dublina, zostanie bez grosza. Będzie musiała prosić Sullivanów, żeby jej pozwolili mieszkać na kredyt, do czasu rozpoczęcia zajęć we wrześniu, kiedy dostanie wypłatę.

Wszystkie pieniądze wymieniła na liry, by móc opłacić tę podróż. Skąd ten chłopiec z małej wioski, pracujący jako kelner w obskurnej restauracji w Rzymie, miałby o tym wiedzieć? Postrzegął ją jako kobietę odpowiedzialną za czterdzieści dwie osoby, kogoś ważnego, mającego władzę.

- To może okazać się trudne. Nie wiesz o wielu rzeczach - zaczęła.
- Wiem wszystko, Signora. Wiem, że ojciec panią kochał, a pani jego.

Wiem, że siadywała pani w oknie szyjąc i patrzyła, jak dorastamy. Wiem, jak godnie pani postąpiła wobec mojej matki. Chociaż nie chciała pani wyjeżdżać, zrobiła to pani, gdy matka i wujkowie o to poprosili.

- Wiedziałaś o tym? - spytała cicho.

- Tak, wszyscy wiedzieliśmy. -Od kiedy?

- Odkąd pamiętam.

- Trudno mi to pojąć. Myślałam... cóż, nie ma znaczenia, co myślałam.

- Bardzo przeżyliśmy pani wyjazd.

411

Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Naprawdę?

- Tak, wszyscy. Tak bardzo nam pani pomogła.

- Skąd wiesz?

- Ojciec godził się na rzeczy, którym z początku był przeciwny. Ślub Marii, sklep w Annunziata, wyjazd brata do Ameryki. To wszystko dzięki pani.

- Ależ nie. On was kochał, pragnął tylko waszego dobra. Czasami po prostu rozmawialiśmy o jego problemach. To wszystko.

- Próbowaliśmy panią odnaleźć, gdy matka zmarła. Chcieliśmy do pani napisać. Ale nawet nie znaleźliśmy imienia.

- Jesteście dla mnie zbyt dobrzy.

- A teraz Bóg zsyła panią tutaj. Wierzę, że to palec Boży. - Milczała. -

Mogę już wyrazić moją wielką prośbę? - Zacisnęła ręce na krawędzi stołu.

Dlaczego nie ma pieniędzy? Większość kobiet w jej wieku ma, choćby niewielką sumę. Ale sprawy materialne dla niej nie istniały. Gdyby mogła coś sprzedać... chłopiec musi być zdesperowany, jeśli zwrócił się do niej...

- Pragnąłbym...

- Tak, Alfredo?

- Pani się domyśla?

- Mów, Alfredo, zrobię, co będę mogła.

- Chcemy, żeby pani wróciła. Wróciła do domu, tam, gdzie jest pani miejsce.

* * *

Constanza nie jadła śniadania. Poszła na zakupy. Kupiła tak upragnione miękkie buty i jedwabną apaszkę dla Signory. Odcięła metkę, żeby Elizabetta przypadkowo nie przeczytała nazwiska projektanta i nie zaczęła rozpowiadać o wysokiej cenie. Potem wróciła, by dołączyć do grupy udającej się do Forum.

* * *

Wszyscy byli zachwyceni wykładem. Luigi twierdził, że widział w wyobraźni biednych chrześcijan prowadzonych do Koloseum. Pan Dunne zapewnił, że wystąpienie nie potrwa długo,

412

jest przecież tylko starzejącym się nauczycielem łaciny. Po zakończeniu rozległa się burza oklasków i prośby o ciąg dalszy. Uśmiechał się zaskoczony. Odpowiadał na pytania, co pewien czas spoglądał na Constanzę, która krążyła wokół niego z aparatem fotograficznym, ale nie zrobiła chyba ani jednego zdjęcia.

* * *

Podzielili się na małe grupki i rozeszli na lunch. Connie Kane obserwowała Aidana Dunne'a. Nie zabrał ze sobą kanapek, usiadł przy ścianie i wpatrywał się bezmyślnie gdzieś w dal. Wyjaśnił wycieczkę drogę powrotną do hotelu. Upewnił się, że Laddym zajmie się Bartolomeo i jego wesoła przyjaciółka Fiona. Siedział sam. Osoba, dla której przygotował ten wykład, nie przyszła.

Connie zastanawiała się, czy do niego podejść. Ale nie umiała znaleźć słów pocieszenia. Poszła więc do restauracji i zamówiła rybę z grilla i wino. Przyjemnie móc tak sobie usiąść i zamówić jakieś danie. Ale ledwo je tknęła. Kto mógł przyjechać za nią do Rzymu, żeby ją przestraszyć?

Czy Harry kogoś nasłał? Była zbyt przerażona, aby myśleć. Policja włoska by ją wyśmiała. Żaden detektyw w Irlandii też nie potraktowałby jej poważnie. Anonimowy list w hotelu w Rzymie? Absurdalne. Ale wracając do hotelu trzymała się z dala od jezdni.

Z trwogą spytała w recepcji, czy nie ma dla niej jakiejś wiadomości.

- Nie, signora Kane. Nic nie przyszło.

Barry i Fiona udali się do baru, w którym Barry podczas mistrzostw świata spotkał wspaniałych Włochów. Miał zdjęcia z tamtego lata, flagi, chorągiewki i kapelusze Jacka Charltona.

- Napisałeś do nich, że przyjeżdżasz? - spytała Fiona.

- Nie, po co? Po prostu przychodzisz i już. Zawsze tu są.

- Co wieczór?

- No, nie, ale bardzo często.

- Przypuśćmy, że oni przyjechaliby do Dublina do baru, w którym bywasz, ale by cię nie zastali. Nie masz ich nazwisk czy adresów?

413

- Nazwiska i adresy nie są tu ważne.

Fiona miała nadzieję, że Barry się nie myli. Przywiązywał ogromną wagę do tego spotkania, ponownego przeżycia tamtych dni chwały. Rozczaruje się bardzo, jeśli nikt się nie pojawi, albo jeśli, co gorsza, nie będą go wcale pamiętali.

* * *

Wieczór mieli wolny. Normalnie Connie poszłaby z Fran i Kathy obejrzeć wystawy i napić się kawy w ulicznej kafejce. Ale bała się wychodzić po nocy, gdyby ktoś rzeczywiście czyhał na jej życie i chciał wepchnąć ją pod samochód.

Normalnie Signora i Aidan poszliby razem na kolację i zaplanowali wycieczkę do Watykanu na następny dzień. Ale on czuł się dotknięty i samotny, a ona musiała pobyc w samotności, by przemyśleć propozycję, którą otrzymała.

Prosili ją, by wróciła i pomogła w prowadzeniu hotelu, w przyciągnięciu angielskich wycieczek, by stała się częścią życia, za którym tak długo tęskniła. Te lata spędzone na patrzeniu i czekaniu nabrałyby wreszcie sensu. Miałyby przed sobą przyszłość, która łączyłaby ją z przeszłością.

Alfredo błagał ją, by wróciła. Na początek choćby krótkie odwiedziny, żeby zaznajomić się z sytuacją. Zrozumiałaby, ile może im ofiarować i jak bardzo ją podziwiają. Więc Signora siedziała sama w kawiarni myśląc intensywnie.

Kilka ulic dalej Aidan Dunne zastanawiał się, co dobrego wynikło z tej wycieczki. Udało mu się stworzyć klasę, która nie tylko, że została w tym samym składzie przez rok, ale pojechała na wycieczkę do Rzymu. To by się nigdy nie stało, gdyby nie on. Zaszczepił w nich miłość do Włoch. Nikt nie nudził się na dzisiejszym wykładzie. Zrealizował wszystkie swoje plany. To był rok zwycięstwa. Powinien oczywiście wsłuchać się w drugi głos, który mu mówił, że to także dzieło Nory. To ona budziła tyle szczerego entuzjazmu swoimi śmiesznymi pomysłami, pudłami służącymi za szpitale, stacje kolejowe i restauracje. To ona wymyśliła dla nich włoskie imiona i wierzyła, że wyruszą na viaggio. Wróciła do Włoch i niestety magia tego kraju okazała się zbyt silna.

414

Powiedziała mu, że ma do załatwienia ważne sprawy. Jakie mogła mieć sprawy z kelnerem z Sycylii, nawet jeśli znała go jako chłopca?

Bezwiednie zamówił trzecie piwo. Patrzył na ludzi spacerujących w gorącej rzymskiej nocy. Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny.

Kathy i Fran postanowiły wybrać się na spacer i dojść aż do Piazza Navona, gdzie byli pierwszego dnia. Czy Laddy chciałby pójść z nimi?

Laddy spojrział na plan. Będą przechodzić obok miejsca, gdzie mieszkają państwo Garaldi.

- Nie możemy tam wejść, ale pokażę wam, który to dom - powiedział.

Gdy Fran i Kathy zobaczyły willę, zaniemówiły z wrażenia.

- Nie wierzę, że tutaj przyjdziemy na przyjęcie! - zawołała Kathy.

- Giovedi - oświadczył dumnie Laddy. - Czwartek. Zaprosił nas wszystkich, czterdzieści dwie osoby. Tłumaczyłem, że to quarantadue, ale odrzekł si, si, benissimo.

To jeszcze jedna z niezwykłych rzeczy, które spotykały je na tej wycieczce.

* * *

Connie czekała przez jakiś czas na powrót Signory. Chciała wręczyć jej prezent i opowiedzieć o wykładzie. Jednak zrobiło się ciemno, a ona się nie pojawiła. Zza okna dochodził gwar rozmów, okrzyki wołających do siebie ludzi, dalekie odgłosy samochodów i pobrzękiwania sztućców w pobliskiej restauracji. Connie nie pozwoli, by ktoś zmuszał ją do ukrywania się, ktoś podły i tchórzliwy. Ktokolwiek to był, nie zabije jej przecież na środku ulicy w tłumie ludzi. Nawet jeśli był to ktoś wysłany przez Harry'ego.

- Do diabła z nim. Jeśli zostanę dzisiaj w pokoju, on wygra - powiedziała głośno. Poszła do pobliskiej pizzerii. Nie zauważyła osoby, która ją śledziła od opuszczenia hotelu Francobollo.

415

* * *

Lou i Suzi znajdowali się po drugiej stronie rzeki na Trastevere. Razem z Billem i Lizą przeszli cały plac dokoła, ale, jak ostrzegąca Signora, restauracje były dla nich za drogie. Czyż to nie wspaniałe mówić o piatto del giorno i posługiwać się liram, zamiast przekładać wszystko na funty?

- Trzeba było zostawić trochę kanapek ze śniadania -zauważyła smutno Liza.

- Nie możemy przekroczyć progu tej restauracji - rzekła filozoficznie Suzi.

- To niesprawiedliwe - wtrącił Lou. - Większość ludzi ma różne okazje szybkiego zarobku, dostaje szansę. Wiercie mi, wiem...

- Jasne, Lou, ale to już nie ma znaczenia. - Suzi nie chciała wyciągać na światło dzienne jego niechlubnej przeszłości. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale Lou często z rozmarzeniem sugerował, że ich życie mogło być łatwiejsze, gdyby Suzi nie podchodziła do sprawy tak poważnie.

- Jak na przykład kradzież kart kredytowych? - zainteresował się Bill.

- Nie, nic takiego. Chodzi mi o wyświadczenie komuś przysług. Coś dla kogoś robisz, a on ci w zamian stawia obiad. Jeśli jesteś bardzo uczynny, wtedy dostajesz wiele obiadów albo samochód. To proste.

- Musiałbyś się naprawdę postarać, by w zamian otrzymać samochód -

zauważyła Liza.

- I tak, i nie. Nie chodzi tyle o wielkość pomocy, ile o zaufanie i solidność.

Sądzę, że tego oczekuje się od osoby oddającej przysługę.

Kiwnęli głowami zadziwieni. Suzi czasami wpatrywała się w swój ogromny zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem. Tylu ludzi było przekonanych o jego autentyczności, że zaczęła w to wierzyć.

Najwyraźniej Bill oddał komuś wielką przysługę. Znalazłaby sposób, żeby sprawdzić, czy pierścionek jest fałszywy, na przykład dałaby go do wyceny. Jednak postąpiła mądrzej, jeśli cała sprawa pozostanie osłonięta mgłą tajemnicy.

- Szkoda, że nikt nie może nas poprosić o przysługę - powiedziała Liza patrząc w kierunku restauracji, gdzie muzycy 416

krążyli między stolikami, a sprzedawcy kwiatów zachwalali róże o długich łodygach.

- Zawsze miej oczy otwarte, Elizabetta - zaśmiał się Lou.

W tym momencie od stolika przy ulicy poderwały się dwie osoby, kobieta uderzyła w twarz mężczyznę, który wyrwał jej torebkę. Złodziej przeskoczył przez mały żywopłot okalający plac przed restauracją.

W dwie sekundy Lou był przy nim. Wykręcił mu boleśnie rękę, a drugą, w której złodziej trzymał torebkę, podniósł wysoko do góry, by wszyscy widzieli, i poprowadził go do właścicielki skradzionej rzeczy.

Zacząto żywo dyskutować o zajście, snuto najprzeróżniejsze domysły, pojawił się samochód carabinieri. Spowodowało to okropne zamieszanie. Większość nie dowie się nigdy, co się naprawdę stało.

Amerykanie myśleli, że jakaś kobieta poderwała żigolaka. Jacyś Anglicy twierdzili, że to był przyjaciel kobiety, narkoman, w trakcie leczenia odwykowego. Małżeństwo Francuzów uważało, że to tylko sprzeczka kochanków, ale mężczyzna powinien zostać odwieziony na komisariat.

Lou i jego przyjaciele zostali bohaterami dnia. Kobieta zaproponowała im nagrodę. Lou bez namysłu poprosił o zaproszenie na obiad dla czterech osób. Zadowolilo to w zupełności obie strony.

- Con vino, se e possibile? - zapytał Lou.

Upili się prawie do nieprzytomności i musieli zamówić taksówkę.

- Niigddy jeście taak dobrze się nnie bawiłam - wybełkotała Liza. Dwa razy osuwała się na ziemię, zanim udało się jej wejść do taksówki.

- Wystarczy tylko dobrze wykorzystać okazję - skwitował Lou.

* * *

Connie rozejrzała się po placu. Zauważyła głównie młodych ludzi w wieku swych dzieci. Rozmawiali z ożywieniem i śmiali się. Bardzo radośni i tacy nieświadomi. Może to ostatnie miejsce, które zobaczy w swoim życiu? Może groźby

417

były prawdziwe i ktoś rzeczywiście ją śledzi, pragnąc jej śmierci? Ale to niemożliwe, by zaatakował na oczach tylu ludzi. W takim razie, jak inaczej wytłumaczyć list, który otrzymała? Wciąż miała go w kieszeni. A może powinna zostawić go na policji, dołączając wyjaśnienie, że obawia się zemsty Harry'ego albo jego towarzyszy, jak ich zawsze nazywała. Ale to czyste szaleństwo! A może chciał, by oszalała? Connie widziała tona filmach. Nie pozwoli, żeby ją to spotkało. Zobaczyła cień na stole i spojrzała w górę myśląc, że to kelnerka albo ktoś szukający krzesła. Ale jej oczy spotkały się z oczami Siobhan Casey, wieloletniej kochanki jej męża, kobiety, która pomagała Harry'emu w wyłudzeniu ogromnych sum pieniędzy.

Wyglądała na dużo starszą. Twarz miała zmęczoną, pokrytą zmarszczkami.

Jasne oczy błyszczały dziko. Connie poczuła strach. Zaszło jej w gardle.

Nie mogła wymówić słowa.

- Wciąż samotna - prychnęła z pogardą Siobhan. Connie milczała. - Bez względu na to, w jakim znajdziesz się mieście i z iloma próżniakami będziesz podróżowała, zawsze skończysz siedząc samotnie - zaśmiała się chrapliwie.

Connie z całych sił starała się opanować. Nie może okazać strachu. Lata udawania, że życie toczy się normalnie, czegoś ją nauczyły.

- Już nie jestem sama - odparła i popchnęła krzesło w kierunku Siobhan.

Twarz Siobhan zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Jak zawsze wielka dama, ale bez żadnych atutów w ręku, żadnych! -

krzyknęła nagle z wściekłością. Ludzie spojrzeli w ich kierunku, oczekując awantury.

Connie mówiła niskim, cichym głosem.

- Otoczenie, jak sama widzisz, niewiele ma wspólnego z wielkim światem.

- Próbowwała opanować drżenie głosu.

- Tak, ale to jedna z ról miłościwej księżnej. Nie masz prawdziwych przyjaciół, więc szukasz sobie grupki desperatów, i jeździsz z nimi na tanie wycieczki. Ale nawet oni cię nie chcą. Pozostaniesz na zawsze sama, uświadom to sobie.

Connie odetchnęła. Może jednak Siobhan Casey nie przygotowywała na nią morderczego zamachu. Nie mówiłaby

418

o jej smutnej, samotnej przyszłości, gdyby zamierzała ją zabić. Nabrała odwagi.

- To dla mnie nic nowego. Czyż nie byłam sama przez całe lata?

Siobhan spojrzała na nią zdziwiona.

- Bardzo jesteś opanowana, co?

- Nie, wcale nie.

- Wiedziałaś, że ten list był ode mnie? - spytała Siobhan. Jest rozczarowana czy ucieszona, że napędziła Connie tyle strachu? Oczy iskrzyły jej się groźnie. Jak się zachować, zastanawiała się Connie. Czy lepiej przyznać, że niczego się nie domyślała, czy też oświadczyć Siobhan, że przejrzała ją od samego początku. Przeżyła koszmar próbując zgadnąć, które rozwiązanie jest bardziej korzystne.

- Tak mi się wydawało, nie byłam pewna. - Sama się zdziwiła, jak może mówić z takim spokojem.

- Dlaczego właśnie ja?

- Jesteś jedyną osobą, której naprawdę zależało na Harrym i która mogła to napisać.

Nastąpiła cisza. Siobhan stała oparta o poręcz krzesła. Ludzie wokół znów zajęli się sobą, śmiali się i rozmawiali zapominając o dwóch kobietach, które najwyraźniej nie zamierzały zrobić sceny. Nie było się czym ekscytować. Connie nie poprosi jej, by usiadła. Nie będzie udawała, że wszystko wróciło do normy i że mogą rozmawiać jak normalni ludzie.

Siobhan Casey groziła jej śmiercią, to chora kobieta.

- On nigdy ciebie naprawdę nie kochał, wiesz o tym? - rzekła Siobhan.

- Myślę, że kochał, na początku, zanim się dowiedział, że seks nie sprawia mi przyjemności.

- Przyjemności! - prychnęła Siobhan. - Mówił, że byłaś żalosna, leżałaś przerażona i nieruchoma skamłając jak pies. Tego słowa użył: „żałosna”.

Oczy Connie zwięziły się w szparki. To była nielojalność w najgorszym stylu. Harry przecież wiedział, jak bardzo się starała, jak bardzo pragnęła dla niego tej miłości. To okrutne, że opowiadał tej kobiecie wszystkie szczegóły.

- Próbowałam coś z tym zrobić.

419

- Och tak?

- Kosztowało mnie to dużo nerwów, stresu i bólu i na nic się nie zdało.

- I co, okazało się, że jesteś lesbijką? - Siobhan chwiała się patrząc szyderczo, zlepione w strąki włosy zasłaniały jej twarz. Trudno było dopatrzeć się w niej przedsiębiorczej sekretarki, panny Casey z dawnych lat.

- Nie sędzę, żeby to był powód.

- Więc co? - zainteresowała się Siobhan jakby wbrew sobie.

- Twierdzili, że nie ufam mężczyznom z powodu zawodu, jakiego doznałam od swojego ojca, który przegrał wszystkie pieniądze.

- Gówno prawda! - mruknęła Siobhan.

- Też tak powiedziałam. Może w nieco uprzejmiejszej formie, ale sens był

ten sam - rzekła Connie, próbując się uśmiechnąć.

Siobhan niespodziewanie odsunęła krzesło i usiadła. Connie z całą jaskrawością zobaczyła spustoszenie, jakiego ostatnie miesiące dokonały na jej twarzy. Poplamiona bluzka, niechlujnie założona spódnica, brudne i pogryzione paznokcie. Wykrzywiona, pozbawiona makijażu twarz. Była o kilka lat młodsza od Connie, ale wyglądała na dużo starszą.

Czy to prawda, że Harry z nią zerwał? Czy to jest przyczyna jej szaleństwa? Siobhan chwyciła nóż i widelec i obracała je w palcach.

Connie zaniepokoiła się. Wciąż wisiało nad nią niebezpieczeństwo.

- Patrząc wstecz myślę, że to były zmarnowane lata. Powinien ożenić się z tobą - odezwała się.

- Nie mam klasy, nie reprezentowałabym go w odpowiedni sposób -

skrzywiła się Siobhan.

- To była tylko częśćka jego życia, i to nieprawdziwa. On praktycznie żył z tobą. - Connie liczyła, że wybrała dobrą taktykę. Pochlebiać jej, wmawiać, że była ośrodkiem życia Harry'ego. Niech nie rozpamiętuje tamtych lat, nie rozpacza, że wszystko skończone.

- Nie zaznał miłości w domu, więc musiał jej szukać gdzie indziej, to jasne

- rzekła Siobhan. Zaczęła popijać chianti z kieliszka Connie.

420

Connie spojrzeniem i niezauważalnym gestem ręki dała znać kelnerowi, by przyniósł drugi kieliszek i wino. Coś w jej zachowaniu sprawiło, że zrezygnował ze zwyczajowego żartobliwego komentarza, w milczeniu postawił butelkę na stole i od razu odszedł.

- Kochałam go przez długi czas - wyznała Connie.

- W ciekawy sposób to okazywałaś, zabierając mu pieniądze i posyłając do więzienia.

- Wtedy już go nie kochałam.

- Ja nigdy nie przestałam.

- Wiem. I chociaż ty tak bardzo mnie nienawidzisz, ja nie czuję do ciebie nienawiści.

- Ach tak?

- Rozumiałam, że cię potrzebował, i pewnie nadal potrzebuje.

- Już nie, dzięki tobie. Kiedy wyjdzie z więzienia, uda się do Anglii. To twoja wina. To przez ciebie nie może już mieszkać w swoim kraju! - Na twarz Siobhan wystąpiły plamy.

- Jak się domyślam, pojedziesz z nim.

- Źle myślisz - prychnęła z sarkazmem i obłudą w oczach.

Connie musiała wyjaśnić całą sprawę dokładnie. To było niezwykle istotne.

- Byłam o ciebie zazdrosna, ale nie nienawidziłam cię. Ty ofiarowałaś mi wszystko, odpowiednią miłość, lojalność, wsparcie w sprawach zawodowych. Większość czasu spędzałam z tobą, na litość boską, dlaczego miałam nie być zazdrosna?! - Siobhan słuchała z zainteresowaniem. - Ale nie nienawidziłam cię, wierz mi.

- Pewnie się cieszyłaś, że ma tylko mnie i nie ugania się za innymi kobietami, czyż nie tak?

Connie musiała teraz bardzo uważać na to, co mówi. Od tego mogło wiele zależeć. Spojrzała na zniszczoną twarz Siobhan Casey, która kochała Harry'ego Kane'a i nigdy nie przestanie go kochać. Czy to możliwe, że Siobhan, która była tak blisko niego, nie wiedziała o dziewczynie z lotniska i

właścicielce małego hotelu w Galway, czy żonie jednego z inwestorów? Przyjrzała się uważnie kobiecie siedzącej 421

naprzeciw. Najwyraźniej Siobhan Casey wierzyła, że była jedyną kobietą w życiu Harry'ego Kane'a. Connie ostrożnie dobierała słowa.

- Może masz rację, to byłoby poniżające dla mnie, gdyby spotykał się z wieloma kobietami, ale chociaż nie byłam tym zachwycona... czułam, że łączy was coś wyjątkowego. Jak mówiłam, powinien ożenić się z tobą.

Siobhan słuchała i zaczęła coś rozważać. Oczy jej się zwięzły, głos miała zdławiony.

- Gdy zdałaś sobie sprawę, że to ja napisałam tę kartkę i że cię śledzę, nie bałaś się?

Connie wciąż była przerażona.

- Pomyślałam sobie, że bez względu na trudności, które były, a może jeszcze są, jesteś jedyną osobą, która liczyła się dla Harry'ego, i doskonale o tym wiesz. - Siobhan słuchała. - I naturalnie zabezpieczyłam się na wypadek, gdybyś chciała mi wyrządzić jakąś krzywdę.

-Co?

- Napisałam do mojego adwokata list, który ma zostać otwarty w przypadku mojej nagłej śmierci w Rzymie albo gdziekolwiek indziej.

Załączyłam też kopię twojej kartki i zaznaczyłam, że podejrzewam ciebie.

Siobhan pokiwała głową jakby z podziwem. Connie przez chwilę miała nadzieję, że może ona nie jest wariatką. Ale nie, w jej oczach wciąż dostrzegała błysk szaleństwa. Jeszcze nie nadszedł czas, by się i porozmawiać jak kobieta z kobietą, pomóc jej wziąć się w garść, zachęcić, by poprawiła swój wygląd, przygotowała dla Harry'ego dom w Anglii i tam na niego czekała. Connie nie wątpiła, że są jeszcze pieniądze, do których nie dotarli inspektorzy. Ale nie zamierzała urządzać życia Siobhan Casey. Nogi miała jak z waty. Udało się jej zachować spokój i opanowanie w obliczu śmiertelnego zagrożenia, ale nie była pewna, ile jeszcze potrafi znieść. Pragnęła już znaleźć się w bezpiecznym otoczeniu hotelu Francobollo.

- Nic ci nie zrobię - powiedziała Siobhan cicho i powoli.

- Byłoby źle, gdybyś znalazła się w więzieniu w momencie, gdy Harry je opuszcza - rzekła swobodnie Connie, jakby mówiła o kupowaniu prezentów.

422

- Gdzie się nauczyłaś być taka wyrachowana i spokojna? - spytała Siobhan.

- Lata, cholernie długie lata samotności - odparła Connie. Ukradkiem otarła niespodziewaną łzę i podeszła do kelnera uregulować rachunek.

- Grazie, tan te Grazie, Signora - podziękował.

Signora! Na pewno już wróciła i Connie będzie mogła wręczyć jej niespodziankę. Ten świat był o wiele bardziej realny niż świat tamtej smutnej kobiety siedzącej w pizzerii, wieloletniej kochanki jej męża, która przybyła do Rzymu, by ją zabić. Connie rzuciła szybkie spojrzenie na Siobhan Casey, ale nie pożegnała się z nią. Nie było nic więcej do powiedzenia.

W barze, do którego weszli Barry i Fiona w poszukiwaniu przyjaciół z mistrzostw świata, było gwaro.

- W tym kącie siedzieliśmy - oznajmił Barry.

Grupy młodych ludzi zebrały się wokół olbrzymiego telewizora ustawionego na honorowym miejscu. Trwał mecz. Wszyscy byli przeciw Juventusowi. Nieważne z kim grał Juventus, kibicowali przeciw niemu.

Mecz się zaczął i pochłonął Barry'ego do tego stopnia, że zapomniał o swej towarzyszce. Fiona także patrzyła rozgorączkowana i krzyczała wściekła, gdy sędzia podjął decyzję wbrew oczekiwaniom kibiców.

- Lubi pani piłkę nożną? - zagadnął ją jakiś mężczyzna. Barry natychmiast objął Fionę ramieniem.

- Nie wszystko rozumie. Kiedy odbywały się mistrzostwa świata byłem właśnie w tym barze. Irlandia!

- Irlandia! - zawołał zachwycony kibic. Barry wyjął zdjęcia przedstawiające szczęśliwych, krzyczących ludzi. Wyglądało to tak jak teraz, tylko więcej było flag i dekoracji. Mężczyzna przedstawił się jako Gino i pokazał zdjęcia innym, którzy podeszli do Barry'ego i klepali go przyjaźnie po plecach. Przywitali się. Przypomniano nazwiska piłkarzy.

Paul McGrath, Cascarino, Houghton, Charlton. Zaczęto 423

mówić o klubie A.C. Milan i rozmowa się ożywiła. Popłynęło piwo.

Fiona straciła wątek rozmowy i rozbolała ją głowa.

- Jeśli mnie kochasz, Barry, pozwól mi wrócić do hotelu. Idzie się prosto Via Giovanni, a potem skręca w lewo.

- No, nie wiem.

- Proszę, Barry. Nie żądam wiele.

- Barry, Barry! - wołali przyjaciele.

- Dobrze, ale uważaj na siebie.

- Zostawię klucz w drzwiach - rzuciła i przesłała mu całusa.

Na ulicy czuła się bezpiecznie jak w rodzinnym Dublinie. Szła rześko w stronę hotelu, ciesząc się, że Barry znalazł przyjaciół. Z początku odnosili się do siebie chłodno, zdawali się nie pamiętać imion. Ale może tacy właśnie są mężczyźni. Fiona patrzyła na kolorowe kwiaty w doniczkach, stojące na parapetach. Ich barwy wydawały się żywsze niż w Dublinie.

Oczywiście to sprawa klimatu. Mając takie słońce można zrobić wszystko.

Przechodząc koło baru zauważyła siedzącego samotnie pana Dunne'a, ze szklanką piwa na stoliku. Twarz miał smutną, wzrok utkwiony gdzieś w dal. Pod wpływem impulsu weszła do środka.

- Panie Dunne, widzę, że pan też został sam. Można?

- Fiona! - Z trudem wrócił do rzeczywistości. - A gdzie Bartolomeo?

- Ze swoimi przyjaciółmi od piłki nożnej. Rozboliła mnie głowa i postanowiłam wrócić do domu.

- Spotkał ich! To cudowne! - Pan Dunne uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Tak, jest w swoim żywiole. Czy pan dobrze się bawi?

- O tak, bardzo - odparł, ale jego głos zabrzmiał głucho.

- Nie powinien pan być teraz sam. Zorganizowaliście to razem z Signorą.

Gdzie ona jest właściwie?

- Spotkała znajomych z Sycylii, gdzie kiedyś mieszkała - powiedział z goryczą.

- To miłe.

- Dla niej na pewno, spędza z nimi wieczór.

- To tylko jeden wieczór, panie Dunne.

424

- Może jeden. - Mówił jak obrażone dziecko.

Fiona przyjrzała mu się uważnie. Wiedziała o tylu rzeczach. Na przykład o żonie pana Dunne'a, Neli, która miała romans z ojcem Barry'ego.

Wszystko już skończone, ale zdezorientowana pani Dunne, która nie miała pojęcia, że zerwanie było sprawką Fiony, będzie z pewnością słała listy i wydzwaniała, żądając wyjaśnień. Fiona dowiedziała się od Grani i Brigid, że ich ojciec jest nieszczęśliwy, że chowa się w swoim małym włoskim gabinecie i rzadko z niego wychodzi. Wiedziała, podobnie jak wszyscy na viaggio, że jest zakochany

w Signorze. Rozwody w Irlandii są już możliwe.

Przypomniała sobie dawną Fionę, nieśmiałą Fionę, która nigdy się nie wtrącała, zostawiając sprawy ich biegowi. Ale nowa Fiona, jej szczęśliwa odmiana, agresywnie wkraczała w życie innych. Wzięła głęboki oddech.

- Signora powiedziała mi kiedyś, że spełnił pan jej najskrytsze marzenia.

Nigdy nie czuła się tak ważna, aż do momentu, gdy otrzymała tę pracę.

Pan Dunne nie zareagował tak, jak tego oczekiwała.

- To było zanim spotkała przyjaciół z Sycylii.

- Dzisiaj podczas lunchu też o tym mówiła - skłamała Fiona.

- Naprawdę? - ucieszył się jak dziecko.

- Panie Dunne, czy mogę być z panem szczerą? Zachowa pan to w najgłębszej tajemnicy?

- Oczywiście, Fiono.

- I nie powtórzy pan tego nikomu, zwłaszcza Grani i Brigid?

- Jasne.

Fionie zrobiło się słabo.

- Chyba muszę się czegoś napić - oświadczyła.

- Kawy czy wody?

- Chyba brandy.

- Jeśli to ma być takie okropne, to ja też się napiję - powiedział Aidan Dunne i bez namysłu skinął na kelnera.

- Jak pan wie, nie ma tu z panem pańskiej żony.

- Zauważyłem.

- Zdarzyło się coś bardzo przykrego. Wie pan... ona bardzo zaprzyjaźniła się z ojcem Barry'ego, właściwie nawet

425

więcej niż zaprzyjaźniła. Matka Barry'ego bardzo to przeżyła, bardzo.

Próbowała się zabić.

- Co?! - spytał zdumiony Aidan Dunne.

- W każdym razie to już przeszłość, od czasu festy w Mountainview. Jeśli pan pamięta, pani Dunne w pośpiechu opuściła przyjęcie. Matka Barry'ego odzyskała radość życia i jego ojciec już nie przyjaźni się z panią Dunne.

- Nie wierzę, Fiono.

- Niestety to prawda, ale obiecał pan nikomu nie mówić.

- To nonsens.

- Szczera prawda. Może pan spytać żonę po powrocie. Jej jednej może pan o tym powiedzieć. Ale może lepiej nie wracać do tematu. Barry o niczym nie wie, ani Grania i Brigid. Nie ma sensu ich denerwować. - Fiona w wielkich okularach, w których odbijały się światła baru, patrzyła na niego z taką szczerością, że nie sposób było jej nie wierzyć.

- Więc dlaczego mówisz mi o tym wszystkim, jeśli nie chcesz sprawić nikomu przykrości?

- Ponieważ... ponieważ chcę, żebyście pan i Signora, byli szczęśliwi. Nie chciałam, by się pan zdręczał, że oszukuje żonę. Chyba po prostu chciałam panu uświadomić, że zło już się stało. - Przerwała nagle.

- Jesteś niezwykła - powiedział tylko i zapłacił rachunek. Wracali do hotelu w milczeniu. W hallu podał jej oficjalnie rękę. - Niezwykła -

powtórzył.

Poszedł na górę, gdzie Laddy przygotowywał na dzień następny pamiątki do poświęcenia przez papieża podczas spotkania z papieżem w bazylice świętego Piotra. Aidan zakrył ręką usta. Kompletnie o tym zapomniał.

Laddy siedział w przedpokoju i liczył różańce. Wcześniej wyczyścił buty dla państwa Buona Sera, którzy nie za bardzo wiedzieli, jakie dać mu jeszcze zadanie.

- Domani mercoledì noi vedremo u Papa! - zawołał radośnie.

W swoim pokoju Lou przyznał się Suzi, że chciałby się z nią kochać, ale obawia się, że jego występ może nie spełnić jej oczekiwań.

- Trochę za dużo alkoholu - wyjaśnił.

426

- Nie szkodzi, musimy mieć siły na jutrzejszą wizytę u papieża - odparła Suzi.

- Boże, zapomniałem o tej przeklętej audiencji - rzekł Lou i po chwili już spał.

* * *

Bill Burkę i Liza zasnęli na łóżku w ubraniach. Obudzili się zmarznięci o piątej nad ranem.

- Mam nadzieję, że dzisiaj będzie spokojny dzień - powiedział Bill.

- Po audiencji papieskiej będziemy chyba wolni. - Rozsadzało jej głowę z bólu.

* * *

Barry przewrócił się wpadając na krzesło. Fiona poderwała się przestraszona.

- Zapomniałem, gdzie mieszkamy - tłumaczył się.

- Barry, droga była zupełnie prosta.

- Chodzi mi o pokój w hotelu. Chodziłem od drzwi do drzwi.

- Ale się upiłeś - zauważyła ze współczuciem. - Przyjemnie spędziłeś czas?

- Tak, ale wszystko to jest bardzo dziwne.

- Nie wątpię, napij się trochę wody.

- Będę biegał w nocy do łazienki.

- Po wypiciu tyle piwa i tak będziesz biegał.

- A ty jak dotarłaś do hotelu?

- Jak mówiłam droga była prosta. Pij.

- Spotkałaś kogoś?

- Tylko pana Dunne'a w pobliskiej kafejce.

- Dzisiaj śpi z Signorą - oznajmił z dumą.

- To niemożliwe. Skąd wiesz?

- Gdy przechodziłem obok jej drzwi, słyszałem ich rozmowę.

- Co mówił?

- O świątyni Marsa „Mściciela”.

- O tej z wykładu?

-Dokładnie to samo. Wydaje mi się, że powtarzał jej wykład.

427

- Boże! Czyż to nie dziwne?

- Powiem ci coś jeszcze dziwniejszego. Ci wszyscy faceci z baru nie są stąd, tylko z zupełnie innego miejsca...

- To znaczy?

- Z Mesyny, na południu Włoch, niedaleko Brindisi, skąd można popłynąć statkiem. Pełno tam drzew figowych i gajów oliwnych. - W jego głosie brzmiała troska.

- Co w tym dziwnego? Przecież muszą być skądś. - Fiona dołała mu wody.

- Twierdzą, że są w Rzymie po raz pierwszy. Nie mogłem ich spotkać, gdy byłem tu ostatnim razem.

- A tak się zaprzyjaźniliście - zasmuciła się.

- No właśnie.

- Może pomyliłeś bary?

- Nie wiem - rzekł ponuro.

- Albo zapomnieli, że tu byli - pocieszała.

- Trudno zapomnieć o takich rzeczach, nie uważasz?

- Ale pamiętali cię.

- Mnie się wydawało, że ja pamiętam ich. -Wskakuj do łóżka. Jutro musimy być rzeźcy na audiencji.

- O Boże, papież!

* * *

Connie wręczyła Signorze prezent. Pełne nagranie wykładu Aidana.

Kupiła magnetofon i nagrała każde słowo. Signora była wzruszona.

- Włączę sobie pod kołdrę, żeby pani nie przeszkadzać -powiedziała, gdy przesłuchały kawałek.

- Z przyjemnością posłucham jeszcze raz.

Signora spojrzała na Connie. Oczywiście jej błyszczały, twarz miała zarumienioną.

- Dobrze się pani czuje, Constanzo?

- Co? Ach, tak, jak najbardziej, Signora.

Obie przeżyły wieczór, który mógł zmienić ich życie. Czy Connie Kane groziło prawdziwe niebezpieczeństwo ze strony niezrównoważonej psychicznie Siobhan? Czy Nora O'Donoghue wróci do wioski na Sycylii, która była całym jej życiem przez dwadzieścia trzy lata? Chociaż rozmawiały ze sobą, starały się zachować swoje kłopoty dla siebie. Connie 428

była ciekawa, dlaczego Signora nie przyszła na wykład Aidana i co robiła do późnej nocy. Signora bardzo chciała zapytać, czy Connie otrzymała jeszcze jakąś wiadomość od nadawcy tamtego nieprzyjemnego listu.

Położyły się do łóżek zastanawiając, na którą godzinę nastawić budzik.

- Jutro idziemy na audiencję do papieża - powiedziała nagle Signora.

- Boże! Zupełnie zapomniałam - przyznała się Connie.

- Ja też. Czyż to nie haniebne z naszej strony? - zachichotała Signora.

Byli zachwyceni spotkaniem z papieżem. Wyglądał na zmęczonego, ale był w świetnym nastroju. Każdy uważał, że papież patrzył właśnie na niego. Na placu świętego Piotra znajdowały się setki ludzi, ale każdy przeżył to niezwykle osobiście.

- Cieszę się, że nie poszliśmy na prywatną audiencję - oświadczył Laddy, jakby to w ogóle było możliwe. - W większej grupie jest lepiej. Czujesz, że wiara nie zginęła, a poza tym nie trzeba się denerwować, co mu powiedzieć.

Lou i Bill Burkę wypili przed audiencją trzy zimne piwa, dołączył też do nich Barry. Suzi i Liza kupiły sobie po dwa lody. Wszyscy robili zdjęcia.

Potem całą grupą udali się na lunch. Większość była zbyt skacowana lub zdenerwowana, by zawracać sobie głowę robieniem rano kanapek.

- Mam nadzieję, że na jutrzejszym przyjęciu u państwa Garaldich będą lepiej wyglądać - skrzywił się z niesmakiem Laddy, rozmawiając z Kathy i Fran.

Lou przechodząc obok, usłyszał słowa Laddy'ego.

- Boże Najświętszy, przyjęcie! - jęknął trzymając się za głowę.

* * *

- Signora? - zagadnął Aidan po lunchu.

- Co tak oficjalnie, Aidanie? Zwracałeś się do mnie po imieniu.

- No tak.

429

- Co no tak?

- Jak się udało wczorajsze spotkanie, Noro? Przez chwilę milczała.

- Dość interesująco i mimo że odbyło się w restauracji, udało mi się zachować trzeźwość, w przeciwieństwie do reszty grupy. Dziwię się, że papież był w stanie cokolwiek mówić w tych oparach alkoholu unoszących się nad nami.

Uśmiechnął się.

- A ja spędziłem wieczór topiąc smutki w alkoholu.

- Jakie smutki?

Próbował nadać temu ton żartobliwy.

- Po pierwsze rozpaczałem, że nie było cię na moim wykładzie.

Twarz Signory pojaśniała z radości. Sięgnęła do torby.

-Właściwie byłam. Zobacz, co zrobiła dla mnie Constanza. Słyszałam każde twoje słowo. Cudownie mówiłeś, grupa klaskała jak szalona, musiało się im podobać. Miałam wrażenie, jakbym tam była. Jak znajdę chwilę czasu, pójdę tam sama i posłucham jeszcze raz. To będzie wykład tylko dla mnie.

- Wiesz przecież, że powtórzyłbym ci wszystko dokładnie. - Wpatrywał się w nią z czułością. Wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się.

- Nie, Aidanie, proszę, nie. To nie w porządku. Mogę pomyśleć coś, czego nie powinnam, że... że coś dla ciebie znaczę, że obchodzi cię moja przyszłość.

- Boże, Noro, przecież wiesz, że to prawda.

- Tak, ale to trwa już rok i tak dalej być nie może. Ty masz żonę i rodzinę.

- Już nie.

- Grania wychodzi za męża, ale poza tym nic się nie zmieniło.

- Wprost przeciwnie. Bardzo dużo się zmieniło.

- Nie mogę z tobą rozmawiać, Aidanie. Muszę przemyśleć coś bardzo ważnego.

- Chcą, żebyś wróciła na Sycylię, mam rację? - spytał z ciężkim sercem.

-Tak.

- Nigdy nie pytałem, dlaczego wyjechałaś.

430

-Nie.

- I dlaczego tak długo tam mieszkałaś.

- Czy to o czymś nie świadczy? Ja też o nic cię nie pytałam, nie zadawałam pytań, na które chciałabym otrzymać odpowiedź.

- Z radością na nie odpowiem, na wszystkie. -Poczekajmy. Rzym nie jest najlepszym miejscem na zwierzenia tego typu.

-Ale jeśli nie zrobimy tego teraz, może być za późno. Odjedziesz na Sycylię i wtedy...

- Co wtedy? - spytała cicho.

- A wtedy zawali się cały mój świat - odparł. W oczach miał łzy.

* * *

O piątej po południu w czwartek do rezydencji państwa Garaldich przybyła czterdziestoosobowa grupa. Ubrali się odświętnie, każdy wziął ze sobą aparat. Zdjęć z takiego domu nie powstydziliby się nawet taki magazyn jak „Hello!”. Chcieli mieć pamiątki.

-Jak myślisz, Lorenzo, pozwolą nam robić zdjęcia? -spytała Kathy.

Laddy był głównodowodzącym w czasie tej wizyty. Przez chwilę się zastanawiał.

- Na pewno będzie oficjalne zdjęcie grupowe. Na zewnątrz możemy robić zdjęcia, ile chcemy. Ale wydaje mi się, że w środku nie powinniśmy. Ktoś może później je zobaczyć i chcieć coś ukraść.

Reszta kiwnęła głowami. Laddy wszystko przygotował. Gdy doszli do rezydencji zatrzymali się zdumieni. Nawet Connie, przyzwyczajona do luksusu, zaniemówiła.

- Nie wpuszczą nas tutaj - szepnął Lou do Suzi, rozluźniając krawat, który zaczął go dusić.

- Zamknij się, Lou. Jak zamierzasz znaleźć się w wielkim świecie, jeśli wpadasz w panikę na widok domu? - syknęła Suzi.

- Ja jestem stworzona do takiego życia - oświadczyła Liza Duffy odklaniając się łaskawie służbie, która prowadziła ich po schodach.

- Nie bądź śmieszna, Lizo - zdenerwował się Bill Burkę. Nie nauczył się po włosku niczego, co mogłoby mu pomóc w karierze międzynarodowego bankiera. Nie spełni oczekiwań Lizy.

* * *

Stawiła się cała rodzina Garaldich, zaprosili też swojego fotografa. Czy ktoś nie życzy sobie, by robić mu zdjęcia? Potem zostaną wywołane i wręczone gościom przy wyjeździe. Byli zachwyceni. Najpierw Lorenzo i signor Garaldi. Potem z całą rodziną, potem grupa z Signorą i Aidanem.

Na koniec wszyscy na schodach. Ten dom był wymarzony do takich zdjęć.

Dwaj smętni synowie Garaldich, których Laddy zabawiał w klubie bilardowym w Dublinie, ucieszyli się na jego widok i zabrali go, by pokazać ich własne sale do gier. Roznoszono tace z winem i napojami.

Podano też piwo w wysokich, eleganckich szklankach, talerze z różnymi rodzajami ciastek.

- Czy mogę zrobić zdjęcie potraw? - spytała Fiona.

- Proszę, proszę. - Signor Garaldi i jego żona byli wzruszeni.

- Moja przyszła teściowa uczy mnie gotować, chciałabym jej pokazać te wszystkie pyszności.

- To musi być miła osoba - zainteresowała się signora Garaldi.

- O tak, bardzo. Miała trochę kłopotów, próbowała popełnić samobójstwo, rozumie pani, ponieważ jej mąż miał romans z żoną tamtego pana. Ale to już skończone. Właściwie zerwali dzięki mnie, tylko dzięki mnie! - Oczy Fiony błyszczały z podniecenia i nadmiaru wypitego wina.

- Dio mio! - Signora Garaldi zakryła ręką usta. I to w świętej katolickiej Irlandii!

- Poznałam ją w szpitalu, gdzie pracuję - ciągnęła Fiona. - W pewien sposób jej pomogłam i jest mi teraz wdzięczna, więc uczy mnie gotować wykwintne potrawy.

- Niesamowite - mruknęła signora Garaldi.

Obok przeszła Liza, w jej oczach malował się podziw.

- Che bella casa - powiedziała.

- Parla bene Italiano - odparła ciepło signora Garaldi.

- Będę go potrzebowała, kiedy skierują Guglielma do pracy w banku za granicą, prawdopodobnie w

Rzymie.

- Naprawdę dostanie posadę w Rzymie?

- Bardzo bym chciała, to takie piękne miasto - odwdzięczyła się za komplement Liza.

Szykowano się do przemówienia, zaczęto zbierać grupę. Laddy'ego z sali do gier, Connie z galerii obrazów, Barry'ego z podziemnego garażu, gdzie oglądał samochody i motory.

Signora wzięła Aidana pod ramię.

- Nawet nie wiesz, czego państwo Garaldi się o nas dowiedzieli. Słyszałam jak ona tłumaczyła komuś, że ktoś w naszej grupie jest międzynarodowym chirurgiem, który uratował kogoś od śmierci, a Elizabetta chwaliła się podobno, że Guglielmo jest słynnym bankowcem mającym zamiar przenieść się do Rzymu.

- Uwierzyli w to? - uśmiechnął się Aidan.

- Wątpię. Guglielmo trzy razy pytał, czy może zrealizować czek i jaki jest dzisiaj kurs. To nie wzbudza zaufania - uśmiechnęła się także.

- Nora?

- Nie teraz...

Przemówienie było utrzymane w bardzo serdecznym tonie. Państwo Garaldi nigdzie nie byli tak podejmowani jak w Irlandii, nigdzie nie spotkali tak uczciwych i uroczych ludzi. Dzisiejsze spotkanie jest jednym z przykładów. Przybyli do ich domu jako obcy ludzie, a wyjdą jako przyjaciele.

- Amici - powtórzyli po włosku.

- Amici sempre - dodał signor Garaldi.

Laddy uniósł wysoko rękę. Zawsze będzie tu przyjeżdżał. Bardzo by pragnął, żeby państwo Garaldi znowu odwiedzili hotel jego kuzyna.

- Urządzimy dla państwa przyjęcie w Dublinie - dołączyła się do zaproszenia Connie Kane.

Państwo Garaldi kiwnęli ochoczo głowami i obiecali przyjechać. Zdjęcia były już gotowe. Wspaniałe duże fotografie na wytwornych schodach na dziedzińcu. Pomiędzy

433

setkami zdjęć z podróży to ujęcie ludzi skupionych w pełnym słońcu zajmie poczesne miejsce w wielu domach w Dublinie.

Rozległy się ciao, arrivederci i grazies i po chwili kurs wieczorowy z Mountaimdew znalazł się z

powrotem na ulicach Rzymu. Minęła jedenasta wieczorem, tłumy wyległy na passeggiata, wieczorny spacer. Nikt nie miał

ochoty wracać do domu, emocje jeszcze nie opadły.

- Wracam do hotelu. Może wezmę wasze zdjęcia? - spytał nagle Aidan spoglądając na wszystkich. Jakby czegoś oczekiwał.

- Ja także - powiedziała wolno Signora. Zaniesiemy je wam, żeby się nie pogubiły, gdy znowu się upijecie.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. To, czego oczekiwali przez ostatnie miesiące, wreszcie miało się zdarzyć.

Szli trzymając się za ręce, aż znaleźli restaurację ze stolikami na wolnym powietrzu i muzykami chodzącymi wokół.

- Przestrzegaliśmy nas przed takimi miejscami - zauważył Aidan.

- Mówiłam tylko, że są drogie. Nie dodałam, że je uwielbiam -

oświadczyła Nora O'Donoghue.

Usiedli i zaczęli rozmawiać. Opowiedziała mu o Mariu i Gabrielli, jak długo żyła szczęśliwie w ich cieniu.

On opowiedział jej o Neli, jak nie mógł zrozumieć, gdzie się podziały radosne dni ich małżeństwa. A na pewno minęły. Żyli jak dwoje obcych ludzi pod jednym dachem.

Najpierw umarł Mario, a potem Gabriella, ich dzieci błagały ją, by wróciła i pomogła w prowadzeniu hotelu. Alfredo powiedział to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć: że zawsze myśleli o niej jak o matce.

Dowiedział się właśnie o romansie Neli. Nie czuje się tym zaszokowany czy urażony, ale zdziwiony. Reakcja typowa dla mężczyzny, trochę arogancji i braku wrażliwości, ale tak właśnie to wygląda.

Będzie musiała spotkać się znów z Alfredem. Jeszcze nie wie, co mu powie.

434

Po powrocie oświadczy Neli, że sprzeda dom i podzieli wszystko na pół.

Jeszcze nie wie, gdzie będzie mieszkał.

Powoli wracali do hotelu Francobollo. Nie musieli jak młodzi martwić się, dokąd pójść. Ale ten problem ich nie ominął. Nie mogli wyprosić Laddy'ego na noc z jego pokoju. Ani Constanzy. Spojrzeli na siebie.

- Buona sera, Signor Buona Sera - zaczęła Nora O'Donoghue. - Ce un piccolo problema...

Problem szybko jednak rozwiązano. Signor Buona Sera był mężczyzną światowym. Znalazł im pokój bez zwłoki i zbędnych pytań.

* * *

Dni w Rzymie płynęły szybko. Zostało jeszcze tylko zwiedzanie term i szykowali się na pociąg do Florencji.

- Firenze! - zawołali chórem, gdy zobaczyli nazwę stacji na tablicy. Nie smucili się, że wyjeżdżają, gdyż wiedzieli, że będą tu wracać. Czyż nie wrzucili monet do fontanny di Trevi? Tyle jeszcze było do obejrzenia i zrobienia. Tylko ukończą następny rok nauki włoskiego. Nie wiedzieli, jak ten kurs się będzie nazywał, ale zapisali się już wszyscy.

Buona Sera przygotowała im mnóstwo jedzenia. Ta grupa nie przysparzała żadnych kłopotów. I proszę, niespodziewany romans organizatorów!

Oczywiście zdecydowanie na to za starzy i uczucie nie przetrwa powrotu do swoich współmałżonków. Ale cóż, to zwyczajowe szaleństwa w takich wyjazdach.

* * *

Za rok pojedą na południe Włoch. Muszą zobaczyć Neapol, a potem Signora zabierze ich na Sycylię, do hotelu, który zna z lat młodości. Ona i Aidan obiecali to Alfredowi. Ustalili także, że przyjedzie z nimi Brigid lub któraś z jej koleżanek z biura turystycznego, by rozważyć możliwość zorganizowania wycieczek grupowych do tego właśnie hotelu.

Pod presją Signory Aidan zadzwonił do domu. Rozmowa przebiegła znacznie swobodniej i szybciej, niż oczekiwał.

435

- Kiedyś musiałeś się o tym dowiedzieć - powiedziała szorstko.

- W takim razie, gdy wrócę wystawimy dom na sprzedaż i podzielimy wszystko na pół.

- Świetnie.

- Nie obchodzi cię to, Neli? Czy te wszystkie lata nic dla ciebie nie znaczą?

- Przecież sam mówisz, że mamy je już za sobą.

- Czy nie powinniśmy porozmawiać o tym, że mamy je za sobą?

- A niby o czym, Aidanie?

- Nie chciałem, żebyś myślała o moim powrocie, przygotowywała się... i nagle taka wiadomość. - Zawsze był uprzejmy, chyba trochę zbyt zapatrzony w siebie, zdał sobie naraz sprawę.

- Nie chciałabym cię urazić, ale naprawdę, nawet nie wiem dokładnie kiedy wracasz - odparła Neli.

* * *

Usiedli w pociągu z dala od całej grupy, Aidan Dunne i Signora, pogrążeni w swoim świecie planów i marzeń.

- Nie będziemy mieli za dużo pieniędzy - zauważył.

- Nigdy nie miałam pieniędzy, to mi nie przeszkadza - rzekła Signora z głębi serca.

- Wezmę rzeczy z mojego gabinetu. Biurko, książki, zasłony, sofę.

- Tak, i chyba lepiej postawić tam z powrotem stół jadalny? - zauważyła rzeczowo.

- Wynajmiemy jakieś małe mieszkanko, jak tylko wrócimy. - Bardzo chciał jej pokazać, że nie pożałuje decyzji odrzucenia propozycji Alfreda, który prosił, by wróciła na Sycylię, do swego prawdziwego domu.

- Pokój w zupełności wystarczy.

- Nie, nie, musimy mieć więcej - zaprotestował.

- Kocham cię, Aidanie - powiedziała nagle.

Reszta grupy z jakiegoś powodu umilkła, pociąg pędził bezgłośnie, więc wszyscy usłyszeli jej słowa. Aidan i Signora wymienili spojrzenia. Podjęli decyzję. Do diabła z dyskrecją. Otwartość uczuć jest ważniejsza. Inni pasażerowie

436

w pociągu nigdy się nie dowiedzą, dlaczego czterdzieścioro ludzi z plakietkami „Vista del Monte” zaczęło wołać z radości i śpiewać angielskie piosenki, a na koniec zanuciło melodię „Arrivederci Roma”.

I nigdy nie zrozumieją, dlaczego wielu z nich ukradkiem otarło z oczu łzy.

Koniec